

Jackie Collins

LUCKY

Z angielskiego przełożył Jan Krasko

Świat Książki

Tytuł oryginału LUCKY

Projekt okładki i stron tytułowych Zofia Sokołowska

Redakcja techniczna Alicja Jabłońska-Chodzeń

Korekta

Irena Kulczycka

Izabella Wieczorek

Copyright © Jackie Collins 1985

© Copyright for the Polish edition by „Świat Książki”, Warszawa 1997

© Copyright for the Polish translation by Jan Krasko, 1997

Świat Książki, Warszawa 1997

Skład KOLONEL

Druk i oprawa w GGP

ISBN 83-7129-583-9

Nr 1799

AkcJc? iД ##

Pamięci Kimberly.

Nie zapominamy o Tobie.

Prolog

Do sali rozpraw jeden za drugim weszli cicho przysięgli. Chwilę później

wrócił sędzia i w zatłoczonym pomieszczeniu rozległ się niecierpliwy syk oczekiwania.

Spięta Lucky Santangelo stała w lawie oskarżonych. Patrzyła prosto przed siebie. Niewzruszona. Dziko, mrocznie piękna. Wbrew wszystkiemu.

Sędzia usiadł, poprawił okulary w ciężkiej rogowej oprawie i odchrząknął. — Panie i panowie przysięgli — spytał krótko — czy uzgodniliście werdykt?

Przewodniczący ławy postąpił krok do przodu. Miał ziemistą cerę i nerwowy tik twarzy.

— Tak, wysoki sędzie — odrzekł niewyraźnie.

— Głośniej, proszę! — burknął poirytowany sędzia.

— Uzgodniliśmy, wysoki sędzie — powtórzył przewodniczący, nie mogąc opanować coraz wyraźniejszego i coraz bardziej denerwującego tiku.

— W takim razie zechce pan przekazać werdykt sekretarzowi — warknął zjadliwie stary sędzia.

Przewodniczący spełnił jego żądanie. Sekretarz wziął złożony formularz i zaniósł go prosto do sędziego, który uważnie przyjrzał się dokumentowi. W wypełnionej do ostatniego miejsca sali zapanowała pełna oczekiwania cisza. Była tak głęboka, że aż dzwoniła w uszach.

Lucky nie patrzyła na sędziego, ale widziała, jak czyta

9

werdykt, jak zwraca go sekretarzowi, a potem zamknęła czarne, opalizujące oczy, by odmówić króciutką, sekretną modlitwę? - Lucky Santangelo była oskarżona o morderstwo. Kilka następnych minut miało zadecydować o jej losie.

próbowała oddychać równo i głęboko. Próbowwała zachować spokój,

skoncentrować się, odpędzić od siebie złe myśli.

Sekretarz zaczął mówić.

Boże! Nie, to niemożliwe! To nie mogło się jej przytrafić. Nie Lucky Santangelo. Nie jej!

Stała z wysoko podniesioną głową. Jak na prawdziwą Santangelo przystało. Nic nie mogło rzucić jej na kolana.

Nic.

Była przecież niewinna.

prawda?

prawda...

44

KSIĘGA PIERWSZA

Lato roku 1978

1

Lennie Golden nie był w Las Vegas od trzynastu lat, choć tu został poczęty, tu się urodził i tu mieszkał do siedemnastego roku życia.

Wysiadłszy z samolotu, rozejrzał się, powąchał powietrze i wziął głęboki oddech. Miasto wciąż pachniało jak dawniej.

Na hałaśliwym lotnisku kłębił się tłum przyjezdnych hazardzistów, turystów i średnio zamożnych Amerykanów, którzy chcieli się zabawić.

Grube męskie zadki kołysały się obok zadków pulchnych, tlenionych i obwieszonych sztuczną biżuterią blondynek w poliesterowych kostiumach.

Dzieci jęczały i narzekały. prostytutki w wiązanych na szyi,

odsłaniających plecy oraz ramiona bluzkach i obcisłych spodniach

przyjechały w interesach. Śniadzi obcokrajowcy ściskali czarne skórzane dyplomatki, roztaczając woń czosnku wokół towarzyszących im kochanek o płowych włosach.

Czekała na niego Jess. Niezwykle piękna, choć niska — mierzyła ledwie metr pięćdziesiąt — wciąż miała w sobie coś z trzpiotki, jaką była w szkole. Zawsze wolała trzymać się z chłopakami. Zwłaszcza z Lennie. Zostali najlepszymi przyjaciółmi już w pierwszej klasie, a ich cokolwiek nieoczekiwany i platoniczny związek przetrwał, umacniając się w miarę upływu lat, chociaż odkąd wyjechał z Vegas do Nowego Jorku, widywali się bardzo rzadko.

Stanowili wyjątkowo źle dobraną parę. Lennie, taki wysoki, szczupły, o ciemnoblond włosach i oczach koloru

13

morskiej wody — przerośnięty Robert Redford z sowitą domieszką Chevy'ego Chase'a. I Jess, malutka, piegowata, o wielkich oczach, z szopą pomarańczowych włosów na głowie — miniaturka dziewczyny z rozkładówki „Playboya”. Rzuciła mu się w ramiona.

— Tak się cieszę, że cię widzę! Jak na faceta, który puszcza się na wszystkie strony, wyglądasz fantastycznie. Jak ty to robisz?

Podrzucił ją do góry niczym szmacianą lalkę.

— I kto to mówi! Zachichotała i mocno go uścisnęła.

— Kocham cię do szaleństwa, Lennie. Witaj w domu.

— Ja też cię kocham, małpko.

— Nie nazywaj mnie tak! — zapiszczała. — Jestem teraz mężatką, szacowną żoną. Mam dziecko i w ogóle, więc traktuj mnie jak damę.

Wybuchnął śmiechem.

— Jeśli ty jesteś damą, to ja jestem Raquel Welch. Wzięła go za rękę.

— Tak, masz wspaniałe biust! Śmiejąc się, ruszyli w stronę wyjścia.

— Jak lot? — spytała, próbując chwycić jego poobijaną walizkę.

Wyszarpnął się i odrzekł:

— Długi i nudny. Gdyby Bóg chciał, żebyśmy latali, dałby nam więcej stewardes.

Mrugnęła do niego porozumiewawczo.

— Zaliczyłeś coś?

— A jak.

— Naprawdę?

— Komu jak komu, ale tobie bym nie skłamał — odrzekł z kamienną twarzą.

Parsknęła śmiechem. Zawsze śmiała się głośno i rubasznie — ludzie odwracali głowy i gapili się na nią jak na wariatkę.

— Gdybyś doszedł do wniosku, że to ci pomoże, zełgałbyś samemu papieżowi.

— A oto i ona... — zaintonował monotennie.

— Kto? Gdzie? — Odruchowo odwróciła się, żeby obe-

14

jrzyć jego ostatnią ofiarę. Tuż obok spokojnie przeszła zakonnica.

— Mówiłem ci, że zmienił mi się gust — powiedział poważnie.

— Bardzo śmieszne! — Wzięła zamach, żeby grzmotnąć go w brzuch.

Powstrzymał ją gestem ręki.

— Odwal się. Właśnie zoperowali mi język.

— Hę?

— Pamiętasz, robiłem nagranie do programu Lee Bryan-ta. To, o którym

ci mówiłem.

— Pamiętam. No i?

— Z czterech minut skrócili mnie do trzydziestu sekund. Zmarszczyła czoło.

— Durnie, nie wiedzą, co dobre. Ale co tam, teraz jesteś w Las Vegas. Twoje teksty rzucają ich na kolana.

— Jasne. Moje pojawienie się w foyer „Magiriano” wzbudzi zamieszki.

— Dużo się tu zmieniło. Może właśnie tego ci trzeba. Kto wie, do czego dojdiesz.

— Przestań, Jess. Mówisz jak mój agent. Weź tę chałturę, weź tamtą, odwal ten numer i zanim się spostrzeżesz, dostaniesz etat u Carsona.

— Twój tak zwany agent to bubkowaty artysta z Nowego Jorku. — Zmarszczyła nos. — Jesteś wspaniałym komikiem. To ja powinnam cię reprezentować. Ostatecznie załatwiłam ci ten angaż, nie?

— Ile chcesz? Dziesięć procent? Wybuchnęła obłąkanym śmiechem.

— Myślisz, że oddałabym tytuł królowej blackjacka w Las Vegas? Masz mnie za wariatkę czy co? Wsadź sobie tę prowizję tam, gdzie słońce nie dochodzi!

Parsknął śmiechem i oparł się o ścianę, podczas gdy Jess popędziła do toalety. Tak, była prawdziwą przyjaciółką. Zadzwoił do niej przed dwoma tygodniami i powiedział, że musi dać nogę z Nowego Jorku. „Nie ma sprawy — odrzekła Jess bez wahania. — Matt Traynor, dyrektor artystyczny hotelu, w którym pracuję, leci na mnie, że hej. Przyślij mi taśmę, namówię go, żeby cię zaangażował”.

15

Lennie wysłał kasetę. Jess załatwiła mu pracę. Prawdziwa kumpelka.

Od niechcienia obserwował ciemnowłosą dziewczynę w czarnych, skórzanych spodniach i czerwonej koszuli. Minęła go, idąc przez tłum, jakby należała do niej całe lotnisko. Podobał mu się jej styl, nie wspominając już o ciele.

Chryste! Czyżby jeszcze się od niej nie uwolnił? Rozstali się pół roku temu, mimo to, ilekroć widział atrakcyjną kobietę, zawsze porównywał ją z Eden. Zawsze, teraz też, nic nie mógł na to poradzić. Nie, Eden Antonio i on jeszcze z sobą nie skończyli — dlaczego nie potrafił spojrzeć prawdzie w oczy?

Jess wyszła z toalety i ścisnęła go za rękę.

— To cudownie, że wróciłeś, Lennie. — Musisz mi opowiedzieć wszystko o wszystkim.

— Proszę bardzo: kariera prowadząca donikąd i spieprzone życie seksualne.

— Ekscytujące. Też mi nowina.

Wyszli przed terminal i otulił ich pustynny upał.

— Jezu! — wykrzyknął Lennie. — Zapomniałem już, jak tu jest.

.""■"■!..

— Przestań kwękać. Lekka opalenizna dobrze ci zrobi. Wyglądasz jak facet, który od lat nie wychodził z nocnego lokalu.

Podeszli do czerwonego camaro z wgiętą karoserią, czekającego na parkingu.

— Widzę, że nadal świetnie prowadzisz — zauważył mimochodem, wrzucając walizkę do bagażnika.

— To nie ja — odparła rozdrażniona. — Mój stary nie potrafi przejechać

skrzyżowania, żeby się na coś nie nadziać.

Lennie zastanawiał się, cóż to za mężczyzna wziął za żonę zwariowaną Jess. Miał nadzieję, że to ktoś wyjątkowy.

— Wskakuj — powiedziała, siadając za kierownicą. — Dzieciak ryczy, Wayland pitrasi lunch: mówię ci, Lennie, spodoba ci się tu jak nigdzie indziej. To miasto zawsze do ciebie pasowało.

Posępnie kiwnął głową.

— Taa. Tego się właśnie obawiam.

16

Idąc szybko przez tłum na lotnisku, Lucky Santangelo rzucała się w oczy. Była szczupłą, mocno opaloną, uderzająco piękną dwudziestoosmioletnią kobietą o czarnych, kędzierzawych i niesfornych włosach, o cygańsko czarnych oczach i szerokich, zmysłowych ustach. Miała na sobie czarne spodnie z mięciutkiej skóry, koszulę z czerwonego jedwabiu rozpiętą do granic przyzwoitości i szeroki, nabijany srebrnymi ćwiekami pas. Z uszu zwisały jej proste srebrne kolczyki w kształcie kół, a palec prawej ręki ozdabiał kwadratowy brylant tak wielki i tak lśniący, że należało wybaczyć wszystkim, którzy myśleli, że to tylko tania błyskotka. Nie, brylant był prawdziwy.

Niekonwencjonalnie piękna, nosiła się po swojemu i miała swój własny styl. Biła z niej pewność siebie i egzotyczny zapach perfum, którymi się skropiła.

— Boogie! — Czule powitała chudego, długowłosego mężczyznę w wojskowych drelichach, który wyszedł jej na spotkanie. — Jak sprawy?

— Po staremu — odrzekł cicho. Strzelając wąskimi oczyma to w lewo, to w prawo, obserwując wszystko i wszystkich, wziął jej czarną torbę

podróżną i kwit na resztę bagażu.

— Żadnych podniecających wiadomości? Żadnych plotek? — pytała z uśmiechem, ciesząc się z powrotu.

Owszem, plotki słyszał, ale nie zamierzał być tym, kto przekaże je Lucky.

— Myślę, że wszystko wypali, Boog — mówiła z ożywieniem w drodze do długiego mercedesa parkującego na czerwonej linii. — Kontrakt na Atlantic City jest zapięty na ostatni guzik. I ja to załatwiłam. Ja!

Wystarczy tylko zgoda Giną i płyta zacznie się kręcić. Czuję się wyśmienicie!

Cieszył się, że Lucky jest w tak dobrym humorze. Kiwnął głową i rzekł:

— Jeśli czegoś chcesz, zawsze dopniesz swego. Nigdy w ciebie nie wątpiłem.

Jej oczy błyszczały z podniecenia.

— Atlantic City — powiedziała. — Zbudujemy hotel, jakjggcświat nie widział!

■*/

^ś^rflirawno. — Otworzył tylne drzwi.

fUN III 13 5)

17

__ Hej, dobrze wiesz, że zawsze siedzę obok ciebie.

Otworzył drzwi przednie, pomógł jej wsiąść i pobiegł po resztę bagażu.

Gino Santangelo obudził się nagle i gwałtownie. Przez chwilę był zdezorientowany, ale tylko przez chwilę. Owszem, był stary, ale na pewno nie cierpiał na uwiad starczy. I dzięki Bogu. Poza tym siedemdziesiąt dwa lata to w dzisiejszych czasach nie wiek na sztuczne zapylenie kwiatów pomarańczy. Szczerze mówiąc, ostatniej nocy znowu poczuł się w łóżku

jak nastolatek. Nic dziwnego — towarzyszyła mu Susan Martino. Susan Martino. Wdowa po wielkim Tinym Martinie, wszechstronnie utalentowanym weteranie kina i telewizji. Komiku, którego nazwisko wymawiano jednym tchem z nazwiskami Keatona, Chaplina i Benny'ego. Tiny zmarł na atak serca przed dwoma laty. Gino był na jego pogrzebie w Los Angeles, złożył kondolencje wdowie i od tamtej pory jej nie widział. Spotkali się dopiero teraz, przed trzema tygodniami, kiedy Susan przyjechała do Las Vegas na imprezę dobroczynną. Po raz piąty z rzędu budził się rano w jej łóżku i wcale z tego powodu nie cierpiał. Jakby czytając w jego słodkich myślach, do sypialni weszła Susan. Była atrakcyjną, dobrze utrzymaną czterdzies-todziewięcioletnią kobietą, która wyglądała co najmniej dziesięć lat młodziej. Miała bladobłękitne oczy, wysokie kości policzkowe i białą, gładką skórę. Srebrnoblond włosy upięła w zgrabny koczek na tyle głowy, choć dochodziła dopiero dziewiąta. W peniuarze z białego jedwabiu, okrywającym jej skromne, aczkolwiek doskonałe ciało, niosła tacę ze szklanką świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego, ugotowanym na miękko jajkiem i dwiema cienkimi, lekko posmarowanymi masłem grzankami. — Dzień dobry, Gino.

Z trudem usiadł i przeczesał rękami niesforne czarne włosy, które choć siwiały na skroniach, były gęste i kędzierzawe jak w młodości. Tak, wciąż liczył się jako mężczyzna. Wiek ani nie przytępił witalności, ani nie pozbawił go

18

wprost niewyczerpanej energii, chociaż ciężki atak serca, jaki przeszedł przed rokiem, odrobinę go spowolnił. Podobnie jak Susan nie wyglądał na

swoje lata.

— Co to jest? — spytał, wskazując zastawioną tacę.

— Śniadanie do łóżka.

— Czym sobie na nie zasłużyłem? Obdarzyła go uśmiechem.

— Wszystkim.

Uśmiechnął się, przypominając sobie ich łóżkowe wyczyny.

— Taa. Nieźle jak na takiego starucha, co? Postawiła przed nim tacę i usiadła na brzegu łóżka.

— Jesteś najlepszym kochankiem, jakiego kiedykolwiek miałam — odrzekła poważnie.

Podobało mu się to. I to bardzo. Susan Martino nie była dziwką, ale przed dwudziestoma pięcioma laty, kiedy to poślubiła Tiny'ego, miała określoną reputację. Krążyły plotki, że utrzymywała intymne kontakty z Aly Khanem, Ru-biriosą, a nawet z Sinatrą. To wystarczyło, żeby Gino poczuł się mile połączony jej komplementem.

Oczywiście nigdy nie wypytywał o jej przeszłość. Ona też go nie wypytywała.

— Chcę się czegoś dowiedzieć — powiedział, zainteresowany na tyle, żeby ją o to zapytać.

Starannie zdejmowała skorupkę z jajka.

— Czego?

— Kiedy byliście razem, ty i Tiny... Czy on cię zdradzał? Nie wahała się ani sekundy.

— Nigdy — odrzekła stanowczo. — Chociaż, dlaczego miałabym ci o tym opowiadać...

Nagle stał się zaborczy, nagle zapragnął mieć ją tylko dla siebie. Ją, tę

blond damę z klasą. A ilu ich kręciło się wokół niej dzisiaj?

Kobiety. Pokochaj je i porzuć — tak brzmiało jego życiowe credo. Z paroma wyjątkami. Ostatnimi laty chodzenie z nimi do łóżka coraz bardziej go nudziło. Jeszcze jedno ciało. Jeszcze jedna piękna twarz. Jeszcze jeden tysiącdoła-rowy banknot na drobną błyskotkę, bo nie lubił odprawiać ich z pustymi rękami. Były w łóżku z Ginem Santangelo

19
i chciał, żeby to sobie dobrze zapamiętały. Nie to, żeby musiał im płacić. Nigdy. Już sama myśl była obłąkana.

— Możemy spędzić razem cały dzień? — spytała Susan, maczając kawałek grzanki w jajku i wsuwając mu go do ust.

Już miał powiedzieć „tak”, gdy nagle o czymś sobie przypomniał. Dzisiaj wracała Lucky. Jego córka. Piękna, nieokiełznana Lucky, dziewczyna o jego oczach, jego ciemno-oliwkowej cerze, jego kędzierzawych włosach. Z jego żądzą życia. Jak mógł o tym zapomnieć? Trzy tygodnie temu wyjechała na wschód w sprawach służbowych. Gdyby nie Susan, bardzo by za nią tęsknił.

— Może przełożmy to na jutro? — rzekł, odsuwając łyżeczkę. — Dzisiaj mam kilka spraw do załatwienia.

— Ach tak... — Sprawiała wrażenie rozczarowanej. Zastanawiał się, jak zareagowałaby Lucky, gdyby zaprosił

Susan na wspólną kolację. Instynkt podszeptował mu, że by tego nie zniosła. Dobrze ją rozumiał. Ostatecznie to jej pierwszy wieczór po powrocie i mieli sobie mnóstwo do powiedzenia.

Miał wystarczająco dużo czasu na wprowadzenie Susan do ich życia i zamierzał to zrobić. Susan Martino była zbyt wielką damą, żeby pójść w

odstawkę po tygodniu znajomości.

W drodze do hotelu Lucky wprowadzała Boogiego w szczegóły podróży. Boogie był kimś więcej niż tylko zwykłym kierowcą i ochroniarzem, gdy klimat zmuszał ją do zaangażowania obstawy. Był przyjacielem i darzyła go całkowitym zaufaniem. Kiedy miała kłopoty, zawsze się sprawdzał. W przeszłości wielokrotnie udowodnił, że jest człowiekiem lojalnym, byстрыm i zazwyczaj milczącym, chyba że miał do powiedzenia coś naprawdę ważnego — co bardzo Lucky odpowiadało.

Podwiózł ją do „Magiriano” na Stripie. Wsiadła i stała chwilę, odczuwając ten sam rozkoszny dreszcz co zawsze, ilekroć wracała do domu, do swego hotelu.

„Magiriano” — kombinacja imion rodziców, Marii i Giną. Marzenie ojca, które ziściła, podczas gdy on kiął na

20

siedmioletnim wygnaniu podatkowym. Zawsze będzie dumna ze swego osiągnięcia. „Magiriano” był czymś wyjątkowym.

W holu jak zwykle panował hałas i jak zwykle kłębił się tłum turystów. W kasynie tłoczyli się poranni hazardziści. Żadnych okien. Żadnych zegarów. Dwadzieścia cztery godziny rozrywki na dobę.

Lucky nie uprawiała hazardu. Po co zasiadać do zielonego stolika, skoro to wszystko i tak należało do niej i do Giną? Przecięła hol, stanęła przed drzwiami prywatnej windy, ukrytej za parawanem z doniczkowych palm, i wsunęła do czytnika magnetyczną kartę.

Dobrze jest wrócić do domu.

Nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy ojca. Miała mu tyle do powiedzenia.

Jess nie pławiła się w zbytku, ale mały osiedlowy domek, przed którym się zatrzymali, miał przynajmniej maleńki basen kąpielowy.

— Chata jest w porządku, ale niedługo się przeprowadzamy — wyjaśniła obojętnie, otwierając frontowe drzwi. — W Lakę Tahoe widzieliśmy osiedle i chcielibyśmy kupić tam dom.

— Taa? — mruknął Lennie zastanawiając się, kto ten dom miałby kupić. Z kilku skąpych informacji o mężu, które Jess sprzedała mu w drodze z lotniska, wynikało, że to ona zdobywa pieniądze na życie, podczas gdy Wayland nie robi nic poza doglądaniem ich dziesięciomiesięcznego dziecka.

— Jest tu kto? — zawołała, gdy podbiegł do nich zapyziały kundel, machając pożałowania godnym ogonem. Pogłaskała zwierzę i wyjaśniła: — To jest Trawka. Znalazłam go w pojemniku na śmieci, kiedy był szczeniakiem. Fajny, nie?

Zjawił się Wayland, a przynajmniej ktoś, kogo Lennie za Waylanda wziął. Sądząc z wyglądu, jeszcze jeden znajda albo przybłęda. Miał na sobie utyłane białe spodnie, luźną, haftowaną koszulę i był na bosaka. Miał brudne nogi,

21

żółtawe włosy do ramion z przedziałkiem pośrodku i podłużną bladą twarz. Jess, która pisała cudowne listy, wspomniała, że Wayland maluje. Ale co maluje, nie zdradziła.

— Cześć, stary — powiedział Wayland, nawalony jak stodoła. — Witaj w naszym domu. — Wyciągnął do Len-niego kościstą, trzęsącą się rękę.

— Gdzie dziecko? — spytała Jess.

— Śpi.

— Na pewno?

— Idź, sprawdź.

Jej piękna twarz na chwilę spochmurniała i Lennie wyczuł, że w ich rocznym związku nie wszystko układa się dobrze. Do szczęścia brakowało mu tylko żalostnej sceny małżeńskiej. Miał na głowie wystarczająco dużo własnych kłopotów.

Lunch: wielka miska brązowego ryżu i trochę zwiędłej sałaty oblanej stęchłym jogurtem. Jess próbowała ukryć rozdrażnienie — pracowała całą noc i kazała Waylandowi przygotować coś specjalnego — ale przychodziło jej to z trudem. Lennie znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że jest wkurzona.

Dziecko — chłopczyk imieniem Simon — obudziło się na chwilę i przyjęło butelkę.

— Chcę odwieźć Lenniego do hotelu — oświadczyła nerwowo Jess, kiedy mały zasnął.

Wayland kiwnął głową. Miał niewiele do powiedzenia na jakikolwiek temat.

W samochodzie zapaliła skręta, wydmuchała dym prosto w twarz Lenniego i rzuciła agresywnie:

— Nie chcę o tym gadać, dobra?

— A kto pyta? — odrzekł spokojnie.

Uruchomiła samochód i popędzili do „Magiriano”. Zatrzymała wóz przed głównym wejściem i nie wyłączając silnika, powiedziała:

— Będę tu na ciebie czekać za dwie godziny. Pytaj o Matta Traynora. To

facet, który cię zaangażował. Każe oprowadzić cię po hotelu.

— A ty? Gdzie jedziesz?

— Mam... mam spotkanie.

22

— Już się puszczasz?

— A niby dlaczego miałabym się nie puszczać. Teraz, kiedy poznał już Waylanda, musiał przyznać jej rację.

Matt Traynor, pięćdziesięcioletni, srebrzystowłosy lis w beżowym garniturze z kamizelką, był najlepszym specem od rozrywki w Las Vegas i oprócz pensji pobierał procent od hotelowych zysków. Zabiegała o niego sama Lucky Santangelo i dał się skusić tylko tą smakowitą perspektywą. Powiedział Lenniemu, że kasetę, którą przysłał Jess, bardzo mu się podobała, następnie zasypał go pytaniami o przyjaciółkę, jakby chciał poznać każdy szczegół jej życia.

Lennie próbował odpowiadać ogólnikowo, ale kiedy Matt zagadnął o jej małżeństwo, doszedł do wniosku, że pora przejść-do rzeczy. Szybko powiedział, że chciałby obejrzeć salę, gdzie będzie występował, i posmakować atmosfery hotelu. Traynor wyraził zgodę, udzielił mu kilku mętnych wskazówek, po czym go odprawił.

Las Vegas. Upał. Specyficzny zapach. Krzątanina.

Las Vegas. Dom. Od urodzenia do siedemnastego roku życia.

Las Vegas. Wspomnienia z młodości kłębiące się w głowie. Tu przespał się pierwszy raz z dziewczyną, tu się pierwszy raz upił i zaćpał, tu pierwszy raz oberwał. Tu się pierwszy raz zakochał, uciekł z domu, podprowadził starym samochód...

Starzy. Mama i tato. Dziwaczna para.

Tato, staromodny komik. Jack Golden. Solidny facet, prawdziwy chałturnik. Ale chałturnik, którego nazwisko wszyscy w branży dobrze znali — wszyscy z wyjątkiem szerokiej publiczności. Zmarł przed trzynastu laty. Na raka woreczka żółciowego.

I mama, Alice Golden — przedtem znana jako Piersió-weczka — jedna z najbardziej wziętych striptizerek w mieście. Dobra, stara mama — miała teraz pięćdziesiąt dziewięć lat i mieszkała w spółdzielczym mieszkaniu własnościowym w Kalifornii. Z Las Vegas do Marina del Rey — wystarczył jeden chyży skok ze sprzedawcą używanych samochodów

23

z Sausolito. Alice nie była przeciętną żydowską mateczką, o nie. Nosła króciutkie szorty, bluzeczki bez ramiączek, farbowała włosy, goliła nogi, a po tym, jak sprzedawca samochodów z Sausolito zwiął z miasta, zwijając przy okazji jej biżuterię wartą dziesięć tysięcy dolarów, miała kochanka za kochankiem.

Alice... Kobieta doprawdy niezwykła. Nie łączyły ich zbyt bliskie stosunki. Kiedy był małym chłopcem, rozstawiała go po kątach, wysyłała po niezliczone sprawunki i traktowała jak lokaja. Nigdy w życiu nie przyrządziła żadnego posiłku. Podczas gdy inne dzieciaki przynosiły do szkoły czyściutkie, brązowe torebki z przekładanymi mięsem kanapkami, ciasteczkami i serem, on miał szczęście, jeśli udało mu się zwędzić jabłko z drzewa w ogrodzie.

— Musisz nauczyć się niezależności — powiedziała mu Alice, kiedy miał mniej więcej siedem lat.

I nauczył się.

Jednak życie z Alice i Jackiem było ekscytujące. W ich niechlujnym mieszkanku zawsze tłoczyły się tancerki i piosenkarki, pracownicy kasyna, ludzie z branży. Tak, jeśli zapomniało się o dzieciństwie, życie było fajne. Alice. Miała charakter. Nauczył się akceptować ją taką, jaką była.

Las Vegas. Dlaczego wrócił?

Dla roboty. No i powiedział Jess, że musi zwiewać z Nowego Jorku.

Przypięła się do niego policja, bo przyłożył jakiemuś zapitemu grubasowi, który dogadywał mu podczas występu w jednym z klubów w Soho. Zapity grubas okazał się pokątnym adwokatem, który obudziwszy się następnego ranka z rozciętą wargą, doszedł do wniosku, że Lennie Golden musi swoje odsiedzieć, i przystąpił do działania. Pozew sądowy i wynikające z tego okoliczności obciążające były ostatnią rzeczą, jakiej Lennie potrzebował. Uznał, że wyjazd z miasta będzie najlepszym sposobem na rozwiązanie problemu. Poza tym na zachodnim wybrzeżu przebywała Eden — chciał ruszyć za nią już od miesięcy, choć nie rozstali się jak przyjaciele.

Zaliczywszy Las Vegas, zamierzał wyjechać do Los Angeles.

24

Nie tylko po to, żeby zobaczyć Eden.

Tak. Po to, żeby zobaczyć Eden.

Przyznaj się, baranie, jeszcze nie wyplułeś haczyka.

Lucky przystanąła na patio, czekając, aż zauważy ją Bertil, Szwed, odpowiedzialny za wszystko, co działo się nad basenem.

Spostrzegł ją natychmiast. Najdłuższe nogi w mieście, czarny jednoczęściowy kostium kąpielowy okrywający gibkie ciało — trudno było jej nie zauważyć. Pamiętając, kto tu jest szefem, zerwał się na równe nogi, szybko podszedł do Lucky i powitał ją z dobrze wyważoną

kombinacją obojętności i entuzjazmu.

— Witamy z powrotem, pani Santangelo.

Skinęła mu głową, omiatając wzrokiem dziesiątki opalonych na brąz ciał.

— Dziękuję, Bertil. Miał pan jakieś problemy, kiedy mnie nie było?

— Nic, czym musiałbym zawracać pani głowę.

— Śmiało — odrzekła łagodnie. — Lubię wiedzieć wszystko.

Zawahał się, a potem opowiedział jej krótką historyjkę o dwóch ratownikach, którzy podrywali goszczące w hotelu kobiety.

— Wyrzucił ich pan? — spytała.

— Tak. Chcą nas zaskarżyć.

— Rozmawiał pan z naszymi prawnikami?

— Tak.

— W takim razie sprawa załatwiona — odparła, usatysfakcjonowana.

Odprowadził ją do leżaka. Usiadła, żeby poobserwować okolicę.

— Niech pan przyniesie mi telefon — poprosiła. Przyniósł aparat i zostawił ją samą.

Po raz trzeci spróbowała dodzwonić się do Giną. Ciągłe był poza domem.

Gdzie się on, do diabła, włóczył? Dlaczego nie czekał na jej przyjazd?

25

2

— Olympio, jesteś księżniczką. Boginią. Królową. Złociste, zaokrąglone ciało Olympii Stanislopoulos zadrżało w ekstazie.

— Jeszcze, Jeremy. Mów, nie przerywaj...

Angielski lord zmienił pozycję na nagim, dojrzałym ciele greckiej spadkobierczynie potężnego armatora, kontynuując litanie pochwał i komplementów.

— Twoje oczy są jak Morze Śródziemne. Twoje usta jak rubiny. Twoja skóra jest gładka jak najgładszy jedwab. Twoje...

— Aaaach... — Uciszył go głośny okrzyk rozkoszy. Szeroko rozłożyła nogi, potem owinęła go nimi i unieruchomiła w bolesnym uścisku, orząc mu plecy szponiastymi paznokciami. Z ran pociekła krew.

Wrzasnął z bólu, zagłuszając jej ekstatyczny krzyk.

— Na miłość boską, Olympio!

Narzekania Jeremy'ego zupełnie jej nie interesowały. Obojętnie zepchnęła go z siebie.

— Jeszcze nie skończyłem — zaprotestował.

— Twoja strata — ucięła ostro. Przetoczyła się na łóżku i wstała.

Olympia Stanislopoulos nigdy nie była znana z ciepłej i współczującej natury. Szybko weszła do łazienki, zatrzasnęła drzwi i spojrzała na swoje odbicie w dużym lustrze.

Tłuszcz! Zwały spurchlonego cellulitsem sadła! Rozzłoszczona chwyciła walek tłuszczu w talii i wściekle go ścisnęła. Niech szlag trafi tego francuskiego znachora, który zaaplikował jej trzymiesięczną kurację odchudzającą tudzież kilka parszywych sztosów, za co zażyczył sobie trzydzieści tysięcy dolarów. O tak, pilnie do niego chodziła, tylko po jaką cholereę. Nie cierpiąc tego, co widziała w lustrze, pokazała język swemu odbiciu.

A widziała stosunkowo niską, dwudziestoosmioletnią kobietę o obfitych kształtach, wielkich, jędrnych piersiach, gęstych, kędzierzawych blond włosach i pięknej twarzy. Oczy miała małe i niebieskie. Nieokreślony nos. Wydatne różowe usta. Mężczyźni za nią przepadali. Wyglądała bar-

dzo zmysłowo. Jak prawdziwa seksbomba. I to seksbomba o wzmocnionym ładunku.

W dniu swych dwudziestych pierwszych urodzin Olympia Stanislopoulos odziedziczyła siedemdziesiąt milionów dolarów. Mądrze zainwestowane pieniądze szybko podwoiły swoją wartość.

Miała trzech mężów. Pierwszego, greckiego playboya, splukanego dwudziestolatka dobrego pochodzenia, poślubiła w wieku siedemnastu lat. Pobrali się na pokładzie jachtu Dimitriego, jej ojca; dla wygody jacht cumował w pobliżu jego własnej wyspy. Uroczystość była więcej niż huczna: dwoje książąt, kilka księżniczek, zdetronizowany król i tłum bogatych próżniaków z Europy. Szczęśliwa para spędziła miesiąc miodowy w Indiach, trzy miesiące mieszkała w Atenach i rozwiodła się w Paryżu po tym, jak Olympia nakryła męża na czworakach z obsługującym go od tyłu lokajem. Nie należała do kobiet pruderyjnych, ale przecież istniało coś takiego jak dobre obyczaje. Dimitri pocieszył rozdrażnioną córeczkę, kupując jej wspaniały apartament w Alei Focha, dwie przecznice od ich rodzinnej rezydencji.

Wkrótce poznała włoskiego potentata przemysłowego. A przynajmniej tak się jej przedstawił. Był czarującym czterdziestopięcioletnim mężczyzną o reputacji kobieciarza i znakomicie się ubierał. Zabiegał o względy Olympii we wszystkich dyskotekach Europy i poślubił ją w dniu jej dziewiętnastych urodzin. Byli razem rok. Urodziła mu córeczkę, Brigitte, tymczasem on szastał jej pieniędzmi na lewo i prawo. Jego niedyskrecje zbyt często trafiały na łamy gazet i czasopism. Olympia była wściekła, dowiadując się, że podczas gdy ona krzyczała nocą w bólach porodowych, on beztrosko sobie tańczył.

Dimitri załatwił rozwód. Drugi błąd kosztował ją dwa ferrari i trzy miliony dolarów. Eks-mąż nie zdążył się tym nacieszyć. Trzy miesiące po rozwodzie wysiadł z samochodu na paryskiej ulicy i zginął rozerwany wybuchem bomby jakiegoś terrorysty. Olympia nie miała czasu go opłakiwać, ponieważ była już zajęta trzecim kandydatem na męża, zubożałym polskim księciem. Szybko się okazało, że był

27

nic niewart. Wytrwali razem cztery miesiące, po czym zostawił ją z tytułem i swoimi długami.

Doszła do wniosku, że dość tych małżeństw i oddała się licznym romansom, z których żaden jej nie zadowolił. Zaczęła dużo podróżować, pomieszkując to w swoim paryskim apartamencie, to w rzymskim pied-a-terre, to w hotelu „Connaught” w Londynie. Lato spędzała na południu Francji. Boże Narodzenie w Gstaad. Do Acapulco jeździła, kiedy miała na to ochotę. Mężczyzn zaliczała szybko. Większość z nich nudziła ją po pierwszym razie. Potrzebowała czegoś więcej niż seksu — potrzebowała dreszczyku emocji.

Bawili ją mężczyźni żonaci. I sławni. I potężni. Im bardziej nieosiągalni, tym lepiej.

Wciąganie ich do łóżka bardzo ją podniecało. Ale po pierwszym spotkaniu? Po pierwszym spotkaniu nie pozostawało już nic. Potrzebowała ciągłych zmian, ponieważ na nowo odkryła to, o czym wiedziała od samego początku: większość mężczyzn to łatwy kąsek. A po co komu łatwizna?

Pierwszy kochanek posiadał ją, kiedy miała ledwie szesnaście lat. Sceneria: południe Francji, willa, którą wraz ze swoją przyjaciółką, Lucky

Santangelo, „wynajęła” od ciotki. Uciekły ze szkoły z internatem, dwie dociekliwe, złąknione przygód dziewczynki dysponujące czasem, górą pieniędzy i białym mercem. Olympia często wspominała tamte beztroskie dni zakazanych zabaw jako najszczęśliwszy okres swojego życia. Żadnych nacisków i zobowiązań. Żadnych fotografów czyhających za każdym krzakiem. Ani wielkich oczekiwań.

Warris Charters. Dobrze go pamiętała. Przystojny, o lnianych włosach i zielonych, lekko skośnych oczach. Starszy facet. Producent filmowy. Spłukany kombinator.

Czasami zastanawiała się, gdzie się teraz podziewa Warris Charters.

Przyłapany in flagranti przez jej ojca i ojca Lucky, którzy przyjechali na południe Francji w poszukiwaniu zbłąkanych córeczek.

Ostatni raz widziała Warrisa, gdy w burzliwą noc uciekał przed groźbami Dimitriego z dwiema walizkami od Gucciego w rękach.

28

Od tamtej pory nigdy o nim nie słyszała. To było całkiem zrozumiałe.

Jej najlepsza przyjaciółka, Lucky Santangelo, też się do niej nie odezwała.

Tego Olympia zrozumieć nie mogła. Po tym, co razem przeszły,

oczekiwała przynajmniej telefonu. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że

Lucky zabroniono się z nią kontaktować. Wprost przeciwnie, pomyślała

sobie, że Lucky ją zdradziła. Wezwała ojców, żeby po nie przyjechali,

ponieważ to ona, Olympia — a nie Lucky — miała radochę z Warrisa.

Zresztą po co jej Lucky?

— Olympiiaaaa... — Żałosny jęk i łomotanie do drzwi. — Piękności ty moja. Co ty tam robisz?

A jak myślisz, durniu? Pieszczę się tu?

Niecierpliwie otworzyła drzwi.

I ujrzała wzwidziony członek lorda Jeremy'ego.

Westchnęła.

Deszczowe popołudnie w Paryżu.

Cóż innego można robić w taką pogodę?

3

Basen hotelu „Magiriano”. Dziesiątki lśniących, wysmarowanych olejkiem ciał w przeróżnych stadiach roznegliżowania. Lennie szedł między nimi bez żadnego celu, wspominając czasy, kiedy wraz z Jess urywali się na wagary, żeby wejść niezauważenie do któregoś z luksusowych hoteli i poopalać się nad basenem. Była to jedna z ich najbardziej ulubionych rozrywek, tak samo jak łożenie po kasynach, gra w automaty — cała sztuka polegała na tym, żeby nie dać się złapać — albo wślizgiwanie się na ekskluzywne występy. W końcu ich twarze znał każdy ochroniarz w mieście, co trochę zburzyło ich styl, lecz bynajmniej nie pozbawiło energii.

Wyjazd do Nowego Jorku w wieku siedemnastu lat przyszedł mu łatwo. W przeciwieństwie do rozstania z Jess. Ale Nowy Jork wzywał, zresztą cóż miał do stracenia? Wyglądał na co najmniej dwadzieścia lat, mierzył metr osiemdziesiąt,

29

był dobrze zbudowany i niechlujnie przystojny. Zanim zdecydował się, co chce w życiu robić, podłapywał przeróżne fuchy. Na utrzymanie zarabiał bez najmniejszego trudu, a jego domem stał się pokój w Greenwich Village. Przez kilka lat zażywał wolności w wielkim mieście i nigdy nie zabrakło mu dziewcząt. Żeby przetrwać, chwycił się wszystkiego, od

krojenia wędzonych łososi poczynając — robił to w delikatesach na Szóstej Alei — na sprzedawaniu zegarków u Bloomingdale'a kończąc. Lato spędzał w górach Catskills, pracując jako pomocnik kelnera w jednym z ruchliwszych hoteli. To właśnie tam dowiedział się, że dobry numer komediowy to coś więcej niż rzucanie tortem w twarz albo spuszczenie spodni, w czym gustował Jack Golden. Odkrył płyty Lenny'ego Bruce'a, wielkiego, nie żyjącego już komika. (Przez jakiś czas fantazjował, że matka nazwała go jego imieniem. Ale była to tylko fantazja. Alice nazwała go imieniem swego głupiego kuzyna z Miami.) Odkrył dowcip polityczny, dowcip szyderczy, lekceważący, odkrył monolog. Wreszcie zrozumiał, co chce robić w życiu i od tamtej pory zawzięcie parł do celu.

Najpierw tylko pisał. Krótkie skecze. Kawały. Gagi. Potem znalazł sobie agenta, który zaczął niektóre z tych kawałków sprzedawać. Pracy rzucić jeszcze nie mógł, ale był to dobry początek.

Miał dar tworzenia materiału oryginalnego, treściwego i soczystego. To, co pisał, bywało czasami zbyt ekscentryczne, lecz agent stopniowo wprowadzał go na rynek, tak że po pewnym czasie sprzedawał wszystko, co Lennie spłodził. Skończywszy dwadzieścia cztery lata, mógł skoncentrować się tylko na swojej twórczości. Nie robił kokosów, ale wszystko szło dobrze: miał mnóstwo dziewcząt i znakomicie się bawił. Teraz był w Las Vegas i czuł się dziwnie.

Minął słowiańskiej urody blondynę z wystającymi kośćmi policzkowymi. Posłała mu długie spojrzenie i zaczęła sugestywnie rozsmarowywać olejek na udach. Nie miał nastroju na podryw. Był już trzydziestoletnim mężczyzną i szukał czegoś więcej niż tylko seksu. Ale dziewczyna

przypominała

30

mu Eden. Te wysokie kości policzkowe, ten lodowaty kolor włosów, te wąskie, chłodne oczy. Jak kocie ślepia.

Eden Antonio. Nigdy nie zapomni chwili, kiedy zobaczył ją pierwszy raz. Mieszkał wtedy z dziewczyną imieniem Victoria, modelką, która wyglądała jak królowa szkolnych potańcówek — wysoka i szczupła, miała długie nogi i najbielsze z białych zęby. Byli z sobą od dwóch lat i myślał, że dobrze im razem. Uwielbiała go i zapewniała mu wygody, jakich nigdy nie zaznał w rodzinnym domu. Pewnego dnia przedstawiła go innej modelce, Eden Antonio.

Wystarczyło, że rzucił na nią okiem i już wiedział, że Victoria to ledwie przystawka. Eden właśnie wróciła z udanych występów w Europie — była cała lśniąca i gładka niczym kocica. W przeciwieństwie do Victorii nie wyglądała ani na żadną miss, ani na królową szkolnych zabaw. Błada i egzotyczna, miała piękne, delikatne rysy twarzy i zdumiewającą strukturę kostną. No i zarabiała znacznie więcej niż on, choć jego sprawy finansowe układały się coraz lepiej. Załatwił sobie angaż do pilota serialu telewizyjnego — trafnie nazwanego „Nowy start” — po raz pierwszy w życiu naprawdę grał i uwielbiał to do szaleństwa. Nigdy nie przypuszczał, że reakcja publiczności tak na niego podziała, że tak go podekscytuje. Serial wszedł do cotygodniowej ramówki miejscowej stacji telewizyjnej. Lennie miał dwadzieścia siedem lat i piął się w górę pełną parą. Nieźle jak na chłopaka, który nie miał w Nowym Jorku żadnego oparcia. Neurotyczna i ambitna Eden była chyba najbardziej podniecającą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał. Choć była od niego młodsza o cztery lata, dużo

wiedziała o życiu. Zjeździła cały świat, miała licznych kochanków i Lennie wziął ją za dziewczynę niezwykle wyrafinowaną. Oczywiście, tylko na początku ich znajomości. Po trzech latach związku pełnego miłości i nienawiści odkrył, że to tylko mydlenie oczu i pozory. Eden Antonio była najbardziej rozchwianą emocjonalnie osobą, jaką kiedykolwiek poznał. Czasami jej współczuł. Czasami był o nią tak wściekle zazdrosny, że mógłby zabić.

Eden! Ileż przez nią przeszedł. Ich intensywny, pełen szarpaniny związek przyprawił go o blizny na ciele i umyśle.

31

Mimo to... wciąż nie miał dość. Mogli się bezustannie kłócić, za to godzenie się zawsze było tego warte.

— Zawróciła ci we łbie cipą, ot co — powtarzał mu często jego przyjaciel Joey Firello. — Rzuć ją, Lennie. Ona cię wykorzystuje. To dziwka, choć z klasą.

Jasne. Dobrze o tym wiedział. Ale nic nie mógł na to poradzić.

— Trzyma cię za jaja — diagnozował Joey.

— Bzdura — odrzekł Lennie. Ale wiedział, że Joey miał rację.

Eden uwielbiała pokazywać się w miejscach publicznych. Lubiała wychodzić co wieczór do miasta. W weekendy uczęszczała na jakiś podrzędny kurs aktorski. Chciała zostać odkryta, chciała być gwiazdą filmową. Zresztą już wtedy uważała się za swego rodzaju gwiazdę. Kiedy „Nowy start” zdjęto z anteny po jednym sezonie, powiedziała tylko:

— Jezu! A byłam już prawie gotowa do gościnnego występu w twoim programie.

Uważała, że się skończył, i często mu to powtarzała. Nie dlatego, żeby ją

cokolwiek obchodził. Eden nie obchodził nikt oprócz niej samej.

Była koszmarną aktorką. Widział ją w kilku przedstawieniach na kursie i stwierdził, że jest żenująco niezdolna. Za to jako modelka była nie do pobicia.

— Dlaczego nie trzymasz się pozowania? — spytał pewnego niedzielnego wieczoru zaraz po tym, jak zamordowała scenę z „Kotki na gorącym blaszanym dachu”.

— Odpieprz się, sukinsynu! — wrzasnęła. — Chcesz powiedzieć, że jestem do niczego?!

— Chcę powiedzieć, że wyszłabyś lepiej, robiąc to, w czym nie masz sobie równych.

— Ty skurwysynu! — W powietrzu świsnęła butelka perfum. — Ty kutasie złamany! — Za butelką perfum poszybowała ciężka szklana popielniczka. — Ty zazdrosny dupku!

Dwa miesiące i wiele kłótni później wyjechała do Kalifornii z aktorem z kursu. Z długowłosym palantem nazwiskiem Tim Wealth.

Lennie tęsknił za nią. Tęsknił, chociaż zaczął grywać

32

w małych, ekscentrycznych klubach. Chociaż uwielbiał każdą spędzoną na scenie chwilę. Chociaż publiczność reagowała bardzo pozytywnie i chociaż stopniowo zyskał garstkę zagorzałych wielbicieli.

Recenzje — jeśli tylko o nim pisano — były znakomite. Pieniądzy za wiele nie zarabiał, ale uzupełniał braki pisaniem. Na jego teksty zawsze było zapotrzebowanie.

Podświadomie wiedział, że pojedzie za nią do Kalifornii. Las Vegas to tylko punkt startowy. Gdyby wywarł tu odpowiednie wrażenie, mógłby

ruszyć do Los Angeles i spróbować na poważnie. Sukces zawsze Eden imponował. Gdyby mu się udało, natychmiast byłaby z powrotem...

Słowiańskiej urody blondyna kiwnęła na niego palcem i zdał sobie sprawę, że się na nią gapi. Szybko ruszył dalej, obchodząc basen, rozglądając się na wszystkie strony. Dziewczyna w czarnym, jednoczęściowym kostiumie kąpielowym na leżaku. Przypomniawszy sobie, że widział ją na lotnisku. Od odejścia Eden miał mnóstwo kobiet, ale żadna nie pomogła. Za każdym razem myślał, że następna będzie inna. Nie była. Jednostajnym krokiem sunął w stronę dziewczyny w czarnym kostiumie, rozważając, który z jakże skutecznych grepsów wybrać na początek. Zdecydował, że najlepiej zacząć od czegoś bezpiecznego, poza tym grepsy bezpieczne zawsze skutkowały. Dostać kosza? To mu się jeszcze nie zdarzyło.

— Jesteś zbyt piękna, żeby siedzieć tu sama — powiedział, stanąwszy przy leżaku. — Co wolisz? Drinka? Śniadanie? A może brylanty? Jestem znakomitym włamywaczem!

Zwykle reagowały dwójako: albo się śmiały, albo szybko prosiły o brylanty. Tak czy inaczej, nawiązywał się dialog, a od dialogu prosta droga do celu. Trzeba je tylko rozśmieszyć, potem przejść do rzeczy i po herbacie.

Lucky powoli uniosła okulary i zmierzyła go chłodnym wzrokiem.

Spojrzał w jej czarne, opalizujące oczy i niewiele brakowało, a na zawsze zrezygnowałby z blondynek.

— Tylko musisz mi obiecać, że rano potraktujesz mnie z szacunkiem. Jestem bardzo wrażliwy. — Posłał jej zabójczy

33

uśmiech — niezliczoną ilość razy powtarzano mu, że to uśmiech nie do

odparcia — i czekał na komentarz.

— Zjeżdżaj, pęta — odrzekła bez najmniejszego zainteresowania. — Spróbuj z tą, która pozuje pod palmą. Wygląda na taką, która chętnie połknie twoje stare, lepkie wstawki. Jest bardziej w twoim stylu, rozumiesz? — I zasłoniła oczy okularami, dając mu do zrozumienia, że roz* mowa skończona.

— Chwila, kto pisze ci teksty? Ja?! — Była trochę lodowata, ale nie takie lody udawało mu się roztopić.

Zanim zdążył cokolwiek dodać, poczuł na ramieniu czyjąś rękę i krzepki Szwed w niebieskich kąpielówkach powiedział:

— To nie knajpa z łatwymi dziewczynami. Proszę wyjść. Próbował tę łapę z siebie strząsnąć, ale Bertil trzymał mocno.

— Daj spokój, człowieku. Jestem tu gościem — zaprotestował Lennie.

— Niech pan pokaże klucz do pokoju — mruknął Szwed, odpychając go od Lucky.

Lennie nie lubił silnorękich. Nie lubił też wychodzić na durnia.

— Zrób pan sobie przysługę, dobra? — wykrzyknął z obrzydzeniem. — Zabierz pan te graby. Występuję w sali Bahia. Nazywam się Lennie Golden. Na litość boską, jestem tu gwiazdorem!

Uwagę wszystkich przykuł krzyk zdenerwowanej matki.

— Moja córeczka! — wrzeszczała histerycznie. — Ona nie umie pływać! Bertil rozluźnił uchwyt. Dwaj ratownicy i Lennie wskoczyli do wody. Lennie dopłynął do dziewczynki pierwszy, wyciągnął ją za włosy na powierzchnię i doholował do brzegu, gdzie Bertil wziął małą na ręce i, całą i zdrową, oddał wdzięcznej matce. Lennie wygramolił się z basenu,

ociekając wodą. Białe spodnie szlag trafił, sweter się kurczył, nie wspominając już o nasiąkniętych tenisówkach. Ratownicy łypnęli na niego spode łba. Bertil go zignorował. Matka dziewczynki była zbyt pochłonięta wybawioną z topieli latoroślą, żeby choć zerknąć w jego stronę.

34

Poszukał wzrokiem dziewczyny o czarnych oczach. Teraz na pewno mu się nie oprze. Już dawno odeszła. Ot i zapłata za bohaterstwo.

— Pomyślałam sobie — mówiła Lucky — że przyjadę i wprowadzę cię we wszystkie szczegóły. Mam ci tyle do powiedzenia.

Minęło południe i w końcu go złapała. Rozmawiali przez telefon.

— Jestem zmęczony, dziecino — odrzekł Gino. — Chcę uciąć sobie drzemkę i doprowadzić się do stanu używalności.

Wróciła z trzytygodniowej podróży w interesach, a on był zbyt zmęczony, żeby się z nią zobaczyć. Co się tu działo?

— Gdzie byłeś? Dzwoniłam cztery razy — powiedziała swobodnie, dobrze wiedząc, że lepiej nie przypierać go do muru.

— Tu i tam — odparł.

Gził się z jakąś podrzędną tancereczką, pomyślała. Ma siedemdziesiąt dwa lata i jeszcze się puszcza. Zganiła go chwilą milczenia.

— Wpadnę po ciebie wieczorem — zaproponował. — Zjemy spokojną kolację, tylko we dwoje. Ósma pasuje?

— Jesteś pewien, że nie będziesz zbyt zmęczony? — spytała z kpiącą nutką w głosie.

— Przestań, dziecino. Kiedy byłem zbyt zmęczony, żeby się z tobą zobaczyć?

Chciała powiedzieć: „Choćby teraz”, ale nie powiedziała. Odrzekła, że

ósma jej odpowiada, i spędziła popołudnie, niecierpliwie oczekując spotkania. Chciała wprowadzić go w szczegóły wyprawy i kontraktów, które zawarła. Gino będzie z niej dumny. Nie mogła się już doczekać!

— Co ci się stało? — spytała Jess.

— Chciałem sprawdzić, czy mój sweter jest dekatyzowa-ny — odburknął kpiąco Lennie.

35

— Nie jest.

— Co ty powiesz? W takim razie przypomnij mi, gdybym chciał się w nim znów wykąpać.

Wsiadł do samochodu i czerwone camaro gwałtownie ruszyło. Oczy Jess niebezpiecznie błyszcząły, gdy na pełnej szybkości przemknęli Stripem, omal nie potrącając niezdarnego turysty w podkoszulku z napisem KOCHAM CHICAGO.

— Psiakrew! — mruknęła.

— Co jest?

— Nie potrąciłam nikogo od lat.

— Niemożliwe.

Ostro skręciła na parking przed supermarketem i wyłączyła silnik.

— Muszę kupić żarcie dla psa — oznajmiła. — Odżywkę dla dzieciaka, jedzenie, i tak dalej.

— Twój mąż nie robi zakupów? Wykrzywiła usta.

— Widziałeś nasz lunch. Co ci mam jeszcze powiedzieć?

— Chyba musimy o tym pogadać. Kiwnęła głową.

— Pogadamy.

Ruszył za nią do sklepu. Uśmiechnęła się do niego ruda, wysoka na metr

osiemdziesiąt dziewczyna w różowych spodniach ze spandeksu i obcisłej, ażurowej bluzce bez ramiączek. Odpowiedział uśmiechem.

Niski mężczyzna w białym, pomiętym garniturze trzepnął ją ręką w pupę.

— Zbastuj — warknął, wyraźnie zdenerwowany. Ruda potrząsnęła długimi włosami i odęła wargi.

— Pełno tu prostytutek — zauważyła Jess.

— Mnie to mówisz? — odrzekł Lennie.

Nakupili jedzenia za sześćdziesiąt trzy dolary. Lennie chciał zapłacić i to doprowadziło do sprzeczki.

— Jesteś spłukany.

— Wcale nie.

— Nie musisz.

— I kto to mówi?

— Ja.

— Spadaj, małpeczko.

36

s

— Nie nazywaj mnie tak!

Stojący w kolejce klienci nagrodzili ich oklaskami, gdy wreszcie uległa.

Wypadli na parking, zanosząc się śmiechem.

Gruby wyrostek o długich, tłustych włosach próbował włamać się do camaro za pomocą drucianego wieszaka do ubrań.

— Hej! — wrzasnęła rozzłoszczona Jess.

Chłopak nie zaniechał prób sforsowania drzwi od strony pasażera.

Jess rzuciła dwie papierowe torby z zakupami i puściła się pędem do samochodu.

Lennie pobiegł za nią. Dopadli grubasa i razem odciągnęli go od wozu. Zaćpany, łypnął na nich zjadliwie. Chwiejnie przeszedł na drugą stronę parkingu i zabrał się za forda.

— Nie do wiary — powiedział Lennie.

— Jesteś teraz nowojorczykiem, powinieneś wierzyć we wszystko — odrzekła Jess z mądrą miną.

Zebrali rozsypane zakupy i w rekordowym czasie wrócili do domu.

Wayland pływał w basenie na materacu w niebieskie pasy. Ćmił trawkę.

Na brudnym indiańskim kocyku darł się mały Simon.

— Psiakrew! — mruknęła Jess. Wyraźnie musiała lubić to wyrażenie.

Lennie zastanawiał się, czy nie powinien zatrzymać się w hotelu. Nie chciał komplikować Jess życia swoją obecnością, miała dość własnych kłopotów.

4

— Dobrze wyglądasz, dziecino. Atlantic City ci posłużyło, hę? — Puścił do niej oko.

— Wiesz co, Gino? Jak na mężczyznę w podeszłym wieku też nieźle wyglądasz.

Nigdy nie nazywała go tatą. Tylko czasami, w myślach, gdy było późno, gdy ogarniało ją zmęczenie, gdy wracały straszliwe wspomnienia z przeszłości...

37

— Opuść to „w podeszłym wieku” — warknął.

Uśmiechnęli się do siebie, Gino wziął Lucky pod rękę i poprowadził ją w stronę prywatnej windy.

Jak bardzo byli do siebie podobni! Te same, czarne jak węgiel oczy,

oliwkowa cera, kruczoczarne włosy i szerokie, zmysłowe usta.

Układało się między nimi idealnie. Mieli te same upodobania. Jedzenie, filmy, książki, ludzie — niemal zawsze się ze sobą zgadzali. Gino mówił: „Nie zaufałbym temu facetowi nawet lewym jajem”. Lucky odpowiadała: „Prawym też mu nie ufaj. Ten cwaniak śmierdzi”. I wybuchali śmiechem, czule patrząc sobie w oczy.

Mieszkali osobno, w luksusowych garsonierach na dachu hoteli, których byli właścicielami: Gino w „Mirage”, Lucky w „Magiriano”. Natomiast dom w East Hampton pod Nowym Jorkiem był ich wspólnym domem. Biała, staromodna willa pełna wspomnień... Tylu wspomnień...

Kiedyś mieszkali tam jako rodzina. Gino z żoną Marią oraz ich dzieci: piękna, śniada Lucky i jej jasnowłosego brata Dario.

Teraz zostali tylko oni, Gino i Lucky. Dwoje przeciwko całemu światu. Łączyła ich wyjątkowa więź, której nie mógł zerwać nikt.

Ale nie zawsze tak było...

Gino Santangelo urodził się we Włoszech w roku 1909 i w wieku trzech lat wyjechał z rodzicami do Ameryki. Rodzice, ludzie młodzi, silni i ambitni, pragnęli ziścić wspaniałą amerykańską sen. Ale o pracę było trudno. Do Stanów przyjeżdżało zbyt wielu emigrantów, którzy chcieli tego samego, którzy tryskali energią i entuzjazmem jak oni.

Zanim Gino skończył sześć lat, wspaniałą amerykańską sen rozwiązał się jak dym na wietrze. Matka uciekła z innym mężczyzną, a rozczarowany i rozgoryczony Paulo rozpoczął żywot drobnego przestępcy, alkoholika i dziwkarza.

To, że siedział w więzieniu, co zdarzało się nader często, Ginowi nie przeszkadzało. Przenoszono go z jednego przybranego domu do drugiego,

a życie nauczyło go szybkości

38

i chytrności, dzięki czemu wyrósł na prawdziwego ulicznika z wielkimi ambicjami. Kiedy miał piętnaście lat, przyłapano go na kradzieży samochodu i odesłano do Nowojorskiego Domu Poprawczego dla Chłopców w dzielnicy Bronx — surowego przybytku dla sierot i tych, którzy popełnili przestępstwo pierwszy raz. Funkcyjni byli bandą twardzieli. Nakazem dnia była żelazna dyscyplina, a nakazem nocy branie się za łby z innymi chłopakami. Gino umiał się obronić, ale niektórzy z młodszych chłopców nie mieli tyle szczęścia. Wychudzony pacan nazwiskiem Costa Zennocotti obrywał nieustannie. Jego wołanie o pomoc pozostawało bez odzewu, aż któregoś dnia Gino nie wytrzymał. Mając dość rozpaczliwych krzyków dochodzących z pakamery, bez chwili namysłu chwycił nożyczki i wślizgnął się do pomieszczenia. Costa póływał na stole z opuszczonymi do kostek spodniami i szortami, podczas gdy jeden z funkcyjnych posuwał go od tyłu. Gino skoczył na niego z nożyczkami...

...w rezultacie spędził pół roku w więzieniu okręgowym w Bronx i pół roku na zwolnieniu warunkowym. Costa został jego przyjacielem na śmierć i życie, a ponieważ sprawa nabrała rozgłosu, wkrótce adoptowała go bogata rodzina z San Francisco.

Kiedy Gino znowu wyszedł na ulicę, był już starszy i bardziej doświadczony. Chciał odegrać się na systemie i odczuwał silną potrzebę zarobienia dużych pieniędzy. Nie miał zamiaru mieszkać z ojcem, który to szedł do więzienia, to z niego wychodził, a ostatnio poślubił prostytutkę imieniem Vera. Dlatego też zaczął uważnie się rozglądać i obserwować

aktualnych bohaterów dnia. Ludzi takich jak Sahatore Chanie Luciano (później zyskał sławę jako Lucky Luciano), Meyer Lansky i Bugsy Siegel. Byli facetami z forszą, jeździli smukłymi limuzynami, mieli piękne kobiety i władzę, cieszyli się szacunkiem.

Gino patrzył. Gino pragnął. Gino zdobył to, czego chciał.

Droga na szczyt była długa i mozolna, lecz warta wysiłku. Początkowo szło mu niesporo, ale szybko zaczął pracować na własną rękę. Szmugłował wódę — interes kwitł. Jako dwudziestodwuletni mężczyzna żył z piękną dziewczyną imieniem Cindy i miał bogatą, ustosunkowaną kochankę, niejaką

39

Clementine Duke, której mąż senator wprowadził go w świat inwestycji i prawdziwego szmalu. Senator Duke wyprał pieniądze Gina — stały się czyste i legalne. Rok 1929 przyniósł krach na giełdzie, ale Gino był na to przygotowany i dzięki senatorowi wyszedł z katastrofy bez szwanku.

Gdzieś po drodze wszedł w spółkę z Enzo Bonnattim i w roku 1933 ich zainteresowania obejmowały hazard, lichwę i szmugiel. Mimo nacisków Bonnattiego Gino nie chciał tykać prostytucji i narkotyków. Konflikt narastał, dlatego w roku 1934 postanowili rozwiązać spółkę i pójść każdy swoją drogą.

Dla zabawy i odpoczynku Gino otworzył nocny klub. Nazwał go „Clemmies”. Stał się małą osobistością. Clementine Duke była zachwycona. Znacznie mniejszy zachwyty okazała, gdy doszły ją słuchy o jego niebywałych sukcesach z kobietami. Namówiła go na małżeństwo z Cindy z nadzieją, że Gino się ustatkuje. Ale kobiety zawsze były dla niego fatalnym zauroczeniem. Uwielbiał się kochać. Dziewictwo stracił w wieku

dwunastu lat — odebrała mu je jedna z przybranych matek — a wszechtalentowana pani Duke wprowadzała go na coraz wyższe poziomy wtajemniczenia. Jego podboje były liczne i częste.

Cindy stała się wkrótce równie zazdrosna jak pani Duke. Rozsierdzona, knuła zemstę, sypiała, z kim popadło, i groziła, że pójdzie do urzędu skarbowego i doniesie, że Gino uchyla się od płacenia podatków.

W 1938 wypadła z okna ich apartamentu na dachu wieżowca i zginęła na miejscu. Nieszczęśliwy wypadek. Gino wyprawił jej wspaniały pogrzeb.

W roku 1939 do Ameryki zaczęły dochodzić pomruki wojny w Europie.

Pewnego dnia senator Duke i Gino usiedli do stołu, żeby pomyśleć, jak można tę sytuację wykorzystać. Gino zgodził się ze wszystkimi sugestiami starego wygi. Senator nigdy nie udzielił mu złej rady.

Gino często się zastanawiał, co by zrobił, gdyby wojna objęła Amerykę.

Niepotrzebnie. W sylwestra roku 1939 poszedł odwiedzić ojca, który mieszkał w podrzędnym hoteliku, i przyłapał go na biciu Very. Vera była tylko tanią dziwką, ale przez te wszystkie lata okazała mu wiele dobroci, więc pomagał jej, kiedy tylko mógł.

40

W chwili gdy ujrzał tę paskudną scenę, Vera uniosła trzy-dziesiątkęósemkę, którą ścisnęła w rękę, i jednym strzałem roztrzaskała Paulowi głowę. Gino wyrwał jej broń — tej samej nocy oskarżono go o zamordowanie własnego ojca i aresztowano. Wojnę spędził za kratkami. Za zbrodnię, której nie popełnił.

Siedem lat później, tuż przed śmiercią Very, Costa Zen-nocottijego stary przyjaciel, obecnie prawnik, zdołał wydusić z niej pisemne przyznanie się do winy złożone w obecności świadków. Ginią ułaskawiono i

zaproprowano mu liche odszkodowanie. Ile pieniędzy mogło zrekompensować siedmioletnią odsiadkę?

W 1949 postanowił zmienić otoczenie i zainteresowania finansowe. Kusilo go Las Vegas, a jego stary kumpel Jake, zwany Chioptasiem, namawial go na inwestycje. Stworzyli syndykat i sfinansowali budowe hotelu „Mirage”. Las Vegas dopiero sie rozkręcalo. Bugsy Siegel otworzył już hotel „Flamingo” oraz kasyno (później zamordowano go za zgarnianie lewych nadwyżek), a Meyer Lansky wyłożył pieniądze na budowę „Thunderbirda”. Gino poszedł na całego. Były to ekscytujące czasy. Chciał się nimi nacieszyć, wybawić i zapomnieć o mrocznych latach spędzonych za kratami.

A potem poznał Marię, swoją przyszłą żonę, dziewczynę młodą — ledwie dwudziestoletnią — / niewinną. Miała jasnozłote włosy i delikatną twarz madonny. Pobrali się niemal natychmiast i w roku 1950 przyszła na świat Lucky. Już jako dziecko była podobna do Giną.

Zamieszkali w dużej, białej willi w East Hampton. W ogrodzie rosły eukaliptusy, a wokoło panowała atmosfera ciszy i spokoju.

Żeby dopełnić szczęścia, półtora roku później Maria urodziła Ginowi syna. Dali mu na imię Dario. Chłopiec był podobny do matki.

Winda stanęła i Lucky weszła w tłum kłębiący się w kasynie. Z prywatnego apartamentu prosto do centrum wydarzeń — lokalizację szybu zaprojektowała osobiście. Gino wolał inaczej. Jego winda w „Mirage” zjeżdżała bezpośrednio do

41

podziemnego garażu, gdzie dwadzieścia cztery godziny na dobę dyżurował szofer w limuzynie.

Gino przystanął na chwilę i powiódł zawsze czujnymi oczyma. Ulicznik ulicznikiem pozostanie. Mógł mieć nieograniczoną władzę i wszystkie pieniądze świata, ale ostrożności nigdy nie za wiele.

Czując lekki ucisk rewolweru, starannie ukrytego w kaburze pod pachą, odzyskał pewność siebie i wysiadł z windy.

Lucky odwróciła się do niego z szerokim uśmiechem.

— Interes kwitnie, co?

— Tak, dziecinko. Ruch jak nigdy.

W Vegas zawsze panował ruch. Zawsze paradowały tu hordy naiwniaków z ćwierćdolarówkami i dolarami w rękę, gotowych postawić, zaryzykować, wygrać, przegrać — nieważne, byleby tylko grać.

Jedli w „Rio”, ustronnej restauracji hotelowej, tylko we dwoje. Lucky bezustannie opowiadała o swojej podróży. Miała zaróżowione z podniecenia policzki i entuzjazm w oczach.

— Znalazłam dokładnie to, czego szukaliśmy — mówiła.

— Odpowiednią posesję przy promenadzie na wybrzeżu, odpowiednich inwestorów. Zorganizowałam przetarg dla architektów i budowlańców. Jeśli się pospieszymy, za dwa miesiące możemy ruszać z robotą. Wszystko jest gotowe. Musisz tylko wyrazić zgodę. — Wzięła oddech. —

Naturalnie, muszę jeszcze załatwić zezwolenie na budowę i licencje. Ale trzymam rękę na pulsie, moi ludzie już się tym zajęli.

— Uśmiechnęła się triumfalnie.

Gino uważnie słuchał. Tak, miał bystrą córkę. Bystrą i szybką. Piękną i inteligentną. Twardą i nieokiełznaną. Jego córeczka. Był z niej dumny. Wnikliwością i orientacją w interesach dorównywała tatusiowi.

Nigdy nie przypuszczał, że potrafi mu dorównać kobieta. Jednak ona

potrafiła. Jego Lucky.

Od samego początku była dzieckiem bystrym i pobudliwym. Jej młodszy brat Dario — urodził się półtora roku później —

42

mniejszy i delikatniejszy, podporządkowywał się Lucky już w dzieciństwie.

Maria była cudowną matką. Gino rozpieszczał ich do nieprzytomności.

Nic tylko prezenty, uściski i całusy. Zwłaszcza dla Lucky, która odwzajemniała mu się bardziej niż Dario.

Na jej piąte urodziny wydał fantastyczne przyjęcie dla pięćdziesięciorga dzieci. Klowni. Przejazdźki na osiołku. Wielki czekoladowy tort. I wszechobecny Gino, który brał ją w ramiona i zasypywał pieszczotami. Zapamiętała ten dzień jako najszcześniejszy dzień w życiu.

Tydzień później Gino wyjechał w interesach. Lucky nie cierpiała, kiedy wyjeżdżał, potrafiła się pocieszyć, ot, choćby tym, że mogła zająć jego miejsce w wielkim łóżku, które dzielił z mamusią, oraz cudownymi prezentami, jakie przywoził z podróży.

Ale tym razem nie było ani prezentów, ani całusów, ani śmiechu. Tym razem był tylko ból po nagiej śmierci bestialsko zamordowanej matki i jej nagie ciało pływające na materacu w ogrodowym basenie. To Lucky je odkryła, gdy wstała rano z łóżka.

Wspomnienia, przez jakiś czas zamglone. Policja. Fotografowie. Strażnicy. Potem podróż do Kalifornii. Nowy dom z kratami w oknach, alarmami i uzbrojonymi w psy ochroniarzami patrolującymi posesję. Życie Lucky i Daria uległo kompletnej zmianie. Maria odeszła na zawsze. I Gino. Zły i smutny, zupełnie nie do poznania. Nie było już ani śmiechu, ani zabawy,

ani uścisków, ani całusów. Prawie nigdy nie bywał w domu. Mieszkał albo w swoim nowojorskim apartamencie, albo w hotelu w Las Vegas. Jakby nie chciał poświęcić im ani chwili czasu. Opiekowały się nimi niańki, piastunki i prywatne nauczycielki.

Ból w sercu Lucky nieustannie narastał, podczas gdy Dario uciekł w swój własny zmyślony świat. Mieli wszystko, co można było kupić za pieniądze. Ale tak naprawdę mieli tylko siebie.

Zanim skończyła piętnaście lat, postanowiono wysłać ją do szkoły z internatem w Szwajcarii. Perspektywa wyjazdu ekscytowała ją i jednocześnie przerażała, lecz myśl, że wreszcie wyrwie się z domu w Bel Air, była bardzo kusząca.

43

L'Evier, surową prywatną pensję dla dziewcząt, prowadziła wąskonosa kobieta, która wymagała od podopiecznych „szacunku i posłuszeństwa”. Gdyby nie przyjaciółka z klasy, Olympia Stanislopoulos, Lucky znienawidziłaby szkołę. Olympia wyznawała prostą zasadę: „Pieprzyć szkołę. Chodźmy się zabawić”. Lucky z nią nie polemizowała. O dziewiątej trzydzięci wieczorem posłusznie gasiły światło. O dziewiątej trzydzięci pięć wymykały się na dwór najdogodniejszym oknem. Do najbliższej wioski było ledwie dziesięć minut jazdy, a tam czekali chłopcy, alkohol i zabawa. Po dwóch semestrach usunięto je ze szkoły.

Przyjechał po nią Gino, wściekły i posępny niczym gradowa chmura. Zabrał ją do Nowego Jorku i natychmiast zapisał do jeszcze surowszej szkoły w Connecticut. Skontaktowanie się z Olympią, która przebywała w Paryżu, nie zajęło jej dużo czasu — od razu zaczęły planować ucieczkę. Dzięki kilku kartom kredytowym zdołała zarezerwować bilet na lot do

Francji, a tam czekała na nią przyjaciółka. Potem szybki przejazd białym mercedesem na południe kraju, gdzie ciotka Olympii miała willę — włączyła się do domu i zamieszkała w nim. Słodkie wspomnienia. Nie zakłócił ich nawet fakt, że Olympia ściągnęła do willi swego chłopaka, niejakiego War-risa, „Kombinatora”, jak ochrzciła go Lucky.

Słodczyz wspomnień kończyła się w momencie, gdy pewnej nocy przyjechali ojcowie. Gino Santangelo i Dimitri Stanislopoulos. Znowu dom w Bel Air; Dario już tam nie mieszkał, odesłano go do szkoły.

Bywały chwile, gdy ojca nie cierpiała. Kiedy pałała do niego wściekłą, żarliwą nienawiścią. Bywały też chwile, kiedy kochała go bardziej niż cokolwiek innego na świecie. I zawsze pragnęła, żeby wszystko było jak kiedyś. Rozpaczliwie próbowała zwrócić na siebie jego uwagę, ale wyglądało na to, że jest to ostatnia rzecz, jaką gotów był jej ofiarować.

Na szesnaste urodziny zaskoczył Lucky nagłym wezwaniem do Vegas.

Kiedy przyjechała, wysłał ją do fryzjera, kupił jej specjalnie zaprojektowaną sukienkę i obdarował ślicznymi brylantowymi kolczykami w kształcie świeczek. Potem oświadczył, że ma pójść z nim na ważną imprezę dobroczynną, którą urządzał dla pani Richmond, żony senatora Richarda

44

Richmonda. Lucky była podekscytowana. Sprawy szły ku lepszemu. Tyle tylko, że na kolacji posadził ją przy innym stole, obok Cravena, dupowatego, syna senatorowej, i cały wieczór kompletnie ją ignorował. Nieco później wyslizgnęła się z przyjęcia, przebrała się w dzinsy i wyszła na Strip, trochę łąziła, kończąc przechadzkę na parkingu, gdzie musiała stawić czoło napastującemu ją pijakowi.

Wróciła do domu o trzeciej nad ranem, brudna i w porwanym ubraniu.
Czekał na nią Gino.

Od razu przeszedł do rzeczy. Była małą dziwką, która chciała się tylko puszcząć i obijać, więc postanowił wydać ją za mąż. Tyle.

Jeśli jej to nie w smak...

Bomba.

Przez cały wieczór Gino ani razu nie pomyślał o Susan Martino. Nie był to zresztą najodpowiedniejszy moment, żeby wspomnieć o niej Lucky.

Dlatego też doznał wstrząsu, gdy Susan weszła, do restauracji w towarzystwie jakiegoś mężczyzny i gdy pomachawszy do niego z uśmiechem, usiadła przy pobliskim stoliku.

— Kto to? — spytała Lucky.

— To? — Gino zwlekał, chciał zyskać na czasie. Czyżby ktoś już córce o niej powiedział? — Nie znasz wdowy po Tinym Martinie?

— Nie pytam o kobietę — odparła obojętnie. — Chodzi mi o tego staruszkę. Wygląda na to, że się znają...

Gino zmrużył oczy. Wzrok mu się psuł, lecz był zbyt próżny, żeby nosić okulary.

— Taa — mruknął. — Ja chyba też.

Powoli zaczynała spalać go zazdrość. Mężczyzna mierzył ponad metr osiemdziesiąt, był nienagannie ubrany, miał białe, gęste włosy i surową, ale przystojną twarz, którą szpecił tylko wydatny nos. No i, sukinsyn, siedział obok Susan!

Gino nachmurzył czoło.

To niemożliwe, nie mogła się z nim umówić.

Nie mogła?

Gestem ręki przywołał szefa sali.

— Kim są ci ludzie? — spytał. — Przy tamtym stoliku.

— To goście pana Traynora — wyjaśnił szef.

— W takim razie gdzie jest Traynor, do diaska?

— Już idzie, panie dyrektorze. — Szef sali wycofał się nerwowo.

— Co się dzieje? — spytała spokojnie Lucky nawykła do gwałtownych wybuchów ojca. — Czy to ktoś, kogo nie powinniśmy tu wpuszczać?

— Zaraz się dowiem — burknął posępnie Gino. — Hej, Matt! — wrzasnął, nie zwracając uwagi na gości, którzy odwracali głowy, żeby na niego spojrzeć. — Tutaj!

Szedł ku nim cały w uśmiechach, a jego srebrzyste włosy lśniły w blasku świec zdobiących wnętrze restauracji.

— Lucky. Witaj z powrotem. Pięknie wyglądasz. I Gino. Jak miło...

— Co to za fagas przylazł tu z Susan Martino?

Matt Traynor zamrugał gwałtownie, próbując zrozumieć, co zrobił nie tak. Owszem, doszły go plotki, że Gino San-tangelo interesuje się wdową po Tinym, ale uznał, że to nic poważnego, więc dlaczego Gino wrzeszczał na niego jak porzucony kochanek?

— Nikt z nią nie przylazł — wyjaśnił szybko. — Pomyślałem sobie, że mogłaby się trochę rozerwać i zaprosiłem ją na kolację w towarzystwie moich przyjaciół... — Urwał, by ze szczerym smutkiem dodać: — Dobrze wiesz, że Tiny był dla mnie jak brat.

Giną to nie wzruszyło.

— Co to za kutas? — warknął.

— Czyżbym coś przeoczyła? — wtrąciła Lucky. Matt był wyraźnie

zatroškany.

— Gdybym wiedział, że się zdenerwujesz...

— Kto tu, kurwa, jest zdenerwowany?! — wrzasnął Gino i wstał.

— To Dimitri Stanislopoulos — rzekł pospiesznie Traynor. — Przyjechał dziś wieczorem. Na uroczystą kolację na cześć Franceski Fern.

Zakwaterowaliśmy go w apartamencie prezydenckim. Zwykle zatrzymuje się w „Sands” i... zwykle tam przegrywa. Rozumiesz, o co mi chodzi? Ale
46

w zeszłym miesiącu spotkaliśmy się w Monte Carlo i przekonałem go, że „Magiriano” bardziej odpowiada jego gustom. Facet ma więcej szmalu niż Onassis. I uwielbia grać w baccarata.

— No jasne! — wykrzyknęła Lucky. — To ojciec Olym-pii! Nic dziwnego, że wydawał mi się znajomy.

— Olympii? — powtórzył tępo Gino.

— Nie pamiętasz? — mówiła z ozywieniem. — Olympia była moją najlepszą przyjaciółką w szkole. Uciekłyśmy na południe Francji, a wy, ty i Dimitri, nas wyśledziliście. Tak, to on. Takiej twarzy się nie zapomina. Gino niecierpliwie machnął ręką. Nie miał nastroju na wspomnienia.

— Matt — powiedział krótko — przysiądziecie się do nas. Zabrzmiało to jak rozkaz, nie jak zaproszenie.

— Z wielką przyjemnością — odrzekł swobodnie Traynor, zły, że traktują go jak najemnego posługacza. Ale gdy polecenie wydawał sam Gino Santangelo, wszyscy stawali na baczność.

— Zaraz będzie tu moja znajoma z dziewczyną dla Di-mitriego. Chcesz zaprosić wszystkich?

— No jasne. Niech Susan i ten... jak mu tam... przysiada się teraz, a

pozostali dobiją później.

— Dobry pomysł — powiedział Matt, uważając, że pomysł jest parszywy. Gdy tylko odszedł, Lucky spytała:

— Dlaczego ich zaprosiłeś? Mamy jeszcze tyle spraw do omówienia.

— Dlaczego miałbym ich nie zaprosić? — Gino usiadł. — Susan Martino to cudowna kobieta, na pewno ci się spodoba.

Akurat, już to widzę, pomyślała Lucky. Z każdą chwilą nabierała coraz większej pewności, że podczas gdy ona załatwiała interesy w Atlantic City, Gino się zabawiał. Tyle tylko, że tym razem nie z podrzędną tancerką. Czuła, że przestał zwracać na nią uwagę, co doprowadzało ją do furii.

— Widujesz się z nią? — spytała od niechcienia.

— Spotkaliśmy się ze dwa razy — odrzekł równie obojętnym głosem.

47

„Ze dwa razy”, pomyślała. Kaktus mi tu wyrośnie. Każdy widzi, że lecisz na nią jak napalony małolat.

Nie wiedzieć czemu, była o niego zazdrosna. Dlaczego? A dlaczego nie? To jej ojciec. Tatuś. Gino.

Pospiesznie wydrukowane zaproszenia zawiadamiały gości o ślubie Lucky Santangelo i Cravena Richmondu.

Craven Richmond. Wysoki, kościsty syn senatora Petera Richmonda i jego atletycznie zbudowanej żony Bet ty.

Craven Richmond. Uważający, grzeczny, nudny.

Craven Richmond. Mąż wybrany przez Giną bez jej aprobaty i zgody.

Nie śmiała sprzeciwić się ojcu. Dlatego tydzień po swych szesnastych urodzinach wyszła za Cravena. Było to małżeństwo z góry skazane na niepowodzenie. Miodowy miesiąc na Bahamach. Śmiechu warte. Chociaż

Gino uważał, że córka jest małą, napaloną nimfomanką — wydal ją za męża w trosce o dobre imię rodziny — w technicznym tego słowa znaczeniu wciąż była dziewicą, bo jak dotąd uprawiała tylko zaawansowany petting i jeszcze nigdy nie poszła na całość. Tymczasem dwudziestoletniemu Cravenowi, mężczyźnie zupełnie niedoświadczonemu, wystarczyły trzy minuty szybkiego seksu dziennie. Nim miodowy miesiąc dobiegł końca, zdradziła go pierwszy raz. I od tamtej pory przestała oglądać się za siebie. Jak inaczej mogłaby przeżyć cztery lata z mężczyzną, któremu zapłacono, żeby ją poślubił? Tak, zapłacono mu. Ten smutny fakt wyjawiała jej kiedyś Bet ty Richmond podczas rodzinnej awantury. Gino zapłacił Cravenowi, po czym zaszantażował Petera i Betty.

Tak więc ugrzęzła w małżeństwie z mężczyzną, którego nie trawiła. Przyszłość wyglądała ponuro. Mieszkali w Waszyngtonie, pięć minut jazdy od luksusowej posiadłości Rich-mondów. Craven nie pracował. Całymi dniami grywał w tenisa z matką albo pałętał się po biurze wyborczym ojca, wchodząc wszystkim w drogę. Lucky zabijała czas zakupami, lekturą i bezcelowymi przejażdżkami po autostradzie —jeździła czerwonym ferrari, które dostała w prezencie ślubnym od swego wielkiego tatusia. Nie tak pragnęła spędzić życie.

48

Pewnego razu dała ojcu do zrozumienia, że chciałaby wejść do rodzinnego interesu, ale spojrzał na nią jak na wariatkę i odrzekł, że do interesów nadają się tylko chłopcy, podczas gdy dziewczyny wychodzą za męża, siedzą w domu i rodzą dzieci.

Czuła się jak w pułapce, w którą wpędził ją Gino. Nienawidziła go z

całego serca. Jednocześnie rozpaczliwie pragnęła sprawić mu przyjemność.

Przyjemność sprawiało mu to, że jeszcze z Cravenem nie zerwała.

Z kolei ona czerpała przyjemność z puszczania się na wszystkie strony.

No więc się puszczała. I to na całego.

Do chwili gdy pewnego dnia po czterech latach małżeństwa Gino wezwał ją telefonicznie do Nowego Jorku. Chciał się z nią spotkać, przynajmniej raz bez Cravena. Była zachwycona. Zrobiłaby wszystko, żeby tylko się stamtąd wyrwać, poza tym nie widziała ojca od wielu miesięcy. Może się za nią stęsknił?

W Nowym Jorku odkryła, że Gino wezwał również Daria. Brat, z którym kiedyś łączyły ją tak ścisłe więzy, był teraz człowiekiem skrytym i obcym. Studiował w akademii sztuk pięknych w San Francisco i nie utrzymywał z nią żadnych kontaktów.

Gino zdominował rodzinną kolację. Ciągnęła się w nieskończoność, wreszcie się doczekali: ojciec miał dla nich nowinę. Wyglądało na to, że urząd podatkowy znalazł mu za skórę, że wkrótce dostanie wezwanie do sądu i grozi mu więzienie. Na jakiś czas musiał wyjechać z kraju.

— Na wszelki wypadek — tłumaczył — przepisuję na was sporą część majątku. Ale nie musicie zawracać tym sobie głowy. Ot, od czasu do czasu podpiszecie jakiś dokument, i tyle. Costa otrzyma moje pełnomocnictwo i jako prawnik wszystkim się zajmie. Aha, Dario, chcę, żebyś przeniósł się do Nowego Jorku. Są sprawy, o których powinieneś wiedzieć. Costa zacznie cię wprowadzać.

— Do Nowego Jorku! — wykrzyknął Dario. — Dlaczego?!

— Jesteś Santangelo, dlatego. Poza tym dość już obijania się w tej głupiej

akademii. Pora zająć się interesami.

49

— A co ze mną? — spytała Lucky.

— Niby co ma z tobą być?

— Wprowadzasz w interesy Daria, wprowadź i mnie.

— Nie bądź niemądra, dziewczyno — odparł łagodnie. Zawrzały w niej cztery lata frustracji i wściekłości.

— Dlaczego nie? — rzuciła. — Dlaczego?!

— Bo jesteś kobietą zamężną, bo zostaniesz przy mężu i będziesz zachowywała się jak na dobrą żonę przystało. Poza tym pora, żebyś urodziła dzieciaka. Na co ty właściwie czekasz?

Lucky wybuchnęła.

— Na co czekam? Chcę najpierw pożyć! Na to czekam! Gino wyrzucił do góry ręce w geście udawanej rozpacz.

— Ona chce pożyć. Nie wystarczy jej, że ma wszystko, co można kupić za pieniądze...

— Łącznie z mężem! — wrzasnęła rozsierdzona. — Tak, za swoje parszywe pieniądze kupiłeś mi męża. Chciałeś...

— Dość tego.

— Wcale nie dość! — krzyczała. — Chcę czegoś więcej. Dlaczego dajesz szansę Dariowi, a pozbawiasz jej mnie?

— Przestań, Lucky — rzekł lodowatym głosem.

— Dlaczego, kurwa, miałabym przestać?!

Jego czarne oczy były równie groźne jak oczy Lucky.

— Bo ci każe. I uważaj na słowa. Damy nie mówią takim językiem.

Wzięła się pod boki i arogancko stawiała mu czoło.

— Nie jestem żadną damą — kpiła. — Jestem Santangelo. Jestem taka sama jak ty, a ty nie jesteś dżentelmenem.

Patrzył na swoją nieokiełznaną córkę i myślał: Chryste! Kogo ja wychowałem? Dałem jej wszystko, czego ona jeszcze chce?

— Zamknij się i usiądź — powiedział znużony. To rozzłościło ją jeszcze bardziej.

— No jasne! Zamknąć jej gębę i wydać ją za męż. Kogo obchodzi, czy jest szczęśliwa czy nie? Jesteś zaszranym męskim szowinistą, który uważa, że kobiety umieją tylko gotować i obsługiwać facetów w wyrze. Tak jest, niech siedzą w kuchni albo w sypialni, gdzie ich miejsce. Czy właśnie to kazałeś robić mamie, zanim ją zamordowano? Czy zamykałeś ją...

50

Urwała, bo trzasnął ją na odlew w twarz. Rozpaczliwie próbowała powstrzymać palące Izy.

— Nienawidzę cię — syknęła. — Nie chcę cię więcej widzieć.

Wypadła z pokoju jak burza. Słyszała jeszcze, jak Gino mówi:

— Te dzieciaki. Co ja na to poradzę? Starasz się, jak możesz... Kobieta i interesy... Kto to słyszał... Emocjonalna jest... Jezu słodki, wszystkie są takie emocjonalne...

Lucky nie była emocjonalna. Przepelniała ją zimna, zapiekła złość.

Wkrótce potem Gino wyjechał z kraju. Na bliżej nie określony czas osiadł w Izraelu. Kilka tygodni później zadzwonił do niej Costa. Wysyłał Lucky dokumenty do podpisu.

Kiedy je otrzymała, starannie wszystkie przestudiowała, chociaż Costa dołączył do nich karteczkę z instrukcją: „Nie zawracaj sobie głowy czytaniem. Podpisz w miejscach zaznaczonych ptaszkiem, to czysta

formalność".

Skoro coś podpisywała, najpierw musiała to przeczytać.

Potem zdecydowała, że papierów nie odeśle. Przecież mogła odwiedzić je osobiście.

Kilka godzin później siedziała na pokładzie samolotu do Nowego Jorku. Susan Martino była kobietą nadzwyczaj zadbaną, od czubka idealnie ufryzowanej głowy poczynając, na czubkach złotych czółenek od Charlesa Jourdana kończąc. Miała na sobie prostą, skromną sukienkę od Adolfa i kilkaset tysięcy dolarów w skrzących się szafirach. Pasowały do jej delikatnie umalowanych oczu — broń Boże, nic nachalnego.

Lucky doszła do wniosku, że Susan należy do kobiet, które wyglądają na takie, co to nigdy nie chodzą do ubikacji. Myśl, że Gino mógłby pójść z nią do łóżka, była doprawdy śmieszna.

— Tak się cieszę, że mogę cię poznać, kochanie — powiedziała Susan. — Twój ojciec wciąż o tobie mówi.

Lucky wykrzesła z siebie sztuczny uśmiech, zastanawiając się, co się stało z przemiłym wieczorem we dwoje, jakim

51

i

się dotąd cieszyli. Susan Martino, Dimitri Stanislopoulos, Matt Traynor — wszyscy się do nich przysiedli. Z trudem opanowała zniecierpliwienie.

Dimitri i Gino wspominali swoje pierwsze spotkanie. Śmiali się z tego.

Tak dawno temu i tak daleko stąd. No i proszę: młodociane przestępczynie wyrosły na dojrzałe kobiety.

— Przywitaj się z Lucky — powiedział z uśmiechem Gino. — Dobrze cię pamięta. — Ustaliwszy, że Dimitria nic z Susan nie łączy, natychmiast się

uspokoił. Dlaczego nie? Z taką kobietą flamą u boku? Z taką damą w prawdziwym tego słowa znaczeniu?

— Miło mi, Lucky. — Dimitri musnął ustami jej dłoń. Staromodny artycha. Pamiętała, jaki był na tej swojej wyspie, gdzie spędzała letnie wakacje z Olympią. Sypiał z pewną dobrze zakonserwowaną brunetką, a podczas siesty obrabiał inną, długowłosą aktorkę o napalonych oczach, która gościła u niego wraz z uległym mężem. Olympia twierdziła, że ojciec rypie wszystko, co się rusza. Tak samo jak Gino, myślała wtedy Lucky.

Do stołu podeszły dwie szansonistki. Same zęby, cycki i włosy. Jedna obskakiwała Matta Traynora — Matt miał gust kocura — a drugą wyszykowano dla Dimitriego. Obie były pod wyraźnym wrażeniem, że zaproszono je do takiego towarzystwa.

Lucky zastanawiała się, czy nie wyjść. Ale niby dlaczego miałyby wychodzić? Postanowiła zostać i poobserwować Susan w akcji.

Blondyna nie rozczarowała. Manipulowała Ginem z wielką wprawą. Każdy ruch był taki, jak trzeba. Doświadczona kurtyzana, która znalazła kogoś, kogo chciała i zamierzała zdobyć.

Lucky nie dała się nabrać. W przeciwieństwie do Giną. Co mnie to obchodzi? — myślała. To jego życie. Akurat. To nasze życie. I to od lat. Nowy Jork był ekscytujący. Tak samo jak możliwość wyrwania się z pęt Richmondów. Jednak najbardziej podniecała ją sposobność zapoznania się z interesami Giną.

52

Costa okazał się chętnym nauczycielem — szczerze zainteresowanie Lucky zachwyliło go, chociaż wiedział, że Gino by tego nie pochwalił. Dzień w

dzień przychodziła do biura, a on tłumaczył jej zasady funkcjonowania rozlicznych firm i spółek.

— Naturalnie, jesteś tylko figurantka — mówił. — Nigdy nie zrzucę ci tego na kark.

Nie? To on tak myślał. Chłoneła informacje niczym gąbka wodę. Kiedy z Waszyngtonu zadzwonił Craven i, rozsierdzony, zażądał jej powrotu, oznajmiła, że się z nim rozwodzi. Bez Giną, trzymającego rękę na pulsie, przyszło jej to znacznie łatwiej.

Do Nowego Jorku zawitał niechętnie Dario i kiedy zobaczył, że siostra odwała za niego całą robotę, wielce mu ulżyło. Interesy nigdy go nie bawiły — mógł się teraz skoncentrować na życiu towarzyskim i robić to, na co Gino nigdy by mu nie pozwolił. A głównym zainteresowaniem braciszka byli chłopcy, nie dziewczęta.

Nie minął rok i Lucky wiedziała wszystko o rozlicznych przedsięwzięciach ojca. Tak samo jak on, szybko się uczyła.

Gino założył syndykat inwestorów, którzy mieli sfinansować budowę hotelu „Magiriano”. Niedawno rozpoczęto roboty i cotygodniowe wypłaty były olbrzymie. Odkąd ojciec wyjechał do Izraela, kilku inwestorów ociągało się z wniesieniem obiecanych udziałów.

— Nie mamy z nimi żadnej umowy? — spytała Lucky. Costa pokręcił głową.

— Tylko dżentelmeńskie.

— Dali Ginowi słowo, prawda? Co by zrobił, gdyby nie wyłożyli pieniędzy?

Costa nerwowo odchrząknął.

— Gino miał... miał swoje sposoby.

— Kierujesz firmą w jego imieniu. Dlaczego ich nie użyjesz?

— Niektórych spraw najlepiej nie tykać do chwili, kiedy nadejdzie ku temu odpowiednia pora. Musimy poczekać na Giną.

Przeszyła go wzrokiem.

— Nie możemy czekać. Nie wiemy, jak długo będzie nieobecny. Sam mówiłeś, że może to potrwać lata. Skoro dali

53

słowo, trzeba ich zmusić do wywiązania się z umowy. Zrób mi listę.

Chyba coś wymyślę.

Roześmiał się z niedowierzaniem.

— Nie bądź niemądra, dziewczyno. To twardzi ludzie... Otaksowała go lodowatym spojrzeniem.

— Nigdy tak do mnie nie mów, Costa. Zrozumiałeś? Costa pamiętał Giną w tym wieku. I już wiedział, że dopóki

ojciec Lucky przebywa za granicą, nic nie powstrzyma jej przed objęciem rodzinnego interesu.

— W sali Bahia występuje dzisiaj nowy komik — powiedział Matt. —

Może wypijemy tam kawę i obejrzymy drugi występ?

— A czy jest zabawny? — spytała Lucky. — Chciałabym się trochę pośmiać.

— Czy zaangażowałbym komika, który nie jest zabawny?

Lucky zerknęła na jego flamę, dziewiętnastoletnią lalkę Barbie w wyzywającym makijażu.

— Robisz wiele rzeczy, które mnie zastanawiają.

Miała tego wszystkiego dość. Bolało ją, że Gino nadskakuje wystrojonej

Susan Martino. Dimitri Stanislopoulos był głośny i apodyktyczny. A szansonistki żenująco słabe.

— Zaproponować mu to? — spytał Matt, wskazując Ginę pogrążonego w lazurze oczu Susan.

— Rób, co chcesz — warknęła.

Od roku nie wkroczyła między nich żadna kobieta. Żadna kobieta nie była z nim bliżej niż Lucky. Ot, spędzały godzinę albo dwie w jego łóżku, to wszystko. I cóż to znaczyło? Krótki akt fizyczny z jakąś nie wymagającą dzierlatką. Owszem, jak na mężczyznę w jego wieku lubił sobie dogodzić. Ale dogodzić sobie to jedno, a zaangażować się uczuciowo to zupełnie co innego.

I po co mu to? Zmarszczyła czoło. Byłoby inaczej, gdyby Susan Martino okazała się kobietą cudowną i ciepłą. Tymczasem wyglądała na lodowatą, opanowaną larwę w cienkiej polewie czaru z sacharyny. Lucky pragnęła, żeby ojciec miał to, co najlepsze, a nie jakąś puszczałską wdowę z Beverly Hills

54
która prawdopodobnie widziała w nim wyłącznie darmowy talon na wystawny posiłek. Było oczywiste, że Martino lubi pieniądze. Sądząc po jej biżuterii, im więcej, tym weselej. Dlaczego nie uderzyła do Dimitriego, który pewnie kąpał się w złocie?

Zamyślona zapaliła papierosa i wydmuchała kilka idealnych kółek, podczas gdy Matt zapraszał ich na występ nowego komika w sali Bahia. Nie spała z mężczyzną od miesięcy. Po prostu nie miała na to ochoty. Lucky Santangelo w celibacie. Ta myśl ją rozbawiła.

Bywało, że brała do łóżka jednego, nawet dwóch mężczyzn tygodniowo. Jeśli tylko byli atrakcyjni, podobali się jej, nie chcieli żadnych komplikacji

i aprobowali jej krótkie: „Nie dzwoń do mnie, ja zadzwonię do ciebie”. Jeśli chodzi o seks, zawsze prowadziła się jak mężczyzna. Bo niby dlaczego nie? Przecież nikogo nie krzywdziła. Seksualna hipokryzja zawsze doprowadzała ją do furii. Kto wymyślił ten podwójny normatyw? Dlaczego puszczający się na lewo i prawo mężczyzna uchodził za „ogiera”, a kobieta za nimfomankę? Do diabła z taką retoryką. Miała ochotę się z kimś przespać, to z nim spała, jeśli tylko nie groziło to irytującym związkiem.

Oczywiście, zawsze są wyjątki. W przypadku Lucky był tylko jeden: Marco.

Marco wkroczył w jej życie, kiedy miała ledwie czternaście lat. On miał około trzydziestki. Ciemnowłosy i zadumany, był według niej najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała. Niestety, Marco nie podzielał jej uczuć. Uważał Lucky za głupiutką siusiumajtkę i tak ją traktował. Pracował dla Gino, a czasami robił za ochroniarza i szofera, kiedy Dario albo Lucky wychodzili po zakupy czy do kina. Ale wychodzili rzadko. Gino tego nie pochwalał. Po śmierci Marii wolał, żeby dzieci przebywały w bezpiecznym odosobnieniu za kratami domu w Bel Air.

Kiedy wyjeżdżała do szkoły, na lotnisko towarzyszył jej Marco. Kiedy wracała na wakacje, zawsze na nią czekał. Kiedy Gino wezwał Lucky do Las Vegas na jej szesnaste

55

urodziny i oświadczył, że wydaje ją za mąż, przez jeden szalony i jakże cudowny moment myślała, że chodzi mu o Marca. Ale nie, miało być inaczej: ojciec wybrał dla niej Cravena Richmondu, przeniosła się do

Waszyngtonu i Marco zniknął z jej życia — być może na zawsze. Bywało, że w trakcie wyniszczające nudnego małżeństwa spotykała mężczyznę, który trochę jej go przypominał. Może ciemnymi oczami, czarnymi, podwijającymi się na kołnierzyku włosami, może tylko gestem. Wszystko jedno. To wystarczyło, żeby wciągnęła go do łóżka. Ale ci Marcopodobni zawsze byli tylko nędzną namiastką.

Kiedy Gino wyjechał z kraju i kiedy wzięła rozwód z Cra-venem, próbowała o Marcu zapomnieć, rzucając się w wir pracy i próbując rozwiązać sprawę ociągających się inwestorów. Było oczywiste, że Costa, przemiły, błyskotliwy prawnik, nie jest człowiekiem czynu. W żadnym wypadku nie mogła dopuścić do przerwania budowy „Magiriano”, więc pojechała odwiedzić dawnego wspólnika Giną, Enzia Bonnat-tiego. Costa przedstawił ich sobie wiele miesięcy wcześniej i od razu się zaprzyjaźnili. Już na pierwszym spotkaniu Enzo oświadczył, że jest jej ojcem chrzestnym, więc uznała, że może zwrócić się do niego z prośbą o radę i pomoc.

— Costa nie kiwnie palcem — zreasumowała, wyjaśnwszy mu sytuację — ale ja jestem gotowa zrobić to, co zrobiłby mój ojciec. Cokolwiek by to było.

Enzio zarechotał.

— Gino nigdy nie pozwoliłby nikomu nasrać sobie w kieszeń. Wybacz mój język. Chcesz być taka jak on? Czemu nie? Dam ci kilku żołnierzy. Nastraszyć pierwszego bubka z listy i nie będziesz miała problemów z pozostałymi. A może ja się tym zajmę? Cała przyjemność po mojej stronie. Pokręciła głową.

— Nie. Daj mi tylko obstawę.

Zacząła od największego inwestora i złożyła wizytę niejakiemu Rudolpho Crownowi, gładkowłosemu „finansście”. Ona mówiła o pieniądzach, które obiecał, a których nie chciał wyłożyć, a on siedział za masywnym biurkiem w swoim gabinecie i bezczelnie się uśmiechał.

— Dał pan słowo, panie Crown — zreasumowała chłod-

56

no. — Należy pan do syndykatu. Jeśli się pan wycofa, inni pójdą w pańskie ślady i będziemy musieli przerwać budowę hotelu.

— Dałem słowo Ginowi. I kiedy Gino wróci, wywiążę się z obietnicy.

— Nie ma znaczenia, gdzie jest Gino — odrzekła łagodnie. — Dał pan słowo. Gino chce, żeby dotrzymał go pan teraz.

Rudolpho wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Gino nie jest w stanie czegokolwiek żądać. Krążą słuchy, że upłynie sporo czasu, zanim wróci. Jeżeli w ogóle wróci.

Uśmiechnęła się czarująco.

— Niech pan zaryzykuje, panie Crown.

Tydzień później obudził go o północy dotyk chłodnej stali muskającej mu jądra. Ogarnięty paniką, otworzył oczy. Dwóch mężczyzn przytykało noże do jego skurczonego penisa. Zaczął krzyczeć, płakać, błagać.

Dostrzegł cień w drzwiach i usłyszał głos kobiety:

— To tylko próba generalna, panie Crown. Jeśli natychmiast nie wyłoży pan pieniędzy, prapremiera odbędzie się w przyszłym tygodniu.

Rudolpho Crown pieniądze wyłożył, i to błyskawicznie. Pozostali inwestorzy poszli w jego ślady, przy czym zrobili to równie szybko.

Sytuacja na budowie hotelu „Magiriano” wróciła do normy.

Niedługo potem Lucky poleciała do Las Vegas, żeby przekonać się na

własne oczy, jak postępują prace. Naturalnie, zatrzymała się w „Mirage”. Tam powitał ją Marco. Nie widziała go od dnia swego ślubu.

— Cudownie wyglądasz — powiedział.

— A ty chyba trochę zmizerniałeś. — Szybko obliczyła, ile Marco ma teraz lat: czterdzieści jeden. Wcale nie stracił swej wyjątkowej urody. Wciąż był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała, i miała na niego nieodpartą ochotę.

— Na długo przyjechałaś? — spytał uprzejmie. Zależy, kiedy się ze mną prześpisz, odrzekła w myśli.

Zrobiła nieokreślony gest ręką.

— Na kilka dni, może na tydzień.

57

— To dobrze. Chcę, żebyś poznała moją żonę. Jego żonę!

— Od jak dawna jesteś żonaty? — spytała, z trudem łapiąc oddech.

— Dokładnie od czterdziestu sześciu godzin. Spóźniłaś się na ślub.

Upłynęło trochę czasu, zanim Marco wyczuł, jak bardzo go pragnęła.

Lucky odsunęła się od niego i traktowała go jak innych pracowników.

— Costa, „Mirage” wymaga renowacji — oświadczyła któregoś dnia. — Jest zapuszczony.

Marco wpadł w furję.

— Co się tu dzieje?! — wrzasnął do słuchawki, kiedy do hotelu zwałił się tłum projektantów wewnątrz. — Będziemy mieli przestój! Niech Lucky da z tym spokój, zabierz ją stąd!

— Nie mogę — odparł krótko Costa. — Córka Giną jest największym

udziałowcem, może robić, co chce.

Wściekły jak wszyscy diabli, w końcu zauważył Lucky. Nim zauważył ją na tyle, by zacząć jej pożądać, była już chłodna i traktowała go z dystansem. Nie miała zamiaru dzielić się nim z żoną.

Ich układ dojrzewał powoli. Kontrolując przebieg budowy „Magiriano”, Lucky to przyjeżdżała, to wyjeżdżała z Las Vegas. Ciągłe były jakieś problemy, coraz więcej problemów. Ale ze wszystkimi umiała sobie poradzić.

Marco zawsze był w pobliżu, żeby ją powitać.

— Ciągłe żonaty? — pytała swobodnie, choć aż skręcało ją z niecierpliwego oczekiwania: może się tymczasem rozwiódł?

— Jasne. A ty? Ciągłe się puszczasz?

— Daj mi lepsze hobby, to przestanę—powiadała żartem, dobrze wiedząc, że jej obyczaje seksualne zawsze go irytowały.

Pewnego wieczoru, kiedy żona wyjechała z miasta, w końcu przystąpił do ataku. Zjedli razem kolację, pogadali o starych czasach, a kiedy stała już w progu swego apartamentu, powiedział:

— Wejdę.

Był tak blisko, że czuła jego oddech na policzku. Pragnęła go bardziej niż jakiegokolwiek innego mężczyzny w życiu.

— Dobranoc, Marco — odrzekła czarująco. — Spij do-

58

brze. — / nim zdążyła zmięknąć, zamknęła mu przed nosem drzwi.

Nie chciała go mieć na dochodne — chciała go mieć na stałe. Tak musiało być.

Mijał czas. Lucky harowała i konsekwentnie nie ustępowała ani na krok.

Była rezolutną kobietą interesu, wymagała od pracowników wszystkiego, co najlepsze. Regularnie odwiedzała Las Vegas, nie omieszkając zauważyć, że Marco jest ciągle żonaty. Wciąż go pragnęła, ale na swoich warunkach.

O Ginie, którego imperium przejmowała, rozmyślała bardzo rzadko. Budowała jego hotel, spełniała jego marzenie, mimo to nie rozmawiali ze sobą ani w żaden sposób się nie kontaktowali. W sumie bardzo jej to odpowiadało. Nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby w ogóle nie wrócił do kraju.

W 1975 budowę hotelu wreszcie ukończono. Uroczyste otwarcie.

Rozpromieniona Lucky w czarnej sukni od Halstona, olśniewający Marco w czarnym krawacie — zdawało się, że popłynął między nimi silny prąd, że strzelił gradem iskier niczym fajerwerkami. Chwila najodpowiedniejsza z odpowiednich. Fakt, że Marco wciąż był żonaty, przestał mieć znaczenie. Lucky przetrwała wieczór w stanie podwyższonej gotowości seksualnej.

Podobnie Marco.

Spełnienie było jednoczesne, radosne i triumfalne. Szalony rytuał niesamowitego seksu, potem gwałtowne rozładowanie — nareszcie razem. Był to związek dusz. Fuzja energii.

Zaczęli snuć plany. Marco miał natychmiast porozmawiać z żoną i załatwić szybki rozwód. Koniec z rozłakami. Stało się to, co się stało, i już nic ich nie rozdzieli.

Kiedy rano wyszedł, Lucky wiedziała, że w końcu znalazła to, czego szukała. Mężczyznę, którego mogła podziwiać i szanować, z którym mogła żyć, którego mogła kochać. Marco był dla niej wszystkim. Marco przesłonił jej cały świat.

0 wpół do trzeciej tego samego dnia siedziała z Costą w restauracji na patio, czekając na powrót Marca, który miał zjeść z nimi lunch, gdy wtem zauważyła Boogiego, swego ochroniarza. Boogie szybko zmierzał w ich stronę.

Gdy podszedł bliżej, wstrząsnął nią zimny dreszcz niepokoju. — Była strzelanina — powiedział Boogie.

1 już wiedziała, że chodzi o Marca.

59

Już wiedziała, jaka czeka ją przyszłość. Zamknęła oczy w modlitwie, ale przeczucie podszeptowało jej, że jest już za późno.

W Bahia panował tłok, ale dla gości Giną Santangelo natychmiast przyszykowano stół.

Lucky siedziała obok Dimitriego Stanislopoulosa.

— Co słyhać u Olympii? — spytała przez grzeczność. Olympia nic ją nie obchodziła. Przez te wszystkie lata nawet nie próbowała się z Lucky skontaktować. Od tamtej feralnej nocy przed trzynastu laty ani razu z sobą nie rozmawiały. Czasami czytywała o niej w gazecie i nudziły ją błazeństwa pulchnej blondyny szastającej pieniędzmi na lewo i prawo i zmieniającej mężów jak rękawiczki. Niegdyś najlepsze przyjaciółki, teraz były sobie zupełnie obce.

— Znowu się rozeszła — odparł krótko Dimitri. — To już trzeci raz.

Miał niezwykle przenikliwe, stalowoszare oczy i twarz opaloną na brąz śródziemnomorskim słońcem. Patrzył na oszłamiająco piękną Lucky, lecz po chwili pociągnęła go za rękaw przypisana mu na wieczór szansonistka, zadając jakieś idiotyczne pytanie.

Lucky spojrzała na Giną, lecz Gino skupił całą uwagę na Susan Martino.

Zastanawiała się, czy nie wyjść, ale postanowiła zostać i obejrzeć komika, który właśnie poprawiał mikrofon, rozpoczynając występ od kilku komentarzy na temat wiadomości dnia.

Przez salę przetoczyła się fala śmiechu. Szybko przykuł uwagę publiczności — publiczności nawykłej raczej do omawiania przegranych albo wygranych w kasynie niż do wysłuchiwania serii kawałów.

Z tym że on kawałów nie opowiadał. On wygłaszał komentarze na temat życia.

Komentarze ostre, satyryczne i boleśnie celne.

— Jak on się nazywa? — spytała Lucky.

— Lennie Golden — odrzekł Matt. — Podoba ci się?

— Niezły jest.

Matt uśmiechnął się. Jess podsunęła mu prawdziwego

60

gwiazdora. I dzięki Bogu. Sporo ryzykował, angażując faceta tylko dlatego, że go o to prosiła. Cóż, był na małą Jess okrutnie napalony, a teraz, kiedy oddał jej przysługę, nastąpiła pora na drobny rewanż. Zabawne, nigdy nie przepadał za niskimi dziewczynami; zawsze wolał kobiety posągowe. Jednak niziutka Jess rzuciła na niego czar. I bardzo, ale to bardzo pragnął pójść z nią do łóżka.

W połowie występu Gino nachylił się do Lucky i szepnął:

— Susan jest zmęczona. Odprowadzę ją do domu. Do zobaczenia jutro, dziecinko.

Pomógł Susan wstać.

Lucky odebrało mowę. To był ich wieczór, jej i Giną, a on odprowadzał do domu tę Grace Kelly. Psiakrew!

— Dobranoc, kochanie — powiedziała Grace. — Tak się cieszę, że cię poznałam.

Czy to tylko wyobraźnia czy w lodowato błękitnych oczach Susan dostrzegła błysk triumfu? Zdołała wykrzesać z siebie sztuczny uśmiech. Lepiej przeciwnika oczarować, niż dać mu w zęby.

— Ja również.

Po ich wyjściu była zbyt zdenerwowana, żeby spokojnie usiedzieć na miejscu. Wkurzało ją, że nie wyszła pierwsza. Że nie pokazała Ginowi, ile kosztuje ją ten zepsuty przez niego wieczór.

Zerknęła na komika, który wciąż bawił publiczność. Zauważyła silną rękę Dimitriego na udzie szansonistki. Spojrzała ze wstrętem na falistą grzywkę Matta Traynora.

Pieprzyć ich. Co za nudziarze.

— Zaraz wracam — szepnęła, nie mając najmniejszego zamiaru wrócić. Olbrzymie kasyno tętniło życiem. Chwilę krążyła bez celu, witając się z pracownikami, obserwując kontrolerów i nadzorowanych przez nich krupierów, otaksowując spojrzeniem gości ubranych w dziwaczne i cudowne stroje. Gdzie indziej mogłaby zobaczyć faceta w hawajskich bermudach siedzącego obok dżentelmena w smokingu? Dziewczynę w kusej bluzeczce na ramiączkach obok elegantki w sukni od Halstona? prostytutkę obok gospodyni domowej, playboya obok nałogowego hazardzisty?

61

Chcę się z kimś przespać, pomyślała. Boże, mam chcię jak nigdy. Poszła do recepcji, wzięła klucz do wolnego apartamentu i zaczęła polowanie. Nie, to nie mógł być byle kto. Musiała ich łączyć choć

odrobina seksualnej chemii. Ostatecznie dawno tego nie robiła.

Samotny mężczyzna przy stole do ruletki. Ciemnowłosa i zadumany, przypominał jej trochę Marca.

Nie!

Odwróciła się gwałtownie.

Czuła się samotna. Potrzebowała anonimowego seksu z anonimowym kochankiem, który da jej to, czego chciała, i cicho zniknie.

Ktoś chwycił ją za łokieć. Usłyszała oskarżycielski głos:

— Dałaś mi kosza. Co z tobą? Czyżbyś nie umiała docenić mych wyjątkowych talentów?

Zaskoczona, wahała się tylko sekundę. Posłała mu promienny uśmiech i rzekła:

— Lennie Golden. Jesteś mężczyzną, jakiego szukałam.

5

Nowy Jork latem nie należał do ulubionych miast Olympii. Był za gorący, za tłoczny i za brudny. Jeździła tam najrzadziej, jak mogła, jednak zdarzało się, że jechać musiała. Jak choćby teraz, na trzeci ślub matki.

Przyleciała concordem z Paryża w towarzystwie dziewięcioletniej córeczki Brigitte i jej angielskiej niani Mabel. Brigitte była śliczną dziewczynką.

Po matce odziedziczyła jasne, gęste włosy i niebieskie oczy, a po ojcu patrycjuszowskie rysy twarzy i gibkie ciało. Po Olympii odziedziczyła również upór.

Niania Mabel była sfrustrowaną pięćdziesięciolatką, która po trzydziestu pięciu latach „służby” doszła do wniosku, że zmarnowała sobie życie, doglądając obce dzieci. U Olympii, ostatniej z długiego rzędu bogatych chlebobawczyń, pracowała dopiero od pół roku, ale zdążyła już

znienawidzić tę rozkapryszoną dziedziczkę. Jej niewiele lepsze dziecko,
62

zepsute, samolubne i niszczycielskie, było miniaturową kopią matki. Na szczęście pieniądze, jakie zarabiała, rekompensowały jej to aż w nadmiarze, poza tym lubiła podróże limuzynami, prywatnymi samolotami i luksusową obsługę. Kiedy przebywały w dwurodzinnym paryskim domu w Alei Focha, Olympia bardzo rzadko odwiedzała „dziecinne piętro”, jak je nazywała, więc Mabel prawie nigdy nie musiała znosić jej obecności.

Olympia była więcej niż rozsierdzona, że zmuszono ją do podróży z dzieckiem i nianią. Ale matka nalegała, żeby Brigitte niosła w orszaku kwiatki, a Olympia nie zdołała wymyślić odpowiedniej wymówki.

Matka, Charlotte, wytworna matrona amerykańskiej śmietanki towarzyskiej, wyszła za Dimitriego Stanislopou-losa w wieku dwudziestu lat — wbrew gwałtownym protestom rodziców — i już po roku się z nim rozwiodła. Wróciła do Stanów i niecały rok później wyszła za mąż ponownie, tym razem za bankiera z Wall Street; ten związek rodzice pobłogosławili. Olympia mieszkała z nimi do dwunastego roku życia, ale kiedy zagrały hormony, stała się nie do okiełznania i zażądała, żeby pozwolono jej zamieszkać z ojcem, który krążył między swoją wyspą w Grecji, jachtem i luksusowym domem w Paryżu. Poszli na kompromis i wysłano ją do kilku prywatnych szkół z internatem, ale ze wszystkich wyleciała. W końcu postawiła na swoim i przeprowadziła się do Dimitriego, który traktował córkę jak kolejnego gościa.

Bankier Charlotty i ojczym Olympii — nigdy za nim nie przepadała — zmarł rok temu. Ale Charlotta znalazła już kolejnego kandydata na męża i ciągnęła go do ołtarza. Tym razem był to producent filmowy — Olympia

nie miała ochoty go poznać.

— Mamo — powiedziała Brigitte, kiedy przeprowadzano je przez odprawę celną. — Widzę ludzi z aparatami. — Miała dopiero dziewięć lat, a mówiła już płynnie trzema językami.

— Głowa w dół, oczy prosto przed siebie — surowo przestrzegła ją niania Mabel. — Udawaj, że ich nie widzisz.

Olympia musnęła swoje złociste loki, lekko je stroząc.

63

Nienawidziła paparazzi, ale skoro chcieli ją przyłapać — cóż, dlaczego nie miała pokazać się od najlepszej strony? Nie chciała wyglądać jak Christiana Onassis. Poprawiła ciemne okulary i wygładziła sukienkę od Saint Laurenta.

Paparazzi ruszyli do boju.

Jako jedna z najbogatszych kobiet świata miała niełatwe życie.

Dimitriego Stanislopoulosa nie interesowała dziewczyna, którą Matt Traynor załatwił mu na wieczór. Była młoda i nawet niezbyt ładna. Dimitri miał sześćdziesiąt dwa lata. Nie bawiła go nudna rozmowa z kobietą o czterdzieści lat młodszą. Wolał zagrać w baccarata, więc Matt posadził go przy prywatnym stoliku wraz z kilkoma innymi superbo-gatymi gośćmi. Był wśród nich słynny piosenkarz w źle dopasowanej peruce, włoska contessa o skórze koloru zapieczonego błota, dwóch elektronicznych magnatów z Japonii oraz angielska przyjaciółka arabskiego handlarza bronią.

Dimitri ją znał. Skinął jej głową. Angielka skinęła głową jemu. Doszedł do wniosku, że jest o wiele bardziej interesującym kąskiem niż próżna szansonistka Traynora.

— Gdzie Saud? — spytał, całując ją w rękę.

— W Los Angeles — odrzekła. — Jutro wraca. Grzeję dla niego fotel.

Nie tylko fotel, pomyślał. Lubił Angielki. W łóżku miały w sobie coś z dziwek. Bardzo apetyczne. Dobrze o tym wiedział, bowiem od ośmiu lat sypiał z angielską kochanką, światowej sławy aktorką teatralną. Francesca Fern — wspaniały talent i żywa osobowość. Miała pięćdziesiąt lat, ogniście rude włosy, przenikliwe oczy, soczyste usta i haczykowaty nos, który dorównywał jego nosowi. Francesca. Co za kobieta! Uwielbiał bijącą z niej moc, jej pełne dramatyzmu emploi, jej namiętność.

Ach, jej namiętność... Była najbardziej podniecającą kobietą, z jaką kiedykolwiek sypiał. Nie myślał tak bez podstawy, bowiem gościł w łóżu najpiękniejsze, najbardziej wyrafinowane Europejki.

64

Lubił kobiety drogie, znające się na luksusie. Lubił, gdy ubierały się w sobole, gdy nosiły biżuterię od Cartiera, Aspreysa i Bulgarię. Lubił, gdy występowały w sukniach Diora, gdy kupowały wyszukaną, specjalnie projektowaną bieliznę i pantofle za pięćset dolarów. Lubił, gdy wiedziały wszystko na temat dobrego jedzenia, najlepszych win, muzyki klasycznej i baletu.

Lubił dobre maniery. I nie przeszkadzało mu, że musi za to płacić.

Od chwili rozpoczęcia romansu obdarowywał Francescę istic królewską biżuterią. Przyjmowała podarunki ze znaczącym błyskiem w oku i z lekko ochryłym „Dziękuję, kochanie” — jakby ofiarowywał jej tanie błyskotki. Podziwiał jej niesamowity styl. Za to nie podziwiał jej męża, małego, drobnego człowieczka imieniem Horacy, z którym uparcie nie chciała się rozwieść. Ich najzacieklejsze awantury dotyczyły właśnie Horacego.

— Zostaw go! — ryczał Dimitri.

— Nie mogę — odpowiadała dramatycznie Francesca. — To by go zabiło. Jestem jego życiem. — I z jej mocno podkreślonych oczu zaczynały płynąć łzy.

— Chcę się z tobą ożenić! — krzyczał Dimitri.

— Przyjdzie taki dzień — chrypiała enigmatycznie Francesca — że już nikt nas nie rozdzieli.

Tymczasem Horacy nie wtrącał się do ich burzliwego romansu. Pogodził się z tym, tak samo jak godził się prawie ze wszystkim i stał cicho w tle zmiennego i gwałtownego życia żony. Raz w roku spotykali się na luksusowym jachcie Dimitriego. Francescę towarzyszył mąż, pokojówka, fryzjer, a czasami dwa wiekowe pekińczyki.

Na sierpniową wycieczkę po Morzu Śródziemnym Dimitri zawsze zapraszał gości. Niecierpliwie tej chwili wyczekiwał, bowiem na jachcie miał Franceskę tylko dla siebie — no, prawie. Każdą noc spędzała w jego komfortowej kabinie. Nie wiedział, jak tłumaczyła się przed mężem. Zresztą zupełnie go to nie obchodziło. Horacy musiał o nich wiedzieć. Horacy był usłużny i grzeczny.

Czasami spotykali się w innych częściach świata. W Nowym Jorku, w Paryżu, w Rzymie. Nie przestali się widywać

65

nawet wówczas, gdy ożenił się po raz wtóry. Drugie małżeństwo nie trwało dłużej niż pierwsze. Dimitri Stanislo-poulos był trudnym partnerem. Zaczęli grać.

— Jaki jest limit przy tym stole? — spytał Dimitri jednego z krupierów o stalowych oczach.

— Sześć tysięcy dolarów, proszę pana — odrzekł krupier, nie mrugnawszy okiem.

— Poproszę o żetony za dwieście tysięcy.

Krupier odliczył z wprawą złote, pięciusetdolarowe żetony, ułożył je w zgrabne stosiki i podsunął Dimitriemu. Inny krupier podał mu niezauważenie kwitariusz do podpisu.

Dimitri lubił grać. Hazard go odprężał. A bardzo potrzebował odprężenia, bowiem za dwa dni do miasta zjeżdżała Francesca — miała wziąć udział w telewizyjnej gali na jej cześć — i w końcu zdecydował, że pora z tym skończyć. Osiem lat to wystarczająco długo. Horacy musiał odejść. Tak czy inaczej.

6

— Hej — powiedziała Lucky. — Co ci jest?

— Mnie?! — spytał rozsierdzony Lennie.

Stali w przepychu zaciemnionego apartamentu, mierząc się wzrokiem. „Jesteś mężczyzną, jakiego szukałam”, tak powiedziała. Potem wzięła go za rękę i tajemniczo dodała: „Chodź ze mną”. I poprowadziła go do najbliższej windy. Gdy weszli do pokoju, przywarła do Lenniego, pocałowała go namiętnie w usta, pomacała intymnie po podbrzuszu... Tyle tylko, że nic nie mogła tam jeszcze wymacać, ponieważ Lennie cały czas próbował wykoncypować, o co jej, do diabła, chodzi.

— Robisz to za pieniądze? — spytał.

— Żartujesz? — Zaczęła zdejmować sukienkę.

— Zaczekaj, nie chcę, żebyś to robiła. I tak doszło do starcia.

Lucky westchnęła.

66

— Masz jakiś problem?

— Owszem, mam.

Niecierpliwie wzruszyła ramionami. Najwyraźniej wybrała nieodpowiedniego faceta.

— Jaki? — spytała bez zainteresowania, zapinając miękką skórzaną sukienkę, którą jeszcze przed chwilą chciała zdjąć. Równie dobrze mogła tę scenę skończyć. I to szybko.

Lennie patrzył na nią, nie mogąc wyjść ze zdumienia. Nie mógł uwierzyć, że dzieje się to naprawdę. Oto stała przed nim ta uderzająco piękna kobieta, którą zauważył na lotnisku, z którą rozmawiał nad basenem, przez którą go obrażono.

Później pokazała się w Bahia i wyszła z jego występu! A teraz napierała na niego jak parowy walec i spodziewała się natychmiastowej reakcji. Za kogo go brała? Za wędrownego ogiera bez odrobiny uczuć? Mogła być sobie najwspanialszą kobietą w świecie, ale nigdy nie przepadał za seksem bez porozumienia. Nie był już napalonym prawiczkim.

— Taki — wycedził — że nie wiem nawet, jak ci na imię, nie wspominając już o tym, że zupełnie nie chwytam, co tu jest grane.

— A jeśli ci powiem, wszystko będzie w porządku, tak? — zakpiła gotowa do wyjścia.

— Dobrze wiesz, o co mi chodzi — mruknął gniewnie.

— Nie, nie wiem. — Opanowana i chłodna ruszyła w stronę drzwi. — To naprawdę proste. Zobaczyłam cię. Spodobałeś mi się. Pomyślałam sobie, że na pewno będzie nam wspaniale w łóżku. Najwyraźniej się pomyliłam.

— W takim razie dlaczego nie myślałaś tak po południu? — spytał szybko.

— O czym ty mówisz?

— Dziś po południu. Nad basenem. Kiedy do ciebie zagadałem, potraktowałaś mnie dość lodowato.

— To byłeś ty?

Chryste, nawet go nie pamiętała. I miał mu stanąć?!

— Posłuchaj — rzekła niecierpliwie z ręką na klawce. — Wszyscy popełniamy błędy. Najlepiej będzie, jak o tym zapomnimy, dobra?

67

Lennie miał w życiu mnóstwo kobiet, ale ta biła na głowę wszystkie.

Nawet Eden by się tak nie zachowała.

Żałował tylko, że nieznajoma wygląda tak pociągająco. Jak mógł pozwolić jej wyjść, skoro proponowała mu coś, czego nie zapomni pewnie do końca życia?

Dlatego mimo wszystko postanowił ją trochę pocza-rować.

— Wiesz, co myślę? — powiedział. — Myślę, że powinniśmy przerobić to od początku: zejść na dół, usiąść w barze, wypić drinka i lepiej się poznać. No, a przynajmniej się sobie przedstawić. A potem, piękna pani, moglibyśmy się pokochać i gwarantuję, że byłoby nam naprawdę wspaniale. Co ty na to?

Znudził ją Lennie Golden. Cały incydent był błędem. Otworzyła drzwi i ruszyła do windy.

— Zapomnijmy o tym — rzuciła bezceremonialnie. Podbiegł do niej i chwycił ją za rękę.

— Nie — powiedział.

Nie stanął na wysokości zadania i nie chce się odczepić, pomyślała. Męska duma czy temu podobne bzdury.

— Hmm... — szepnęła. — Dobrze. To niezły pomysł.

I już ją miał. Wszystkie były łatwe. Kieliszek czegoś mocniejszego, może dwa, a potem pójdzie z nim do łóżka na jego warunkach.

— Zjedź na dół do Bahia i zamów dla mnie krwawą Mary. Chcę się tylko odświeżyć. — Posłała mu uśmiech. — Pięć minut, dobrze?

Lennie oparł się o wykładany zielonym rypsem stolik do blackjacka, przy którym pracowała Jess. Rozdawała jak błyskawica, ani na chwilę nie spuszczać oka z lśniącego pojemnika na karty zwanego butem.

— Nie czekajcie na mnie — powiedział. — Nie wracam na noc.

— Bo? — wymamrotała kącikiem ust.

— A jak myślisz? Czar Lenniego Goldena znowu zadziałał.

— Naprawdę? Kogo zarwałeś tym razem?

68

— Gra pani czy gada? — warknęła wojownicza blondyna w kusej, wyszywanej cekinami bluzeczce na ramiączkach. — Poproszę o kartę.

Jess zrobiła minę i wyciągnęła z buta trójkę. Magiczne hokus-pokus, trójka zmieniła się w dziewiątkę i wycekino-wana blondyna dostała furę.

— Psiakrew! — wykrzyknęła głośno.

Jess zerknęła ukradkiem na Lenniego i puściła do niego oko.

— Zagraj ze mną — odczytał z ruchu jej warg. Rzadko bawiła się w Boga, ale czasami po prostu nie mogła się powstrzymać.

Lennie uśmiechnął się i odszedł. Był ustawiony na wieczór i czuł się znakomicie. No i spodobał się miejscowej publiczności — zgotowali mu fantastyczne przyjęcie. Czuł, że dwutygodniowe występy w „Magiriano” będą wielkim sukcesem. Teraz musiał stawić czoło tej szalowej czarnuli, a wyglądała na taką, która potrafi go przez ten czas zająć, i to aż nadto

skutecznie. Może nawet zapomni dzięki niej o Eden, choć raczej w to wątpił. Ale ciekawiło go, jak się ta laska nazywa, co robi w Vegas, jaka jest w łóżku.

Tak, dwutygodniowy układ bardzo mu odpowiadał. Miał dość głębokich związków. Najpierw zostawały tylko na noc, potem na weekend, w końcu zagarniały wszystko i wzięcie prysznic przypominało pokonywanie długiego toru przeszkód poprzecinanego pajęczyną sznurów z majtkami i biustonoszami.

Wszedł spiesźnie do sali Bahia, zamówił piwo i krwawą Mary dla...

Wszystko jedno, jak jej na imię. Wkrótce je pozna. Wkrótce pozna nie tylko imię.

Apartament Matta Traynora wyglądał jak mieszkanie typowego nuworysza: obite adamaszkiem kozetki, dużo złocień, czarnych futrzanych narzut i sztucznego marmuru. Napis nad barkiem informował gości, że są U MATTA, a kryształowe szklanki i kieliszki były ozdobione jego monogramami, tak samo jak koszule, skarpetki, slipki, prześcieradła, ręczniki i pizamy.

69

— O rany! — wykrzyknęła dziewczyna; z rodzinnego Ohio wyjechała ledwie przed pół rokiem i była pod wrażeniem. — Jaka bajeczna chata. Nalał jej czystej whisky, puścił płytę Sinatry i ściemnił czerwone światło.

— O rany! — powiedziała Miss Ohio. — Jaka bajeczna płyta. Kto to?

— Żartujesz, młoda damo?

— Co?

Zastanawiał się, czy zrobi mu loda.

— To Sinatra — wyjaśnił.

— Tak? Jest bajeczny!

— To ty jesteś bajeczna.

Zachichotała jak wariatka, wzięła do ust kostkę lodu i zaczęła ją sugestywnie ssać.

— Szczerze mówiąc, od roku nie widziałem piękniejszej dziewczyny.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

Dotknął jej lewej piersi i podrażnił kciukiem sutek.

Pociągnęła łyk szkockiej, odstawiła szklankę i oparła się o zagłówek sofy.

Nie przestając pracować kciukiem, nachylił się, żeby ją pocałować.

Zareagowała wspaniale. Sinatra zawodził „Strangers In the Night”.

Z głębokiego dekoltu krótkiego sweterka wyłowił jej pierś i pochylił głowę w stronę wzwiedzonego sutka.

— Bajecznie... — wymamrotała Miss Ohio.

Rozpiął rozporek, uwalniając coś, co uważał za tęgi wzwód. Potem ujął jej prawą rękę i umieścił ją tam, gdzie chętnie znalazła zatrudnienie.

W tym samym momencie zadzwonił telefon. Matt zapomniał włączyć automatyczną sekretarkę.

— Cholera jasna! — mruknął.

— Nie odbieraj.

Ale penis już sflaczał. Traynor chwycił słuchawkę przebrzydłego aparatu.

— Tak? — warknął.

70

— Matt? Mówi Lucky. Chcę, żebyś do mnie wpadł. Teraz. Musisz się

czymś zająć.

— Czy to nie może poczekać do jutra?

— Nie.

Po raz drugi tego wieczoru był więcej niż wkurzony na Santangelow.

Najpierw na Ginę, teraz na Lucky. Oboje zależli mu za skórę.

— Jeśli to ważne...

— Owszem. Przyjdź do mego apartamentu.

— Dobrze.

— Tylko szybko.

Trzasnął słuchawką i wstał. Członek zwisał mu z rozporzka niczym symbol żalostnej, nie spełnionej obietnicy. Matt schował go szybko i zapiał spodnie.

— Muszę wyjść.

— Och, jaka szkoda...

— Możesz na mnie poczekać?

— Cóż...

— Masz tu telewizor, poszalej w jacuzzi. Zaraz wracam. Nie musiał jej długo namawiać.

— Bajecznie! — powiedziała. Sinatra nie przestawał zawodzić.

Lennie zerknął na zegarek. Minęło pół godziny i najwyraźniej nie miała zamiaru przyjść. Suka! Wszystkie były takie same. A ta to prawdziwa szajbuska, w sumie dobrze, że nie przyszła.

Mimo to... był wściekły — najbardziej na siebie. Skoro uznał, że jest taka seksowna, dlaczego nie skorzystał z jej propozycji? Rach-ciach, dziękuję pani. I żegnaj, Charlie.

Na miłość boską, a co w tym złego, że kobieta prowokuje faceta do czynu?

Przecież mógł z tym sobie poradzić.

Nie przyszła, bo najpewniej uznała, że ma do czynienia z ostatnim palantem. I słusznie. Nie ulegało wątpliwości, że odrzucił propozycję wspaniałego doświadczenia. Jezu! Nie mógł się doczekać, kiedy opowie o tym Jess. Przynajmniej się trochę z niego pośmieją. Lennie Golden — niemrawy

71

jebaka! Ba! Może nawet wyjdzie z tego niezły dowcip, który mógłby sprzedać na scenie?

Postanowił do niej zadzwonić. Co miał do stracenia? Może jeszcze nie za późno.

Apartament numer jedenaście dwadzieścia dwa — pamięć nigdy go nie zawodziła. Szybko podszedł do wewnętrznego telefonu. Nikt nie podnosił słuchawki. Kto wie, może gdzieś krążyła, polując na faceta, który zastąpiłby pana Niemrawego.

Dlaczego odczuwał zazdrość o kogoś, kogo nawet nie znał?

Dlaczego wciąż miał przed oczyma jej twarz, tę piękną twarz?

I dlaczego wciąż czuł na ustach dotyk jej warg, pełnych, zmysłowych...

Przestań, idioto. Spieprzyłeś sprawę. Opuść sobie. Zapomnij.

Przynajmniej na scenie byłeś wielki.

Dzisiaj „Magiriano”. Jutro występy u Carsona. Czemu nie? Harował na to jak wół.

7

— Wyrzuć komika — powiedziała Lucky. Matt zmarszczył czoło.

— Co?

— Lenniego Goldena. Tak się nazywa, prawda?

— Chodzi ci o Lenniego Goldena, który występował dzisiaj w Bahia?

— Czyżbyśmy zatrudniali dwóch Goldenów?

— Nie rozumiem. Wypadł znakomicie. Bardzo się ludziom spodobał.

Sama powiedziałaś, że jest dobry.

Opanowana i chłodna zapaliła papierosa, spoglądając na wspaniały widok głównej ulicy miasta.

— Nie twierdzę, że jest zły. Po prostu każę ci go wyrzucić.

— I po to mnie wezwałaś?

— Tak.

— Chryste, Lucky. — Był tak wściekły, że na jego skroni

72

zaczęła pulsować żyła. — Jezu Chryste! Nie jestem lokajem ani marionetką na sznurku. Dochodzi druga w nocy. Dlaczego nie powiedziałaś mi tego przez telefon?

Zastanawiała się, czy śmiałyby przemawiać tak do Giną. Nie, na pewno nie.

— Podoba ci się ta praca? — spytała łagodnie.

— To nie jest praca, to stanowisko. Mam w tym hotelu udział. Jestem dyrektorem.

— Naturalnie. To ja cię mianowałam i w każdej chwili mogę cię odwołać.

— No to mnie odwołaj — prychnął.

— Może i odwołam.

Mierzyli się wzrokiem. Pojedynek wygrała Lucky — Matt spuścił oczy.

Praca u Santangelów dawała mu więcej władzy, niż miał jej kiedykolwiek w życiu. Nie chciał tego zepsuć.

— No więc co mam zrobić? — spytał zgorzkniały.

— Zapłać mu. Wyrzucić go. Niech się tu nie pęta.

— Mogę przynajmniej spytać dlaczego?

— Ponieważ jest za dobry. Ludzie zaczynają przez niego myśleć. Zabawia ich. Przystają pić i grać. Chcę, żebyś wyrzucił go jeszcze dzisiaj. Niech się stąd zabiera.

— Skoro sobie tego życzysz...

— Tak, tego sobie życzę.

Kiedy wyszedł, skończyła papierosa, poszperała w biurku i znalazła skręta. Zamiast się z kimś przespać, da sobie czadu. Na dłuższą metę to pewnie bardziej satysfakcjonujące.

Jak to miło, że mogłaby zaraz zadzwonić do Giną i pogawędzić z nim jak córka z ojcem.

Ha! Roześmiała się głośno. Nie mieli takiego układu, odkąd skończyła pięć lat. Odkąd zamordowano matkę...

Rozbłysk ostrego, rozpalonego do białości bólu. Wciąż widziała tę scenę tak wyraźnie, jakby to było wczoraj. Różowo zabarwiona woda w basenie... Nagie ciało Marii na materacu... Jej długie blond włosy pływające w wodzie jak rozłożony wachlarz...

Gwałtownie zamknęła oczy, mimo to obraz nabrał wyrazistości. Cały rok była z Ginem tak cudownie blisko, ale-

73

nigdy blisko na tyle, żeby porozmawiać o tym, co wtedy zaszło. Nigdy. Rozpłakała się, ale odkryła, że płacze, dopiero wtedy, gdy policzki spłynęły łzami.

Płakała. Ona, Lucky Santangelo. Przenigdy!

Rozsierzona otarła twarz. Szlag by to trafił! Gino znalazł sobie przyjaciółkę i od razu się rozkleiła. Kiedy był na siedmioletnim wygnaniu,

nawet za nim nie tęskniła. Przejęła jego imperium bez chwili namysłu.

Teraz się puszczał, a jej puszczały nerwy. Co się z nią działo?

Gino wrócił do Ameryki w 1977. Dogadał się z izbą skarbową, zapłacił sześć milionów dolarów zaległych podatków, pociągnął za odpowiednie sznurki i wrócił.

Lucky oczekiwała tej chwili z drżeniem serca. Gino nie mógł pomyśleć, że znowu przejmie władzę. Nie, to wykluczone. Harowała jak wół, wszędzie odcisnęła swoje piętno i nie zamierzała ustąpić ani o krok. Naturalnie, oznaczało to, że będzie musiała wrócić do Vegas, do miasta, którego od śmierci Marca unikała.

Enzio Bonnatti był cudowny. Wyśledził mordercę, wyrównał z bydlakiem rachunki i zaproponował, że poprowadzi „Magiriano” do chwili, kiedy Lucky zechce wrócić.

Ponieważ Gino zamierzał wznowić działalność w Ameryce, co było nieuchronne, chwila ta nadeszła.

Dwa dni po jego powrocie Costa zorganizował spotkanie. W hotelu „The Pierre” w Nowym Jorku. Ojciec i córka. Po siedmioletniej rozłące. Po siedmioletnim milczeniu. Lucky była nastawiona wrogo i czuła się nieswojo, choć odniosła wrażenie, że Gino pragnie okazać jej przyjaźń. Natychmiast zauważył, że zamiast zepsutej dziewczyny, którą pożegnał przed laty, stoi przed nim butna, pewna siebie kobieta.

Uśmiechnął się i wyciągnął do niej ramiona.

— Lucky.

Zaskoczył ją. Naprawdę myślał, że wszystko pójdzie tak łatwo?

Chwilę patrzył na nią skonsternowany, potem spróbował zrobić jakiś obojętny gest, wzruszyć ramionami.

— Proszę, proszę — powiedział. — Dorosłaś. Zmierzyła go chłodnym wzrokiem.

— Myślałam, że byłam dorosła już jako szesnastolatka, kiedy wydałeś mnie za mąż.

— No dobra, nie wypaliło. Ale dzięki temu uniknęłaś kłopotów, mam rację? Zamierzasz mi to wytykać do końca życia, dziecino?

Zauważyła butelkę szkockiej i naląła sobie solidną porcję. Gino nie odrywał od niej oczu.

— Chyba będzie lepiej, jak pogadamy — powiedział w końcu.

Denerwowało ją, że tak na nią patrzy.

— Tak — odparła buńczucznie. — Podczas twojej nieobecności dużo się tu zmieniło. Weszłam do interesu, jestem częścią firmy.

— Tak, słyszałem.

Spojrzała na niego płonącymi oczyma.

— Powiem ci jedno: nie usuniesz mnie. Żadnym sposobem. Vegas należy do mnie, zamierzam tu wrócić.

— Trochę za późno.

— Co to znaczy?

— Daj spokój, Lucky. Wyglądasz na bystrą dziewczynę. Oddałaś Vegas Bonnattiemu, wręczyłaś mu je jak na tacy. Myślisz, że Enzo uśmiechnie się i spokojnie odejdzie?

— Wiem, jak sobie z nim poradzić. Parsknął śmiechem.

— Nie rozumiesz, że Bonnatti nie jest już naszym przyjacielem?

Tak, dobrze o tym wiedziała. Choć wcale nie zamierzała przyznawać racji Ginowi. Przed południem tego samego dnia z Las Vegas przyleciał Boogie

z wieściami o zdradzie, które ją zmroziły i doprowadziły do furii, przez które pałała chęcią zemsty. Wyglądało na to, że wzięli ją za głupią cipę. To Bonnatti kazał zamordować Marca. Chciał, żeby wyniosła się z miasta, i śmierć kochanka załatwiła sprawę. Uciekła — sukinsyn doskonale wiedział, że ucieknie. I teraz trzymał łapę na wszystkim. Ale już niedługo, Lucky miała swoje plany. Nie pozwoli, żeby Gino je pokrzyżował. Zanim zdążyli zgłębić problem, przyszedł Dario.

75

Było jej to nie w smak. Mieli rozmawiać o interesach, tymczasem poważna narada przekształcała się w rodzinne spotkanie.

Dario długo nie zabawił. Był znerwicowanym wrakiem człowieka i po dziesięciu minutach sztywnej rozmowy czmychnął z pokoju jak złodziej.

— Co się z nim dzieje, do diabła? — grzmiał Gino. — Costa, przyprowadź go z powrotem. Najwyższa pora napros-tować tego małego zboczusia. — Costa opowiedział mu już o seksualnych preferencjach jego syna, co bardzo Giną zmartwiło.

— Och — rzekła Lucky — chyba trochę za późno. Gdybyś poświęcał mi więcej uwagi, kiedy był nastolatkiem...

Gino odwrócił się na pięcie i spiorunował ją wzrokiem.

— Jak śmiesz tak do mnie mówić? Ale Lucky nie spotulniała.

— Kiedy byliśmy mali, nie mieliśmy ani krzty życia rodzinnego.

Siedzieliśmy zamknięci w tym mauzoleum jak dwoje trędowatych. Nic dziwnego, że Dario jest taki popieprzony.

Gino łypnął na nią spode łba.

— Rzeczywiście, wiedliście okropne życie. Piękny dom w Bel Air.

Piękniejszego nie kupiłabyś za żadne pieniądze...

Podniecona podniosła głos.

— Pieniądze. Kogo obchodzą pieniądze? Kiedy dorastałam, potrzebowałam ciebie. Chciałam, żebyś o mnie dbał, żebyś ze mną był. Chciałam widzieć w tobie prawdziwego ojca.

To go zabolalo.

— Zawsze robiłem dla was to, co najlepsze — warknął. — Staralem się, jak mogłem...

— Cóż, najwyraźniej to nie wystarczyło — przerwała mu triumfalnie. Na ulicy zawyły policyjne syreny. Costa podszedł do okna, chcąc sprawdzić, co się dzieje.

— Zjeżdżaj stąd i przyprowadź Daria! — wrzasnął Gino. Costa spieszenie wyszedł.

— Pójdę już — powiedziała Lucky. — Nie możemy się porozumieć. Nigdy nie mogliśmy.

— Mówisz, że brakowało ci dobrego ojca? — kipiał Gino.

76

— Natomiast mnie brakowało dobrej córki. Uciekałaś ze szkoły. Puszczalaś się z kim popadnie. Latałaś...

— Nieprawda! — zaprotestowała wściekle. — A nawet gdyby, to co z tego?

— Ona się pyta, co z tego. Co z tego... — Pokręcił ze smutkiem głową. — Masz rację, Lucky. Nadajemy na różnych falach. Idź sobie, Lucky. Siedem lat i ani jednej pocztówki. Wspaniała córeczka. — Nagle ogarnęło go zmęczenie. Ktoś walił do drzwi. Otworzył je i do gabinetu wpadł blady, roztrzęsiony Costa.

— Zastrzelili Daria — wysapał. — Przed hotelem. Nie żyje.

— Jezu święty! — krzyknął Gino. — Matko jedyna! Lucky stała jak zahipnotyzowana.

Nagle Gino chwycił się za pierś i runął na sofę. Z jego ust dobył się cichy jęk.

— Co ci jest? — spytała spięta Lucky. — Co ci jest?! Znowu jęknął, twarz mu poszarzała. Raptem stracił całą młodość i wyglądał jak starzec, jak siedemdziesięcio-jednoletni starzec.

— To chyba... serce — wybełkotał. — Lepiej... wezwij... lekarza. Szybko...

Dopiero gdy otarł się o śmierć, zrozumiała, jak bardzo go kocha. Miał swoje wady, ale był jej ojcem. Jej Ginem. I kiedy leżąc w szpitalnym łóżku i walcząc o życie, szepnął jej do ucha, żeby się zemściła, żeby zadbała o honor i dobre imię rodziny, wiedziała, że bez wahania zrobi to, o co ją prosił.

Enzio Bonnatti. Przyjaciół. Ojciec chrzestny. Zdrajca.

Jadąc do jego domu na Long Island, była lodowato spokojna.

Zemsta? Czemu nie?

Za Santangelów i za Marca. Brat zrobić tego nie mógł — wszystko spadło na jej barki, a Lucky nigdy nie uciekała od rodzinnych obowiązków.

Zabójstwo Enzia Bonnattiego było oczywistym przypadkiem działania w samoobronie. Bonnatti próbował zgwałcić Lucky Santangelo i zastrzeliła go z jego własnego rewolweru. Sprawa nie trafiła nawet do sądu.

Z Lucky u boku Gino szybko wracał do siebie i powoli na

11

nowo odkryli bliskość, jaka łączyła ich przed śmiercią Marii.

Przeprowadzili się do Las Vegas.

— Weź „Magiriano”, dziecino — powiedział. — Ja wezmę „Mirage”.

Pewnego dnia zbudujemy coś razem.

Marzenie. Jednak Lucky wiedziała, że można je ziszczyć.

Przez rok byli nierozłączni. Teraz miała rywalkę: wdowę Martino.

W telewizji pokazywali stary film z Clintem Eastwoodem. Skończyła skręta i chwilę gapiła się w ekran. Lubiła Eastwooda, miał w sobie ów cichy erotyzm, który do niej przemawiał. Pewnie był świetny w łóżku.

Powoli zapadła w sen, lecz o świcie zbudził ją zapomniany koszmar.

Wstała, okryła nagość jedwabnym kimonem i obserwowała wschód słońca nad pustynią. Widok był piękny. Jeszcze wczoraj zadzwoniłaby do Giną i obudziłaby go, żeby dzielić z nim zachwyty. Ale w świetle poranka uzmysłowiła sobie jedno: to w porządku, że ojciec znalazł sobie kogoś, z kim spędzał noce. Lucky mogła być dla niego wszystkim, ale nie kochanką. Kto wie, może potrzebował kobiecego ciepła.

Może Susan Martino będzie dla niego dobra. Może.

8

Od czasu do czasu Olympia postanawiała odgrywać rolę matki doskonałej. Robiła to rzadko. Niezbyt za tą rolą przepadała. Jednak spotkanie z własną matką kazało jej podjąć ten wysiłek.

Charlotte ją onieśmielała. Swoją denerwującą poprawnością. Nie paliła ani nie piła. Na pewno nie brała narkotyków. Była szczupła, aktywna i straszliwie nudna. No i bardzo bogata. Ale na tym jednym, jedynym polu Olympia biła ją na głowę. Niewiele fortun mogło równać się z potężną fortuną córki Dimitriego Stanislopoulosa.

Niestety, w obecności Charlotty zawsze czuła się jak

małe dziecko, dlatego też przed wyjściem z domu usiadła w luksusowej łazience ojca — Piąta Aleja, olbrzymia garsoniera na dachu wieżowca — i wciągnęła nosem trzy działki koki. Dzięki zdradzieckiemu, białemu proszkowi poczuła się cudownie. Głęboki oddech, zerknięcie w lustro i była gotowa stawić czoło wszystkim i wszystkiemu.

Niania Mabel i Brigitte czekały przed głównymi drzwiami. Dziecko popatrzyło na matkę wielkimi jak spodki oczyma osadzonymi w pięknej jak z obrazka twarzyczce i spytało:

— Mamusiu, czy mogę zjeść hot doga?

— Co? — warknęła Olympia, stając przed lustrem w holu, żeby poprawić kołnierzyk kurtki z soboli.

— Amerykańskiego hot doga — powtórzyła cierpliwie dziewczynka.

— Oczywiście, że nie — ofuknęła ją Mabel. — Co ci przyszło do głowy?

— Mamo — spytała Brigitte, nie zważając na nianię. — Mogę?

— Hmm... — odrzekła dyplomatycznie Olympia, oblizując usta i wciągając policzki. — Zawsze słuchaj niani.

— Ona mówi, że nie — jęknęła Brigitte.

— W takim razie nie — odrzekła Olympia lekko podniesionym głosem.

— Idziemy.

Wymaszerowała z mieszkania, za nią niania i Brigitte. Do windy, na chodnik przed domem.

Z limuzyny wyskoczył szofer. Otworzył i przytrzymał drzwi. Dwóch znudzonych paparazzi uniosło aparaty.

Olympia uśmiechnęła się sztucznym, protekcyjnym uśmiechem i wyciągnęła do córki rękę. Ale Brigitte nagle znieruchomiała i wrzasnęła:

— Nienawidzę was wszystkich!

— Brigitte! — krzyknęła rozwścieczona niania Mabel. — Natychmiast przestań!

Wyczuwając, że kroi się coś więcej niż zwykle, ugrzechnione zdjęcie, paparazzi zaczęli pstrykać jak nawiedzeni.

Brigitte znalazła się w centrum uwagi, za czym przepadała, wrzeszczała więc jeszcze głośniejsze.

Olympia chciała wskoczyć do samochodu i zdystansować

79

się od żenującego incydentu. Ale czyż mogła? Drący się bachor był jej własnym dzieckiem — niestety — a przecież tego dnia miała odgrywać rolę matki doskonałej.

— Zrób coś, Mabel! — syknęła.

— Nie mogę, proszę pani. — Próby wciągnięcia Brigitte do limuzyny spaliły na panewce.

— O Boże! — wykrzyknęła Olympia. Jakiś paparazzo oślepił ją fleszem.

— Precz stąd, głupcze!

Zbierał się tłumek rozbawionych gapiów. Olympia nie mogła tego dłużej wytrzymać. Rozwścieczona chlasnęła córkę w twarz, chwyciła zaskoczone dziecko na ręce i wrzuciła je do samochodu.

Aparaty fotograficzne uwieczniły każdy moment.

Nazajutrz Dimitri oglądał zdjęcia córki wyzywającej się na wnuczce. Był zirytowany i zły. Zirytowany dlatego, że ciągle prosił Olymپیę, żeby unikała niepotrzebnej reklamy. Natomiast złość brała się stąd, że córka była jego cudowną Brigitte, dziecko, poza którym świata nie widział.

Cisnął gazetę na podłogę i chwycił słuchawkę telefonu. Kilkanaście

sekund później rozmawiał już z nianią Mabel.

— Pani odpoczywa — oznajmiła.

— To ją obudź — grzmiał Dimitri.

— Nie mogę.

— Obudź ją!

Mrucząc pod nosem, poszła obudzić chlebodawczynię. Olympia zaklęła i sięgnęła po telefon.

— Co jest? — warknęła. Odkąd w wieku dwudziestu jeden lat odziedziczyła fortunę, przestała się go bać.

Dimitri chwilę narzekał. Nadąsana Olympia chwilę słuchała. On wydawał rozkazy, mówił jej, jak zachowywać się w miejscach publicznych.

Ona puszczała jego uwagi mimo uszu.

— Co robisz w Las Vegas? — spytała, gdy przerwał dla nabrania oddechu.

— Wydają tu galowe przyjęcie na cześć Franceski Fern

80

— odrzekł po chwili milczenia. — To moja bliska przyjaciółka. Błagała mnie z Horacym, żebym przyjechał:

Olympia zdusiła arogancki śmiech. Boże! Ten człowiek doprowadzał ją do szału. Naprawdę wierzył, że nikt nie wie o jego romansie z primadonną Fern. Wiedzieli o tym dosłownie wszyscy. Pieprząc się, tych dwoje przemierzyło cały świat.

I on miał czelność wytykać jej incydent z paparazzi. Nie było sytuacji, w jakiej by go nie uwiecznili, do kompletu brakowało im tylko zdjęcia pokazującego, jak bryka w wyrze z którąś z tych dziwkowatych damulek.

— Kto przyjeżdża na galowe przyjęcie do takiej dziury jak Las Vegas? —

sztydziła.

Zmienił temat.

— Chcę zobaczyć Brigitte.

— Zostajemy tu do poniedziałku.

— Spróbuję przylecieć do was w sobotę. Moglibyśmy razem wrócić do Paryża.

— Dobrze. — Była zadowolona. Lepsze to niż powrót liniami pasażerskimi. Lubiła latać luksusowym odrzutowcem Dimitriego. Kiedy znajdzie czas, może kupi sobie taki sam.

Odłożywszy słuchawkę, wyciągnęła się na łóżku, dochodząc do wniosku, że jeśli tylko zignorować obecność paparazzi — a czyhali wszędzie, odkąd na pierwszej stronie „New York Post” ukazało się to słynne zdjęcie — Nowy Jork był miastem dość wesołym.

Dzień wcześniej gościła na herbatce u Charlotte. Wszystko poszło dobrze. Od tamtego wybuchu Brigitte zachowywała się idealnie. A Charlotte była tak zajęta zbliżającym się ślubem, że nie znalazła czasu na krytykowanie, chociaż owszem, nie omieszkała wspomnieć, że córka waży o pięć kilo za dużo i że przydałby się jej porządny lifting.

Później Olympia spotkała się z przyjaciółmi i spędziła cudowny wieczór; zabawę skończyli o drugiej nad ranem w „Studio 54”, które uwielbiała.

Tego dnia zjadła lunch w „21”, zrobiła zakupy na Madison Avenue, a teraz odpoczywała przed kolejnym wieczorem w mieście. Zastanawiała się, czy spotka pana Pośled-

81

niego. Miała nadzieję, że tak. Dwa dni bez seksu to o dwa dni za dużo.

9

Jess zjawiała się w gabinecie Matta Traynora w południe nazajutrz po zwolnieniu Lenniego. Przepęłniało ją słuszne oburzenie.

— Dlaczego wyrzuciłeś Lenniego?

Siedzący za biurkiem Matt spojrzał na rozzłoszczoną dziewczynę. Była taka piękna, tak wspaniale zbudowana, taka niska!

— Jessie, dziecko... — zaczął.

— Nie nazywaj mnie Jessie i nie nazywaj mnie dzieckiem. Wystarczy, jak dasz mi choć jeden powód.

Wiedział, co chciałby jej dać — czuł się przy niej dziwnie napalony. Ale wzruszył tylko ramionami i rzekł:

— Polityka wewnętrzna.

— Bzdura. Słyszałam, że wypadł rewelacyjnie.

— Zgadza się, sam mu to powiedziałem, ale przez niego ludzie przestawali grać.

Prychnęła, nie wierząc ani jednemu słowu.

— Jeśli to ma być powód, dlaczego nie wyrzucacie Ann Margret, Diany Ross, Toma Jo...

Uciszył ją władczym gestem ręki, zastanawiając się, jaka jest w łóżku i czy dobrze robi loda. Był pewien, że wspaniale.

— Dobra, już dobra, nie musisz mi recytować całej listy. Zjedźmy razem kolację i spróbuję ci to dokładnie wyjaśnić.

— Dzisiaj pracuję.

— To może jutro?

— Ditto.

— Kiedy masz wolny wieczór?

— Mam męża. Zapomniałeś?

— A co powiesz na późną kolację po pracy?

— Gdzie?

Zapraszał ją od dwóch miesięcy. To był pierwszy przełom.

82

- U mnie — odrzekł szybko. Roześmiała się głośno. Śmiała się jak szalona, ruda hiena, pocętkowana tysiącami piegów. Uważał, że jest najatrakcyjniejszą dziewczyną, jaką widział od lat.

— Co w tym złego? — spytał wojowniczo.

— Nic. Tyle tylko, że każda dziewczyna w mieście zna twój adres, wielkość i rozkład mieszkania, a nawet kolor twoich prześcieradeł.

— Często wydaję przyjęcia — odparł zadziornie.

— Aż za często. Dziwne, że jeszcze nie złapałeś syfa. Roześmiał się, mile połączony, że tyle o nim wie. Fakt,

syfa jak dotąd nie złapał, za to cała reszta odpowiadała prawdzie. Zabawa.

Czemu nie? Nadrabiał stracony czas. Rozwiódł się przed pięciu laty po dwudziestu czterech latach małżeństwa. To żona zażądała rozwodu, nie on.

Wariatka. Żadna baba nie podłapałaby lepszego męża. Pół roku za nią tęsknił i nagle doznał objawienia: odkrył radości życia zamożnego, wielce

wpływowego rozwodnika. Szybko stwierdził, że podczas jego małżeństwa dużo się w świecie zmieniło. Doszło do rewolucji seksualnej i żeby

zaciągnąć dziewczynę do łóżka, mężczyzna nie musiał już walczyć, knuć, obiecywać i wyznawać dozgonnej miłości. Od tamtej chwili Matt zaczął

żyć pełnią życia. A kiedy jego eks-żona — opóźniona w rozwoju feministka — postanowiła do niego wrócić, kazał jej się wypchać.

— To zjesz ze mną kolację czy nie? — spytał.

Jessssała chwilę kciuk; dziecięcy nawyk, którego nie mogła się wyzbyć.

Bardzo chciała się dowiedzieć, dlaczego Lennie został tak bezceremonialnie wyrzucony. Ale kolacja z Mattem Traynorem... Uch! Te srebrzyste, ondulowane włosy, te złote łańcuchy, ten lubieżny uśmiezek przyklejony do ust...

Jeśli już miała do niego pójść, nikt nie mógł zobaczyć ich razem. Ludzie pomyśleliby, że dopisał ją do listy swoich kochanek, a to byłoby zbyt upokarzające. Poza tym nie mogła zrozumieć, dlaczego się do niej przystawia. W takich jak ona Matt nie gustował. Jednak wyraźnie na nią leciał, co wykorzystała, załatwiając Lenniemu pracę w „Magiria-no”. Wystarczyło, że puściła mu kasetę i pokazała kilka

83

recenzji — w tym bardzo entuzjastyczną recenzję z „The Village Voice” — i Matt powiedział:

— Jasne, zaangażujemy go. Jeśli twierdzisz, że jest dobry, to mi wystarczy.

Przez to, że tak bezpardonowo pozbyli się Lenniego, wyszła na głupią. Wynajął samochód i w środku nocy wyjechał z miasta jak burza.

— Nie potrzebuję tej gównianej roboty. Wielkie dzięki, Jess. — Tak jej powiedział.

Wiedziała, że jak tylko się uspokoi, zrozumie, że to nie jej wina, i miała nadzieję, że kiedy zadzwoni do niej z przeprosinami, będzie w stanie wyjaśnić mu, co się właściwie stało.

A więc kolacja z Mattem.

— Dobra — powiedziała. Robił wrażenie zadowolonego.

— Po pracy? Westchnęła.

— Po pracy.

— Nie ekscytuj się tak. Kto wie, może ci się spodoba.

— Jestem wegetarianką.

Czy to znaczyło, że nie obciąża? Postanowił nie drażnić tematu.

— A więc dziś wieczorem. Jestem zachwycony.

— Dobrze, że przynajmniej ty.

— Słucham?

— Nie, nic.

Wynajęty chevrolet dowiózł go do Los Angeles o ósmej rano. Nieźle, zważywszy, że wyjechał z Vegas dopiero o wpół do czwartej.

W mieście było już parno, duszno i gorąco, co zapowiadało długi, upalny dzień.

Zjechał z autostrady na Bulwar Zachodzącego Słońca, skręcił w lewo i zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, dokąd się udać ani co robić. Był w LA tylko raz, kiedy obchodził trzynaste urodziny z mamą i ojcem.

Zatrzymali się wtedy w dolinie, u ciotki, gdzie spędzili pięć nudnych dni.

Główną

84

atrakcją wycieczki była wyprawa do Disneylandu, pamiętna dlatego, że podekscytowana mamusia trochę przyćpała, po czym odśpiewała hymn narodowy Indianinowi z drewna.

Dlatego też niezbyt dobrze znał miasto. Jednak po tym, jak ten srebrzystowłosy lizus wyrzucił go z pracy, natychmiastowy wyjazd z Las Vegas był absolutną koniecznością.

Wyrzucony z pracy. On, Lennie Golden. Wyrzucony. Wykopany.

Wywalony. Skreślony. Cholera jasna!

Zjechał do krawężnika i poszperał w kieszeni wypłowiałej koszuli w

poszukiwaniu słynnego notesu Goldena. Ów czarny notes był kroniką jego życia i Lennie nigdy się z nim nie rozstawał. Dwie gęsto zapisane stroniczki adresów i numerów telefonicznych w Los Angeles. Przyjaciele. Kontakty. Przyjaciele przyjaciół. Agenci. Kluby. Dojścia. I stara, kochana mamusia. Wybuchowa Alice Golden, żydowska mateczka, która na pewno nie ugotuje mu rosółu z kurczaka i nie spyta go o miłosne podboje.

Bardziej prawdopodobne, że zaproponuje mu skręta i opowie o swoich! Alice. Może wpadnie do niej na dwa dni, żeby obmyślić następny ruch. Nagle przypomniał sobie, że Alice ma nowego przyjaciela; sprowadziła go przed rokiem z Nowego Jorku. Sztuczne zęby, zakłopotany uśmiech — totalny palant. Nie, nie miał ochoty na jego towarzystwo. Sunął palcem w dół listy.

Jennifer. Cudownie apetyczna, słodkoustą blondyneczka, która porzuciła kurs aktorski w Nowym Jorku, żeby spróbować szczęścia w LA.

Susan i Shirlee. Bliźniaczki. Niedoszłe piosenkarki i aktorki — teraz podkładały głos w telewizyjnych reklamach.

Joey Firello. Kumpel po fachu, który przyjechał do Los Angeles kilka miesięcy wcześniej i już załapał się na regularne występy w telewizji.

No i oczywiście Eden. Nie rozstali się jak przyjaciele. Odeszła od niego burzliwie, wrzeszcząc i obrzucając go wyzwiskami. Eden, suka nad sukami. Piękna, złośliwa, dokumentnie porąbana. Chciał się z nią zobaczyć. Musiał się z nią zobaczyć. Może już porzuciła tego aktorzyne i zechce do niego wrócić.

85

Bez chwili wahania wyszperał w kieszeni dziesięciocen-tówkę i poszukał budki telefonicznej.

Po trzecim dzwonku usłyszał głos mężczyzny.

— Taa? — Zabrzmiał mało przyjazny głos. To ten aktorzyzna? Czy nowy gach? A może facet z biura zleceń?

— Z Eden Antonio poproszę — rzucił krótko.

— A kto mówi? — burknął tamten.

— Eee... Niech pan jej powie, że Lennie.

Dlaczego czuł się jak dwunastolatek próbujący zarwać pierwszą dziewczynę? I właściwie po co do niej dzwonił? Co jej powie?

Przyjechałem. Ot, tak sobie. Nie mam roboty. Ani kwaterunku. Eden każe mu się wypchać.

— Nie ma jej — powiedział facet i odłożył słuchawkę.

Eden Antonio nie była gwiazdą ani nawet gwiazdeczką, ale od czasu do czasu występowała w przedpołudniowych operach mydlanych i wiedziała, że dzięki temu dostanie w końcu poważniejszą rolę.

Siedziała pośrodku wielkiego łóżka, malując paznokcie u nóg.

— Kto dzwonił, skarbie? — spytała swego aktualnego przyjaciela, niskiego łysielca w drogim, szytym na miarę garniturze, w którym wyglądał nie po kalifornijsku.

Odstawiwszy telefon, Santino Bonnatti obojętnie wzruszył ramionami.

— Jakiś bubek. — Potoczył wzrokiem po sypialni, strzygąc paciorkowatymi, głęboko osadzonymi oczyma. Ta Eden była niczego sobie, ale mieszkała, że nie daj Boże. — Tak sobie myślę... — zaczął. — Może byś się tak stąd wyprowadziła, co? Wyszukowałbym ci porządną chałupę. Chciałabyś, hę?

Eden skoncentrowała się na paznokciach. Znała Santina Bonnattiego od półtora miesiąca, a od pięciu tygodni z nim sypiała. Paula Newmana to on

nie przypominał, ale według jej przyjaciółki, niejakiej Ulli, która ich sobie przedstawiła, Santino był okrutnie dziany i nie wzdragałby się przed zainwestowaniem w produkcję filmu, gdyby trafił podchodzący kontrakt.

86

— W czym on robi? — spytała Ullę. Przyjaciółka miała niepewny wyraz twarzy.

— Dokładnie nie wiem. Chyba czymś handluje. Import, eksport. Gruba ryba.

To wystarczyło, żeby wzbudzić żywe zainteresowanie Eden. Choć raz w życiu chciała mieć bogatego faceta, a nie jakiegoś gołego przystojniaczka, który mógł jej ofiarować tylko marzenia i łóżko.

To, że Santino miał żonę i czworo dzieci — mieszkali w Beverly Hills — zupełnie jej nie przeszkadzało. Nie chciała za niego wychodzić — chciała go tylko wykorzystać, dopóki nie znajdzie się tam, gdzie chciała się znaleźć.

— A dokładnie? — spytała z chłodnym opanowaniem. — Co masz na myśli?

Poprawił krawat i przyjrzał się swemu odbiciu w lustrzanych drzwiach szafy.

— Nie wiem — odrzekł enigmatycznie. — Mógłbym urządzić cię w jakimś domu. Byłoby mi łatwiej.

— Chcesz mi kupić dom? — Zawsze kuła żelazo, póki gorące.

— Taa — odparł wylewnie. — Czemu nie? Rzeczywiście, czemu nie, myślała podniecona. Ostatecznie pieprzę się z tym owłosionym kurduplem — najwyższa pora na małą rekompensatę. Dom byłby w sam raz.

Wyciągnęła długie, białe nogi, żeby przyjrzeć się z podziwem krwawoczerwonym paznokciom. Czarny peniuar rozchylił się, odsłaniając kępkę platynowych włosów łonowych, które regularnie farbowała.

— Bardzo bym tego chciała — odrzekła powoli.

Zastrzygł kaprawymi oczkami i utkwiał wzrok w jej kroczu. Co za baba. Napalona, aż miło. Znał ją ledwie od kilku tygodni, a już kupował jej dom. Nabrał ochoty na jeszcze jeden sztos, lecz wzywały go interesy. Zresztą zawsze mógł odwiedzić ją później.

— Zadzwoń do kumpla — powiedział. — To pośrednik handlu nieruchomościami, jest mi winien przysługę. Znajdziemy dla ciebie coś ładnego.

Uśmiechnęła się. Miała cienkie usta i małe, idealne zęby.

— Nie wątpię, skarbie.

87

— No, muszę iść.

— Ciężki dzień w biurze? — spytała ze współczuciem.

— Gdzie tam. Nie lubię siedzieć za biurkiem. Muszę odebrać towar.

Nie miała zielonego pojęcia, co Santino robi. Kiedy go o to pytała, za każdym razem mówił co innego. Jednego dnia importował oliwę z Włoch, a już nazajutrz handlował kolumbijską kawą. Ale bez względu na to, co naprawdę robił, nie ulegało wątpliwości, że ma forsy jak lodu.

Zapraszająco wyciągnęła do niego ręce.

— Dostanę pożegnalnego całuska? Dostała.

Odczekała, aż zamkną się za nim frontowe drzwi, przetoczyła się na brzuch, sięgnęła pod łóżko i wcisnęła guzik ukrytego urządzenia nagrywającego podłączonego do telefonu. Jeśli Santino myślał, że będzie

cenzurował jej rozmowy, to się grubo mylił. Poza tym fascynowało ją nagrywanie jego rozmów, zwłaszcza rozmów z jędzowatą żoną, która zawodziła z silnym włoskim akcentem.

Poprzedniego wieczoru też od niej dzwonił, i to dwa razy. Najpierw odbył skomplikowaną rozmowę na temat interesów — chodziło o przewóz towarów i o gigantyczne pieniądze — a potem zatelefonował do żoneczki, żeby powiedzieć jej, że jest w San Francisco i że nie wróci na noc.

Zakłamany łajdak. Jak inni. Bo który z nich nie kłamał? Który nie był łajdakiem? Eden dobrze o tym wiedziała.

Okazało się, że „jakiś bubek” to Lennie Golden. Na chwilę ogarnęła ją fala podniecenia — co on tu robi? Tu? Może dzwonił z Nowego Jorku. Puściła taśmę jeszcze raz.

Lennie Golden. Luksus, na jaki sobie pozwoliła. Przegrany palant. Ale palant seksowny, bystry i zabawny. Miał wspaniałe ciało. O tak, brakowało jej tych cudownych chwil, jakie spędzili w łóżku. Właściwie to brakowało jej nawet ich kłótni. A mieli za sobą kilka tęgich awantur!

I nagle o czymś sobie przypomniała. Lennie Golden. Ślepy zaułek. Tacy jak on nigdy do niczego nie dochodzili. Tymczasem ona, Eden Antonio, zamierzała dotrzeć na sam szczyt — z niewielką pomocą przyjaciela.

88

W podziemnym garażu czekał samochód i szofer. Ochroniarz Santina, Czarny, dołączył do niego już w windzie. Bonnatti nie ruszał się nigdzie bez obstawy. W tym fachu bardzo jej potrzebował. Nie było powodu, dla którego musiałby niepotrzebnie ryzykować, a odwiedziny w podrzędnej klitce, w jakiej mieszkała Eden, z takim ryzykiem się łączyły.

— Przypomnij mi o czymś — powiedział Bonnatti. — Muszę załatwić tej

lasce jakąś chałupę.

Czarny kiwnął głową.

— Tak, szefie.

Santino wyjął z kieszeni buteleczkę sprayu i psiknął sobie w usta. Eden go intrygowała. Była piękna, zimna i lubiła wykorzystywać ludzi.

Okiełznanie takiej kobiety mogło być interesujące. Brała go za naiwniaka, myślała, że da się łatwo oskubać. Cóż, jeszcze Santina nie знаła, prawda?

Ale go pozna. Kiedy nadejdzie ku temu pora. Nie wcześniej.

Wayland nawet nie zapytał, gdzie Lennie, dlatego Jess nie odczuwała potrzeby wyjaśniania powodu jego nagłego wyjazdu.

Wróciła do domu po spotkaniu z Mattem Traynorem, rozebrała się i legła w przerośniętej trawie nad brudnym basenem.

Wayland był oszołomiony — jak zwykle do tego stopnia zaćpany, że nie obchodziło go, co się komu przydarzyło. Dziecko spało w wiklinowym koszyku pod drzewem. Jess ogryzała skórę przy paznokciu i rozmyślała o swoim życiu. Nie było doskonałe. Ale czyje było? Jednak na pewno mogła wylądować dużo lepiej.

Dlaczego wyszła za Waylanda?

Czy siedmiomiesięczna ciąża to wystarczający powód?

Może. A może nie. Mnóstwo ludzi miało dzieci, nie żeniąc się i nie wychodząc za mąż. Tak, ale może nie mieli matki umierającej w szpitalu na raka. Matki, której żarliwym pragnieniem było zobaczyć jedynaczkę u boku męża.

To naprawdę zabawne: przez trzydzieści lat żyły z sobą

89

jak pies z kotem — nadszedł czas próby i zrobiłaby wszystko dla kobiety,

która wydała ją na świat. Dlatego wyszła za Waylanda, człowieka, jak się wtedy wydawało, względnie normalnego i w niczym nie przypominającego wiecznie zaćpanej mumii, jaką był teraz.

Miał u niej jak u Pana Boga za piecem. Miał żonę, która harowała w kasynie jak wół, sprzątała w domu, doglądała dziecka i zaopatrywała go w prochy. Czegóż jeszcze mógłby pragnąć mężczyzna? Mężczyzna. Śmiechu warte. Od miesięcy z nią nie sypiał. Wolał ćpać. Ćpanie i seks nie zawsze szły w parze. Miała to gdzieś. Dobrze, że jej nie dotykał. Nigdy nie brał prysznicu, włosy miał zawsze brudne, a zęby zaczynały mu się psuć, bo nie mógł zrzucić paskudnego nawyku jedzenia czystego cukru i pożerał go całymi łyżkami prosto z torebki. Obrzydliwe!

Westchnęła przeciągle i smutno. Wyjazd Lenniego ją przybił. Niewiele z sobą przebywali, a żywiła nadzieję, że kiedy porozmawiają, tak od serca, Lennie pomoże jej i doradzi. W głębi duszy liczyła na to, że wyciągnie ją z tego bagna. O matce mu nie wspomniała, nie chcąc denerwować go już pierwszego dnia w mieście. Teraz było za późno. Myślał, że Jess się puszcza. Ha! Kto miał na to czas, siłę i ochotę? Dzielila dobę między dom, szpital i kasyno.

Patrzyła na męża i nienawidziła go. Kiedy spotkali się pierwszy raz, widziała w nim człowieka łagodnego, wyrozumiałego i miłego. Fakt, może trochę ekscentrycznego, lecz Wayland był artystą. Pokazał jej album ze swoimi znakomitymi rysunkami. Odkąd się pobrali, nie przyłożył ani ołówka do papieru, ani pędzla do płótna na sztaludze. Wayland nie był łagodny, tylko słaby. Nie wyrozumiały, tylko leniwy. I głupi, a nie miły. Prychnęła z odrazą i dziecko się rozplakało. Wayland ani drgnął. No jasne. Przynajmniej miała wspaniałego syna — ich związek zaowocował czymś

wartościowym.

Szła powoli do domu, myśląc o kolacji z Traynorem. Nie była tą perspektywą zachwycona, ale może dowiedziawszy się prawdy, namówi Matta do ponownego zaangażowania Lenniego.

90

Och, gdyby tylko zdołała! Potrzebowała przyjaciela, i to teraz.

No i po ptakach. W sumie nawet mu ulżyło, bo nie był przygotowany do rozmowy z Eden. Najpierw musiał się jakoś ustawić, dopiero potem do niej zadzwonił.

Skoro już sterczał w budce, postanowił zatelefonować do matki. Nowy gach mógł się tymczasem wyprowadzić, z Alice nigdy nic nie wiadomo. Musiała kupić sobie automatyczną sekretarkę, bo usłyszał jej wesoły, lekko ochrypły głos: „Sie masz! Mówi Alice. Nie ma mnie.

Rozczarowany? Dlaczego? Zostaw swoje zamiary tutaj (chichi-chichi) wymiary i jeśli będziesz miał szczęście, oddzwonię”.

Aż się skulił z zażenowania. Właściwie dlaczego? Przecież do tej pory powinien był nauczyć się akceptować ją taką, jaką jest. Wybrał numer Joeya Firello. Też go nie było. Zadzwonił do bliźniaczek.

Odebrała Shirlee. Wywrzeszczała kilka słów powitania i kazała mu natychmiast przyjeżdżać na śniadanie. Uznał, że to dobry pomysł. Poza tym nie miał dokąd pójść.

10

Rano Lucky czuła się wspaniale. Wróciła do Vegas, świeciło słońce — nie mogła zrozumieć, dlaczego Gino i wdowa Martino tak bardzo ją poprzedniego dnia zdenerwowali. To tylko epizod. Kobieta na parę nocy. Trochę inna od pozostałych. Nieustanna parada szansonistek dobiłaby

każdego faceta.

Uśmiechnęła się. Dobry, stary Gino. Ciągle miał ikrę. Miast się wściekać, powinna być z niego dumna. A dzisiaj wszystko wróci do normy. Ot, dzień jak co dzień.

Wesoło wyskoczyła z łóżka, zrobiła kilka ćwiczeń izo-metrycznych, wzięła lodowaty prysznic. Na ułamek sekundy stanęła jej w oczach uśmiechnięta twarz Marca. Taka śniada i męska...

Odpędziła natrętną zjawę i pomyślała o swoim podrywie

91

poprzedniego wieczoru. Na szczęście facet nie był zbyt napalony, bo rano by tego żałowała. Co za głupota z jej strony. Że też musiała wybrać właśnie jego, pracownika hotelu. Miała nadzieję, że Matt spełnił jej polecenie i wyrzucił go z pracy.

Wyszła z kabiny, strząsnęła krople wody z czarnych, lśniących włosów i nałożyła biały frotowy strój do joggingu. Zaczęła biegać w Atlantic City i bardzo to polubiła. Za hotelem urządzono trasę biegową i zamierzała z niej skorzystać.

Na dole tłoczyli się poranni gracze. Metaliczny brzęk automatów wypełniał kasyno dwadzieścia cztery godziny na dobę, co utwierdzało ją w świadomości, że wszystko jest w porządku. Wypiła w barku sok pomarańczowy, pogawędziła z dwoma strażnikami, potem weszła do sali gimnastycznej, gdzie zastała Boogiego. Dźwigał ciężary.

— Hej, hej! — wykrzyknęła. — Co z tobą?

Był zażenowany, że go przyłapała. Wysoki, szczupły, kościsty i szybki, nigdy w życiu nie myślał o wzmocnieniu muskulatury.

— To pewnie miłość — szepnęła zmysłowo Lucky. Pomachała do niego i

wybiegła na trasę.

Poranek Gina upłynął nieco leniwiej. Susan obudziła go — znowu przyniosła do łóżka tacę z łakociami — musnęła wargami jego usta i powiedziała:

— Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że ktoś może mnie tak uszczęśliwić.

Z uśmiechem odpędził resztki snu. Babka miała klasę, i to jaką.

— Ty też odwaliłaś kawał dobrej roboty. — Postanowił kupić jej prezent, coś z drogiej biżuterii.

Pokazała w uśmiechu perłowe ząbki i odgarnęła włosy. Rano wyglądała jak milion dolarów.

Przesunął palcem po dekolcie jej beżowego peniuaru na ramiączkach.

— Mówili ci już, że masz wspaniałe cycki?

— Gino!

92

— Co się stało? Nikt ci tego nie mówił?

— Nie tymi słowami. Roześmiał się lubieżnie.

— Dama pełną gębą. Właśnie to mi się w tobie podoba.

— Ach, więc tylko to... — wymruczała uwodzicielsko.

— To i twoje wspaniałe cycki!

Wsunął ręce za dekolt. Niezauważalnie drgnęła, lecz nie zaprotestowała.

Popieścił sutki, nakierował jej dłoń na członek. Susan zręcznie się odsunęła.

— Czas na śniadanie — zaszcebiotała. Wzwiedziony penis posłusznie opadł.

— Moment — zaprotestował Gino. — Ostatnią osobą, która kazała mi

zjeść śniadanie, była wysoka jak wieża pielęgniara z zarostem na podbródku.

— Jedz. Palce lizać. Uśmiechnął się.

— Wolałbym wylizać ciebie.

— Gino! Czasami zastanawiam się, czy masz siedemdziesiąt czy siedemnaście lat.

— Zastanawiaj się dalej, złotko. Lubię, kiedy trudno to zgadnąć.

Po dwudziestominutowej przebieżce wskoczyła do olimpijskiego basenu, żeby trochę popływać. Przepłynęła dwadzieścia pięć długości, z czego była bardzo zadowolona, bo dawno nie ćwiczyła. W drodze na górę zaszła do Matta, lecz go nie zastała.

Usiadła za biurkiem i zadzwoniła do Giną. Jego też nie było. Nachmurzyła czoło. Spędził u wdowy Martino dwie noce z rzędu? Aż dwie noce, choć uwielbiał własne łóżko? Dwie noce intensywnego seksu, co mężczyźni z osłabionym sercem na pewno nie wyjdzie na zdrowie.

Zmarszczyła brwi. Dzień nie był już taki słoneczny. Musiała podjąć kilka ważnych decyzji, a on się puszczał.

— Niech zadzwoni do mnie, jak tylko wróci — poleciła telefonistce. — Aha, i proszę mu powiedzieć, że to pilne.

93

Zanim Gino się ubrał, żeby porzucić wygody wynajętego domu Susan Martino, minęło południe. Susan, ubrana w nieskazitelnie biały strój do tenisa, siedziała pod parasolem na patio, sącząc mrożoną herbatę z miętą.

— Chcesz? — spytała.

Wciąż był w żartobliwym nastroju.

— Zależy, co masz na myśli.

— Herbatę, skarbie, herbatę. Nawet supermen nic by z siebie dzisiaj nie wykrzesał. Nie w taki dzień.

— A co robisz wieczorem? Chcesz zjeść kolację ze mną i z Lucky?

W jej starannie modulowanym tonie głosu zabrzmiała nutka zdziwienia.

— Zawsze jadasz kolację z córką?

— Hę? Tak, prawie zawsze. Tak jakoś wyszło.

— Czy ona nie ma żadnego przyjaciela? Wzruszył ramionami.

— Kiedyś miała męża. Facet był kompletnym zerem. To moja wina.

— Dlaczego?

— Wydałem ją za mąż, kiedy była bardzo młoda. Myślałem, że dzięki temu uniknie kłopotów. Rozwiodła się z nim, kiedy siedziałem za granicą.

Teraz Lucky to firma. Zna się na interesach nie gorzej ode mnie.

— I zawsze spędzacie razem wieczory? — spytała oschle Susan.

— To nam odpowiada.

Ale mnie nie, pomyślała. Nie, powiedzieć tego, oczywiście nie powiedziała. Uśmiechnęła się tylko i wymruczała:

— Cudownie. Zjemy kolację razem. Lucky to taka interesująca dziewczyna. Z przyjemnością poznam ją bliżej.

Pierwszy zadzwonił Matt. Mówił zimnym głosem.

— Jesteś na mnie wkurzony? — spytała.

— A skąd. Uwielbiam zrywać się z łóżka o drugiej nad ranem i wyrzucać z pracy pierwszorzędnego komika, który niczym sobie na to nie zasłużył.

To wdechowe zajęcie.

94

— Wdechowe? Nie używaj tego słowa. Mówisz jak człowiek z epoki kamienia łupanego.

— Dziękuję.

— Nie ma za co. — Nastąpiła długa chwila ciszy, którą w końcu przerwała. — Kogo zaangażujesz na jego miejsce?

— Śpiewającą zakonnice. Ludzie popędzą do stołów całymi hordami.

— Ha, ha, ha. Był zdenerwowany?

— No pewnie, że był zdenerwowany. Biedak, zmiażdżyłem mu ego.

— I dobrze. — Zamilkła. — Zapłaciłeś mu za dwa tygodnie? — spytała po chwili.

— Dałem mu nawet premię.

— W takim razie wszystko w porządku.

— Skoro tak uważasz.

Lennie Golden. Odłożyła słuchawkę z nadzieją, że już nigdy w życiu nie będzie musiała go oglądać. Był pierwszym mężczyzną, który odrzucił jej zaloty. Mimo to... nawet gdyby stanął na wysokości zadania, i tak by go wyrzuciła. Dał się wplątać w patową sytuację. Z własnej winy, bo to przecież on wszystko zaczął — po południu nad basenem — uderzając do niej niczym ogier roku. Oczywiście, pod względem fizycznym był niezaprzeczalnie pociągający. Ale nie w jej typie, bo nie przepadała za urodą Roberta Red-forda. Woląca mężczyzn śniadych, ciemnowłosych, twardych, mających w sobie coś złowieszczonego. Zresztą za kogo się ten neptek uważał? Nie cierpiała takich facetów.

Nagle dostrzegła zabawną stronę całej sytuacji. Najwyraźniej nie chciał mu stanąć. Tak, Lennie Golden mógł to robić tylko na swój sposób.

Miała nadzieję, że dostał nauczkę.

Na małym palcu wdowy Martino lśnił czysty żółty brylant.

Gino nie przestawał się uśmiechać.

Lucky łypała na nich spode łba.

Jeszcze jeden cudowny wieczór. Tym razem tylko we troje. I uwagi tej larwy. Ironiczne, złośliwe — Lucky wiedziała, że są to oznaki poważnego niebezpieczeństwa.

95

Naturalnie wszystko było bardzo cywilizowane. Susan, taka spokojna i czarująca. Z tym, że Lucky umiała wychwycić każdą wymierzoną w nią szpilę.

Nie, nie połknęła przynęty. Czowała, że Martino próbuje ją zrobić i nie zamierzała wybuchnąć w obecności Gina. Susan na pewno by tego chciała. Susan chciała otwartej konfrontacji.

Dlatego Lucky trzymała nerwy na wodzy. Uśmiechała się, zbywała ogólnikami impertynenckie pytania, śmiała się, żartowała, ale jej czarne oczy cały czas tryskały furją, że ta zachłanna kobieta wtargnęła do ich życia.

— No i co o niej myślisz? — spytał z dumą Gino, kiedy Susan wyszła w końcu do toalety.

Myślę, że zaczynasz cierpieć na uwiad starczy. Myślę, że to podstępna cipa.

— Myślę, że jest... eee... — Szukała odpowiedniego przymiotnika. — Atrakcyjna. — I żartobliwie dodała: — Ale czy nie odrobinę za stara dla słynnego Ogiera?

Nazwała go przydomkiem z czasów młodości; o tym aspekcie jego życia wiedziała od Costy.

Gino pomacał palcem prawie niewidoczną bliznę na policzku — jeszcze jedno wspomnienie z odległej przeszłości — i uśmiechnął się smutno.

— Nie chcę dwudziestolatki, bo dwudziestolatki nie umieją rozmawiać. Nie chcę trzydziestolatki, bo wszystkie trzydziestolatki chcą się tylko załapać. Susan jest w sam raz.

— A ile ona ma lat?

— Nie wiem i wcale mi to nie przeszkadza. Czterdzieści parę. Kogo to obchodzi?

Czterdzieści parę. Kaktus mi tu wyrośnie. Ma co najmniej pięćdziesiąt.

— Musiała być bardzo młoda, kiedy wyszła za Tiny'ego. Byli z sobą trzydzieści lat, prawda? — wypaliła bez owijania w bawełnę.

— Nie, raczej dwadzieścia.

— Czytałam, że trzydzieści.

— Tak?

Przynajmniej zdołała wzbudzić w nim podejrzenie, że wdowa Martino jest starsza, niż myślał.

96

- Przepraszam, skarbie. — Wróciła przypudrowana, wyszminekowana i pachnąca „Youth Dew” Estee Lauder.

Lucky zdławiła wściekłość. Nie miała zamiaru siedzieć z nimi ani chwili dłużej.

— Przejdę się po kasynie. Nie macie nic przeciwko temu, prawda?

Czy mieli coś przeciwko temu? Nie zareagowałiby nawet wówczas, gdyby rozpędziła się i skoczyła z hotelowego dachu.

11

Bliźniaczki powitały go wylewnie. Nie widział ich od półtora roku i zdumiała go transformacja, jaką w tym czasie przeszły. W Nowym Jorku były dwiema przeciętnymi dziewczynami. Owszem, nawet dość

atrakcyjnymi, ale na pewno nie oszałamiająco pięknymi. A tu miał przed sobą prawdziwe seksbomby, które przechodząc przez jezdnię, powodowały uliczne korki. Platynowe włosy (przedtem my-szowate), zgrabnie wymodelowane noski, lśniąca opalenizna, wspaniałe ciało i pneumatyczny biust (kalifornijski silikon najprzedniejszego gatunku).

— Nie wierzę własnym oczom! — wykrzyknął.

— Kosztowało fortunę, ale nie żałujemy ani jednego centa — odrzekła Suną.

— Ani jednego — zgodnie potwierdziła Shirlee.

— Wyglądasz strasznie — skonstatowały chórem.

— Wielkie dzięki. — Naprawdę tego potrzebował. Mieszkały w maleńkim drewnianym domku na Keith Avenue. Parter, martwe rośliny na ganku, wiszące doniczki, koszyki i zwiędłe dzikie wino. W środku mieszanina mebli z Armii Zbawienia i tanich gratów. Za domem miniaturowe podwórko, przed domem zdezelowany „garbus”.

Bliźniaczki miały na sobie obcisłe, jednoczęściowe trykoty, a na nogach białe sandały na wysokim obcasie. I były identyczne.

— Co ty tu robisz, Lennie? — spytały chórkami. Posadziły

97

go na zwichrowanej kozetce i usiadły jedna z lewej, druga z prawej strony. Roześmiał się.

— Naprawdę nie wiem. Dopiero co przyjechałem i nie mam żadnych planów.

— Z Nowego Jorku? — spytała Shirlee.

— Kawał drogi — dodała Suną.

— Nie, z Vegas — wyjaśnił.

— Z Vegas? — wykrzyknęły. — Co tam robiłeś?

— To krótka historia. I nudna. Pomyślałem sobie, że spróbuję w LA. Shirlee wstała i przeciągnęła się. Nie mógł oderwać oczu od ich wspaniałych ciał. Shirlee popatrzyła na niego znacząco.

— Widziałeś się z Eden?

— Z jaką Eden? — spytał z kamienną twarzą.

— Przestań, Lennie — westchnęła Suną. Spróbował przybrać nonszalancki wyraz twarzy.

— Eden ciągle tu jest? — rzucił od niechcienia.

— Owszem — odparła Shirlee.

— I jak sobie radzi — dodała Suną.

Chciał spytać, gdzie mieszka, z kim? Czy nadal tak cudownie wygląda, czy za nim tęskni?

Opanował się z trudem i spokojnie spytał:

— Ciągle chodzi z tym aktorzyną? Jak mu tam... Tim Wealth czy jakoś tak?

Bliźniaczki wymieniły spojrzenia. Ani jedna, ani druga nie chciały powiedzieć Lenniemu, że Eden Antonio załapała się na niskiego, żonatego łyśielca o tajemniczej profesji i że jest nikim więcej jak zwykłą utrzymanką.

— Chyba nie — odrzekła Shirlee i szybko zmieniła temat. — Masz tu agenta?

— Nie. Ale mam od metra numerów, pod które mogę zadzwonić.

Suną pokręciła głową.

— Musisz mieć agenta — powiedziała ze znajomością rzeczy. — Bez

agenta nikt tu daleko nie zajdzie. To nie Nowy Jork, gdzie wystarczą dobre koneksje.

- No to wezmę agenta, żaden problem. A wy? Co ro-

98

bicie? Poza tym, że wyglądacie jak żywe wcielenie Marilyn Monroe...

— Jesteśmy na topie! — wykrzyknęła Shirlee.

— No, prawie — dodała Suną.

— Biorą nas do serialu — powiedziała Sherlee.

— Koniec z podkładaniem głosu — entuzjasmowała się Suną. — Od tej pory wszystko albo nic!

— Ten dom wyda ci się norą — tłumaczyła poważnie Shirlee — ale jest znakomicie położony. O przecznicę stąd jest Santa Monica, a trzy przecznice dalej Beverly Hills. Zdajesz sobie sprawę, jak ważna jest lokalizacja?

Nie, z tego sprawy sobie nie zdawał, za to zrozumiał, że stojące przed nim lalki Barbie nie są już dziewczętami, które kiedyś znał i lubił. Nie tylko ich ciała przeszły transformację.

— Widujecie się z Eden? — spytał mimochodem; nie mógł się powstrzymać i wrócił do tematu.

— Widywałyśmy się zaraz po przyjeździe — odrzekła Suną.

— Tak, zanim została wielką aktorką i przestała oddzwaniać — prychnęła Shirlee.

— Wielką aktorką?

— Dostała rolę w jakimś przedpołudniowym serialu i myśli, że jest lepsza niż inni. Ale sądziłam, że między wami wszystko skończone.

— Tak. Po prostu ciekawiło mnie, jak Eden sobie radzi. Można skorzystać

z telefonu?

— Jasne — odrzekły jednocześnie. — Tylko wrzucić pieniądze do odpowiedniego pudełka.

Obok aparatu telefonicznego w zawałonej naczyniami kuchni stały dwa pudełka. Na jednym widniał napis: „ROZMOWY MIEJSCOWE”, na drugim: „ROZMOWY ZAMIEJSCOWE”. Nie miał zielonego pojęcia, gdzie jest Marina del Rey, więc wrzucił po dolarze do każdego z nich.

Automatyczna sekretarka u matki wciąż czuwała.

Pod wpływem nagłego impulsu zadzwonił do centrali i poprosił o połączenie z hotelem „Magiriano” w Las Vegas. Z jakiegoś powodu miał ochotę porozmawiać z tą czarnooką dziewczyną.

99

Kiedy zgłosiła się centrala hotelowa, spytał o apartament numer jedenaście dwadzieścia dwa.

— Przykro mi, ale w tym apartamencie nikt nie mieszka — odrzekła telefonistka.

Już się wyprowadziła? Tak szybko?

— Czy może mi pani podać nazwisko osoby, która wczoraj go zajmowała?

— Apartament numer jedenaście dwadzieścia dwa jest wolny od pięciu dni.

— To niemożliwe.

— Przykro mi, proszę pana. Od pięciu dni nikt tam nie mieszka. — Odłożyła słuchawkę.

Cholera! Pewnie pomylił numery. Teraz nie było już sposobu na sprawdzenie jej nazwiska i chociaż zachował się jak ostatnia fujara, wciąż

miał ochotę się z nią zobaczyć. Dlaczego to właśnie do niej miałby należeć ostatni ruch?

— Co się stało, Lennie? — mruknęła Suna, wchodząc niespiesznie do kuchni.

Pewnie sprawdzała, czy wrzucił pieniądze do pudełka.

— Nic. Nie mogę się do nikogo dodzwonić.

— Skąd ja to znam. — Włożyła palec do słoika z dżemem, po czym go oblizała.

Zastanawiał się, czy zaproponują mu obiecane śniadanie, chętnie napiłby się chociaż kawy. Do kuchni weszła Shirlee.

— Gdzie się zatrzymasz?

— Nie wiem. Zadzwoń do was, jak coś znajdę.

— Koniecznie — powiedziała Suna.

— Tak, koniecznie — zawtórowała Shirlee niczym echo.

— O mój Boże! — wykrzyknęła Suna, zerknąwszy na zegar ścienny.

— Muszę się pospieszyć, spóźnię się na lekcję tańca.

— Ja też! — dodała Shirlee. I było już po śniadaniu. Lennie szybko wyszedł.

— Dlaczego akurat na parkingu? — mruknął Matt.

— A dlaczego nie? — odrzekła Jess, wskakując do jego

100

białego excalibura za pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Miała nadzieję, że nikt jej nie widział.

— Mażna by pomyśleć, że nie chcesz się ze mną pokazywać — burknął.

— Bzdura — odparła krótko. — Po prostu wydawało mi się, że to najodpowiedniejsze miejsce.

— No jasne. — Zaczął bawić się złotymi łańcuchami.

— Jedźmy — rzuciła niecierpliwie.

— Po co ten pośpiech?

— Jaki pośpiech? Możemy siedzieć tu całą noc, jeśli cię to podnieca.

— Ty mnie podniecasz.

— Jedziemy czy nie?

Uruchomił silnik i całą drogę pędził jak wariat. Na Jess nie wywarło to wrażenia. Jeszcze mniejsze wrażenie zrobiła na niej świątynia złego gustu, do której ją wprowadził.

— Jezu, masz chatę jak z „Playboya”! — wykrzyknęła. Wziął to za komplement i nawet jej podziękował. Powstrzymała się od kilku innych komentarzy, dochodząc

do wniosku, że jeśli ma wyciągnąć z niego jakieś informacje, lepiej być grzeczną. Szczerze mówiąc, wyglądał żałośnie — starzejący się lowelas, który za nic nie chce przystopować. Gdyby zachowywał się jak na jego wiek przystało, gdyby cisnął w kąt te złote łańcuchy, przestał ondulować włosy i ubierał się inaczej, byłby całkiem atrakcyjnym mężczyzną w średnim wieku. Pięćdziesięciolatek w spodniach a la Tom Jones nie przedstawia sobą pięknego widoku. Tak, musiał mieć co najmniej pięćdziesiątkę — świadczyły o tym zmarszczki na twarzy. Co dalej? Mały lifting?

Pstryknął kilkoma przełącznikami i salon zalała różowa-wa poświata.

Jednocześnie z głośników popłynął śpiew Sinatry, a nad barkiem zamrugał napis: „U MATTA”.

— Chryste! — wymamrotała cicho, opadając na wykładaną adamaszką kozetkę.

— Szkocka? — spytał troskliwie Matt, stojąc za barkiem z butelką w ręku.

— Coka — odrzekła szybko.

— Nie mam koki. Ale zostało mi trochę trawki.

— Miałam na myśli coca-colę.

101

— Ze szkocką?

— Czystą.

— Nie pijesz?

— Czasami piję.

— Ale nie dzisiaj?

— Może później.

Poprawił mu się humor. „Może później”. To oznaczało, że Jess nie zamierza szybko wychodzić. Kto wie, jeśli będzie miał szczęście, może spędzi z nim całą noc. Albo jeśli szczęście dopisze jej — zależy, jak na to patrzeć.

Nie ulegało wątpliwości, że apartament bardzo jej się podoba. Od chwili kiedy przekroczyła próg, nie przestawała się rozglądać.

— Chcesz, żebym oprowadził cię po mieszkaniu? — spytał, podając jej colę w zdobionej inicjałami szklance. Niech no tylko zobaczy sypialnię!

— Nie teraz.

— Dlaczego?

— Bo jestem głodna, a zaprosiłeś mnie na kolację. Zapomniałeś?

Jak mógłby zapomnieć? Zamówił wspaniałe jedzenie. Tyle tylko, że mieli je dostarczyć dopiero za godzinę. Żywił nadzieję, że zdoła zaciągnąć ją do łóżka przed kolacją. Nie cierpiał kochać się z pełnym żołądkiem, miał

potem zgagę.

— Jess — powiedział przymilnie — musisz wiedzieć, że od roku nie widziałem fantastyczniejszej dziewczyny.

Usiadł, objął ją i niby przypadkowo musnął dłonią jej prawą pierś.

Wyrwała się.

— Przestań, Matt. Przyszłam tu, bo chcę coś zjeść i czegoś się dowiedzieć, więc nie obmacuj mnie i skończ z tymi głupimi tekstami, dobra?

Bliźniaczki go przygnębiły. Przemiana, jaką przeszły, zupełnie nie przypadła mu do gustu. Przestały wyglądać jak normalne dziewczyny, były niczym dmuchane lalki, jakich pełno w porno shopach na Times Square.

Wielu mieszkańców Nowego Jorku uważało, że Los Angeles to

102

samo dno. Że to kraina fantazji — nic tylko obciążanie i rypanie, słońce i seks.

Cóż w tym złego?

Dużo. Jeśli nie można tu robić nic poza tym. Wizyta u Suny i Shirlee dowiodła, że nie można.

Wstąpił na kawę i jajka i po raz trzeci spróbował dodzwonić się do Alice w Marina del Rey.

Odpowiedziała po drugim dzwonku:

— Cześć, tu Alice Golden. Czym mogę służyć? — Jej głos brzmiał zmysłowo.

— Dopraszasz się o nieprzyzwoity telefon — zażartował.

— Lennie, kochanie! Po co dzwonisz? Coś się stało?

Ileż mówiło to o ich związku. Alice i przyjacielska rozmowa matki z

synem? To nie dla niej. Alice natychmiast przechodziła do rzeczy.

•

— Nie, nic się nie stało — odrzekł. — Jestem w LA.

— Po co przyjechałeś?

Czyżby usłyszał w jej głosie nutkę niepokoju? Alice nie dopuszczała do siebie świadomości, że ma trzydziestoletniego syna. Czowała się przez to jak staruszka.

Z kieszeni na piersi wygrzebał papierosa i zapalił.

— Miałem angaż w Las Vegas i pomyślałem sobie, że wpadnę z wizytą.

Panika.

— Do mnie?

— Nie. Do Los Angeles.

Po cholere miałby ją odwiedzać? Przecież to tylko jego matka.

— To miło.

— Taa... Może znajdę tu jakieś dojsčia i podłapię robotę.

— Cóż, kochanie, w Los Angeles zawsze można znaleźć jakieś dojsčia.

— No i pomyślałem sobie, że skoro już tu jestem, to może cię odwiedzę.

Długa chwila milczenia. Jak ciepło go witała. Cudowne uczucie!

Skrócił jej męczarnie.

— Chyba, że ci to nie pasuje.

— Kochanie! Jesteś taki wyrozumiały — rzekła wylewnie.

103

— Mam nowego „przyjaciela”. Bierze mnie za czterdziestolatkę. Nie chcę go zaskakiwać. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

— A kiedy?

— Co kiedy?

— Kiedy go zaskoczysz? Roześmiała się piskliwie.

— Mam nadzieję, że nigdy. Facet ma ikrę!

— Cieszę się, że jesteś szczęśliwa.

— Aż do ekstazy.

— A co się stało z tą ofertą ze sztucznymi zębami?

— To już przeszłość, kochanie.

— Zadzwoń.

— Jeśli odbierze mężczyzna, odłóż słuchawkę!

— Nie śmiałybym zrobić nic innego.

— Jesteś takim dobrym chłopcem. I takim utalentowanym! — Nagły przebłysk sumienia. Może jednak powinna coś mu ofiarować, ostatecznie był jej synem, krwią z krwi, ciałem z ciała, i kochała go, na swój specyficzny sposób naturalnie. — Pamiętasz moją przyjaciółkę Rainbow?

— I nie czekając, aż potwierdzi albo zaprzeczy, ciągnęła: — Wyszła za tego meszugenera Foxiego, no wiesz, tego z klubu na Hollywood Boulevard. Może znajdzie coś dla takiego śmieszka jak ty. Wspomnij o swoim ojcu, zawsze miała na niego chrapkę. — Roześmiała się wesoło. — Nie zdziwiłabym się, gdyby ciupciał ją za moimi plecami. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Myślisz, że robiłam z tego wielkie aj-waj? Myślisz, że się nie bawiłam? Lennie, w Vegas ganiłi za mną wszyscy faceci. Wszyscy! — Chwila pełnego zadumy milczenia. — Oczywiście, byłam wtedy na samym szczycie. Umiałam kręcić kitkami jak nikt! Słyszał to nie pierwszy raz. Alice Piersióweczka. Najpopularniejsza osoba w Las Vegas. I Jack Golden. Co za komik!

Komik — Lenniego nigdy tak nie nazywała. Mówiła o nim „śmieszek”. Uważała, że podczas występu nic nie robi. Że tylko stoi i gada o życiu.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyła go na scenie w Nowym Jorku, była zaszokowana.

— Używasz takiego języka?! Podczas występu?! I oni ci

104

na to pozwalają? Twój ojciec nigdy nie przeklinał. Wystarczyło, że po prostu wyszedł na scenę i ludzie konali ze śmiechu.

Twój ojciec to, twój ojciec tamto. Można by pomyśleć, że tyłek Jacka Goldena był niczym promienne słońce. I że Lennie nigdy, przenigdy nie osiągnie zawrotnych wyżyn, na jakie wspiał się jego ojciec.

Bzdura. Kompletna bzdura.

Pozwolił jej się wygadać, uwielbiała wspominać. A kiedy się z nią zegnał, nie spytała nawet, kiedy zadzwoni. Wcale go to nie zdziwiło. Alice to Alice. Starannie zakonserwowane ciało i ani krztyny matczynej troski.

Wyjazd do Nowego Jorku w wieku siedemnastu lat był jedną z najłatwiejszych decyzji, jakie kiedykolwiek podjął. Wręczyła mu bilet na autobus, pięćset dolarów i cmoknęła go w policzek.

— Jedź, Lennie, kochanie. Do odważnych świat należy — powiedziała zachwycona, że obowiązki wychowawcze ma już z głowy.

Pojechał więc, chociaż ojciec podejmował niezdecydowane próby nakłonięcia go do zmiany planów. Biedny, stary Jack Golden. Umarł pół roku później. Alice raczyła poinformować o tym syna dwa miesiące po pogrzebie.

— Nie mogłam cię znaleźć — tłumaczyła się mętnie. Niezbyt usilnie go szukała. Wysłał jej trzy pocztówki z adresem i numerem telefonu. Twierdziła, że nie doszły.

Teraz był w Los Angeles, ale nic ją to nie obchodziło. Właściwie po co do

niej dzwonił?

„Pamiętasz moją przyjaciółkę Rainbow?” Czy ją pamiętał? Jak mógłby o niej zapomnieć? Przez lata była królową jego nastoletnich fantazji.

Rainbow. Najpiękniejsza striptizerka w Las Vegas. Alice wyglądała przy niej jak szkapa.

I Jack Golden ją ciupciał? Naprawdę? Jack Golden. Jego ojciec. Ciupciał piękną Rainbow?

Trudno mu było w to uwierzyć. Wyobraził sobie rozmowę, jaką mogliby przeprowadzić.

— Tato, czy to prawda, że ciupciałeś Rainbow?

— W rzeczy samej, synu, owszem. Chciałbyś się czegoś o tym dowiedzieć?

105

— Tak. Opowiedz mi o jej cyckach, jej cipce, o jej skórze. Opowiedz mi wszystko, tatusiu, bo myśląc o Rainbow, waliłem konia sto pięćdziesiąt razy dziennie!

Miał wtedy dwanaście lat. Wypuścili się z Jess do miasta i wślizgnąwszy się na zaplecze klubu Gorący Banan, podglądali rozbierające się striptizerki. Kiedy na scenę wyszła Rainbow, myślał, że zemdleje.

Cioteczka Rainbow. Kilka razy była u nich w domu, bo chodziły z Alice po zakupy. Ciotunia Rainbow. Sto siedem i pół centymetra w biuście, zniewalający uśmiech i kaskada rudych włosów.

Cioćka Rainbow — minifigi nie pozostawiające nic wyobraźni, dwa pomarańczowe cekiny na sutkach, czarne ażurowe pończochy, szpilki na ostrym, superwysokim obcasie, długi, pierzasty boa na szyi.

Kiedy to wszystko zdjęła, spuścił się w spodnie.

— Co ci jest? — fuknęła z obrzydzeniem Jess i nie odzywała się do niego przez tydzień.

Później, ilekroć Rainbow przychodziła do nich do domu, zawsze kręcił się w pobliżu. Kiedyś przyłapał ją w ubikacji na dole. Siedziała na kibelku w opuszczonych do kostek majteczkach (czarna koronka — wciąż to pamiętał, och, jak dobrze pamiętał!). Nawet okiem nie mrugnęła. Potem usłyszał, jak mówi ze śmiechem do matki:

— Twój dzieciak przyłapał mnie na siusianiu! Matka też się roześmiała. Krążyła plotka, że Rainbow przyjechała do Vegas wiele lat temu, jako piętnastoletnia dziewczyna, i została utrzy-manką Jake'a Chłoptasia, znanego gangstera. (Podobnie jak Bugsy Siegel również przystojny Jake był przyjacielem gwiazd i gwiazdorów.) Chłoptas ubierał Rainbow w futra, obsypywał ją brylantami i porzucił biedaczkę, kiedy skończyła siedemnaście lat. Wtedy to zaczęła swoją karierę. Kiedy Lennie zobaczył ją pierwszy raz, musiała mieć co najmniej czterdziestkę, ale nawet wówczas była porażająca.

Jak wyglądała dzisiaj? Pewnie jest gruba i brzydka, myślał. No i na pewno stara. Czy warto burzyć młodzińcze fantazje? Czy Rainbow przypomni sobie nastoletniego szczeniaka, który deptał jej po piętach?

106

Czy pamiętał Rainbow? Ha!

Musiał znaleźć sobie jakieś lokum. Było oczywiste, że tymczasowy postój u Alice nie wchodzi w rachubę.

Zadzwoił do Joeya Firella, który doradził mu „Chateau Marmont”, stary, w miarę tani hotel w Hollywood Hills, gdzie mieszkowali ludzie z branży. Joey ucieszył się z jego przyjazdu.

— Najpierw się wprowadź, spotkamy się później.

Nie był pewien, czy chce się z nim widzieć.

Joey Firello parł naprzód. Lennie Golden tkwił w tej samej starej koleinie.

Tak, naturalnie, zawsze mógł się gdzieś załapać, tylko dokąd go to zaprowadzi? Inni umieli się zakręcić. John Belushi, Dan Acroyd, Chevy Chase, Joey Firello. Byli na fali.

Naiwnie myślał, że Las Vegas będzie odskocznią do czegoś lepszego, większego. I źle na tym wyszedł.

Oby LA miało do zaoferowania coś naprawdę ekscytującego, w przeciwnym razie...

W przeciwnym razie co?

Do galowego przyjęcia na cześć Franceski Fern przygotowywano się bardzo starannie. Olbrzymia sala balowa hotelu „Magiriano” była udekorowana białymi, egzotycznymi orchideami. Dostarczył je Dimitri Stanislopoulos w intymnym geście, którym chciał złożyć hołd madame Fern.

Lucky wpadła za dnia, żeby sprawdzić, czy wszystko idzie, jak trzeba. Nie było żadnych problemów. Miała znakomitych pracowników, którzy rzadko — jeśli w ogóle — popełniali błędy. Poza tym szef zaopatrzenia należał do najlepszych w mieście, co dawało gwarancję, że jedzenie będzie wyborne. Osobistości przybywały przez cały dzień, prywatnymi odrzutowcami, limuzynami i samolotami liniowymi. Naturalnie, w każdym apartamencie czekały na nich kosze owoców, schłodzony szampan, kawior, wybór drogich serów oraz liścik powitalny od Lucky. Bez względu na to, jak

107

bardzo byli bogaci albo sławni, wszyscy uwielbiali dostawać coś za nic —

nauczył ją tego Gino.

Nigdy nie spotkała Franceski Fern osobiście, mimo to kazała posłać jej do pokoju sześć butelek szampana Cristal oraz list powitalny.

Gino zdążył już poinformować córkę, że przyjdzie z Su-san Martino.

Lucky nie mogła się powstrzymać i spytała:

— Kiedy ona wyjeżdża?

— A bo co? — warknął Gino. Sam się nad tym zastanawiał. Pierwotnie miała zostać w Vegas kilka tygodni. Potem nie poruszali tego tematu. Jeśli chodziło o niego, mogła tu zostać na zawsze. Było mu z nią dobrze i wygodnie.

Poruszył tę kwestię wieczorem, kiedy przyjechał, żeby zabrać ją na przyjęcie.

— Przywykłem do ciebie — powiedział. — Chyba nie zamierzasz wyjeżdżać, co?

Posłała mu blady uśmiech.

— Życie toczy się naprzód — odrzekła cicho. — Nie powstrzymasz go lada kaprysem.

— Hę?

Poklepała go lekko po ramieniu. Na jej małym palcu skrzył się złoty brylant, którym ją obdarował.

— Prowadzę dom, ciąży na mnie wiele obowiązków. Działalność charytatywna, dzieci... Naturalnie nie są już małymi dziećmi. Nathan jest w college'u, a Gemma wychodzi na jesieni za mąż. Mimo to wciąż mnie potrzebują, zwłaszcza że Tiny'ego już z nami nie ma.

— Taa... — mruknął Gino, czując się trochę nieswojo. Po raz pierwszy wspomniała o dzieciach. Bardziej odpowiadałaby mu świadomość, że w

życiu Susan jest miejsce tylko dla niego i dla nikogo innego.

— Myślę, że wyjadę w ten weekend — powiedziała. — Musiałabym mieć bardzo dobry powód, żeby zostać.

No, a on? Nie był dobrym powodem? Jezu! Ile kobiet zabiłoby, żeby tylko być na jej miejscu!

108

Dimitri stał przed lustrem, poprawiając krawat. No i proszę. Przyleciał do Las Vegas jak posłuszny szczeniak, żeby wziąć udział w gali na cześć Franceski Fern. Bardzo na to nalegała. Naturalnie, spełnił jej życzenie i przyjechał dwa dni wcześniej, żeby odpocząć i nabrać sił. Francesca podziwiała ludzi o niewyczerpanej energii. Żywotna i niezwykle aktywna, oczekiwała tego samego od innych. Niestety, na próżno.

— Dimitri — mruzczała głębokim, chrapliwym głosem — jesteśmy bliźniakami spod tego samego znaku, związanymi wspólnym przeznaczeniem.

Oboje byli spod znaku Bliźniąt.

Madame Fern zjechała do miasta ze swą świtą — oraz z zastraszoną Horacym — i... I dlaczego jeszcze nie zadzwoniła? Dlaczego jeszcze do niego nie przysłała? Gdzie się ta kobieta podziewała, do ciężkiej cholery? Wiedział, o której przyjechała, i to dokładnie: o wpół do dwunastej.

Kurtuazyjnie odczekał godzinę, żeby odpoczęła, a potem zadzwonił do jej apartamentu tylko po to, żeby usłyszeć od jej bezczelnego sekretarza, iż madame Fern udziela wywiadu dziennikarzom z „Tite'a” i że pod żadnym pozorem nie można jej przeszkadzać.

— Niech ją pan poprosi! — ryknął Dimitri, który nie nawykł do sprzeciwów.

— To wykluczone — odrzekł sekretarz.

— Niech ją pan poprosi! — zagrzemiał Dimitri.

— Madame Fern z pewnością oddzwoni, kiedy będzie miała czas — odparł tamten i odłożył słuchawkę.

Dimitri był tak wściekły, że natychmiast zadzwonił ponownie. Tym razem odebrał Horacy.

— Francesca jest w tej chwili zajęta — powiedział swym jęklwym, wiecznie zaniepokojonym głosem. — Zadzwoni do ciebie, jak tylko będzie mogła.

Dimitri czekał na telefon cały dzień. Nie zadzwoniła.

Kipiał gniewem. Żadna kobieta nie śmiała potraktować go tak jak Francesca Fern.

Był gotów do wyjścia na uroczyste przyjęcie i wciąż się srożył. Jeśli Francesca myślała, że może go traktować jak jakiegoś nędznego wielbiciela, to się grubo myliła. Nie, nie ujdzie jej to na sucho.

109

Lucky zadzwoniła do Matta w ostatniej chwili.

— Będziesz musiał mi dzisiaj towarzyszyć — oznajmiła z pełnym rozdrażnienia westchnieniem. — Gino idzie z Grace Kelly.

— Grace jest w Monaco.

— Ktoś powinien uświadomić to naszej drogiej, starej Susan. Może skończy z tą maskaradą.

— Nie lubisz jej?

— Och, Matt, jesteś taki spostrzegawczy. Trafiłeś w dziesiątkę.

— To bardzo miła kobieta.

— Hitler miał tylko jedno jajo i też był z niego czaruś.

— O czym ty mówisz?

— Nieważne. Przyjdź po mnie o wpół do siódmej. Matt skonstatował, że ma problem. Lucky Santangelo

pokrzyżowała mu plany. Otóż zamierzał zobaczyć się z Jess. Nie to, żeby ona chciała się z nim widzieć. Powiedziała mu to bez ogródek. Tylko dlatego, że próbował się do niej dobrać.

Pokręcił głową. Rewolucja seksualna ominęła biedną Jess. Tak, najwyraźniej. Niemądra dziewczyna. Ale nie zamierzał rezygnować. A teraz musiał rzucić wszystko w ką, żeby być na każde skinienie Lucky Santangelo. Dlaczego?

Bo to twoja szefowa, dlatego.

Francesca Fern kliknęła czerwonymi, szponiastymi paznokciami.

— Szmaragdy — rozkazała.

Horacy skoczył do podróżnej kasetki na biżuterię i wyjął klejnoty, których zażądała. Klik!

— Ozdobne pantofle od Jourdana.

Horacy popędził do szafy, szybko odszukał wieczorowe buciki numer dziesięć i z uwielbieniem w oczach wcisnął je na wielkie stopy żony.

Francesca wstała, przypięła do ucha wielki szmaragdowy klips i warknęła:

110

— Perfumy.

Horacy spryskał ją obficie drogimi perfumami.

— Idziemy. — Westchnęła. — Plebs czeka.

13

Pan Pośledni — biały smoking, plastyczny (czytaj: pooperacyjny) uśmiech, kilka złotych bransoletek — był słynnym hiszpańskim

piosenkarzem, który, jak głosiła fama, doprowadzał kobiety do szaleństwa. Olympię doprowadzał do szaleństwa jego akcent. Gdyby pan Pośledni nie był choć w połowie tak sławny, całkowicie by go skreśliła.

Siedzieli przy sąsiednich stolikach w nowojorskiej „Re-gines” na Park Avenue, a Olympia знаła towarzyszącą mu platynową blondynę, Angielkę, swego rodzaju międzynarodową swatkę, która uwielbiała kojarzyć z sobą odpowiednich ludzi. Wkrótce siedzieli już razem: Olympia i jej przyjaciele, pan Pośledni i jego przyjaciółka. Nazywał się Vitos Felicidade i zanim wziął Olympię w ramiona, by ukołysać ją w tańcu, wiedział już, z kim ma przyjemność — dzięki blond przyjaciółce, która wprowadziła go w temat i po hiszpańsku (dobre międzynarodowe swatki zawsze mówią kilkoma językami) doradziła mu iść na całość.

Wyczuwali z Olympia interesujące, aczkolwiek ograniczone możliwości. — Masz cudowny os... — wymruczał wciskając między jej uda coś, co w jego mniemaniu uchodziło za tęgi wzwód.

Olympia uległa gwałtownej żądzy z nadzieją, że Hiszpan jest lepiej obdarzony, niż na to wyglądało.

— Ty też — szepnęła nie całkiem pewna, czy miał na myśli cudowny nos czy cudowny głos. Ponieważ nie narzekała ani na jedno, ani na drugie, było jej wszystko jedno.

— Będę cię duuuchał i duuuchał... — wymruczał z uśmiechem zdobywcy. Chirurg plastyczny odwalił kawał solidnej roboty.

Mam nadzieję, że duchasz lepiej, niż mówisz po angielsku, pomyślała, dyskretnie wymacując ręką jego członek. Zachęcające potarcie i już ich nie było.

Czyhający przed klubem paparazzi zerwali się na równe nogi. Olympia Stanislopoulos i Vitos Felicidade. Razem! Więcej niż razem! Zaczęli się rozpychać, żeby uchwycić szepioną parę znakomitości.

— To takie nudne! — jęknęła Olympia.

— Nuudne — zawtórował jej Vitos, podnosząc głowę, żeby broń Boże nie pstryknęli go pod złym kątem. — Twoja limuzyn czy mój?

Przed samochodami stali szoferzy.

— Co za różnica? — Olympia westchnęła i runęła na tylne siedzenie wozu Hiszpana. — Wynośmy się stąd.

14

— Nie cierpię takich wieczorów — wyznała Dimitriemu Lucky. — Chcemy się wtedy wyć i uciec nago plażą jak najdalej stąd. Wiesz, o co mi chodzi?

Dimitri spojrzał na czarnooką dziewczynę bez krzty zainteresowania.

Szczerze mówiąc, wolałby, żeby zamilkła. Pragnął skoncentrować uwagę na Francesce, która siedziała przy głównym stole niczym królowa Anglii w sali tronowej.

A jego tam nie posadzili. On, Dimitri Stanislopoulos, siedział przy stole obok — bardziej go obrazić nie mogli.

Lucky czekała na odpowiedź, lecz odpowiedź nie padała. Zapanowała cisza. Trudno. Nie chciał rozmawiać, to nie, Lucky zrozumiała tę milczącą aluzję. Próbowwała tylko okazać grzeczność, ponieważ gościł w jej hotelu, był wielkim hazardzistą i widziała, że jest ostro wkurzony, że siedzi tu, gdzie siedzi. Sama też nie była zachwycona miejscem. Tatuś z wdową przy stole numero uno z gwiazdą, jej podniszczonym mężulkiem i grupką znaczniejszych osobistości. A ona tu. Gości rozsadał sekretarz Franceski.

I rozsadził ich beznadziejnie, pomyślała. Żałowała, że w ogóle przyszła.

Po cholerę jej to?

Wyglądało na to, że siedzący po drugiej stronie Matt znakomicie się bawi.

Otaczali go przyjaciele i znajomi z Hollywood, gdzie spędził wiele szczęśliwych lat życia. Świetny

112

partner na wieczór, nie ma co. A kogo się spodziewała? Ala Pacino?

Utknęła w pułapce między dwoma naj nudniej szymi mężczyznami w sali.

Matt Traynor i Dimitri Stanislopoulos. Przebojowa kombinacja.

Wielkie dzięki, Gino. Czy tak ma teraz wyglądać moje życie?

Sięgnęła po kieliszek do szampana i dała znak kelnerowi, żeby go

ponownie napełnił. Upicie się było jedynym sposobem na przetrwanie wieczoru.

Gino obserwował Susan w akcji. Pierwszy raz widział ją w otoczeniu elity show biznesu. Tak, wiedziała, jak się zachować. Nie zrobiła ani jednego fałszywego ruchu.

Jak to by było, gdyby się z taką Susan ożenił? Był już za stary, żeby się puszczać — jedna kobieta u boku i w łóżku bardzo by mu pasowała.

Ona rozmawiała z Horacym, a on patrzył na jej wyczelowany profil. Po śmierci Marii nie dopuszczał do siebie myśli o ponownym ożenku.

Kochana, urocza Maria. Nie żyła już od dwudziestu trzech lat...

Chyba odczekał wystarczająco długo?

Zerknął na Lucky przy sąsiednim stole. Jak by to przyjęła? Paskudnie. Ale by przywykła. Nie miałyby wyboru.

Był to długi wieczór. Wieczór przemówień, występów i hołdów. Kamery telewizyjne szumiały, madame Fern rozkwitała. Grandę damę pełną gębą.

Tak, Francesca umiała wyssać z imprezy wszystko, co najlepsze. Później, kiedy ekipy telewizyjne wyszły, a gości zaczęło ubywać, Francesca łaskawie obeszła sąsiednie stoły. Przystanąła obok Dimitriego, nachyliła się, żeby poklepać go po policzku, i matowym głosem rzekła: — Jak to wspaniałomyślnie z twojej strony, że przyszedłeś. Bardzo to doceniam. — Przyjęła teatralną pozę i odczekała, aż jej nadworny fotograf pstryknie im zdjęcie.

Dimitri chwycił ją za rękę tak mocno, że omal nie krzyknęła.

113

— Co to za szarada? — wycedził chrapliwym szeptem. -Jak śmiesz traktować mnie w ten sposób. O co ci chodzi?

Zdołała wykrzesać z siebie sztuczny uśmiech i z wściekłością syknęła:

— Puszczaj, ty brudny bydlaku. Wiem o tobie i o Normie Valentine, wszystko wiem. Nie myśl sobie, że możesz mieć i ją, i mnie, bo nie możesz. Nie pozwolę się w ten sposób poniżyć.

Norma Valentine. Niewiele brakowało i wybuchnąłby śmiechem. Norma Valentine, angielska gwiazda filmowa, którą poznał na południu Francji. Przed tygodniem przyszła na jacht z jego greckim współpracownikiem. Została na noc. Tylko na jedną noc. Nic dla niego nie znaczyła.

— Owszem, przebywałem w jej towarzystwie — wyjaśnił. — Ale tylko raz i nawet mi się nie podobała.

— Podobała ci się na tyle, że ją zerznąłeś — odrzekła zapalczywie. — A nazajutrz wysłałeś jej bransoletkę od Cartiera.

— To był dług, wygrała ze mną w karty.

— Proszę cię, Dimitri, jestem inteligentniejsza, niż przypuszczasz. I oświadczam ci, że skoro sypiasz z Normą Valentine, to, na Boga, już nigdy

nie prześpisz się ze mną.

— Jesteś mężatką — zaprotestował. — Od kiedy to zabraniasz mi sypiać z innymi kobietami?

— Sypiaj sobie, z kim chcesz — prychnęła Francesca i wreszcie przestała się uśmiechać. — Ponieważ już nigdy nie będziesz dzielił ze mną łoża. — Wyszarpnęła rękę i niespiesznie odeszła.

— Wygląda na to, że miarka się przebrała — skomentowała Lucky, która wszystko słyszała. Nie mogła się powstrzymać, a kilka kieliszków szampana skutecznie zabiło wszelkie wyrzuty sumienia.

Dimitri przeszył ją wzrokiem.

— Co powiedziałaś? Wzruszyła ramionami.

— Piętnaście lat temu Francesca Fern i Norma Valentine startowały do głównej roli w „Pieśniach Sirrocco”. Wygrała Norma. Dostała Oscara i została gwiazdą, a FF nigdy nie wystąpiła w żadnym filmie. Są zagorzałymi wrogami. Ot,

114

hollywoodzki banał. Jak to możliwe, że o tym nie wiedziałeś? Wpadł w furię.

— Podśluchałaś całą rozmowę?!

— Nie mogłam się powstrzymać.

— Doprawdy!

— Spokojnie, dostaniesz przepukliny.

— Jesteś wulgarna, młoda damo.

— Przestań chrzanić, Dimitri. Już nie jestem przyjaciółką twojej córki.

Poza tym ignorujesz mnie, jakbym w ogóle nie istniała, i mam tego dość.

— Wstała. — To mój hotel. Cały tydzień grałeś przy moich stołach.

Dlaczego się wreszcie nie wyluzujesz i nie pójdziesz się ze mną urznąć? He? Czy to nie świetny pomysł? Dobrze mi to zrobi, tym bardziej tobie. Dopiero teraz zobaczył ją tak naprawdę i natychmiast skonstatował, że uderzająca uroda Lucky, jej wibrująca młodość jest idealnym sposobem na zabicie myśli o Francesce Fern. Lucky Santangelo miała rację. Już nie była małą przyjaciółką Olympii, już nie mógł jej tak traktować.

Przeszył ją wzrokiem.

— A więc szukasz kompana do kieliszka, tak? Wytrzymała jego spojrzenie, zaskoczona, że w końcu zwróciła na siebie uwagę.

— Tak. I wybrałam ciebie.

— Czy to powinno mi schlebiać?

Zerknęła na Ginę pogrążonego w cichej rozmowie z Su-san.

— Jak wolisz, ale wyjdźmy stąd. I to szybko.

- Wiodłem pracowite życie. Robiłem dużo rzeczy, dobrych i złych. Wiesz, co mam na myśli? — Potarł starą, ledwie widoczną bliznę na policzku.

— Zdaję sobie sprawę, że nie jesteś Billym Grahamem — odrzekła Susan.

— Ten, kto pochodzi, skąd ja pochodzę, musi umieć o siebie zadbać. Nikt się o niego nie zatroszczy.

115

— Wiem.

— Zaczynałem na ulicy. Nigdy nie zdobyłem formalnego wykształcenia. Czerpałem wiedzę z życia.

— Dałeś sobie radę, przetrwałeś. Spójrz tylko, dokąd zaszedłeś.

— Tak, nie narzekam. Jak w wielkim amerykańskim śnie. Od pucybuta do

milionera.

— To skromne niedomówienie.

— Znam prezydentów, polityków, burmistrzów, przywódców obywatelskich. Nie uwierzyłybyś, jakie przysługi są mi winni.

— Oczywiście, że wierzę.

— Trzymaj się mnie, dziecinkb. Będziesz miała diabelnie dobre życie.

— Czy to oświadczyzny, Gino?

— A wiesz, chyba tak.

— Jestem... zaskoczona.

— Ty? A jak, twoim zdaniem, ja się czuję?

— Będę musiała to sobie przemyśleć.

— Myśl sobie, kto ci zabrania? Myśl, ile chcesz. Tylko daj mi odpowiedź, zanim pójdę spać, bo rano mogę zmienić zdanie.

Roześmiała się cicho.

— Gino, jesteś niepoprawny.

— Tak? Wykorzystaj to.

— Muszę porozmawiać z rodziną, z dziećmi...

— Widziałaś, żebym prosił o zgodę Lucky?

— To nie takie proste...

— W takim razie to uprość i powiedz „tak”.

— Tak — szepnęła.

— Co?

— Powiedziałam „tak”.

— A niech mnie!

Byli w apartamencie Franceski, na prywatnym przyjęciu po uroczystej gali.

Gino zerwał się na równe nogi.

— Chciałbym coś ogłosić! — Zebrani goście spojrzeli na niego z uwagą.

— Obecna tu dama i ja... Susan Martino i ja... Chryste, co ja mogę powiedzieć? Pobieramy się!

116

Przykuwszy jego uwagę, stwierdziła, że Dimitri Stani-slopoulos jest znakomitym kompanem do wypitki. Giną zastąpić, nie zastąpił, ale coś w sobie miał, poza tym lubiła, arbitralność starszych mężczyzn. Był przy tym dziwnie atrakcyjny. Bujne, białe włosy, wydatny nos, przenikliwe spojrzenie — im więcej piła, tym bardziej się jej podobał.

Tatuś Olympii. Miała erotyczne myśli o tatusiu Olympii!

Duży, bardzo wysoki mężczyzna. Gino był o wiele niższy, bardziej kościsty. Pod względem fizycznym nie mogli się bardziej różnić.

— Świetna zabawa — powiedziała Lucky w drodze do kolejnego baru.

On pił grecką anyżówkę. Żłopał ją niczym lemoniadę, ale nie uderzała mu do głowy.

Potwierdził. Nie wiedzieć czemu, on też się znakomicie bawił. Francesca Fern pożałuje tego wieczoru. Osobiście dopilnuje, żeby żałowała tego do końca swego nędznego żywota. Nikt nie śmie traktować z pogardą Dimitriego Stanislopoulosa, a już na pewno nie tania, dziwkowata aktorka. O trzeciej nad ranem wylądowali w małej greckiej kafejce, w towarzystwie kończących pracę kelnerów oraz robotników z nocnej zmiany. Dimitri stawiał wszystkim dookoła, a wychudzony chłopczyna grał na mandolinie — naturalnie melodię z „Greka Zorby”. Dimitri tańczył z talerzem na głowie i śmiał się tak głośno, że Lucky myślała przez chwilę, że się zadławi. Potem stłukł dwadzieścia trzy talerze, wręczył

uśmiechniętemu właścicielowi tysiąc dolarowy banknot i za obopólną, choć nie wypowiedzianą zgodą wylądowali w apartamencie Lucky. Początkowo była zdenerwowana niczym nastolatka. Pokręciła się po mieszkaniu, zrobiła mu drinka, wyszła do łazienki i przytknęła do czoła ręcznik zwilżony zimną wodą.

Jestem śmieszna, pomyślała. Co się tu, do diabła, dzieje?

Wróciła do salonu i stawiała mu czoło.

Wypowiedział jej imię. Tylko raz, bardzo cicho. I bez żadnych ceregieli krzepkimi, wprawnymi rękami zdjął z niej czarną, zmysłową suknię z jedwabiu.

Czuła się jak pływaczka przed skokiem do wody. Była

117

podniecona, pełna oczekiwania, gotowa dać z siebie wszystko.

Miał duże ręce i długie, silne palce. Powoli wędrował nimi po jej ciele, muskając skórę, by dotrzeć do majteczek — jedyne fragmentu bielizny, jaki nosiła — i ściągnąć je najpierw na uda, potem na łydki, wreszcie na kostki stóp.

Stała przed nim zupełnie naga, podczas gdy on pozostał kompletnie ubrany i tylko poluzował krawat.

Ostrożnie pchnął ją na sofę, wziął kieliszek, zamoczył palec w skrzącym się koniaku i potarł nim najpierw jej lewą, potem prawą sutkę.

Zapieкло, ale prawie natychmiast przestało, gdyż Dimitri zaczął spijać, wysysać alkohol z jej skóry. Lucky westchnęła, zarzuciła ręce za głowę i wyciągnęła się rozkosznie. Objął dłońmi jej piersi, złączył je i czubkiem języka podrażnił sutki.

— Rozbierz się — wymamrotała natarczywie. Roześmiał się.

— Cóż za niecierpliwość!

— Rozbierz się, Dimitri. I to już.

Trzymając ręce na jej piersiach, sunął językiem w dół.

Wiła się z podniecenia. Może i jestem wlana, myślała, ale facet umie pieścić. A może zrobiłam sobie za długą przerwę? Zaśmiała się w duchu sekretnym śmiechem.

Wcisnął głowę między jej uda.

— Chcę... — wymruczała — poczuć na sobie... twoje... ciało. Proszę. Tak ładnie cię... proszę...

Poruszał językiem powoli, niespiesznie, z wielką wprawą, tak samo jak palcami.

— Ooch, tak... — jęknęła. — O tak, tak, tak. — Rozłożyła nogi jeszcze bardziej, czując, że napięcie, jakie odczuwała od wielu miesięcy, szybko wzrasta, że zaraz się uwolni, że zaraz eksploduje.

Nie przestając pieścić jej sutek, zwilżył język koniakiem. Czowała lekkie pieczenie alkoholu, wprawny dotyk palców, siłę jego języka.

— O Boże, Dimitri! O Boże! To takie wspaniałe. Zupełnie fantastyczne. Ooch...

118

I poszybowała w obłoki. Daleko, wysoko. Warto było na to czekać.

Dimitri ukrył głowę między jej nogami, rozkoszując się każdą chwilą zmysłowej ekstazy.

15

Jess nie dowiedziała się niczego. Absolutnie niczego.

No tak. Dowiedziała się, że Matt Traynor ma ciągły wzwód, dużo gada i uważa się za bożego pomazańca.

Naprawdę myślał, że Jess poleci na jego przyziemne wdzięki? Naprawdę sądził, że jak inne wskoczy między jego prześcieradła w brązowe pasy? Musiała dać mu odpór. Musiała walczyć. A mierzyła ledwie metr pięćdziesiąt — metr pięćdziesiąt kontra metr siedemdziesiąt parę, może nawet więcej. Stoczyli ciężki bój. Gdyby nie grzmotnęła go łokciem w jaja, pewnie nadal by się z nim zmagala.

Wróciwszy do domu o skandalicznej godzinie, stwierdziła, że Wayland zabawia grupkę swoich parszywych przyjaciół, którzy żarli jej jedzenie, palili jej trawkę i robili burdel w jej domu. Dostała szału, a pobudzona, miała nielichy temperament.

Wayland się podniecił — co u niego niezwykle — i wyszedł z kumplami. Wrócił do domu o siódmej rano tak zaćpany, że nie mógł nawet mówić. Wszyscy byli tacy sami. I dlaczego Lennie jeszcze nie zadzwonił? Nie wiedział, że się o niego martwi? Że jej na nim zależy?

Rano wyniosła dziecko nad basen i położyła się przy nim w wysokiej trawie. Urodzenie Simona było jedyną dobrą rzeczą, jaką w życiu zrobiła. Maluch nadawał sens jej istnieniu, dzięki niemu miała siłę przetrwać kolejny dzień, dotrzeć do końca tygodnia, żeby odbierać wypłatę. Z domu wyszedł chwiejnie Wayland.

— Nie ma mleka — burknął.

— To idź do sklepu i kup — odrzekła cierpliwie.

119

— Nie mam pieniędzy.

Niechętnie poszperała w kieszeni dzinsów i rzuciła mu dwudziestaka.

Poważnie kiwnął głową.

— Zaoszczędzę.

— Jasne — mruknęła. — Pięć dolców na żarcie, reszta na to, co> zdołasz podłapać.

Nie usłyszał jej. Miała to gdzieś. Powoli kołysała Simona w ramionach, nucąc uspokajającą kołysankę. Wkrótce nadejdzie pora na wizytę u matki. Osiemdziesięcioletni Foxie — niski jak karzełek i łysy — miał przenikliwe, rozstrzelane, tudzież zezowate oczy i sterzące uszy niczym bohater „Star Trek”.

Obrotny, niewybredny i wulgarny, potrafił być dobrym przyjacielem i złośliwym wrogiem.

Był też hollywoodzką legendą, choć tylko dla wtajemniczonych.

Miał czułe ucho, niewyczerpaną energię, celował w okrutnym dowcipie i nigdy nie chorował.

Jak na osiemdziesięcioletnia był doprawdy niezwykły.

Lennie nie spotkał go osobiście, lecz tym, co o nim słyszał, mógłby zapisać całe tomy. Dlatego też nie mógł się doczekać, kiedy go pozna.

Lokal „U Foxiego” — klub nazwany jego imieniem — mieścił się na Hollywood Boulevard i bywała tam bardzo mieszana klientela. Ludzie wpadali do Foxiego, żeby po prostu tam pobyć i się zabawić. Przychodzili różni. Od miejscowych alfonsów, prostytutek i tych, którym imponowały wielkie nazwiska z Beverly Hills, po neptków z Doliny, a czasami gwiazdy i gwiazdorów filmowych. „U Foxiego” — klub nad kluby. Jedzenie było straszne, drinki z czubem, zabawa po pachy. Nowe talenty, striptizerki, komicy i „noc odkryć” lepsza niż najlepszy telewizyjny show. Raz w miesiącu organizowano „rozbiegany wieczór, podczas którego na scenę wskakiwały zwykłe kobiety, nie mogąc doczekać się chwili, kiedy będą mogły pokazać wszystkim, co mają.

Żeby dostać się do Foxiego tego wieczoru, trzeba było rezerwować miejsca z wielotygodniowym wyprzedzeniem. Joey Firello zaproponował, żeby tam wpadli.

— Ja też u niego zaczynałem — mówił. — Wystarczyło półtora miesiąca i załatwiłem sobie występ w telewizji. Teraz rozdaję autografy i przebieram w laskach!

Joey wyglądał jak przystojna małpa. Chudy, niski i żyłasty, miał fryzurę a la Rod Stewart, usta Micka Jaggera i dwadzieścia sześć lat, to znaczy cztery lata mniej od Len-niego.

— Posłuchaj — mówił. — Jeśli nie spodobasz się Foxie-mu, pójdziemy do „Improv” albo do „Comedy Store”. Tam coś podłapiesz.

— Jasne, wiem. — Lennie czuł się idiotycznie. Ten pacan służył radą i pomocą jemu, Lenniemu Goldenowi. On, Joey Firello, który przed trzema laty przyjechał do Nowego Jorku z kilkoma starymi dowcipami i z dwudziestoma ośmioma dolarami w kieszeni. Ponad dwa miesiące spał u Lenniego na podłodze i harował jak wół. Harówka się opłaciła. Teraz nosił kaszmirowe swetry i jeździł używanym jaguarem. Foxie powitał go jak brata.

— Chciałbym, żebyś poznał mego starego przyjaciela — powiedział Joey.

— Lennie Golden. Zapamiętaj to nazwisko. Jest przezabawny.

— Tak jak ty? — warknął Foxie.

— Daj mu spróbować. Sam zobacz.

Foxie podłubał w zębach drewnianą wykałaczką i przekrzywił głowę.

— Chcesz spróbować dzisiaj?

— Nie zamierzałem próbować — odrzekł szybko Lennie. — Mam

nagrania, pomyślałem sobie, że jak ci się spodobają, ubijemy interes.

— Nowojorski mamzer — prychnął Foxie. — Wszyscy jesteście tacy sami. „Nie zamierzałem próbować”. Mam tracić czas na oglądanie zakichanych taśm? — Rozgryzł wykałaczkę na pół i zaczął ją przeżuwać. — „U Foxiego” albo spróbujesz, albo pójdziesz precz. Mogę ci dać kilka minut koło dziesiątej. Wchodzisz w to czy nie?

Joey kiwnął głową.

121

— Wchodzi.

— Mam jakiś wybór? — zażartował Lennie.

— Żadnego — odparł Joey. — Wystąp. Spodobasz mu się. Podzwonię po ludziach, ściągnę fanów.

Lennie zastanawiał się, czy Joey mógłby zadzwonić do Eden. Nie rozmawiali o niej cały wieczór, to go dobijało. Dlaczego Joey o niej nie wspomniał? Przecież musieli się widywać. Postanowił o nic go nie pytać. Chryste! Był zdenerwowany.

Lennie Golden zdenerwowany. Jezu!

Grywał w tysiącach klubów i klubików.

Knajpa Foxiego niczym się od nich nie różniła.

Z tym że... „U Foxiego”... musiał wypaść przebojowo.

16

Vitos Felicidade nie należał do najbardziej podniecających kochanków, z jakimi Olympia spała. Zależało jej na nim z innego powodu. Felicidade był gwiazdorem, a tym samym zdobyczą, z którą warto trochę pobyc. Brigitte od razu go znieubiła. To dziecko stawało się wprost niemożliwe. Od demonstracji temperamentu na Piątej Alei odkryła, że ilekroć jest

trudna, natychmiast poświęcają jej dużo uwagi, a niczego tak nie łaknęła jak właśnie tego. Podczas pierwszego spotkania kopnęła Vitosa w kostkę, nazwała go zagraniczną świnią i wrzeszcząc, wybiegła z pokoju.

Olympia była upokorzona. Wyżyła się na niani Mabel, która od razu zagroziła odejściem.

Vitos zasugerował, żeby wysłać Brigitte do szkoły z internatem. Bardzo to Olympię kusiło, ale dziecko było jeszcze takie małe, poza tym wciąż pamiętała swe nieszczęsne doświadczenia w tego rodzaju instytucjach.

W dniu ślubu babki Brigitte oświadczyła, że nie ma zamiaru wstawać z łóżka. Roztrzęsiona niania Mabel pobiegła po Olympię. Wzburzona Olympia pomaszerowała do pokoju córki, żeby stawić jej czoło.

— Nie chcę nosić kwiatków — powtarzała z uporem

122

dziewczynka. — I nie chcę nosić tej głupiej, obrzydliwej sukienki! Nie chcę!

— Musisz — strofowała ją Olympia, próbując nakłonić dziecko do posłuszeństwa. — Twoja babcia wychodzi za mąż. A jeśli będziesz grzeczna, bardzo grzeczna, pojedziemy do Tiffany'ego, to taki duży sklep z biżuterią na Piątej Alei, i kupię ci, co tylko zechcesz.

Stojąca obok niania aż prychnęła z dezaprobaty. Przekupywać dziewięcioletnie dziecko biżuterią. Co za absurd!

— Co tylko zechcę, mamó? — Jasnoblękitne oczy Brigitte zrobiły się wielkie jak spodki. — Wszystko, czego tylko zapragnę w calutkim świecie?

— Tak — potwierdziła niechętnie Olympia.

— Kiedy?

— Jutro.

— Dobrze. — Brigitte uśmiechnęła się szczęśliwie i wyskoczyła z łóżka. Olympia spojrzała spode łba na nianię.

— W porządku, Mabel? Myślisz, że teraz dasz sobie z nią radę?

— Tak, proszę pani — fuknęła niania z naganą w głosie. Olympia uciekła z pokoju, szukając azylu w sypialni. Za

dwie godziny przychodził Vitos i miała wiele do zrobienia.

Przyjrzała się sobie w lustrze. Nowy Jork nie pomagał jej w rozwiązaniu problemu nadwagi — jej twarz wyraźnie się zaokrągliła. Rozsierdzona, wciągnęła policzki. Dlaczego za żadne pieniądze nie można było kupić dobrych kości policzkowych? Dlaczego nie mierzyła piętnaście centymetrów więcej i nie ważyła dziesięć kilogramów mniej?

Ha! Vitos nie narzekał. Uważał, że jest doskonała. Latynosi lubią kobiety przy kości, nie wspominając już o kobietach z milionami w banku.

Jeszcze raz spojrzała na swoje odbicie i nachmurzyła czoło.

Vitos — różowy garnitur, ciemne okulary, chirurgicznie przycięty uśmiech — przyszedł dwadzieścia minut później.

Brigitte, która właśnie wychodziła z nianią Mabel, zdążyła go jeszcze powitać.

— Wyglądasz głuuupio! — wykrzyknęła.

123

Vitos zignorował ją i poczęstował się cygarem Dimit-riego.

Kiedy dziesięć minut później do salonu weszła Olympia, spał w fotelu, a cygaro wypaliło dziurę w wypolerowanym blacie bezcennego antycznego stolika.

— Obudź się! — wrzasnęła piskliwie Olympia. Obudził się i zaaplikowali

sobie cztery działki znakomitej

koki, żeby przygotować się do wyjazdu na ślub jej matki.

Olympia wystąpiła ubrana na biało. Wiedziała, że nie powinna, ale co z tego? Loki miała nakręcone i puszyste. Malował ją prawdziwy artysta zawodowiec. Czują, że wygląda wspaniale, a Vitos był odpowiednim dodatkiem.

Widząc w południe tak ubraną parę, paparazzi doszli do wniosku, że Olympia i Vitos postanowili się pobrać, więc pojechali za nimi samochodami i skuterami aż na Long Island, gdzie mieszkała prawdziwa panna młoda.

Ilekoć przystawali na światłach, fotoreporterzy podjeżdżali do limuzyny, pstrykając zdjęcie za zdjęciem.

— Jakie to męczące! — narzekała Olympia. Vitos unosił z uśmiechem głowę i powtarzał:

— Oj, jakie! — Jednocześnie zastanawiał się, czy ten zastrzyk reklamy zwiększy sprzedaż jego nowego albumu, który nie rozchodził się w Stanach tak dobrze, jak oczekiwano.

Matka Olympii nie była zachwycona, gdy okazało się, że wraz z córką (zawsze miała z nią same kłopoty — dzięki Bogu, że postanowiła zamieszkać z Dimitrim) przyjechało piętnastu obszarpanych paparazzi i uśmiechnięty, acz próżny gwiazdor z Hiszpanii. Wzięła córkę na stronę.

— Nie powinnaś nosić się na biało — oświadczyła stanowczo. — To cię pogrubia. I kogo ty tu przyprowadziłaś? Kto to jest?

— Vitos — odrzekła enigmatycznie Olympia. — Vitos śpiewa. Jest bardzo sławny.

— Nie obchodzi mnie, jak bardzo jest sławny — strofowała ją matka. —

Wygląda jak alfons.

Olympia zachichotała.

— Alfons! Mamo! Skąd ty znasz takie słowa?

— Proszę cię, Olympio. Zaraz wychodzę za mąż. Była-

124

bym wdzięczna, gdybyś zechciała mnie dzisiaj nie denerwować.

Wybrankiem Charlotty był wysoki, chudy kulas o złośliwych oczkach.

Olympia natychmiast go znieubiła i rozpowiadała wszystkim, że pan młody wygląda jak nazistowski przestępca wojenny.

Ślub odbył się w ogrodzie o trzeciej po południu. Brigitte w roli dziewczynki z kwiatkami była piękniejsza niż druhny. Prawdziwy aniołek, myślała z dumą Olympia, patrząc, jak córka kroczy ulegle za panną młodą. Skrzyżowała wzrok z Mabel i choć raz były z sobą idealnie zgodne, niczym dumne protektorki małej, pięknej dziedziczki.

Chwilę spokojnej zadumy przerwał wrzask trzech paparazzi spadających z pękającej gałęzi drzewa oliwnego za murem.

— O Boże! — wykrzyknęła Olympia, gdy goście wpadli w panikę, myśląc, że to napad. — Wszystko zwałą na mnie, powiedzą, że to moja wina!

Brigitte dostrzegła doskonałą okazję do przysporzenia nowych kłopotów.

— Śmierdziejcie! — rozdarła się nagle, podskakując w miejscu i chichocząc. — Wszyscy śmierdziejcie! Śmierdziejcie! Śmierdziejcie!

— O mój Boże! — Olympia papatrzyła na Vitosa, szukając w nim wsparcia.

Vitos spał z próżnym uśmiechem na twarzy. Mocno kopnęła go w kostkę.

— Obudź się! — warknęła. — Co ty sobie myślisz? Że to obóz

wypoczynkowy?

— Olympiaaaa... —jęknął żałośnie.

— Przestań zawodzić! Zrób coś!

Zerwał się na równe nogi i bezskutecznie wywijając pięściami, ruszył w stronę fotoreporterów, którzy pozbierawszy się, pstrykali zdjęcia, jak popadło.

— Wszyscy śmierdziecie! — darła się Brigitte. Olympia chwyciła Vitosa za rękę i wykrzesła z siebie

uśmiech. Skoro jej podobizna miała widnieć na pierwszej stronie wszystkich brukowców świata, niechaj przynajmniej będzie to podobizna dobra.

125

Vitos natychmiast zrozumiał, w czym rzecz, i też się uśmiechnął. Wokoło panował chaos.

17

— Chcę z tobą pogadać — powiedział Gino.

— Już słyszałam — odrzekła Lucky, próbując ukryć ból i poczucie odtrącenia.

— Cały dzień cię szukałem.

— No i mnie znalazłeś. — Wzruszyła ramionami. — Gratulacje. Co jeszcze mogę ci powiedzieć?

Stali przy kontuarze w recepcji „Magiriano”. Lucky właśnie wróciła z przejażdżki. Nie umalowana, w dzinsach i luźnym podkoszulku, oczy przesłoniła lotniczymi okularami przeciwsłonecznymi, a włosy miała w dzikim nieładzie.

— Wyglądasz jak szesnastolatka, dziecińco! — zażartował Gino.

Przeczesała ręką czarne loki i łypnęła na niego spode łba.

— Jesteś na mnie wściekła — skonstatował.

— Niby dlaczego? — spytała kpiąco. — Przecież jesteś tylko moim ojcem, to wszystko. Miałabym się na ciebie wściekać tylko dlatego, że postanowiłeś się ożenić, o czym musiałam się dowiedzieć od Matta Traynora? — Podniosła głos. — Dlaczego miałabym się wkurzyć, do diabła?

Potańczał palcem bliznę na policzku.

— Okoliczności, dziecino — odparł. — Nie planowałem tego. Po prostu tak wyszło. Myślałem, że tam byłeś, kiedy to ogłosiłem.

— Wielkie dzięki. Teraz już wiem, że moja obecność jest bardzo odczuwalna.

— Daj spokój, Lucky — łagodził. — Zadzwoiłem do ciebie, jak tylko wstałem. To nie moja wina, że nie było cię cały dzień. Gdzie się tak długo podziewałaś?

— Trzydzieści parę kilometrów za miastem jest burdel — odrzekła nonszalancko. — Czasami im pomagam.

Nachmurzył czoło.

126

— Chodźmy na górę — powiedział. — Czekam tu od godziny. Czy to nie dowodzi, że mi na tobie zależy?

— Też mi coś — wymamrotała.

Przy akompaniamencie uspokajającego brzęku automatów w kasynie ruszyli do prywatnej windy. Lucky była przerażona, naprawdę przerażona. Gino się ożenił — jak na tym wyjdzie ona, jego córka?

Rozmyślała o tym godzinami, jeżdżąc po pustyni. Nowina — wczesnym

rankiem zadzwonił Matt Traynor — poraziła ją i przybiła. Dimitri wyszedł kilka godzin przedtem. Skacowana Lucky była sama i nie miała nastroju na trawienie tak szokującej wiadomości. Szybko się ubrała i wymknęła chyłkiem z hotelu. W podziemnym garażu wsiadła do ferrari i pojechała na pustynię w towarzystwie własnych myśli i Otisa Reddinga z kasety.

Po powrocie zastała w recepcji Giną. Jak mógł jej coś takiego zrobić?

Cały apartament był zastawiony koszami pięknych, fioł-koworóżowych róż. Rozejrzała się zdumiona i spytała:

— To od ciebie?

Gino nachmurzył się jeszcze bardziej.

— Nie.

Sięgnęła po biały kartonik przypięty do jednego z koszów. Tylko podpis, nic więcej. Dimitri. Zmiała karteczkę.

— Ód kogo to? — spytał Gino.

— Od Franceski Fern — odrzekła szybko, cisnąwszy kartonik w róg pokoju.

— Miło z jej strony.

— Dlaczego nie? To był wspaniały wieczór.

— Posłuchaj, dziecino. — Usiadł na kozetce i westchnął. — Popełniłem błąd. Przyznaję, powinienem był zawiadomić cię jako pierwszą, a nie zawiadomiłem. Nie róbmy z tego przestępstwa federalnego.

— A kto robi z tego przestępstwo? Po prostu myślałam, że zechcesz ze mną porozmawiać, zanim ogłosisz to całemu światu.

— Jesteś moją córką, a nie moim klawiszem. Uważasz, że potrzebuję twego pozwolenia?

— Uważam, że potrzebujesz mojej rady. Wpadł w złość.

— Chrzanię twoje rady — burknął posepnie. — Susan twierdziła, że będziesz zazdrosna i miała rację.

Lucky odziedziczyła temperament Santangelów. Spioru-nowała ojca wzrokiem i wypaliła:

— Mam gdzieś jej spekulacje. Wdowa Martino to twoja broszka i wierz mi, żeniąc się z nią, będziesz miał więcej problemów, niż to sobie wyobrażasz.

— Moja córka — pytia! Nawet jej nie znasz, więc przestań ją oczerniać.

— Próbuję uchronić cię od popełnienia wielkiego błędu.

— Dziecko, popełniłem w życiu dużo błędów, a większość z nich wówczas, gdy nie było cię jeszcze na świecie. I wiesz co? Przetrwałem bez twoich rad, więc uśmiechnij się i życz mi szczęścia.

Nienawidząc go za tę głupotę, wykrzesła z siebie sztuczny uśmiech i kiwnęła głową.

— Masz rację. To twoje życie i skoro tego chcesz, cóż... moje gratulacje.

— To już lepiej. — Uśmiechnął się, zapominając o gniewie. — No, muszę lecieć. — Ruszył zwawo do drzwi.

— Stój! — wykrzyknęła Lucky. — Nie mogę dłużej czekać. — Była coraz bardziej spięta i sfrustrowana. — Musisz podjąć decyzję co do Atlantic City.

Niecierpliwie zerknął na zegarek.

— Muszę pędzić. Porozmawiamy, jak wrócę. Przeszyła go wzrokiem.

— Dokąd idziesz?

— Nie mówiłem ci?

Pokręciła głową, czekając na wybuch kolejnej bomby. Nie rozczarował jej

— bomba wybuchła.

— Obiecałem polecieć z Susan do Los Angeles. Musi zawiadomić dzieci osobiście, nie chce, żeby przeczytały o nas w gazetach.

Tak, zaczynała go tracić. Gino... Tatusiu...

— Jakie dzieci? — zapytała spokojnie, chociaż odczuwała wszystko, tylko nie spokój.

— Ma dwoje, chłopaka i dziewczynę w tym samym wieku.

128

Coś lodowatego ścisnęło jej serce.

— To znaczy w jakim?

— Któż to wie? Dziewiętnaście, może dwadzieścia lat. Susan miała rację.

Lucky była zazdrosna. Ale nie o nią,

nie o tę starą krowę. Była zazdrosna o „dzieci”, które pewnego dnia będą uważały Ginę za swego ojczyma.

O Boże! Nie mogła tego znieść! Dlaczego działo się to, co się działo?

Dlaczego Susan Martino wkroczyła w ich życie i wszystko zepsuła?

— Kiedy wracasz? — spytała ukrywając rozczarowanie.

— Najdalej za dwa dni. Zadzwonię.

— Ale ja muszę wiedzieć już teraz — rzuciła zdesperowana. — Nagranie kontraktów w Atlantic City kosztowało mnie masę czasu i wysiłku. Jeśli natychmiast ich nie podpiszemy, cała praca pójdzie na marne.

Niecierpliwił się, chciał już wyjść. Czekala na niego Susan, a teraz liczyła się przede wszystkim ona.

— Będzie dobrze — odrzekł z przekonaniem. — Kiedy wrócę, usiądziemy i wypracujemy strategię działania. Obiecuję. Możesz na mnie liczyć.

Kiedyś by mu uwierzyła. Teraz miała wątpliwości.

— Chcieliśmy zbudować razem hotel i myślałam, że zależy ci na tym bardziej niż na czymkolwiek innym w świecie — odrzekła cicho. — Chyba możesz powiedzieć „tak” albo „nie”, prawda? To wystarczy, żeby przystąpili do realizacji kontraktu.

— Za dwa dni. — Cmoknął ją w policzek i już go nie było.

Wyszła na taras i długo stała, patrząc w pustkę. Słońce chowało się za obłok. Ochłodziło się. Zamyślona zagryzła dolną wargę. Kim była Susan Martino? Jak dotąd żyła? Wiele lat spędziła u boku swego słynnego męża. A przedtem? Czy Gino w ogóle coś o niej wiedział?

Ogarnięta niejasnymi przeczuciami, zadzwoniła do Bo-ogiego i wezwała go do siebie. Nie upłynęło pięć minut i już pukał do jej drzwi.

— Chcę wiedzieć wszystko o Susan Martino — powiedziała. — Prześwielt ją, i to dokładnie. Od dnia urodzin do dzisiaj. Rozumiesz?

129

Boogie kiwnął głową. Z biegiem lat przywykł do dziwnych żądań Lucky. Nigdy nie robiła nic bez powodu. Lucky Santangelo miała styl. Była jedyną w swoim rodzaju i darzył ją niezachwianą lojalnością.

Po wyjściu Boogiego zadzwoniła do hotelowej centrali. Dimitri Stanislopoulos telefonował dwa razy, prosił, żeby oddzwoniła.

Dimitri... Nie wiedziała, czy chce go widzieć czy nie. Dimitri... ojciec Olympii. Dimitri... interesujący kochanek.

Potoczyła wzrokiem po zastawionym różami pokoju i doszła do wniosku, że chce się z nim spotkać. Pijana, nie pijana, dobrze się z nim bawiła i odpowiadał jej w łóżku, choć nie należał do mężczyzn, jacy ją pociągali. Przede wszystkim był za stary i zbyt apodyktyczny. To Lucky zwykle

dyktowała warunki.

Myśl, że miałyby spędzić samotny wieczór, podczas gdy Gino będzie leciał do LA ze swoją wybranką u boku, przygnała ją do telefonu.

— Jutro wyjeżdżam — poinformował ją Dimitri — więc dzisiaj zjemy razem kolację.

W pewien sposób przypominał jej Giną. Silnego mężczyznę, który żądał posłuszeństwa i zwykle stawiał na swoim.

Choć raz nie miała nic przeciwko temu, żeby dać się ponieść fali.

Susan Martino mieszkała w dopieszczonym luksusie na Roxbury Drive. W wielkim domu obciążonym olbrzymią hipoteką — ale o tym Ginowi nie wspomniała.

W przybudówce nad garażem na cztery samochody mieszkała para Szwajcarów. Kobieta gotowała i sprzątała, jej mąż doglądał ogrodu i był złotą rączką od wszystkiego. Za swoje usługi otrzymywali dwa tysiące dolarów miesięcznie. Zarządca majątku poinformował Susan, że wkrótce będzie zmuszona ich odprawić, bo zabraknie pieniędzy.

W garażu stał żółty rolls — na leasingu. Brązowy mercedes — na leasingu. I toyota kombi Szwajcarów, prezent od Tiny'ego, który za życia szastał pieniędzmi, jakby spa-

130

dały z palm na podjeździe. To właśnie dlatego Susan znalazła się w tak krytycznym położeniu.

Tiny nie zostawił testamentu. Zostawił po sobie bałagan.

Miesiąc po jego pechowej śmierci musiała stawić czoło ponurej rzeczywistości. Za dwa lata groziło jej bankructwo. Chociaż w ciągu swej oszałamiającej kariery Tiny zarobił olbrzymie pieniądze, zdołał wydać

wszystko co do centa, w taki sposób czy inny.

Kiedy księgowy zaczął przeglądać z nią rachunki, Susan zadrżała. Nie mogła dać wiary, że Tiny wyczyniał z pieniędzmi to, co wyczyniał.

Dziesięć tysięcy dolarów dla jednego przyjaciela w potrzebie, dwadzieścia tysięcy dla drugiego. Utrzymywał całą hordę krewnych i wierzył w każdą historyjkę, jaką mu serwowali, żeby tylko coś uskubać. No i zdawało się, że zgromadził kolekcję rachunków ze wszystkich restauracji na świecie.

Wydać sto tysięcy dolarów miesięcznie na upominki? Dla niego to była pestka!

Przez jakiś czas wściekała się i szalała. Wrzeszczała, ciskała czym popadnie i histerycznie szlochała. Potem usiadła i zrobiła gruntowny remanent. Miała czterdzieści dziewięć lat, była pięknie zakonserwowana (chirurg zlikwidował jej tylko obwisły podbródek, zmarszczki wokół oczu i podniósł biust), elegancka, czarująca, zachwycająco rozmowna i uległa w łóżku. Czegóż więcej potrzeba mężczyźnie? Zwłaszcza starszemu. Dużo starszemu. Była wystarczająco inteligentna, żeby zdać sobie sprawę, iż starsi mężczyźni pragną ciała młodego — działało niczym ostroga na ich opieszale hormony, nie wspominając już o tym, że skutecznie ich wyszczuplało.

Dlatego też Susan Martino sporządziła listę odpowiednich kandydatów, zaczęła zwabiać ich w zastawione sieci i...

... z różnych powodów jednego po drugim wykreślać. Na liście — hen, daleko, prawie na samym dole — widniało nazwisko Gina.

Nigdy nie myślała, że się za niego zabierze. Gino Santangelo był osobnikiem wielce podejrzanym o jeszcze bardziej podejrzaną przeszłość. Był człowiekiem-enigmą, który mieszkał w Las Vegas wraz z

apodyktyczną córką.

131

Powiadano, że jest kryminalistą ukrywającym działalność za parawanem tysięcy różnych firm.

Susan to nie obchodziło. Była zdesperowana. Nie miała już prawie pieniędzy, musiała coś zrobić, i to szybko. Wynajęła na miesiąc dom w Las Vegas, wsiadła do samolotu i dwa dni później przystąpiła do ataku. Voila! Gino Santangelo wpadł w sidła nader gładko. Poza tym miała szczęście, ponieważ jego zaborcza córuś wyjechała z miasta, dzięki czemu Susan mogła przypuścić frontalny szturm.

I już go zdobyła. Tylko czy kiedykolwiek będzie mogła przedstawić go przyjaciółom?

Musi to zrobić bardzo, ale to bardzo ostrożnie. Mimo życia, jakie wiódł, mimo imponujących koneksji, Gino był prostacki niczym uliczny rzezimieszek.

W łóżku ją przerażał. Był taki... nieokrzesany. Tyle chciał, i to w jego wieku. Nużył Susan nieustannymi próbami doprowadzenia jej do orgazmu. Jakby jej na tym zależało. Przez te wszystkie lata Tiny wskakiwał na nią, wykonywał dwa, trzy ruchy, i po krzyku. Naprawdę nie chciała zawracać sobie głowy czymś więcej. Seks. Ah! To takie plugawe. A zwłaszcza palce Giną, jego język i ta ciągła potrzeba zdobycia dowodu, że sprawia jej cudowną rozkosz.

Nikt nie mógł powiedzieć, że kiepska z niej aktorka. Była rewelacyjna, zasługiwała na Oscara dla najlepszej odtwórczyni ról łóżkowych!

— Witamy w domu, pani Martino — powiedziała Szwajcarka.

— Dziękuję, Heidi. Miło jest wrócić — odrzekła Susan z ciepłym

uśmiechem. — To jest pan Santangelo. Zostanie u nas kilka dni. Bądź tak uprzejma i przygotuj mu łóżko w pokoju gościnnym.

Heidi kiwnęła głową i odeszła.

— W pokoju gościnnym! — wykrzyknął Gino, szczypiąc Susan w pośladek. — Chyba żartujesz!

— To tylko na pokaz. Jutro przyjeżdżają dzieci. Uśmiechnął się.

— Co jest? Nie wiedzą, że mamuśka jeszcze to robi? Nawet okiem nie mrugnęła.

132

— Gino, mój drogi. Nie stwarzajmy niepotrzebnych problemów. To, co robimy, jest wyłącznie naszą sprawą. W domu trzeba świecić przykładem. Dał jej klapsa w pupę.

— Dziecinko, kiedy ja jestem w domu, będziemy robili to, co ja chcę. Jasne?

Zacisnęła usta, ale nie odpowiedziała. Od tej chwili szefem był Gino.

— W moich fantazjach często pojawia się mężczyzna wyższy ode mnie, bogatszy i bardziej rozgarnięty! — Cicho czknęła. — Wiesz co, Dimi? Taki facet chyba nie istnieje.

Dimitri uśmiechnął się i popieścił jej piersi.

— Może właśnie go znalazłaś? — powiedział łagodnie. Lucky zachichotała.

— Na pewno jesteś ode mnie dużo starszy. Jesteś najstarszym mężczyzną, z jakim kiedykolwiek spałam.

— I przypuszczam, że najbogatszym. Sięgnęła po papierosa.

— Chyba tak.

— No i jestem wysoki.

— Owszem.

— I bardzo rozgarnięty. Wprost niezwykle rozgarnięty.

— Zaprzecza temu tylko jedno: madam Fern. Zmarszczył brwi.

— Nie będziemy rozmawiali o Francesce. Gwałtownie usiadła.

— Wiesz, przyszła mi do głowy wspaniała myśl. To tylko myśl, nic więcej, ale kto wie, może jesteś chodzącym ideałem!

— Już mi to mówiono — odrzekł skromnie. Wstała i przeszła nago przez pokój.

Dimitri podziwiał symetryczne linie jej szczupłego ciała. Przypominała mu pewną młodą Francuzkę, gwiazdę filmową, z którą kiedyś sypiał. Podniecała go majestatyczna zuchwałość bijąca z jej agresywnej młodzieńczości. Lucky różniła się od innych młodych kobiet, miała w sobie coś wyjątkowego. W jej osobowości wyczuwał jakąś niebezpieczną cechę,

133

emanowała z niej siła i poczucie mocy. Intrygowała go, a już na pewno podniecała, chociaż była w wieku jego córki; uważał, że z kobietą warto jest rozmawiać — nie wspominając już o pójściu z nią do łóżka — dopiero wówczas, gdy skończy co najmniej czterdzieści lat.

Wyglądało na to, że Lucky jest wyjątkiem od reguły. Interesowała go w pewien nowy sposób, no i bez wątpienia zdołała odciągnąć jego myśli od Franceski Fern — chwilowo.

Ilekróć pomyślał o Francesce, ogarniała go fala wściekłości. Potraktowała go okrutnie i będzie musiała błagać o wybaczenie.

O tak, dobrze ją znał. Była kobietą dumną — swoją niedyskrecją z Normą Valentine musiał stłamsić jej ego. Teraz, kiedy wiedział już o wieloletniej

rywalizacji obu aktorek, rozumiał jej furję. Lecz w żaden sposób nie tłumaczyło to jej pogardliwej niegrzeczności. Francesca będzie musiała przed nim się czołgać, nim Dimitri zechce się do niej odezwać. I będzie się czołgać. Jeżeli znał ją tak dobrze, jak przypuszczał, na pewno się przed nim ukorzy.

Z dobrze zaopatrzonej lodówki w rogu sypialni Lucky wyjęła puszkę piwa i podała mu ją, wróciwszy do łóżka.

— Chcesz?

Nie mógł ukryć rozbawienia.

— Masz plebejskie gusta.

— Moje gusta mi odpowiadają — odrzekła. — Dla ciebie najprzedniejszy Courvoissier, dla mnie Coors! — Przechyliła puszkę, zatkała otwór palcem i spryskała mu pierś obfitą pianą.

— Wcale go to nie rozbawiło.

— Lucky! Przestań!

Śmiejąc się, usiadła na nim okrakiem.

— Dlaczego, Dimi? Czy tylko ty masz prawo do twórczych licencji? — Czubkami palców powoli drażniła jego sutki. Potem nachyliła się, żeby szybkimi ruchami języka spić z nich piwo. — Czasami — orzekła mądrze — tani browar działa równie skutecznie jak drogi koniak.

134

18

I wypadł przebojowo.

Podbił absolutnie wszystkich. I znalazł sobie nowy dom.

Foxie zaproponował mu trzymiesięczny kontrakt z uwzględnieniem czasu wolnego na ewentualne występy w telewizji. Lennie uważał, że trzy

miesiące to za długo, lecz agent, którego wynajął, twierdził, że tak trzeba. Nazywał się Isaac Luther. Był młodym Murzynem — Lennie uznał, że dzięki temu będzie się bardziej starał — miał dużo entuzjazmu i siłę przebicia. W każdym razie z Joeyem Firel-lo, który go zarekomendował, sprawdził się na sto procent. Lenniemu spodobała się jego postawa. Obaj dążyli do tego samego długofalowego celu: do gwiazdorstwa, wielkiego szmalu, a kto wie, może i do twórczego wpływu na to, co robili.

— Bierz tę chałturę — radził. — Wszyscy wpadają do Foxiego co najmniej raz w miesiącu. Tam się bywa.

Lennie podpisał kontrakt, zadomowił się i stwierdził, że jest to jedno z najlepszych pociągnięć w jego karierze. Klub „U Foxiego” był nie tylko klubem, ale i stylem życia. Ludzie, którzy tłoczyli się co wieczór, tworzyli najbardziej interesującą, ekscentryczną i ekscytującą grupę, jaką kiedykolwiek widział. I naprawdę podobało im się to, co robił. Zwłaszcza stałym bywalcom, których nie męczyło wysłuchiwanie tych samych, starych kawałków i którzy chętnie służyli mu radą i wsparciem. •

Foxie nieustannie dzielił się z nim uwagami. Zrób to. Zrób tamto. Podoba mi się monolog portorykańskiej prostytutki. Skreśl ten numer z włamywaczem. Miał ucho do dialogów, świetnie wyczuwał tekst i zawsze umiał przewidzieć, co wypali, a co nie.

Z tymi, którzy zakłócali występ niewybrednymi komentarzami, radził sobie osobiście, zrywając się od stołu, zasypując ich gradem epitetów albo prosząc o interwencję jednego z dwóch krzepkich bramkarzy.

— Nikt nie będzie mi tu przysrywał — oznajmiał co najmniej raz dziennie. — Ci, co przychodzą do Foxiego,

muszą zachowywać się jak ludzie. Nie zniosę tu nędznych śmieci. Starzy bywalcy go uwielbiali. Obrzucali się wzajemnie obelgami i uszczypliwymi uwagami, a raz w tygodniu Foxie brał do ręki mikrofon, żeby dać dwudziestopięciominutową próbkę swego specyficznego poczucia humoru. Był niczym stary, dziarski Don Rickles z domieszką Buddy'ego Hacketta i Charliego Callasa.

Jak na osiemdziesięciopięciolatka miał nienaganne wyczucie.

Rainbow wyjechała.

— Z wizytą do siostry w Arizonie — powiedział Foxie, starannie oddzielając słowa. — Znasz moją Rainbow?

Lennie wyjaśnił mu, skąd ją zna.

Foxie roześmiał się, co zabrzmiało jak seria krótkich, gwałtownych trąbnięć.

— Co za świat! A więc jesteś dzieciakiem Alice Golden. Doskonale ją pamiętam. Alice Piersióweczka... — Uśmiechnął się chytrze, odsłaniając garnitur pożółkłych od nikotyny zębów — jego własnych zębów. — Pewnie myśli, że już ją zapomniałem. Nie, tych naprawdę dobrych nigdy nie zapominam.

Chytry uśmiech przeszedł w uśmiech lubieżny i wyobraźnia zaczęła podsuwać Lenniemu alarmujące wizje Alice w łóżku karłowatego rozpustnika imieniem Foxie. Próbował być wyrozumiały, ale daj spokój, Alice, naprawdę! Czyżby nie było końca jej eskapadom?

Już samo obserwowanie Foxiego było kształcące. A obserwowanie jego striptizerek stanowiło fascynującą rozrywkę. Zatrudniał trzy. Wspaniałą Meksykankę o błękitno-czarnych włosach do pasa. Blond Szwedkę z biustem nie ulegającym sile grawitacji. I Azjatkę o ruchach tak delikatnych

i wdzięcznych, że określenie „striptizerka” w żaden sposób nie przystawało do tego, co dziewczyna robiła.

— To moja Rainbow je wyszkoliła — chwalił się dumnie Foxie. — Umiejętne rozbieranie się to wymierający zawód. Nie sprzedajemy tu cycków i cipek, my tu występujemy. Chcesz zobaczyć cipkę, to idź do jednej z tych pornospelun na końcu ulicy. Foxie sprzedaje prawdziwą sztukę.

136

Lennie sztuką by tego nie nazwał, ale musiał przyznać, że cokolwiek dziewczyny robiły, robiły to dobrze.

Miał już pracę, więc dwa razy próbował dodzwonić się do Jess, ale zawsze trafiał na odpowiadającego monosylabami Waylanda. Za trzecim razem podał mu swój numer z prośbą, żeby oddzwoniła.

— Nie zapomnisz jej tego przekazać, prawda?

— Jasne, stary — odrzekł Wayland i zapomniał o wszystkim, nim odłożył słuchawkę.

Zadzwoił też ponownie do Eden. W sumie dzwonił trzy razy. Za pierwszym razem odpowiedział mu głos tego samego mężczyzny, więc Lennie nie zawracał sobie głowy i po prostu odwiesił słuchawkę. Za drugim razem telefon dzwonił i dzwonił. Za trzecim bezosobowy głos automatycznej sekretarki spytał go o nazwisko i numer telefonu. Lennie poddał się. Musiał porozmawiać z Eden osobiście.

Joey powiedział mu, że znalazła sobie nowego przyjaciela.

No i co z tego? Miał to gdzieś. Jeszcze z sobą nie skończyli i Eden wiedziała o tym równie dobrze jak on. Będą razem, to tylko kwestia czasu. Znowu ta sama sztampana. Jess znała to na pamięć. Pojechać do szpitala,

znaleźć miejsce do parkowania, zgłosić się do recepcji, wjechać windą na trzecie piętro. Mogła to robić z zamkniętymi oczami. Czasami, przechodząc przez oddział dla nieuleczalnie chorych kobiet, wolałaby ich nie oglądać. Pacjentki zajmujące poszczególne łóżka zmieniały się tydzień w tydzień. Jedna odchodziła, milion następnych już czekało. I ci odwiedzający krewni ze zbolałym obliczem. „Co ja tu robię?“, czytała w ich oczach. Znała to uczucie aż za dobrze.

Podchodząc do łóżka matki, przywołała uśmiech na twarz. Zawsze przynosiła jej jakiś drobiazg, często tylko nowe zdjęcie dziecka, lecz obojętnie co przynosiła, matka była wdzięczna.

Codziennie siedziała przy jej prostym łóżku czterdzieści pięć minut.

Lekarze twierdzili, że to tylko kwestia czasu. Czas płynie niekiedy bardzo wolno.

137

Zwykle wychodziła zlaną potem i roztrzęsioną. Bywało, że musiała wypalić w samochodzie skręta, zanim mogła trzeźwo myśleć.

W sobotę przyjechała z wizytą dokładnie o drugiej. W recepcji próbowano ją zatrzymać, mimo to pojechała na trzecie piętro.

Łóżko matki było puste, prześcieradła ściągnięte.

Czarnoskóra pielęgniarka objęła ją i powiedziała:

— Dzwoniliśmy do ciebie wczoraj wieczorem, skarbie. Nie przekazano ci wiadomości?

Jess wiedziała, że nie powinna być zaszokowana i smutna. Wiedziała, bo przygotowywała się do tej chwili od wielu miesięcy.

— Nie, żadnej — wymamrotała, czując, że wilgotnieją jej oczy.

— Wyjdźmy stąd — zaproponowała współczująco pielęgniarka. — Na

takie okazje trzymamy trochę leczniczego spirytusu.

— Nie, dziękuję — odrzekła grzecznie Jess, próbując powstrzymać łzy.

— Jak mam załatwić... formalności?

Pielęgniarka wyjaśniła jej, co trzeba zrobić. Jess wróciła do recepcji, wypełniła gruby plik formularzy, wypisała czek na potężną kwotę i wyszła.

Siedziała w samochodzie i gapiła się tępo przed siebie. Czy to możliwe, że dzwoniли do niej z wiadomością o śmierci matki, a Wayland był tak narąbany, że zapomniał jej o tym powiedzieć? Wiedziała, że mąż jest w kiepskiej formie, ale to było niewybaczalne. Gdyby nie Simon, nawet nie pomyślałaby o powrocie do domu. Teraz, po śmierci matki, będzie musiała ułożyć sobie życie na nowo. Życ dalej, jak żyła? To niemożliwe, nie należała do kobiet, które pozwalają na to, żeby mężczyzna tak rażąco je wykorzystywał.

Westchnęła. Gdyby tylko Lennie nie wyjechał. Powinna mu była powiedzieć. Gdyby powiedziała, na pewno by został, nie uciekłby z muchami w nosie.

Niech szlag trafi Matta Traynora. Wszystko przez niego.

138

Żeby oblać pierwszy tydzień występów u Foxiego, Lennie zaprosił na kolację kilkoro przyjaciół. Zgarnął bliźniaczki, Joeya, Isaaca, jego piękną czarnoskórą żonę i szwedzką striptizerkę z odlotowym biustem. Balując, zwiedzili chyba wszystkie knajpy w mieście, a koło czwartej nad ranem wylądował w łóżku jednej z bliźniaczek. Co prawda nie był pewny, czy w łóżku Suny czy Shirlee, ale nie miało to większego znaczenia.

Wieczorem ruszył powoli do Foxiego, próbując zwalczyć gigantycznego

kaca. Czuł się tak, jakby czaszkę zmiażdżyła mu dziesięcotonowa ciężarówka.

Foxie przywitał go w progu klepinięciem w plecy i złośliwym uśmiechem.

— Dzisiaj lepiej bądź dobry — warknął. — Wróciła Rainbow. A jeśli nie spodobasz się Rainbow, możesz być sobie Billem Cosbym i Carsonem w jednej osobie, a i tak pójdiesz precz!

19

Dimitri odleciał z Las Vegas swoim odrzutowcem i Lucky ulżyło. Nie potrzebowała związku z mężczyzną, który mógłby być jej ojcem.

Wystarczyło krótkie interludium.

Znowu przysłał jej kilkanaście koszów fiołkoworóżowych róż, zaproszenie na jacht oraz listę swoich numerów telefonicznych na całym świecie. Nie tęskniła za nim. Ale tęskniła za Ginem, który miał wrócić za dwa dni, a nie było go już od tygodnia.

Boogie dostarczył jej raport na temat Susan Martino. Nawet interesujący, ale nie wstrząsający. Co z tego, że przed ślubem z Tinym ostro się puszczała? To by tylko wzmogło zainteresowanie Giną, miast powstrzymać jego ogniste zapędy. W trakcie małżeństwa z Tinym Wdowa Doskonała była mu całkowicie wierna. Gino wpadłby w zachwyty.

Wydawała pieniądze i przyjęcia, organizowała imprezy dobroczynne, kupowała biżuterię, żeby ponownie wydawać pieniądze.

Miała dwoje dzieci. Dziewiętnastoletniego Nathana

139

i dwudziestoletnią Gemmę. Raport ich nie uwzględniał. Lucky doszła do wniosku, że powinien i kazała Boogiemu przeprowadzić dogłębniejsze

śledztwo.

Jedyną wiadomością, którą mogłaby wykorzystać, był fakt, że stara, kochana Susan stała na progu bankructwa i jeśli coś się wkrótce nie zdarzy, nie będzie miała gdzie posadzić swego eleganckiego tyłka, bo odbiorą jej elegancki dom w Beverly Hills. Możliwe, że Gino już teraz płaci za nią rachunki.

Będzie musiała to sprawdzić, i to szybko.

Dzieci Susan wywarły na nim duże wrażenie. Były takie... porządne. Spodziewał się, że będą trochę sfiksowane, co wśród nastolatków jest rzeczą naturalną. Ale nie, były idealne, tak samo jak ich matka.

Nathan: dziewiętnaście lat, średni wzrost, kasztanowe włosy, brązowe oczy, grzeczny i dobrze wychowany. Zgłębiał prawo i filozofię na USC. Piątkowy student. Grał w uniwersyteckiej drużynie futbolowej, znakomicie surfował, dziewczęta za nim przepadały.

Dwudziestoletnia Gemma wyleciała z college'u i rozpoczęła karierę jako projektantka wnętrz. Była atrakcyjną dziewczyną o krótkich włosach w kolorze miodu i wyraźnych skłonnościach do jadłowstrętu. Zaręczyła się ze szkolnym kolegą.

Oboje wciąż mieszkali w domu.

— Spodobałeś im się — oświadczyła Susan po pierwszej wspólnej kolacji.

— Oni mi się też podobają — odrzekł Gino. Dlaczego nie mogłem mieć takich dzieci? — myślał. Chryste! Ileż kłopotów sprawiła mu nieokiełznana Lucky i trudny Dario?

— Niełatwo będzie im zaakceptować moje ponowne za-mążpójście — tłumaczyła Susan. — Dlatego, jeśli nie masz nic przeciwko temu,

odczekamy kilka dni, zanim im o tym powiemy. Tymczasem przywykną do ciebie i nie będzie to dla nich tak silnym ciosem.

— Chwila — zaprotestował. — Przecież przyjechaliśmy tu po to, żeby im powiedzieć. " ■ .

140

— I powiemy — łagodziła Susan. — Ale nie ma pośpiechu, prawda? Wygląda na to, że ci z prasy jeszcze nic o nas nie wiedzą, dlatego wolałabym trochę odczekać. Tylko kilka dni.

Czekanie go nie nużyło. Susan traktowała go jak króla, miał wszystko, czego dusza zapragnie. Pławił się w domowych zbytkach, jakie mu zapewniała. Mieszkanie w hotelu z całodobową obsługą to jedno. Ale mieszkanie z kobietą, która zaspokajała jego wszystkie potrzeby, to zupełnie co innego. Rozkoszował się jej ciągłą atencją. I chociaż wiedział, że Lucky czeka na jego decyzję co do Atlantic City, nie zrobił w tej sprawie nic. Że interesy powinny mieć priorytet? Choć raz mógł przedłożyć nad nie przyjemność.

— Doprawdy, mamó! — narzekał Nathan. — Ten człowiek to chodzący prymityw.

— Właśnie — zgodziła się z nim Gemma. — Jak mogłaś go tu sprowadzić? Jak mogłaś?

Susan zatoczyła ręką łuk, wskazując nienagannie urządzonej salon, ozdobiony dziełami sztuki i drogimi meblami.

— Oto jak żyjemy. I zamierzam utrzymać ten styl życia. Macie coś przeciwko temu?

— Ale on jest taki tępy i głośny — powiedziała Gemma.

— Cóż — odrzekła spokojnie Susan — wasz ojciec był niewiele cichszy.

— Tatuś był gwiazdorem! — Gemma kipiała gniewem. — Mam nadzieję, że nie porównujesz go z tym... z tym... Ginem Santacośtam.

— Gangster — mruknął Nathan. — Tak go nazwiemy. Susan dostała wypieków.

— Zabraniam wam!

— Gangster... — powtórzyła powoli Gemma, smakując brzmienie poszczególnych sylab. — Hfrim, nieźle, braciszku.

— Pan Santangelo jest amerykańskim biznesmenem — oświadczyła stanowczo Susan. — Pracuje z ludźmi władzy, jada z prezydentami.

Gemma spojrzała na Nathana. Nathan na Gemmę.

141

— Gangster — powtórzyli zgodnym duetem, a Nathan dodał:

— Spójrz prawdzie w oczy, mamo.

Nie było go już od dziesięciu dni i Lucky postanowiła zatelefonować. Przyrzekła sobie, że nie będzie się z nim kontaktować, ale nowojorscy prawnicy wywierali na nią coraz większy nacisk, twierdząc, że dalsze zwodzenie inwestorów jest niemożliwe.

Wściekła zadzwoniła do Giną w Los Angeles.

— Chyba zawaliliśmy sprawę — powiedziała apatycznie. — Zerwali kontrakt.

Wiadomość nie wywarła na nim najmniejszego wrażenia.

— Może to i lepiej — odparł. — Nie wiem, czy byłoby to dobre pociągnięcie. W moim wieku...

Jeżu słodki! Nagle się zestarzał i otwarcie się do tego przyznawał. Co ta suka z nim zrobiła? Dosypywała mu bromu do kawy?

— Nie wierzę własnym uszom. Zawsze tego chcieliśmy, to było nasze...

nasze... marzenie — wydukała.

— Tak, dziecino, ale marzenia się zmieniają. Pogadamy o tym, jak wrócę.

— To znaczy kiedy? — spytała, wstrzymując oddech, żeby nie wybuchnąć. Kiedy, tatusiu, kiedy?!

— Jutro, najdalej pojutrze. Trzymaj się. Opracujemy nową strategię działania, coś łatwiejszego dla takiego staruszka jak ja.

Trzasnęła słuchawką tak mocno, że oprawka pękła na dwie równiutkie połowy. Staruszek, cholera! Nie takiego Giną znała.

Co teraz? Tkwiła w Las Vegas jak w potrzasku, w potrzasku interesów łączących ją z ojcem, który najwyraźniej chorował na galopujący uwiąd starczy. Szlag by to trafił. Nie mogła bez niego zrobić najmniejszego ruchu! Było jej wygodniej, kiedy siedział w Izraelu, kiedy to ona dyktowała warunki.

Jeśli się ożeni, zerwie spółkę.

To była myśl. Myśl przemawiająca do wyobraźni.

142

Lucky Santangelo. Samodzielna. Odpowiadająca tylko przed samą sobą. Zastanawiała się, jak by to przyjął Gino. Zwłaszcza gdyby oświadczyła mu, że musi ją wykupić.

Chryste! Nigdy by tego nie zrobił. Oznaczałoby to konieczność sprzedaży „Magiriano” i równy podział pieniędzy. Trzeba by się zająć syndykatem inwestorów, skończyłby się cotygodniowy dopływ świeżo wypranego szmalu, ale...

Ale... zachowałby „Mirage”, swoje holdingi, towarzystwa oraz inne inwestycje. Prawie nie odczułby różnicy.

Nie, „Magiriano” by nie sprzedał, wykluczone. I czy naprawdę chciała

zerwać spółkę?

Tak, naprawdę tego chciała. Skoro Gino miał zamieszkać z Susan Martino, nie było sensu się go trzymać.

Poza tym ona też miała prawo do życia. I do zmiany scenerii. Otóż to.

20

Rainbow ani nie wyglądała staro, ani nie była gruba, ani brzydka, chociaż miała kurze łapki, głębokie śmieszki po obu stronach ust i malowała się zbyt nachalnie. Piękność w ruinie, to prawda. Ale w ruinie spektakularnej, posągowej, obdarzonej fantastycznym biustem i bujnymi, jasnorudymi włosami.

Lennie wyliczył, że musi dobijać sześćdziesiątki. Co najmniej sześćdziesiątki. Czuł się przy niej jak nastolatek, gdy otaksowując go spojrzeniem doświadczonych oczu, powiedziała:

— Foxie mówi, żeś ostry jak meksykański paprykarz. Udowodnisz mi to?

Och, gdzie te czasy, kiedy mógłby jej to udowodnić!

— Spróbuję — odrzekł z krzywym uśmiechem.

— Jeśli jesteś choć trochę podobny do ojca, nigdy nie przestaniesz próbować!

A więc to prawda! Jack Golden folgował sobie w rozkoszach ciała

Rainbow, ciała, które tak bardzo pobudzało fantazję.

Na szczęście jej się spodobał.

143

— Lennie — orzekła wspaniałomyślnie — jesteś prawie tak samo zabawny jak twój tatuś. Naturalnie, na inny sposób. Jack Golden rozśmieszał ludzi do tego stopnia, że gacie im pękały. Ale cóż, świat się zmienia i wygląda na to, że umiesz te zmiany wychwycić i skomentować.

— Upiła łyk brandy z mlekiem, swego ulubionego napoju, i ciągnęła: — Słuchaj Foxiego. On wie, o czym mówi. A w tym fachu wiedza to wszystko. — Odrzuciła do tyłu rudą grzywę, wciąż gęstą i lśniącą. — Cóż ja? Ja jestem tylko starą babą, która idzie za głosem instynktu.

Wolałby, żeby „stara baba” nie nosiła tak mocno wydekoltowanych sukienek. Ilekroć widział jej bujne piersi, ponosiła go rozpustna wyobraźnia. Nie tak łatwo odpędzić młodzieńcze wspomnienia.

Na scenie była rewelacyjna. Od lat występowała z tym samym numerem. Z tym samym uśmiechem na twarzy, z tymi samymi włosami, w tych samych dziwkarskich butach i w pierzastym boa na szyi. I tym samym magicznym gestem zasłaniała wszystko, choć zdawało się, że nie zakrywa nic. Stara kuglarska sztuczka. Dziewczęta rozbierały się do naga, ale Rainbow — dzięki Bogu — trzymała się rutynowego scenariusza. Pozwalała zajrzeć tu, zajrzeć tam — nie wyczuwało się w tym nic obscenicznego czy wulgarnego. Była reliktem z innych czasów i publiczność szalała.

— Robi to raz w tygodniu — powiedziała Lenniemu Azjatka. — Ludzie ją uwielbiają.

— Widzę.

— Czasami na jej występ przychodzi taki tłum, że kolejka kończy się przecnicę dalej.

Jak najbardziej w to wierzył. Alice plułaby krwią, gdyby wiedziała, że Rainbow wciąż przyciąga widzów. Zadzwoił do niej z niewielką nadzieją, że może zastanawia się, jak syn sobie radzi.

Nie zapytała go ani co robi, ani gdzie mieszka. W ogóle nie pytała go o sprawy osobiste. Powiedziała tylko:

— Lennie, mam dwudziestopięcioletniego chłopaka, który szaleje na punkcie mojego ciała. Mam go do siebie dopuścić?

Wziął głęboki oddech i postanowił nie odpowiadać na pytanie.

144

— Pracuję u Foxiego — odrzekł. — Wiesz, że twoja przyjaciółka Rainbow ciągle zrzuca szatki?

Zbił ją z pantałyku. Chwilę milczała.

— Co? — spytała w końcu. — W jej wieku?!

— Ile ona ma lat?

— Lepiej nie pytaj. Jest na tyle stara, że powinna była przestać występować lata temu.

— Przepadają za nią.

— Kto?

— Publiczność.

— Za mną też przepadali. — Westchnęła tęsknie. — Niektórzy wciąż przepadają. Lennie, kochanie, powiedz, czy romans z dwudziestopięcioletniakiem nie przypomina podszczyptywania małego bobasa?

— Raczej uwiedzenie małolata.

— Nie bredź.

— Foxie cię pamięta.

W jej głosie zabrzmiała kokieteryjna nutka.

— Ach, ten stary bubek... Szalał za mną. Miał fiucika wielkości zapałki i pokazywał go wszystkim dziewczętom. Ale nigdy nie pozwoliłam mu... no wiesz. Rozumiesz, co chcę powiedzieć, kochanie? Nigdy.

Co oczywiście znaczyło, że pieprzyła się z nim do utraty tchu.

— Pomyślałem sobie, że może wpadniesz tu kiedyś na występ — zasugerował. — Mógłbym po ciebie przyjechać, a potem odwieźć cię do domu.

— Nie cierpię autostrad.

— Nie musimy jechać autostradą.

— Nie znoszę prowadzić.

— Ja poprowadzę.

— Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Zresztą kto by chciał oglądać Rainbow i Foxiego? Nigdy ich nie lubiłam.

— Daj spokój, Rainbow była twoją najlepszą przyjaciółką. Poza tym zapraszałem cię na mój występ.

— Twój występ! — Zaśmiała się grubiańsko. — Wulgarny język i obleśne grepsy. Raz mi wystarczy, dziękuję. Twój ojciec wydziedziczyłby cię, gdyby żył.

— Wydziedziczyłby mnie? Z czego?

145

— Daj spokój — ucięła i odłożyła słuchawkę. Po co zawracał sobie głowę? Alice Golden nie obchodził nikt poza nią samą.

Na pogrzeb matki nie przyszedł prawie nikt. Dwie przyjaciółki od kanasty, stary kuzyn z Tahoe i trzech sąsiadów. Nie był to orszak królewski, mimo to Jess zrobiła, co mogła, i zaprosiła wszystkich do siebie na kurczaki Kentucky Fried z chipsami i tanie czerwone wino.

Wayland wypadł cudownie w roli gospodarza domu. Przywitał ich niedbałym machnięciem ręki, wcisnął Jess dzieciaka, potem usiadł pod drzewem i czyszcząc paznokcie, gapił się tępo w niebo.

Poskromiwszy gniew, Jess zabawiała gości, później nakarmiła Simona,

posprzątała, położyła dziecko spać i pojechała do pracy. Nie wzięła wolnego. Kto by brał wolne, mając w domu takiego Waylanda?

Matt przystąpił do ataku prawie natychmiast. Boczkciem, boczkciem i już był przy pustym stoliku do blackjacka, już siedział, już nawijał:

— Kiedy najwspanialsza dziewczyna w Las Vegas da mi drugą szansę?

— Idź sobie — odrzekła głucho.

— Ciągłe się na mnie wściekasz za ostatni wieczór?

— Spadaj.

— Powinno ci pochlebiać, że próbowałem się do ciebie dobrać. Myślałaś, że co? Że pojedziemy do mnie i będziemy bawić się w berka?

— Myślałam — odrzekła powoli — że zjemy razem kolację i porozmawiamy o tym, dlaczego wyrzuciłeś z pracy Lenniego Goldenę,

— To nie był mój pomysł. Jeśli się ze mną spotkasz, wytłumaczę ci, dlaczego twój przyjaciel wyleciał.

— Jasne, tak samo jak ostatnim razem.

Przygłodził srebrzystosiwy kędzior, który wyrwał się spod niewidzialnego hełmu lakieru do włosów, i cały czas próbował wykoncypować, czym się Jess różni od innych. Dla-

146

czego tak bardzo jej pożądał? Przecież była tylko zwykłą krupierką, w dodatku niską.

— Jess — powiedział szczerze — zaufaj mi. Zabiorę cię na kolację do miasta. Co ty na to?

Nawet kolacja z Mattem Traynorem była lepsza niż powrót do Waylanda.

Na stołkach usiadło dwóch początkujących hazardzistów. Podali jej pieniądze. Wielcy gracze. Jeden wyłożył dwu-dziesiątkę, drugi trzy

dziesiątki. Odruchowo odliczyła żetony i przesunęła w ich stronę starannie ułożone stosiki.

Matt wstał.

— O tej samej porze — powiedział. — Na parkingu. Kiwnęła głową.

Musiała z kimś pogadać. A Matt Tray-

nor będzie musiał jej wysłuchać, spodoba mu się to czy nie.

- Jest uroczy — powiedziała Eden.

— Mówiłem ci, że wyszukam porządną chałupę — zaskrzeczał Santino, stąpając dumnie po marmurowym tarasie małego, pustego domu położonego wysoko na Blue Jay Way w Hollywood Hills.

— Będę musiała zatrudnić projektanta wnętrz — myślała głośno Eden.

— Jasne — mruknął, pykając z wielkiego kubańskiego cygara. — Taka jedna jest mi winna przysługę.

— Wygląda na to, że wielu ludzi jest ci winnych przysługę.

— Inaczej nie da się żyć. — Strząsnął popiół na ziemię. Eden ruszyła w stronę roziskrzonego, błękitnego basenu z fontanną na jednym i z dwoma kamiennymi kupidynami na drugim końcu.

— Cudowny! — wykrzyknęła.

Santino był zadowolony. Im szybciej ją tu ściągnie, tym lepiej. Chciał mieć nad nią całkowitą kontrolę.

Zdjął marynarkę i usiadł na krześle. Tak, całe przedsięwzięcie na pewno wypali.

— Popływaj sobie — zasugerował. — Niechaj to będzie chrzest nowej chałupy.

Spojrzała na niego. Był spocony. Zawsze się pocił. Dzień w dzień w trzyczęściowym garniturze — każdy by się pocił.

Pamiętała, jak poszła z nim do łóżka pierwszy raz. Pod spodniami nosił bokerskie szorty we wzorek, skarpety na podwiązki, a pod pachą kaburę ze złowieszczym rewolwerem. Przez chwilę myślała, że jest gliniarzem. Gliniarz nie wprowadziłby jej do filmu. Niewiele brakowało i ubrałaby się, żeby stamtąd zwać.

Ulla, jej szwedzka przyjaciółka, twierdziła, że Santino Bonnatti ma więcej szmalu niż oleju we łbie. Eden szukała takiego mężczyzny całe życie.

Skłoni go do sfinansowania filmu, a ona w tym filmie wystąpi. I zostanie gwiazdą. A później go porzuci i pójdzie swoją drogą. Tymczasem miała szczęście, że kogoś takiego znalazła.

— Śmiało, popływaj sobie — zachęcał Santino. Wiedziała, o co mu chodzi, i nie miała nic przeciwko temu.

Jego żądza dawała jej władzę, a ona lubiła poczucie władzy.

Z wystudiowaną zmysłowością powoli zdjęła sukienkę. Pod spodem nie miała nic poza czystą perfekcją. Niektórzy mężczyźni uważali, że jest zbyt wiotka. Ale Santinowi się podobała. Jego żona, jak jej doniesiono, była kobietą tęgą.

Butów, białych sandałów odsłaniających krwistoczerwone paznokcie, nie zdjęła.

Santino wstał.

— Chodź tutaj — wychrypiał. — Właśnie przyszedł mi do głowy inny sposób na chrzest.

— Z przodu siedzi ktoś od Merva Griffina — szepnęła jedna ze striptizerek, gdy miał wychodzić na scenę.

Nie padł trupem z wrażenia. Na widowni zawsze ktoś siedział. Agent, poszukiwacz talentów, producent. Pewnego razu poszła plotka, że przy stoliku numer dwa szampana sączy Burt Reynolds. Szwedzka striptizerka tak się tym zdenerwowała, że zerwała z siebie ubranie na pięć minut przed grandę finale.

Burt Reynolds okazał się sobowtórem wracającym prosto z telewizyjnego konkursu. Szwedka była tak wściekła, że nie odzywała się do nikogo przez tydzień.

148

Lennie uprawiał ten zawód wystarczająco długo, by wiedzieć, że nie ma znaczenia, kto ich obserwuje. Kiedy stawali przed publicznością, dawali z siebie, co mogli. Jeśli okazywało się, że to za mało, to trudno.

Miał trochę nowego materiału, który chciał wypróbować: skecz matki z synem — tworząc postać matki, wzorował się na Alice. Byłoby zabawnie, gdyby zobaczyli go ci z Griffin Show, gdyby się im spodobał i gdyby poprosili go o zaprezentowanie nowego numeru w telewizji. Alice konałaby ze śmiechu. Pewnie nawet by siebie nie rozpoznała, chociaż Lennie odmalował bezlitośnie okrutny, acz prawdziwy obraz.

Po występie ogarnął go lekki niepokój. Nikt nie wpadł za kulisy, żeby powiedzieć mu, jaki był wspaniały. Nie zmaterializował się też nikt z Griffin Show.

Wypił w barze kielicha i pojechał do domu, do pustki hotelowego pokoju. Minęła druga nad ranem, ale chrzanić to, bardzo jej potrzebował. Oczekując, że odbierze ten sam mężczyzna lub automatyczna sekretarka, wykręcił numer Eden.

Odebrała osobiście. Mówiła dziwnym, gardłowym głosem, jakby

dochodziła do siebie po ostrym zapaleniu oskrzeli.

— Halo. — Senna pauza, potem nieco głośniejsze: — Halo.

Czekał, aż zacznie kląć. Jak na zawołanie bluzgnęła stekiem wyzwisk.

Wyczuwał ją doskonale. Po trzech latach życia z kobietą umiał przewidzieć jej każdą reakcję.

Już miała trzasnąć słuchawką, gdy zaczął mówić. Cicho. Powoli.

— Eden. Tu Lennie. Przygotuj się. Wróciłem.

21

W chwili gdy do apartamentu wkroczył ojciec, Olympia wiedziała, że popełniła błąd, zostając w jego nowojorskim mieszkaniu. Ona, Olympia Stanislopoulos, jedna z najbogatszych kobiet świata, miałaby czuć się jak lokatorka? Niby

•

149

dlaczego? Natychmiast zadzwoniła do przyjaciółki matki, która parała się pośrednictwem handlu nieruchomościami, i zażądała odpowiedniego apartamentu. Tout suite.

— Tak — odrzekła kobieta — mam dla pani idealne mieszkanie.

■— Proszę mi je natychmiast pokazać.

Olympia skonstatowała, że Nowy Jork bardzo się jej podoba, i postanowiła mieć tu swój własny dom. Hotele były takie nudne, a ponowny pobyt u ojca zdecydowanie nie wchodził w rachubę. Owszem, mogła korzystać z jego samolotu czy jachtu, w razie potrzeby mogła odwiedzić go na wyspie, lecz jeśli chodziło o Nowy Jork, była najwyższa pora kupić sobie niezależne mieszkanie.

Dimitri natychmiast zauważył wypaloną cygarem dziurę w blacie

bezcennego antycznego stolika. Ryknął wściekle i wezwał głównego lokaja. Olympia pozwoliła, żeby głupiec wziął winę na siebie. Nieustannie zdumiewało ją, że ojciec tak pilnuje swoich rzeczy. Wszystko zauważał. Wystarczyło, że w którymś z jego domów ktoś przełożył książkę i już o tym wiedział.

Brigette powitała dziadunia, jak go nazywała, pełnym wigoru uściskiem i cmoknięciem w usta.

Wziął dziecko na ręce.

— Jak się miewa moje maleństwo? — zapytał śpiewnie. — Dobrze się sprawuje?

— Bardzo niedobrze — odrzekła złowieszczo Olympia. — Jest bardzo niegrzeczna, zepsuła babci ślub.

Puścił tę uwagę mimo uszu i wręczył Brigitte kilka wielkich, owiniętych w kolorowy papier pudeł z prezentami.

Olympia wróciła myślą do dzieciństwa. Dużo prezentów. Lecz czułe gesty były zawsze zarezerwowane dla najnowszej kochanki. Może Dimitri łagodniał. A może lubił Brigitte bardziej niż własną córkę. Wezwała nianię Mabel i odprawiła je z pokoju wraz z prezentami.

— Jak było w Las Vegas? — spytała troskliwie. — Słyszałam, że to koszmarne miejsce, pełne koszmarnych, małostkowych ludzi.

Dimitri otaksował ją krytycznym spojrzeniem. Olympia była za gruba. Dlaczego się za siebie nie weźmie?

150

— Masz rację — odrzekł. — Ale pojechałem tam tylko po to, żeby oddać cześć Francesce Fern. Miasta nie zwiedzałem.

— A jak się miewa Francesca? — Zawsze intrygowała ją nieustająca

namiętność, jaką ojciec żywił do tej aktorki o końskiej twarzy. Nie ulegało wątpliwości, że romans z FF trwa znacznie dłużej niż inne.

— Znakomicie — uciął krótko Dimitri. Nie miał najmniejszego zamiaru rozmawiać o swoim życiu osobistym z plotkarską córeczką. Gdyby dowiedziała się, że z sobą zerwali, na pewno dopilnowałaby, żeby wiadomość trafiła do wszystkich brukowców świata. — Spotkałem twoją starą przyjaciółkę — dodał szybko, żeby nic nie zwiędziało.

— Kogo?

— Lucky Santangelo.

Lucky Santangelo. Eks-przyjaciółka. Ach, te przygody, które razem przeżyły! Kiedyś. Dawno temu. Dokładnie przed piętnastu laty. Dzisiaj pewnie nawet by się nie rozpoznały. I na pewno nie miały ze sobą nic wspólnego.

— Gdzie ją spotkałeś? — prychnęła.

— Jest właścicielką hotelu „Magiriano”.

— Ach tak? Czyżby dostała go od swego ojca gangstera?

— Zbudowała ten hotel sama, podczas gdy ojciec przebywał za granicą. Jest bardzo inteligentną i przedsiębiorczą kobietą.

Olympia milczała. „Zbudowała ten hotel sama”. Och, naprawdę?

Własnymi rękami? Czyżby ojciec próbował wzbudzić w niej wyrzuty sumienia, ponieważ nie zrobiła w życiu nic poza odziedziczeniem fortuny i poślubieniem kilku kretynów dybiących na jej majątek?

— Jak wygląda? — spytała ciekawie.

Dimitri zmienił temat. Po co miałyby mówić jej o swoim najnowszym romansie.

— Kto zauważa takie rzeczy? — odrzekł zbywająco. — Jutro w południe

chciałbym wyjechać na lotnisko. Nie spóźnij się, proszę. — Ruszył do drzwi.

Olympia kiwnęła głową. Nie miała zamiaru wyjeżdżać nazajutrz, ale chciała odesłać do Paryża Brigitte i Mabel.

151

Dały jej się we znaki, potrzebowała trochę samotności, żeby dojść do siebie po traumatycznych przeżyciach na ślubie matki. Och, to skandaliczne, to żenujące zachowanie córki! Brigitte wyrastała na prawdziwego potwora.

Tak, odprawi córkę i nianię z Dimitrim. Dimitri je przypilnuje, tymczasem ona kupi mieszkanie w Nowym Jorku i choć raz pomyśli o sobie.

Lucky Santangelo jest rzeczywiście bardzo inteligentną i przedsiębiorczą kobietą! Ha! Lata temu przypominała pstrokato ubraną cyganicę, która nie potrafiła nawet przy-gruchać sobie chłopaka. To ona, to Olympia nauczyła ją wszystkiego o seksie i strojach. Za co Lucky pięknie jej podziękowała — od piętnastu lat nie odezwała się do niej ani słowem. Pamiętała, jak mała Santangelo przyjechała do L'Evier, szwajcarskiej szkoły z internatem, gdzie obie uczęszczały. Była chudą, ciemnowłosą dziewczynką, którą zapisano jako Lucky Saint, ponieważ nikt nie mógł wiedzieć, kim jest jej ojciec.

Jakby kogoś to obchodziło.

Gino Santangelo.

Olympia zobaczyła go pierwszy raz z okna pokoju w internacie. Spojrzała i zadrżała. Wyglądał tak... złowieszczo. Śniady jak Lucky. Raczej niski, ale bardzo, baaardzo seksy. Gęste, kręcone włosy, dumny krok, czarne, złe oczy — wtedy po raz pierwszy stwierdziła, że starsi mężczyźni mają w

sobie coś pociągającego.

Bardzo długo o nim fantazjowała. Czasami, gdy chciała dać upust żądzy, wyobrażała sobie, że z nią jest, że ssie jej piersi, że wchodzi w nią bez krzty finezji, za to z brutalną siłą.

Nigdy się Lucky nie zwierzyła, że chciałyby przespać się z jej ojcem. Córka Giną na pewno by tego nie doceniła.

Olympia westchnęła i przypomniała sobie dzień, kiedy Santangelo zaręczył się z Marabelle Blue, słynną gwiazdą filmową. Poinformował o tym córkę przez telefon i Lucky wpełzła do łóżka cała zaszlochana. Był to czas, kiedy Olympia oficjalnie nie wiedziała, kim Lucky jest. Oczywiście, było zupełnie inaczej. Odkryła prawdziwą tożsamość małej

152

Saint dwa dni po jej przyjeździe do szkoły, przeglądając jej pamiętnik. Lucky łkała, Olympia nie mogła zasnąć, więc wślizgnęła się do łóżka przyjaciółki, żeby ją pocieszyć. Najpierw pocieszała ją bardzo delikatnie, lecz delikatność szybko przeszła w namiętność i wkrótce ciała dziewczynek splotły się z sobą niczym ciała kochanków.

Noc cieplej, wilgotnej słodczy. Rankiem wszystko wróciło do normy. Ani jedna, ani druga nigdy o tym nie wspomniała, jakby do niczego nie doszło. Olympia czasami o tym myślała. Z biegiem lat zaliczyła kilka kobiet. Ale to, co z nimi przeżyła, nie umywało się do zakazanej namiętności, jaką dzieliła ze szkolną przyjaciółką...

— Mamo! — W jej myśli wtargnęła Brigitte. — Spójrz! — Dziecko pokazało matce drogi zegarek od Cartiera.

Olympia przyjrzała się prezentowi. Musiał kosztować ponad tysiąc dolarów. Dlaczego Dimitri kupował dziewięćciolatce tak drogie upominki?

— Nie chcę tego — jęczała Brigitte. — Chcę zegarek ze Snoopasem. I chcę pojechać do Disneylandu.

— Dobrze, kochanie — odrzekła Olympia, odrzucając zegarek na bok. Po zegarek ze Snoopasem wyśle szofera i wręczy go córce nazajutrz, przed wyjazdem na lotnisko. To powinno zapobiec paskudnej scenie, ponieważ Brigitte nie będzie zadowolona, odkrywszy, że matka nie zamierza jej towarzyszyć.

22

Lucky stwierdziła, że nie pozostało jej nic innego, jak czekać na powrót Giną i oświadczyć mu, że zrywa spółkę. Wyglądało jednak na to, iż Gino nie ma najmniejszego zamiaru wracać. I to był problem.

Las Vegas dyszało upałem, Lucky kipiała, dni mijały powoli, noce jeszcze wolniej. W końcu nie mogła tego dłużej znieść. Marzenia o Atlantic City rozwiały się jak dym. Graj albo zejdź z boiska — zmuszono ją do tego drugiego.

Rozsierdzona spakowała kilka ulubionych książek, magnetofon oraz stertę taśm z muzyką soulową, poleciała

153

samolotem do Palm Springs i zaszła się w „Canyon Club Hotel”, gdzie udostępniono jej dom z basenem i gdzie mogła cieszyć się całkowitym odosobnieniem.

— Zadzwońcie do mnie, jak tylko wróci Gino — poleciła.

Dziwne, ale samotność jej służyła. Całymi dniami leżała nad basenem w towarzystwie Bobby'ego Womacka, Ted-dy'ego Pendergrassa i Marvinna Gaye'a. Wieczorami brała do łóżka książkę Mario Puzo, Josepha Wambaugh'a albo wczesnego Harolda Robbinsa (lektura „Kamienia dla

Dan-ny'ego Fishera" albo „Awanturników" zawsze dostarczała jej niezapomnianych wrażeń). Kompletnie się wyłączyła. Jadła zdrowe jedzenie. Nie paliła ani nie piła. Nie malowała się. Opalona na brąz, rano odwiedzała gabinet odnowy biologicznej, pływała w krystalicznie czystej wodzie, pół godziny intensywnie ćwiczyła, a wieczorem szła do sauny. Samotność jej nie doskwierała. Już jako dziecko musiała zadowalać się własnym towarzystwem. I choć czasami myślała, jak przyjemnie byłoby mieć siostrę albo brata — wciąż pamiętała bliskość, jaką dzieliła z małym Dariem — nie narzekała. Była ukontentowana.

Zdawało się, że oczekiwanie nie ma końca. Jednak oczekiwanie w jej stylu było na pewno strawniejsze. Upajała się ciszą, spokojem i samotnością, wiedząc, że wkrótce wszystko się zmieni. Że wkrótce zacznie wszystko od nowa.

— Muszę wracać — często powtarzał Gino.

— Dlaczego? — odpowiadała Susan. — Masz tam swoich ludzi, na pewno wszystkiego dopilnują. Chyba przyjemniej ci tu ze mną, prawda? Musiał przyznać, że tak, owszem. Ale zaczynał mieć wyrzuty sumienia. Lucky. Wiedział, że jest na niego zła, dlatego nie chciał do niej dzwonić — doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jak załatwią to twarzą w twarz. Życie w Beverly Hills przypominało długie wakacje. Mieszkając w domu Susan, był wolny od wszelkich obowiązków. Telefon nie dzwonił, nikt nie zawracał mu głowy mało ważnymi problemami, mógł odpoczywać i robić, co chciał.

154

Już przed laty otoczył się najlepszymi prawnikami, księgowymi i dyrektorami, jakich tylko można było zatrudnić. Nazywało się to dbaniem

o interesy, podczas gdy tak naprawdę nie musiał robić nic. Nauczył się tego na siedmioletnim wygnaniu w Izraelu. Udzielaj pełnomocnictw, ale zawsze trzymaj rękę na pulsie. Poza tym na miejscu czuwała Lucky, lotna i bystra jak mężczyzna. Na pewno wszystkiego dopilnuje. Było mu przykro, że rozczarował ją fiaskiem przedsięwzięcia w Atlantic City, ale jeśli miał się ożenić, angażowanie się w nowy projekt na tak wielką skalę nie wchodziło w rachubę. Przynajmniej na razie.

Lucky go zrozumie. Będzie musiała.

Susan jeszcze nie powiedziała dzieciom, że zamierzają się pobrać.

— Na co ty czekasz? — zrzędził Gino. — Powiedz im. Nie widzisz, że za mną przepadają?

Powiedziała im w jego obecności, na kolacji w „Chasens”. Oboje układnie chrząkali i kopali się pod stołem.

— No i widzisz? — spytał później Gino. — Uważają, że wszystko w porządku. A teraz muszę wracać do Vegas, żeby załatwić parę spraw. Jutro wyjeżdżamy.

— Nie mogę wyjechać — odrzekła szybko Susan.

— Dlaczego? Spuściła oczy.

— To po prostu niemożliwe. Kiedy Tiny odszedł... — Urwała. —

Naprawdę nie chciałam ci o tym wspominać, ale zostawił po sobie coś, co moi prawnicy zaczynają nazywać finansowym koszmarem... Muszę spróbować rozwiązać to sama, a odkąd jesteśmy razem, nie poświęcałam uwagi przyziemnym sprawom majątkowym. Wrócisz do Las Vegas, a wówczas ja...

Przerwał jej, klepiąc się w czoło.

— Jezu! Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Chryste! Jesteśmy razem,

prawda? Na miłość boską, przecież zamierzamy się pobrać. Powinienem był cię spytać, czy wszystko w porządku.

— To nie twoja sprawa, Gino — odparła stanowczo. — Ale doceniam twoją troskę.

— Posłuchaj. Od tej chwili twoje problemy są moimi

155

problemami. Jutro polecę do Vegas i wyślę do Los Angeles jednego z moich najlepszych księgowych. Spotka się z twoimi prawnikami, zbada sytuację, a ja wszystko ureguluję.

— Nie musisz, Gino — odrzekła, natychmiast się zgadzając.

Objął ją i mocno przytulił.

— Jasne, że muszę. A w następny weekend przylecisz do Vegas i znowu będziemy razem.

Nie przypuszczała, że tak łatwo jej pójdzie. Na chwilę zeszywniała, nie przygotowana na kolejną sesję jego energicznych pieszczot. Potem się rozluźniła i jakoś wytrzymała dławiący uścisk. Kiedy się pobiorą, nie dopuści go do siebie na trzy metry.

Zaczął obmacywać jej piersi.

— Jesteś seksowną kobitką — rzekł ze śmiechem. — Wiesz o tym, co?

Wiesz, Susan? Jesteś piekielnie seksowną kobitką!

Wewnętrznie zadrżała. Zewnętrznie uległa.

Jego brutalny dotyk nie sprawiał jej żadnej przyjemności. Nie mogła doczekać się chwili, kiedy Gino wyjedzie.

— Bogu niech będą dzięki. Gangster wyjechał! — oznajmiła Gemma dziesięć minut po wyjeździe Giną na lotnisko. Siedzieli we troje w pokoju śniadaniowym, skubiąc jedzenie.

— Masz rację, dzięki Bogu — podkreślił Nathan. — Mamo, chyba nie mówiłaś poważnie. Naprawdę chcesz wyjść za tego gangstera?

— Proszę tak o nim nie mówić — warknęła Susan. — I zechcicie łaskawie zaakceptować fakt, że po śmierci waszego ojca muszę jakoś żyć.

— Tak, ale nie z tym gangsterem — utyskiwała Gemma, chrupiąc dietetyczny chleb.

— Wykluczone — zgodził się z siostrą Nathan, pijąc sok pomarańczowy. Susan westchnęła. Wychowała dwoje konserwatywnych, zatwardziałych snobów. Tiny byłby przerażony.

Oczywiście, w głębi serca całkowicie się z nimi zgadzała.

156

To absurdalne, że musiała wejść w związek małżeński z mężczyzną pokroju Gino Santangelo. Dlaczego Tiny nie zadbał o jej interesy?

Dlaczego nie patrzył w przyszłość? Bezmyślny człowiek.

Owinęła się szczelniej jedwabnym peniuarem i spojrzała na swoje dzieci.

Gemma, taka chuda i krucha. Pięknością nie była, ale ujdzie. I Nathan, kalifornijski chłopak o miękkich włosach i ciele pływaka.

Gdyby nie miała ich na utrzymaniu... A oczekiwali wszelkich wygod.

Dzieci wychowane w Beverly Hills różniły się od innych. Delikatnie sączyła cytrynową herbatę. Dzięki Bogu, Gino wyjechał i przynajmniej przez jakiś czas nie będzie zawracał jej głowy. Nie zamierzała wracać w weekend do Las Vegas. Musiała zaplanować ślub, a ślub będzie isticie królewski. Przynajmniej to się jej należało.

Jeśli Gino pragnął ją widzieć, mógł przyjechać tu, do Beverly Hills.

Miała nadzieję, że nie przyjedzie.

Wiedziała, że na pewno przyjedzie.

Lucky otrzymała wiadomość nad basenem. Gino wrócił. Nie minęła godzina, jak spakowana czekała na lotnisku. Konfrontacja była bardzo spóźniona.

23

Mieli się spotkać na rogu La Brea i Bulwaru Zachodzącego Słońca, w restauracji samochodowej Tiny'ego Naylor-sa. Lennie przyjechał pierwszy i czekał w wynajętym samochodzie, zastanawiając się niecierpliwie, czy Eden przyjdzie. Było w pół do trzeciej rano, nieszczejólna pora na spotkanie. Ale kiedy wypalił do słuchawki: „Muszę się z tobą zobaczyć”, Eden odpowiedziała: „Jutro jestem zajęta, ale jeśli chcesz, możemy spotkać się teraz”.

To zupełnie do niej nie pasowało. Spodziewał się, że go zwrzeszczy, bo tak późno dzwonił. Tymczasem była zaskakująco wrażliwa, więc czekał na nią, świadom, że

157

posunięciem typowym dla Eden byłoby wyciągnąć go na ulicę i nie przyjść na spotkanie.

Zapalił papierosa i u zmęczonej kelnerki zamówił burrito i colę. Obok przeszły dwie prostytutki w szkarłatnych hot pantsach i ażurowych sweterkach.

— Chcesz się pociupciać albo co? — spytała jedna z nich, zbyt wyczerpana po nocnej zmianie, by podejrzewać, że Lennie może być tajniakiem.

— Nie dzisiaj, moje panie — odrzekł grzecznie. Zełgał. Chciał zerznąć Eden.

— Dlaczego? — spytała druga, pulchna Meksykanka ze złotą jedyką. —

Zrobię ci pokaz wstępny, skarbie. Narobisz w gatki. — Uniosła sweterek, demonstrując dwie półkule złocistego ciała.

Aprobująco kiwnął głową i powtórzył:

— Nie dzisiaj, moje panie.

— Pedał! — prychnęła Meksykanka.

— Kutafon! — dodała jej koleżanka.

Zauważyły motocykl z dwoma Latynosami na siodełku i poszły swoją drogą.

Kelnerka przyniosła burrito i colę. Jadł łąpczywie, zerkając na zegarek.

Powiedziała, że za dwadzieścia minut. Minęło pół godziny. Jak długo będzie musiał czekać?

Prostytutki już pracowały. Pulchna Meksykanka wzięła pod rękę jednego z Latynosów i zniknęli w półmroku. Jej koleżanka po fachu oparła się o kierownicę, zachęcając motocyklistę pełnym obietnic szeptem.

Eden nie zamierzała przyjść. Niby dlaczego miałyby przychodzić?

Nienawidziła go. Powiedziała mu to ostatniego wieczoru w Nowym Jorku.

— Miernota — cedziła. — Kompletne zero, sflaczały kindybał.

Eden umiała dobierać słowa.

Ale on też nie był bez winy, jeśli chodziło o wyzwiska. Obrzucał ją wszelkimi możliwymi epitetami, od głupiej krowy poczynając, na tępej suce bez talentu kończąc.

Rozstali się w nie najlepszych stosunkach.

Mimo to...

Pamiętał dobre chwile.

158

Kiedy chciała, potrafiła być najsłodsza kobietą pod słońcem. Potrafiła

sprawić, że mężczyzna czuł się jak król, jak władca całego świata. W ciągu tych trzech spędzonych razem lat dobre chwile przeważały. A seks? Seks był prze-wyborny. Eden. Smukłe ciało, długie, jedwabiste włosy, twarz w kształcie serca i figlarne, bursztynowe oczy.

Zabójcza Eden. Egzotyczna piękność, którą nie mógł się nasycić.

Jak na zawołanie, tuż obok zaparkował jej różowy thun-derbird. Opuściła szybę i posłała mu uśmiech. Oczy przesłoniła ciemnymi okularami a la Jacqueline Onassis, włosy ukryła pod jedwabną chustką.

— Witaj, Lennie — powiedziała swoją najlepszą imitacją chrapliwego głosu Lauren Bacall. — Założę się, że już myślałeś, że nie przyjadę.

Matt Traynor nie zachował się jak na prawdziwego dżentelmena przystało. Spotkali się na parkingu, zgodnie z umową. Zabrał Jess do polinezyjskiej restauracji na kolację. Spoił ją marynarskim grogiem do tego stopnia, że ledwo mogła chodzić. A potem zawiózł ją do siebie i próbował się do niej dobrać.

Jess nie protestowała.

Jess nic o tym nie wiedziała.

Jak tylko weszli do mieszkania, padła na kozetkę i urwał jej się film.

Podwinął jej spódnicę, ściągnął majtki i już miał przystąpić do dzieła, gdy sumienie wzięło górę. Co on, do diabła, robił?!

Zaczął gorączkowo zacierać za sobą ślady, naciągając z powrotem majtki i opuszczając spódnicę. Czuł się jak najgorszy szubrawiec. Rozpaczliwie pojękując, nalał sobie czystego bourbona z nadzieją, że Jess nie zdawała sobie sprawy, iż niewiele brakowało i popełniłby ten nikczemny czyn.

Potem nakrył ją narzutą ze skóry lamparta i zaczął nerwowo chodzić po mieszkaniu.

Przytomność odzyskała dopiero o wpół do szóstej rano. Obudziła się, głośno zakląła, poprosiła o kluczyki do samochodu i wybiegając w mrok, rzuciła na pożegnanie:

159

— Kluczyki zostawię pod przednim fotelem.

Matt był zdruzgotany. Oczekiwał — nawet cieszył się na tę myśl — że odegrają scenę a la Doris Day z Rockiem Hudsonem.

Doris (roztrzęsiona):

— O Boże! Co się stało? Natychmiast mi powiedz. Czy my... coś zrobiliśmy?

Rock (uśmiechając się męskim, znaczącym uśmiechem):

— Co masz na myśli? Doris:

— Nie dręcz mnie. Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Rock (uspokajająco):

— Oczywiście, że nie. Za kogo mnie uważasz? Doris (z ulgą i wdzięcznością):

— Za mężczyznę w moim typie. Ściemnienie.

A Jess po prostu wyszła. I nawet o nic go nie spytała. Czyżby miała to gdzieś?

Wszedł do kuchni, gdzie dominowała nierdzewna stal, i zaparzył sobie rozpuszczalnej kawy. Bolały go plecy. Od ciągłego nachylania się. I oczy. Z napięcia.

Ciekawe, czy kiedykolwiek się do niego odezwie.

— Wiedziałem, że przyjedziesz — powiedział Lennie, chociaż wcale nie był tego pewny. Wsiadł do thunderbirda. Eden miała na sobie kusą, letnią sukienkę i sandały na wysokim obcasie. Zdjął jej okulary. Była nie umalowana, mimo to wyglądała wspaniale.

— Witaj. — Dotknął jej włosów pod chustką. — Cieszę się, że cię widzę.
Długo sondowała go wzrokiem.

— Witaj, Lennie. To niespodzianka, ale... miła niespodzianka.

Wiedziała, który guzik przycisnąć, zawsze wiedziała.

— Pomyślałam sobie, że moglibyśmy pojechać na plażę —
zapropnowała. — Opowiedziałbyś mi, co tu robisz.

No cóż, Eden, przyjechałem na wybrzeże, żeby znowu się z tobą kochać.

Do diabła z moją karierą.

160

— Dobry pomysł. Mam prowadzić? — spytał z nadzieją, że wypadło to
obojętnie.

Skinęła głową.

Przesiadła się na miejsce pasażera, on wysiadł i obszedł samochód.

Z półmroku wychynęła meksykańska prostytutka z triumfalnym
uśmieszkiem na ustach.

— Zmieniłeś zdanie, ciapuniu? — krzyknęła. — Za dwadzieścia dolców
zabiorę was do raj. Oboje!

Nie zwracając na nią uwagi, usiadł za kierownicą. Eden przysunęła się
bliżej.

— Tęskniłam za tobą, mój ty olbrzymie — wymruczała cichutko, kładąc
mu rękę na udzie.

Poczuł gigantyczną erekcję.

Na pełnym gazie przemknęli Bulwarem Zachodzącego Słońca. Do
Brtwood dojechali w osiem minut, do Pali-sades w dwanaście, a
dwadzieścia minut później sunęli autostradą nadbrzeżną Pacific Coast
Highway, szukając odpowiedniego miejsca do zaparkowania samochodu.

Nie musiał nic mówić, mówiła ona. Opowiadała mu o swoich rolach.

— Mam mnóstwo pracy — wyznała. — Chyba jestem lepszą aktorką, niż myślałeś.

Nie chciał się w to zagłębiać.

Zaparkował na skarpie i zeszli na plażę. Była piękna noc. Świecił jasny księżyc, ocean jeszcze spał. Ruszyli brzegiem, trzymając się za ręce i chlapiąc się w wodzie niczym nowi kochankowie. A potem, niczym starzy kochankowie, upadli na piasek, by z nieokiełznaną znajomością rzeczy odkryć na nowo wszystkie sekretne miejsca.

Owinąwszy mu szyję długimi nogami, kołysała się w rytm jego ruchów, jakby pragnęła, żeby ta chwila trwała wiecznie.

Dał jej to, czego chciała, czego sam pragnął. Powoli. Szybko. Bardzo szybko. Potem znowu powoli. Panował nad sobą tylko dzięki temu, że recytował w myśli ten przeklęty alfabet i dzięki temu, że chciał maksymalnie opóźnić wytrysk. Nie chciał skończyć, pragnął kochać się z nią w nieskończoność.

161

— Zawsze... byłeś... najlepszy — wychrypiała matowym głosem. — Jezu... Lennie... Mój... ty olbrzymie...

Poczuł, że wstrząsa nią spazm rozkoszy, usłyszał jej dziki jęk i przestał się kontrolować. Kiedy skończyli, pogładził jej jedwabiste włosy i cichutko szepnął:

— Należymy do siebie. Wiesz o tym, prawda?

Nie odpowiedziała. Ciszę zakłócał tylko łagodny szum fal omywających brzeg.

Kretyńskim samochodem Matta popędziła do hotelu. Zostawiła wóz na

parkingu, wskoczyła do swego camaro i w rekordowym czasie dojechała do domu.

Nim zdążyła zaparkować, dobiegł ją płacz Simona. Bolała ją głowa.

Wypiła za dużo egzotycznych koktajli, urzęnęła się do nieprzytomności, ale dzięki temu przestała myśleć o pogrzebie, a to już było coś. Dom wyglądał odrażająco. Najwyraźniej Wayland znowu się zabawiał. Brudne puszk i butelki, zastarzały smród marihuany, papiery po hamburgerach z McDonald'sa. I nieznajomy mężczyzna śpiący na podłodze.

— Psiakrew! — wrzasnęła, kopiąc faceta, który jęknął i przetoczył się na bok.

Na łóżku w sypialni leżał rozwalony Wayland w ubraniu. W kołysce płakał Simon. Cuchnął moczem, a nawet czymś gorszym. Wyjęła go i przewinęła. Wayland ani drgnął. Znużona zaniosiła dziecko do kuchni i przygotowała mu butelkę. Płacz malucha doprowadzał ją do szału, bałagan też. Zatkąła mu usta smoczkiem, ciesząc się spokojem.

W tym tygodniu wyrzuci męża z domu.

24

— Gówno mnie obchodzi, co chcesz robić! — wrzasnął Gino.

— A mnie gówno obchodzi, co sobie myślisz! — wrzasnęła Lucky.

Darli się na siebie od godziny. Od godziny obrzucali się

162

wyzwiskami, wzajemnie się obwiniali i oskarżali. Całoroczną harmonię szlag trafił, wrócił antagonizm i zła wola sprzed lat.

— Nie kierujesz moim życiem — krzyczała wzburzona Lucky. — Nie jestem twoją małą, słodziutką córeczką, która musi robić to, co każe tatuś. I nie pracuję dla ciebie. — Zamilkła, żeby wziąć oddech i łypnąć na niego

spode łba. Chciał załatwić to po swojemu. Chciał ożenić się z Susan i zrobić z drogiej córeczki kogoś w rodzaju namiestniczki, gotowej na każde skinienie palca zastępczyni, która doglądałaby interesów, podczas gdy on będzie bawił w Beverly Hills.

Nie. Droga córeczka na to nie pójdzie. Wykluczone. Całkowicie wykluczone. Droga córeczka miała tego dość.

— Jesteśmy współnikami — powiedziała lodowatym głosem. — Połowa „Magiriano” należy do mnie. Chcę zgarnąć gotówkę i pójść swoją drogą. Dlatego albo sprzedajemy hotel, albo mnie wykupujesz. Co wolisz? Musiał przyznać, że dziewczyna ma charakter. Był wściekły jak wszyscy diabli, mimo to potrafił ją za to podziwiać. Umiała zaleźć za skórę, ale była bystra, twarda i miała swój rozum. Zawsze spadała na cztery łapy. Szeroko rozłożył ramiona.

— W czym problem? Chcesz iść swoją drogą, to idź. O co my się kłócimy? Skoro pragniesz spróbować czegoś innego, nie zamierzam cię powstrzymywać. Wykupię twój udział. Ale pamiętaj, że pewnego dnia wszystko, co posiadam, będzie należało do ciebie.

Akurat. Jeśli ożeni się z Susan Martino, cały majątek przejdzie w jej ręce.

— W takim razie sprawa załatwiona — odrzekła beznamiętnie, znużona kłótnią.

— Tak — burknął chrapliwie. — I jeśli jesteś pewna, że tego chcesz, od razu wydam odpowiednie rozporządzenia.

To nie ja tego chcę, tylko ty.

— Jest jeszcze coś — powiedziała.

— Co?

— Dom w East Hampton — wypaliła. — Chciałabym go zatrzymać.

— He? — Mierzyli się wzrokiem. Czarne oczy kontra czarne oczy. —
Dlaczego?

163

— Nie chcę, żeby zamieszkała tam obca kobieta. Ten dom należał do mamy, kiedy byliśmy rodziną. To jedyny prawdziwy dom, jaki miałam, i chcę go zatrzymać.

Znowu wpadł w złość. Najpierw chciała sprzedać hotel, teraz chce, żeby oddał jej dom w East Hampton. W co ona gra, do cholery?!

— Dobra, dom jest twój — mruknął niechętnie. Działała bardzo metodycznie, zdając sobie sprawę, że musi się zabezpieczyć. Skoro Gino zamierzał poślubić Su-san, nie miała innego wyjścia.

— Pośrednik handlu nieruchomościami oszacuje wartość domu i odkupię go od ciebie. Pieniądze potrącisz z mojego udziału w „Magiriano”. Pokręcił głową, jakby nie mógł w to wszystko uwierzyć.

— Lucky — powiedział cicho — dlaczego zachowujemy się jak rozwodzące się małżeństwo? Jeszcze trochę i zaczniemy rozmawiać za pośrednictwem adwokatów!

— A propos — rzuciła oschle. — Przypuszczam, że każesz Susan podpisać intercyzę, prawda?

— A to co znowu! — krzyknął. — Chryste! Niezłe z ciebie ziółko, naprawdę niezłe. Prawie jej nie znasz, a już suponujesz, że ucieknie z moimi pieniędzmi.

— Zachowuję się tak, jak mnie tego nauczyłeś. Mieszkamy w Kalifornii, gdzie istnieją takie rzeczy jak wspólnota majątkowa małżonków.

— Jezu Chryste! — prychnął zde gustowany. Spokojnie wyszła z pokoju.

Dalej posunąć się nie mogła.

Za pośrednictwem księgowego, którego wysłał do Los Angeles, odkrył, że Susan Martino ma kilkaset tysięcy dolarów długu.

Zadzwoił do niej i spytał:

— Jak mogłaś się w to wpakować?

— Chciałeś spytać, jak Tiny mógł się w to wpakować, prawda? — odparowała logicznie.

— Zajmę się tym. — Nie był zachwycony, ale sprawę należało załatwić.

— Mówiłam ci, że nie musisz.

164

— Powiedzmy, że to prezent ślubny — odrzekł wspaniałomyślnie.

— Dziękuję — powiedziała z umiejętnie wycyzelowaną nutką wdzięczności w głosie.

Bez względu na okoliczności umiała zachować się jak prawdziwa dama, za co ją podziwiał. Naprawdę miała klasę.

— Jeszcze za mną nie tęsknisz?

— Tęsknię, ale muszę zaplanować ślub i jestem bardzo zajęta.

— Co tu planować? Wskakuj do samolotu i załatwimy to tutaj. Żadna sprawa. — Zapalił papierosa, chociaż po ataku serca lekarz kazał mu rzucić palenie. — Słuchaj, może pobierzemy się w tym tygodniu, co? Żeby mieć to już za sobą.

Roześmiała się wesoło.

— Żartujesz, prawda? Mój Boże, Gino, „żeby mieć to już za sobą"! W twoich ustach brzmi to tak trywialnie.

— Masz inne plany?

— Oczywiście. Ślub to świętość. Na pewno chciałbyś, żeby wszystko

wypadło, jak należy.

— W Vegas też wypadłoby, jak należy.

— Raczej nie — zaszcebiotała. — Musimy pobrać się w Beverly Hills. Mam tu tylu przyjaciół. Będzie to radosny dzień, który na długo zapadnie w pamięć.

— Moi przyjaciele mieszkają tutaj — zauważył. — My też będziemy tutaj mieszkali. Nie chciałem mówić ci tego przez telefon, ale Lucky odchodzi.

— Naprawdę?

— Tak. Zrywa spółkę i przenosi się do Nowego Jorku, wygłosiła na ten temat całą przemowę. Muszę ci powiedzieć, że jestem dobity.

On był dobity, natomiast ona wpadła w ekstazę. Nigdy nie przypuszczała, że tak łatwo pozbędzie się tej tupeciary.

— Jestem przekonana, że tak będzie lepiej, mój drogi — rzekła pocieszająco.

— Tak myślisz?

— O tak.

Nie powiedziała mu, że weekend zamierza spędzić w Los Angeles.

Zapewniła go, że kocha, odłożyła słuchawkę, by

165

natychmiast zadzwonić do swych prawników i sprawdzić, kiedy Gino spłaci wszystkie długi. Tak, dokonała znakomitego wyboru. Gino Santangelo. Stary, bogaty i uległy. Jak na swoje lata, trochę za bardzo rozwiązyły seksualnie, ale jeszcze przez jakiś czas mogła to znieść.

Mężczyźni. Długo musiała ich znosić. Prawie całe życie. Od chwili, gdy jako piętnastoletnią dziewczynę rozdziwi-czył ją zawadiacki gwiazdor filmowy lat pięćdziesiątych — mamusia fryzjerka siedziała w tym czasie

na dole, chlejąc wóde — aż do chwili, gdy poznała Ginę Santangelo. Uległość wobec mężczyzn. Wobec wielu bogatych, ważnych mężczyzn. I mamusia wykorzystująca wdzięki pięknej nastoletniej córki. Nie, pieniędzy nigdy nie brała, ale zawsze dostawała prezenty. Nowego białego cadillaca dla mamusi. Trzy telewizory. Masę ubrań. Kosze jedzenia. Skrzynki szampana.

Dotyk mężczyzny napawał Susan wstrętem.

— Susan, idź na górę z panem Iksińskim. Chce ci coś pokazać.

Jeden bogacz za drugim, w końcu zaczęła się z tego utrzymywać i grała w tę grę machinalnie, ponieważ ktoś musiał dostarczać matce drobnych luksusów i nieustannie zaopatrywać ją w wódkę.

Kiedy skończyła dwadzieścia lat, matka przejechała skrzyżowanie na czerwonym świetle i zginęła na miejscu w zderzeniu z ciężarówką, prowadzoną przez ogrodnika. Meksykański kierowca wniósł sprawę o odszkodowanie. Oczywiście, Susan znalazła kogoś, kto jej to załatwił. Pół roku później, dorabiając jako statystka w filmie, wykazała wystarczająco dużo sprytu, żeby odkryć Tiny'ego. Tiny nie miał najmniejszych szans. Susan wiedziała, czego chce, i z chłodnym wyrachowaniem dopięła swego. Bez protestu rozwiódł się z żoną, poślubił Susan i zajęli jedno z czołowych miejsc w hierarchii hollywoodzkiego życia towarzyskiego. Została idealną panią domu, serdeczną powiernicą i matką dwojga dzieci. Po kilku latach Tiny zaczął rznąć wszystko, co się rusza — mężowi królowej Beverly Hills i Bel Air nie było łatwo.

166

Parę lat później Susan poznała muskularną masażystkę, Rosjankę imieniem Gloria; przychodziła, żeby rozmasować jej sztywniejący kark.

Okazało się, że Gloria zna wiele innych miejsc, które można przyjemnie masować, i Susan uległa. Kilka razy. Ale od trzech lat miała wielce zadowalający romans z żoną pewnego producenta filmowego, niejaką Paige Wheeler. Spotykały się dyskretnie w różnych miejscach, a nawet u siebie w domu, ilekroć mogły pozbyć się służących. Niestety, Ryder, mąż kochanki, spłodził ostatnio wielki przebój filmowy, co oznaczało, że Paige musiała poświęcać mnóstwo czasu na nieuniknione spotkania towarzyskie. Poza tym pracowała jako projektantka wnętrz. No, a Susan była zajęta zastawianiem sideł na Giną. Nie widziały się od miesięcy. Ręka Susan zawisała nad słuchawką telefonu. Mogła sobie pofolgować. Tylko trochę. Zasługiwała na to.

Nazajutrz po konfrontacji z Ginem Lucky obudziła się, czując silne mdłości. Zwymiotowała — pomogło, i wpełzła z powrotem do łóżka. Nie pora chorować. Miała tyle do zrobienia. Musiała zacząć się pakować, porozmawiać z prawnikami, wszystko uporządkować.

Przez chwilę zastanawiała się, czy naprawdę tego chce. Lecz w głębi serca czuła, że jeśli Gino poślubi Susan, lepiej będzie trzymać się od nich z daleka. Może Susan mimo wszystko jest cudownym człowiekiem, myślała. Może kocha Giną dla niego samego.

Może...

Pod wpływem impulsu chwyciła słuchawkę i zadzwoniła do Costy Zennocottiego, najlepszego przyjaciela ojca. Przed trzema laty odszedł na emeryturę i wszystko wskazywało na to, że po czterdziestu latach pracy dla Giną wiódł szczęśliwe, spokojne życie w Miami. Ją też darzył przyjaźnią. Ostatecznie nie kto inny, jak właśnie on rozbudził jej ambicje i wprowadził Lucky do interesów, podczas gdy Gino gnił w Izraelu.

— Jak się masz, wujku — powitała go ciepło, gdy podniósł słuchawkę.

167

— Właśnie próbuję opanować sztukę przyrządzania francuskich grzanek

— odrzekł szczęśliwy, że zadzwoniła. — Będąc w podeszłym wieku, w końcu zdecydowałem, że powinienem gotować.

Roześmiała się wesoło. Lubiła z nim rozmawiać.

— Myślałam, że robią to za ciebie hordy kobiet — zażartowała, wiedząc, że Costa widuje się ostatnio z pewną rozwódką, przez którą przytył prawie siedem kilo.

— Tak, tak — odrzekł szybko — ale znasz mnie, kocham niezależność.

Owszem, dobrze go znała. Wujek Costa. Człowiek cichy i kulturalny. Jego żona, ciocia Jen, zmarła przed rokiem po z górą trzydziestu latach małżeństwa. Był to jeden z tych nielicznych związków, w których partnerzy dojrzewają razem w miłości i poczuciu zadowolenia. Nie, wujek Costa nie zdradzał. Wujek Costa był idealnym mężem.

— Kiedy rozmawiałeś ostatnio z Ginem? — spytała.

— Dość dawno temu. Dlaczego? Coś się stało?

— To i owo. Nic wstrząsającego. Niewykluczone, że sprzedam swój udział w „Magiriano”.

— I ona mówi, że nic wstrząsającego! Co się dzieje, Lucky?

— Mogłabym do ciebie przyjechać? Muszę z kimś pogadać.

— Kiedy?

— Za kilka dni.

— Kiedy tylko zechcesz, moja droga. Wiesz, że dla ciebie zawsze mam czas.

Tak. Na wujku Coście można było polegać. A na Ginie?

— Zadzwoń.

— Jak najszybciej.

— Dobrze.

Odłożyła słuchawkę. Odwiedzić wujka Costę — tak, to dobry pomysł. W tym, co mówił, zawsze odnajdywała strzępy informacji na temat barwnej przeszłości ojca. Costa uwielbiał wspominać, ona uwielbiała słuchać. Jej matka, Maria, była jego siostrzenicą. Krążyły plotki, że babka, matka Marii, też kręciła z Ginem.

Lucky zadrżała. Nie, o tym Costa na pewno nie zechce rozmawiać.

168

Czując się trochę lepiej, ubrała się i zjechała windą na dół. Poranni hazardziści grali na potęgę i kasyno tętniło życiem. Wpadła na Matta Traynora, który — co do niego zupełnie niepodobne — robił wrażenie kompletnie wyplutego. Będzie musiała zwołać zebranie i zawiadomić dyrektorów, że odchodzi. Zresztą i tak uważali, że prawdziwym szefem jest Gino. Poprzednio nie dopuszczała do siebie tej myśli, ale teraz zrozumiała, że to prawda.

Będziesz musiała dawać sobie radę sama, pomyślała. Pierwszy raz w życiu.

Podniecające uczucie.

Uczucie bardzo podniecające.

Uśmiechnęła się. I nagle poczuła się znacznie lepiej. Atlantic City. Może spróbować bez Giną? Znaleźć inną działkę, nowych inwestorów... Hej, przecież mogła to zrobić. Wiedziała, że może. Wystarczyło tylko przekonać o tym innych.

25

Lennie spał tak mocno, jakby od dawna nie zmrużył oka. Był to jeden z tych wspaniałych snów bez snu, gdy tkwi się w kokonie z chmur tak wygodnym i spokojnym, że człowiek nie ma ochoty się obudzić. Ale on się obudził. I było już południe.

Zerwał się z łóżka i wskoczył pod gorący prysznic, rycząc „Staying Alive” Bee Geesów.

Potem obejrzał w lustrze szramy bitewne. Eden miała zabójcze paznokcie. Poprzecinane cienkimi, czerwonymi liniami plecy przypominały mapę samochodową.

No i co z tego? Znowu ją miał. Kilka blizn między przyjaciółmi? Cóż to znaczy?

Myślał chwilę. Właściwie to z sobą nie rozmawiali. Po prostu rozkoszowali się cudownym seksem i swymi ciałami. Miała na niego ochotę równie wielką, jak on na nią. W drodze powrotnej przytuliła się do niego i usnęła. Zaparkowawszy obok swego samochodu, zaproponował, że pojedzie za nią do domu.

169

— Nie — odrzekła. — Jestem zajęta od wczesnego rana.

Więc patrzył, jak Eden znika w szarówce dnia. Wstawał już świt, pożegnali się o piątej rano.

Teraz musiał tylko przeżyć bez niej cały dzień. Przyszło mu do głowy, że powinien był wysondować, gdzie Eden pracuje, i zaprosić ją na lunch. Na dobrą sprawę powinien był wysondować wiele innych rzeczy, bo nie wiedział nawet, gdzie Eden mieszka, i miał tylko jej numer telefonu.

Chciał, żeby wieczorem towarzyszyła mu do Foxiego. Posadziłby ją przy stoliku koło sceny, żeby przekonała się na własne oczy, jak wspaniały

odzew wzbudza wśród widowni — OII; Lennie Golden. Zawsze go krytykowała. Kiedy zobaczy go w akcji tu, w LA, na pewno zrozumie, jak bardzo się co do niego myliła.

Znowu byli razem — to takie dobre, takie słuszne. Oczywiście, kłócili się, ale kto się nie kłóci? On i Eden — kombinacja nie do pobicia.

Kogo ty chcesz oszukać, Lennie? — szydził wewnętrzny głos. Ona cię przeżuje i wypluje. Ty i Eden razem? Lepiej o tym zapomnij.

Zignorował ostrzeżenia podświadomości.

Eden skłamała. Kłamała bardzo często. I pięknie. Rano nie czekały jej żadne zajęcia. Dzień miała zacząć dopiero o pierwszej po południu, od spotkania z projektantką wnętrz, która winna była przysługę Santinowi Bonnattiemu.

Wstała późno, długo pławiła się w pachnącej kąpieli, niespiesznie się ubrała i do domu na Blue Jay Way przyjechała kwadrans spóźniona.

Punktualności nigdy nie przestrzegała.

Projektantka była oczywiście kobietą, co ją drażniło. Nie cierpiała załatwiać interesów z kobietami. Albo nienawidziły jej za urodę, albo się przed nią płaszczyły, ponieważ była jedną z najszlachetniejszych fotomodelek w Ameryce, zanim rzuciła wszystko dla aktorstwa.

Jednak ta kobieta była inna. Czterdzieści parę lat, niska, o gęstych, kędzierzawych rudych włosach, miała na sobie wysoko rozciętą spódnicę.

Była powściągliwa, bardzo kon-

170

kretna, tryskała pomysłami, na spotkanie przyniosła blok rysunkowy i mnóstwo szkiców. Towarzyszył jej asystent, pedał. Nazywała się Paige Wheeler. Eden bardzo ciekawiło, jaką to przysługę jest winna Santinowi.

Próżna ciekawość — nie zamierzała o to pytać.

— Chcę mieć dużo bieli — oświadczyła mgliście. — Białe kozetki, dywaniki, wszystko nowoczesne, wyraziste i mnóstwo luster. Lubię też chrom... Chcę, żeby było tu olśniewająco.

Paige kiwała głową, robiła notatki, pokazała jej próbki materiału i podsunęła kilka pomysłów.

Eden zgodziła się na większość propozycji. Chciała wyprowadzić się ze swego mieszkania równie szybko, jak szybko Santino chciał ją przeprowadzić do nowego locum. Zależało jej na tym, żeby dom wyglądał fenomenalnie na rozkładówkach „People” i „Us”. Reszta jej nie obchodziła. Zresztą i tak zamieszka tu na krótko, ponieważ, kiedy zostanie gwiazdą, natychmiast się wyprowadzi. Nie zamierzała sypiać z Bonnattim do końca życia. Tylko tyle, ile' będzie trzeba.

Przez chwilę myślała o Lenniem i o tym, jak się kochali. Och, Lennie...

Nie stracił wyczucia. W łóżku był fantastyczny. Naprawdę fantastyczny. Kto jak kto, ale ona dobrze o tym wiedziała. Wielu mężczyzn pojechało na wycieczkę do nieba i wróciło bez listów uwierzytelniających.

Szkoda, że z niego miernota. Zawsze był i zawsze będzie miernym średniakiem. Pracować w jakiejś norze na Hollywood Boulevard. Chryste, czyżby nie wiedział, że Hollywood Boulevard to nędzne przedmieścia? Że to droga donikąd? Że można tam tylko chałturzyć, jak chałturzył w Nowym Jorku?

Nikt nie miał prawa powiedzieć, że nie dała mu szansy. Dała mu aż trzyletnią szansę. Ale jeśli chodzi o seks, wciąż był ekstra, a po amorach gorylowatego Santina potrzebowała chwili wytchnienia. Cieszyła się, że zadzwonił. I że się z nim widziała. Miała tylko nadzieję, że Lennie

spokojnie odejdzie.

— Brzoskwiniowe tapety będą najefektowniejsze w sypial-

171

ni — powiedziała Paige. — Postaramy się dopasować je do ogólnej koncepcji.

— Ummm... — zgodziła się Eden. — I chciałabym futrzaną narzutę na łóżko. Coś dzikiego i seksownego. Coś... w filmowym stylu.

— Doskonale wiem, o co pani chodzi. — Paige kiwnęła głową, wymieniając rozbawione spojrzenia z asystentem.

— To dobrze — powiedziała Eden. — To wszystko? — Umówiła się na pedicure i była już dwadzieścia minut spóźniona.

Nie było sposobu na pozbycie się Matta Traynora. Znowu przylazł, znowu krążył wokół jej stołu, znowu pytał o samopoczucie i znowu zapraszał ją na kolację. Nie mogła go znieść, mimo to... Matt przynajmniej tu był i wyglądało na to, że na swój szczególny sposób bardzo mu na niej zależy.

— Chyba zrobiłam z siebie idiotkę — wymamrotała.

A więc nic nie wiedziała! Ogarnęła go fala ulgi. Miał jeszcze jedną szansę.

— Nieprawda. Powiedziałaś mi o swojej matce. To, że się upiłaś, dobrze ci zrobiło.

— Ostatnio wszystko dobrze mi robi.

— Powtórzmy to dziś wieczorem.

— Co, ten ochlaj?

— Nie, tylko pogaduchy.

Miała powiedzieć Waylandowi, żeby się wynosił. Dlaczego nie mogła odłożyć tego do następnego dnia, tylko do następnego dnia, kiedy poczuje się na siłach, żeby stawić mu czoło? Może poprosiłaby o radę Matta? Z

tego rodzaju sprawami zawsze łączyły się formalności prawne. Rozstanie z Waylandem na pewno nie pójdzie tak łatwo, jak przypuszczała.

— Dobrze — odrzekła, zaskakując tym i siebie, i jego. — Pod warunkiem że nie będzie to kolacja we dwoje w Chez Traynor.

172

O trzeciej po południu, gdy opalał się nad basenem „Cha-teau Marmont”, wywołano go do telefonu. Cóż, fakt, nie zrobiono tego w stylu obowiązującym w takich hotelach jak na przykład Beverly Hills — ot, po prostu zadzwonił telefon, a blondyn z kucykiem na łbie wrzasnął:

— Jest tu jakiś Golden?

Lennie myślał, że to Eden, i zerwał się na równe nogi.

Ale to nie była Eden. Dzwonił facet od Merva Griffina. Powiedział, że poprzedniego wieczoru jeden z producentów widział go u Foxiego, że za trzy dni mogą go upchnąć do ramówki i że jeśli Lennie chce, to proszę bardzo.

Czy chciał! Czy Barbara Walters miała swój program? Czy Clint Eastwood grał Brudnego Harry'ego? Czy Lennie Golden chciał! Ha!

— Dobrze — odrzekł. — O ile mnie pamięć nie myli, za trzy dni jestem wolny. — I podał mu numer swojego agenta.

Eden padnie. Pójdzie z nim na nagranie, weźmie go za rękę, może nawet uklęknie w garderobie, żeby poczęstować go czymś na specjalne okazje. Nareszcie wyszedł z dołka.

Zaczął gorączkowo myśleć, co może, a czego nie może wykorzystać. Telewizja to nie to samo co występy w klubie. Telewizja zakazywała używania brzydkich słów, wymagała znakomitych środków wyrazu, świeżego, oryginalnego materiału. Nie to, żeby cały czas opowiadał

ludziom stare kawały. Sam pisał swoje teksty, zawsze były oryginalne i świeże. Nikt nie śmiał wtrącać się do tego, co miał do powiedzenia na scenie.

Nie wiedział, czy dalej pracować nad opalenizną czy pędzić do pokoju. Eden powiedziała, że jest blady.

— Jak nowojorczyk — tchnęła chrapliwie. Cóż złego w tym, że wygląda jak nowojorczyk? Pieprzyć opaleniznę. Wrócił do pokoju. Czeką go mnóstwo roboty.

- W nocy wychodziłaś — powiedział cicho Santino. — Nieprawda — zełgała rozdrażniona Eden. Nie zamierzała się przed nim tłumaczyć. — Cały wieczór oglądałam telewizję i koszmarnie się nudziłam.

173

— Dokąd wychodziłaś? — syknął niczym kobra.

— Nigdzie nie wychodziłam. Przecież mówię, oglądałam...

Trzasnął ją na odlew tak mocno, że poderwało jej do góry głowę. Na twarzy wykwitł czerwony odcisk jego ręki. Była zaszokowana i oszołomiona.

— Jak śmiesz...

Nie dokończyła, bo uderzył ją drugi raz.

— Nigdy mi nie kłam, Eden — powiedział łagodnie. — Nigdy. Tym razem przymknę na to oko, ale wierz mi: nie waż się tego robić.

Wyszedł z mieszkania, mrużąc pod nosem.

— Wszystko w porządku, szefie? — spytał Czarny, gdy zjeżdżali windą.

Santino nie odpowiedział. Mówił tylko wtedy, kiedy chciał mówić.

Zaciskał i rozprostowywał palce, przyglądając się uważnie czubkom włoskich butów na zamówienie.

Kobiety. Najpierw trzeba nauczyć je, kto tu rządzi. To samo odnosiło się do pracowników, których zatrudniał.

Zademonstruj swoją siłę, a unikniesz rewolucji.

Matt zabrał Jess do włoskiej restauracji. Stwierdziła, że jest głodna jak wilk, i zjadła wszystko: sałatkę z makaronów, cielecy klopsik ze spaghetti z sosem z mięczaków i potężną porcję ciasta z malinami. Napięcie i zmartwienia zawsze wpływały na jej apetyt i miewała napady żarłoczności.

Otarła usta serwetką, przeszła Matta spojrzeniem, przez co omal się nie zadławił sałatką, i powiedziała:

— No dobra, strzelaj.

— Myślałem, że jesteś wegetarianką — wyjąkał, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Czasami — odrzekła enigmatycznie, sięgając po kieliszek do wina.

Był pusty.

Matt zamówił drugą butelkę, zastanawiając się, czy nie dojdzie do powtórki poprzedniego wieczoru i żalując, że nie jedzą kolacji w „Magiriano”, gdzie mógłby po prostu

174

podpisać rachunek. Ale któż mógł przewidzieć, że ta nie-pijąca wegetarianka tak szybko zmieni upodobania?

— No wal — nalegała. — Powiedz mi o Lenniem. Pora, żebyś się przede mną otworzył. Skoro nie chciałeś go wyrzucić, to kto go wyrzucił?

Doszedł do wniosku, że prawda nie zaszkodzi. Poza tym nie było żadnego powodu, dla którego miałby brać winę na siebie. Był jej coś winien i chciał zaspokoić jej ciekawość. Może okaże mu wdzięczność.

— Lucky Santangelo — odrzekł, nie mrugnawszy okiem. — Tylko nie pytaj dlaczego, bo nie wiem. Wyciągnęła mnie z łóżka o drugiej nad ranem, żeby faceta wyrzucić.

— Lucky Santangelo — powtórzyła powoli Jess. — Dlaczego miałyby wyrzucać Lenniego? Słyszałam, że świetnie wypadł. — Zmarszczyła czoło. — Nie sądziłam, że Lucky Santangelo zajmuje się takimi sprawami. Nic z tego nie rozumiem.

— Ani ja. Ale powiem ci jedno. Owszem, mam potężne wpływy, ale kochanie, kiedy rozkazy wydaje Gino albo Lucky Santangelo, staję na baczność jak wszyscy. — Bawił się jednym ze swoich łańcuszków. Po co jej to mówił? Powinien w jej oczach rosnać, a nie maleć.

Jess gorączkowo myślała. Lucky Santangelo. Lady Boss. Jaki mogła mieć powód, żeby wykopać Lenniego z pracy?

— Teraz znasz całą historię — zreasumował Matt. — I chyba nie muszę ci mówić, że to poufne.

— Sądzisz, że zamierzam to ogłosić w pismach branżowych?

Wzruszył ramionami.

— Po prostu nie chcę, żeby w tej sprawie powoływano się na mnie, to wszystko.

Kiwnęła głową. Dlaczego Lennie nie dzwonił? Naprawdę bardzo jej go brakowało. I bardzo go potrzebowała. Teraz mogła powiedzieć mu coś konkretnego.

— Matt — spytała powoli — masz adwokata? Chyba muszę zasięgnąć porady.

— Jakiej? — spytał spokojnie.

— W sprawie rozwodowej.

Zacząła mu opowiadać o Waylandzie, a jak już zaczęła,

175

nie mogła przestać. Mówiła o narkotykach, o jego świrniętych kumplach, o tym, że całymi dniami nic tylko śpi. Wyrzuciła z siebie wszystko.

— Płacę wszystkie rachunki. Odkąd się pobraliśmy, nie przyniósł do domu ani jednego dolara. Pójdzie, jeśli każę mu iść precz?

Matt uważnie słuchał. I nie podobało mu się to, co usłyszał. Jess wpadła w pułapkę wiecznie naćpanego narkomana, a tacy zawsze przysporzali kłopotów i nigdy grzecznie nie odchodzili. Pamiętał pewną dziewczynę, piosenkarkę, która mieszkała z heroinistą. Kiedy kazała mu się wynosić, poderżnął jej gardło brzytwą. Przeżyła, ale straciła głos.

— Jest... gwałtowny? — spytał, zastanawiając się nad swoją poczytalnością. Po cholere się w to mieszał?

— Nie. Wprost przeciwnie. Jest bardzo łagodny, zwłaszcza w stosunku do Simona. — Westchnęła. — Niełatwo będzie kazać mu odejść. Jest jak duże dziecko. W sumie to nawet mi go żal.

— Musisz pogadać z adwokatem — nalegał Matt. — Umówię cię na spotkanie. Jutro przed południem, dobra? Zrobi mi przysługę. Zadzwoń do mnie o dziesiątej i powiem ci, o której masz przyjść.

Z wdzięczności ścisnęła go za rękę.

— Dziękuję — powiedziała. — Jesteś bardzo miły. — Mimo tych beznadziejnych włosów, złotych łańcuchów i kretyńskiego mieszkania — chciała to powiedzieć, ale nie powiedziała. Powoli zaczynała zmieniać zdanie na temat Matta Traynora. Nie był taki zły, na jakiego wyglądał. Dziewczyna z biura zleceń była coraz bardziej nieuprzejma.

— Tak, proszę pana. Przekazałam tę wiadomość cztery razy. I nie, proszę

pana, to nie moja wina, że pani Antonio nie oddzwoniła.

— Jestem teraz pod innym numerem — wycedził Lennie, podając jej numer klubu „U Foxiego”. — Wiadomość numer pięć. Proszę jej przekazać, że to pilne.

176

— Na pewno przekażę.

— Dziękuję.

— Nie ma za co.

Odwiesił słuchawkę. Coraz bardziej tej biurwy nienawidził.

Dlaczego Eden grała z nim w jakieś gierki? Dlaczego zachowywała się jak ostatnia suka, zanim jeszcze na dobre do siebie nie wrócili? Niech ją szlag trafi. Komu to potrzebne?

Wyszedł na scenę i pierwszy raz czuł się parszywie.

Foxie poczęstował go stekiem wyzwisk.

Isaac, który też tam był, powiedział, że dobrze, iż na widowni nie siedział nikt z telewizji.

Rainbow obdarzyła go uśmiechem.

— Masz dzisiaj okres, złotko?

Zadzwoił do Eden jeszcze raz, i jeszcze raz. Za każdym razem odbierali ci z biura zleceń. Nie chcieli podać mu jej adresu. Joey Firello, który mógłby go znać, gdzieś wyjechał. Suną i Shirlee wracały dopiero za tydzień. Nazajutrz zdobędzie jej adres. I dowie się, w co ta dziwka z nim gra.

Nie chciał, żeby po raz wtóry spieprzyła mu życie.

Punktualnie o dziesiątej zadzwoniła do Matta. Dotrzymał obietnicy i umówił ją z adwokatem na wpół do pierwszej. Okazała należą

wdzięczność i po raz pierwszy nie próbowała obudzić Waylanda, który spał naćpany na kozetce w saloniku.

Dała Simonowi wczesny lunch i położyła go spać. Potem wyslizgnęła się cicho z domu.

Wayland ocknął się kwadrans później. Wciąż był wlany i naćpany.

Poszukał Jess, a kiedy jej nie znalazł, zdał sobie sprawę, że wyszła do pracy, nie zostawiając mu ani centa.

Potrzebował pieniędzy. Miał przyjść Edge, Edge miał przynieść dobry towar i Wayland obiecał mu sto pięćdziesiąt dolców. Jess zrzeszczałyby go, gdyby poprosił o szmal. Gdyby tylko dała się przekonać, mogłaby opychać prochy w kasynie i zapewnić im tęgi zysk. Tak, musiał ją do tego namówić. Musiał...

177

Zapomniał, o czym myślał, rozpiął spodnie i odsikał się na ścianę w saloniku. Potem połknął kilka tabletek — końcówka towaru — i przypomniał sobie, że musi zdobyć szmal, żeby odnowić zapas. Jess źle go traktowała. Nie powinna była wychodzić do pracy, zostawiając go bez pieniędzy.

Czasami je ukrywała.

Rozpoczął gwałtowne poszukiwania, przewracając rzeczy, wysypując kawę, cukier i mąkę na podłogę w kuchni.

Czasami...

Myśl uleciała. Ale wiedział jedno: musi kupić towar, a wkrótce miał przyjść Edge.

W sypialni rozplakało się dziecko.

Czasami ukrywała szmal w...

Tak, nagle sobie przypomniał.

Kiedyś ukryła tysiąc pięćset dolarów pod materacykiem Simona.

Wszedł chwiejnie do sypialni. Poprzedniej nocy nagrzał się speedem z paroma kumplami. Przyleźli, więc co miał zrobić? Przecież nie mógł z nimi wyjść, siedział przy dziecku.

Wyjął Simona z kołyski i ostrożnie ułożył go na podłodze. Dziecko natychmiast poczołgało się w stronę otwartych drzwi na patio, ale Wayland był za bardzo nawalony, żeby to zauważyć.

Zaczął gorączkowo ściągać narzutę i prześcieradła. Podniósł materacyk i cisnął go na drugi koniec pokoju.

Nic. Ani dziesięciocentówki. Ani dolara. Ani centa. Ogarnęła go fala zmęczenia. Runął na łóżko i znowu zapadł w głęboki sen.

26

Zegarek ze Snoopasem jej nie uspokoił. Dowiedziawszy się, że Olympia nie wraca do Paryża, zaczęła wrzeszczeć jak zarzynane prosię. Jakby wyczuła, że matka próbuje ją odtrącić, i nawet nie chciała o tym słyszeć. — Chcę do mamusi! — krzyczała, wrywając się niani Mabel, która próbowała zatrzymać ją żelaznym uściskiem

178

ręki i — co byłoby najlepsze — wciągnąć Brigitte do limuzyny.

— Mama niedługo przyjedzie. — Olympia ciężko westchnęła. Nie cierpiała takich scen. — Za dwa, trzy dni.

— Nie, nie przyjedziesz! — wrzasnęła Brigitte. — Nie przyjedziesz! Nie przyjedziesz!

— Przyjadę — zapewniała Olympia.

— Na miłość boską. — Wszedł Dimitri z groźnym marsem na czole. —

Dlaczego w ostatniej chwili zmieniłaś zdanie, Olympio? To nieodpowiedzialne mówić o tym dziecku dopiero teraz. — Surowym wzrokiem przeszył wnuczkę, która natychmiast się zamknęła. — Idziemy — powiedział. — Mama przyjedzie za kilka dni. Tymczasem zostaniesz ze mną.

Twarzyczka Brigitte pojaśniała. Wszystko, byle tylko nie zostać z nianią Mabel.

— Dziękuję, tato. — Olympia znowu westchnęła, poprawiając loki. Dimitri zmarszczył brwi.

— Ale nie dłużej jak tydzień — zapowiedział. — Mam spotkania w Londynie i w Rzymie i nie zamierzam ciągnąć tam Brigitte.

— Oczywiście, tato.

Wymienili obowiązkowe pocałunki i Dimitri, Brigitte oraz niania Mabel wreszcie sobie poszli.

Olympia wzięła kojącą kąpiel, zamówiła dwie butelki szampana Louis Roederer Cristal i solidny zapas kawioru, po czym zaprosiła Vitosa na noc. Przyjechał z wiadomością o przyjęciu, które wydawali członkowie zespołu The Layabouts, ekstrawaganckiej grupy rockowej z Anglii, rówieśnicy Beatlesów i Stonesów.

Olympia doszła do wniosku, że chce ich poznać, ponieważ zawsze intrygował ją ich wokalista. Nazywał się Flash.

Vitos błysnął idealnym, tępym uśmiechem.

— My pójść — odrzekł, gdy kazała mu się zbierać. Limuzyna zawiozła ich do olbrzymiego magazynu w Village, gdzie dwóch krzepkich ochroniarzy starannie ich ob-szukało.

Właśnie dlatego Olympia zaczynała uwielbiać Nowy Jork — zawsze

działo się tu coś nieoczekiwanego.

179

Weszli do środka. Olympia przeszła z uśmiechem przez tłum w holu i ominąwszy klębiącą się horde wszelkiej maści świrusów, wkroczyła z Vitosem do wewnętrznego sanktuarium, gdzie po raz pierwszy zobaczyła Flasha. Wyglądał jak zbieg z cygańskiego obozu. Długie, ciemne kędziory, dziobata twarz, cienkie, okrutne usta, zepsute zęby, groźne, żółte oczy i żylaste ciało.

Od lat widywała go w telewizji i w czasopiśmie. Był postacią kultową, jego nazwisko wymieniano jednym tchem z nazwiskami Andy'ego Warhola i Micka Jaggera. Był również nawróconym heroinistą, zagorzałym kokainistą i chyba najlepszym gitarzystą rockowym w świecie. Spotkanie z pulchną, nie najpiękniejszej urody spadkobierczynią greckiego armatora nie wpłynęło na jego libido. Zresztą nie miał zielonego pojęcia, kim Olympia jest.

— Sie ma, kochanie — powiedział. — Chcesz niucha? Olympia momentalnie się zakochała.

Nikt jej nigdy nie oskarżał o idealny gust.

27

Podjąwszy decyzję, Lucky nie miała ochoty spędzać z Ginem więcej czasu, niż było to konieczne. Mógłby próbować nakłonić ją do zmiany zdania i nie chciała ryzykować, wiedząc, że wyjazd jest decyzją słuszną. Gino był w Las Vegas sam. Bez Susan. Wdowa Doskonała została w Los Angeles, gdzie przygotowywała weselne gody.

— Przyjdiesz na ślub, prawda? — spytał Lucky.

Nie chciała iść na ślub. Dlaczegoż miałyby iść, skoro uważała, że ojciec

popelnia szaleństwo?

— No cóż... — zaczęła, szukając wymówki.

— Chcę, żebyś przyszła. — zabrzmiało to jak rozkaz, nie jak zaproszenie.

— Naturalnie — odrzekła niechętnie, zastanawiając się, dlaczego ciągle go słucha.

Papierkowa robota związana z nagłymi przenosinami nie wymagała jej obecności w mieście, więc postanowiła wyje-

180

chać za tydzień. Najpierw chciała odwiedzić Costę w Miami, a później zamierzała polecieć do Nowego Jorku, gdzie postanowiła założyć swoją bazę. Nie oszukiwała się. Wiedziała, że rozstanie z Las Vegas będzie bolesne.

Rozstanie z Las Vegas i z Ginem...

Któregoś wieczoru zjedli razem kolację. Rozmowa była sztuczna. To już po prostu nie to samo. Powiedziała mu, kiedy wyjeżdża, a on z rezygnacją kiwnął głową.

Powiedz, że między tobą i Susan wszystko skończone i nie ruszę się z miejsca ani o włos, pomyślała.

Nie powiedział na ten temat ani słowa.

Matt dowiedział się o tragedii z popołudniowego dziennika. Kolejne utonięcie w przydomowym basenie. Tym razem zginął jedenastomiesięczny chłopczyk, który wyczołgał się z domu drzwiami na patio i wpadł do wody.

Spikerka, która wyglądała jak uczestniczka konkursu Miss Ameryka, przybrała poważny wyraz twarzy i poinformowała widzów, że chociaż nie zachodzi podejrzenie morderstwa, rodziców dziecka, Jess i Waylanda

Dolbych, zabrano na dalsze przesłuchanie.

Przez chwilę Matt siedział oszołomiony. To Jess. To jej dziecko. Co się, do diabła, stało?

Zelektryzowany, chwycił marynarkę i wypadł z gabinetu.

Susan i Paige spotkały się w Brentwood, w domu, który Paige urządzała.

Właściciel posiadłości, filmowy ma-cho występujący w kasowym szlagierze autorstwa jej męża, bawił na Hawajach w towarzystwie innego filmowego macho.

Susan przyjechała pierwsza i niecierpliwie czekała w swoim żółtym rollsie. Paige zjawiała się kilka minut później. Szybko wysiadła z samochodu — porsche, złoty metalik — i podbiegła do Susan, która stała już przy rollsie, czując, jak zalewa ją fala tkliwości. Objęły się. Tworzyły dziwną parę. Susan, taka elegancka i zadbana w lśniąącym, jedwabnym kostiumie, z zaczesanymi do góry włosami, i Paige,

181

ruda i kędzierzawa, w rozciętej do granic możliwości spódnicy.

— Przepraszam za spóźnienie — powiedziała Paige, roztaczając wokoło silny zapach ciała i piżma. — Właśnie dostałam nowe zlecenie na ekspres. Jeden z inwestorów Rydera urządza jakąś gwiazdeczkę. Chce tego samego co wszystkie: bieli w stylu Marilyn Monroe, luster i futrzanych narzut. Żeby przyjemniej było się pieprzyć!

Susan uśmiechnęła się. Gdyby to Gino zrobił tak rażącą uwagę, zgromiłaby go spojrzeniem.

Weszły do prawie urządzonego domu. Jego wnętrze tworzyło męską fantazję drewna i skóry.

— No i co na to powiesz? — spytała Paige, prowadząc przyjaciółkę od

pokoju do pokoju.

— Bardzo imponujące — odrzekła z entuzjazmem Susan, choć uważała, że Paige trochę przedobrzyła.

— Ted wpadnie w zachwyty. Jego chłopak też. Weszły do sypialni i stanęły przed ciemnym, dębowym łóżem z czterema sięgającymi sufitu kolumnkami.

— Gigant — powiedziała Paige. — Dla gigantycznego przyrodzenia.

— Skąd wiesz? — spytała szybko Susan. Podejrzewała, że Paige sypia ze swymi klientami, choć nigdy nie wypowiedziała tego na głos.

— Bo wszyscy wiedzą — odparła Paige. — Tak samo jak wszyscy wiedzieli, że Tiny miał jednego z największych fiutów w Hollywood.

Susan zmarszczyła czoło. Czasami Paige posuwała się za daleko.

Wolałaby, żeby imię Tiny'ego nie padło. Tiny już odszedł — chciała zapomnieć i o nim, i o jego znienawidzonym organie, który faktycznie był największym przydatkiem, jaki kiedykolwiek widziała. Spojrzała znacząco na przyjaciółkę i zsunęła z ramion jedwabny żakiet.

— Tęskniłaś za mną? — spytała. — Bo ja bardzo. Paige uśmiechnęła się.

— Ależ oczywiście — odrzekła, zdejmując spódnice.

Susan szybko zrzuciła resztę ubrania, czekając na niepowtarzalne pieszczoty Paige. Seks z kobietą — to takie naturalne. Nie było w tym ukrytej przemocy, zawsze obecnej

182

w spółkowaniu z mężczyzną. Z kobietą Susan nie czuła się ani zagrożona, ani zbezczeszczona. To zachwycające dać się ponieść fali. Lec na plecach i rozluźnić się, tak zupełnie, tak kompletnie.

Nie musiała udawać orgazmu. Z mężczyznami zawsze udawała. Tak było

łatwiej.

Leżąc nago pośrodku wielkiego dębowego łoża, zaczęła opowiadać Paige o Ginie.

Przyjaciółka uważnie słuchała.

— Wychodzę za niego — zreasumowała Susan. — Obawiam się, że to jedyne rozwiązanie.

Paige kiwnęła głową. Szczerze mówiąc, wyglądało na to, że ten cały Santangelo to prawdziwy dynamit. Cały kłopot z Susan polegał na tym, że nie wiedziała, co dobre. Ostatecznie sztos to sztos, nie ma znaczenia, z kobietą czy z mężczyzną.

— Wiedz — dodała Susan — że w żaden sposób nie wpłynie to na nasz układ.

Paige wstała z łóżka.

— Małżeństwo ci służy — powiedziała. — Potrzebujesz mężczyzny choćby tylko po to, żeby płacił rachunki.

Susan przeciągnęła się rozkosznie.

— Ciebie potrzebuję, kochanie. — Z oddaniem rozsunęła nogi. Z Paige nigdy nie miała dość pieszczot. Z Ginem ich nie znosiła.

— Muszę pędzić — odrzekła przyjaciółka, sięgając po ubranie. — Wieczorem wydaję kolację na dwanaście osób. Kręcimy nowy film z Bronsonem. Zaprosiłabym cię, ale wiem, jak bardzo nie cierpisz przychodzić sama. Nic to. Już niedługo znowu będziesz mężatką.

— Owszem — potwierdziła nieco rozdrażniona Susan. Miała ochotę na jeszcze, a Paige już uciekała. Naprawdę szkoda, zważywszy, że nie widziały się od tyłu miesięcy. — Możemy się wkrótce spotkać?

— Czemu nie — odpowiedziała Paige. — Tylko nie wiem, czy będziemy

mogły skorzystać z tego łoża. Jutro wraca Ted. A propos: muszę zamówić świeże kwiaty, więcej poduszek i... — Chwyciła torebkę, wyjęła z niej notatnik od Gucciego i długopis. — Naprawdę nie wiem, jak ja

183

z tym wszystkim zdążam. Jestem jak kuglarka żonglująca jajami. Ryder rozleciałby się beze mnie na kawałki, a te nastoletnie potworki wymagają stałej uwagi. W zeszłym tygodniu Bradford wyleciał ze szkoły za handel trawką. A Ricky rozwalił swoją nowiutką corvettkę.

W drodze do domu Susan skonstatowała, że jej dwie konserwatywno-snobistyczne latorośle nie są ostatecznie takie złe. No i Gino... Cóż, mimo wszystko miło jest znowu mieć u boku mężczyznę. Były takie czasy, kiedy Paige nie śmiałyby wydawać bez niej kolacji. A teraz? „Zaprosiłabym cię, ale wiem, jak bardzo nie cierpisz przychodzić sama”. Tyle.

Wróciwszy, zadzwoniła do Giną. Był smutny. Pocieszyła go czule i postanowiła zorganizować ślub najszybciej, jak się tylko da.

Z biegiem lat Gino nauczył się doceniać związek jako taki i odróżniać go od seksu. Pieprzyć się umiał każdy dupek, tymczasem najważniejsza w tym wszystkim była bliskość między dwojgiem ludzi.

Żenił się dwa razy. Pierwszy raz z Cindy. Tej nie potrafił zaufać.

Drugi raz z Marią, prawdziwą miłością jego życia.

Między jedną a drugą było kilka innych kobiet. Wszystkie odcisnęły na nim swoje piętno.

Clementine Duke, żona senatora. Chłodna dama z klasą, która dopadła go, gdy miał dwadzieścia dwa lata i wskazała mu to, co w życiu najlepsze.

Bee. Przyjęła go, gdy potrzebował pomocy, i czekała na niego, gdy odsiadywał siedmioletni wyrok.

Marabelle Blue, symbol rozwiązłego seksu. Okazała się kompletnie porąbaną neurotyczką i popełniła samobójstwo, gdy ją rzucił.

Ostatnim długotrwałym związkiem był romans z atrakcyjną wdową, kobietą podobną z wyglądu do Susan. Przyjechała do Izraela i towarzyszyła mu na wygnaniu siedem lat. Zostawił ją, wróciwszy do Ameryki.

No, a teraz Susan.

Czyżby robił błąd? Zawsze miewał chwilowe wątpliwości.

Nie, chyba nie.

184

Zapalił długie hawańskie cygaro i zamyślony spojrział w przyszłość.

28

Detektyw miał na czaszce kilka pasemek tłustych, starannie ułożonych włosów.

Jess gapiła się na nie, choć instynktownie wiedziała, że to go denerwuje.

Przyszła jej do głowy dziecinna myśl, że jeśli będzie gapić się wystarczająco długo, ten niewiarygodny koszmar zniknie.

— No to dlaczego zostawiła go pani z mężem, skoro facet był nawalony jak stodoła? — spytał detektyw. — Nigdy nie słyszała pani o czymś takim jak zaniedbanie dziecka? To tak, jakby wzięła pani dzieciaka i własnoręcznie wrzuciła go do basenu. Zresztą może i tak było. Na tym popieprzonym świecie nic już mnie nie zdziwi.

Te okrutne słowa do niej nie dotarły. Nie chciała ich słyszeć. Wiedziała, że muszą ją wypuścić. Nie mogli jej zatrzymać. Przecież nic nie zrobiła...

Krzyczała tylko, biła, drapała i kopała, a gdyby miała przy sobie rewolwer, na pewno by sukinsyna zastrzeliła.

Wayland.

Pogrążony we śnie.

Jakby miał gdzieś cały świat.

I dziecko, ich dziecko...

Simon...

Pływający w basenie...

Jak lalka...

Fala potwornego przerażenia. Nie, to niemożliwe, to nie mogło dziać się naprawdę.

Utrudniony oddech. Spowolnione odruchy.

Zaczęła krzyczeć. A potem chwyciła dziecko za włosy i wyciągnęła je z basenu. Syn sąsiadów. Zjawił się i pochylił nad małym, wzdętym ciałem, z którego uciekło życie.

W końcu z domu wyszedł chwiejnie Wayland. Był bez koszuli, toczył wkoło tępym wzrokiem.

185

— Cosiastało? — wymamrotał.

Rzuciła się na niego, zaczęła tłuc go pięściami w pierś, orać paznokciami twarz. Jej krzyk sprowadził innych sąsiadów — przyjechała policja.

Od tamtej chwili wszystko widziała jak za mgłą. Za mgłą nienawiści, zamętu i rozpacz. A teraz pragnęła tylko obudzić się z koszmarne snu, ponieważ była pewna, że to nie może być rzeczywistość.

A jednak... trzymała w ramionach zimne, mokre ciało Simona, swego jedyne dziecko, i wiedziała — nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości — że jego życie dobiegło kresu.

Było oczywiste, że Eden nie zamierza oddzwonić. Nie mógł uwierzyć, że

to możliwe: wróciła do niego, napięprzyła mu we łbie i oczekiwała, że zniknie z jej życia, jakby nic się nie stało.

— Pani Antonio otrzymała wszystkie wiadomości — odrzekła dziewczyna z biura zleceń, gdy zatelefonował do Eden, przebudziwszy się w południe. — Oddzwoni do pana, jak tylko będzie to możliwe. Odwał się. Oto co oznaczały te słowa. Odwał się i przestań do mnie wydzwaniać.

Był zły. Pożądała go równie mocno, jak on pożądał jej. Psiakrew! Co to za balach?

Wyciągnął się, podniósł słuchawkę i zadzwonił do Joeya Firello. Znowu dziewczyna z biura zleceń. Czy w Kalifornii nikt nie odbiera telefonów osobiście?

— Pan Firello wyjechał. Przekażę mu pańską wiadomość.

— Muszę porozmawiać z nim teraz — odrzekł szybko Lennie. — Nie zostawił numeru, pod którym można go złapać?

— Przekażę mu pańską wiadomość — powtórzyła telefonistka, ignorując jego prośbę.

Pieprzona mumia.

Z trudem namierzył Sunę i Shirlee w Palm Springs. Ani jedna, ani druga nie pamiętały adresu Eden, choć twierdziły, że mieszka niedaleko ich domu.

186

— Cholernie mi to pomoże.

— Chyba nie zamierzasz się z nią zobaczyć? — spytała Suną.

— Ty i ona razem to trucizna — dodała Shirlee z drugiego telefonu.

Nie dzwonił z prośbą o radę.

— Kto jest jej agentem?

— Nikt ważny — odrzekły szybko.

— Pytam o nazwisko, nie o ocenę.

Podaly mu nazwisko. Zadzwońił do faceta, żeby dowiedzieć się od jego sekretarki, że ujawnienie adresu klienta bądź klientki nie wchodzi w rachubę.

— To bardzo pilna sprawa — warknął.

— Niech pan zostawi wiadomość — odrzekła. Arogancka raszpla.

Trzasnął słuchawką. Znowu to samo. Wróciła do niego tylko na jedną noc i już doprowadzała go do szaleństwa.

Wiedział, że gdyby był mądry, o wszystkim by zapomniał. Przestałby o niej myśleć tak samo, jak ona przestała myśleć o nim, bo na to wyglądało. Tylko że kto tu był mądry? Jeśli chodziło o Eden, był najgłupszym osłem w mieście.

Dłoń Santina wypaliła czerwony odcisk na bladej skórze policzka. Eden patrzyła w lustro oczami chmurnymi z wściekłości. Nikt jej dotąd nie uderzył. Nikt nie śmiał jej uderzyć.

Sukinsyn.

Włochaty sukinsyn.

Wyglądał jak łysy goryl. Powinien pełzać u jej stóp, a nie podnosić na nią rękę.

W ogóle się tego nie spodziewała. Domyślała się, że Santino Bonnatti nie należy do ludzi najbardziej czarujących, ale nie była przygotowana na atak agresji.

Poza tym skąd wiedział, że wychodziła? Czyżby kazał ją śledzić?

Postanowiła go rzucić.

Wytrwała w decyzji ledwie pięć minut. Najważniejsze to

187

wybór odpowiedniej chwili — Santino kupił jej dom, niewykluczone, że zainwestuje w film, dlatego nie, chwila pożegnania jeszcze nie nadeszła.

Nachyliła się do lustra, żeby dokładniej obejrzeć twarz. Podniosła rękę i delikatnie musnęła czerwone znamię zazdrości.

Poszła do kuchni, zawinęła parę kostek lodu w ręcznik i przytknęła go do policzka.

Telefon zadzwonił trzy razy i włączyła się dyżurna z biura zleceń. Eden nie miała ochoty z nikim rozmawiać. Lennie Golden zostawiał niezliczone wiadomości. To pewnie znowu on.

Pieprzyć Lenniego. To przez niego te wszystkie kłopoty. I pieprzyć Santina Bonnattiego. Sukinsyn. Nie ujdzie mu to na sucho. Bonnatti za to zapłaci. Kiedyś. Kiedy nadejdzie odpowiednia pora. Kiedy Eden będzie przygotowana.

Szkocka złagodziła poczucie odręczenia. Pół flaszki i kiedy wyszedł na scenę, był wojowniczy i złośliwy, a w jego dowcipach pobrzmiwała nutka sadyzmu.

Gdy skończył, zaczepiła go stojąca z boku Rainbow. Ruchem głowy wskazała telefon na ścianie i powiedziała:

— Dzwonili do ciebie z Las Vegas. Powiedziałam, żeby przekręcili za dziesięć minut.

— Kto dzwonił? — spytał, przeciągając samogłoski. Owinęła się szlafrokiem.

— Wyglądam na sekretarkę?

— Wyglądasz na przeapetyczną dupencję. — Postąpił krok w jej stronę.

— Przestań, Lennie. — Odepchnęła go z niesmakiem. — Gdyby był tu Foxie, oskalpowałby ci jaja.

— Przynajmniej je mam. Roześmiała się głośno.

— Synku, nigdy nie będziesz miał takich jaj jak Foxie. Zadzwoił telefon, co uratowało go przed koniecznością wymyślania ciętej odpowiedzi.

Las Vegas? Ciekawiło go, kto może do niego dzwonić

188

i miał nadzieję, że to Jess. Musiał z kimś pogadać. Musiał wykreślić Eden ze swego życiorysu. Raz na zawsze.

29

— Naprawdę bardzo bym chciał, żebyś przyszła na pogrzeb — powiedział Matt. — Jess jest kompletnie załamana. Twoja obecność dużo by dla niej znaczyła.

— Przecież prawie dziewczyny nie znam — odrzekła Lucky.

— Pracuje u nas od ponad dwóch lat. Nie możesz okazać jej uprzejmości? Niech wie, że nam na niej zależy.

Lucky zastanawiała się, jak bardzo jest zaangażowany. Obojętny, wyrafinowany Matt. Od kiedy to ma czułe serce?

— Dobrze — odrzekła. — Przyjdę. — I ogarnięta nagłą falą współczucia dla Jess, spytała: — Czy mogę zrobić dla niej coś jeszcze?

— Po prostu przyjdź, to wystarczy. Kiwnęła głową.

— Może damy jej trzy miesiące płatnego urlopu. Trzeba dziewczynę gdzieś wysłać, żeby wszystko sobie przemyślała. To potrwa...

Przed oczyma stanął jej Marco. Przypomniała sobie jego uśmiech, jego czarne, podwijające się na kołnierzyku włosy, sposób, w jaki na nią

patrzył.

O Boże. Ciągle jej się śnił. Nocami, kiedy czuła się tak samotna, że tylko on mógł dotrzymać jej towarzystwa.

— Tak, wiem — odrzekł Matt. — Chciałbym zabrać ją do Europy... —
Zrobił pełną nadziei pauzę. — Przez kilka tygodni dałabyś sobie radę beze mnie, prawda?

Zastanawiała się, czy to odpowiednia chwila, żeby powiedzieć mu, że wkrótce jej tu nie będzie. Doszła do wniosku, że nie.

— Bardzo ci na niej zależy? — spytała. Wzruszył ramionami.

— Mnie zależy, jej nie.

— Cóż, mam nadzieję, że wszystko się między wami ułoży.

189

Matt chciał pogadać.

— Wiem, że ona jest dwadzieścia lat młodsza ode mnie, że bardzo się różnimy. Nawet nie jest w moim typie, ale Jezu, spojrzę na nią i koniec. Ta dziewczyna mogłaby mnie uszczęśliwić.

Lucky wstała. Kiepsko się czuła.

— Może powiedziałabyś to jej, a nie mnie? — Odprowadziła go do drzwi. Nie chciała być niegrzeczna, ale nie miała też ochoty wysłuchiwać wyznań nawróconego szowinisty. Musiała go prawie wypchnąć za próg.

Kiedy wreszcie sobie poszedł, zamówiła przez telefon herbatę i grzanekę, po czym usiadła za biurkiem, żeby przejrzeć kilka dokumentów.

Miała straszliwe mdłości. To tylko nerwy. Kiedy wyjedzie, wszystko będzie inaczej.

Matt wrócił szybko do swego mieszkania, gdzie pokojówka pilnowała Jess. Jess siedziała na sofie, gapiąc się tępo w pustkę.

— Nie zgadniesz — powiedział. — Lucky Santangelo chce przyjść na pogrzeb. To naprawdę coś. Przez te wszystkie lata musiałaś wyrobić tu sobie niezłą opinię. — Stał za barkiem i nalał do kieliszka solidną porcję brandy. — Przyjdzie mnóstwo ludzi. Większość krupierów, kilka tancerek i piosenkarek, dwie kelnerki. Aha, i jeszcze Manny, no wiesz, twój ulubiony szef sali. Na pewno przyjdzie. — Podał jej kieliszek.

— To nie przyjęcie — powiedziała ledwo słyszalnym szeptem.

— Wypij, lepiej się poczujesz.

— To nie przyjęcie — powtórzyła smutno. Wziął ją za rękę.

— Wiem, kochanie. Ale wierz mi, ludziom na tobie zależy. Chcą okazać ci szacunek.

Wypiła łyk brandy.

— Okazałeś się bardzo miłym człowiekiem — wymamrotała.

Zażenowany, pomyślał, że wcale nie jest taki miły.

190

— Dodzwoniłem się do twego przyjaciela w Los Angeles — dodał szybko. — Trochę to trwało, ale w końcu namierzyłem go u Foxiego. Miał dzisiaj przylecieć, powinien już tu być. Wysłałem samochód na lotnisko, od razu przyjedzie tutaj.

Na jej ustach wykwitł słaby uśmiech.

— Lennie — powiedziała cicho — jest najlepszym przyjacielem w świecie.

— Rozumiem — odrzekł dobrodusznie. — Mówiłaś mi o tym wczoraj. Stąd wiedziałem, że chcesz go zobaczyć.

Matt przejął inicjatywę od chwili, gdy usłyszał tę straszną wiadomość. To on zabrał Jess z posterunku, to on wezwał lekarza, który naszpikował ją

środkami uspokajającymi, to on pilnował jej, gdy rzucała się, śpiąc w jego łóżku, to on wysłuchiwał jej nie kończących się wspomnień.

To on zorganizował pogrzeb, samochody i odpowiednią, jego zdaniem, stypę.

To on karmił Jess gorącą zupą i tulił ją, gdy szlochała całą noc.

Poprzedniego dnia miała napad hysterii. Teraz była spokojna i potulna jak dziecko.

— Lennie jest moim najlepszym przyjacielem — powtórzyła. —
Dorastaliśmy razem.

— Tak, wiem. Opowiadałaś mi o nim.

Nie śmiał spytać, czy jest to przyjaźń czysto platoniczna. A jeśli Jess z nim uciekła? A on, palant Matt Traynor, sprowadził faceta z powrotem do miasta.

Nie pora na takie zmartwienia. Miał zbyt wiele spraw na głowie. Za trzy godziny był pogrzeb i Matt chciał dopilnować, żeby wszystko poszło gładko.

Lucky zdecydowała, że najlepszym rozwiązaniem będzie wystosowanie listu do kilku najważniejszych dyrektorów. Napisała kilka i wszystkie wyrzuciła do kosza.

Zadzwoił Matt z wiadomością, że kazał Boogiemu przyjechać po nią o drugiej. Musiało mu bardzo zależeć, skoro wydawał polecenia jej kierowcy. Innym razem zmyłaby mu za to głowę.

191

Ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, było pójście na pogrzeb, zwłaszcza że zazwyczaj błękitne pustynne niebo poszarzało, a stacje meteorologiczne zapowiadały burzę. Lecz nie mogła zawieść Matta, nie teraz.

Była taka zmęczona. Jakby coś wysssało z niej całą energię. Spałaby tylko i spała.

Przyszło jej do głowy, że powinna pójść do lekarza, żeby dać się zbadać i zaaplikować sobie małą kurację witaminową. Nie było sensu wyruszać na podbój Nowego Jorku z samopoczuciem zdechłej wielbłądzicy.

Zadzwoiła do swojej lekarki i umówiła się na poranną wizytę.

Gino wyjechał na kilka dni do Los Angeles. Na kilka dni. Akurat. Raczej na kilka tygodni. Susan kiwnęła palcem. I Gino natychmiast do niej popędził. Ciągły wzwód w tym wieku — jakie to miłe. Może to rodzinne. Roześmiała się oschle. Seks? O seksie nawet nie myślała. Chciała zbudować imperium — własne imperium — i dopiero później pomyśleć o swoim nie istniejącym życiu seksualnym. Od Dimit-riego Stanislopoulosa nie miała nikogo. Mimo to było jej wszystko jedno. Przykładała wagę do seksu, gdy tego chciała. Tylko wtedy.

30

W czasie lotu rzucało, a kiedy podchodzili do lądowania, zaczęło padać. Nie ma to jak burza na pustyni, pomyślał Lennie. Czarne chmury, twarde, kąśliwy grad i wilgotny upał, który nigdy nie ustępował. Lennie miał kaca. I dręczyły go wspomnienia zacieklej kłótni z agentem, która wybuchła, gdy oświadczył, że nie może wystąpić w telewizji.

— Co znaczy: nie mogę?! — wrzasnął Isaac Luther.

— Potrzebuje mnie przyjaciółka z Vegas, muszę wyjechać.

— Chromol przyjaciół, stary. To wielka rzecz. Tylko wariat mógłby coś takiego zawalić.

Lennie wzruszył ramionami.

— W życiu są sprawy ważne i ważniejsze. Może dadzą mi inny termin.

Isaac wybuchnął.

— Raczej w dupę ci dadzą! Puszczasz ich kantem w ostatniej chwili! Nie rób tego, Lennie.

Niecierpliwie machnął ręką.

— Nie mam wyboru.

Foxie był bardziej zgodny i dał mu to do zrozumienia na swój niezrównany sposób.

— Leć. I pobądź tam trochę. Nie wracaj, dopóki nie dojdiesz do siebie. Nie lubię pijaków i nie cierpię gównianych występów. A ty od dwóch dni chlejesz i jesteś zupełnie do dupy.

Nie mógł z nim polemizować.

No i oto wrócił do Las Vegas. W deszczu i z niesmakiem w gębie.

A w Los Angeles świeciło słońce i w tej chwili przygotowywałyby się pewnie do występu przed kamerami.

I nie mógłby się dodzwonić do pięknej Eden. Prawdziwa pinda. Jak zawsze. Do diabła z nią. Nieważne. Teraz liczyło się tylko to, co zaszło w życiu Jess.

Poprzedniego dnia zadzwonił do niego Matt Traynor. Ten sam Matt Traynor, który wyrzucił go z pracy.

— Jess pana potrzebuje — powiedział i opisał mu pokrótce, co się stało. Jezus Maria. Już samo patrzenie na tego świrusa przyprawiało go o dreszcze. Wayland. Zaćpany wszarz puszczający pieniądze żony. Dlaczego nic jej nie powiedział? Dlaczego nie poświęcił ani chwili czasu, żeby dowiedzieć się, co jest naprawdę grane?

Nie. Nie zrobił tego. Uciekł z miasta z muchami w nosie, bo wylano go z

roboty, bo liczył się tylko on, Lennie Golden.

Niech to szlag trafi. Jess go potrzebowała. A on nie został, żeby jej pomóc.

A teraz dziecko nie żyło — kto wie, może mógłby zapobiec tragedii.

Czekał na niego samochód. Oldsmobile z eks-tancerką w szkarłatnym, upstrzonym cekinami uniformie za kierownicą. Ach, Las Vegas... Miasto złego smaku.

Eks-tancerka prowadziła jak Paul Newman na torze wyścigowym i zanim dojechali do domu, w którym mieszkał

193

Matt, Lennie był strzępkiem nerwów. Gdy wysiadał z samochodu, powitał go grzmot i błyskawica. Postawił kołnierz kurtki i wbiegł do środka.

Matt ogarnął wzrokiem grupę ludzi stłoczonych nad grobem i odnotował w pamięci, że musi odwdzińczyć się tym, którzy zechcieli przyjść. Nie było ich dużo, najwyżej dwadzieścia osób. Ale dwadzieścia osób to już coś i Matt był zadowolony. Lucky — niech ją Bóg błogosławi — też przyszła. Nie zawiodła go. Stała pod dużą, czarną parasolką, a gdy opuszczano do grobu żałośnie maleńką trumnę, pochyliła głowę.

Lennie i Matt podtrzymywali Jess. Matt czuł, że ciałem dziewczyny wstrząsa bezgłośny szloch, ale nie wiedział, co robić. Był zupełnie bezradny. Pragnął tylko ochronić ją przed światem. I jeśli Jess nie zaprotestuje, zamierzał to zrobić. Jako druga pani Traynor zyska wystarczającą ochronę.

Waylanda nie było. Pewnie próbował zabrać się na łebka i dać nogę z miasta, co, jak zapewnił go Matt, było dla niego najzdrowszym rozwiązaniem.

Deszcz lał i lał. Że też musi padać, myślał Matt. I bez tego sceneria jest

wystarczająco żalosna. Po ceremonii mieli przejść do pobliskiej restauracji, gdzie zorganizował bufet. Błąd. Wszyscy chcieli jak najszybciej się stąd wynieść.

W pierwszej chwili Lennie jej nie rozpoznał. Włosy ściągnęła do tyłu, wyraziste oczy przesłoniła ciemnymi okularami, ciało ukryła pod długim płaszczem z czarnej skóry, który ścisnęła paskiem. Wyglądała jak szpieg z powieści Le Carré. Piękna, tajemnicza i lodowato gorąca.

I nagle skojarzył. Dziewczyna z hotelu. Niedoszły towar na jedną noc. Co ona tu jeszcze robiła?

Podszedł do niej przy pierwszej okazji. Stała przy barze, pijąc anyżówkę z lodem.

— Wystawiłaś mnie do wiatru — rzucił oskarżycielsko.

Nie zdjęła okularów, dlatego nie wiedział, czy patrzy na niego czy nie.

194

— Czy my się znamy? — spytała chłodno.

— Mało brakowało i przeszlibyśmy do historii, ale chciałaś ruszać do boju, zanim dobyłem miecza. Lennie Golden. Pamiętasz?

Ledwo dostrzegalne skinienie głową.

— Co się stało? Miałaś przyjść do baru.

— Może napatoczył się ktoś bardziej skory do nauki. A teraz przepraszam.

Otarłszy się o niego, podeszła do Jess i Matta, powiedziała kilka słów i wyszła.

Najpierw Eden, teraz ona. Czyżby zaczynał tracić swój słynny czar?

Chryste, pogrzeby były naprawdę przygnębiające. Biedna mała Jess wyglądała jak porzucone dziecko. Wolałby, żeby Traynor zostawił ją w

spokoju. Ten podstarzały, wiecznie napalony lowelas dybał na nią, jakby była jedyną kobietą w mieście. Facet nie miał wyczucia czy co?

Zastanawiał się, co może zrobić, żeby złagodzić jej ból — była taka zagubiona. Podeszedł bliżej i ścisnął jej rękę.

— Jak się czujesz, małpeczko? — Miał nadzieję, że Jess jakoś zareaguje. Otępiała pokręciła głową.

W takich chwilach nie było nic do powiedzenia. Może wystarczała sama obecność.

Santino wrócił o siódmej rano. Eden jeszcze spała, ale on miał klucz (odkąd zaczął płacić za nią czynsz i rachunki, stanowczo zażądał własnego kompletu), więc otworzył drzwi, wszedł do sypialni, usiadł i przez chwilę ją obserwował. Spała nago pod czekoladowobrazowym prześcieradłem, które ładnie kontrastowało z bladością jej ciała i jasnymi włosami. Za kogo go uważała, do diabła? Pozwolił jej tylko na jeden błąd. Jeśli znowu go oszuka, nie wywinie się z tego tak łatwo jak ostatnio.

Chuda z niej dziwka...

Donatella, jego żona, była gruba jak beka, więc uważał, że wszystkie kobiety ważące poniżej siedemdziesiątki są chude.

195

Czerwony ślad ręki na policzku jeszcze nie zniknął, co go podnieciło.

Dziwki takie jak Eden Antonio wymagały nieustannego pilnowania.

Nauczył go tego ojciec, Enzo. Pewnego ranka, podczas śniadania z

Santinem i jego starszym bratem Carlem, powiedział:

— Każdej cipy, która uważa się za ekstra towar, trzeba dobrze pilnować.

Żeby się nie stawiały, trzeba im kupować, czego chcą, regularnie je rznąć i od czasu do czasu łać.

I ryknął śmiechem, radując się swoją mądrością i poczuciem humoru. Lecz ani mądrość, ani poczucie humoru nie obroniły go przed zaplanowanym z zimną krwią morderstwem — zginął z ręki kobiety.

Santino spochmurniał z wściekłości na wspomnienie tamtego tragicznego dnia sprzed roku. Spochmurniał jeszcze bardziej, przypomniawszy sobie polecenie, które on i Carlo otrzymali od współpracowników ojca.

— Dość zabójstw — powiedzieli. — Dość zemsty. Trzeba położyć kres przemocy.

Zakazano im odwetu. Ot tak, po prostu.

Santino poczuł się jak kastrat. Natomiast Carlo przyjął rozkaz potulnie jak księżunio.

Podrapał się w łysą czaszkę i pomyślał o swoim bracie. Carlo to gówniarz, kompletne zero. Niestety, byli współnikami i krew z krwi braćmi, a jako bracia musieli trzymać się razem. Ale nie w tym samym mieście.

Po śmierci Enzia Santino przeniósł się do Los Angeles. I tu zamierzał zostać. Mądra decyzja. Bez Carla spoglądającego mu przez ramię mógł rozwinąć i poszerzyć swoją działalność. Rodzinny interes to głównie łańcuch salonów masażu. Santino odkrył, że sprzedaż czasopism pornograficznych w tego rodzaju miejscach przynosi krociowe zyski.

Rozejrzał się wśród wydawców i dystrybutorów. Rozsądni ludzie. Wkrótce wszedł do interesu i dzięki importowi czasopism tudzież kaset wideo z Danii i Tajlandii zaczął tłuc potężny szmal. Miał więcej pieniędzy niż Carlo. Co za gówniarz. Co z niego za mężczyzna, skoro nie chciał pomścić śmierci własnego ojca?

Santino wiedział, że to on i tylko on musi wyrównać

rachunki z tą suką Santangelo. I pewnego dnia je wyrówna. Na pewno.

Eden poruszyła się i zarzuciła ręce za głowę.

Santino zastrzygł małymi oczkami i wbił wzrok w jej różowe sutki. Piersi miała małe, za to idealne. Żona nosiła stanik numer pięć. To tak, jakby rypać ciężarną krowę. Szybko wstał, ściągnął spodnie od dresów, potem bokserskie szorty we wzorek i uwolnił spod nich sterczący członek.

Eden westchnęła przez sen.

Santino zerwał z niej prześcieradło. Cipkę miała porośniętą jaśniutkimi włosami, co doprowadzało go do szaleństwa. Uwielbiał blondyny. Szybko usiadł okrakiem na piersiach Eden i podsunął członek do jej ust.

Nim zdążyła otworzyć oczy, pompował na całego.

— Ssij go — wychrypiał. — Weź go, maleńka. Weź go całego. Przecież to lubisz. Wiesz, że Santino to król nad króle.

31

Narkotykowa subkultura zawsze Olympię pociągała, chociaż nigdy nie wciągnęła jej do końca. Dużo kokainy i mnóstwo trawki — dalej się nie posunęła. Nie chciała uzależnić się od prochów jak niektórzy z jej

„przyjaciół”, ci, co to bez działki koki nie mogli zwlec się rano z wyra.

Olympia była mądra. Olympia brała tylko wtedy, kiedy wychodziła się zabawić. A jeśli nigdzie nie wychodziła, mogła nie brać choćby tydzień i zupełnie ją do prochów nie ciągnęło. Uważała, że działka koki to współczesny ekwiwalent szkockiej z lodem. Nie było w tym nic złego.

Kiedyś Dimitri spytał ją, czy bierze.

— Oczywiście, że nie — zełgała odpowiednio zaszokowana.

Zamyślony skinął głową.

— To dobrze, ponieważ dziewczyna w twojej sytuacji musi zachować

dużą ostrożność. Odkrycie, że masz słaby punkt, sprawiłoby wielu ludziom dużą przyjemność. Bezlitośnie by cię wykorzystali.

197

Za kogo ją uważał? Myślał, że jest głupia? Miała trzech mężów i wszyscy trzej wykorzystali ją do granic możliwości. Dlaczego nie ostrzegł jej przed mężczyznami? Byli o wiele bardziej niebezpieczni niż narkotyki.

Zupełnie zapomniała, że Dimitri ją ostrzegał. I to nieustannie.

A więc prochy nie stanowiły problemu. Dobrze się po nich czuła, dzięki nim fantastycznie bawiła się na przyjęciach. No i nie miała potem kaca ani nie tyła.

Dla wygody zapomniała również i o tym, że rano ma niepohamowany apetyt na czekoladowe ciasto, podwójny sernik z kremem i lody od Hiiagena Daasa, najlepiej te z rumem i rodzynkami.

Była pewna, że Dimitri niucha kokainę. A jeśli nie on, to na pewno niektóre z jego bogatych przyjaciółeczek. Bez tego nie można obracać się w kręgach towarzyskich.

Flash ćpał. I to ostro. Kiedyś był heroinistą, co nie powstrzymało go przed zażywaniem innych prochów. Brał wszystko jak leci: pigułki na pobudzenie, pigułki na uspokojenie, pigułki na sen, palił trawkę, no i oczywiście niuchał kokę. Kokaina, narkotyk bogaczy. Z tym, że Flash nie musiał za nią płacić. Był tak sławny — a może raczej niesławny — że fanki, fani, wędrujące za zespołem „mar-kietanki” i dziewczyny lubujące się w rżnięciu gwiazdorów zaopatrywały go we wszystko, czego tylko zapragnął.

Flash szukał kwaterek. Na stałe mieszkał na Bahamach (ze względów podatkowych), a w Los Angeles przy-hołubił go pewien rozwiązy

gwiazdor filmowy o zaćpanych oczach i uśmiechu chorego kota. Ale Flash chciał mieć bazę tu, w Nowym Jorku. Olympia wyglądała na taką, co to może mu ją założyć.

Witaj, Flash.

Żegnaj, Vitos.

Flash zarabiał mnóstwo pieniędzy, ale zawsze był skąpy. Po co wydawać szmal, skoro inni chętnie za niego płacili?

Kiedy spał z Olympią pierwszy raz, nie miał zielonego pojęcia, z kim śpi. Ot, kilka godzin kotłowali się na wodnym łóżku w wynajmowanym przez niego apartamencie. Właściwie to nie była nawet w jego typie. Za pucołowata. Wolał

198

młode, wysokie modelki z prostymi włosami i pięknymi, obojętnymi twarzami. Ale napatoczyła się Olympia. Zaatakowała ostro, a on miał ochotę na seks. Więc pożegnał się ze świtą i zabrał ją do siebie.

Olympia powiedziała Vitosowi, że Flesh zaproponował jej bardzo korzystny interes i że musi to z nim omówić. Vitosowi było wszystko jedno. Właśnie prowadził ożywioną rozmowę z Biancą Jagger, a może była to Dianę Von Fur-stenberg? Olympia nigdy ich nie rozróżniała.

Flash dowiódł swej reputacji i Olympia była szczęśliwa. Odjechała taksówką, gdy jeszcze spał. W południe tego samego dnia dała mu do zrozumienia, że nie jest zwykłą fanką. Flash obudził się i znalazł w pokoju sześć skrzynek szampana Dom Perignon, okazały zapas kawioru i mały upominek od Tiffany'ego: złotą, wysadzaną brylantami kostkę do gry na gitarze. Na kostce widniał wygrawerowany napis: OLYMPIA/FLASH NOWY JORK 1978.

Nawet Flash wiedział, że trzeba być nie byle kim, żeby w ciągu ledwie kilku godzin ci od Tiffany'ego zechcieli coś wygrawerować.

Zauważył dołączoną do upominku karteczkę. OLYMPIA STANISLOPOULOS. Adres i numer telefonu.

Stanislopoulos. Nazwisko równie znane jak nazwisko Onassisa.

— Kto to jest? — spytał, podając karteczkę Como Ro-se'owi, swemu menadżerowi.

Como zerknął na kartonik, głośno beknął i odrzekł:

— Chryste, przecież to córka Dimitriego Stanislopoulo-sa. Facet jest bogatszy niż Getty.

Flash potrafił odróżnić ziarno od plew. Zwłaszcza ziarno, które tak chętnie się młóciło.

Uśmiechnął się, odsłaniając garnitur zepsutych, niebezpiecznie poluzowanych zębów. Dentyści nie odgrywali w jego życiu wielkiej roli.

— Zadzwoń do niej — polecił. — Każ jej przyjść o piątej. Zabieram ją na koncert.

Olympia przyjechała o wpół do szóstej. Miała na sobie suknię z tafty, koronki i brylanty.

199

— Spóźniłaś się — powiedział Flash. — I jesteś koszmarnie ubrana. Poza tym przyda nam się jeszcze kilk skrzynek tych bąbelków. Załatw to.

Nigdy dotąd nikt tak do niej nie mówił. I bardzo jej się to spodobało.

Odświeżająca odmiana.

Zażyli trochę koki. W drodze na stadion, gdzie Layabou-tsi dawali pierwszy od pięciu lat koncert w Nowym Jorku, pociągali szampana z butelki. Paparazzi szaleli.

W ciągu tygodnia kupiła olbrzymie mieszkanie z widokiem na Central Park i Flash zamieszkał z nią tego samego dnia, kiedy się wprowadziła. Tego wieczoru stali na wysadzonym zielenią tarasie, spoglądając na rozciągające się u ich stóp miasto.

— Nieźle — pochwalił ją Flash, przypalając skręta. Olympia łyknęła szampana z butelki (jej nowy nawyk) i skinęła głową. Dlaczego zmarnowała tyle lat życia, siedząc w Europie, skoro Nowy Jork był taki ekscytujący?

Zastanawiała się, co począć z Brigitte. Jak dotąd nie wspomniała mu jeszcze o istnieniu córki. Może dałoby się zapomnieć o niej jeszcze przez tydzień albo dwa. Po co poruszać ten temat, mogłaby wszystko zepsuć. Flash zaciągnął się dymem mocno i głęboko. Dlaczego wcześniej nie pomyślał o zamieszkaniu z jakąś bogatą laską? Przecież to znakomity sposób na życie.

Zastanawiał się, co począć ze swoją szesnastoletnią żoną, którą ukrywał w Anglii. Jak dotąd nie wspomniał o niej Olympii. Cóż, ślub wzięli w tajemnicy, nikt o tym nie wiedział. Może dałoby się zapomnieć o niej przez jakiś czas. Zresztą przywykła do jego długich nieobecności. Po co poruszać ten temat, mógłby wszystko zepsuć.

Olympia i Flash idealnie do siebie pasowali.

32

Pogrzeb Simona ją przybił. To takie... bezsensowne. Odczuwała złość i niemoc. Skoro ludzie sprowadzali dziecko na świat, powinni się nim opiekować. Malec nie zginął przypadkowo — jego śmierć była skutkiem ludzkiego błędu.

200

Matt opowiadał jej o Waylandzie. Na miejscu Jess powiesiłaby go za jaja. Moknięcie w strugach deszczu nad mogiłą bardzo ją przygnębiło. Ale później, w restauracji, było jeszcze gorzej. Chciała coś szybko wypić i wyjść. Oddała Mattowi przysługę, o którą prosił, to wystarczy.

Stała samotnie przy barze, pijąc anyżówkę, kiedy zmaterializował się przed nią ten komik. Smukły, wysoki, o zabójczym uśmiechu. Od razu go sobie przypomniała. Przypomniała sobie nawet jego nazwisko, zanim zdążył się przedstawić. Lennie Golden. Komik. Jakim cudem?

Chciała powiedzieć: „Co ty tu, do diabła, robisz? Kazałam wyrzucić cię z pracy, nie zamierzałam cię znowu oglądać”. Ale nie powiedziała nic, podczas gdy on gwałtownie szukał słów. A kiedy się jej przedstawił, udała, że go nie pamięta, przeszła obok i szybko stamtąd uciekła.

Tymczasem tak naprawdę chodziło o to, że wydał jej się niepokojąco atrakcyjny. Raz dał jej kosza i nie zamierzała próbować po raz drugi. Poza tym, że też miał czelność ją zaczepić.

Wróciwszy do hotelu, postanowiła dłużej nie czekać. Nie miała powodu zostawać w Vegas, nawet Gino wyjechał. Zadzwoiła do Costy i uprzedziła go, że przyleci do Miami już nazajutrz. Potem zaczęła się pakować, niecierpliwie wrzucając rzeczy do kilku walizek. Podświadomie wiedziała, że musi wyjechać natychmiast.

W Bel Air było spokojnie. Kucharz przyrządził kurczaka w sosie sezamowym, jedno z ulubionych dań Giną. W telewizji pokazywali znakomity mecz baseballowy i Gino oglądał go, siedząc w wygodnym fotelu, podczas gdy Su-san — w jasnobłękitnym peniuarze wyglądała jak dama, aczkolwiek nader seksowna dama — robiła koronki.

Daleko stąd do ulic Brooklynu, pomyślał. Do złych, odległych ulic sprzed

lat, gdzie zaczynał bez centa przy duszy.

Z ukontentowaniem pyknął z cienkiej hawany i zanurzył srebrną łyżeczkę w pucharze z lodami.

201

Tak. To właściwe pociągnięcie. To życie w sam raz dla niego.

Susan ustaliła datę. Gino był przygotowany.

Lucky zarezerwowała bilet na wczesny samolot z Las Vegas. W drodze na lotnisko wstąpiła do swojej lekarki na zastrzyk z witaminy B12. Lekarka, doktor Liz Turney — Lucky nie lubiła lekarzy, bo traktowali pacjentki jak zapóź-nione w rozwoju dzieci — nalegała na przeprowadzenie kilku prostych testów przed zrobieniem zastrzyku.

— Nigdy nie masz czasu na doroczne badania — narzekała z uśmiechem.

— Dlatego korzystam z okazji i łapię cię teraz.

— W takim razie mnie łap, byle szybko, bo właśnie jadę na lotnisko — odrzekła Lucky, wyciągając rękę, żeby lekarka mogła pobrać krew.

— Ciągle się spieszysz. Trzeba trochę zwolnić, nigdy o tym nie myślałaś?

— Po co? Mam dużo do zrobienia.

— Ale zechciej znaleźć chwilę czasu na zrobienie siusiu. Muszę mieć próbkę moczu.

— Wystarczy, jak zrobisz mi zastrzyk, Liz. Niczego więcej nie potrzebuję. Lekarka wręczyła jej małą szklaną buteleczkę i wskazała drzwi do toalety.

— To ja zdecyduję, czego potrzebujesz.

Lot do Miami trwał całe wieki. Samolot miał dwa między-ładowania, przez co podróż wydłużyła się jeszcze bardziej. Kiedy Lucky wreszcie dotarła na miejsce, była wyczerpana.

Na lotnisku powitał ją Costa. Wujek Costa. Nie widziała go od roku i

zdumiało ją, że wygląda o niebo lepiej niż wówczas. Ostatnim razem miał szarawą cerę i znużone oczy. Teraz demonstrował zdrową opaleniznę, a oczy miał bystre i jasne. Wytworne okulary w rogowej oprawie, elegancka sportowa marynarka, zaprasowane w kant spodnie, biała koszula z rozpiętym kołnierzykiem — był uosobieniem szacownego biznesmena na emeryturze. Którym w rzeczy samej był.

202

- Jak świetnie wyglądasz! — Zarzuciła mu ręce na szyję i mocno go wyściskała. Cofnął się o krok i otaksował ją krytycznym spojrzeniem.

— A ty, Lucky... jesteś chyba zmęczona.

Jak zwykle — wujek Costa zawsze mówił prawdę.

— Wielkie dzięki!

— Powinienem był skłamać?

— Tak. Dlaczego nie?

— Nigdy nie skłamałem Ginowi i nie zamierzam kłamać tobie. Porządnie się wyśpisz i jutro będziesz piękna jak zawsze.

— Nie zarezerwowałam hotelu.

— Mam nadzieję. Zatrzymasz się u mnie.

Ruszyli w stronę salonu samochodowego Chrystlera, a w ślad za nimi bagażowy z trzema walizkami Lucky; resztę rzeczy kazała odesłać bezpośrednio do domu w East Hampton.

Uszczęśliwiona, wzięła go pod rękę.

— Miałam nadzieję, że to powiesz. Te wszystkie hotele wyłażą mi bokiem. To cudownie, że zamieszkam u ciebie.

Zerknął na nią badawczo, ale się nie odezwał. Przyjdzie czas na rozmowę, a wówczas dowie się, co ją gnębi. Zawsze kochał Lucky jak własną córkę i

dałby jej wszystko, czego by zechciała. Nawet jeśli prosiła tylko o jego czas.

33

— Pojedziesz ze mną do Los Angeles — oznajmił stanowczo Lennie. Jess próbowała wymyślić jakiś powód, który by jej to uniemożliwił. Nie wymyśliła żadnego.

— Wyjeżdżam z Lenniem — poinformowała Matta. Nie uwierzył. Był zdruzgotany. Robienie planów tak go zaabsorbowało, że zapomniał powiedzieć Jess o ich wspólnej przyszłości. Pragnął się nią opiekować, pragnął ją utrzymywać, nawet się z nią ożenić.

— Nie możesz tego zrobić — wyjąkał.

203

— Matt, to jedyna rzecz, jaką mogę zrobić — odrzekła słabym głosem. — Mam dość Las Vegas. Zbyt wiele wspomnień. Lennie ma rację. Muszę stąd uciec.

— Nie, nie musisz — zaprotestował.

— Muszę.

Chciał jej wyznać, co do niej czuje. Chciał jej mówić same dobre rzeczy i przekonać ją, że musi zostać. Lecz dla człowieka pokroju Matta Traynora wysłowienie się, ujawnienie prawdziwych uczuć nie było łatwe. Po prostu nie wiedział, jak zacząć.

— Co tam będziesz robiła? — spytał apatycznie. Wzruszyła ramionami.

— Nie zginę.

A to na pewno. Dziewczyny takie jak Jess należały do rzadkości. Była piękna, inteligentna, uległa i mądra. Ktoś dostrzeże ją, jak dostrzega się dojrzałą brzoskwinie. Jakiś palant. Tymczasem on, Matt Traynor, sławny

lew salonowy, nie potrafił nawet znaleźć słów, żeby ją zatrzymać.

— Odezwij się — burknął.

— Jasne — wymamrotała.

Ale wiedział, że Jess się nie odezwie.

34

Pobyty u wujka Costy upływały niemal równie miło jak ostatni rok z Ginem. Rok, kiedy w ich życiu nie było jeszcze Susan Martino.

Lucky rozmawiała z nim długo w noc. Wyrzuciła z siebie wszystkie obawy i frustracje, wszystkie nadzieje i ambicje. Costa cierpliwie słuchał. Nie przerywał jej, ani nie krytykował.

— Tak bardzo go kocham — zreasumowała żarliwie, gdy do przytulnego salonu jego nadmorskiego mieszkania zaczął wkradać się świt. — I nienawidzę. — Przeczesła ręką czarne, niesforne włosy, robiąc to gestem, który tak bardzo przypominał mu Giną. — Czasami jest taki... taki... głupi! — Gwałtownie wstała i zaczęła krążyć po pokoju. — Susan Martino do niego nie pasuje. To odpicowana damul-

204

ka z plastiku, która chce położyć łapę na jego pieniądzach i zniszczyć mu życie. Każdy głupiec to widzi, tylko nie on. Dlaczego?

— Lucky — odrzekł Costa, starannie dobierając słów. — Gino jest bardzo podobny do ciebie. Wie, czego chce, i zawsze to zdobywa. Jeśli postanowi ożenić się z tą Martino, na pewno się z nią ożeni. To, co byśmy powiedzieli albo zrobili, nie miałyby na jego decyzję najmniejszego wpływu.

— To wiem.

— Poza tym, może się mylisz. Może będzie dla niego dobra. —

Westchnął długo i przeciągle. — Mężczyzna potrzebuje towarzystwa kobiety. Samotność nikomu nie służy.

— Przecież nie był samotny! — wybuchnęła Lucky. — Miał mnie.

— Czy dzieliłaś z nim łożę? — spytał łagodnie Costa.

— Mógł sypiać, z kim chciał i kiedy chciał — odrzekła zadziornie Lucky.

— A czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że mężczyzna w jego wieku może potrzebować czegoś więcej niż jedno-nocnej przygody? Kiedy człowiek się zestarzeje, najważniejsze jest towarzystwo drugiego człowieka. Kogoś, komu na nim zależy.

— Ty nie masz nikogo. I jesteś szczęśliwy.

— Gdybym znalazł odpowiednią kobietę, ożeniłbym się z nią w minutę.

— Cholera — mruknęła Lucky. Nie potrafiła wyjść zwycięsko z żadnej potyczki.

— Pogódź się z tym — radził Costa. — Przeprowadzka do Nowego Jorku to słuszny krok. Teraz możesz się rozejrzeć i robić, co zechcesz, możesz zerwać więź, która cię z nim łączy. Do tej pory zawsze szukałaś u niego aprobaty. Nadszedł czas rozpocząć życie na własny rachunek.

Lucky została w Miami trzy dni. Pogoda była ładna, życie proste, a wujek Costa okazał się interesującym i mądrym kompanem.

Do Nowego Jorku przyleciała w sobotę rano, by stwierdzić, że miasto jest wrogie, żywe i że tonie w deszczu. Na

205

ulicach tłumy ludzi. O Boże! Jak bardzo brakowało jej życia w takim tempie. Natychmiast poczuła się wspaniale. Zewsząd atakowały ją ekscytujące bodźce. Nowy Jork był wyzwaniem. Costa miał rację, musiała zacząć żyć na własny rachunek. W przeciwnym razie bardzo by tego

pożałowała.

Wprowadziła się do hotelu „The Pierre” i spróbowała opracować plan działania.

Czekały na nią dwie wiadomości. Jedna od Costy, który chciał się upewnić, czy bezpiecznie dotarła na miejsce, a druga od doktor Liz Turney. Czego ona, do diabła, chciała?

Lucky ogarnął lekki niepokój. Te wszystkie głupie testy, na które tak nalegała... Może coś jej dolega. Cholera jasna. Rzeczywiście czuła się zmęczona.

Przekonana, że toczy ją jakaś straszliwa choroba, zadzwoniła do Las Vegas.

Liz Turney była wesoła i konkretna.

— Lucky — oświadczyła krótko — z wielką przyjemnością zawiadamiam cię, że przez jakiś czas będziesz musiała zwolnić tempo.

— Dlaczego? — spytała podejrzliwie Lucky.

— Bo jesteś w ciąży, moja droga.

KSIĘGA DRUGA

Lato roku 1980

v

35

Carrie Berkeley oczekiwała swoich sześćdziesiątych siódmych urodzin z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony, wyglądała znakomicie. Była szczupła, wysportowana, jej czarna skóra prawie nie nosiła śladów nieubłaganego upływu czasu, a w krótkich, ciemnych, modnie ostrzyżonych włosach dopiero zaczynały się pojawiać srebrzyste pasemka. Jednak z drugiej strony, trudno zignorować fakt, że sześćdziesiąt siedem

lat to sześćdziesiąt siedem lat, że to znacznie bliżej niż dalej. Ilekroć miała odwagę pomyśleć o swoim wieku, zawsze dochodziła do wniosku, że jest stara.

Wzdrygnęła się na tę myśl i spiesznie obeszła salon swego domu na Fire Island, poprawiając poduszki i przestawiając kolekcję srebrnych bibelotów w stylu Art Deco.

Dom był cudowny. Wygodny, urządony ze smakiem, stanowił prawdziwe odzwierciedlenie jej własnego stylu. Co kilka miesięcy dzwonili do niej z „Vogue” albo z „Harpers” błagając o jeszcze jedną szansę sfotografowania jej w domu.

— To absolutnie wykluczone — odpowiadała kategorycznie. — Nie życzę sobie. Skończyłam z wystawianiem się na pokaz.

Nie żartowała. Przed trzema laty rozwiodła się z mężem, Elliottem Berkeleyem, znanym biznesmenem i właścicielem teatru, dzięki czemu wymknęła się z potrzasku, w jaki wpadają żony bogatych mężczyzn z eleganckiego świata. Piękna pani Berkeley. Idealna gospodyni. Idealny

209

dom. Najmodniejsze, idealnie dobrane stroje. Ideał, ideał, ideał.

Och, gdyby tylko znali prawdę...

Carrie Jones, trzynastoletnia prostytutka. Na ulicę pędzili ją babka i wujek. Wysłali ją na Welfare Island, gdzie wpadła w łapy alfonsa o ksywie Białas, który karmił ją prochami i gonił do roboty. W wieku piętnastu lat dostała obłądu i wylądowała w zakładzie dla umysłowo chorych. Była samotna jak palec. Nikogo nie obchodziło, czy już umarła, czy jeszcze żyje. Spędziła w zamknięciu siedem pełnych udręki lat. A potem zaczęła pracować. Chwytała się każdego zajęcia, była i pokojówką, i tanią

fordanserką. Pracowała do chwili, gdy pewnego dnia stwierdziła, że jest w ciąży, i zdała sobie sprawę, iż jedynym sposobem na utrzymanie dziecka jest powrót do życia, które tak dobrze znała...

Burdel był lepszy niż wystawanie na ulicy.

Burdel to dom — dom dla jej synka Stevena, to czyste ubranie, to dziewczyna do opieki.

Burdel był jej życiem, dopóki nie uratował ich dobry, kochany Bernard Dimes, dopóki nie wyciągnął stamtąd i jej, i czteroletniego Stevena.

Zawsze będzie mu wdzięczna, zawsze go będzie kochała... Chociaż nie żył już od dwudziestu pięciu lat.

Bernard wprowadził ją w inny świat. Był eleganckim mężczyzną, miał pieniądze i klasę. Był również wziętym producentem teatralnym. Kiedy ożenił się z Carrie, jego przyjaciele i znajomi doznali szoku. Kto to jest? — pytali. Skąd pochodzi? No bo jak mógł poślubić Murzynkę?!

Prywatnym żartem Bernarda — jego najodważniejszą realizacją teatralną — było wymyślenie jej pochodzenia, dzięki czemu Carrie nagle zyskała uznanie w ich oczach. Otóż twierdził, że Carrie jest piękną afrykańską księżniczką, którą poznał na safari w Kenii i którą zwabił wraz z dzieckiem do Ameryki, żeby go poślubiła.

Cóż za szalone kłamstwo. Tylko ktoś taki jak Bernard mógł wmówić ludziom, że to najprawdziwsza prawda.

Carrie uczestniczyła w tej maskaradzie, ponieważ ją to bawiło. A uczestnicząc w niej, powoli zaczęła żyć życiem

210

odgrywanej przez siebie postaci i wkrótce zawładnęły nią media. Nawet jej syn poznał prawdę dopiero w roku 1977, kiedy Carrie musiała mu

wszystko wyjawić.

Zburzyła jego świat, jego bezpieczne życie, jego spuściznę.

Zdezorientowany i zły, zrezygnował z pracy szanowanego oskarżyciela publicznego i wyjechał do Europy, gdzie włóczył się dwa lata, by wrócić pod koniec 1979. Odwiedził ją tylko raz, by powiedzieć jej, że ją rozumie. Ale wiedziała, że tylko tak mówił. Był zimny i sztywny. Od tamtej pory się nie odezwał.

A potem, ledwie przed dwoma dniami, nieoczekiwanie zadzwonił.

— Muszę się z tobą zobaczyć — oświadczył.

I wkrótce miał u niej być.

Steven Berkeley jechał czarnym porsche. Samochód nie należał do niego, ale do kumpla, Jerry'ego Myersona, który pożyczył mu go na jeden dzień.

Jerry był jednym z najbardziej wziętych adwokatów. Zasługiwał na porsche, skoro brały go szybkie wozy. Szczerze mówiąc, Steven uważał, że pięćdziesiąt tysięcy dolarów za samochód to czysty absurd. Z drugiej strony musiał przyznać, że prowadzenie takiego cacka to prawdziwa frajda.

Naciskał pedał gazu, potajemnie ciesząc się niesamowitym zrywem wozu.

Jerry Myerson był dobrym przyjacielem. Razem chodzili do szkoły średniej, potem do college'u, razem poszli na prawo. W 1966 roku był jego drużbą na ślubie z niefortunną tancerką imieniem Zizi. Piekielna'Zizi. Sto pięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i tyleż samo fertycznych kłopotów na każdy centymetr drogi. Wytrwali razem pięć lat. Rozwód przyjął z ulgą. Carrie zawsze jej nienawidziła.

Carrie.

Jego matka.

Na chwilę ogarnęło go znajome poczucie odrzucenia i złość. A już miał nadzieję, że zdołał to w sobie przezwyciężyć. Upłynęło sporo czasu.

Odkąd mu powiedziała, odkąd wyjawiała, że...

211

Całe życie wierzył, że urodził się w Afryce, że ojciec umarł i że Carrie sprowadziła go do Ameryki, gdy był małym dzieckiem.

Prawda go zaszokowała.

Urodzony w Ameryce. Wychowany w burdelu. A jego ojcem mógł być któryś z dwóch mężczyzn. Z dwóch białych mężczyzn.

Wydusił z niej ich nazwiska. Z jednym spała tylko raz. Drugi ją zgwałcił. Steven został poczęty czterdzieści jeden lat temu, a Carrie nie wiedziała, kto go począł. Ale on musiał wiedzieć. Dopiero wówczas będzie w stanie normalnie żyć.

Podświadomie wcisnął mocniej pedał gazu i ponuro wykrzywił usta. Był niezaprzeczalnie przystojny. Ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, atletyczna budowa ciała, szczere zielone oczy, czarne, kędzierzawe włosy i skóra koloru pełnomlecznej czekolady. Wiek mu sprzyjał. Z każdym rokiem wyglądał przystojniej. Kiedyś był jednym z najlepszych zastępców prokuratora okręgowego w Nowym Jorku. Nieugiętym oskarżycielem o reputacji człowieka nieprzekupnego. Lecz szokujące wyznanie Carrie zbiło go z tropu i przez ostatnie trzy lata obijał się po Europie, chwytając się dorywczych prac i próbując zaakceptować swe prawdziwe pochodzenie.

Carrie wychowała go w wierze w złudny miraż. Burząc ów miraż, rozpołowiła jego życie. Złożenie go na powrót wymagało czasu.

Ale w końcu jechał na Fire Island, wiedząc, co musi zrobić. Przed trzema

laty matka podała mu dwa nazwiska: Freddy Lester i Gino Santangelo. Jeden z nich był jego ojcem. I obojętnie, czy się jej to spodoba czy nie, pomoże mu odkryć, który.

36

Gorące słońce paliło jej ciało. Leżała na macie nad basenem w kształcie groty wypełnionej morską wodą. Miała na sobie tylko dolną część skąpego bikini, a jej skóra lśniła

212

brązem tłustym od oliwki. Włosy zebrała w gruby kok, tuż obok leżał walkman, na uszach miała słuchawki. Słuchała Bobby'ego Womacka, swego starego ulubieńca. Głos Wo-macka otaczał ją i wypełniał, nie pozostawiając miejsca na inne myśli. „Inherit the Wind” — zatraciła się w piosence i otworzyła oczy dopiero wówczas, gdy taśma dobiegła końca. Gorący dzień. Niebo było błękitne, a maleńkie baranki wędrowały tak wysoko, że wyglądały jak dekoracja. Dzięki leciutkiej bryzie upał był do zniesienia.

Lucky wstała, przeciągnęła się ociężale i wskoczyła do basenu. Zimna, nie podgrzewana woda. Za to orzeźwiająca i odświeżająca. Lucky przepłynęła jedną długość basenu, potem drugą, trzecią, czwartą. Bez wysiłku rozcinała wodę ze stylową symetrią i przestała pływać dopiero wówczas, gdy na krawędzi basenu zobaczyła znajome buty Dimit-riego.

— O, pan Stanislopoulos — powiedziała oficjalnie, unosząc się w wodzie. Przeszył ją spojrzeniem. Lubiała jego oczy. Były takie głębokie i mądre. Wyglądał jak człowiek, który dużo zwiedził i dużo zrobił.

— Lucky — odrzekł równie oficjalnie. — Jak się dzisiaj miewasz?

Jakby nie wiedział. Jakby od prawie dwóch lat nie byli z sobą najbliżej,

jak to tylko możliwe.

Dimitri Stanisloupoulos. Miał sześćdziesiąt cztery lata. Mógłby być jej ojcem.

I tak samo jak jej ojciec był człowiekiem zamożnym i wpływowym. Człowiekiem, który zaoferował jej wygodne towarzystwo, z którym znalazła swego rodzaju miłość. Nie był to związek gorący, jak krótki związek z Markiem, za to satysfakcjonujący.

Kiedy przyjechała do Nowego Jorku gotowa zacząć wszystko od nowa i podbić cały świat, nie zamierzała zachodzić w ciążę. A gdzież tam! Nigdy nie myślała o urodzeniu dziecka. Instynkt macierzyński? To nie dla niej.

Uważała, że dzieci są

213

dla kobiet, które chcą siedzieć w domu, zmieniać pieluchy i wegetować.

Z chłodnym opanowaniem pomyślała o skrobance. Poszła z tą myślą spać i osiem godzin później obudziła się, wiedząc, że to żadne rozwiązanie.

Naturalnie wiedziała też, kto jest ojcem. Nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Od miesięcy nie spała z nikim oprócz Dimitriego.

O Boże! Dimitri Stanisloupoulos, ojciec Olympii. O Boże!

Nosiła się z sekretem przez tydzień. Nie musiała o tym nikomu mówić, nawet Ginowi. Mogła urodzić dziecko i wychować je sama — czuła, że potrafi, no i była zupełnie niezależna finansowo. Później pojawiły się inne myśli. Kiedy dziecko dorośnie, na pewno spyta, kto jest jego ojcem.

Chyba będzie miało prawo wiedzieć?

Dziecko. Chłopczyk czy dziewczynka? Wszystko jedno. Pragnęła je mieć bez względu na płeć. Nagle życie nabrało nowego znaczenia.

Zadzwoiła do Dimitriego, wybierając numer z listy, którą jej zostawił.

W Paryżu dochodziła trzecia rano. Dimitri spał i był zły, że go obudzono.

— Tak? — warknął.

— Mówi Lucky Santangelo. Zostaniesz ojcem — oświadczyła bez ogródek. Nie było sensu owijać tego w bawełnę.

— Co?

— Będę miała dziecko. A ty jesteś szczęśliwym tatusiem. Dimitri usiadł na łóżku. Dzięki Bogu, był sam.

— Nie rozumiem...

— To proste. Zagraliśmy w pewną grę. I zdobyliśmy punkt. Zdążyłam już przywyknąć do tej myśli i jestem zachwycona. A jak ty się czujesz?

Odchrząknął i spojrzał na zegarek.

— Masz pojęcie, która jest teraz godzina? — spytał surowo.

— Co ci jest? Zawiadamiam cię, że zostaniesz tatusiem, a ty się martwisz o godzinę!

Nie wiedział, co powiedzieć. Dlatego powiedział to, co mawiał, ilekroć miał wątpliwości.

214

— Chcesz pieniędzy?

— Hę?

Nie dosłyszał lodowatej nutki, która wkradła się do jej głosu, i parł naprzód.

— Zadzwoń do mojej sekretarki o normalnej porze. Wyśle ci czek na skrobankę i na pokrycie wszystkich kosztów.

— Ty kretynie! — wrzasnęła. — Naprawdę myślisz, że zadzwoniłam, żeby prosić cię o pieniądze?! Ty kutasie zasrany! Obyś zdechł! — /

wściekle trzasnęła słuchawką.

Za kogo ją uważał? Jak śmiał mówić do niej, jakby była tanią dziwką czyhającą na szmal klienta. Jak on śmiał! Pieprzyć Dimitriego Stanislopoulosa. I jego głupie miliony. Zadzwoiła tylko po to, żeby się ucieszył.

Minęło kilka miesięcy i przeprowadziła się do domu w East Hampton. Była w ciąży i nie czuła się gotowa do podboju Nowego Jorku. Jednak kilka miesięcy siedzenia na tyłku też jej nie odpowiadało. Zamówiła wizytę u jednego z najlepszych ginekologów, który zapewnił ją, że poranne mdłości i ciągłe zmęczenie wkrótce ustąpią. Przepisał jej witaminy, zdrową dietę i odpoczynek.

Miała dość odpoczywania. Chciała działać.

Któregoś ranka znalazła wśród listów zaproszenie na ślub Giną. Od razu zadzwoniła do Costy. Omówili sprawę i postanowili jechać razem.

Bynajmniej nie miała ochoty. Ale wiedziała, że musi. Nie zamierzała dawać Susan Martino satysfakcji z tego, że jej tam nie będzie.

Ślub. Same gwiazdy i gwiazdorzy, dyrektorzy wytwórni filmowych, prawnicy od show biznesu, agenci, dyrektorzy i producenci. Prawdziwy cyrk. Przyjaciele Giną z Las Vegas ginęli w tłumie.

Lucky czuła się tu obco. Bardziej przypominało jej to pogrzeb Giną niż jego ślub. Dlaczego? Wymieniła z nim ledwie kilka słów i cicho siedziała przy stole z Costą, obserwując śmietankę towarzyską Beverly Hills. Miała na sobie prostą sukienkę z białego jedwabiu i szmaragdy, które sobie kupiła. Czteromiesięczna ciąża była jeszcze niewidoczna, ale na skutek ciągłego zmęczenia Lucky miała lekko podkrążone oczy i czuła się wyczerpana.

Gino nie skomentował jej wyglądu, za to Costa od razu się

215

zatroskał. Spytał, co porabia, a kiedy wzruszyła ramionami i odrzekła „Nic”, nachmurzył czoło, ponieważ zdawał sobie sprawę, że dzieje się coś niedobrego. Bezczynność nie leżała w jej naturze. Złożył to na karb zdenerwowania, bowiem nie ulegało wątpliwości, że ślub ojca rozstroił ją bardziej, niż chciałyby to przyznać.

Poznała dzieci Susan i natychmiast je znieubiła. Para bogatych, snobistycznych gówniarzy, którzy mieli o sobie Bóg wie jakie mniemanie. No i widziała wejście angielskiej primadonny Franceski Fern wraz ze świtą. Pięć minut później zjawił się Dimitri Stanislopoulos.

— O Chryste! — mruknęła.

— Co? — spytał Costa.

— Mc. — Zgarbiła się w fotelu na zadaszonym patio z nadzieją, że Dimitri jej nie zauważy. Że nie będzie jej pamiętał, co byłoby jeszcze lepsze. Nie zamierzała dzielić się z nim dzieckiem. Miał swoją szansę i ją stracił.

Zauważył ją. Później. Na szczęście, kiedy podszedł do stołu, żeby pocałować ją w rękę i wypowiedzieć kilka frazesów, otaczał ich tłum ludzi. Zauważyła, jak strzelił oczami i otaksował ją spojrzeniem w poszukiwaniu wiadomych oznak; zastanawiał się pewnie, czy do ich paryskiej rozmowy doszło naprawdę, czy tylko to sobie wyobraził.

Lucky była grzeczna i chłodna. Pieprzyć Dimitriego.

Tydzień później pojawił się przed jej domem w East Ham-pton. Jesień. Żłocistobrązowe drzewa, na ziemi liście porozrzucane z wyrachowanym chaosem. Lucky miała na sobie biały dres do biegania, na nogach

tenisówki i była nie umalowana. Włosy zebrała w niedbały kok na czubku głowy.

— Wyglądasz bardzo młodo — powiedział, stając w progu; na podjeździe czekała limuzyna z szoferem.

— Czego chcesz? — spytała beznamiętnie.

Omiótł spojrzeniem jej lekko wystający brzuch, którego nie próbowała ukryć.

— Chcę wiedzieć, czy to prawda. Spodziewasz się dziecka?

— Nie — odrzekła lodowatym głosem.

Był bardzo wysoki. Duży i wysoki. Potężny, z czupryną białych włosów i świdrującymi oczyma.

216

— Myślę, że kłamiesz.

— Nie obchodzi mnie, co sobie myślisz.

— Skoro tak, po co do mnie dzwoniłaś?

— To było wiele miesięcy temu — odrzekła chłodno. — Zrobiłam ci test. Oblałeś.

Przeszył ją wzrokiem znużonych światem oczu, w których gorzał grecki ogień.

— Wrócę — zapowiedział.

I wrócił. Wracał tak często, że nie mogła się go pozbyć. Obsypywał ją podarunkami, jakby chciał ją za tamto przeprosić. Codziennie pęki szkarłatnych róż. Skrzynki szampana. Słoiki kawioru. Kosze egzotycznych owoców.

W końcu dała się zaprosić na kolację. Przysłał po nią śmigłowiec. Jedli na pokładzie jego jachtu, który okrążał Manhattan, podczas tej uczyty podano

homara i pasztet z gęsich wątróbek.

Potem się kochali. Delikatnie przesunął wielkimi dłońmi po jej brzuchu.

— Chcę chłopca — powiedział.

— Nie bądź takim szowinistą — odrzekła.

Drugiego lipca 1979 roku, w prywatnym szpitalu położniczym w Connecticut, Lucky wydała na świat syna. Dimitri był obecny przy porodzie.

Nazwali go Roberto Stavros Gino Santangelo Stanislopoulos. Był ich tajemnicą. I tajemnicą pozostał.

Lucky położyła się na plecach i zapraszającym gestem wyciągnęła do niego ramiona.

— Chodź — zawołała. — Jest cudownie.

Nie musiała prosić dwa razy. Ściągnął białą koszulę od La Costy. Rozpiął czarny pasek z wężowej skóry. Zrzucił buty i zdjął lniane spodnie. Dimitri Stanislopoulos nie uznawał bielizny. Miał jędrne, silne ciało. Jak na człowieka w jego wieku, wyglądał znakomicie. Był wielki, w każdym słowa tego znaczeniu, i bardzo dumny ze swej siły fizycznej oraz doskonałego stanu zdrowia. Wskoczył z rykiem do wody, próbując dopaść Lucky, która wyslizgnęła się z jego objęć i szybko odpłynęła.

217

Potężnym kraulem zapędził ją na głębiny. Ta część basenu tonęła w cieniu, a w rogu szumiał wykuty w skałę wodospad. Lucky podpłynęła bliżej i próbowała się tam ukryć.

Dimitri przebił się przez wodną kurtynę, przycisnął Lucky do twardej skały, jedną ręką zdarł z niej majteczki i przywarł do niej całym ciałem.

— Ty podstępny sukinsynu! — zaprotestowała półżar-tem, nim zanurzyli

się w chłodną, zielonkawą otchłań.

Nie zwolnił uścisku. Przeciwnie, chwycił ją jeszcze mocniej, stalowymi udami rozwarł jej uda, wszedł w nią i zaczęli się kochać, tam, w głębinie.

Gdy się wynurzyli, nie mogła złapać tchu, lecz opasywała go mocno nogami, a na jej zaróżowionej twarzy malował się wyraz rozkoszy.

Skończyli razem, w ciszy.

Dimitri odsunął się od niej.

— Myślę, że pora na lunch — powiedział.

— Chryste! — wykrzyknęła. — Seks i żarcie. Nie ma co, umiesz zaspokajać apetyt!

— Czemu nie? Życie jest po to, żeby je dobrze przeżyć. Ciężko pracowałem na to, co dzisiaj mam. Teraz się bawię. Chyba nie masz nic przeciwko temu? — Podciągnął się, wyszedł z basenu i nałożył aksamitny szlafrok.

Lucky podpłynęła do brzegu.

— Mam nadzieję, że twój syn się w ciebie nie wrodzi. Pomógł jej wyjść.

— Mam nadzieję, że wprost przeciwnie.

— Słusznie. Niech będzie grubym ogierem. Świetnie! Nie mogę się już doczekać.

Dimitri ryknął śmiechem.

— Lucky, czy ja jestem gruby? Czy jestem ogierem?

— Dać ci tylko okazję — docięła.

Z uśmiechem podał jej szlafrok, zlustrował horyzont i rzekł:

— Miejmy nadzieję, że nie ma tam żadnych paparazzi. Nie lubię wystawiać się na pokaz.

Lucky poszła za jego spojrzeniem. Basen graniczył z morzem. W zasięgu

wzroku nie było żadnych statków. Czasami daleko od brzegu krążyły niewielkie łodzie udające kutry rybackie z ukrytymi na pokładzie fotoreporterami, którzy

218

pstrykali zdjęcia aparatami wyposażonymi w teleobiektyw. Wyspa Dimitriego uchodziła za wspaniały teren łowiecki. Ale tego dnia horyzont był pusty.

— Lunch — powtórzył stanowczo Dimitri.

— Idź. Przyjdę za pięć minut.

— Jak sobie życzysz.

Cieszyła się, że w końcu uległa i dopuściła go do syna. Okazał się wspaniałym ojcem, gdy mu na to pozwoliła. Lecz dochowanie tajemnicy było z każdym dniem coraz bardziej skomplikowane. Była pewna, że wiedzieli o nich służący z greckiej willi. I Cee Cee, piękna czarnoskóra opiekunka małego Roberta. I starsze małżeństwo, które doglądało domu w East Hampton. I prawnik Dimitriego.

Tajemnica przestaje być tajemnicą, gdy zna ją więcej niż dwoje ludzi.

Lucky westchnęła. Dimitri ciągle wracał do tematu małżeństwa, lecz ona bojaźliwie tę myśl odpędzała. Już raz spróbowała i było strasznie.

Jednak Dimitri codziennie nalegał. Chciał ogłosić światu, że ma syna.

Chciał, by wszyscy wiedzieli, że Roberto jest jego prawowitym spadkobiercą.

Nieustannie ją ostrzegał:

— Jeśli stanie się ze mną coś złego, będą same problemy.

— Dlaczego? — spytała. — Przecież zmieniłeś testament.

— To nie wystarczy — odrzekł zatroskany. — Olympia zechce zagarnąć

wszystko. Sprzeciwili się moim dyspozycjom. Znam ją.

Lucky nie odnowiła przyjaźni z Olympią. Dimitri uważał, że najlepiej będzie, jeśli się nie spotkają. Nie wspomniała też Ginowi, że został dziadkiem. Gino ożenił się z Susan i osiadł w Beverly Hills jak stary, dziecięciniały pierdoła. Słyszała, że zrezygnował z osobistego zarządzania hotelami w Las Vegas i że zlikwidował wiele przedsiębiorstw. Tak, spłacił ją, i to sownie. Pieniądze ulokowała na koncie i szybko o nich zapomniała. Karierę odwiesiła na kołku, cieszyła się synem. Dlaczego miałyby dzielić się nim z Ginem? Rzadko kiedy do niej dzwonił. Nie widziała go od dnia ślubu.

Czasami budziła się w środku nocy i bardzo za nim tęskniła. Był stary. Przeszedł atak serca. Dlaczego nie mogła

219

go odwiedzić, pokazać mu wnuka i naprawić zburzone mosty?

Ponieważ nic go nie obchodziła. Ponieważ wołał Susan Martino.

Lunch podano na wspaniałym tarasie z widokiem na morze. Lucky pamiętała wakacje sprzed lat, gdy jako nastolatka odwiedzała Dimitriego z Olympią. Nigdy nie myślała, że wróci na wyspę jako matka jego dziecka. Niektórzy służący z tamtych czasów wciąż tu pracowali. Ciekawe, co sobie myśleli. Pamiętali ją? Powiedzą Olympii?

— Olympia rzadko tu bywa — odrzekł surowo Dimitri, gdy o tym wspomniała.

Lucky wiedziała, że Dimitri nie pochwała głośnego romansu córki z wiecznie zaćpanym gwiazdorem rocka. Pisano o nich na pierwszych stronach gazet, co doprowadzało go do furii.

— Głupia dziewczyna — burczał. — Miała trzech mężów, którzy

polowali na jej majątek, a teraz zadaje się z tym... degeneratem. Lucky zdusiła śmiech. Dimitri zachowywał się czasem jak staruch. Ale nie w łóżku. W łóżku był mistrzem. Może trochę za bardzo opanowanym, zbyt doskonałym technicznie. Wiedział wszystko, co trzeba wiedzieć, i umiejętnie to wykorzystywał.

Kiedyś spytała go, ile miał kobiet.

— Tysiące — odrzekł bez odrobiny zażenowania. Tysiące. Hmm... Nic dziwnego, że znał najbardziej wyrafinowane sztuczki.

Zastanawiała się, czy Gino też miał tysiące kobiet.

To możliwe. Ci dwaj mieli z sobą dużo wspólnego.

Po lunchu Cee Cee przyniosła Roberta. Był bardzo podobny do Lucky — ciemne włosy, czarne oczy, zaraźliwy uśmiech. I do Giną. Wiedziała, że jest niesprawiedliwa, żenię powinna ich rozdzielać.

Twarz Dimitriego pojaśniała. Lucky i Roberto przyjechali przed tygodniem i przebywanie z synem nigdy go nie męczyło. Zwykle widywał go tylko wtedy, gdy odwiedzał Lucky w East Hampton.

220

Kiedy Cee Cee zabrała dziecko na popołudniową drzemkę, Dimitri zaczął nerwowo krążyć po tarasie.

— Lucky — powiedział niecierpliwie, wyłamując palce, co było nader irytujące. — Co za dużo, to niezdrowo. Mój syn musi nosić moje nazwisko. Legalnie. Musimy się pobrać. Nalegam.

— Jakie to romantyczne — wymamrotała.

— Na miłość boską, przecież wiesz, że cię uwielbiam. Czyżby? Spotykali się od półtora roku. Wiedziała, że

widywał w tym czasie Franceskę Fern. O nic go nie pytała. To nie w jej

stylu.

— Nie jestem pewna, czy...

— Co mam zrobić, żeby cię przekonać?

Co mógł zrobić? Znowu pomyślała o Atlantic City. Tęskniła za pracą. Za hotelami, za poczuciem władzy, za związanym z pracą podnieceniem...

Własnych pieniędzy miała za mało. Jako żona Dimitriego Stanislopoulosa będzie mogła zrobić, co tylko zechce.

Poza tym Dimitri miał rację. Roberto zasługiwał na ochronę, jakim było nazwisko jego ojca. Nazwisko noszone legalnie.

— Chcę zbudować hotel... — zaczęła powoli. Zachęcająco kiwnął głową.

— Możesz mieć, czego tylko zapragniesz. Powiedz, a dam ci wszystko.

37

— Nie — powiedziała Jess do słuchawki, którą podtrzymywała ramieniem. — Przez najbliższe miesiące Lennie Golden jest zajęty. Nie ma czasu nawet na czytanie scenariuszy, to wykluczone.

— Proszę — błagał interesant na drugim końcu linii. — Na pewno bardzo mu się spodoba, na pewno zechce nakręcić...

— Przykro mi. — Odłożyła słuchawkę i wrzasnęła: — Vickie! Gdzie ty, do diabła, jesteś?

Do pokoju wtruchtała Vickie. Na nogach miała długie botki na niebezpiecznie wysokich obcasach, do tego czarne,

221

ażurowe rajstopy, szorty ze spandeksu i obcisłe wdzianko z lureksu, które ledwo zakrywało biust. Włosy wytapiro-wane do granic możliwości, niezwykle brzydka, starannie umalowana twarz — Vickie wyglądała jak zaprzyjaźniona prostytutka z sąsiedztwa, a nie jak osobista sekretarka,

którą miała być. Jess próbowała ją wyrzucić, ale Lennie nie chciał o tym słyszeć.

— Przepraszam, Jess — zapiszczała. — Byłam w kibelku. Od tygodnia mam kłopoty z pęcherzem.

— Zawsze masz kłopoty z pęcherzem — mruknęła Jess, wstając od starego, wysłużonego biurka. — Odbieranie telefonów nie należy do moich obowiązków. Tobie za to płacą, nie mnie.

Vickie zatrzepotała sztucznymi rzęsami i spuściła oczy.

— Przepraszam.

Gdzie je Lennie znajdował? Poprzednia wyglądała jak tranwestyta, ale przynajmniej odbierała — odbierał? — telefony. A ta ciągle siedziała w kiblu.

— Muszę wyjść — oświadczyła, niechętnie zostawiając ją na posterunku.

— Dasz sobie radę?

Vickie uśmiechnęła się. Nie mogła uzbierać pieniędzy na koronki i miała okropne zęby.

— Czy dam sobie radę? Co za pytanie!

— Tylko wszystko zapisuj — przypomniała jej surowo Jess.

Vickie kiwnęła głową.

Wychodząc z małego biura w nie rzucającym się w oczy budynku na Bulwarze Zachodzącego Słońca, nie miała najmniejszych wątpliwości, że wkrótce będą potrzebowali więcej przestrzeni i co najmniej dwóch porządnych sekretarek. Akcje Lenniego szły w górę, a oni ciągle urzędowali w ciasnej norze. Pół roku temu owszem, odpowiadała ich potrzebom, ale teraz już nie. Lennie pruł w górę jak meteor.

Zjechała windą do podziemnego garażu i odebrała swój samochód, starego

atsuna. Od dawna chciała go zmienić na coś lepszego, ale kto miał na to czas? Tyle się zdarzyło, tyle dobrych rzeczy. Dzięki Bogu, posłuchała Lenniego i wyjechała do Los Angeles. Początkowo było strasznie.

222

Siedziała w pokoju hotelowym, gdzie ją zakwaterował, i całymi dniami i nocami gapiała się w telewizor. Na kilka tygodni zostawił ją w spokoju, ale pewnego dnia przyszedł i oświadczył:

— No dobra. Dość tego, wystarczy. Wracasz do życia. — Od tamtej chwili nie zostawiał jej samej, ciągnął ją z sobą, gdziekolwiek szedł. Poznała jego przyjaciół: Sunę i Shirlee, Joeya Firello, Foxiego, posługową Rainbow, Isaaca i jego piękną żonę. Wszyscy natychmiast ją zaakceptowali i chętnie poświęcali czas, żeby jak najszybciej doszła do siebie. Bliźniaczki zabierały ją na gimnastykę. Joey do studia telewizyjnego na swoje nagrania. Rainbow zaprowadziła Jess do Fredericka, do sklepu z ekstrawagancką bielizną na Hollywood Boulevard i namówiła ją do kupna zmysłowej koszuli nocnej ze szkarłatnego aksamitu. Isaac z żoną zapraszali ją co niedzielę na ogródkowe obiady. A Foxie, ten legendarnie grubiański Foxie, od razu ją polubił, więc ilekroć wpadała do klubu, raczył ją opowieściami ze swego barwnego życia. Ponieważ miał już osiemdziesiąt sześć lat, tematów im nie brakowało. No i Lennie. Zawsze był przy niej. Wyrozumiały i podtrzymujący na duchu. Prawdziwy przyjaciel. Bez niego rozsypałaby się na kawałki. Pomógł jej wziąć się w garść i dużo mu zawdzięczała. Wreszcie nadeszła chwila, kiedy musiała skończyć z życiem na cudzy koszt. Zaczynało jej brakować pieniędzy, a nie zamierzała doić Lenniego. Tylko co mogła zrobić? Powrót do Las Vegas nie wchodził w rachubę, a

zapotrzebowanie na krupierów w Los Angeles nie było zbyt wielkie.

Spytała o radę Foxiego.

Odgryzł koniuszek śmierdzącej cygaretki, wypluł go na podłogę i zasugerował coś, o czym nigdy nie pomyślała.

— Spróbuj menadżerki. Jesteś bystrą dziewczyną i masz werwę.

Wykorzystaj to.

— Miałabym zostać menadżerką? Czyją?

— Lenniego, to chyba oczywiste.

— Przecież Lennie już ma agenta. Dziko zamachał cygaretką.

223

— A kto ci każe zostać agentką?

— Skoro Lennie ma Isaaca, po co mu menadżerka? Foxie z niedowierzaniem pokręcił głową.

— A ja myślałem, że jesteś bystra. Jak na dziewczynę z Vegas niewiele wiesz.

— Jasne, że wiem — odparła najeżona. — Tylko wielcy gwiazdorzcy mają i agenta, i menadżera. Jeśli mogą sobie na nich pozwolić.

— A jak, twoim zdaniem, zostali gwiazdoramii? Myślisz, że dzięki agentowi z trzydziestoma klientami na karku i hipoteką do spłacenia?

— Nie wiem.

Foxie mądrze pokiwał głową.

— No to posłuchaj. — Mówił szybko i chaotycznie. Ale to, co mówił, trzymało się kupy. Tak, Lennie miał agenta, Isaac był w porządku: prowadził stajnię młodych komików i robił dla nich, co mógł. Rzecz w tym, że musiał dzielić czas i wysiłek między wszystkich klientów, a to za mało. Foxie dał jej przykład: — Ot, choćby jego niedoszły występ w

Griffin Show. Lennie zrezygnował, bo chciał być z tobą na pogrzebie dziecka. Myślisz, że Isaac nalegał, żeby dali mu drugą szansę? Gdzie tam. Robi w portki ze strachu, uważa, że mogłoby to zaszkodzić innym klientom. Masz swego agenta. A menadżer już dawno by u nich siedział, już by ich namawiał. Rozumiesz? Widzisz różnicę?

Tak, rozumiała. To miało sens. I dopiero teraz dowiedziała się, że Lennie zrezygnował z występów w telewizji, żeby z nią być. Zawdzięczała mu więcej, niż myślała, i chciała mu się zrewanżować.

— Jak zostaje się menadżerem? — spytała.

— Trzeba znać się na kontraktach. Trzeba wierzyć w klienta na dwieście procent. I przeć naprzód choćby po trupach. Gdybym chciał, mógłbym zostać najlepszym menadżerem w branży. Dałbym radę opchnąć gnój właścicielowi stajni z końmi chorymi na biegunkę!

Jess zachichotała. Stary Foxie umiał dobierać słowa.

— Naucz mnie — poprosiła.

— Masz wrodzony talent — odrzekł. — I świetny towar

224

do sprzedania. Lennie będzie wielki. Wiedziałem o tym już podczas jego próbnego występu.

Nie minął tydzień, jak załatwiła Lenniemu występ w Griffin Show.

Był zachwycony.

— Jak ty to zrobiłaś? Uśmiechnęła się.

— Werwa i brak hipoteki do spłacenia.

— Hę?

— Nieważne.

I tak zaczął piąć się w górę. Jess była oddana i nic innego nie zajmowało

jej myśli. Szła na całego, jak nauczył ją Foxie. Lennie był dobry, więc wszystko, co mu załatwiła, zawsze wypalało, owocując następnymi kontraktami.

Isaac był początkowo wkurzony, ale szybko do tego przywykł. Zwłaszcza kiedy udowodniła, że wie, co robi, lepiej niż ktokolwiek inny.

Najpierw Merv Griffin Show. Dwa tygodnie później powtórka, ponieważ spodobał się Mervowi. Potem trzeci występ — tego samego miesiąca — ponieważ bardzo spodobał się publiczności. Gościnny występ w godzinie komedii Joeya Firello. A później propozycja cotygodniowych występów w serialu zatytułowanym „U źródła”, w którym miał odgrywać rolę obłąkanego lekarza zawiadującego centrum odnowy biologicznej. Było to coś pomiędzy „Soap” i „Hill Street Blues”. Gdy startowali, notowania były prawie zerowe, ale stopniowo zgromadzili garstkę zwolenników. Garstka zwolenników rozrosła się do wielkiego tłumu i nagle serial zaczął uzyskiwać maksymalne notownia, nagle stał się przebojem, i to ledwie w połowie drugiego sezonu. Lennie oraz pozostali, dotąd zupełnie nie znani, aktorzy z dnia na dzień stali się telewizyjną rewelacją.

Od tamtej pory minęło półtora miesiąca. A dzisiaj? Dzisiaj Lennie był wziętym aktorem, choć jest to określenie stanowczo za łagodne.

Wyjechała na ulicę. Było popołudnie, panował duży ruch. Miała na głowie tyle spraw i ani chwili czasu. Zatrąbiła na jakiegoś narwanego kierowcę, który pokazał jej dwa palce ułożone w kształt litery „V”.

225

— Wsadź je sobie w tyłek, żeglarzu — mruknęła i błyskawicznie go wyprzedziła.

Najpierw musiała doprowadzić do ładu Lenniego, to najważniejsze.

Krążyły plotki, że pije, chociaż przy niej nigdy nie pił. Z drugiej strony od chwili, gdy serial odniósł sukces, prawie go nie widywała, bo albo udzielał wywiadów, albo pracował, albo zabawiał się z wiotkimi blondynami, które zmieniał jak rękawiczki.

Tylko tego im brakowało. Problem z alkoholem na samym początku wielkiej kariery.

Narwaniec, którego przed chwilą wyprzedziła, zajechał jej drogę i musiała gwałtownie zahamować. Próbowwała nad sobą zapanować, ale nie mogła i głośno zatrąbiła klaksonem.

Zachowaj spokój, przestrzegala siebie w duchu. Jechała na lunch z Lennie i nie chciała siadać do stołu wzburzona. Chłód i opanowanie były bardzo ważne. Pomogą jej zbadać, co się z nim dzieje.

Blondyna twierdziła, że ma dziewiętnaście lat, lecz Lennie nie dawał za to głowy. Bardziej prawdopodobne, że miała siedemnaście. Seksualnie doświadczona siedemnastolatka, której chciał się jak najszybciej pozbyć. Jeden wieczór rozpusty wystarczył. Wolałby, żeby nie pragnęły zostawać na noc.

Ubierała się. Powoli. Białe majtki, wdzianko bez ramiączek, sznurowane buty, dziesiątki bransoletek.

— Możesz podzucić mnie do Westwood? — spytała.

— Nie jadę w tamtą stronę. Ale chętnie zamówię ci taksówkę.

— Nie mam pieniędzy.

— Zapłacę.

Przełączyła telewizor na jakiś przedpołudniowy serial, tymczasem on przekręcił na radio taxi i kazał przysłać kogoś jak najszybciej. Chciał, żeby już sobie poszła. Nie to, żeby czegoś jej brakowało. Była ładna, miała

kalifornijskie ciało i miłą osobowość. Tyle tylko, że to już trzecia blondyna w tym tygodniu — przedawkował i zaczynał siebie za „to nie lubić.

226

Kiedy taksjarsz zadzwonił przez domofon, wcisnął dziewczynie dwadzieścia dolców, obiecał, że wkrótce się odezwie i z westchnieniem ulgi zamknął za nią drzwi.

Natychmiast po jej wyjściu zerwał z łóżka prześcieradła, rzucił je na podłogę, pootwierał wszystkie okna i nalał sobie orzeźwiający kieliszek wódki z sokiem pomarańczowym. Dochodziła jedenasta. Nieźle. Wolny dzień i nic do roboty. Do pierwszej, bo o pierwszej jadł lunch z Jess i Scandią.

Pracował non stop. Poprawiał dialogi do serialu, całymi dniami siedział na planie, pisał teksty, próbował nawet spłodzić scenariusz. Do tego wszystkiego musiał udzielać niezliczonych wywiadów i co wieczór wychodził na przyjęcie.

Cóż, czemu nie? Chyba na to zasłużył.

Zadzwonił telefon. Matka. Droga, stara Alice wkroczyła w jego życie niczym buldożer. Zadziwiająco, ile może sława.

— Lennie, kochanie — powiedziała. Sięgnął po butelkę wódki, żeby sobie dolać.

— Tak?

— Tak sobie myślę...

— No?

— Dlaczego nie możesz zaprosić mnie do programu Mer-va Griffina?

Nie wierzył własnym uszom.

— Co?

— Nie bądź taki zdziwiony. Byłabym cudowna.

— Co byś robiła?

— To, co umiem lepiej niż ktokolwiek inny. Opowiadałabym o swoim życiu. Różne historyjki.

— Jakie historyjki?

— O Las Vegas. O twoim ojcu. O sobie. Nie znam nikogo, kto miałby bardziej interesujące życie. Ktoś powinien napisać o mnie książkę. Byłaby bestsellerem! Aż drzę na tę myśl.

— Ja też.

— Nie bądź arogancki.

— Kto tu jest arogancki?

— Ty, odkąd zacząłeś występować co tydzień w telewizji.

227

Nigdy do mnie nie dzwoniś, nigdy mnie nie odwiedzasz. Jak myślisz, jak się przez to czuję? Jestem twoją matką, Lennie, a ty cisnąłeś mnie w kąt jak stary łach.

Nagle Alice Piersióweczka postanowiła zostać jego matką, do czego jeszcze przed pół rokiem nigdy by się nie przyznała. Po jego drugim występie u Merva Griffina dostał od niej list zaadresowany do telewizji. Zadzwonił, żeby wysłuchać jej utyskiwań. Wyglądało na to, że Alice ma do niego pretensje, iż nie zaprosił jej na nagranie. Niedługo potem pojechał do Marina del Rey i spędził z nią cały dzień. Zrobiła mu kanapkę z bekonem, opowiedziała mu o swoim nowym przyjacielu, dwudziestosześcioletnim muzyku, który był „w trasie”, i zażenowała go demonstracją sześciu nowych ćwiczeń, dzięki którym, jak twierdziła, jest wciąż sprawna, młoda i seksualnie aktywna.

Od tamtej pory jej nie widział, ale dzwoniła do niego regularnie — bardzo regularnie, odkąd „U źródeł”, jego serial, wskoczył na pierwsze miejsce listy notowań.

Wysyłał jej pieniądze, o czym nigdy nie raczyła wspomnieć, i pogodził się z jej telefonami. Cóż mógł zrobić? Ostatecznie była jego matką.

— No? — spytała.

— I co.

— Co no i co?

— Nic. Po prostu.

Zapadła lodowata cisza, ponieważ Alice zastanawiała się nad następną kwestią. Wymyśliła rzecz zupełnie nieprawdopodobną.

— Chyba wynajmę agenta. Lennie sięgnął po kieliszek.

— Po diabła ci agent?

— Ha! Myślisz, że tylko ty możesz robić karierę. Gdyby ci na mnie choć trochę zależało, dałbyś mi swego agenta. Śpiewam, tańczę, opowiadam zabawne historyjki. Dlaczego nie możecie zaprosić mnie do telewizji jako gościa?

Myśl, że miałby pójść do Isaaca Luthera i zaproponować mu Alice jako nową klientkę, była zbyt śmieszna, żeby ją rozważać. Stłumił śmiech.

— Muszę iść. Jestem spóźniony.

228

— Pomyśl o przedstawieniu mnie swemu agentowi. Nie pożałujesz.

Wiesz, na karierę nigdy nie jest za późno.

— Wiem, mamó.

— Mów mi Alice, to lepiej brzmi. I skłam co do swego wieku. Mów, że masz dwadzieścia pięć lat, młodo wyglądasz. Uwierzą.

— Dzięki za radę.

Chichocząc, odłożył słuchawkę. To ci dobioło charakterek!

Wkrótce potem przyszła Harriet, pokojówka. Była bardzo stara i miała kłopoty z chodzeniem. Jej sprzątanie pozostawiało wiele do życzenia, ale odziedziczył ją wraz ze służbową kawalerką, którą wynajmował na Doheny.

— Dzień dobry, panie Gold — powiedziała.

— Golden. — Pracowała u niego dopiero od roku. Z roztargnieniem kiwnęła głową i poszła do kuchni, gdzie ściągnęła buty i włączyła telewizor.

Lennie wrócił do łazienki. Zdjął szlafrok i wziął zimny prysznic. Cieszył się na myśl o lunchu z Jess, a o trzeciej czekał go wywiad dla „People”. Nie cierpiał udzielania wywiadów. Naruszały jego prywatność, poza tym nie miał nic do powiedzenia na temat życia osobistego.

Jakiego życia osobistego?

Czy sypianie z kim popadnie to życie osobiste? Bardzo w to wątpił.

Wycierając się do sucha ręcznikiem, dumął, co na siebie włożyć.

Większość ubrań leżała na kupie w łazience, czekając, aż ktoś zanieśnie je do pralni. Wyciągnął ze sterty czarne spodnie i czarną koszulę. Jess będzie marudziła. Na pewno powie: „Musisz kupić sobie nowe ciuchy”.

Teraz miał pieniądze, ale nie miał czasu. Właściwie na czym upływał mu dzień? Na pracy. Na ciupciani. Na chlaniu. I znowu na pracy.

Wszystko dzięki małej Jess. Była jak dynamit. Przejęła opiekę nad jego statyczną karierą zawodową i jakby do rakiety wsiadł! W samą porę.

Ocaliła życie i sobie, i jemu. A teraz szło mu jak po maśle. Telewizja.

Nieźle pieniądze. Chryste, skoro prosili go o wywiad ci z „People”, musiał

być naprawdę kimś. Chcieli zrobić coś w rodzaju fotoreportażu:

229

dzień z życia Lenniego Goldena. Ciekawe, czy zdjęcia obejrzy Eden. Eden. Znowu o niej myślał. Eden Antonio to już przeszłość. Eden Antonio nic dla niego nie znaczyła.

Próbował odnowić znajomość. Trzy lata razem w Nowym Jorku. Żarli się jak tygrys z tygrysią. Wyjechała na zachód. Popędził za nią. Jedno spotkanie. Wspaniały seks. I na tym koniec. Wykorzystała go — pewnie była napalona — i zostawiła niczym obojętny na wszystko sfinks. Chryste, jak bardzo jej nienawidził.

Gówno prawda. Co? Gówno prawda. Gdyby tu przyszła, od razu byś wymiękł. Może. Przestań pieprzyć. Jakie może? Nie cierpiał rozmów, które odbywał z sobą w duchu, ponieważ były szczere i prawdziwe. Dowiedział się o niej tego i owego. Żyła z jakimś żonatym gangsterem. Facet kupił jej dom, kupował jej ubranie i biżuterię. Bliźniaczki częstowały go strzępkami informacji. Udawał, że to go nie interesuje. Wiedział, gdzie Eden mieszka. Znał jej prywatny numer. Kilka razy przejeżdżał przed jej domem. Kilka razy dzwonił do niej i odkładał słuchawkę. Mimo to nie zamierzał się z nią kontaktować. Jeśli naprawdę go chce, niechaj do niego przybiegnie. Tylko kiedy to będzie. Jeśli w ogóle...

Ubrany na czarno, szykował się do wyjścia.

Harriet pólleżała w kuchni, wyciągając przed siebie spurchlone żyłakami nogi. Ryczał telewizor — oglądała teleturniej.

— Zrobiłam sobie przerwę na lunch, panie Gould — rzekła z ukontentowaniem.

— Proszę zmienić prześcieradła. — Wiedział, że Harriet ich nie zmieni, że będzie musiał zrobić to sam. Bardzo starowinnie współczuł, ale rozpaczliwie potrzebował pokojówki.

W podziemnym garażu wsiadł do nowiutkiego, czarnego BMW. Co za wóz! Przed sześcioma tygodniami wszedł do salonu samochodowego i kupił go od ręki. Jego pierwsza ekstrawagancja. Fantastyczne uczucie. Żałował, że nie ma nikogo, z kim mógłby dzieli swój sukces. Jess to wspaniała dziewczyna, lecz nie było jej przy nim zimnymi, pustymi rankami, gdy pragnął ciepła kochanki, towarzyszk, kobiety, z którą łączyłaby go duchowa więź.

230

Czasami wyciągał rękę, łagodnie budził śpiącą obok blondynę i się z nią kochał. Nie. To nie była miłość. To był zwykły seks. Odniósł sukces, miał pieniądze, zdobył uznanie. I ekstra. Tyle tylko, że... Czegoś mu w życiu brakowało.

38

W drodze powrotnej do Nowego Jorku Steven Berkeley próbował ocenić rezultaty spotkania z matką.

Carrie była bardzo przejęta i nadszkakująca. Prosiła, żeby został na weekend, ale odmówił, chcąc przejść do rzeczy i jak najszybciej wyjechać.

— Posłuchaj — rzekł w końcu. — Nie mogę i nie zamierzam kłamać.

Chcę wrócić do normalnego życia, ale żeby to zrobić, muszę wiedzieć, kto jest moim ojcem.

Carrie długo milczała. Wstała, przeszła przez salon, znowu usiadła, wreszcie spojrzała mu prosto w oczy i głosem cichszym od najcichszego szeptu odparła:

— Powiedziałam ci wszystko, co wiem.

— Podałaś mi dwa nazwiska — rzekł szorstko. — Dwa nazwiska, nic więcej. Myślisz, że to mnie zadowala? Otóż nie. Ani trochę. Muszę wiedzieć, który z nich jest moim ojcem. A ty musisz mi pomóc.

Szło jak z kamienia. Nie chciała współpracować. Nie zamierzała przesypywać popiołów przeszłości. Ale stopniowo przekonał ją, że jeśli chce go znowu zobaczyć, nie ma żadnego wyboru. W końcu zaakceptowała plan, który jej przedstawił.

Teraz wracał prawie pustą autostradą, zastanawiając się, czy postępuje słusznie. Jerry Myerson odradzał mu robienie czegokolwiek. .

— I co się, twoim zdaniem, stanie? — spytał. — Zawleciesz matkę na spotkanie z facetem, który może, podkreślam, tylko może być twoim ojcem. I co? Powiesz mu, że czterdzieści dwa lata temu przespał się z Carrie i zaprosisz go na badanie krwi? Chyba żartujesz. Gdybyś był biały, 231

wynieśliby cię na kopach za drzwi. A wiesz, co zrobią, kiedy na ciebie spojrzą? Wyśmieją cię. Po co się na to narażać? Po co poniżać Carrie? Jerry nic nie rozumiał. Są w życiu sprawy, które po prostu trzeba załatwić. Wiedział, gdzie jest Gino Santangelo. Jeszcze żył. Miał siedemdziesiąt dwa lata. Ożenił się z wdową po Tinym Martino i mieszkał w Beverly Hills. Nie ulegało wątpliwości, że jest tym samym Ginem Santangelo, który przespał się z Carrie w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku, kiedy był właścicielem nocnego klubu „Clemmies” w Nowym Jorku. Namierzenie Freddy'ego Lestera było znacznie trudniejsze. Carrie wiedziała tylko tyle, że pochodził z dobrej nowojorskiej rodziny, że jego najlepszy przyjaciel miał na imię Mel i że poznała go zaraz po tym, jak

skończył college.

Steven znalazł trzech kandydatów. Jeden był sędzią. Drugi wydawcą. Trzeci emerytowanym lekarzem. Wszyscy trzej byli w odpowiednim wieku, mieszkali w Nowym Jorku albo w jego okolicach i nosili różne wersje tego samego imienia i nazwiska. Sędzia Frederick Lester. Fred E. Lester. Oraz dr n. med. Fredd Lesster.

Carrie będzie musiała wybrać jednego spośród trzech.

Jerry Myerson się nie mylił. Nie pójdzie im łatwo. Lecz Steven, były zastępca prokuratora okręgowego, należał do ludzi wytrwałych i zdecydowanych. I co ważniejsze, wiedział, że potrafi to zrobić.

Z małą pomocą Carrie. Przynajmniej tyle była mu winna.

39

Od jakiegoś czasu Olympia podejrzewała, że ojciec ma potajemną kochankę. Nie, żeby ją to obchodziło. Dimitri mógł robić, co chciał, tak samo jak ona. Jednak była zaintrygowana. Kim jest owa tajemnicza kobieta? — myślała. I po co ta konspiracja?

W klubie „21” wpadła na Franceskę Fern. - Kochaaanie! — wykrzyknęły w duecie. — Wyglądasz

232

bosko! Musimy umówić się na. lunch. — Olympia musnęła ustami policzek Franceski, Frsncesca policzek Olympii.

— Może jutro? — dodała Olympia zaciekawiona, czy FF wie, co się dzieje z Dimitrim.

Francesca, która nie miała szczególnej ochoty na lunch w towarzystwie pulchnej córki Dimitriego, nie zdołała wymyślić szybkiej wymówki.

— W rosyjskiej herbaciarni, o pierwszej — dorzuciła stanowczo Olympia.

Francesca odpowiedziała wymijającym skinieniem głowy, zamierzając odwołać spotkanie: w ostatniej chwili. Ale rano zdenerwował ją Horacy, a po karczemnej awanturze telefonicznej, jaką urządziła swemu agentowi, uznała, że lunch z Olympia jest dobrym powodem do demonstracyjnego wyjścia z domu.

Olympia obudziła się późno w sypialni swego luksusowego apartamentu na Piątej Alei, którego okna wychodziły na Central Park. Flash bawił na południu Francji, gdzie wraz z Layaboutsami nagrywał nowy album. Za kilka dni zamierzała do niego dołączyć, lecz szczerze powiedziawszy, spokój i cisza bardzo jej służyły. Życie z Flashem było pasmem przyjęć, spotkań z dziwaczными ludźmi, nietypowego seksu i nocnych nasiadówek ostro przyprawionych narkotykami. Nie to, żeby miśla coś przeciwko temu, ale rozstanie dobrze mu zrobi. Może wreszcie zacznie ją doceniać. Czasami odnosiła wrażenie, że jest zanadto pewny siebie. Zawsze oczekiwał, że Olympia za wszystko zapłaci — co zresztą robiła.

— Dzianej nie ubędzie — mawiał. — Cizia ma więcej szmalu niż królowa zafajdanej Anglii.

Przypomniała sobie o lunchu, z Franceską i szybko wstała, żeby się ubrać. Nałożyła minisj>ódniczkę z kremowej skóry, ale nie mogła jej dopiąć. Cisnęła spódniczkę na bok i wbiła się w jedwabną sukienkę od Chloe, w której wyglądała grubo. W końcu zdecydowała się na niebieski kostium z lnu, ponieważ skutecznie ukrywał jej liczne grzechy. Ostatnio Flash zaczął nazywać ją Pyzą, co doprowadzało Olym-pię do furii. Ona z kolei przezywała Flasha Gnatem, co go śmieszyło.

tym zwiedzieli!

Przyszły jednocześnie, wymieniły wstrzemięzliwe pocałunki w policzek, usiadły w niszy po lewej stronie, po czym Olympia zamówiła Bloody Mary, a Francesca wodę mineralną Perrier. Olympia natychmiast pożałowała, że zaprosiła ją na lunch. O czym będą rozmawiać przez dwie godziny? O Dimitrim? Na Dimitriego wystarczy pięć minut, a co potem? Nie miały sobie nic do powiedzenia.

Francesca jakby czytała w jej myślach.

— O drugiej mam spotkanie z projektantem mody — oznajmiła.

— Świetnie się składa — odrzekła gładko Olympia. — Jestem umówiona z manicurzystką, też o drugiej.

Francesca wyjęła z torebki krótką, czarną cygaretkę. Wsunęła ją między jaskrawo wyszminkowane wargi, a dwaj kelnerzy błyskawicznie podali jej ogień. Przyjęła ich uwagę jak na wielką gwiazdę przystało, odrzuciła do tyłu bujne rude włosy i oświadczyła:

— Rano lecę do Paryża. Ciągle podróżuję.

Paryż — Olympia natychmiast wykorzystała okazję.

— Widziałaś się ostatnio z Dimitrim?

— Czy aby nie wyjechał do Grecji? — odrzekła obojętnie Francesca.

— Tak. — Olympia zrobiła tajemniczą pauzę. — Znowu.

FF nie chwyciła przynęty. Przymknąwszy ocienione długimi rzęsami oczy, potoczyła wzrokiem po sali i przywołała kelnera.

— Menu — poleciała. Sprawiała wrażenie znudzonej. Olympia nie dawała za wygraną.

— Pojechał tam po raz trzeci w tym roku. Francesca otaksowała ją spojrzeniem.

— No i?

— No i... Nie sądzisz, że to trochę... dziwne?

FF wzruszyła ramionami, wyszarpnęła menu z rąk szefa sali i zaczęła je uważnie studiować.

— Nie ma w tym nic dziwnego. To jego wyspa.

— Hmm... Tak, ale dziwne w tym wszystkim jest to, że wydał wyraźne polecenie, żeby nikt go tam nie odwiedzał.

234

Nikt, łącznie ze mną. Chciałam podesłać mu córkę i poinformowano mnie, że nie mogę.

Francesca zaciągnęła się głęboko dymem z cygaretki i pomachała ręką przechodzącemu producentowi.

— Dlaczego mówisz o tym akurat mnie? Nie mam ochoty tam jechać.

— Jesteście takimi dobrymi... przyjaciółmi. Pomyślałam sobie, że może wiesz, dlaczego tak się zachowuje. Czyżby miał nową przyjaciółkę?

Francesca przeniosła wzrok na szefa sali.

— Omlet z ziołami — zażądała. — I sałata. Bez przybrania.

Olympia zmarszczyła czoło. Wyglądało na to, że FF ma w nosie fakt, iż Dimitri może ukrywać na wyspie tajemniczą kochankę.

— A dla pani, pani Stanislopoulos? — spytał z szacunkiem szef sali.

— Bliny z kwaśną śmietaną, kawior, placki z jabłkiem, a na deser poziomki.

Wzrok Franceski mówił wszystko.

— Nie dbasz o figurę? — wymamrotała.

— Nie — odrzekła zadziornie Olympia. — Wszystko idzie mi w biust, a Flash lubi patrzeć, jak rosną mi piersi.

Potem było coraz gorzej. Sztywna rozmowa i pośpiech — i jedna, i druga chciały jak najszybciej wyjść.

— Do widzenia — powiedziała łaskawie Francesca. — Spotkamy się jak zwykle w sierpniu, prawda?

— Nie jestem tego pewna. Dimitri może być zajęty. Niewykluczone, że odwoła wycieczkę.

— Nie sędzę — odrzekła Francesca ze znaczącym uśmiechem i wyszła. Olympia nie mogła tej baby znieść. Postanowiła zostać i zamówić jeszcze jedną porcję poziomek, jeszcze jeden kieliszek Bloody Mary i kawałeczek, maleńki kawałeczek sernika.

I Dobrze, że została, bo już kilka minut później do sali wszedł nie kto inny jak Vitos Felicidade, jej przelotny kochanek, poprzednik Flasha.

— Vitos! — wykrzyknęła, z ożywieniem machając ręką.

235

Vitos przystanął i spojrzał w jej stronę. Chwilę trwało, nim ją sobie przypomniał, ale zaraz potem uśmiechnął się swym idealnym uśmiechem i z wdziękiem ucałował jej dłoń.

— Oliiimpiaaaa! Jak ja się cieszę.

Vitos, od roku ofiara wielkiej wojny reklamowej w prasie, radiu i telewizji, był o wiele sławniejszy niż wówczas, gdy się spotykali. I nienagannie ubrany. Miał na sobie garnitur z błękitnego jedwabiu (Savile Row), szytą na miarę koszulę, do tego złote spinki do mankietów oraz niezbyt dyskretną, wysadzaną brylantami bransoletę z wygrawerowanym imieniem i nazwiskiem. Towarzyszyły mu dwie kobiety: jego rzeczniczka prasowa oraz grube babsko z magnetofonem kasetowym i plikiem kartonowych teczek pod pachą.

— To jest „New York Times” — oznajmił Vitos, wskazując tęą dziennikarkę. — A to Pamela. — Rzeczniczka ledwo raczyła skinąć głową. Vitos zatoczył ręką szeroki łuk i rzekł: — Moje pani, pozwólcie, że przedstawię senioritę Oliiimpię Staniislopoulos.

Obie kobiety natychmiast stanęły na baczność, wybałuszając oczy na pulchną, zmysłową blondynę. Jej romans z Flashem, kultowym liderem angielskiego zespołu rockowego, od dwóch lat nie schodził z łam prasy. Olympia zbyła je skinieniem głowy; nie cierpiała pismaków, chyba że miała do czynienia z dziennikarzami z „Vo-gue” albo „Harpers”, ostatecznie z „Architectural Digest”.

Chwyciła pudełko zapalek, naskrobała na nim numer telefonu i wręczyła je Vitosowi.

— Zadzwoń — poleciła, obdarowując go znaczącym spojrzeniem. — Później.

Uśmiech miał wciąż idealny. Staromodnie strzelił obcasami, zasalutował i odszedł, a tuż za nim potruchtały obie kobiety.

Olympia ściągnęła usta. Vitos mógł być całkiem odprężającym interludium. Miała przed sobą nie kończące się popołudnie. Wcale nie umówiła się z manicurzystką. W rzeczy samej nie miała nic do roboty. Czekał ją tylko powrót do mieszkania (nudnego bez elektryzującej obecności Fla-sha) i do dziecka. Brigitte skończyła jedenaście lat i była jeszcze większym potworem niż kiedyś. Znienawidzili się

236

z Flashem od pierwszego wejrzenia i miesiąc po tym, jak się spotkali, Olympia wysłała córkę do Anglii, gdzie miała pobierać dalszą naukę. Menadżer Flasha zasugerował odpowiednią szkołę w Oxfordshire i szybko

wyjechały: Brigitte wraz z nianią Mabel. Brigitte zamieszkała w internacie, a niania zainstalowała się w pobliskim domu, żeby mogły spędzać razem weekendy. Jeśli nie liczyć przerażających cenzurek, wszystko układało się nieźle.

Dużym problemem były natomiast wakacje. Naturalnie, Olympia musiała spędzić z córką trochę czasu; ucieczka w siną dal nie wchodziła w rachubę. Miała nadzieję, że wyśle ją wraz z nianią na wyspę Dimitriego, lecz Dimitri, co zaskakujące, powiedział: nie. To właśnie wtedy Olympia zrozumiała, że coś się święci. Myślała, że dowie się czegoś od Franceski, ale nic z tego.

Niełatwo być matką. Macierzyństwo to przerażające obowiązki. Ale Brigitte tego nie doceniała. Im była starsza, tym trudniejsza. Czy zdawała sobie sprawę, że Olympia poświęcała dla niej bezcenny czas, który mogła spędzić z Flashem?

Nie, oczywiście, że nie.

Wyszędłszy z restauracji, odprawiła limuzynę i ruszyła niespiesznie w stronę Bendels, jednego ze swoich ulubionych sklepów. Chwilę przebierała wśród ciuchów, żeby wybrać kostiumik z bladobeżowego zamszu oraz ozdabiane cekinami buty za osiemset dolarów. Zakupy kazała przysłać sobie do domu.

Był przyjemny letni dzień, nawet niezbyt wilgotny, więc wstąpiła do Bergdorfs, gdzie zostawiła kolejne dwa tysiące dolarów. Idąc Piątą Aleją w kierunku domu, zauważyła stoisko z gazetami na rogu ulicy. Zatrzymała na nim wzrok, ponieważ między wachlarzykiem czasopism dla dziewcząt, po prawej stronie „Enquirer” i „Stara”, dostrzegła szmatławca zwanego „Pointer”. Na jego okładce widniało duże zdjęcie uśmiechniętego, nagiego

do pasa Flasha w długiej, wystrzępionej apaszce na szyi, który kościstym ramieniem obejmował chudą, najwyżej siedemnastoletnią dziewczynę o słomkowych włosach. Nagłówek pod zdjęciem głosił: POTAJEMNE MAŁŻEŃSTWO FLASHA Z NASTOLATKĄ.

237

Olympia przystanęła. Zmrużyła swe małe, niebieskie oczy. Sięgnęła do torebki od Hermesa, cisnęła na ladę dziesięcio-dolarowy banknot, chwyciła rażące pismo i podczas gdy stary sprzedawca szperał w kieszeni w poszukiwaniu drobnych, przebiegła wzrokiem notatkę pod nagłówkiem. Była krótka i treściwa.

Legendarny gwiazdor rocka Flash, który przebywa w południowej Francji, gdzie wraz z Layaboutsami nagrywa kolejny album, ujawnił, że trzy lata temu ożenił się potajemnie z osiemnastoletnią Kipp Hartley. Tuż po Nowym Roku Kipp, wówczas piętnastoletnia uczennica, spodziewa się ich pierwszego dziecka.

40

Decyzja została podjęta. Lucky wychodziła za mąż. Po raz drugi w życiu. — Tylko bez żadnej pompy — zastrzegła. — Zróbmy to tutaj, świadkami będzie służba.

Dimitri się zgodził. Dzięki temu nikt się nie dowie, kiedy się pobrali, a Roberto nie będzie musiał iść przez życie z mrocznym stygmatem bękarta. Postanowili się pobrać dzień przed wyjazdem. Dwie doby przedtem przyleciał adwokat Dimitriego. Przywiózł z sobą walizeczkę wypchaną dokumentami. Większość z nich do podpisu dla Lucky. Nie miała nic przeciwko temu pod warunkiem, że był wśród nich dokument najważniejszy: umowa z mężem, w której Dimitri brał na siebie całkowitą

odpowiedzialność za kupno działki, budowę i finansowanie hotelu w Atlantic City, oraz stwierdzał, że hotel ten, całkowicie spłacony i wolny od wszelakich obciążeń, będzie wyłączną własnością Lucky i że po jej śmierci odziedziczy go ich syn Roberto.

— To twój prezent ślubny — powiedział Dimitri, zamasyście podpisując dokument.

Lucky dodała swój podpis. Rezygnowała z większości fortuny męża. Co ją obchodziły jego pieniądze? Tak czy

238

inaczej Roberto otrzyma połowę majątku ojca, tymczasem wielomilionowa inwestycja, jaką był hotel, będzie należała wyłącznie do niej.

Dzień ślubu był wprost idealny. Lucky miała na sobie prostą białą sukienkę, a głowę przyzdobiła kwiatami. Dimitri zdecydował się na lekki garnitur — nic nazbyt oficjalnego.

Ceremonię prowadził grecki pop sprowadzony na wyspę śmigłowcem. Gośćmi była służba i Roberto, który spędził większość dnia balansując na biodrze Cee Cee i nic z tego nie rozumiejąc; musiał jednak wyczuć, że dzieje się coś ekscytującego, bo znakomicie się bawił.

Lucky wspomniała swój pierwszy ślub. Szesnaście lat. Las Vegas.

Pięciuset gości. Wielki cyrk, w którym wzięła udział. Wbrew swej woli.

To była wina Giną. Jego sposób na pozbycie się córki.

Słońce przestało piec, Roberto poszedł spać, a Dimitri i Lucky zjedli kolację na tarasie. Tylko we dwoje. Podano cienko krojone plastry jagnięcej pieczeni w ziołach, pieczone ziemniaki z czosnkiem, zielony groszek w maśle, a na deser miniaturowy weselny tort z truskawkami i

bezami.

Toast wzniesli anyżówką, ulubionym trunkiem Dimitriego, a później pływali nago w basenie.

Nocą kochał ją powoli, wprawnie i z talentem, a ona uległa miłosnemu rytuałowi, w którym wykazywał tyle doświadczenia.

Noc poślubna — jakże inna od nocy poślubnej na Bahamach. Craven spiekł się na raka w gorącym, tropikalnym słońcu i całą noc jęczał i utyskiwał. Co za wymoczek.

Jutro wyjeżdżamy, myślała.

Jutro muszę zadzwonić do Giną i do Costy.

Jutro... jutro... jutro...

Powoli zapadła w sen, z ręką przerzuconą przez pierś nowego męża.

Gino podniósł rękę i zaoferował pięć tysięcy dolarów na kolejny szlachetny cel. Susan i jej szlachetne cele. Jakby miała biegunkę. Jeden szlachetny cel za drugim. Nie można

239

jej było tego zarzucić: na cele dobroczynne nie oszczędzała. Jego pieniędzy.

Susan posłała mu szczodry uśmiech.

— Dziękuję, kochanie — szepnęła.

Byli na imprezie w hotelu Century Plaża. Stół na dwanaście osób. Jego stół. Nie, jej stół. On płacił. Ona zapraszała.

Siedział między Susan i jej przyjaciółką Paige Wheeler. Lubił Paige. Miała poczucie humoru, czego nie dało się powiedzieć o większości dobrych przyjaciół żony.

Pozostałymi gośćmi byli Ryder, mąż Paige, producent filmowy, który

umiał rozmawiać tylko na temat „branży”, oraz świta żony: jej fryzjer, projektantka wnętrz i dentystka. No i oczywiście dzieci. Gemma, Miss Wyniosłości i Wszechmocy. Oraz Nathan, który najwyraźniej doszedł do wniosku, że skończywszy college, nie może uwalniać sobie rąk codzienną pracą.

Kiedyś uważał, że Gemma i Nathan są czarujący, co było niewątpliwą zasługą Susan. Ale po dwóch latach w ich towarzystwie przekonał się, że jest zupełnie inaczej. Byli ofiarami sposobu wychowania — dostali zbyt dużo zbyt wcześnie, za często pytali: „Co z tego będziemy mieli?” — i byli święcie przekonani, że świat powinien ich utrzymywać. Dwoje zepsutych dzieciaków z Beverly Hills w sportowych ubraniach najlepszego gatunku i w luksusowych kabrioletach.

Gino musiał przyznać ze smutkiem, że nie potrafił żywić do nich cieplejszych uczuć, choć wiele razy próbował.

Wiedział też, że go nie lubią i nie aprobują.

Pieprzyć Gemmę i Nathana. Co go obchodzili? Ożenił się z Susan, nie z nimi.

Susan bardzo chciała, żeby stworzyli jedną wielką, szczęśliwą rodzinę, i nie ustawała w próbach przełamania lodów.

Mówili do niego „Gino”. Susan chciała, żeby nazywali go ojcem.

Próbowali schodzić mu z drogi. Susan pragnęła, żeby prawnie je zaadoptował.

Jezu! Roześmiał się jej w twarz, kiedy zasugerowała to pierwszy raz.

— Co ty gadasz? Przecież to dorośli ludzie. Po co im ta cała adopcja?

— W głębi serca są dziećmi. Potrzebują prawdziwego

ojca. Nie wiem, czy kiedykolwiek się między wami ułoży, Gino. Chyba że ich zaadoptujesz i udowodnisz, że naprawdę ci na nich zależy.

— Bzdura.

— Nie, mój drogi. Spójrz prawdzie w oczy.

Zdażyła już omówić tę kwestię ze swoim adwokatem, który, jak utrzymywała, uważał to za znakomity pomysł.

Ilekcroć do tego wracała, a robiła to nader często, Gino zmieniał temat rozmowy.

— Czyż nie byłoby miło — mówiła — mieć dzieci, którym naprawdę zależy na ojcu?

To złośliwa szpila, aluzja do Lucky.

Aluzja, owszem, celna. Lucky się nie odzywała. Na ich ślubie była odęta, a od tamtej pory zadzwoniła do niego najwyżej dwa razy.

Żeniąc się, niewiele myślał o tym, jak się musiała czuć. To on brał ślub, więc co jej do tego? Lecz patrząc wstecz, coraz częściej dochodził do wniosku, że powinien był okazać jej więcej troski. Ostatecznie przez rok byli nierozłączni — po wielu latach ciągłych nieporozumień i kłótni — i radował się ich bliskością tak samo jak ona.

Santangelowie. Ojciec i córka. Kombinacja nie do pobicia! Tęsknił za nią. Może pora naprawić zburzone mosty.

— Coś mi mówi, że błędzisz myślami daleko stąd — szepnęła mu do ucha Paige. — Któż może cię za to winić? Te imprezy są okropne.

Spojrzał na nią. Przyjaciółka Susan. Atrakcyjna kobieta o puszystych, rozwichrzonych włosach i oczach, które w czasach jego młodości nazywano „grzesznymi”.

Lekko położyła rękę na jego udzie.

— Bale dobroczynne zawsze mnie nudziły. „Wyślij czek”, to ich credo.
Nie uważasz?

Przez materiał spodni czuł ciepło bijące z jej dłoni, tak samo jak czuł, że powoli twardnieje mu członek. Z różnorodnych powodów Susan nie spała z nim od półtora miesiąca. Owszem, był stary, ale jeszcze go nie pogrzebano. Potrzebował regularnego seksu.

Ręka Paige ani drgnęła. Gdyby przesunęła ją pięć centymetrów wyżej, wyczułaby intensywność jego reakcji.

241

Nie musiała jej przesuwac. I tak wiedziała.

— Jesteś bardzo zmysłowym mężczyzną, Gino — szepnęła, upewniwszy się, że usłyszy ją tylko on.

— A ty całkiem niezłą dziewczyną — odrzekł, ciesząc się, że gra z nią w tę grę.

— Nie sądzisz — spytała cichutko — że najwyższa pora coś w tej sprawie zrobić?

Nie zdradzał Susan. Dochowował wierności.

Chromolić wierność. Był bardziej napalony niż kiedykolwiek dotąd.

Zresztą szczerze powiedziawszy, Susan nie należała do najlepszych kochanek. Miała w sobie za dużo z damy. Była fantastyczną żoną, jeśli lubiło się gustowne przyjęcia, szydełkowanie i weekendy w Palm Springs, gdzie ganiał z kijem za piłeczką golfową.

Ręka Paige, zasłonięta długim obrusem i niewidoczna dla siedzących przy stole gości, zaczęła masować jego wzwie-dziony członek. Niewiele brakowało i Gino by głośno jęknął.

— O tak... — wychrypiał zachęcająco.

— Zadzwoń do mnie do biura — odrzekła, ścisnąwszy go ostatni raz. —
Niedługo. Bardzo niedługo.

41

Czego jak czego, ale tego nie oczekiwał. Zdjęcie na okładce czasopisma
„People”. Jezu!

Wszyscy byli pod wrażeniem. Wszyscy oprócz Alice. Naturalnie.

Zadzwoiła wściekła jak diabli.

— Prawie nic o mnie nie piszą! — wrzasnęła. — Nie zamieścili mojego
zdjęcia. Próbujesz zniszczyć moją szansę na zrobienie kariery? Nawet
marną szansę?!

Nie wierzył własnym uszom.

— Daj spokój — zaczął. — Co ty...

— Nie. To ty daj spokój! — krzyknęła. — Napisałam do nich list,
zażądałam przeprosin. Chcę, żeby napisali o mnie artykuł.

Alice nie można było zadowolić. Zamiast być dumną z sukcesu syna,
najwyraźniej mu zazdrościła. Zazdrościła mu własna matka! Co za absurd.

242

Bliźniaczki postanowiły wydać z tej okazji przyjęcie. Obie kwitły.

Występowały w nader lukratywnych reklamach pasty do zębów, dzięki
czemu zaczęto je wreszcie dostrzegać. Suną chodziła z chirurgiem
plastycznym, który pozwolił zorganizować przyjęcie w swoim domu w
Coldwater Canyon, gdzie był basen jacuzzi i kort do tenisa.

Zaproszono stu gości. Przyszło dwustu.

Chirurg serwował meksykańskie jedzenie. Ochryple ryczała kapela
rockowa (wszystko dzięki Shirlee, która chodziła z perkusistą). Zabawa
była dzika i rozpustna.

O czwartej rano zalany i zaćpany Lennie ocknął się nago w jacuzzi z trzema kociakami i zapasem prochów usłużnie dostarczanych przez tych, którzy mu dobrze życzyli. Palił skręta, dwie dziewczyny niuchały kokę, a trzecia omal się nie utopiła, próbując zrobić mu loda.

Tak wyglądało życie wielkiego gwiazdora? Na tym polegała rozkosz posiadania wszystkiego, czego dusza zapragnie? Darmowe prochy i stado cipek. Nie, musiało być w tym coś jeszcze.

Cieszył się, że Jess wyszła. Znał jej opinię na temat imprez, które „wymknęły się spod kontroli”.

— Cokolwiek zrobisz — powiedziała mu na początku przyjęcia — nie bądź żalonym dupkiem.

Dobrze wiedział, co miała na myśli. Ale czy nie mógł być żalonym dupkiem chociaż przez jedną noc? Ile razy w życiu dane jest człowiekowi leżeć nago w jacuzzi z trzema napalonymi dziewczynami i kilogramem darmowych narkotyków?

Jedna z dziewcząt miała niesamowite piersi. Usiadła na nim okrakiem, przycisnęła go do podwodnej dyszy i zakołysała nimi przed jego nosem. Chwycił ustami sutkę i zaczął ją ssać.

Do akcji włączyła się druga kocica, obdarzona nie mniej niż ta, która na nim siedziała. Wepchnęła mu do ust koniuszek prawej piersi, tak więc...
... ssał teraz obie, podczas gdy kocica numer trzy, ta, która lubiła robić to pod wodą, usilnie pracowała ustami i językiem.

Poczuł, że startuje.

243

Czuł, jak szybuje w przestworza.

Jak dociera na szczyt szczytów.

Jak na nim pulsuje, by wkrótce potem...

Wylądować.

O Chryssste!

Nie ma to jak być gwiazdorem.

Chciał wracać do domu. Rozepchnął przygniatające go dziewczyny i wygramolił się z basenu. Wokoło poniewierali się ludzie w różnych stadiach roznegliżowania. Szedł prze-stępując ich ciała, znalazł swoje ciuchy i ubrał się.

Samochód stał na podjeździe. Za wycieraczką tkwiła karteczka od Jess. „Jedź ostrożnie, dupku”.

Jechał ostrożnie. Całą drogę do jej mieszkania ledwie przecnicę od miejsca, gdzie wynajmował kawalerkę.

Wpuściła go bez gderania, napiła czarną kawą, po czym usiedli i gadali aż do wschodu słońca. Wyrzucił z siebie wszystko. Mówił o swoim sukcesie, o dręczącym go przeczuciu, że jest to sukces krótkotrwały, że nie powinien się tak cieszyć, że szybko o nim zapomną.

— Nie zapomną — zapewniała Jess. — To dopiero początek.

— Chciałbym ci wierzyć...

Objęli się. Mocno. Zaczął mówić o Eden, ale zmienił zdanie.

Zrobiła mu jajka na boczku i ułożyła go do snu w swoim łóżku. Na szczęście była niedziela. Nie musiała pracować. Nie musiała chodzić w kieracie.

Przeszła do drugiego pokoju i zadzwoniła do Matta. Utrzymywali z sobą kontakt. Kiedy Gino Santangelo się ożenił i wyjechał z Las Vegas, mianował Matta głównym nadzorcą „Magiriano”. Jediną osobą, przed którą odpowiadał, był sam Gino.

Cieszył się, ilekroć dzwoniła. Jego radość była tym większa, że za kilka dni Jess miała przyjechać do Vegas z Len-niem. Tylko na tydzień, ale lepsze to niż nic.

Pół roku wcześniej, zanim Lennie stał się wziętym aktorem i komikiem, podpisał z nim kontrakt na występ w największej sali „Magiriano” przed recitalem Vitosy Felicidade. Co za mistrzowskie posunięcie! Kiedy podpisywali

244

umowę, ani jeden, ani drugi nie był sławnym gwiazdorem. A dzisiaj? Było niewielu sławniejszych.

— Może chcesz odstąpić od kontraktu? — Żartowali tak od dwóch miesięcy.

— Jesteś urocza.

— Dziękuję.

— Co mogę dzisiaj dla ciebie zrobić?

— Chciałam sprawdzić szczegóły.

— Sprawdziałaś je sto razy.

— Jestem bardzo dokładna.

Lubiła te rozmowy. To zabawne, ale na swój sposób chyba za nim tęskniła. Zastanawiała się, czy nadal obwiesza się złotymi łańcuchami, czy nadal tapiruje włosy i uderza do wszystkich dziewczyn w mieście. Myślała, że zechce odwiedzić ją w Los Angeles, ale jak dotąd jej nie odwiedził.

— Jestem zbyt zajęty — wyjaśnił, gdy go o to spytała. Wiedziała, co to znaczy. Dbanie o karierę Lenniego nie dawało jej chwili wytchnienia. Nie miała czasu na nic innego. Nawet na życie osobiste. W ciągu minionych dwóch lat pozwoliła sobie tylko na

jeden romans. Z niegdysiejszym aktorem o spektakularnej klatce piersiowej, zdumiewających udach, twardych jak skała przydatkach i umyśle zapóź-nionego w rozwoju nastolatka. Fantastyczny seks i nic więcej — zdołała z nim wytrzymać dokładnie sześć tygodni. Kiedy się rozstali, zasugerował, żeby została jego menadżer-ką. Jego menadżerką! Już samo sypianie z nim było wystarczająco ciężką próbą!

Po rozmowie z Mattem nałożyła szorty i podkoszulek, sprawdziła, czy Lennie śpi, po czym wyskoczyła do Carl's Market po jedzenie i gazety. Lennie bardzo ją martwił. Wciąż prześladowała go Eden Antonio. Nie dojdzie do siebie, dopóki raz na zawsze z nią nie skończy. Tylko że jak miał z nią skończyć, skoro nawet się z nią nie widywał?

Nachmurzyła czoło. Nie знаła Eden, ale słyszała o niej wystarczająco dużo, by wiedzieć, że to zepsuta i piekielnie ambitna dziwka żyjąca z jakimś bogatym mafioso. Gdyby Lennie spędził w jej towarzystwie kilka dni, chyba przekonałby się, jaka jest naprawdę.

.■»

245

Pobożne życzenia. Lennie był nią zauroczony. I tylko on mógł z siebie ten urok zdjąć.

Eden patrzyła na okładkę „People”, mocno zagryzając dolną wargę. A to sukinsyn! Naprawdę mu się udało. Kto by pomyślał, że Lennie Golden trafi na okładkę „People”. Bo ona na pewno nie. Zawsze uważała, że Lennie ma ograniczony talent. Tak, naturalnie, w łóżku był znakomity. Ale talentu łóżkowego nie nagradzano zdjęciem na okładce popularnego czasopisma.

Zmrużyła oczy i znowu spojrzała na zdjęcie. Lennie się uśmiechał. Do

niej? Jakby chciał powiedzieć: „Posłuchaj, maleńka. Mówiłem, że mi się uda. A ty? Co ty, do diabła, robisz?”

Fakt. Co, do diabła, robiła? Niewiele. Naprawdę niewiele.

Santino Bonnatti kupił jej dom na Blue Jay Way i mieszkała w nim jak prawdziwa więźniarka. Trzymał ją pod kluczem, przydzielił jej szofera i ochroniarza w jednej osobie, który miał się nią opiekować. Zainstalował głupka w domu, jakby robił jej przysługę.

— To jest Zeko — powiedział. — Twój szofer i opiekun. Zeko zadba o twoje wszystkie potrzeby. Dobra, króliczku?

I niby co miała odpowiedzieć? Nie? Mogła albo spełniać zachcianki Santina, albo szybko z nim zerwać. Na to ostatnie była za sprytna, ponieważ jeszcze nie nadeszła odpowiednia chwila. Santino dzierżył klucz do jej przyszłości i choć się ociągał, wiedziała, że w końcu go użyje.

Oto nareszcie zaproponowano jej porządny scenariusz, interesującego reżysera i uznanego producenta, Rydera Wheelera. Film nosił tytuł „Byłam prostytutką” i miała zagrać w nim główną rolę. Santino został szefem produkcji, ponieważ wykładał większość pieniędzy.

Eden była podekscytowana. Przeszła długą, bardzo długą drogę.

Zeko wszedł bez pukania i spojrzał na nią. Jedno oko prawdziwe, drugie szklane — miał spojrzenie szaleńca. Mierzył sto dziewięćdziesiąt centymetrów i był łysy jak pupka niemowlęcia. Dawła głowę, że szpieguje ją w kąpieli. Ile-

246

kroć szła do pięknej, wykładanej marmurem łazienki z grubą, szklaną ścianą, za którą rosła gęsta zieleń, przeciskał się przez kolczaste kaktusy, żeby ją podglądać. Przewrotnie nie założyła tam rolet. Niechaj sobie

patrzy, skoro go to podnieca. Czasami rozsuwała nogi i pieściła złocistą cipkę, żeby dać mu prawdziwe przedstawienie.

— Tak? — spytał wyniośle.

— Jadę po pana Bonnattiego — oznajmił.

— Jedź — odrzekła zbywające

Minęło południe, a ona była jeszcze nie ubrana. Miała na sobie jedwabną piżamę i poranne pantofle na wysokim obcasie. Santino zawsze odwiedzał ją po niedzielnym lunchu z rodziną i był wtedy wyjątkowo napalony.

Trochę to perwersyjne, ale przywykła do jego specyficznych zalotów. Był całkowitym przeciwieństwem mężczyzn, jakich dotąd miała. Uważał, że może zdobyć wszystko, co tylko zechce, i tego rodzaju postawą rekompensował braki atrybutów fizycznych. Owszem, w łóżku bywał trochę dziwny, kilka razy go poniosło i zadał jej ból. Lecz czuła, że to ona dyktuje warunki, nie on. Santino ją uwielbiał i tak być powinno. Gdzie mężczyzna jego pokroju znalazłby kobietę taką jak ona?

Odkryła, z czego się utrzymuje, i okazało się, że wcale nie z importu kawy i oliwy. Santino Bonnatti handlował pornografią i narkotykami. Zadrzała, jeszcze raz spojrzała na zdjęcie Lenniego, odłożyła czasopismo i poszła do łazienki, żeby wziąć prysznic i się ubrać. Santino lubił, kiedy była sterylnie czysta; twierdził, że jego żona kąpie się tylko raz w tygodniu.

Wziąwszy prysznic, przejrzała zawartość szafy. Tyle ubrań i tak mało okazji, żeby się w nich pokazać. Santino wychodził z nią bardzo rzadko, chociaż wspomniał, że niewykluczone, iż pójdą na kolację do „Chasens” z Ryderem Wheelerem i tym nowym reżyserem. Niecierpliwie tej chwili wyglądała, wiedziała już nawet, w co się ubierze. W olśniewającą czerwoną suknię od Halstona i nałoży naszyjnik z rubinów, który kupił jej

na urodziny. Tak, potrafił być hojny. Przecież musiała istnieć jakaś rekompensata za to, że godziła się na życie z mężczyzną takim jak Santino Bonnatti.

247

42

Zadzwoił Vitos. W samą porę.

— Zabawmy się — zaproponowała Olympia.

— Jak my się zabawić ostatnim razem, ty hyc z Flashem i Vitos zostać sam. To nieładnie.

— Zostawiłam cię? Niemożliwe. Nie chciałam.

— Teraz Vitos wielki gwiazdor i ty go znowu chcesz. Dlaczego Vitos ma wrócić?

— Dlatego, że nikt nie obciągnie ci tak jak ja.

— Oliiimpia!

Przyjechał po nią białą limuzyną i ruszyli w miasto. Choć raz Olympia nie próbowała unikać czyhających papa-razzi. Wprost przeciwnie, pozowała do zdjęć, obejmując za szyję Vitosa.

Reagował milutko, jak trzeba. Stawką gry była jego popularność. A z kim grałoby mu się lepiej niż z jedną z najbogatszych kobiet świata?

Nie uważał jej za kobietę dojrzałą. Była dziecinna niczym pobudliwy szczeniaczek. I o wiele pulchniejsza niż ostatnim razem. W łóżku mu to nie przeszkadzało. Zawsze lubił kobiety przy kości. Olympia zaś była niczym tłuściutki pulpecik z ziemniaczkami i warzywami, niczym pyszna leguminka.

Lubił się z nią kochać. Zatapiał zęby w zwałach słodko pachnącego ciała.

Wcisnął głowę między duszące uda. Poznawał cuda jej olbrzymich piersi.

Lubiła mieć kilka orgazmów. Niełatwo było ją zadowolić i po dwóch godzinach miłosnych zmagani wyczerpani, spływali potem.

— Pobierzmy się — zaproponowała Olympia, spulchniając poduszkę za plecami i siadając na łóżku.

Vitos uśmiechnął się. Miał fantastyczne zęby. I uśmiech idola przedpołudniowych seansów filmowych. Szkoda, że włosy mu rzedyły.

— To znaczy?

Spojrzała na niego z ukosa. Był przystojny, ale głupi. Flash ze swoimi nałogami był dziesięć razy bardziej męski.

— Pobierzmy się — powtórzyła. — Po—bierz—my się. Ja wyjdę za ciebie, a ty się ze mną ożenisz. Kapujesz?

248

Wszystko sobie przemyślała. Wyjdzie za Vitosa. Wkurzy tym Flasha. Parszywy sukinsyn. Dobrze mu tak. Kiedy dostanie nauczkę, ona się rozwiedzie. Co z tego, że kosztem paru milionów dla Vitosa? To i tak tanio.

— Ty lubisz ten pomysł? — spytał gładząc jej udo i zastanawiając się, jak ślub z Olympia Stanislopoulos wpłynąłby na wzrost jego popularności.

— Uważam, że tworzymy piękną parę. A ty?

— Może...

— Czy to znaczy tak?

— Jutro jadę do Vegas. Tydzień w hotel „Magiriano”. Ty jechać z Vitosem. My porozmawiamy.

— To ci dopiero odpowiedź — warknęła. — Wyobraź sobie, że nie codziennie się oświadczam.

— Oliiimpiaaaa — łagodził. — Vitos teraz wielki gwiazdor. Amerykańskie

kobiety one mnie uwielbiają. My poczekamy, a potem tak. Co ty na to? Chciała coś powiedzieć, ale ugryzła się w język i ze zrozumieniem kiwnęła głową.

— Jasne, Vitos, pojedę z tobą. Zaczekam. Zobaczymy, co się będzie działo. Dobrze?

Uśmiechnął się uszczęśliwiony.

— Dobrze. Dobrze, moje kochanie.

43

Od dwóch dni siedzieli w sali rozpraw sędziego Frederi-cka Lestera. Drugiego dnia podczas przerwy na lunch Car-rie spojrzała na syna i oświadczyła:

— To nie on. Jestem tego pewna. Rozczarowanie go przybiło. Miał nadzieję, że to właśnie sędzia Frederick Lester okaże się jego ojcem.

— Skąd ta pewność? — szepnął rozsierzdzony. — Od tamtej pory minęło ponad czterdzieści lat.

— Stąd, że obserwuję go od dwóch dni. — Była bliska płaczu, ale powstrzymywała łzy, nie chcąc, żeby Steven dostrzegł jej rozpacz.

Wyszli z sądu i przystanęli na schodach.

249

Carrie patrzyła prosto przed siebie, zastanawiając się, jakie rezultaty przyniesie poszukiwanie przeszłości syna. Nie chciała pamiętać, lecz zapomnieć nie mogła...

Były dwudzieste pierwsze urodziny jej przyjaciółki Goldie. Umówiła się ze swoim chłopakiem Melem, a Mel miał przyprowadzić kumpla, Freddy'ego Lestera. Było po występie. Dziewczyna, która zgodziła się

towarzyszyć Lesterowi, skręciła kostkę i kuśtykała, skręcając się z bólu. Goldie spojrzała błagalnie na Carrie.

— Proszę! — jęknęła.

Nie sposób było jej odmówić. Ostatecznie Goldie miała urodziny. Poza tym Carrie musiała nauczyć się sobie ufać; nie mogła żyć jak wieczna pustelnica. Dziewięć lat w domu dla umysłowo chorych wystarczyło.

— Dobra — odrzekła niechętnie.

Kiedy wyszły z teatru, Mel i Freddy — niezły przystojniacha, o czym dobrze wiedział — czekali przed drzwiami dla aktorów. Zgotowali im entuzjastyczne powitanie.

— Jak się macie, chłopaki — rzuciła Goldie swoją najlepszą imitacją głosu Mae West.

— Wszystkiego najlepszego, cudna — odrzekł Mel, obejmując ją „na niedźwiedzia” i mocno całując w usta.

Carrie i Freddy nieufnie mierzyli się wzrokiem.

— Uważaj, niezdaro! — wykrzyknęła Goldie, odpychając kochanka. — Rozmażesz mi pomadkę. — Uśmiechnęła się do Freddy'ego. — Cześć. Gdybyś nie wiedział, to jestem Goldie. A to jest Carrie, twoja wymarzona dziewczyna na dzisiejszy wieczór. Masz kupę szczęścia!

Wyraz twarzy Freddy'ego zupełnie na to nie wskazywał. Sztywno skinął Carrie głową i całą czwórką ruszyli do samochodu Mela zaparkowanego w głębi uliczki. Kiedy Mel otworzył drzwi, Goldie usiadła z przodu, a Carrie z tyłu. Chłopcy chwilę zwlekali i Carrie podsłuchiwała ich rozmowę.

— Co jest? — spytał Mel.

— Chryste, człowieku! — syknął Freddy, sądząc, że mówi szeptem. — Przecież to pieprzona czarnucha!

— I co z tego? — odrzekł trzeźwo Mel. — Nigdy nie słyszałeś o czekoladowym budyniu?

— Tak, ale nigdy nie jadam tego publicznie. Mel parsknął śmiechem.

— Daj spokój, stary. Wskakuj, ruszamy w tango. — Wsiedli do samochodu.

Siedząca z tyłu Carrie patrzyła żałośnie w okno. W jej uszach wciąż dźwięczały nienawistne słowa: „Pieprzona czarnucha”. Celowo nie odwracała głowy, żeby nikt nie zauważył, jak bardzo jest nieszczęśliwa. Zaczęli od małego klubu jazzowego na Pięćdziesiątej Drugiej. Grała niezła kapela, lał się szampan. Goldie była w znakomitym nastroju, ale kiedy Carrie oświadczyła, że woli sok owocowy, nie wytrzymała i wypaliła: — Posłuchaj, kochana. To moje urodziny i chcę się zabawić. Jeśli będziesz siedziała z ponurą gębą, wszystko zepsujesz. Więc łyknij trochę szampana i uśmiechnij się, na miłość boską!

Carrie posłuchała. Zapomniała już, jak smakuje mocny szampan, choć swego czasu Białas, jej były alfons, kupował go skrzynkami, ilekroć dostawał zastrzyk gotówki.

Jeden kieliszek rozmnożył się do dwóch, potem do trzech, a później zmienili lokal i zamówili pianisty koktajl — rum, sok cytrynowy, sok limonowy i cukier — tak pyszny, że wypła co najmniej cztery szklaneczki. Ostatecznie były tak małe, że chyba nie mogły jej zaszkodzić?

Gdy dotarli do nocnego klubu „Clemmies”, po smutkach nie było już śladu. Carrie i Freddy śmiali się, chichotali i tańczyli jak najlepsi przyjaciele. A kiedy muskał dłońmi jej piersi — nieważne, czy robił

celowo czy przypadkiem — nie protestowała. Czuła się wolna, czuła, że żyje. Tak, po raz pierwszy od wielu lat mogła uczciwie powiedzieć, że naprawdę żyje.

— Jesteś wspaniała, wiesz? — wybełkotał Freddy.

W odpowiedzi zarzuciła mu ręce na szyję i spojrzała mu w oczy. Pieprzona czarnucha — zdążyła już o tym zapomnieć.

— Dziękuję — wymruczała szczerze. Już dawno nikt jej tego nie mówił.

251

— Nie, naprawdę — upierał się Freddy, jakby oczekiwał, że Carrie nie potraktuje tych słów poważnie.

— Hej! — Goldie trąciła ją w ramię. — Widzisz tego faceta? To Gino Santangelo, właściciel knajpy. Raz z nim gadałam. Bardzo zły z niego chłoptaş.

Carrie otaksowała go spojrzeniem.

— Swego czasu zadawałam się z wieloma złymi chłop-tasiami — odrzekła chełpliwie.

— Carrie! — Goldie zachichotała. — Nigdy cię taką nie widziałam!

— Co ty tam wiesz. Goldie szturchnęła Mela.

— Ona jest tęgo nawalona. Mel uśmiechnął się.

— Carrie, chciałabyś zarobić pięć dych?

— Niby jak, chłoptasiu?

— Stawiam pięćdziesiąt doków, że nie zarwiesz naszego wielkiego pana Santangelo.

— Taa? — Oczy jej rozbłysły. — Właśnie przegrałeś zakład.

Zanim zdążyli ją powstrzymać, wstała i ruszyła chwiejnie przez zatłoczoną salę.

Zdumiona Goldie zasłoniła ręką usta.

— O mój Boże, Mel! Co ty narobiłeś? Ona nie jest sobą! Mel zaśmiał się nieprzyjemnym śmiechem.

— Spokojnie, lalka. Carrie nie zrobi nic, czego nie robiłaby przedtem setki razy.

Freddy pijacko wykrzywił twarz.

— Wielkie dzięki, stary — mruknął.

Gino siedział przy swoim stoliku. Niczym kogut pilnujący kurnika. Co i raz podchodzili do niego klienci, żeby złożyć mu hołd.

Ubrany w ciemny trzyczęściowy garnitur, białą jedwabną koszulę i gustowny krawat, miał czarne, przygładzone włosy, a na jego małym palcu lśnił kosztowny sygnet z wielkim brylantem. Lekko złowieszczego wyglądu nadawała mu tylko blizna na twarzy. Blizna i srogie, czarne oczy, które jedna z kobiet porównała ostatnio do oczu Rudolpha Valentino.

Sącząc whisky, obserwował idącą ku niemu dziewczynę.

252

Była ciemnoskóra. Nader egzotyczna. Biustem mogła powstrzymać uliczny ruch.

Stała przed nim i posłała mu uśmiech.

— Pan Santangelo?

— Tak.

— Słyszałam, że jest pan właścicielem tego klubu. Pomyślałam sobie, że podejść, by powiedzieć panu, że to naprawdę szikowny lokal.

Uśmiechnął się. Lubił odważne kobiety. Czasami.

— Proszę usiąść i napić się czegoś.

Carrie usiadła. Czuła się cudownie. Była wystarczająco wlana, by

uwierzyć, że gdyby tylko zechciała, mogłaby podbić cały świat.

— Szampana? — spytał.

— Naturalnie.

Strzelił palcami i jak spod ziemi wyrósł przed nim kelner.

— Butelkę najprzedniejszego szampana.

Gino przyglądał się Murzynce. Rzadka piękność. Jeden kieliszek i zabierze ją do siebie.

Jeden kieliszek i ona z nim pójdzie.

Wylądowali w jego apartamencie, gdzie się z sobą przespali. Było całkiem niezłe. Kiedy skończyli, chciał, żeby sobie poszła. Wstał z łóżka.

— Hej, hej, hej — powiedział. — Głowę daję, że w szkole się tego nie nauczyłaś.

Szampan wciąż szumiał jej w głowie. Czowała w sobie moc, czowała, że panuje nad sytuacją, czowała się tak wspaniale. Gino Santangelo jej nie wykorzystał.

Ona nie wykorzystała jego. Było to obopólnie przyjemne doświadczenie.

Przeciągnęła się leniwie. Ciało miała jak nowo narodzone, jakby ktoś uwolnił je od całego napięcia.

— Na dole czeka mój samochód — powiedział Gino bez mrugnięcia okiem. — Kierowca zawiezie cię, dokąd zechcesz. Aha, tu masz mały prezent. Kup sobie coś ładnego.

Wręczył jej sto dolarów. Kobietom, z którymi sypiał, zawsze dawał pieniądze. Ot, taki nawyk, jak dotąd żadna nie zaprotestowała.

— Ty skurwysynu! — wrzasnęła Carrie, zrywając się z łóżka. — Myślisz, że jestem dziwką?!

253

— Ależ skąd, ja tylko...

— Jak śmiesz! Jak śmiesz! — Walczyła z ubraniem niczym dzika kocica, wrzeszcząc i łypiąc na niego spode łba.

— Posłuchaj, gdybym wziął cię za dziwkę, dałbym ci obowiązującą stawkę. Te pieniądze to prezent.

— Pieprz się, sukinsynu! Gdybym była dziwką, kosztowałabym cię znacznie więcej. — / cisnąwszy mu banknotem w twarz, wypadła jak burza z pokoju.

Nie zważając na jego samochód i kierowcę, ruszyła pieszo Piątą Aleją. Im szybciej szła, tym szybciej trzeźwiała. Znowu prześladowały ją te słowa: „pieprzona czarnucha”. I kipiała coraz większą wściekłością.

Co sobie wyobrażała, podchodząc do jego stolika? Któż inny jak nie zwykła dziwka usiadłaby przy stoliku mężczyzny, żeby pół godziny później pójść z nim do wyra?

Pieprzona czarnucha. Kurwa. Słowa kołatały jej w głowie. Tak bardzo chciała sporządnąć — wystarczył jeden wieczór i wróciła tam, gdzie zaczynała.

Przeszła siedem przecznic, zanim złapała taksówkę. Taksiarz obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem i oznajmił:

— Do Harlemu nie jadę, skarbie.

— Ani ja, skarbie.

To mu się nie spodobało. Całą drogę do Village lodowato milczał.

Zapłaciła mu, weszła na drugie piętro do przestronnego mieszkania, które dzieliła z Goldie, i skonsternowana stwierdziła, że jest tam Freddy Lester. Spał w łóżku. W jej łóżku. Nie wierzyła własnym oczom.

Rozsierdzona potrzęsnęła go za ramię i obudziła.

— Precz stąd! — szepnęła.

— Daj spokój, maleńka — wymamrotał. Miał mętne oczy, był wciąż pijany, nie zamierzał wstawać i wracać do domu.

— Wyniesiesz się z mojego łóżka czy nie? — syknęła.

— Połóż się koło mnie, czekałem całą noc... — wybełkotał.

— Obyś szczeł! Chwycił ją za rękę.

— Chodź, cukiereczku, bądź dobrą kumpelką.

— Puszczaj.

254

Był zaskakująco silny. Bez trudu pociągnął ją na siebie. Carrie szalała z wściekłości.

— Zacznę krzyczeć, jeśli nie przestaniesz!

— Nie rób tego, miodku. — Zatkał jej usta ciężką łapą, którą zdławił krzyk, przyciskając ją zarazem do pościeli. Wolną ręką podwinął spódnicę i zerwał majtki.

Carrie zwiotczała. Nagle uszła z niej cała siła.

Wziął to za znak przyzwolenia, jakimś cudem zdołał wyjąć penisa i zaczął go w nią wtykać.

Wydawała z siebie ciche, gardłowe odgłosy. Ciężka dłoń dławiała udręczony szloch. Siłą woli powstrzymała się od myślenia, a kiedy zabrał rękę, nie zaczęła krzyczeć. Odczekała, aż skończy, i spokojnie zażądała:

— Trzydzieści dolców. Równo trzydzieści zielonych.

— Co? — wybełkotał.

— Kurwie musisz zapłacić — odrzekła zimna i niewzruszona. — Zwłaszcza kiedy kurwa jest czarnuchą.

— Ale... ■

— Płać albo oskarżę cię o gwałt. Zapłacił.

Półtora miesiąca później otępieła zaszokowana stwierdziła, że jest w ciąży. Prawdziwa bomba, bo zawsze myślała, że nie może mieć dzieci.

— Nie, po prostu jesteś bezpłodna — często zapewniał ją Białas.

A teraz była w ciąży i nie miała zielonego pojęcia, który z nich jest ojcem. Gino Santangelo. Albo Freddy Lester. Jeden albo drugi. Nie wiedziała ani co robić, ani do kogo się zwrócić.

— Cóż — rzekł spięty Steven. — W takim razie kolej na wydawcę. Umówię się z nim na spotkanie. Powiesz, że chciałabyś napisać książkę o swoim życiu.

Otępieła Carrie kiwnęła głową. Dlaczego Steven tak ją zadreślał? Była dobrą matką. Nigdy nie musiał cierpieć z powodu jej niegdysiejszego życia. Nawet w czasach, kiedy prowadziła burdel i sprzedawała narkotyki dla słynnego Enzia Bonnattiego, zawsze uważała, żeby nie wciągać do tego syna.

255

— Kiedy? — spytała apatycznie.

— Zorganizuję to jak najszybciej.

Znowu kiwnęła głową, przez ułamek sekundy nienawidząc swego przystojnego, nieczulego syna. Cóż wiedział o cierpieniu? Co go to obchodziło?

44

Rozmawiali przez telefon. Lucky i Costa.

— Wujek Costa?

— Tak.

— Wyszłam za męża.

— Co takiego?

— Ponownie wyszłam za mąż. Za bardzo miłego człowieka. Na pewno ci się spodoba.

— Mam jakiś wybór?

— Zaufaj mi.

— Lucky, przecież zawsze ci ufałem. Ojciec już wie?

— Eee... jeszcze nie. Ale mu powiem.

— Kiedy?

— Wkrótce.

Pełne dezaprobaty chrząknięcie.

— Kim jest ten chłopak? Nerwowy śmiech.

— Cóż, eee... To niezupełnie chłopak.

Costa przesunął telefon i w słuchawce zatrzeszczało.

— Kto to jest? Szybko zmieniła temat.

— Mam dla ciebie niespodziankę.

— Jedna nie wystarczy?

— Zostałeś dziadkiem.

— Wielkie dzięki. Wiem, że jestem stary, nie musisz mi tego przypominać.

— Nie, nie, zostałeś stryjecznym dziadkiem.

— Chyba nie rozumiem...

— Rozumiesz, rozumiesz. Mam dziecko.

— Czyje dziecko?

256

— Moje.

Nie potrafił ukryć zaszokowania. Costa zawsze był staromodny.

— Twoje? Co to znaczy?

— To znaczy — tłumaczyła cierpliwie — że półtora roku temu urodziłam fantastycznego chłopczyka imieniem Roberto, a dwa dni temu poślubiłam jego ojca.

Cisza.

Długa cisza. A potem:

— Czy Gino już wie?

— Jeszcze nie. Przeciągłe westchnienie.

— Jeszcze nie.

— Przestań za mną powtarzać. Nienawidzę tego.

— To co powinienem powiedzieć?

— Powinieneś złożyć mi gratulacje. Powinieneś powiedzieć, że to cudownie, że chcesz jak najszybciej przylecieć, żeby zobaczyć mnie i mojego synka. Bo my nie możemy się ciebie doczekać.

— Urodziłaś go półtora roku temu i nie możesz się doczekać, kiedy przyjadę was odwiedzić. Ha!

— Nie bądź zły — prosiła. — Wiesz, że cię kocham.

— I jak cudownie to okazujesz! Mnie to ubodło. Jak, twoim zdaniem, przyjmie to Gino?

— Będzie mu wszystko jedno. On ma swoje życie i swoją superkobietę. A superkobieta się wścieknie, słysząc, że został dziadkiem. Włosy jej się wyprostują i nie dadzą się nakręcić co najmniej tydzień!

— Lucky. Myślę, że lepiej go odwiedź. Nie polecałbym rozmowy telefonicznej.

— Nie jestem dzieckiem — odparowała zawzięcie. — Nie muszę prosić go o pozwolenie.

— Kto tu mówi o pozwoleniu? — odrzekł łagodnie Costa. — Możesz

robić, co tylko zechcesz, ale byłby to miły gest, nie uważasz? To jego pierwszy i jedyny wnuk... Gino nie jest już taki młody... Serce ma w nie najlepszym stanie...

— Coś się stało? — przerwała mu, ogarnięta nagłym niepokojem.

257

— Nie, nie, nic się nie stało. Ale rozmawiałem z nim kilka tygodni temu i sądząc po głosie, był zrezygnowany i znudzony. Powiedział, że za tobą tęskni.

— Naprawdę?

— Nigdy nie przeinaczam faktów.

Lucky zamyśliła się. Może by tak rzeczywiście odwiedzić Giną w Kalifornii? Zabrałaby z sobą Roberta. Och, nie mogła się już doczekać, kiedy zobaczy wyraz jego twarzy. Tak, pokazałaby ojcu wspaniałe dziecko. Jej dziecko. Jej osiągnięcie. I powiedziałałaby mu o hotelu z kasynem, który zamierzała zbudować w Atlantic City. Nareszcie. Bez jego pomocy.

— Pojadę — zdecydowała pod wpływem nagłego impulsu. — Costa, pojedziesz ze mną? Bardzo bym tego chciała.

Zawahał się.

— Nie wiem, czy to dobry pomysł. Będziesz ty, twoje dziecko, twój mąż...

— Nie, on nie przyjedzie. Jest w podróży służbowej i wraca dopiero w przyszłym tygodniu.

— O ile mnie pamięć nie myli, pobraliście się ledwie dwa dni temu.

— I co z tego? To wcale nie znaczy, że jesteśmy zrośnięci jak syjamskie bliźniaki. Prowadzimy niezależne życie...

Costa westchnął.

— Ech, młodzi, młodzi...

— Widzisz... on nie jest taki młody.

— Jak to?

— Powiem ci, kiedy się zobaczymy.

Paige Wheeler głośno krzyknęła. Krzyczała kilka razy. Owszem, Gino Santangelo miał swoje lata. Za to ciągle był jak dynamit.

Z Susan nigdy nie krzyczała. Ani z Ryderem. No, ale Rydera seks zupełnie nie interesował, podniecały go tylko interesy. Między innymi dlatego miała tylu kochanków.

Leżeli z Ginem w wielkim łóżu w hotelu „Beverly Wil-shire”. Dwa dni wcześniej Paige zarezerwowała apartament

258

na nazwisko jednego z klientów. „Beverly Wilshire” to idealne miejsce na randkę. Jest luksusowy. Zlokalizowany w centrum miasta. A gdyby ktoś zauważył ją w foyer, cóż, powiedziałyby, że właśnie idzie do Tiffany'ego (to tuż obok) albo na lunch w bardzo modnej restauracji „El Padrino”, albo że wraca z księgarni Brentanos. Tiffany, „El Padrino”, Brentanos — potrójne alibi, alibi idealne.

— Hmm... — Paige usiadła i nachyliła się po papierosy. — Teraz już wiem, dlaczego Susan narzeka.

— Niby na co? — Gino wyciągnął ręką ponad jej pełnymi piersiami, wziął zapalki i podał jej ogień.

Paige zaciągnęła się głęboko.

— Na twój... entuzjizm, wigor i wytrzymałość.

— Chcesz powiedzieć, że gadacie o seksie?

— A o czym innym można gadać?

— I ona narzeka?!

— Bo jest głupia.

— Jezu!

— Nigdy nie umiała sobie dogodzić. Biedny Tiny musiał cały czas szukać pociechy gdzie indziej.

Gino doznał olśnienia. Od chwili ślubu Susan wykazywała coraz mniejszą ochotę na łóżkowe igraszki. Im bardziej go odpychała, tym bardziej starał się ją zadowolić. Chryste! Myślał, że to z nim jest coś nie tak. Że wiek dopadł go w końcu ze spuszczonej spodniami, że już nie mógł. Cały czas stawał na głowie, a tu masz: najlepsza przyjaciółka żony spokojnie informuje go, że Susan nie lubi seksu. Musiała być niezłą aktorką. Jezus Maria!

— Czy to dla ciebie novum, Gino?

— Czy to dla mnie co?

— Nic o tym nie wiedziałeś?

Czuł się jak ostatni idiota, a rzadko kiedy tak się czuł.

— Chyba wiedziałem — odparł wymijająco — w przeciwnym razie by mnie tu nie było.

Musiał przyznać, że po dwóch latach życia z Susan przygoda z kobietą taką jak Paige przyniosła mu prawdziwą ulgę. Paige wyzbywała się wszelkich oporów wraz z ubraniem. Nie należała do superpiękności, ale była kobietą niezwykle zmysłową.

259

— Może nie powinnam była nic mówić — szepnęła łagodnie.

— Co by cię powstrzymało? Czołg?

Wysunęła nogę spod prześcieradła i przesunęła palcami po jego piersi.

— Jesteś bardzo lubieżnym mężczyzną — wymruczała matowym głosem.

— A ja bardzo lubieżną kobietą. Czy musimy tracić czas na rozmowy o Susan?

Podniósł jej stopę do ust i zaczął ssać palce.

— Kto tu rozmawia? — warknął.

45

Dzięki uprzejmości Matta Traynora z hotelu „Magiria-no” Lennie, Jess, Isaac ze swoją piękną żoną oraz reporter z „Rolling Stone” lecieli do Las Vegas prywatnym samolotem. Przez mniej więcej dziesięć minut wszyscy próbowali ukryć fakt, że są pod wrażeniem.

Pierwszy nie wytrzymał Lennie.

— Jezu, gdyby Alice mnie teraz widziała, szlag by ją trafił!

Isaac parsknął śmiechem.

— A co dopiero moja matka. Zmywała ludziom podłogi, a tu proszę, jej syn wzlataje nad szczytami. Niech no tylko jej o tym opowiem!

Jego żona, Irena, nieśmiało wyciągnęła aparat i zaczęła pstrykać zdjęcia.

— Nie ma to jak mały dowód — wymamrotała. Tylko reporter z „Rolling Stone” zachowywał całkowitą

obojętność. Prywatne odrzutowce to dla niego nie pierwszozna, bo często latał w towarzystwie gwiazdorów rocka. Bawiło go podniecenie Lenniego i jego świty, ale obiecał o tym nie pisać.

— Pewnie — mruknęła Jess, najcyniczniejsza z całej grupy. — Zrobi z nas bandę prostaków nie umiejących wsiąść do autobusu.

Lennie wybuchnął śmiechem.

260

- Kogo to obchodzi? Czytelnik pamięta tylko nazwisko. Zawsze mi to powtarzasz.

— Jeśli napiszą je bez błędów — dodał Isaac, król frazesów.

To Jess wynegocjowała warunki występów w „naginano”. Negocjowała warunki finansowe większości kontraktów, mimo to Lennie nie zrezygnował z usług Isaaca i wciąż wypłacał mu dziesięcioprocentową prowizję.

— Już go nie potrzebujemy — wytknęła mu kilka miesięcy wcześniej. — Jest u nas na garnuszku.

— Niech sobie będzie — odrzekł spokojnie Lennie. — Pomógł mi, kiedy nikt nie chciał mnie znać. Możemy sobie na to pozwolić.

Kiedy Matt osłodził kontrakt przejazdów prywatnym odrzutowcem oraz innymi dodatkami, Lennie natychmiast zaproponował, żeby zabrali z sobą Isaaca z Ireną. Jess się zgodziła. Nie czuła do nich żadnych animozji osobistych, byli miłą parą. Ponośli ją tylko w sprawach służbowych.

— Pójdę do kasyna i puszczę tysiąc dolców — oznajmił Lennie. — Zawsze chciałem to zrobić.

— Ile ci płacą za występ? — spytał reporter z „Rolling Stone”.

— Lennie nie rozmawia ani o swoich apanażach, ani o swoim życiu seksualnym — wtrąciła szybko Jess. — Nabija się z apanaży i życia seksualnego innych ludzi.

Lennie przeszył ją spojrzeniem. Jess ostatnio przesadzała. Sam mógł odpowiadać na pytania i zamierzał to robić. Nie potrzebował niańki.

- Wyglądasz tak... tak inaczej! — wykrzyknęła. — Schudłeś. Wyglądasz... wspaniale.

Matt uśmiechnął się.

— Zrzuciłem prawie siedem kilo. Obciąłem włosy. No i biegam. Dwie godziny dziennie. Dzięki temu jeszcze nie zwariowałem.

Przepadł Matt Traynor sprzed dwóch lat. Stał przed nią szczupły, wysportowany mężczyzna o siwiejących, krótko przystrzyżonych włosach i płaskim brzuchu. Dziwaczne

261

stroje, za jakimi kiedyś przepadał, ustąpiły miejsca prostym, ciemnym spodniom i białej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem.

— I nie nosisz już złotych łańcuszków — zauważyła z uśmiechem.

— Kazałem je przetopić i odesłać Sammy'emu Davisowi Juniorowi.

— Pewnie piał z zachwytu.

— Od tamtej pory nie przestaje do mnie wydzwaniać. Znowu wymienili uśmiechy.

— A ty? — spytał. — Prawdziwa Miss Sukcesu. Kiedy napiszą o tobie w „Forbes”?

— Kiedy im na to pozwolę.

— Poważnie, Jess. Bardzo się cieszę, że przyjechałaś.

— Dzięki.

Ubrała się ze szczególną starannością. A on nie powiedział ani słowa na temat jej wyglądu.

Podczas gdy służba zwijała się, żeby rozmieścić gości w apartamentach, zaproponował jej drinka.

— W twoim mieszkaniu? — zażartowała.

— Przeprowadziłem się. Teraz mieszkam tutaj.

— W takim razie prowadź.

Apartament w przybudówce na dachu nie pozostawiał nic do życzenia.

Wodne łóżko. Wykładany lustrami sufit. Jacuzzi. Gruby dywan. Wszędzie kolorowa telewizja, nawet w kiblu. Wspaniały taras z widokiem zapierającym dech w piersiach.

Wszystko. Oprócz...

Eden.

Zastanawiał się — tylko przez chwilę — jak to by było, gdyby tu na niego czekała.

Kto jej potrzebował?

Na dole widział świetnie zaopatrzone bar i pełno pięknych dziewcząt. Był gwiazdorem. Mógł wybrać, którą tylko chciał.

262

Żadnych szklanek z inicjałami, przynajmniej w zasięgu wzroku. Żadnych sztucznych marmurów, złożonych zdobień ani czerwonego, przyćmionego światła. Zwyczajny, funkcjonalny apartament o czystych liniach i męskim smaczku.

— Napijesz się czegoś? — spytał Matt.

— Czegoś zimnego i bez alkoholu — odrzekła Jess, rozglądając się z uznaniem po saloniku. — Zmieniłeś styl życia — zauważyła.

— Najwyższa pora. — Stanął za lśniącem, nowoczesnym barkiem, do wysokiej szklaneczki nalał soku grejpfrutowego i dodał lodu z foremki.

Powoli upiła łyk.

— Hmm, psychota.

— Przekażę to tym z obsługi.

— Więc tak teraz żyjesz? Nic tylko hotelowy serwis? Nie robisz nic sam?

— Prowadzę hotel, Jess. Jestem na służbie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie mam czasu na nic więcej.

— Tak zupełnie na nic? — zażartowała.

— Cóż, na to i owo czas się znajdzie...

Wy buchnęli śmiechem i zamilkli, bo żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć. Naturalnie, zaczęli mówić jednocześnie.

— Myślisz, że... — To Jess.

— Pomyślałem sobie, że później... — To Matt. Zadzwoił jeden z trzech telefonów na barku.

— Przepraszam — powiedział.

— Jasne. — Sączyła sok i obserwowała Matta. Byli dla siebie tacy grzeczni. Niczym para dalekich znajomych, a nie ludzie, którzy dzielili tragedię jej życia. Nieustannie odpędzała od siebie myśli o koszmarnej śmierci Simona, ale zawsze pamiętała, że to właśnie Matt pomógł jej przeżyć pierwsze czterdzieści osiem godzin. Gdyby nie on, najpewniej połknęłaby zawartość pierwszej z brzegu buteleczki z prochami i skończyłaby z tym raz na zawsze.

Odłożył słuchawkę i wykrzywił twarz.

— Co się stało? — spytała.

— Vitos Felicidade zwiększył liczebność swojej świty.

263

\

Leci z Nowego Jorku, jest już w drodze. Zabrał z sobą Olympię Stanislopoulos, jej dziecko i nianię. Kończą mi się pokoje.

— Co za tragedia!

— Pani mądralińska. Nic się nie zmieniłaś.

— I spójrz tylko, dokąd dzięki temu zaszłam.

— Muszę pogadać z szefem rezerwacji.

— Rozumiem.

— Jedzie na górę...

Odstawiła szklankę i podeszła do drzwi.

— I tak już skończyłam. Pospiesznie ruszył za nią.

— Wieczorem chcę wydać kolację dla Lenniego i jego przyjaciół.

— Sprawdzę, co ma w planach.

— Zadzwoń do mnie. Muszę wiedzieć, na ile osób. Kiwnęła głową i wyszła.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, Matt odetchnął z ulgą. Bardzo nie chciał zrobić z siebie durnia i chyba wszystko poszło, jak należy. Doświadczenia sprzed lat dobitnie wskazywały, że Jess widzi w nim tylko dobrego przyjaciela, nikogo więcej, i chociaż wciąż pragnął jej jak nigdy dotąd, postanowił wziąć na wstrzymanie. Był za stary, żeby ganiać za dziewczyną, która go nie chciała. Za stary i za mądry.

Jess spojrzała na swoje odbicie w lustrzanej ścianie windy. Uznała, że wygląda całkiem nieźle. Kalifornijska opalenizna. Krótka fryzura autorstwa Jose Ebera. Zielona bawełniana sukienka pasująca do pomarańczoworudych włosów. Szpilki, które ją podwyższały, i dzięki którym nareszcie robiła wrażenie dorosłej kobiety.

Hmm... Nie powiedział ani słowa na temat jej wyglądu.

Nie to, żeby jej zależało.

Niby dlaczego miałyby jej zależeć, do diabła?

Ale owszem, bawiło ją, że kiedyś był na nią taki napalony. O tak, pamiętała, jak trzęsły mu się ręce, ilekroć z nią rozmawiał, pamiętała, jak na nią patrzył. I szczerze mówiąc, od dwóch lat brakowało jej tych żarliwych zalotów.

Teraz był poważny i urzędowy. Czarujący i miły, tylko

264

gdzie podziały się te trzęsące się ręce, te powłóczyste spojrzenia?

Kto wie, może podobała mu się tylko wtedy, przed dwoma laty, kiedy była małą panną Nikt?

Ale wyglądał ekstra, naprawdę ekstra. Czy to możliwe, że teraz, kiedy przestał się nią interesować, ona zaczęła interesować się nim?

Nonsens.

Powrót do rodzinnego miasta w roli gwiazdora sprawił Lenniemu wielką przyjemność. No i to idealne zgranie w czasie. Zdjęcie na okładce „People”. Miejscowy chłopak robi karierę. Syn Jacka Goldeny — Lennie. Ojciec nawet nie marzył o takiej sławie.

Pomyślał o Alice, ale poświęcił jej tylko chwilę. O tak, chciała być ważna, chętnie by teraz do niego wróciła. Ale była tak zajęta utyskiwaniem na swoją karierę (jaką karierę?!), że nawet nie zwracał sobie głowy, żeby zawiadomić ją o występach w „Magiriano”.

Przed dwoma laty wyrzucono go z pracy i wkurzony uciekł z miasta.

Chętnie by wówczas tego Traynora udusił. Lecz czas mija. Życie toczy się dalej. Jess wyjaśniła mu, że to nie była wina Matty, że kazała go wylać jakąś dziwka z wierchuszki. Lucky Santangelo czy jak jej tam.

— Lady Boss — dodała szeptem.

Chromolić babę. Najwyraźniej nie miała już nic wspólnego z hotelem — sprawdził to przed podpisaniem kontraktu.

No i wrócił. Zapewnili mu wszelkie domowe wygody, jakie lubi i jakich oczekuje wielki gwiazdor. Prywatny samolot. Limuzyna z szoferem do dyspozycji dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ochroniarz (naprawdę

potrzebował ochroniarza?). No i... długopis.

Ach, ten słynny długopis. Tak naprawdę nie był to żaden długopis, tylko prawo do podpisywania rachunków bez konieczności płacenia.

Rachunków za wszystko, dosłownie za wszystko: za jedzenie, napitki, za obsługę hotelową, za co tylko dusza zapragnie. Och, gdzie te czasy, gdy marzyli

265

\

o tym z Jess, gdzie ich sny o potędze? Przywileju tego udzielano tylko wielkim bogaczom i słynnym gwiazdom. Lennie cieszył się z długopisu bardziej niż z czegokolwiek innego. Jess była w znakomitym nastroju.

Trochę się martwił o jej powrót do miasta i wspomnień, ale wyglądało na to, że Jess nie udaje, że już o tym nie myśli. Ani razu nie wspomniała o Waylandzie czy o dziecku.

— Proszę, proszę! — wykrzyknęła, obrzuciwszy wzrokiem kosze kwiatów, chłodzący się w lodzie szampan i wielką tacę egzotycznych owoców na barku. — Widzę, że powitali cię, jak należy.

— Mają szczęście — odrzekł z uśmiechem. — Gdybym był pamiętliwy, nigdy by mnie tu nie ściągnęli.

Jess wzięła z tacy plasterki papai.

— Matt chce wydać wieczorem kolację dla ciebie i twoich gości.

— Ano właśnie! Jak się miewa twój chłopak?

— Przestań — warknęła. Zareagowała trochę za szybko i Lennie uniósł brew.

— Gdzie się podziało twoje poczucie humoru, małpeczko?

— Nie nazywaj mnie małpeczką! — wrzasnęła. Wyrzucił do góry ręce.

— Spokojnie, przychodzę jako przyjaciel. Miej litość. Nie mogła się powstrzymać i wybuchnęła śmiechem.

— Słuchaj, chcę użyć tego cholernego długopisu, tylko że mam wszystko, czego mi potrzeba.

— Ciężko jest być gwiazdorem — zauważyła oschle.

— Chodźmy do sklepu. Czuję obłąkany przymus podpisania jakiegoś rachunku.

— Zadzwoń. Gwiazdorzy zamawiają wszystko przez telefon.

' — Aleś ty trudna. Idziemy.

Pociągnął ją w stronę drzwi.

W sklepie, usytuowanym na tym samym piętrze co hotelowy basen kąpielowy, sprzedawano wszystko, od papierowych majteczek poczynając, na bikini z norek za trzy tysiące dolarów kończąc. Lennie chwycił koszyk i zaczął wrzucać doń, co popadnie. Pastę do zębów, szczoteczki, płyn po goleniu, szampon.

266

Jess cierpliwie szła za nim.

— Naprawdę tego wszystkiego potrzebujesz?

— Stara, przecież to za friko — wymamrotał, napełniając drugi koszyk.

— Lennie — zasugerowała — skoro już lecimy na dar-mochę, wybierajmy towar gatunkowy. — Zaciągnęła go do kosmetyków. — Kup mi Estee Lauder — rozkazała, zarażona nastrojem przyjaciela. — I Diora. I Clinique.

Wypełnili drugi koszyk. Potem trzeci.

— Chyba już wystarczy — powiedziała, kiedy zgromadził w koszyku miesięczny zapas słodyczy.

— Nie, jeszcze nie — zaprotestował, chwytając z półki trzy pudełka tamponsów i garść gustownie opakowanych dureksów.

Jess nie wytrzymała, a kiedy Jess zaczynała się śmiać, nie sposób było tego nie słyszeć. Jej śmiech brzmiał jak chichot oszalałej hieny.

— O cholera! — zaklął Lennie, zauważywszy, że na nich patrzą.

— Czy to nie pan jest na okładce „People”? — spytała opalona na brąz kobieta w szortach, spod których wystawały grube, spuchnięte cellulitisem uda.

— Pan Leonard Goldman, prawda? — rzuciła wysoka brunetka. Skąd on to znał?

Uśmiechnął się zachęcająco. Tłum gęstniał.

— Co to za palant? — warknął jakiś nowojorczyk o czerwonej twarzy.

— Nikt — odrzekła jego wyspandeksowana przyjaciółka. Lennie spojrzał błagalnie na Jess. Jess skręcała się ze śmiechu przy półce z czasopismami.

— Mogę prosić o autograf? — westchnęła jakaś urocza małolata. — Oglądam pana co tydzień, jest pan moim ulubieńcem.

Napierali na niego. Zwarty mur ludzi. Zapędzili go do rogu sali i nagle poczuł się zupełnie bezbronny. Jakby go atakowali, podtykali mu przed nos długopisy i kartki papieru. Kilka razy naskrobał swoje nazwisko. Szlag by to trafił! Jeśli do tego sprowadzała się sława, to niech ją sobie...

Dziewczyna w ciąży dotknęła jego twarzy.

267

\

— To na szczęście — zachichotała, podczas gdy jakaś staruszka syknęła kącikiem oślinionych ust:

— Bóg cię obserwuje. Lepiej uważaj. Bóg nie przebacza. Chciał stamtąd zwać. Potrzebował pomocy. Na szczęście

Jess zdążyła wziąć się w garść i ściągnęła strażnika. Wspólnym wysiłkiem przeprowadzili Lenniego przez tłum i wepchnęli go do najbliższej windy.

— To jeszcze nic — szydził stary strażnik. — Kiedyś musiałem ratować Elvisa. Spodnie z niego zdarli, zabiliby z miłości. Trzeba było ośmiu chłopów, żeby przepchnąć go do gabloty. Ech, stare, dobre czasy...

Wróciwszy do apartamentu, Lennie żałośnie jęknął.

— No i nic nie podpisałem... Jess uśmiechnęła się.

— Po cholere ci osiem paczek prezerwatyw?

— Będę się puszczał na wszystkie strony.

— Też mi nowina.

46

Vitos nie spodziewał się, że Olympia będzie nalegała na podróż z dzieckiem i nianią. Oczywiście nalegała, jakżeby inaczej.

— Brigitte będzie moją druhną — oznajmiła. — Bez niej nie mogę wyjść za mąż. Za jaką matkę mnie uważasz?

Tymczasem tak naprawdę chodziło tylko o to, że nie chciała zostawiać ich w Nowym Jorku, gdzie odbierałyby telefony i rozpowiadały wszystkim Bóg wie co. Chciała mieć je przy sobie, na oku. Flash mógł sobie dzwonić do woli, bo ci z biura zleceń nie wiedzieli, dokąd wyjechała. Niech łajdak cierpi. Nie, tak łatwo jej nie odzyska.

Nie przyszło jej do głowy, że może wcale nie chce jej odzyskać.

Żeglowała przez życie z niewzruszoną pewnością siebie — to łatwe, jeśli można kupić i sprzedać większość ludzi.

Przed odlotem z Nowego Jorku zadzwoniła do swego adwokata.

— Niech kurier przywiezie mi dokumenty potrzebne do ślubu — poleciła.

— No wie pan, intercyzę.

— Niemożliwe — jęknął z niedowierzaniem. — Znowu wychodzi pani za mąż?

— To niewykluczone.

— Proszę, czy nie moglibyśmy najpierw stosownie tego omówić? Pani sprawy finansowe są bardzo skomplikowane. Trochę to potrwa...

— Proszę je przysłać teraz. Natychmiast.

Nigdy dotąd nie była w Las Vegas — miasto fascynowało ją i jednocześnie mierzilo.

— Co za okropni ludzie — utyskiwała, idąc z Vitosem przez foyer w otoczeniu towarzyszącej im świty.

Kiwał głową niczym marionetka i słał wielbicielom idealny uśmiech a la Felicidade.

— Wszyscy są tacy... tacy... pospolici — stwierdziła w windzie.

— Te ludzie kupować moja płyta — zauważył roztropnie.

— Akurat — mruknęła pod nosem.

Dostali sąsiadujące z sobą apartamenty. Vitosa umieszczono w trochę bardziej luksusowym, co Olympię rozwścieczyło. Postanowiła zatelefonować do Lucky Santangelo i złożyć zażalenie. Dimitri wspomniał, że jest właścicielką „Magiriano”. Byłoby interesujące zobaczyć się z nią ponownie...

Ciekawe, jak wygląda? — myślała. Wyszła za mąż? Ma dzieci?

Rozpakowała walizy, wysłała Brigitte z nianią Mabel na zwiedzanie hotelu i zadzwoniła do recepcji.

— Mówi Olympia Stanislopoulos — oznajmiła władczo. — Proszę powiedzieć pani Lucky Santangelo, że chcę się z nią zobaczyć.

— Pani Santangelo już tu nie ma — odrzekł recepcjonista.

— A gdzie jest?

— Obawiam się, że nie mogę pani pomóc.

— A kto może?

— Niewykluczone, że kierownik albo pan Traynor.

269

/

— Niech któryś z nich do mnie zadzwoni. Natychmiast.

Czuła się dziwnie rozczarowana. Spotkanie z Lucky mogło być naprawdę interesujące. Czy aby rzeczywiście? Łączyły ich wspólne wspomnienia beztroskiego lata sprzed wielu, wielu lat. Lucky była wtedy jej najlepszą przyjaciółką. Ale komu są potrzebni przyjaciele? W końcu zawsze człowieka zawodzą.

Vitos prowadził bardzo ożywioną rozmowę ze swoim menadżerem.

Rozmawiali po hiszpańsku. Sedno gwałtownej wymiany zdań sprowadzało się do jego aktualnego stanu małżeńskiego. Jako osiemnastoletni chłopak Vitos poślubił dziewczynę ze swego rodzinnego miasta. Kiedy jego gwiazda zaczęła wschodzić w Ameryce, małżeństwo unieważniono. Teraz Vitos chciał poślubić Olympię. Czy rozwiązanie tamtego małżeństwa było całkowicie legalne? Nie mieli dzieci. I gdzie się podziały dokumenty? Menadżer wykrzywił usta. Oto wielka szansa. Tak, Vitos Felicidade był coraz bardziej znanym gwiazdorem, ale małżeństwo z Olympią Stanislopoulos mogło oznaczać jeszcze większą sławę i uznanie tu, w Ameryce, w ziemi obiecanej. Takich spraw nie wolno załatwiać

pospiesznie, bo można wszystko zepsuć.

— Musimy zasięgnąć porady prawnej u najlepszych adwokatów — ostrzegł. — I każę odszukać te dokumenty.

— Aby szybko — upomniał go Vitos. Miał przeczucie, że Olympia nie należy do najcierpliwszych kobiet.

Brigette objęła wzrokiem stoły, przy których siedzieli gracze, rozedrgany tłum gości, skąpo ubrane kelnerki i nachalnie umalowane prostytutki.

— Śmierdząca nora — oznajmiła głośno.

— Ciiiicho! — skarciła ją niania Mabel.

— Śmierdząca nora! — wrzasnęła Brigette. — Śmierdząca nora! Śmierdząca nora! Śmierdząca nora! Nienawidzę tego miejsca!

W głębi ducha niania się z nią zgadzała, ale nie zamierzała

270

wysłuchiwać tego od swej nad wiek rozwiniętej podopiecznej. Z każdym dniem dziewczynka stawała się coraz bardziej podobna do matki.

— Cicho bądź — fuknęła.

— Nie będę! — wydarła się Brigette. — Nie zmusisz mnie. Ohydna nora! Ohydna nora!

— Jeśli się nie uspokoisz, będę zmuszona powiedzieć o tym twojej matce. A twoja matka...

Nim zdążyła dokończyć, stanęła przed nimi ponurolica strażniczka z rewolwerem u pasa.

— Niech ją pani uciszy — rozkazała.

Niania Mabel posłała Brigette ostrzegawcze spojrzenie.

— Nikt mnie nie uciszy! — wrzasnęła dziewczynka. — Będę robiła, co chcę! Rozumiesz, ty głupia, tłusta świnió!

— O nie — mruknęła strażniczka.

— O tak — warknęła Brigitte.

— O Boże — jęknęła niania Mabel.

Matt Traynor stanął w drzwiach apartamentu Olympii Stanislopoulos.

— A pan kto? — spytała Olympia, owijając się szczerzej szlafrokiem z chińskiego jedwabiu.

— Prowadzę ten hotel, pani Stanislopoulos.

— A więc otrzymał pan moją wiadomość.

— Jaką wiadomość?

— Dotyczącą Lucky Santangelo.

— Obawiam się, że nie.

— Nieważne. Gdzie ją znajdę?

— Pani Santangelo nie jest już z nami związana. Olympia nachmurzyła czoło.

— Szkoda.

Mattowi nie podobało się, że Olympia trzyma go przed drzwiami jak chłopca na posyłki.

— Czy mogę wejść?

— Po co?

Matt natychmiast znieubił tę pulchną, bogatą blondynę o rozdrażnionym wyrazie twarzy i uroku wybuchowej handlary.

271

I

— Mamy kłopot z pani córką...

— Jakie to nudne! Co zrobiła?

— Kopnęła strażniczkę, próbowała przewrócić stół do blackjacka i...

— Gdzie ona jest? — przerwała mu Olympia.

— Na dole, w biurze. Wywołała duże zamieszanie. Mówi, że uspokoi się dopiero wówczas, kiedy pani po nią przyjdzie.

— Boże! — Olympia była wyraźnie poirytowana. — A niania? Dlaczego niania nie może tego załatwić?

— Wygląda na to, że nie potrafi opanować sytuacji. Olympia wzniosła oczy do nieba.

— To doprawdy wielce kłopotliwe — rzuciła gniewnie, jakby za wszystko winę ponosił Matt. — Niech pan zaczeka. Muszę się ubrać. — I zatrzęsnęła mu drzwi przed nosem.

Rozsierdzony, dziesięć minut chodził nerwowo po korytarzu. W końcu wymaszerowała z pokoju i w milczeniu zjechali windą na dół.

Naburmuszona Brigitte siedziała w kantorku i wrzaskliwie podśpiewywała:

— Las Vegas to ohyda! Las Vegas to ohyda!

Przed kantorkiem krążyła czerwona jak burak niania, a w drzwiach stała na baczność ponura strażniczka.

Olympia przeszła córkę lodowatym spojrzeniem i Brigitte momentalnie zamilkła.

— Co się tu dzieje? — spytała Olympia.

Brigitte umiała płakać na zawołanie. Trysnęła potokiem łez i załkała:

— Mamusiu, ci ludzie byli dla mnie tacy niedobrzy. Naprawdę bardzo niedobrzy...

— O przepraszam — wtrąciła strażniczka. — Trzeba jej porządnie przetrzepać skórę. Jest impertynencka, zepsuta i...

— Nie interesuje mnie pani opinia — przerwała jej zby-wająco Olympia.

— Chodź, Brigitte. Czas spać. — Spojrzała gniewnie na Matta. — Córka jest zmęczona. Ma za sobą długi dzień.

Po czym wzięła Brigitte za rękę i wyszły. Krok w krok za nimi potruczała zdenerwowana niania Mabel.

272

47

Carrie Berkeley miała wielką klasę. Przez wiele lat, w trakcie małżeństwa z Bernardem Dimesem, a potem z Elliotem Berkeleyem, była sławną osobistością. Osobistością z grona tych osobistości, które tak naprawdę nic nie robią, a o których zawsze wspomina się w plotkarskiej prasie oraz w kolumnach towarzyskich, i których zdjęcia są ozdobą drogich magazynów mody. Kilka lat z rzędu jej podobizna ukazywała się w „Harpers Bazaar”, bowiem uznano ją za jedną z dziesięciu najpiękniejszych kobiet w Ameryce.

Po rozwodzie z Elliotem zamieszkała na stałe na Fire Island i wycofała się z życia publicznego. Lecz jej nazwisko wciąż było dobrze znane, dlatego też nie miała najmniejszych kłopotów z umówieniem się na spotkanie z Fredem E. Lesterem z wydawnictwa Wellington Publishers.

Steven chciał jej towarzyszyć, ale mu nie pozwoliła.

— Sama potrafię rozstrzygnąć, czy to on czy nie — odrzekła chłodno.

Ostatnio tak go właśnie traktowała. Chłodno i z dystansem. Był jej synem, ale nigdy nie wybaczy mu, że ją na to wszystko naraża. Nigdy.

Co to za różnica, który z nich go spłodził? Obaj byli sukinsynami. Kogo to obchodziło?

Fred E. Lester siedział za dębowym biurkiem w wielkim, komfortowo urządzonej gabinecie. Był mężczyzną wysokim i barczystym. Na czubku

jego głowy świeciła łysina otoczona kosmykami białych włosów. Musiał regularnie wyjeżdżać na weekendy, bo był zdrowo opalony. Dobijał siedemdziesiątki. Gdy ugrzeczniona sekretarka wprowadziła Carrie do gabinetu, wstał, obszedł biurko, wyciągnął ręce i powiedział:

— Chyba mnie pani nie pamięta. Minęło tyle lat, ale... Carrie poczuła, że ogarnia ją panika. To on! Poczuła gwałtowne mdłości, krew odpłynęła jej z twarzy. —... na balu dobroczynnym — mówił — co najmniej dwadzieścia lat temu. Nic się pani nie zmieniła. Wygląda pani jak zawsze uroczo. Z ulgą opadła na krzesło. To nie on. Fred E. Lester

273

w ogóle nie przypominał absolwenta college'u sprzed lat. Przecież to niemożliwe. Jak mogła rozpoznać mężczyznę, z którym spędziła tylko jedną noc? Po czterdziestu dwóch latach?! Niech piekło pochłonie tego Stevena. Dlaczego kazał jej przez to przechodzić?

— Kawy? — spytał. — Herbaty? Może coś mocniejszego? Sekretarka stała wyczekująco w drzwiach.

— Herbaty — odrzekła cicho Carrie. — Z cytryną.

— Dla mnie też. — Fred usiadł za biurkiem i zaczął bawić się srebrnym długopisem.

Carrie próbowała się uspokoić. Rozejrzała się po gabinecie. Wszystkie ściany były obwieszane okładkami książek w ramkach.

— Moje sukcesy — wyjaśnił Fred ze skromnym uśmiechem. — W tej branży trzeba chwalić się sukcesami i ukrywać porażki.

Carrie uśmiechnęła się uprzejmie.

— Miejmy nadzieję — dodał Lester składając ręce jak do modlitwy — że odniesiemy razem wielki sukces.

— Że co proszę?

— Chce pani napisać książkę, prawda? Przypomniała sobie, że właśnie dlatego siedzi w gabinecie

Lestera. Dzwonił do niego Steven, nie ona.

— Pani Carrie Berkeley ma ciekawy pomysł na książkę — powiedział i natychmiast zaproszono ją na spotkanie.

— Tak, mam kilka pomysłów... — szepnęła niepewnie.

— Od tego się wszystko zaczyna. — Fred promieniał.

Spojrzała na jego łysinę. Łysina świeciła, jakby wypolerowano ją mięciutkim gałgankiem. Białas też miał łysinę. Czarną i lśniącą. Czasami nacierał ją oliwką.

— Piękne damulki to uwielbiają — mawiał, błyskając wielkimi, białymi zębami.

— Śmiem przypuszczać, że chciałaby pani napisać książkę z cyklu jak być piękną — powiedział Fred Lester. — Mam rację?

— Jak być piękną... Tak, właśnie. I o modzie, o dobrym smaku... — odrzekła, chwytając się pomysłu.

— Lepszego tematu nie mogła pani wybrać. I moment jest jak najodpowiedniejszy.

274

Miał bardzo ładne oczy. Brązowe, miłe. Na biurku stały trzy rodzinne fotografie w srebrnych ramkach.

Czuła się przy nim bezpiecznie. To zabawne, ale trochę przypominał jej Bernarda, pierwszego męża.

— A więc do rzeczy. Proponuję, żeby najpierw zechciała pani zarysować ogólną ideę książki, a potem przejdziemy do szczegółów. Czy to pani

odpowiada?

Kiwnęła głową, rozpaczliwie szukając pomysłów.

48

Costa czekał na nią na lotnisku w Los Angeles. Zachwycił się dzieckiem, jakby to on był dumnym dziadkiem, a nie Gino.

— Mam nadzieję, że go nie uprzedziłeś — rzuciła Lucky.

— Przyleciałem wczoraj wieczorem. Nawet nie wie, że tu jestem.

— To dobrze. Zrobimy mu prawdziwą niespodziankę. Wprowadziła się do bungalowu w hotelu „Beverly Hills” i natychmiast zatelefonowała do Giną.

Ku swemu rozczarowaniu nie zastała go w domu. Teraz, gdy postanowiła mu o wszystkim powiedzieć, była zbyt zniecierpliwiona, żeby spokojnie pokonywać kolejne przeszkody. Lada dzień Dimitri miał ogłosić, że wzięli ślub, a naprawdę nie chciała, żeby ojciec dowiedział się o tym z gazet.

— Kiedy wróci? — spytała pokojówki.

— Później — odrzekła tamta.

„Później” — równie dobrze mogła nic nie mówić. Swoją drogą ciekawe, dokąd poszedł. Co mógł robić w Los Angeles człowiek nie związany z branżą filmową? Gino był zawsze taki aktywny. Nie tęsknił za ruchliwym Las Vegas? Całymi dniami spacerował po Rodeo Drive? Niemożliwe. Roberto spał, a oni jedli lunch nad basenem.

— No, Lucky? — spytał Costa. — Kiedy mi powiesz? Za kogo wyszłaś za mąż?

Wzięła głęboki oddech.

— Za Dimitriego Stanislopoulosa — oznajmiła.

275

— No nie. Za kogo?! Wzruszyła ramionami.

— Za Dimitriego.

Costa pokręcił głową i posmutniał.

— Na miłość boską, przecież to nie zbrodnia — powiedziała szybko Lucky. — I co z tego, że jest kilka lat starszy ode mnie.

— Szkoda, że ciotka Jennifer już nie żyje — odrzekł surowo.

— Wszyscy tego żałujemy, ale nikt nie wróci jej do życia. A nawet gdyby żyła, to i tak by mnie nie pouczała.

— Za długo byłaś sama — odparł Costa. — Nie miałaś się do kogo zwrócić. Dorastająca dziewczyna powinna mieć matkę, kogoś, komu może zaufać. Powinna...

— Przestań, to brzmi jak pieśń pogrzebowa. Lubię być sama i samodzielna.

— Dimitri Stanislopoulos to starzec.

— Ty też. Czy stary znaczy okropny?

— Lucky, Dimitri Stanislopoulos mógłby być twoim ojcem. Nie rozumiesz, co zrobiłaś? Zburzyłaś...

— Idź do diabła, Costa. — Jej czarne oczy płonęły gniewem. —

Oczekiwałam wykładu od Giną, ale nie muszę wysłuchiwać tych bzdur od ciebie. Mam prawie trzydzieści lat. Odwalcie się ode mnie i przestańcie mnie wreszcie musztrować.

Zerwała się na równe nogi i szybko odeszła.

Paige Wheeler знаła pewną sztuczkę, dzięki której potrafiła utrzymać go w środku niczym w imadle.

— Od pana cipulińskiego — odrzekła, gdy spytał, gdzie się tego nauczyła.

— Od kogo?

— Od mojego ginekologa. Chodziłam z nim. Nauczył mnie wszystkiego, co umiem. Był ekspertem. Nic dziwnego, ostatecznie gapił się na to całymi dniami, więc chyba co nieco podłapał.

Ginowi bardzo się ten trik podobał. Mógł hasać, ile wlezie, a potem do akcji wkraczała Paige: ścisnęła go, re-

276

animowała i po chwili znowu był gotowy do boju. Gino nie lubił się spieszyć. Szczerze uwielbiał zadowalać kobiety. Obserwował, jak ulegają czystej, lubieżnej rozkoszy, jak puszczają im wszystkie hamulce, i czerpał z tego prawdziwą przyjemność. Dlatego małżeństwo z Susan tak głęboko go rozczarowało. Paige miała rację — Susan nie lubiła seksu. Dlaczego nie zauważył tego przed ślubem? Bo nie zauważył nic, żadnych sygnałów. I ugrzązł w związku, którego nie chciał.

Codziennie myślał o tym, żeby się wreszcie wyzwolić, żeby zadzwonić do Lucky i powiedzieć:

— Hej, dziecino. Miałaś rację, to była wielka pomyłka. Chodź, podbijemy Atlantic City, zbudujemy nasz hotel. Podpalimy ten pieprzony świat! Sęk w tym, że nie było to takie proste. Susan nie popełniała żadnych błędów. Była troskliwa i uważająca. Dbała o jego dietę. Pilnowała, żeby regularnie ćwiczył. Na jej polecenie kucharz przygotowywał jego ulubione potrawy.

No i dobrze wyglądała. Była atrakcyjna, zawsze zadbana, idealnie ubrana. Chodzili na wszystkie ważniejsze imprezy, na wszystkie przyjęcia dla śmietanki towarzyskiej Beverly Hills.

Jeśli nie liczyć seksu, Susan była żoną doskonałą. I nudą jak flaki z

olejem.

Nie cierpiał Beverly Hills. Nie cierpiał tych napuszonych imprez. Nie cierpiał przyjęć, na które przychodził tłum dziecienniałych starców. Ciągłe ci sami ludzie. Ciągłe te same rozmowy. Ciągłe ten sam koszmar.

Gino Santangelo chciał z tym skończyć. Musiał tylko znaleźć na to odpowiedni sposób.

— Cześć, Susan — powiedziała Lucky. Że też musiała trafić akurat na Grace Kelly. — Zastałam Giną?

— Dzwonisz stąd? Z Kalifornii?

Ni&r-Z bieguna północnego. A jak myślisz, do ciężkiej cholery?

— Tak się składa, że stąd.

— Jak to miło.

277

— Prawda? — Króciutka pauza. Raz, dwa, trzy. — Czy mogę rozmawiać z Ginem?

— Przykro mi, kochanie, Gino wyszedł.

— Kiedy wróci? Niedługo?

— Z Ginem nigdy nic nie wiadomo.

— To prawda. — Przynajmniej na tyle go znała.

— Zadzwoń później.

— Dobrze.

Jasne. Widać, że mój przyjazd sprawił ci radochę. „Gdzie się zatrzymałaś?”, „Musimy się zobaczyć” — po cholere te wszystkie bzdury. Nerwowo krążyła po saloniku. Roberto był nad basenem z Cee Cee. Nie wiedziała, gdzie jest Costa. Miała to gdzieś.

Nie, nieprawda. Costa się o nią niepokoił. Jak mogła go za to winić? I miał

rację: Dimitri był o trzydzieści pięć lat starszy od niej. Będzie musiał zobaczyć ich razem, wtedy przekona się, że to udany związek.

Paige się ubierała. Nosiła rozkosznie dziwkarskie ciuszki i jeździła złocistym porsche, którego dostała od Rydera na gwiazdkę. Czasami dziwiła go jej przyjaźń z Susan. Paige była zupełnie inna niż psiapsiółki żony — wytworne żony Hollywoodu w eleganckich strojach od najlepszych projektantów mody, kobiety o idealnie zliftingowanych twarzach i ograniczonych zasadach etycznych.

— Susie lubi mnie, bo jestem zabawna i szalona — zwierzyła mu się pewnego razu. Nie dodała, że Susan lubi ją i dlatego, że od kilku lat mają z sobą namiętny romans.

Paige zdawała sobie sprawę, że sypiając i z żoną, i z mężem, gra w niebezpieczną grę. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby zrezygnować z Susan. Ale Gino był naprawdę porywający i cudowny w łóżku.

Było nieprawdopodobne, żeby się sobie zwierzyli, dlatego nie odczuwała palącej potrzeby rezygnowania z któregośkolwiek z nich.

— Jutro — powiedział Gino. — W tym samym miejscu. O tej samej porze.

278

— To niemożliwe. Obiecałam Ryderowi, że polecę z nim do Las Vegas. Musi zabawiać jednego z inwestorów.

Gino spojrzał na nią zdumiony.

— Lecisz do Las Vegas i nic mi o tym nie powiedziałaś? Chyba żartujesz. Kiedyś miałem to miasto w kieszeni. Mógłbym zabukować ci najlepsze hotele, zarezerwować najlepsze stoliki, załatwić, co byś tylko chciała. Paige malowała pełne usta jaskrawoczerwoną szminką.

— W młodości Ryder woził do Vegas młode damy na rozpustne weekendy. Nie sądzę, żeby zaakceptował twoje sugestie dotyczące tego, gdzie się mamy zatrzymać i co robić.

Gino wzruszył ramionami.

— Dużo tracisz. Do Vegas można jechać tylko z jednym mężczyzną: ze mną.

— Czy zabrałbyś swoją żonę i mojego męża, czy też byś ich zostawił? Puścił to mimo uszu.

— Kiedy wracasz?

— W środę.

— Spotkamy się w czwartek. W tym samym miejscu. O tej samej porze.

— Nie mogę. Pracuję.

— Olej pracę.

— Urządzam willę pewnego biseksualisty, gwiazdora filmowego z Bel Air, a to człowiek bardzo wymagający.

Objął ją wpół, przywarł brzuchem do jej brzucha i znacząco zakołysał biodrami.

— Ja też.

Parsknęła śmiechem. Boże! W młodości musiał być najbardziej napalonym chłopakiem w świecie. Nawet teraz był namiętniejszy i wytrzymalszy niż wielu mężczyzn o połowę od niego młodszych.

— ^Tak, wiem. Dlatego potrzebuję kilku dni odpoczynku od twoich amorów.

Zmrużył oczy.

— Z kim jeszcze się puszczasz? Odrzuciła do tyłu puszyste włosy.

— Z każdym, kto zechce spuścić gatki. Tak samo jak ty.

Wykrzywił usta.

— Niezła jesteś. Nie stajesz na baczość. To mi się podoba.

— Dziękuję. Uwielbiam komplementy.

Nie przepadała za Rodeo Drive, mimo to zaryzykowała. Wstąpiła do Lina Lee i kupiła szkarłatną skórzaną kurtkę z bardzo szerokimi ramionami.

Przystanęła przed oknem wystawowym zakładu jubilerskiego Freda, potem ruszyła niespiesznie do Giorgio's, gdzie nabyła kilka zabójczych sukienek. Zakupy ubraniowe nigdy jej nie pasjonowały — wolała chodzić w dżinsach i koszulach — ale od czasu do czasu lubiła sobie pofolgować.

Uwielbiała ekstrawaganckie ciuchy. Na przykład takie, w jakich występowali gwiazdorzcy rocka. Mieli swój specyficzny styl, swobodny i oszałamiający. Niedawno widziała w telewizji Flasha. Miał na sobie kurtkę z błękitnej skóry, na szyi kilka długich apaszek i złote kolczyki w uszach.

Wyglądał rewelacyjnie.

Dimitri wspomniał, że Olympia mieszka z Flashem. Boże, cóż to musi być za para!

Tak, chętnie spotka się z nią ponownie. Dorastając, nie miała żadnych innych przyjaciółek. Tylko ją, Olympię, i przez jakiś czas były sobie tak bliskie...

A jeśli się wścieknie, że poślubiła Dimitriego?

A jeśli...

Cholera. Nie cierpiała gdybania. Głupia zabawa. Po powrocie Dimitriego ogłoszą, że są mężem i żoną. Albo się to Olympii spodoba, albo nie.

Wszystko jedno.

— Dzwoniła do ciebie Lucky — poinformowała go Susan.

Gino był w domu od godziny.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? — spytał rozsierdzony.

Zrobiła nieokreślony gest.

— Nie sądziłam, że to ważne.

— Tak powiedziała?

280

— Co powiedziała? Próbował trzymać nerwy na wodzy.

— Powiedziała, że to nieważne?

— Nie.

Ruszył do gabinetu.

— W Nowym Jorku jej nie ma — dodała Susan.

— Więc gdzie jest?

— O ile pamiętam, wspomniała, że gdzieś tutaj.

— Pod jakim numerem?

— Nie wiem. Nie wytrzymał.

— To dlaczego jej nie spytałeś? — syknął wściekle.

Na porcelanowych policzkach Susan wykwitły szkarłatne plamy.

— Nie jestem twoją sekretarką, Gino.

— To nie odbieraj moich telefonów, do cholery! Wmaszerował do gabinetu. Przyjechała Lucky, a on nie wiedział, gdzie jej szukać. Co się z tą Susan działo?

Lucky przeprosiła Costę, gdy wrócił z wyprawy po zakupy. Uścisnął ją i powiedział, że chodziło mu tylko o jej dobro. Usiedli w Polo Lounge i zaczęła wprowadzać go w szczegóły planu.

Uważnie ją obserwował. Była tak bardzo podobna do ojca. Tak, pamiętał

stare, dobre czasy, jakby od tamtej pory minął ledwie tydzień. Gino — z takim samym entuzjazmem i takimi samymi oczyma pałającymi optymizmem. Oboje należeli do ludzi rzutkich i przedsiębiorczych, z tym że Lucky dopięła swego w świecie zarezerwowanym wyłącznie dla mężczyzn. Nie było jej łatwo. Małżeństwo z człowiekiem tak bogatym i potężnym jak Dimitri Stanisloupolos mogło tylko pomóc.

O piątej spojrzała na zegarek i rzuciła:

^■"Zadzwońmy do Giną. — Kelner przyniósł telefon i poprosiła o połączenie z numerem Susan. Odebrała służąca. — Z panem Santangelo poproszę.

— Zechce pani chwilę poczekać.

Lucky wstrzymała oddech. Nie rozmawiali z sobą od

281

kilku miesięcy. Kochała go. I nienawidziła. Psiakrew, bardzo za nim tęskniła.

Powitał ją ze zwodniczą obojętnością.

— Sie masz, dziecino.

— Sie masz, Gino.

— Gdzie jesteś?

— W Los Angeles.

— Ale gdzie?

— W hotelu „Beverly Hills”.

— I nie uprzedziłaś mnie o swoim przyjeździe?

— Po co? Wysłałbyś na lotnisko orkiestrę dętą?

— Bezczelna.

W jego głosie wyczuła ciepło, którego tak bardzo jej brakowało. Dobrze

go znała. Był szczerze zachwycony, że zadzwoniła.

— Mam dla ciebie niespodziankę — powiedziała.

— Wiesz, że nie lubię niespodzianek.

— Ta na pewno ci się spodoba. Oszalejesz z radości.

— Taa?

— Taa.

— Jak leci, dziecino?

— Bardzo dobrze. A tobie?

— Jakoś sobie radzę.

— Jest ze mną Costa.

— Costa! Jezu! Może wpadniecie?

— Z wielką chęcią.

Susan siedziała przy toalecie, usuwając dzienny makijaż śmietanką kosmetyczną. Gino wpadł jak bomba.

— Lucky i Costa przychodzą na kolację. Powiedz kucharzowi.

— Wieczorem idziemy na przyjęcie — odrzekła.

— Odwołaj.

— Nie mogę. To siedząca kolacja na dwadzieścia osób u April Crawford.

— Zadzwoń do tej starej krowy i powiedz jej, że się nie wyrobimy.

282

Susan nie przestała zmywać makijażu.

— April Crawford nie jest starą krową — odrzekła spokojnie. — April Crawford jest znakomitą i powszechnie szanowaną aktorką, prawdziwą gwiazdą filmową starej szkoły. Nie możemy nie pójść, to jej urodziny. — Zmięła zużyty wacik i odchyliła się na krześle. — Zapisalam to w twoim kalendarzu trzy tygodnie temu. Leży na biurku.

— Przyjechała moja córka. Chce mnie odwiedzić. Nigdzie nie idziemy.

— Ta sama córka, która nie odzywała się do ciebie od miesięcy? Która nigdy do ciebie nie dzwoni ani nie pisze?

Nie miał zamiaru słuchać, jak Susan krytykuje Lucky. Oczy miał nieustępliwe.

— Te, pyskata — warknął. — Idź do April Crawford sama. Ja zostaję. Niech kucharz coś przyrządzi.

Zaległa cisza. Trwała tylko chwilę. Susan doskonale wiedziała, jak daleko może się posunąć. Wstała, podeszła do Giną i złożyła na jego policzku czuły pocałunek.

— Przepraszam, kochanie — szepnęła. — Nawet nie pomyślałabym o wyjściu bez ciebie. Każę kucharzowi przyrządzić coś pysznego.

Naturalnie, że musimy przyjąć Lucky i Costę. Wybacz mój sarkazm, ale czasami tak bardzo za ciebie... cierpię. Wzorowa córka nie... Och, zapomnijmy, że cokolwiek powiedziałam.

— Właśnie. Lepiej zapomnijmy.

Kolacja należała do imprez wielce hałaśliwych. Zjedli ją w hotelowej restauracji „Rio”. Był tam Lennie na tęgim rauszu po zbyt wielu kieliszkach wódki. Był Isaac z Ireną. Był reporter z „Rolling Stone” z młodą fotograficzką o tajemniczym przydomku Buźka. Był Matt z atrakcyjną rozwódką po trzydziestce. I Jess. Sama. Trzeźwa. I podwójnie zła.

Była zła dlatego, że Matt przyprowadził na kolację jakąś bździągwę. To po pierwsze.

Po drugie, była zła na siebie za to, że jest zła.

— Wyluzuj się — syknął Lennie. — Zachowujesz się jak stara panna na ślubie.

— Może byś się tak ode mnie odwalił, co? — zasugerowała Jess.

Obwieszona aparatami Bużka pstrykała zdjęcia. Miała twarz pięknej intelektualistki, stojące na sztorc włosy, bystre oczy i spiczaste, niczym nie skrępowane piersi pod luźnym podkoszulkiem.

Isaac i Lennie snuli wspomnienia, Irena z podziwem słuchała.

Towarzyszka Matta, kobieta w koktajlowej sukni i etoli z norek, jakby do nich nie pasowała.

Reporter z „Rolling Stone” obserwował wszystkich i wszystko.

Matt odgrywał rolę jowialnego gospodarza.

Jess próbowała być miła, ale nic jej z tego nie wychodziło.

Z restauracji wszyscy przeszli do apartamentu Lenniego. Isaac wyjął dobrą trawkę, przez co Matt poczuł się trochę nieswojo i wyszedł z bzdziągwą pod rękę.

Wszyscy się nabuzowali. Wszyscy oprócz Jess. Jess nie miała nastroju.

Puszczali taśmy, trochę pili, trochę palili. A potem Lennie odkrył, dlaczego Bużce nadano ksywkę Bużka. Wyszła z jego sypialni o piątej nad ranem z uśmiechem na ustach i kilkoma wspaniałymi zdjęciami.

Lennie nie mógł zasnąć. Poszedł na basen i zaliczył kilka rundek. Wyszedł przed hotel i spojrzał na swoją tablicę reklamową. LENNIE GOLDEN.

Sześciometrowej wysokości literami. LENNIE GOLDEN. Tysiące mrugających światełek. Jak we śnie. Mijanemu pijaczkowi wcisnął dziesięć dolców na szczęście i zjadł śniadanie w kawiarni. Było za wcześnie na fanów. Siedziało tam tylko kilku zagorzałych hazardzistów gotowych grać choćby całą noc i kilka zaniedbanych dziwek.

Pierwszy wieczór. Prapremiera. Z Vitosem Felicidade. Nie, nie był zdenerwowany. Nigdy nie miał tremy. Szczerze mówiąc, scena, która umożliwiała mu nawiązanie kontaktu z widownią, była jedynym miejscem, gdzie czuł się zupełnie bezpiecznie, gdzie był panem sytuacji. Już w szkole

284

potrafił skupić na sobie uwagę kolegów, kiedy tylko zechciał, opowiadając im świńskie kawały. W nowe grepsy zaopatrywała go Jess. Była najsprośniejszą dziewczyną, jaką wtedy znał. I bardzo ją kochał. Poza nią nie miał prawdziwej rodziny. Nie licząc Alice.

Skończył śniadanie i wrócił do apartamentu. Program dnia był napięty.

Wczesnym rankiem próba. Potem lunch z reporterem z „Rolling Stone” i „szczerą” rozmowa w cztery oczy. Scenariusze dwóch odcinków serialu do przejrzania. I znowu sesja zdjęciowa z Bużką.

Żałował, że pozwalał jej robić to, co tak dobrze robiła. Chryste! Gdyby był kobietą, miałby reputację najłatwiejszej dziwki w mieście. Tymczasem tak naprawdę potrzebował trwałego związku. Miał dość jednonocnych numerów. Może by tak wreszcie znalazł sobie kogoś, z kim mógłby podzielić się swoim sukcesem? Kogoś, kto nie wskakiwałby mu do wyra tylko dlatego, że wyrobił sobie pozał się Boże nazwisko.

Eden. Pieprzyć Eden. Chciałbyś, co? Nie. Na chwilę zajęła mu myśli. Ale tylko na chwilę. Szło ku lepszemu.

Olympia się nudziła. Jak mops. Przyjechała do Las Vegas tylko po to, żeby pobrać się z Vitosem i zrobić na złość Flashowi. Tymczasem wyglądało na to, że Vitosowi bardziej zależy na tej głupiej prapremierze, na próbach i na ciągłym płukaniu gardła jakąś ohydą miksturą na miodzie. A teraz

ugrzęzła nad basenem z niezadowoloną nianią i wojowniczo nastawioną córeczką, nie mając do roboty nic innego, jak tylko się dąsać.

W białym, jednoczęściowym kostiumie kąpielowym, spod którego wyłaziły zwały tłuszczu, leżała na pasiastym materacu pod parasolem.

Kupiła stos czasopism, ale obserwowanie paradujących gości było o wiele bardziej interesujące. Już dawno nie była nad publicznym basenem. Mogła zostać na górze i poleżeć na tarasie, ale było tak gorąco, poza tym Brigitte ciągnęła ją nad basen, a był to jeden z tych dni, kiedy odgrywała rolę matki doskonałej.

— Popływajmy, mamó — zaproponowała Brigitte. Wy-
285

glądała doprawdy uroczo. Szkoda tylko, że w jej przypadku wygląd i osobowość nie szły w parze.

— Nie teraz, kochanie — odrzekła Olympia. — Muszę odpocząć. Niania z tobą popływa.

Niania Mabel, skrępowana w staromodnym kostiumie, łypnęła spode łba na chlebobawczynię.

Olympia tego nie zauważyła. Była zbyt pochłonięta obserwowaniem czuwających nad basenem ratowników, koncentrując wzrok na pokaźnych wybrzuszeniach rysujących się pod ich skąpymi kąpielówkami.

Lunch. Lennie jadł spokojnie w towarzystwie reportera z „Rolling Stone”. Idąc przez foyer, Jess wpadła na Matta.

— Wszystko gra? — spytał. Uśmiechnęła się promiennie.

— Jak najbardziej.

— Potrzebujecie czegoś?

— Nic nie przychodzi mi do głowy.

— Lannie zadowolony?

— Na to wygląda.

— O której skończyliście balować?

Nie zdążyła ugryźć się w język i wypaliła:

— Myślałam, że to ty miałeś bal. Roześmiał się szczerze.

— Chodzi ci o tę dziewczynę? Tina to stara przyjaciółka. Znowu nie mogła się powstrzymać:

— „Stara” to bardzo wygodne słowo. Matt znowu się roześmiał.

— Może coś przegryziemy? — Wziął ją pod rękę, zakładając, że Jess nie odmówi.

— Jestem zbyt zajęta.

— Ale jeść musisz.

— Zamówię coś do pokoju. Mają do mnie dzwonić z Los Angeles.

— Pracuję z ciebie.

— Lubię swoją pracę.

— Z Lennie sprawdziłaś się doskonale, to fakt.

286

— Poradziłby sobie beze mnie. Jest znakomity. Powinieneś był to zauważyć, kiedy kazano ci go wyrzucić.

Matt nachmurzył czoło. Oczywiście, Lennie Golden był dobry. Tylko dlaczego się tak rozpromieniała, ilekroć o nim mówiła? Dlaczego jaśniała jej twarz?

Sypiała z nim. Na pewno. A to oznaczało, że on, Matt Traynor, nie ma u niej żadnych szans.

Wiedział o tym od dawna. Od chwili gdy wyjechała z Lennie do Los Angeles. Dlatego nie próbował jej ścigać.

— Do zobaczenia — powiedział. — Na pewno niczego nie potrzebujecie?

— Nie, niczego.

Już się mną nie interesuje, pomyślała. Jestem mu całkowicie obojętna.

Właściwie co ją to obchodziło? Jednak wiedziała, że obchodzi.

— Opowiesz mi o swojej matce? — spytał reporter z „Rolling Stone”.

Lennie odgryzł kęs hamburgera. Żuł wolno, niespiesznie.

— Co chcesz wiedzieć?

— Twój ojciec był komikiem, już mi to mówiłeś. Nie masz braci ani sióstr. Przyjechałeś do Nowego Jorku, kiedy skończyłeś siedemnaście lat.

Wiem, co było dalej, ale ani razu nie wspomniałeś o swojej matce. Czy ona jeszcze żyje?

Kusiło go, żeby ostatecznie rozprawić się z Alice. Utłuc ją w druku i już nigdy nie mieć z nią do czynienia. Alice by tego nie zdzierżyła. Teraz, gdy zdobył sławę, doszła do wniosku, że trzydziestodwuletni syn to nic wstydliwego.

— Tak, żyje — odrzekł.

— Co myśli o twoich tekstach? Skecz matki z synem poruszył nas wszystkich. Podoba się jej? Zdenerwowała się? Jak zareagowała?

Lennie zgarbił ramiona. Miał dość udzielania wywiadów. Kogo obchodziło, co myśli Alice? Nigdy nie wypowiadała żadnych opinii. A on nigdy jej o nic nie pytał. Jedynym komentarzem, jaki wygłosiła na temat jego występów, była uwaga, że nie powinien używać wulgarnej języka.

287

Przeciągnął się z uśmiechem.

— Jak chcesz się tego dowiedzieć, sam ją spytaj. — Zerknął na zegarek.

— No, muszę lecieć. Na razie. Będziesz na występie, tak?

Reporter kiwnął głową i wyłączył mały magnetofon.

Lennie wstał, puścił oko do przechodzącej kelnerki, która zdążyła już poprosić go o autograf, i wyszedł z restauracji.

O trzeciej Olympia wróciła do apartamentu, żeby zacząć przygotowywać się do wieczornej gali. Vitos był u siebie. Leżał na pochyłej ławce, ćwicząc mięśnie brzucha.

— Oliiimpia! — wykrzyknął. — Jak miło.

— Vitos — wycedziła — nie przyjechałam do tej obleśnej jaskini hazardu tylko po to, żeby siedzieć z założonymi rękami. Dowiedziałeś się czegoś?

— Jutro ja wiedzieć — odrzekł z szerokim uśmiechem. Powiedział jej, że czeka na papiery z Hiszpanii. Co było prawdą. Musiał zdobyć dokumenty potwierdzające unieważnienie pierwszego małżeństwa, których nikt nie mógł znaleźć.

Z kopiastej tacy na stole uskubała winogrono i odęła wargi.

— Jak długo musimy tu zostać? — spytała.

— Jedna tydzień.

— Dzięki Bogu, że nie dłużej. To obrzydliwe miasto.

Lennie miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, czarne, obcisłe spodnie, białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, wąski krawat z czarnej skóry, białe tenisówki, a na głowie włosy w artystycznym nieładzie.

Jess stanęła na palcach i cmoknęła go w policzek.

— Wyglądasz bosko — szepnęła.

W tej samej chwili zapowiedziano jego występ. Głęboki wdech. Zastrzyk adrenaliny. I do boju!

288

Eden zastanawiała się, czy ją zauważy. Musi, ślepy by ją zauważył.

Siedziała przy najlepszym stoliku, dokładnie na wprost sceny.

Towarzyszyli jej Paige i Ryder Wheele-rowie, Quinn Leech, reżyser filmu, który niedługo mieli kręcić, i jego nadęta, pretensjonalna dziewczyna. No i Santino. Jakżeby inaczej. Santino z dwoma znajomymi z Las Vegas.

— Kto wie, może to nasi przyszli inwestorzy — powiedział przed wyjściem. — Bądź dla nich miła.

Obaj byli odpychający. Jeden niski, przysadzisty i koszmarnie włochaty; miał porośnięte ręce i szyję, włosy sterczały mu nawet z uszu i nosa.

Ilekcroć na niego spojrzała, przechodziły ją ciarki. Drugi był wielki i brzuchaty, o małych, złośliwych oczkach i czarnych włosach, tłustych i przyglądzonych. Przyszli sami, skutkiem czego, zerknąwszy na Paige Wheeler (kobieta po czterdziestce, za stara jak na ich zużyty gust) i na przyjaciółkę Quinna Leecha (zbyt pretensjonalna jak na ich mentalność a la „Playboy”), skupili uwagę na Eden.

Odpowiadała monosylabami i lodowatymi spojrzeniami. Dlaczego miała być miła dla dwóch goryli, którzy mogli, tylko mogli, zainwestować pieniądze w jej film? Wystarczyło, że żyła z człowiekiem pokroju Santina Bonnattiego. Poza tym Santino nie potrzebował żadnych inwestorów. Miał dość pieniędzy, żeby zrobić to sam.

Patrzyła na Goldenę stojącego na środku sceny. Wyglądał przebojowo.

Cóż, sukinsyn, zawsze był przystojny. Na szczęście wiedziała, że ona też wygląda cudownie. Miała na sobie srebrzystą, wydekoltowaną i prowokującą suknię. Nosila rubinowy naszyjnik i kolczyki, które dostała od Santina. Rozdzielone przedziałkiem włosy muskały ramiona niczym/jasna kurtyna obejmująca jej wycyzelowaną twarz.

Kiedy Santino oznajmił, że jadą na kilka dni do Vegas, była zachwycona.

Siedząc w domu na Blue Jay Way, umierała z nudów. Jak w prawdziwym więzieniu. Nie mogła doczekać się chwili, kiedy zaczną kręcić film, kiedy wreszcie się stamtąd wyrwie i wróci do względnie normalnego życia. Bo kiedy zaczną kręcić film, Santino będzie musiał dać jej trochę luzu.

Czekały ją przymiarki kostiumów,

289

próby tekstowe, próby przed kamerą — przynajmniej taką miała nadzieję.

Niektórzy reżyserzy lubili pracować z aktorami wiele tygodni, zanim ruszyli z produkcją. Naturalnie Santino w ogóle jej nie uprzedził.

— Jedziemy do Vegas — oznajmił i już godzinę później siedzieli w samochodzie z Zekiem za kierownicą. Byłoby miło, gdyby miała czas na fryzjera, na manicurzystkę, na jakieś zakupy.

Ale nie. Santino robił wszystko po swojemu. Już do tego przywykła.

Przyjechali, zakwaterował ją wraz z Zeko w apartamentach hotelu „Sands”, wyszedł i wrócił godzinę później.

— Ubieraj się — rozkazał. — Idziemy na występ.

— Czyj występ? — spytała.

— Tego hiszpańskiego alfonsa, Vitosa jakośtam. Masz. — Wcisnął jej do ręki gruby plik banknotów. — Kup sobie coś ładnego, żeby mi stanął. I zabierz Zeka.

Nie miała pojęcia, że z Vitosem Felicidade wystąpi Lennie Golden.

Dopiero gdy dojeżdżali do „Magiriano”, zobaczyła olbrzymie tablice z jego nazwiskiem.

Paige nachyliła się i coś szepnęła.

Eden nie dosłyszała.

— Co?

— Jest obłądny, prawda? — powtórzyła Paige. — Przypomina mi zmysłowego Redforda i ma w sobie coś z samczego Newmana.

Eden skonstatowała, że nikt nie wie o jej trzyletnim romansie z Lenniem Goldenem. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu bardzo ją to rozjątrzyło.

W artykule w „People” nawet o niej nie wspomniał — enigmatycznie stwierdził, że w Nowym Jorku chodził z wieloma modelkami.

Czyż nie była częścią jego przeszłości? I to wielką częścią?

Do furii doprowadzał ją fakt, że ją uprzedził. To ona powinna skupiać na sobie całą uwagę. To jej zdjęcie powinno zdobić okładkę „People”.

Paige najwyraźniej czekała na jakąś odpowiedź albo komentarz.

— Tak, jest całkiem niezły — wykrztusiła.

290

- Niezły! — wykrzyknęła Paige. — Kochanie, on jest wspaniały! A kiedy mówię, że ktoś jest wspaniały, to jest wspaniały.

Eden lubiła Paige Wheeler, chociaż widywały się bardzo rzadko. Ot, zjadły razem dwie kolacje, dwa czy trzy lunchy — za uprzednim pozwoleniem Santina, rzecz jasna. Była zabawna. Cieszyła się życiem i wcale tego nie ukrywała. Ach, ciekawe, jaką miałaby minę, gdyby powiedziała jej, na jakim polu Lennie jest najwspanialszy!

I zatęskniła za nim. Ale tęskniła tylko chwilę. Krótką chwilę. Tak, brakowało go jej, ale tylko w łóżku.

Publiczność wpadła w zachwyt. A to właśnie oni, widzowie, mieli prawdziwą moc, to właśnie oni mogli stworzyć lub zniszczyć gwiazdę.

Wiedział, że ich ma, gdy tylko wyszedł na scenę. Czuł dobre wibracje — czuł, że chcą dzielić z nim sukces tego wieczoru.

Cały czas zachowywał kamienną twarz, był ironiczny i cięty.

Natychmiast to podchwycili, wyczuwali najdelikatniejszą aluzję.

Głosił prawdy. Skręcali się ze śmiechu.

Zjechał telewizję. Piali z zachwytu.

Zaczął mówić o układach rodzinnych. Płakali ze śmiechu.

Wpadł w swój rytm. Pewny siebie, pan sytuacji, niczym dyrygent o nienagannym wyczuciu.

I wtedy ją zobaczył.

/

50

— I niby gdzie cię to ma zaprowadzić, do diabła?! — krzyczał Jerry Myerson.

Stali w przeciwległych końcach salonu jego nowojorskiego domu. Obaj byli źli. Steven dlatego, że chciał, by Jerry się od niego odpalantował.

Jerry dlatego, że przed

291

laty, jako młody chłopak, potajemnie kochał się w Carrie i widział, na co ją Steven naraża. Steven niecierpliwie machnął ręką.

— Powiem ci, kiedy uzyskam rezultaty.

— A kiedy to będzie? — prychnął Jerry.

— Myślisz, że nie chciałbym wiedzieć? — Steven odwrócił się do niego plecami i spojrzał w okno. Po Pięćdziesiątej Czwartej sunął z warkotem sznur samochodów. Kierowca taksówki zrobił obraźliwy gest pod adresem kierowcy wielkiej ciężarówki tamującej ruch. Zanosilo się na bójkę.

— Najlepsze, co możesz zrobić, to wrócić do pracy — rzucił

beznamiętnie Jerry. — Mówiłem ci, w każdej chwili dostaniesz robotę w mojej firmie.

Steven odwrócił głowę.

— Właśnie to zamierzam zrobić. I zrobię, jak tylko załatwię, co mam do załatwienia.

— Dobra. Będziesz mógł zwrócić mi pieniądze, które ci pożyczyłem.

Steven błysnął oczyma.

— Martwisz się o swoje pieniądze, Jerry?

— Nie. Dupek jesteś. Martwię się o ciebie i o stan twego umysłu.

Kłócili się jeszcze trochę, ale obaj wiedzieli, że niczego to nie zmieni.

Steven miał coś do zrobienia. I nic nie mogło go powstrzymać.

Nazajutrz Jerry zabrał Carrie na lunch do Le Cirque. Sprawiała wrażenie zmęczonej, ale była bardzo zadowolona, że przyszedł, i mocno go wyściskała. Jeśli nie liczyć Stevena, był jedyną osobą, która знаła prawdę o jej przeszłości i, jak się zdawało, rozumiała ją o wiele lepiej niż syn.

— Jutro wiezie mnie do tego emerytowanego lekarza — powiedziała znużona. — Kto wie? Może wreszcie dopasuję twarz do nazwiska.

— Mam nadzieję — odrzekł Jerry. — Dla dobra was obojga.

Bawiąc się kieliszkiem martini, spuściła oczy.

— Jerry — zaczęła z wahaniem. — Po prostu nie wiem, co począć.

Ilekcroć jestem ze Stevenem, czuję, że mnie nie-

292

nawidzi. Jakby otoczył się stalową klatką, której nie można przebić.

Przecież robiłam tylko to, co zrobiłaby każda matka: chroniałam go przed prawdą.

— Wiem — odparł ze współczuciem. — Nie możesz się za to obwiniać.

Steven przeżywa kryzys osobowości. Może z tego wyjść tylko w jeden sposób: samodzielnie. Nie chodzi tylko o ciebie, żadne z nas nie potrafi

mu pomóc.

— Cieszę się, że mnie rozumiesz.

— Po to są przyjaciele.

— Dziękuję, Jerry. — Przykryła jego dłoń swoją dłonią i lekko ją ścisnęła. — Powiedz, jak żyjesz.

Uśmiechnął się.

— Wbrew wszystkiemu udaje mi się wytrwać w stanie kawalerskim. W Nowym Jorku niełatwo być bogatym, przedsiębiorczym heteroseksualistą. Panie nie czekają i natychmiast każą mi kupować ślubną obrączkę.

Carrie uśmiechnęła się. Po raz pierwszy od wielu tygodni była odprężona.

Doktor nauk medycznych Fredd Lester mieszkał w połowie drogi między Nowym Jorkiem a Filadelfią. Okazało się, że ma osiemdziesiąt pięć lat i jest półkrwi Libańczykiem. Wystarczył jeden rzut oka i od razu go wykluczyła.

Steven — znowu pożyczył samochód od Jerry'ego — odwoził ją do miasta w całkowitym milczeniu. Zatrzymała się w mieszkaniu przyjaciółki.

Przyjaciółka wyjechała na pół roku do Europy i Carrie uznała, że rozsądniej będzie zamieszkać u niej, niż wracać na Fire Island.

— Może wejdiesz na górę? — zaproponowała. — Zrobię ci jajecznicę albo coś innego.

Pokręcił głową.

Chciała wyciągnąć rękę, chciała go dotknąć — był taki nieszczęśliwy.

Dlaczego nie mógł zaakceptować życia takim, jakim było?

— Przepraszam za dzisiaj — rzekł, patrząc prosto przed siebie. —

Nadaremna wyprawa.

— To bez znaczenia.

— Przeciwnie. To się już nie powtórzy.

293

Czyżby zamierzał zrezygnować z Freddy'ego Lestera? Może uznał, że to nie on? Może doszedł do wniosku, że to Gino Santangelo jest jego ojcem? Wiedział, gdzie mieszka. Dlaczego po prostu nie poleci do Kalifornii i nie namówi go na badanie krwi?

Omam nie parsknęła śmiechem. Gino Santangelo nie będzie jej pamiętał, to niemożliwe. Weźmie Stevena za wariata, za umysłowo chorego. Plunie mu w twarz.

— Co teraz? — spytała spokojnie.

Steven nachylił się, sięgnął do klamki i otworzył drzwi od strony pasażera.

— Porozmawiamy za kilka dni — odrzekł krótko. Bardzo ci dziękuję.

Mam przestać żyć, czekając na twój następny ruch?

— Dobranoc — powiedziała, wysiadając.

Ryknął silnik i Steven odjechał w noc, nie oglądając się za siebie. Nie raczył nawet zaczekać, aż Carrie wejdzie do domu, gdzie będzie bezpieczna. Oto ile zostało z synowskiej miłości i troski, którą tak często jej niegdyś okazywał. Była bardzo smutna.

Nie mogła zasnąć, więc usiadła przy oknie, obserwując nocne cienie i wsłuchując się w nieustanny ryk policyjnych syren. Naszły ją wspomnienia i kiedy w końcu zasnęła, spała snem bardzo niespokojnym.

51

Ilekcio robiła coś po swojemu, nigdy się nie guzdrała. Nie minęły trzy kwadranse, a ona już zdążyła zadzwonić do April Crawford — zełgała, że ma atak straszliwej migreny — do „Chasens”, gdzie zamówiła kilka porcji

ich cudownego chili, zrobić skromny makijaż i ubrać się w prosty, brzoskwiniowy kaftan. Kiedy przyjechali Lucky i Costa, była gotowa. Gino też. Był zachwycony, mogąc powitać córkę, za którą bardzo tęsknił.

— Dziecino! — Otworzył ramiona.

— Tatusiu! — Lucky w nie wpadła. Miała ochotę tak go nazwać. Choć raz. Jeśli mu się nie spodobało, trudno.

294

Susan uśmiechnęła się łaskawie do Costy.

— Witamy. Prosimy do środka.

Weszli do domu. Ot, zwykła kalifornijska rezydencja za cztery miliony dolarów. Nic pretensjonalnego.

— Proszę, proszę! — wykrzyknął uśmiechnięty Gino, otaksowując Lucky spojrzeniem. — Wyglądasz znakomicie. — Odwrócił się do Costy i poklepał go żartobliwie po brzuchu. — A ty, przyjacielu, ciut przytyłeś. Domowy wikt, hę? Za dużo jedzenia i gorących wdówek, co?

— Właśnie — wtrąciła Lucky. — Chciałam porozmawiać z tobą o twojej tuszy, Costa. Robi się z ciebie grubasek!

Ryknęli śmiechem, tylko Susan się nie śmiała. W nieprzestrzeganiu diety nie widziała nic zabawnego — uważała na wszystko, co brała do ust, między innymi dlatego miesiąc po ślubie przestała uprawiać z Ginem coitus oralis. Bynajmniej nie był z tego zadowolony, lecz niestety, nic na to nie mógł poradzić.

— Czego się napijecie? — spytał Gino, obejmując jednym ramieniem córkę, drugim starego przyjaciela i prowadząc ich do barku.

— Anyżówki z lodem — odrzekła Lucky.

— A ja poproszę coś bez procentów.

— Bez procentów, Costa? — zażartował Gino, stając za kontuarem. — I mówi to prawnik? Niemożliwe.

— Hans to robi, kochanie — zaszcebiotała Susan, zmierzając w ich stronę.

— Daj spokój. Sam potrafię — odparł Gino, wrzucając kostki lodu do szklaneczek.

Susan odprawiła Hansa gestem ręki i z czarującym uśmiechem na ustach zwróciła się do Lucky.

— Jak się miewasz, moja droga? Dawno się nie widziałyśmy.

Ty fałszywa larwo, pomyślała Lucky. Ani trochę się nie zmieniłaś. Dalej odgrywasz Grace Kelly.

— Nieźle, całkiem nieźle, Susan. — Ha! Niech no tylko usłyszy, że wyszłam za Dimitriego Stanislopoulosa. W majtki się posusia!

— Rzeczywiście, wyglądasz kwitnąco — odrzekła Susan. — Jesteś jakby troszkę zmęczona, ale to chyba przez tę różnicę

295

czasu. Ilekroć lecę na wschodnie wybrzeże, zawsze jestem wykończona.

Trzy godziny różnicy to pozornie niewiele, ale wierz mi...

— Gino — powiedziała Lucky, nie zwracając na nią uwagi — nie tęsknisz jeszcze za Vegas?

Uśmiechnął się.

— A ty?

— Ja? Mam na głowie mnóstwo innych spraw.

— Na przykład jakich?

— Na przykład Atlantic City. Wchodzę w to, zanim będzie za późno.

— Naprawdę?

— Czemu nie? Zawsze tego chciałam. A teraz mam inwestora.

— Taa?

— Taa.

— Kogo?

— Później ci powiem.

Susan uśmiechała się sztucznym uśmiechem. Nie miała zielonego pojęcia, o czym rozmawiają.

— Zamówiłam chili z „Chasens” — oznajmiła. — Mam nadzieję, że lubicie chili. Gino uprzedził mnie w ostatniej chwili, więc naprawdę...

— Dlaczego nie teraz? — Gino poszedł w ślady córki i nie zwracał na żonę uwagi.

— Bo to długa historia — odrzekła.

— Mamy przed sobą całą noc.

W jej czarnych oczach zabłysły wesołe ogniki.

— Co cię tak przypiliło? Chcesz wejść ze mną do interesu?

Wybuchnął śmiechem.

— Wiem, co jest grane, dzieciно. Zabrakło ci szmalu i chcesz, żebym dorzucił działkę. Zgadłem?

— Nie zgadłeś.

— Nie?

— Nie. Nareszcie buduję swój własny hotel. Nie potrzebuję współników.

— Niby jak tego dokonałaś?

— Ha! Chciałbyś wiedzieć.

296

- I tak się dowiem, bo mi powiesz.

— Taa? Nie bądź tego taki pewny.

Uśmiechali się do siebie szeroko, grali w swoje gierki, żonglowali słowami jak za starych, dobrych czasów, kiedy wszystko się między nimi układało, kiedy byli z sobą tak blisko.

— Za chwilę podadzą kolację — oznajmiła sztywno Susan.

— Czy wspominała pani o chili? — spytał grzecznie Costa.

— Tak — odrzekła Susan, zaszczycając go spojrzeniem. Costa nieszczególnie się jej podobał. Dlaczego Gino musiał obciążać ją swymi nudnymi przyjaciółmi i trudną córką?

— Jeśli to nie kłopot, poprosiłbym o coś innego — powiedział łagodnie Costa. — Zupę z puszki albo jajka — Poklepał się po brzuchu. — Chili jest dla mnie za ostre. Zalecenia lekarza.

— Zobaczę, co się da zrobić — odparła lodowato Susan. Gino i Lucky stali po drugiej stronie barku, pogrążeni w rozmowie. Gino się od niej oddalał, wyczuwała to od miesięcy. Widząc, jak rozmawia z córką, widząc, jaki jest rześki i ożywiony, zdała sobie sprawę, że musi bardzo uważać, że może go stracić. A na to nie była przygotowana. Jeszcze nie.

Szybko podeszła bliżej i zaborczym gestem wzięła Giną pod rękę.

— A teraz, Lucky, opowiedz nam, co porabiasz, kochanie. Opowiedz nam wszystko. — Jej głos ociekał miodem, sztuczny uśmiech błyszczał lukrem.

— Ten dom bardzo za tobą tęsknił. Tęskniliśmy za nią, prawda, Gino?

Gino uparł się, żeby zjeść kolację w kuchni.

— To tylko chili, na miłość boską. Po co robić wokół tego tyle szumu? Tak więc zjedli kolację w kuchni, czym zirytowali służbę. Kuchnia była ich królestwem i nie lubili, gdy się ich stamtąd wypędzało.

Susan nie przestawała się uśmiechać. Wytrzymała cały

wieczór, choć nie było to łatwe. Gino, Lucky i Costa tworzyli zgraną paczkę. Gino chciał rozmawiać wyłącznie o starych, dobrych nowojorskich czasach, Costa był ku temu doskonałą wymówką, a Lucky doskonałą słuchaczką.

Ich wspomnienia zupełnie Susan nie interesowały. Sądząc z tego, co mówili, stare, dobre czasy były plugawe i obrzydliwe.

W połowie kolacji wróciła Gemma z kilkoma przyjaciółmi.

— Mieliście wyjść — rzuciła arogancko. — I co, u diabła, robicie w kuchni?

Susan delikatnie otarła usta serwetką.

— Zmiana planów, kochanie. Gemmo, pamiętasz Lucky, prawda? A to jest pan Costa... — Nazwisko wyleciało jej z pamięci. — Zennacot.

— Zennocotti — poprawił Gino.

— Właśnie, Zennocotti — powtórzyła szybko Susan.

— Cześć — powiedziała Gemma, ale widać było, że nagle zmarkotniała. Myślała, że będą mieli dom tylko dla siebie, że się wyluzują i zażyją trochę koki. Teraz musieli iść gdzie indziej. Nie zamierzała przesiadywać ze zgredami. Nadąsana wyszła z kuchni.

Lucky odsunęła talerz z na wpół zjedzonym chili. Wolałaby, żeby zostali sami, ona, Gino i Costa. Susan ich krępowała. Ten jej szklisty uśmiech, sposób, w jaki usiłowała włączyć się do rozmowy. Poza tym sam dom działał na nią przygnębiająco. Był taki nieprzytulny i zimny niczym ilustracja z czasopisma. I ta odęta Gemma. Wyglądało na to, że Gino wcale się nie zmienił, to niemożliwe, żeby odpowiadało mu życie z takimi ludźmi.

— Może wpadłbyś na chwilę do hotelu? — spytała cicho. — Mam dla

ciebie niespodziankę.

— Jaką?

— Pojedź ze mną, to zobaczysz. Nie musiała go namawiać.

— No to już, chodźmy.

Susan nie była zadowolona, że wychodzą zaraz po kolacji. Chciała im towarzyszyć, ale Gino powiedział:

— Nie. Zaraz wracam. Zostań tutaj.

298

Wsiedli do wynajętego samochodu Lucky i popędzili do hotelu, śmiejąc się całą drogę niczym uczniaki na wagarach.

Parkując na Crescent Drive, zdała sobie sprawę z ogromu niespodzianki, jaką miała zaskoczyć Giną. Nie powiedziała mu nawet, że wyszła za męża.

Wzięła głęboki oddech. Na pewno będzie przejęty i zachwycony. Czy mógłby zareagować inaczej, widząc Roberta pierwszy raz w życiu?

Roberta, swego wnuka. Swoją krew. O Boże! Dlaczego była taka zdenerwowana?

Krętymi ścieżkami doszli do bungalowu. Przekręciła klucz w zamku, otworzyła drzwi, zapaliła światło.

— Gdzie moja niespodzianka? — spytał wesoło Gino, rozglądając się po salonie.

— Czego się spodziewałeś? Ferrari? — zażartowała.

— Myślałem, że czeka tu na mnie mój portret. Zawsze chciałem wisieć na ścianie czyjegoś domu.

Roześmiała się cicho.

— Zaczekaj. Costa, zrób mu coś do picia.

Spiesznie weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Roberto spał w

dziecinnym łóżeczku obok jej łóżka. Cee Cee oglądała telewizję w drugim pokoju.

Lucky spojrzała na dziecko, na swego małego chłopczyka. Miał szesnaście miesięcy i wyglądał rewelacyjnie.

Spał na brzuszku. Miał czarne włosy Santangelów, ich czarne oczy i długie, zagięte do góry rzęsy.

Tak bardzo go kochała. Gino też go pokocha. Na pewno. Musi. v

Delikatnie wyjęła go z łóżeczka. Był cieputki i wilgotny, pachniał zasypką i mydłem.

— Roberto — szepnęła. — Mamusia wróciła. — Dziecko zatrzepotało powiekami. — Hej, maleńki, to wielki dzień — wymruczała. — Mój wspaniały chłopczyk pozna swego dziadka. — Przytuliła go. — I będzie bardzo grzeczny, prawda? — Roberto odsłonił w uśmiechu trzy ząbki. Miał cudowne, najcudowniejsze usposobienie.

Przytuliła go jeszcze mocniej.

— Chodźmy, dziecinko — powiedziała. — I zrobmy dobre wrażenie.

. 299

52

Lennie poczuł się tak, jakby ktoś przyłożył mu w brzuch. Ba-buch! Prosto w splot słoneczny. A masz, sukinsynu.

Na ułamek sekundy skrzyżowali wzrok, on i Eden. Nie kiwnęła głową ani w żaden inny sposób nie dała do zrozumienia, że go zna. Odwróciła się tylko do siedzącego obok mężczyzny i poprosiła o papierosa. Wiedział, że zrobiła to celowo. Był to gest mający zademonstrować całkowitą obojętność. Jakby wzruszenie ramionami, które mówiło: reszta publiczności może sobie myśleć, że jesteś genialny, ale ja, szczerze

mówiąc, mam cię gdzieś.

A to suka.

Wyglądała zabójczo.

W głowie kłębiły mu się setki chaotycznych myśli, mimo to zachował kamienną twarz. Nie zepsuł ani jednego grepsu. Po prostu robił to, co umiał robić najlepiej, podczas gdy ta wstrętne suka paliła papierosa, sączyła wino i udawała, że go nie zna.

Podziałała na niego jak dźgnięcie ostrogą na konia. Dał z siebie wszystko. Wzniósł się na wyżyny. Spręzał się bardziej niż dziwka, która podłapała hojnego klienta. Przeszedł samego siebie. Wykroczył daleko poza to, co sobie zaplanował i co przećwiczył. Improwizował, bawił się z publicznością, przedłużył występ o dziesięć minut i dostał ogłuszającą owację.

Lennie Golden. Gwiazdor. Jeśli jeszcze o tym nie wiedziała, teraz wie już na pewno. Zeskoczył ze sceny, pijany od pochlebstw i aplauzu, gotów powtórzyć wszystko od początku.

— Byłeś niesamowity! Byłeś rewelacyjny! — entuzjazmowała się rozpromieniona i zachwycona Jess. — Re-we-la-cyj-ny!

Grzmiące oklaski nie milkły. Wychodził na scenę trzy albo cztery razy, wreszcie zabrzmiały pierwsze takty tematu muzycznego, zapowiadającego występ Vitosy Felicidade, i rozpoczęła się druga część wieczornej gali.

— Rany boskie! — piała ze szczęścia Jess. — Dałeś im dzisiaj popalić aż miło!

300

Wszyscy stłoczyli się w jego garderobie. Isaac z Ireną, Matt Traynor, Buźka ze swoimi aparatami i wszechobecny reporter z „Rolling Stone”.

Lennie chciał zostać sam. Potrzebował kilku chwil spokoju i ciszy. Jess natychmiast to zrozumiała i wygnała ich z pokoju, podczas gdy on zamknął się w łazience, zrzucił ubranie i wszedł pod lodowaty prysznic. W sali była Eden.

Może przyszła specjalnie dla niego. Mało prawdopodobne, ale myśl to zawsze myśl.

Zakręcił kran, owinął się w biodrach ręcznikiem i wrócił do garderoby. Jess siedziała na kozetce z szampanką w ręku. Obejmując się za kolana, wzniosła kieliszek jak do toastu.

— Salute — powiedziała.

— Eden tu jest — odrzekł. — Sprawdź, z kim ta suka przyszła.

Vitos Felicidade patrzył prosto na nią. Wiedziała o tym, ale nie reagowała. Nie zamierzała omdlewać z radości tylko dlatego, że omdlewały wszystkie siedzące na widowni kobiety. Była Olympią Stanislopoulos. Mogła mieć każdego mężczyznę, jakiego tylko chciała. Zawsze. I wszędzie.

Niestety, po dość niechlujnych, za to pełnych przygód atencjach Ji Flasha Vitos, ze swym zwiotczalym nadgarstkiem i mdławym uśmiechem, nie stanowił dla niej żadnego wyzwania. Ale musiał wystarczyć. Tymczasem. Trelował o straconej miłości, gruchał o namiętności i letnich nocach pełnych gwiazd. Doszła do wniosku, że występujący przed nim komik, Lennie... coś tam, miał w sobie znacznie więcej biglu niż Vitos. Vitos nie ma co nawet o tym marzyć. O właśnie: ten cały Lennie był równie seksowny jak Flash. Wyglądał jak... jak uliczny kizior — to Flash nauczył ją tego określenia i bardzo się jej spodobało.

Uliczny kizior. Słowa przywodzące na myśl kogoś, kto zna życie. Vitos żył w pustce doskonałości. I był nędznym kochankiem. Często wiotczał mu

nie tylko nadgarstek.

Poruszyła się niespokojnie. Pełna gala i jeszcze pół

301

godziny posępnych pieśnideł Vitosy. Nie była pewna, czy zdoła wysiedzieć do końca.

Lennie znowu grał. Tym razem w garderobie. To łatwiejsze niż występ na scenie, ale występ to zawsze występ. Szybko nauczył się odparowywać pytania — siedzieli przed nim dwaj miejscowi dziennikarze i stały klient z „Rolling Stone”. Wszyscy wypytywali go o to samo. Jak zaczynał? Gdzie się urodził? Kiedy postanowił zostać komikiem?

Do ciężkiej cholery, dlaczego nie raczyli przeczytać starannie wystukanej biografii, którą rozdała im Jess?

Głupie pytania. Nudne odpowiedzi. Jeszcze dwa miesiące i przestanie udzielać wywiadów. Dzięki czemu stanie się oczywiście jeszcze bardziej łakomym kąskiem dla prasy.

Wróciła Jess. Podszedł do niej z nie odstępującą go na krok Bużką, która do tej pory musiała zrobić co najmniej dziesięć tysięcy zdjęć.

— No i?

— Złe nowiny.

— To znaczy?

— Przyszła z dwoma gangsterami z Vegas i ich kumplem z Los Angeles.

— Skąd wiesz?

— Od samego szefa sali. Jesteśmy starymi przyjaciółmi, on zna wszystkich i o wszystkim wie. Wierz mi, Lennie, o tych facetach piszą w nagłówkach, a nie na ostatnich stronach gazet, więc lepiej trzymaj się od niej z daleka. Dotarło?

Kiwnął głową.

Ale oboje wiedzieli, że to czczy gadanina.

Felicidade. Eden podziwiała jego styl. Spokojny i pewny siebie Vitos, musiał być zmysłowym i uważającym kochankiem.

Kochać się z Santinem to jak iść do wyra ze śliniącym się pawianem. Nie miał pojęcia, jak zadowolić kobietę. Było bardziej niż prawdopodobne, że nie zdawał sobie

302

sprawy, iż kobieta też może mieć orgazm. Interesowało go tylko zaspokojenie chuci, z odrobiną okrucieństwa i przemocy, jeśli akurat naszła go na to ochota.

— Co myślisz o tym hiszpańskim alfonsie? — spytał, jakby czytając w jej myślach.

— Bo co? — spytała ostrożnie.

— Bo Quinn i Ryder mówią, że nadałby się do tego filmu.

Eden próbowała zachować kamienną twarz. Znała Santina na tyle dobrze, by wiedzieć, że gdyby okazała po sobie choć cień entuzjazmu, Vitos Felicidade nie miałby żadnych szans na otrzymanie roli.

— Skąd wiesz, że umie grać? — spytała od niechcienia.

— Skoro ty twierdzisz, że umiesz, to on też potrafi. — Zaśmiał się rubasznie, ale uciszyła go kobieta siedząca przy sąsiednim stoliku.

Eden się spieniła.

— Chodziłam na kursy aktorskie w Nowym Jorku — syknęła — kilka razy występowałam w telewizji. Nie porównuj mnie z tym hiszpańskim wyjcem.

Znakomicie. Teraz pomyśli, że Eden nie cierpi Vitosa. I może go

zaangażują. A jeśli tak, nawiąże z nim romans. Dyskretny romans. Może mniej dyskretny, jeśli film okaże się przebojem. Bo wtedy natychmiast Santina zostawi.

Vitos powoli kończył występ. Olśniewający w czarnym krawacie i garniturze, posłał całusa Olympii i przedstawił ją publiczności. A potem zadedykował jej pieśń „Jedyna miłość mego życia” ze swego ostatniego singla i odśpiewał ją, klęcząc na kolanie i patrząc Olympii w oczy.

Olympia była zachwycona tą maskaradą. Kiedy ludzie zdali sobie sprawę, z kim mają do czynienia, miast patrzeć i słuchać Vitosy, zaczęli się gapić na nią. Jej nazwisko nie schodziło z pierwszych stron gazet. Była spadkobierczynią olbrzymiej fortuny, miała łańcuszek mężów, a ostatnio w prasie aż kipiało na temat jej związku z legendarnym Flashem.

Wyprostowała ramiona i ładnie się uśmiechnęła.

303

Na galowe przyjęcie w prywatnej sali balowej hotelu „Magiriano” — przyjęcie na cześć Lenniego Goldeny i Vitosy Felicidade — Matt przyprowadził nową przyjaciółkę, była tancerką z branży rozrywkowej. Miała około czterdziestu lat, była wciąż piękna i mierzyła metr osiemdziesiąt.

Jess spojrzała na nią i szybko się wycofała. Wysoka i wyniosła. Wysoka i elegancka. Wysoka i wyrafinowana. A przede wszystkim wysoka!

Niech szlag trafi tego Traynora. Znowu wrócił do swoich szansonistek.

Cóż, i tak z niego fujara.

Obaj gwiazdorzy mieli swoją świtę. Świta Vitosy była liczniejsza niż Lenniego. Menadżerowie, agenci, fotograficy, gońcy, reporterzy i stadko przydupasów. A wśród nich Vitos i Olympia. Jednak podobizna Lenniego

widniała na okładce najnowszego numeru „People”, dlatego też przychodząc na przyjęcie w pięciominutowych odstępach czasu, i on, i Lennie przyciągali jednakową uwagę gości.

Santino wraz z towarzyszącymi mu osobami siedział już przy jednym z najlepszych stołów. Jego ojciec, Enzo Bon-natti, nauczył go tego jeszcze w młodości.

— Jak idziesz na uroczyste przyjęcie, przyjdź wcześniej — radził. — Zajmij, kurde, najlepszy stolik, siedź i nie ruszaj dupska, żeby nie wiem co.

Santinowi brakowało dowcipu i mądrości Enzia. Cóż to był za człowiek. Prawdziwy capo. Wiedział, jak prowadzić interesy, jak pociągać za odpowiednie sznurki, jak miażdżyć facetom jaja, jeśli mu się stawiali. Siedząc w sali balowej hotelu „Magiriano”, wrócił myślą do przeszłości. W 1975 Enzo ten hotel przejął. Miał pieczę nad wszystkimi operacjami finansowymi, jakie rodzina Santangelów prowadziła w Las Vegas. Robił to w ramach przysługi Ginowi, który przebywał na podatkowym wygnaniu w Izraelu, i Lucky, która uciekła z miasta, gdy zamordowano jej chłopaka Marca.

Pieprzona rodzinka. Miast odplacić Enziowi wdzięcznością, odplacili mu groźbami. A pewnego gorącego wrześnieowego dnia roku 1977 Lucky Santangelo — na miłość

304

boską, przecież była jego chrześniaczką! — przyjechała do rezydencji Enzia na Long Island i zabiła go. Wypaliła w brzuch, w szyję i w jaja. Trzy razy, kurwa. Strzeliła trzy razy!

Twierdziła, że w samoobronie. Zaatakował mnie, mówiła, chciał mnie

zgwałcić. I władze tej dziwce uwierzyły. Od-frunęła wolna niczym Boeing 747. Kroplą przepełniającą puchar goryczy był zakaz odwetu. „Rodzina” powiedziała: nie. Carlos to facet bez jaj, ale Santino ciągle o tym myślał. Chromolić Carlosa. Chromolić „rodzinę”. Santangelowie jeszcze o Santinie usłyszą. Na pewno.

53

Przez chwilę Gino milczał. Patrzył na Lucky i na dziecko, potem spojrzał pytająco na Costę. Costa odchrząknął, ale nie powiedział nic.

— To jest Roberto — oznajmiła Lucky z dumą w głosie. — Twój wnuk. Znowu długa chwila ciszy.

Lucky wstrzymała oddech. Chciała, żeby Gino był przejęty, zachwycony, żeby wpadł w ekstazę!

— Owszem — rzekł w końcu i usiadł. — Nielicha niespodzianka.

— Lepcza niż portret, hę? — spytała z uśmiechem.

— Jak to zrobiłaś? Adoptowałaś dzieciaka?

— Nie. To jest Roberto — odrzekła rozdrażniona. — Moje dziecko.

Nasza krew. Twój wnuk. Ma szesnaście miesięcy i nie mógł się już doczekać, kiedy cię pozna.

Gino znowu spojrzał na Costę, ale Costa stwierdził, że nie powinien się w to mieszać.

— Idę spać — powiedział. — Zadzwoń rano, Gino. Dobranoc. — I wyszedł.

— No i? — Lucky roześmiała się nerwowo. — Co o tym myślisz?

— Myślę — odrzekł powoli Gino — że jeśli dzieciak tak bardzo chciał mnie poznać, to mogłaś zorganizować spotkanie dużo wcześniej. —

Wyciągnął rękę. — Może go trochę

potrzymam... — Ostrożnie położyła mu synka na kolanach. — Dawno nie trzymałem dziecka — szepnął, poruszywszy się niezręcznie.

— Roberto nie jest ze szkła, nie pęknie. — Boże! Mówiła jak jedna z tych głupich, młodych matek. Ale czuła się fantastycznie. Nareszcie doprowadziła do spotkania dwóch mężczyzn jej życia.

Gino delikatnie podrzucił Roberta.

— To co? Chcesz o tym pogadać? — spytał.

— Wygląda jak Santangelo, prawda? — spytała podekscytowana.

— Wygląda jak ty w jego wieku. Była zachwycona.

— Naprawdę? Nie zmyślasz?

— Wykapana Lucky.

— Szkoda, że nie mam twoich zdjęć z dzieciństwa.

— Zdjęć? Miałem kupę szczęścia, jeśli dostałem jeden posiłek dziennie.

Na zdjęcia nie było pieniędzy.

— Wiesz? — Nachyliła się i cmoknęła go w policzek. — Kocham cię, naprawdę cię kocham. — Ostatni raz wypowiedziała te słowa, gdy walczył ze śmiercią po gwałtownym ataku serca. Teraz wypowiedziała je znowu i czuła się tak, jakby dwuletniej obcości w ogóle nie było.

— Ja też cię kocham, dzieciно. Może nie zawsze umiałem to okazać, ale wiesz, po tym, jak zamordowano twoją mat-kę...

Zadzwonił telefon, przerywając cicho wypowiedziane słowa. Gino natychmiast zamknął się w sobie.

Lucky była wściekła. Że też ktoś musiał zadzwonić akurat w chwili, gdy ojciec otworzył się przed nią pierwszy raz w życiu. Nigdy dotąd nie rozmawiali o śmierci Marii, nawet nie wspomniął o tamtym tragicznym

dniu, gdy jako pięcioletnia dziewczynka znalazła w basenie zwłoki matki. A teraz, gdy już, już miał zacząć o tym mówić, przerwał mu ten przeklęty telefon. Chwyając słuchawkę, gotowa była wyć z frustracji.

— Tak? — warknęła.

— Lucky, kochanie. — Starannie modulowany głos Su-san. — Czy Gino jeszcze tam jest?

306

Oddała mu słuchawkę.

— Twój dozorca — powiedziała z nadzieją, że Gino szybko się jej pozbędzie.

Łypnął na nią spode łba. Zdjęła mu z kolan Roberta i zaniósła go do łóżeczka. Kiedy wróciła, Gino już skończył. Chciała spytać: No i co? Ciągle jeszcze biegasz na każde wezwanie Wdowy Doskonałej? Zamiast tego powiedziała:

— Widzę, że musisz już iść. Gino westchnął.

— Wyniknął problem z Gemmą i jej przyjaciółmi...

— I tylko ty potrafisz go rozwiązać, hę?

— Taa. Nikt inny nie wyrzuci ich z domu, słuchają tylko mnie.

— Odwiozę cię.

— Nie martw się. Zadzwońem do recepcji, sprowadzili samochód.

Otworzyła drzwi, próbując ukryć zawód.

— Może jutro zjemy razem śniadanie? — zaproponował. — Moglibyśmy pogadać.

Kiwnęła głową. Ale wiedziała, że rano będzie zupełnie inaczej.

— Dobranoc, dziecino.

— Dobranoc, Gino.

Uściskała ją, ale już go właściwie nie było. Siedziała po ciemku i myślała. Po jakimś czasie podniosła słuchawkę i wykręciła jego numer. Odebrała Susan. Kiedy podszedł do telefonu, miał udręczony głos.

— Co się stało?

— Małe postscriptum. Wyszłam za mąż.

— Nie wiedziałem. Myślałem, że ukrywałaś dziecko, bo nie masz męża.

— Jakiś ty zacofany — zadrwiła. — Na miłość boską, jest rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty.

— No więc... gdzie jest twój mąż?

— W podróży. Jest biznesmenem. — Zamilkła na chwilę i dodała: — Może go pamiętasz.

— Znam go?

307

— Oczywiście. To Dimitri. Dimitri Stanislopoulos. Ojciec Olympii.

54

Na przyjęciu byli połykacze ognia. I żonglerzy przebrani za kłownów z białymi twarzami. I przystojny murzyński śpiewak. I pierwszorzędna orkiestra. Był również obficie zaopatrzone bufet, stadka wspaniałych tancerek i słynne znakomitości, znacznie przewyższające liczbą dwóch gwiazdorów, dla których wydawano przyjęcie.

Przedstawiciele prasy też dopisali. Były tam piękne dziewczęta w eleganckich sukniach z notatnikami i długopisami w rękę. Byli spoceni fotoreporterzy z wielkimi aparatami z fleszem. I wysłannicy kilku sieci telewizyjnych z kamerami na ramieniu.

Goście i świty obu gwiazdorów utworzyli dwa oddzielne obozy.

Lenniego otaczały same kobiety, a ponieważ dostrzegł Eden siedzącą przy

stole z grupką osobników, którzy mogliby uchodzić za bohaterów książki „The Valachi Papers”, nie miał nic przeciwko temu.

Vitos też nie narzekał na brak wielbicielek. Czuliły się do niego i łąsiły, a on obdarowywał je czarującym uśmiechem. A Olympia? Olympia obdarowała go wściekłym spojrzeniem, gdy odepchnięto ją na bok.

Jess lustrowała salę w poszukiwaniu kogoś, z kim mogłaby się zabawić.

Miała dość samotności, dość bycia starą, dobrą Jess, szparką sekretarką, która potrafi wszystko załatwić i naprawić. Nadeszła pora naprawić swoje życie miłosne.

Matt krążył między obozami. Jego przyjaciółka, zapalawszy gwałtowną żądzą do Vitosa, usiadła przy jego stoliku i nie zamierzała się stamtąd ruszyć.

Niewielka strata. Obserwował Jess gawędzącą z członkiem orkiestry Vitosa i zastanawiał się, co tych dwoje ma sobie do powiedzenia. Kiedy pogawędka przeciągnęła się do dziesięciu minut, nie wytrzymał.

Podszedł, wziął Jess pod rękę i oznajmił:

308

— Czas porozmawiać o interesach.

— O jakich interesach? — spytała, gdy prowadził ją do baru.

— Lennie wypadł dzisiaj tak przebojowo, że pomyślałem sobie, dlaczego nie mielibyśmy rozpocząć negocjacji na przyszłoroczny angaż.

— Akurat teraz?

— Czemu nie?

— Bo jesteśmy na przyjęciu.

— Chyba ci nie leży.

— Hę?

— To przyjęcie.

— Zwariowałeś.

— Sypiasz z Lenniem?

— Nie twój interes. — I majestatycznie odeszła. Trudno chodzić majestatycznie, gdy ma się metr pięćdziesiąt wzrostu, ale jakoś sobie poradziła.

Ryder Wheeler przedstawił Paige Vitosowi. Vitos skłonił się niski strzeł obcasami i wymruczał:

— Enchante.

Paige uznała, że to głupi błazen.

Eden tańczyła z przyjacielem Santina. Z tym wysokim, o małych, złośliwych oczkach i tłustych włosach. Listę jego przymiotów uzupełniał odór potu, wilgotne dłonie i smrodliwy oddech.

Miała nadzieję, że Lennie tego nie widzi.

Jednak wiedziała, że widzi, że ją obserwuje, choć otaczał go wianuszek dziewczyn. Mogła go odzyskać, kiedy tylko chciała.

Jeden zachęcający gest i od razu by do niej przybiegł.

Ta myśl poprawiła jej humor, mimo że włochaty goryl o spoconych dłoniach dźgał ją w udo swym na wpół wzwie-dzionym członkiem.

Lennie wstał, uwolnił Bużkę od aparatów i nie zważając na jej protesty, że jest nieodpowiednio ubrana, pociągnął dziewczynę na parkiet.

— Nie ma tu piękniejszej od ciebie — powiedział, jak

309

tylko znaleźli się na tyle blisko, żeby Eden mogła go usłyszeć.

— Ale ja muszę pracować — upierała się Bużka. — Odprowadź mnie do stolika i aparatów.

Na twarzy Eden wykwitł szyderczy uśmieszek. Uśmiechając się, zakrzywiła kącik ust, co zawsze doprowadzało go do furii.

Spotkali się wzrokiem i udali, że się nie znają. Olympia oznajmiła, że chce poznać komika. Matt zorganizował spotkanie na pasie ziemi niczyjej między obozami.

— Jest pan bardzo, ale to bardzo zabawny — powiedziała Olympia swoim najbardziej czarującym głosem. — Muszę zacząć oglądać pański program w telewizji. Słyszałam, że jest prześmieszny.

Lennie uśmiechnął się w podziękowaniu i już miał odejść, gdy wtem zauważył, że obserwuje go Eden. Tym razem się nie uśmiechała, nie zakrzywiła kącika ust. Tym razem była zazdrosna.

Co mogło wzbudzić zazdrość Eden Antonio?

Jedna z najbogatszych kobiet świata.

Obdarzył Olympię Stanislopoulos krzywym uśmiechem i spojrzeniem oczu koloru morskiej wody.

— Zatańczy pani? — spytał.

Uśmiechnęła się. Ładny uśmiech. Ładne włosy. Ładne piersi. Szkoda, że miała kilkanaście kilogramów nadwagi.

— Tak — odrzekła.

I ruszyli na parkiet przy dźwiękach „Street Life”.

Przyjęcie nabierało rumieńców.

Zaserwowano deser — olbrzymie puchary z dziesięcioma rodzajami lodów w różnokolorowym przybraniu. Murzyński śpiewak dawał z siebie wszystko, ciekawie naśladując Steviego Wondera i Smokeya Robinsona.

Vitos Felicidade cieszył się atencją wszystkich kobiet w sali. Nie zauważył, że Olympia usiadła w rogu z Lenniem Goldenem i że ich

rozmowa przestała być rozmową zdawkową.

310

Natomiast Eden to zauważyła. Tańcząc z odpychającymi kumplami Santina, dużo widziała.

Jess odnowiła znajomość z członkiem orkiestry Vitosa, z którym rozmawiała wcześniej. Grał na gitarze, mówił znośną angielszczyzną, miał bardzo wyraziste oczy i ręce.

Matt obserwował ją z daleka. Nie miał zadowolonej miny. Było oczywiste, że Jess uderza do gitarzysty tylko dlatego, że Lennie uderzał do tej dzianej fladry.

Santino chciał zrobić sobie zdjęcie z Vitosem Felicidade. Lubił fotografować się ze znakomitościami i miał całkiem sporą kolekcję zdjęć. Wezwano Eden, która katowała się na parkiecie z jego włochatym i kurdupłowatym przyjacielem. Był jeszcze niższy i jeszcze bardziej owłosiony niż Santino, dlatego była zachwycona, że zwolniono ją z tego obowiązku.

Ryder Wheeler zaprowadził ich do stolika Vitosa i dokonał prezentacji. Vitos olśnił Eden białymi zębami, wziął ją za rękę, leciuteńko uścisnął, podniósł dłoń do ust i ucałował. Jego oczy pałały żądzą.

— Enchante — wymruczał.

Eden Wyczytała w nich konkretną wiadomość. Wiadomość, która mówiła: Chcę się z tobą kochać. Niedługo. Bardzo niedługo. Zobaczysz, nie pożałujesz.

Ustawiając się do zdjęcia, Santino wepchnął ją między siebie i Felicidade. Dotyk Vitosa przyprawił ją o rozkoszne dreszcze.

Bonnatti doszedł do wniosku, że ustawienie jest nieodpowiednie. Staął

pośrodku i kazał hotelowemu fotografowi pstryknąć jeszcze jedną fotkę. Vitos chętnie z nim współpracował. Menadżer wyjaśnił mu, z kim będzie miał do czynienia. Od wielu tygodni negocjował z Ryderem Wheelerem warunki kontraktu na występ Vitosa w filmie. Wyglądało na to, że jedyną przeszkodą są pieniądze, a Ryder twierdził, że głównym inwestorem jest Bonnatti i że to on podejmie ostateczną decyzję. Vitos bardzo chciał wystąpić w filmie. Dlatego dosłownie ociekał miodem, roztaczał cały swój wdzięk i urok.

Lennie obserwował Eden. Miała chrapkę na Hiszpana. Dowodziła tego mowa jej ciała. Jednocześnie nie uronił ani jednego słowa z tego, co mówiła Olympia Stanislopoulos.

311

Przedobrzyła z szampanem i raczyła go opowieściami z jej życia. Biedna, bogata dziewczynka. Dostała za dużo i za wcześnie. Niełatwo być jedną z najbogatszych kobiet świata. Mężczyźni je wykorzystywali. Pragnęli ich pieniędzy i sławy albo po prostu chcieli się z nimi pokazać.

Zrobiło mu się jej żal. Olympię zaszufładowano. Była bogatą, zepsutą dziwką, i kropka. Tymczasem siedziała koło niego płochliwa kobieta, która — gdyby tylko zechciała zrzucić kilkanaście kilogramów nadwagi — mogła być kobietą bardzo atrakcyjną. Choć nie w jego typie. Miała niesamowite piersi...

Nie w jego guście. Jasne.

Eden nie spuszczała ich z oczu.

— Może byśmy stąd wyszli? — szepnęła żałośnie Olym-pia. —

Chciałabym pobyć chwilę z kimś, komu na mnie zależy.

Eden nie spuszczała ich z oczu. Zawahał się.

— Myślałem, że jesteś z Vitosem. Wzruszyła ramionami.

— To nie mężczyzna, to marionetka. Pociągniesz za jeden sznurek, to zaśpiewa. Pociągniesz za drugi, to uśmiechnie się do obiektywu.

Eden nie spuszczała ich z oczu, to pewne jak w banku. Wyjść stąd z Olimpią Stanislopoulos i zostawić Eden na pastwę jej uroczych gangsterów — o słodka zemsto! Wstał.

— Chodźmy — powiedział zdecydowanie. — Postawię ci drinka u siebie.

55

Lucky nie została dłużej w Los Angeles. Powiedziała Ginowi o wnuku i o małżeństwie z Dimitrim, zanim zdążył przeczytać o tym w gazetach, i wypełniła swoją powinność. Na szczęście Dimitri miał potężne wpływy i zdołał zapobiec opublikowaniu sensacyjnej wiadomości do chwili, gdy będzie gotów ogłosić ją osobiście.

312

Nazajutrz po kolacji u ojca zamówiła samochód, zarezerwowała bilety na samolot i wczesnym rankiem poleciała do Nowego Jorku z synkiem i Cee Cee.

Nie była na niego zła. Gdyby nie Susan, spędziliby cudowny wieczór.

Susan zadzwoniła i czar prysnął. Lecz musiała być realistką. Dużo się zmieniło. Układ córka z ojcem przeciwko całemu światu już nie istniał.

Teraz był ojciec z żoną, z pasierbem, pasierbicą — ojciec wyznający nowy styl życia. I córka — z mężem i dzieckiem. Ona też przyjęła inną skalę wartości.

W recepcji zostawiła wiadomość dla Costy. Do Giną napisała krótki list, w którym wyjaśniła, że musi natychmiast lecieć do Nowego Jorku, ponieważ Dimitri wrócił z Europy wcześniej, niż planował.

Dimitri... Kiedy powiedziała ojcu, za kogo wyszła za męża, w słuchawce zaległa złowieszcza cisza. Był za mądry, żeby ją krytykować, więc wymamrotał:

— Pogadamy o tym jutro przy śniadaniu. — Powiedział tylko tyle, nic więcej.

Cóż, ona(jadła śniadanie na pokładzie Boeinga 747. Ciekawe, co robił on.

— Jeszcze jedną grzaneczkę? — spytała Susan. Pokręcił głową.

— Herbatki? Znowu pokręcił głową.

— A może trochę ciasta? Z suszonymi śliwkami, twego ulubionego.

Wstał od stołu i zaczął krążyć po jadalni. Otrzymał wiadomość, gdy się ubierał. Bardzo go zdenerwowała. Dlaczego Lucky od niego uciekała?

Przez Susan. Przez Susan i jej przeklęty telefon. Przerwała mu w chwili, gdy zdecydował, że nadszedł czas porozmawiać z córką o śmierci jej

matki. Tak dawno chciał z nią o tym pomówić... No i o jej małżeństwie z

Dimitrim Stani-slopoulosem. Czy ona zwariowała? Staruch mógłby być jej dziadkiem! I miał parszywą reputację. Cały świat wiedział, że

Stanislopoulos od lat sypia z Franceską Fern, a Fran-cesca Fern to prawdziwa barrakuda.

313

Chryste! Lucky potrzebowała kilku ojcowskich rad. Nie to, żeby się do nich zastosowała. Pewnie kazałaby mu wsadzić je sobie gdzieś.

Ale był jej ojcem. Musiał spróbować, prawda?

— A może świeżutkiego grapefrucika? — spytała wesoło Susan.

Chciał się na nią wydrzeć, żeby się wreszcie zamknęła.

Była nudna jak flaki z olejem, lecz szybko zrozumiał, że to nie jej wina.

Susan się nie zmieniła. To on się zmienił. Osiadłe życie w luksusach

Beverly Hills? Uroczyste gale i przyjęcia? Ploteczki i rozmowy o niczym? Nie, to nie dla niego, nie dla Giną Santangelo. Gino Santangelo był dzieckiem ulicy nawykłym do szybkiego życia. A teraz miał siedemdziesiąt dwa lata i czuł się jak starzec.

Wiedział, że jego miejsce jest w Las Vegas, że tylko tam odzyska siły i werwę.

Nowojorski apartament Dimitriego był staromodny, nieskalany i zastawiony bezcennymi antykami. Mieszkał tam na stałe szef służby domowej i dwóch lokajów, a dwóch innych służących Dimitri zatrudniał na dochodne.

Lucky przyjechała dzień przed nim i stwierdziła, że mieszkanie jest okropne. Owszem, była tu kiedyś, ale być a mieszkać to zasadnicza różnica.

Zdecydowała, że albo zrobią tu gruntowne przemeblowanie, albo wraca do swego domu w Hamptons, który uwielbiała. Był taki jasny i przestronny, taki spokojny. Zmieniła tam tylko jedno: basen. Kazała go zasypać i założyć w tym miejscu różany ogród.

Czasami, w nocnych koszmarach widziała pływający w basenie materac... na nim matkę... rozkrzyżowaną... martwą.

Dimitri zadzwonił z Paryża.

— Jak się miewa Roberto? — To były jego pierwsze słowa.

— Świetnie. Chce nowy pokój.

— Że co proszę?

314

— Twoje mieszkanie jest przygnębiające. Mogę tu trochę pozmieniać?

— Nie podobają ci się moje meble? Urządzałem ten apartament z

najlepszym architektem wewnątrz w Nowym Jorku.

Nie uważał za stosowne zdradzić jej, że kiedy przed pięciu laty urządził mieszkanie, Francesca Fern groziła porzuceniem męża. To właśnie ona kazała zaprojektować wnętrze apartamentu wedle swojego gustu, ponieważ zamierzała się doń wprowadzić, ale z nim architekt skończył pracę, zmieniła zdanie i pogodziła się z Horacym.

Dimitri był wściekły. Jednak urządził przez Franceskę mieszkanie go zachwyciło i nie chciał wprowadzać żadnych zmian.

— Jest staromodny i przytłaczający — utyskiwała Lucky.

— Porozmawiamy o tym — odrzekł.

— Chyba żartujesz. Nie ma o czym rozmawiać. Mieszkanie jest ponure i chcę je przemeblować.

Rozmawiali jeszcze chwilę, a odłożywszy słuchawkę, Dimitri pograżył się w myślach. Lucky Santangelo była kobietą młodą i zdeterminowaną.

Czasami mówiła przerażająco wulgarnym językiem i zawsze robiła, co chciała. Dimitri przywykł do kobiet innego rodzaju. Przywykł do drogich, wyrafinowanych piękności, które posiadały wiedzę o naj-zbytkowniejszych luksusach życia. Tymczasem poślubił prawdziwą cyganekę. Czy aby na pewno postąpił dobrze?

Tak. Lucky była matką jego syna i spadkobiercy. A jako taka zasługiwała na jego nazwisko.

Francesca Fern wróciła przebojem do jego życia. Francesca. Te rude włosy, te szerokie, szkarłatne usta, ten matowy, dramatyczny głos.

Chłodna i oschła, nie dopuszczała go do siebie aż dwa lata, od konfrontacji na wieczornej gali w Las Vegas. Lecz FF miała niesamowite wyczucie chwili. Wiedziała, że się ożenił, więc zapragnęła go odzyskać. Zadzwoiła

do niego do Paryża.

— Przeczuwałam, że cię tu zastanę — wymruczała; od lat nie mówiła do niego tak ciepłym głosem. — Jestem sama. Kiedy się zobaczymy?

Wieczorem?

Francesca nie należała do kobiet, którym się odmawia.

315

Poza tym tchnęła namiętnością i seksem. Była jego kochanką od wielu lat i Dimitri nie widział nic złego w kontynuowaniu romansu, uznawszy, że na pewno nie wpłynie to na jego związek z Lucky.

— Wieczorem — obiecał.

— Tęskniłam za tobą...

I tak wróciła do jego życia.

56

Wydawca Fred Lester dzwonił do Carrie kilka razy. Chciał zaprosić ją na lunch i porozmawiać o książce, którą chciała napisać. Po trzecim telefonie uznała, że może to niezły pomysł. Do gabinetu Freda Lestera skierował ją los, dlaczego więc nie miałyby tego wykorzystać?

Ostatecznie dała się zaprosić. Poszli do „The Four Sea-sons” i rozmawiali o nie istniejącej książce.

— Znalazłem dla pani idealnego ghost writera — entuzjasmował się Lester. — Nazywa się Anna Robb. Pracuje szybko i myślę, że zaaprobuje pani jej styl.

Wymienił nazwiska dwóch telewizyjnych gwiazd: za jedną napisała książkę z cyklu, jak być piękną, za drugą rzecz o ćwiczeniach gimnastycznych.

— To one nie napisały ich same? — spytała naiwnie Carrie.

Fred roześmiał się i odrzekł:

— Nie miały ani czasu, ani talentu. Naturalnie, nie chcę suponować, że pani też nie ma talentu — dodał szybko. — Może nie życzy sobie pani pomocy albo jej nie potrzebuje. Ale proszę mi wierzyć, jeśli nigdy dotąd nie próbowała pani pisać, tak będzie znacznie łatwiej. Żadnych zmartwień o gramatykę, o interpunkcję czy o stylistykę. Po prostu swobodny przepływ myśli, które Anna nagra na magnetofon. Co pani na to?

Carrie musiała przyznać, że chyba to nic trudnego.

— Czy ma pani agenta?

— A muszę? — odparowała.

— Gdybym chciał skłamać, powiedziałbym, że nie. Acz-

316

kolwiek dobry agent dopilnuje pani interesów. Choć z drugiej strony chcę zaproponować pani uczciwą umowę i może mi pani zaufać. Ufa mi pani, prawda?

Kiwnęła głową. Boże, to było absurdalne. Jak dotąd widzieli się tylko raz, ale Lester sprawiał wrażenie człowieka uczciwego i nawet się jej podobał.

— Nie sędzę, żebym potrzebowała agenta — zdecydowała.

— W takim razie potargujmy się — odrzekł z iskierką rozbawienia w łagodnych, brązowych oczach.

— Co robisz?! — warknął Steven.

— Piszę książkę — powtórzyła spokojnie Carrie. Zmiażdżył ją wzrokiem.

— Tj! piszesz książkę?

— Czemu nie? To nie takie trudne, jak wygląda. Zresztą to ty wysłałeś mnie do tego wydawcy. Dają mi kogoś do pomocy i płacą bardzo duże pieniądze. — Zamilkła z nadzieją, że zareaguje trochę pozytywniej. Nie

zareagował. — Naprawdę znam się na sprawach związanych z urodą, rozrywką i modą —'— ciągnęła. — To będzie książka o dobrym smaku. Zdegustowany Steven prychnął i przeszedł do rzeczy.

— Przyjechałem, żeby powiedzieć ci, że w przyszłym tygodniu lecimy do Kalifornii — wypalił prosto z mostu.

Aż bała się spytać, po co.

— Dlaczego? — wykrztusiła.

— Ponieważ mam dość tych Lesterów. Zabrnąłem w ślepy zaułek.

Niewykluczone, że ten człowiek nawet się tak nie nazywał.

— Nazywał się Lester.

— Mógł skłamać.

Bezradnie rozłożyła ręce. Jak go przekonać, że to bez znaczenia?

— Już sama nie wiem...

— Widzę, że wcale się tym nie przejmujesz, prawda? — zauważył chłodno. — No tak, niby dlaczego miałabyś się przejmować? Ułożyłaś sobie nowe życie, żyłaś maskaradą i byłaś w tym znakomita.

317

— Chciałam cię ochronić — odrzekła cicho.

— W takim razie po co zdradziłaś mi prawdę? — wybuchnął.

— Przecież wiesz, po co — szepnęła. — Pracowałeś nad sprawą Bonnattiego... Enzo Bonnatti był moim szefem... Sprzedawałam dla niego narkotyki, dostarczałam mu dziewcząt, prowadziłam jego burdel... — Zdławiła szloch. — Ste-ven, ostrzegł mnie stary przyjaciel: Enzo wiedział, kim jesteś. Kiedy uciekłam, prześledził całe moje życie i dowiedział się, kim jesteś. Wyobrażasz sobie, co by zrobił, gdybyś postawił go przed sądem? Wydałby nas oboje.

— Ale nie udało mi się, prawda? — odrzekł szorstko. — Lucky Santangelo dopadła go pierwsza. Pracowałem nad tą sprawą ponad rok, a ona przysłała i odstrzeliła facetowi jaja.

Carrie sięgnęła nerwowo po papierosa.

— Zasługiwał na to — powiedziała trzęsącym się głosem. — Enzo Bonnatti był potworem. — Nigdy nie opowiadała mu o tamtym dniu roku 1977. Nigdy nie zdradziła mu całej prawdy. Wczesnym rankiem wynajęła samochód, z kolekcji Elliota zabrała rewolwer i pojechała do rezydencji Bonnattiego na Long Island. Dotarłszy na miejsce, zaparkowała przed bramą i przesiedziała w samochodzie cały dzień... Czekając, próbując zebrać odwagę. Później, w przyływie rozsądku, wróciła do miasta i popędziła do biura Stevena. Właśnie wychodził i nie miał czasu z nią rozmawiać. Nie wiedziała, że jedzie aresztować Bonnattiego. Nie wiedziała, że zanim dotrze na miejsce, Lucky Santangelo zdąży Bonnattiego zastrzelić.

Kiedy wrócił wieczorem do domu, wyjawiała mu całą prawdę o swojej przeszłości i jego niskim pochodzeniu. Gdyby wiedziała, że Bonnatti nie żyje, może by tego nie zrobiła. Ale było za późno, żeby tak myśleć...

Powiedziała mu i prawda go zdruzgotała.

Jak mogła zwrócić mu dumę dzisiaj, po trzech latach?

— Dlaczego wracamy do Kalifornii? — spytała cicho, choć znała odpowiedź aż za dobrze.

— Żeby złożyć wizytę panu Ginowi Santangelo — odrzekł niewzruszony Steven. — I przekonać się, czy musimy

318

kontynuować poszukiwania prawdziwego Freddy'ego Lestera.

Olympia Stanislopoulos i Lennie Golden wylądowali w łóżku z zupełnie niewłaściwych powodów.

W zaciszu apartamentu Lenniego opróżnili jeszcze dwie butelki szampana, wypalili trochę trawki i zaćpani, żywiołowo zrzucili z siebie ubranie. A potem zabrali się ostro do roboty.

Olympia zamknęła oczy i pomyślała o Flashu.

Lennie zamknął oczy i pomyślał o Eden.

W rezultacie oboje mieli fantastyczny orgazm.

Później wzięli razem prysznic, zażyli dużo koki, którą Olympia akurat miała przy sobie, i po wymianie zdań stwierdzili, że świetnie się bawią.

Lennie nie przepadał za narkotykami, ale tego wieczoru miał ochotę przyćpać. Do diabła ze wszystkim!

Co by powiedziała na to Alice Piersióweczka, gdyby mogła go teraz zobaczyć? Oto wrócił do rodzinnego miasta — on, Lennie Golden. Z tym, że był teraz królem tego całego bajzlu.

Był gwiazdorem.

Leżał w łóżku z jedną z najbogatszych kobiet świata.

I cieszyła go każda spędzona w ten sposób chwila.

— Powinniśmy zrobić coś zwariowanego — postanowiła Olympia. Jej niebieskie oczy lśniły jaśniej niż brylanty. — Coś naprawdę zwariowanego.

— Myślałem, że właśnie to zrobiliśmy! — zażartował. Olympia wyskoczyła z łóżka. Pulchna, z wielkimi piersiami, miała isticie rubensowskie kształty.

— Pobierzmy się. — Zapropozowała to z taką łatwością, jakby zaczynała

przywykać do wypowiedzania tych słów.

— Co takiego?! — Owszem, był zaćpany, ale nie aż tak.

— To by dopiero dało im do myślenia. — Zachichotała. — Możesz to sobie wyobrazić? Pisaliby o nas na pierwszych stronach wszystkich gazet.

319

■

— Moment, wstrzymaj konia. Małżeństwo nie interesuje mnie nawet w najmniejszym stopniu.

Była szczerze zaskoczona.

— Dlaczego?

— Ponieważ... eee... Ponieważ po prostu nigdy o tym nie myślałem.

— Ja wychodziłam za mąż trzy razy — zauważyła z powagą. — I za każdym razem poślubiałam bubka bez grosza przy duszy. — Usiadła na łóżku i pogładziła mu pierś. Oczy miała wielkie, poważne i kobaltowo błękitne. — Co masz do stracenia? Przeżylibyśmy przygodę i kto wie, może by ci się nawet spodobała.

Zaczął się śmiać. Pomysł był naprawdę zwariowany.

— Daj spokój... — zaczął.

Objęła go za szyję i potarła wielkimi piersiami o jego nagą pierś.

— Nie jestem byle kim, Lennie. Wiesz, kto przed tobą siedzi. Wiesz, jakie życie moglibyśmy wieść. A jeśli nie wypali... żadnych zobowiązań, żadnych alimentów, żadnych tego rodzaju bzdur. Któż inny mógłby zaproponować ci równie słodki układ?

Lennie zaczął się zastanawiać. I to poważnie. Oczywiście, na tyle poważnie, na ile pozwalał mu wypity szampan, wypalona trawka i zażyta koka. Nie wspominając już o ćwiartce wódki obalonej wieczorem.

Gdyby Lennie Golden poślubił Olympię Stanislopoulos, Eden dostałaby szału. Zemsta absolutna! Chryste! Tak, gdyby chciał, mógł to zrobić. No i rzeczywiście, cóż miał do stracenia?

Jednonocne numery. Matka, której nigdy nie obchodził. Napalone na gwiazdorów fanki. Mieszkanie w Los Angeles ze dziecinniełą sprzątaczką. Samotne noce pełne rozmyślań o Eden.

— Posłuchaj — rzekł, próbując zebrać myśli. — Nie znamy się. Jesteśmy dwojgiem obcych sobie ludzi, którzy spędzili kilka przyjemnych chwil w łóżku...

— Czyż nie jest to tym bardziej podniecające? — westchnęła marzycielsko Olympia. — Jak prawdziwa czarodziejska podróż. Czy można pragnąć czegoś więcej?

320

- Nie zrobię tego, ty sukinsynu — syknęła Eden. — Nie zmusisz mnie. Santino dłubał paznokciem w zębach i patrzył na nią z kamiennym wyrazem twarzy. Stali naprzeciwko siebie w sypialni ich hotelowego apartamentu. W salonie czekało jego dwóch obleśnych kumpli.

— Pomyślałby kto, że każę ci biegać nago po głównej ulicy miasta — mruknął Santino. Zadrzała mu powieka lewego oka. Eden wiedziała, że to zły znak. — A ja chcę tylko, żebyś zrzuciła te szmatki i przeszła przez salon w samych szpilkach. To taka wielka sprawa?

— Chcesz, żebym dała przedstawienie dla twoich parszywych koleśków — odparła przez zaciśnięte zęby. — A ja tego nie zrobię.

— Zrobisz — warknął Santino. — Chcesz wystąpić w tym pieprzonym filmie, to lepiej mnie słuchaj. — Jednym płynnym ruchem wsunął grubą łapę za stanik jej nowej nocnej koszuli, mocno szarpnął w dół i rozdarł

srebrzysty materiał.

— Ty skurwysynu! — szepnęła. Wymierzył jej lekki policzek.

— To na początek — powiedział spokojnie. — Chcesz więcej, to dalej udawaj niewinną cipę. — Podszedł do drzwi, odwrócił się i spojrzał na nią. Miał najmniejsze, najbardziej złośliwe oczy, jakie kiedykolwiek widziała. — Chcę, żebyś jakby nigdy nic przeszła przez salon z dupą na wierzchu. Zrobisz sobie drinka i wrócisz tutaj. Jasne?

— A co potem? — wybuchnęła. — Mam się z nimi przespać?

— Kotku. Puścisz się z kimś, i cię zabiję. — Wyszedł z sypialni.

Zagryzła wargę, próbując opanować narastającą falę złości. Za kogo ją miał?!

Weszła do łazienki i zdjęła zniszczoną koszulę. Zerknąwszy w lustro, zauważyła lekki ślad dłoni na bladej skórze policzka. Przypudrowała go, dodała trochę różu, trochę błyszczyka na usta i wygładziła gęste blond włosy.

Santino Bonnatti chciał przedstawienia.

Więc da sukinsynowi przedstawienie.

321

Pieczołowicie potarła sutki małych piersi, żeby sterczały, czerwone i wzwiedzione. Potem zdjęła majteczki i wzburzyła kępkę jasnych włosów między udami. Następnie wzięła rozpylacz i spryskała się obficie oliwką dla niemowląt, żeby nadać ciału połysk. Kilka psiknięć perfumami Shalimar dopełniło efektu. Teraz musiała tylko nałożyć srebrzyste sandały na wysokim obcasie i opasać się cienkim, srebrnym łańcuszkiem. Kiedy uznała, że jest gotowa, cofnęła się i spojrzała do lustra, żeby ocenić efekt. To tylko zwykła rola, wmawiała sobie. Spróbuj. Zagraj ją. Nie

pozwól, żeby ten sukinsyn dobrał ci się do skóry. Z wyniosłą godnością otworzyła na oścież drzwi i niespiesznie weszła do salonu.

Santino rozmawiał z kumplami. Rozmowa ustała — pożerali ją wzrokiem. Nie zwracając na nich najmniejszej uwagi, podeszła do barku.

Santino zaczął coś mówić, jakby nic się nie stało, ale widać było, że nikt go nie słucha.

Z chłodnym wyrachowaniem Eden nalała sobie kieliszek białego wina i dodała lodu. Potem, ciągle opanowana i chłodna, przecięła salon, przystanęła w drzwiach do sypialni i matowym głosem wymruczała:
— Dobranoc, chłopcy.

Co za wyjście! Zabawne, ale bardzo ją to podnieciło. Tak, podnieciło ją to darmowe przedstawienie... Boże, ale się ślinili!

Żałowała, że nie ma przy niej Lenniego. Była rozpalona, gotowa, była...

Otworzyły się drzwi i do sypialni wpadł Santino. Spieszył się, po drodze rozpiął spodnie. Bez słowa pchnął Eden na kolana i stanął przed nią.

Menadżer poinformował go, że Olympia Stanislopoulos wróciła do swego apartamentu. Vitosowi nie było przykro. Bynajmniej. Miał za sobą długi dzień i nie dałby rady sprostać jej agresywnym wymaganiom łóżkowym.

Wyszedł z przyjęcia, nie przestając się uśmiechać. Kilka kobiet pró-

322

bowoło wyjść razem z nim — to jedno z niebezpieczeństw czyhających na międzynarodowy symbol seksu. Ale zdołał im jakoś uciec dzięki czarowi, wdziękowi i parszywej an-gielszczyźnie, która zdawała się tylko przydawać mu uroku.

Zostawszy sam, przestał się wreszcie uśmiechać. Zrobił to z głęboką ulgą.

Bez uśmiechu, był zimnym trzydziesto-parolatkiem o smutnych oczach i anemicznych ustach. Zostawszy sam, nareszcie mógł zdjąć małą treskę, którą zasłaniał niewielką, acz wielce niepokojącą łysinę na czubku głowy. Zostawszy sam, nareszcie mógł wyjąć z ust mostek spinający trzy z jego lśniących, białych zębów. Zostawszy sam, rozebrał się, szczęśliwy, że choć raz nie musi wciągać brzucha i/prężyć ramion. Zostawszy sam, choć raz nie musiał osiągać wzrodu i dowodzić swej męskości. Choć raz symbol seksu mógł odpocząć. I odpoczywał.

— Śniadanie? — zaproponował Matt. Jess wzruszyła ramionami.

— Czemu nie? — Gitarzysta Vitosa okazał się zwariowanym hazardzistą. Łaziła za facetem od stołu do stołu, wreszcie położyła na nim kreskę i wróciła na górę, by stwierdzić, że przyjęcie dobiega końca. Matt zatrzymał ją w drzwiach. Jego przyjaciółka zniknęła.

t Miły wieczór — powiedziała Jess.

— Owszem, niezły — zgodził się z nią Matt.

Oboje chcieli powiedzieć więcej, ale chwila była nieodpowiednia.

- Tak - - powiedziała Olympia. Wciąż była zaćpana, ale doskonale wiedziała, co robi.

— Tak — powiedział Lennie, nakładając tanią, plastikową obrączkę na serdeczny palec jej lewej ręki. Kupił tę obrączkę przed drzwiami KAPLICY MIŁOŚCI I SZACUNKU (ŚLUBÓW UDZIELAMY 24 GODZINY NA DOBĘ). Był wciąż nawalony jak stodoła i nie miał żadnych oporów.

323

— Ogłaszam, że jesteście mężem i żoną — powiedziała kaznodziejka; w wałkach do nakręcania włosów na głowie i w grubej welurowej todze

wyglądała jak zmora. — Może pan pocałować pannę młodą.

Lennie chwycił Olympię, pochylił ją do tyłu jak w karykaturalnej figurze tanga i pocałował.

Upadli na podłogę, zanosząc się śmiechem. Kaznodziej-ki to nie rozbawiło. Była piąta rano i chciała wrócić do łóżka.

58

W nowojorskim apartamencie Stanislopoulosa podano kolację. Trzech kelnerów zaspokajało każdą potrzebę Di-mitriego i Lucky.

— Nie mogę znaleźć Olympii — burknął z dezaprobatą Dimitri. —

Wyjechała z Nowego Jorku z Brigitte i nie raczyła powiedzieć, dokąd.

— Olympia to duża dziewczynka — zauważyła Lucky, grzebiąc widelcem w sałatce. — Chyba nie chcesz, żeby meldowała ci o każdym swoim ruchu, prawda?

— Chcę móc kontaktować się z nią, kiedy zajdzie taka potrzeba — mruknął rozdrażniony.

— Na pewno da o sobie znać. Mówiłeś, że zawsze bierze udział w letniej przejażdżce jachtem, a to już za dwa tygodnie.

— Tak. — Dimitri sięgnął po kieliszek czerwonego wina. Przyleciał z Paryża poprzedniego dnia i jeszcze nie poinformował Lucky, że zaprosił na jacht Franceskę i Horacego Fernów. Uznał, że to doskonała sposobność. Odchrząknął i przedstawił żonie listę gości. Byli na niej Francesca z Horacym, Olympia z Flashem, Brigitte i nianią, teksański potentat naftowy z żoną oraz arabski miliarder z przyjaciółką, znaną bywalczynią najlepszych kręgów towarzyskich.

Lucky wykrzywiła usta.

— Sami zabawowi ludzie — skonstatowała z wyraźną kpina w głosie.

- Letnia przejażdżka moim jachtem to jedno z najwięk-

324

szych wydarzeń towarzyskich — odparł napuszony Dimitri. —

Zaproszenie jest wielce pożądanym wyróżnieniem. Lucky parsknęła śmiechem.

— Czasami bredzisz jak egzaltowany goguś!

— Dlaczego nie zaprosisz swoich przyjaciół? — spytał, chcąc ją uszczęśliwić.

— Muszę tam jechać? — spytała poważnie. — Nie przepadam za wydarzeniami towarzyskimi, poza tym mam dużo roboty. Jutro chcę obejrzeć tereny pod zabudowę w Atlantic City i jeśli znajdę odpowiednią działkę, muszę natychmiast rozkręcić cały młyn. No wiesz, trzeba spotkać się z budowlańcami, z architektami. Trzeba puścić maszynę w ruch

— Oczywiście, że musisz. Jesteś moją żoną i chcę cię przedstawić przyjaciołom. Nawet jeśli znajdziesz jutro odpowiedni teren, negocjacje trochę potrważą. Moi prawnicy wszystkim się zajmą. — Zamilkł na chwilę. — Olympia też przyjedzie. Musimy powiedzieć jej razem.

— Ciekawe, jak to przyjmie. — Lucky westchnęła w zadumie, podczas gdy dwaj kłnerzy zabrali ze stołu talerze po sałatce i napełnili kieliszki winem.

— Kiedyś byłyście bliskimi przyjaciółkami. Zaprzyjaźnicie się ponownie. Może wywrzesz na nią pozytywny wpływ. Ten absurdalny romans z Flashem to prawdziwa katastrofa. Mogłabyś jej doradzić zerwanie.

— Wspaniale. Wraca stara przyjaciółka Lucky i natychmiast mówi jej, jak ma żyć. Na pewno chętnie mnie posłucha.

— Olympia trzeba pokierować.

— Trudno, ale ja nią nie pokieruję.

Służąca w mundurku przyniosła tacę cieniutko krojonych plasterków rostbefu i Lucky się obsłużyła. Będzie musiała coś zrobić z tymi oficjalnymi kolacyjkami we dwoje. Bardziej odpowiadała jej pizza przed telewizorem.

— Mam pomysł — rzucił Dimitri. — Może byś tak zaprosiła na jacht swego ojca i jego czarującą żonę? Chciałbym, żeby była to impreza rodzinna.

Lucky omal się nie zadławiła. Gino. Na jachcie. Wykluczone. Ale czarującej żoneczce na pewno by się to

325

spodobało. Wyobraziła sobie Susan fraternizującą się z gronem luzackich, acz podstarzałych miliarderów.

— Nie sądzę — odrzekła.

— Dlaczego? — nalegał Dimitri. — Każę sekretarce zatelefonować i wysłać zaproszenia, dobrze?

Wzruszyła ramionami.

— Dobrze — powiedziała, doskonale wiedząc, że Gino nigdy nie zechce przyjechać.

— Tak — odparła wylewnie Susan. — Proszę przekazać panu Stanislopoulosowi, że z radością odwiedzimy go na jachcie.

Odłożyła słuchawkę i od razu zaczęła myśleć o strojach. Jakich potrzebowała? Jakie powinna zabrać? Trzeba natychmiast wypuścić się po zakupy. Jak to dobrze, że Lucky Santangelo choć raz w życiu zrobiła coś inteligentnego i wyszła za mąż za Dimitriego Stanislopoulosa. Choć z drugiej strony nie mogła się nadziwić, jak go złowiła. Cóż człowiek

pokroju Dimitriego mógł zobaczyć w tak nieokrzesanej dziewczynie jak Lucky? Na pewno wrobiła go w dziecko.

Pamiętała spotkanie z Dimitrim w Las Vegas. Przez jedną krótką chwilę uważała go za znakomitego kandydata na męża — kiedy jeszcze na męża polowała. Lecz wkrótce stało się oczywiste, że te wszystkie historie o Francesce Fern to szczerą prawdą — gadał o niej cały wieczór. Jak Lucky zdołała usunąć z jego życia potężną FF? Może dowie się tego na jachcie. Po co marnowała czas? Czekał na nią Neiman-Marcus. Czekał na nią Saks, Magnins, Bonwits... Pospiesznie wyszła z domu.

59

— Nie mogę w to uwierzyć! — darła się Jess. — Czyś ty zwariował?! Czyś ty oszalał?! Co cię napadło?!

- Wystarczyłyby zwyczajne gratulacje — jęknął Lennie.

326

— Masz wszelkie podstawy do tego, żeby zostać kolejnym gwiazdorem — wrzeszczała. — Wielkim gwiazdorem, gwiazdorem nad gwiazdoram! Leżał na kozetce w swoim apartamencie, obserwując rozwścieczoną Jess, która chodziła tam i z powrotem po grubym dywanie. Bolała go głowa. Bolały go oczy. Bolało go całe ciało. Nawet zęby sprawiały mu kłopot. — I co robisz? — krzyczała. — I co ty najlepszego robisz?! Żenisz się z dzianą nimfomanką, która zapędzi cię do dźwigania bagażu. Najwyraźniej zwariowałeś.

Lennie zdjął z czoła zimną myjkę i poprosił — najgrzeczniej, jak umiał — żeby zechciała mówić nieco ciszej. Jess przeszła go złośliwym spojrzeniem.

— Dupek! — wymamrotała.

— Bogaty dupek — odrzekł znużony.

— Głupi, bogaty dupek — odwarknęła. — Ślub z Olym-pią Stanisłoskisło, czy jak jej tam, to kiepski żart. Ilu mężów miała? Ilu słynnych kochanków? Witaj na liście, Lennie. Jesteś teraz członkiem wielkiego klubu. Ta twoja Olympia to damski Warren Beatty międzynarodowej śmietanki towarzyskiej, z tym że Warren Beatty bez krzyny talentu. No i jak ci się podoba bycie jednym z wielu?

— Jess — poprosił cicho. — Zrób mi przysługę i się odpieprz.

— Szkoda, że nie mogę.

— To się zmuś. W mojej głowie maszeruje armia goryli i czuję, że musimy zostać sami.

— Och, Lennie. — Jess usiadła na kozetce i wzięła go za rękę. — Przypuszczam, że byłeś naćpany i napalony. Dlaczego jej po prostu nie zerznąłeś, zamiast się z nią żenić?

— Chyba zrobiłem i to, i to.

Zrozpaczona pokręciła głową. Lennie. Najlepszy przyjaciel. Jeśli chodziło o kobiety, zawsze gotów ugrzęznąć w najgłębszym bagnie.

Przyszła przed godziną — była wtedy jedenasta przed południem — i zastała go śpiącego w ubraniu na kozetce, z mokrą myjką na czole. Gdy usiłowała przetaszczyć go do sypialni, otworzył przekrwione oczy i wybełkotał:

— Chyba zrobiłem coś, co ci się nie spodoba. — I wyznał

327

całą prawdę, którą potwierdził akt ślubu walający się na podłodze.

Kiedy się wreszcie wywrzeszczała, spróbowała zebrać myśli i ocenić sytuację logicznie.

— Gdzie jest Olympia? — spytała spokojniej, niż się naprawdę czuła.

— Nie wiem — jęknął. Wstał, wszedł chwiejnie do toalety, zrobił siusiu, spojrzął w lustro i wpadł z powrotem do sypialni, gdzie runął na łóżko twarzą do poduszki. Nigdy więcej prochów. Nigdy więcej.

Jess weszła za nim do sypialni.

— Zamówiłam śniadanie — powiedziała. — Zjesz i poczujesz się lepiej.

— Nie wspominaj mi o jedzeniu.

— Wstań. Weź prysznic. Musimy to wszystko jakoś poukładać.

— Odpieprz się, Jess.

— Przestań się powtarzać. Chcę ci pomóc. Podrapał się w głowę, usiadł i sięgnął po papierosa.

— Chyba trochę za późno.

Olympia nie spała. Flash zdradził jej pewien użyteczny sekret: po całonocnym picciu i ćpaniu stawić czoło nowemu dniu można tylko z małą pomocą dwóch wielkich białych pigułek methaqualonu.

Zażyła je, wróciwszy do hotelu, i kiedy się wykąpała i przebrała, była gotowa do boju. Najpierw zadzwoniła do swego nowojorskiego adwokata. Potem do szefa reklamy hotelu „Magiriano”. A ponieważ nie brakowało jej dobrych manier, zadzwoniła też do Vitosa.

— Pan Felicidade nie przyjmuje telefonów przed dwunastą — zageęła telefonistka z biura zleceń.

Ekstra. Niech spadnie to na niego jak grom z jasnego nieba.

Eden obudziła się wcześniej i zsunęła się z łóżka niczym konspiratorka.

Santino spał na plecach, głośno chrapiąc.

328

Cicho wyjęła z szafy ubranie, wślizgnęła się do łazienki i zamknęła drzwi.

Dlaczego nie porozmawiała z Lennie na przyjęciu?

Dlaczego on z nią nie porozmawiał?

Obmyła twarz zimną wodą. Ślad po uderzeniu już zniknął — miała porcelanową skórę, egzotyczne kości policzkowe, bursztynowe oczy i była piękna jak zawsze.

Musnęła powieki brązowym cieniem, nałożyła odrobinę różu i pociągnęła wargi błyszczkiem. Potem związała włosy w kucyk. Wyglądała młodo i zwyczajnie. Lennie taką Eden uwielbiał..

Nałożyła białe lniane spodnie i jedwabisty podkoszulek.

Niemal wstrzymując oddech, wróciła do sypialni. Santino wciąż spał. Na stoliku przy łóżku leżał plik banknotów, trochę złotej biżuterii i rewolwer z krótką lufą. Nie zwracając uwagi na broń i złoto, ostrożnie wzięła z pliku kilka setek. Potem stanęła przy biurku i szybko naskrobała krótką wiadomość. WYSZŁAM PO ZAKUPY. ZARAZ WRACAM. Nie spodoba mu się to, dobrze o tym wiedziała, ale musiała wyjść nie śledzona. Miała tylko nadzieję, że Zeko nie śpi przed drzwiami sypialni.

Santino był niebezpiecznym człowiekiem. Obsesyjnym i nieobliczalnym. Znosiła go przez dwa lata i była gotowa znosić go do chwili, gdy skończą kręcić film. Lecz po występie poprzedniego wieczoru było oczywiste, że potrzebowała ubezpieczenia. A kto zapewni jej lepsze niż Lennie Golden. Zwłaszcza że był teraz na topie.

- Kim pani jest? — spytała władczo Olympia, mijając Jess i wchodząc do apartamentu Lenniego.

Biała ażurowa sukienka, różowe kwiaty we włosach — blond dziedziczka była ubrana do interesów. Szło za nią kilku posługaczy ze sklepu, niosąc garnitury w plastikowych pokrowcach, zestawy koszul na wieszakach i

różne pudła.

— Jestem menadżerką Lenniego — odrzekła Jess. — A co to za...

— Hmm... — Olympia zniszczyła ją majestatycznym spojrzeniem. — W takim razie spodziewam się, że już pani wie.

329

— Tak, i właśnie...

Olympia zignorowała ją i zwróciła się do pacholków z ubraniami. —

Położcie wszystko na kozetce i wyjdźcie — zakomenderowała.

Zrobili, co im kazano.

Kiedy wyszli, Olympia jeszcze raz otaksowała Jess chłodnym spojrzeniem.

— Chcę, żeby dopilnowała pani kilku spraw — powiedziała szorstko. — O trzeciej po południu wydajemy bankiet. O jedzenie i kwiaty zadba hotel, ale musi pani dopilnować, żeby wszystko zorganizowano, jak należy. I koniecznie, ale to koniecznie trzeba ściągnąć tu prasę. Chcę, żeby przyszli najlepsi. Przylatuje do nas kilku dziennikarzy z Los Angeles. Na lotnisku musi czekać na nich limuzyna, a kiedy już tu dotrą, trzeba się nimi zająć.

— Nabrała powietrza. — Nie wygląda pani na menadżerkę — dodała z obraźliwym lekceważeniem w głosie. — Ale myślę, że Lennie wie, co robi. Gdzie on jest?

Jess prawie odebrało mowę. A więc to ją Lennie poślubił? Tę piskliwą wiedźmę o grubych nogach i wielkich cycach. Lennie, który zawsze spijał śmietankę śmietanki, który zawsze wybierał najlepsze z najlepszych.

Bezradnym gestem wskazała drzwi do sypialni.

— Tam — powiedziała. Niech sam stawi jej czoło. To on się z nią ożenił, nie ona.

Vitos obudził się na dźwięk swego głosu. Jego miękki, pieszczotliwy śpiew skutecznie koił powrót do rzeczywistego świata.

Połączony z magnetofonem budzik włączył się punktualnie o dwunastej w południe. Vitos przetoczył się na łóżku, jakiś czas leżał na pograniczu jawy i snu, potem wstał, zrobił kilka ćwiczeń, wziął prysznic, ogolił się, przykleił treskę, włożył mostek, po czym wezwał swego menadżera i kelnera z obsługi hotelowej. Przyszli jednocześnie.

Podczas gdy Vitos jadł świeżego grejpfruta i jajecznicę, popijając cytrynową herbatą (musiał przestrzegać diety bez względu na okoliczności), menadżer chodził nerwowo po

330

pokoju. Odkrył Vitosa Felicidade, gdy przyłapał swoją meksykańską służącą na oglądaniu jakiegoś hiszpańskiego programu telewizyjnego — Vitoś śpiewał, a ona śliniła się na jego widok.

— Te kobiety w Ameryce, one mnie tak bardzo kochają — wymruczał w zadumie piosenkarz, sącząc herbatę.

— Tak — zgodził się z nim menadżer, zastanawiając się, w jaki sposób sprzedać mu plotkę krążącą po hotelu.

— Czasami to takie trudne stworzyć uniwersalny język miłości. Ja myślę, że one wszystkie tak dobrze mnie rozumieją./

— Tak.

— Ach... — Vitos westchnął. — Te kobiety. One mnie tak kochają.

— Gdzie Olympia? — spytał szybko menadżer, wykorzystując sposobność.

— Masz moje papiery z Hiszpanii? — spytał Vitos, wstając od stołu i podziwiając się w lustrze. Przecwiczyl uśmiech, a ponieważ spodobało mu

się to, co zobaczył, przystąpił do ćwiczeń mięśni twarzy skutecznie usuwających podwójny podbródek. Nie to, żeby go miał, ale ostrożności nigdy nie za wiele.

— Jeszcze nie nadeszły.

— To źle. — Vitos to wysuwał, to cofał szczękę. — A może nie tak źle. Ten ślub, naprawdę myślisz, że Vitos powinien wziąć ślub? Kobiety będą... jak się to mówi... połamane.

— Załamane.

— Jak?

— Nieważne.

- Dzień dobry! — Olympia otworzyła na oścież drzwi do kabiny prysznicowej. — Jak się dzisiaj mamy?

Lennie spojrzał na żonę, która bynajmniej nie robiła wrażenia przybitej. Wyglądała świeżo, promiennie i wyjątkowo ładnie, choć była trochę za puszysta.

— Jak wielbłądzie gównu — odparł zimno. — Naprawdę zrobiliśmy to, o czym myślę?

331

Wybrała duży ręcznik, rozłożyła go i przytrzymała, żeby mógł się nim owinać.

— Naprawdę.

— Psiakrew!

— Chyba tego nie żałujesz, prawda? — Jej niebieskie oczy zrobiły się wielkie jak spodki, dzięki czemu Olympia zdołała przybrać wygląd kobiety skrzywdzonej i jednocześnie bezbronnej.

— Chryste, sam nie wiem... — Owinął się w pasie ręcznikiem i

spróbował ocenić sytuację. Stał w łazience hotelowego apartamentu w Las Vegas z jedną z najbogatszych kobiet świata, którą znał niecałe dwadzieścia cztery godziny, i którą zdążył w tym czasie poślubić! Oczekiwał, że lada moment się obudzi. Nie, to nie jest rzeczywistość, jak zauważyła elokwentna Jess — to szaleństwo.

— Musimy porozmawiać — rzucił, wchodząc do sypialni w poszukiwaniu papierosów. — Nie wiem jak ty, ale ja byłem wczoraj nawalony. Ostro nawalony. Dlatego... Chryste, nie wiem, ale w zimnym świetle dnia to wcale nie wygląda zabawnie, prawda?

Spojrzał na nią z nadzieją, że się z nim zgodzi, że powie: „Co za błąd! Przyszłam powiedzieć ci, że już się tym zajęłam, że wszystko odkręciłam. Ślub jest nieważny”.

Zamiast tego oświadczyła:

— Na trzecią po południu zaplanowałam bankiet. Nie to, żebyśmy potrzebowali jeszcze jednego przyjęcia, ale musimy mieć zdjęcia i tort. — Roześmiała się wesoło. — Bez tego cóż to byłby za ślub? No i moja córka, Brigitte. Brigitte będzie bardzo rozczarowana, jeśli nic nie zrobimy. To cudowna dziewczynka, na pewno cię oczaruje. Jest teraz z nianią, wybierają sukienkę.

— Nie wiedziałem, że masz dziecko — powiedział zmieszany.

— Wielu rzeczy o sobie nie wiemy, prawda? — Popieściła go niewinnym uśmiechem. Kiedy to jej odpowiadało, umiała odgrywać najniewinniejszą z dziewczyc. — Ale właśnie na tym polega połowa zabawy, he? Na odkrywaniu kolejnych sekretów. — Uścisnęła go ciepło. — Kupiłam ci trochę ubrań. Są w sypialni z twoją... eee... menadżerką. Pomyś-

lałam, że na ślubny bankiet zechcesz nałożyć coś nowego. Och, Lennie, jestem taka podniecona. Wystarczyła jedna noc i odmieniłeś moje życie. Byłam taka przygnębiona. Taka nieszczęśliwa, że nie potrafię tego opisać. — Przysłoniła oczy długimi rzęsami i zniżyła głos. — Myślałam nawet o samobójstwie — dodała szeptem. — Ale ty wszystko odmieniłeś. Jakbyśmy odnaleźli się we właściwym momencie.

Miał jej tyle do powiedzenia. I nie potrafił wykrztusić ani słowa. Bo/jak mógł powiedzieć, że to pomyłka? Jak mógł się teraz wycofać? Wielkie dzięki, Eden. Spójrz tylko, w co wpakowałaś mnie tym razem. Ożenił się z zupełnie obcą kobietą i nie mógł nic na to poradzić.

60

Szczęście to powrót do aktywnej działalności. Natomiast Atlantic City okazało się najwłaściwszym ku temu miejscem. Zostawiła dziecko z Cee Cee w Nowym Jorku i w znakomitym nastroju wyjechała do Atlantic City. Wiedziała, czego szuka, a pośrednicy handlu nieruchomościami niecierpliwie wyglądali jej przybycia. Niestety, działka, którą chcieli kupić z Ginem, już dawno została sprzedana. Atlantic City stawało się eldorado wschodniego wybrzeża, i to niewyobrażalnie szybko. Przeczynała, że tak będzie. Niech szlag trafi tego Giną. A przecież mogli cieszyć się tym, że byli tu na samym początku, mogli dzielić związane z tym emocje. Ale do diabła z tym. Zbuduje najwspanialszy hotel, jaki kiedykolwiek zbudowano. Stworzy legendarny pałac, lśniącą wieżę. I nazwie ją „Santangelo”.

Susan i Gino kłócili się przez dwa dni. Nie chciał nawet myśleć o wycieczce jachtem Stanislopoulosa, chyba że Lu-cky zadzwoni do niego osobiście. Natomiast Susan utrzymywała, że to okazja, której po prostu nie

może przepuścić.

Gino w głębi ducha wiedział — naturalnie, jak dotąd

333

nikomu się do tego nie przyznał — że ich małżeństwo dobiegło kresu.

Susan, ciepła i cudowna kobieta, którą poślubił przed dwoma laty, okazała się pustą skorupą.

Nakręcić ją i się wystroi.

Nacisnąć guzik i wyda wspaniałe przyjęcie.

Pchnąć ją w odpowiednim kierunku i puszcza pieniądze, jakby wychodziły z mody.

Lucky miała co do niej całkowitą rację, i to od samego początku. Dlaczego tego nie widział? Uważała go za ostatniego durnia.

Dużo o córce myślał. I tęsknił za nią. Ale powrotu nie było. Wyszła za Dimitriego, urodziła mu dziecko. I ani razu nie spytała ojca o zdanie.

Zadzwoił do Costy, do Miami, żeby trochę ponarzekać.

— W życiu jest tak — rzekł filozoficznie Costa — że dostajesz to, co sam dajesz. Czy dałeś jej kiedykolwiek coś, co natchnęłoby ją pragnieniem zwrócenia się do ciebie o radę?

Gino trzasnął słuchawką. Costa najwyraźniej dzieciłniał.

— Pojedziemy na tę przeklętą wycieczkę jachtem — oznajmił Susan. — Chcę spędzić trochę czasu z wnukiem, a wygląda na to, że innej sposobności nie znajdę.

Susan uśmiechnęła się.

— Tak, kochanie — odrzekła spokojnie. I czym prędzej pobiegła wydać jeszcze kilka tysięcy dolarów.

Dimitri ledwie zdążył odłożyć słuchawkę po rozmowie z Franceską, gdy

sekretarz zawiadomił go, że dzwoni Olympia.

— Gdzieś ty była?! — ryknął. — Próbowałem się z tobą skontaktować.

— Jestem w...

— To nie wystarczy, Olympio. Nie możesz znikać na tyle dni. Jeszcze trochę i gotów bym pomyśleć, że wpadłyście w ręce porywaczy, ty i Brigitte. Jesteś Olympią Stanislo-poulos i musisz zawsze...

— Znowu wyszłam za męża.

— Chryste, dziewczyno! — zagrzemiał. — Skoro już mu-

334

sisz, to żyj sobie z tym zdegenerowanym bitnikiem, ale małżeństwo nie wchodzi w rachubę.

— Nie za niego wyszłam.

Zawsze była niemożliwa. Zepsuta i bezmyślna.

— W takim razie za kogo? — warknął rozjuszony.

— Obejrzyj sobie okładkę „People”. Za Lenniego Gol-dena. Jest komikiem.

— Komikiem!

— Przestań wrzeszczeć. Jest lepszy od tamtych trzech. Muszę kończyć, wydajemy bankiet. Czy możesz wyświadczyć mi przysługę i zawiadomić mamę?

— Matka jeszcze o tym nie wie?

— Dowie się, kiedy jej powiesz.

— Olympio...

— Pa, tatusiu. Do zobaczenia na jachcie.

Dimitri krążył po gabinecie niczym tygrys w klatce. Olympia to najgłupsza dziewczyna w świecie.

Zatelefonował do byłej żony, która przyjęła wiadomość ze stoickim spokojem.

Wysłał sekretarza po „People” i przyjrzał się twarzy najnowszego łowcy posagów, uśmiechającej się do niego z okładki

Potem zadzwonił do Monachium do Franceski, która wybuchnęła śmiechem.

Olympia, Olympia... Bóg nie pobłogosławił go inteligentną córką.

Podeksytowana Lucky wróciła późnym wieczorem. Dimitri skończył właśnie samotną kolację i nie miał najlepszego humoru.

— Znalazłam idealne miejsce — oznajmiła z entuzjazmem. —

Fantastyczne, nie możemy zaprzepaścić takiej okazji. Musisz natychmiast zawiadomić swoich prawników. — Objęła go za szyję. — Czuję się tak wspaniale. Chodźmy do sypialni, żeby to uczcić. Mam niesamowitą chcię. Nic nie bierze mnie tak jak robienie interesów.

— Przestań mówić jak tania dziwka — prychnął, uwalniając się z uścisku.

335

— Co? — Patrzyła na niego zdumiona.

— Jesteś teraz moją żoną. Zechciej o tym pamiętać. Cofnęła się o krok.

— Chyba się przesłyszałam.

— Miałem bardzo męczący dzień — powiedział. — I nie chcę się bardziej denerwować.

Nie zauważył niebezpiecznych błysków w jej ciemnych oczach. A potem nagłej burzy.

— Olympia znowu wyszła za mąż — oświadczył krótko. — Jest nieodpowiedzialna. Zasługuje na to, żeby stracić cały spadek, co do centa.

— Hej, ciulu — rzuciła wulgarnie, naśladowując akcent twardziej

nowojorskiej ulicznicy. — Nie słyszałeś, co powiedziałam? Jestem kurewsko napalona. Chcesz się poprasować?

Twarz miał jak wykutą z granitu.

— Że co proszę?

— Dobra, zgredzie. Ty też możesz pocałować mnie w dupę.

Nie oglądając się za siebie, wyszła do sypialni i huknęła drzwiami. Nie, nie będzie tak do niej mówił, nigdy mu na to nie pozwoli.

Nienawykły do tego, żeby mu odszczekiowano, poszedł za nią.

— Trzymaj się ode mnie z daleka — warknęła, kipiąc gniewem.

— Co ci jest? — spytał.

— Domyśl się.

— Tu nie ma o czym myśleć. Zwróciłem ci uwagę, że źle się zachowujesz.

— Zwróciłeś mi uwagę? Uwagę?! Psiakrew, za kogo ty mnie masz?!

— Za żonę i matkę mego dziecka — syknął. — Nie pozwolę, żebyś mówiła językiem wulgarnej ulicznicy.

— Jezu Chryste! Co się tu, kurwa, dzieje?

Uderzył ją w twarz. Rzuciła się na niego z pazurami. Rozorała mu skórę do krwi.

Był dużym mężczyzną, silnym. Przytrzymał jej ręce i ciężko runęli na łóżko.

336

Lucky nie wierzyła własnym oczom. Znała Dimitriego od dwóch lat i nigdy dotąd nie ujawnił przed nią tej cechy charakteru. Poślubiła człowieka równego sobie, a nie jakiegoś pieprzonego tatuńcia, który będzie ją pouczał, jak mówić i jak się zachowywać.

Chwycił ją za nadgarstki i zarzucił ręce za głowę.

Próbowała zgiąć nogę w kolanie i kopnąć go w krocze, ale był/dla niej za silny. Nie należała do słabeuszek, była gibka i wysportowana, lecz im dłużej ją przytrzymywał, tym szybciej traciła siły.

I nagle stało się. Poczwała, że jest podniecony, ale już go nie chciała. Nie w ten sposób. Nie w następstwie gwałtownej kłótni. Próbował przydusić ją do łóżka, gmerając jednocześnie przy rozporoku. Zdołała oswobodzić rękę, podnieść ją szybko i grzmotnąć go w podbródek. Zawył z bólu.

Ta krótka chwila wystarczyła: Lucky wyslizgnęła się spod jego ciała, stoczyła z łóżka i zamknęła się w łazience. Dygotała z gniewu. Dłużej jej nie ścigał.

61

Są dni dobre i złe. Teraz, gdy wyjazd do Kalifornii był niemal pewny, Steven poczuł się trochę lepiej. Mieszkał w jednopokojowej klitce na Trzeciej Alei, ponieważ swoje ładne mieszkanie w szeregowcu odnajął przed wyjazdem do Europy.

W jego życiu zapanował kompletny zamęt, o czym dobrze wiedział.

Kiedyś był taki ambitny, ale Carrie zniszczyła wszystko swymi plugawymi rewelacjami. Od powrotu do Ameryki nie robił nic innego, tylko rozmyślał o sobie i swoich problemach. Chodził późno spać, jadł byle co, całymi dniami przesiadywał w swojej norze, oglądając telewizję. Jedynym kumplem, z którym się kontaktował, był Jerry Myerson. Zresztą utrzymywał z nim kontakt tylko dlatego, że musiał od kogoś pożyczać pieniądze.

Kobiety wybierał na chybił trafił. Niegdyś taki staranny w doborze damskiego towarzystwa, teraz wołał dziewczyny, z którymi nie musiał

rozmawiać.

337

Jak bardzo różniło się to życie od tego, jakie wiódł przed kilkoma laty. Wychwalany i powszechnie szanowany Steven Berkeley. Pracowity zastępca prokuratora okręgowego, człowiek, który miał przed sobą tylko jedną drogę: drogę na szczyt. Życie było dziwne. Z goryczą wspominał to feralne popołudnie w 1977, gdy gotów do działania przyjechał do rezydencji Enzia Bonnattiego na Long Island.

Tylko że Lucky Santangelo go uprzedziła.

Ta sama Lucky Santangelo, z którą ledwie kilka dni wcześniej utknął w windzie podczas gigantycznej awarii elektryczności.

Ta sama Lucky Santangelo, która może — tylko może — być jego przyrodnią siostrą.

Lucky.

Inteligentna, czarnowłosa i śniada niczym Cyganka — trudno ją było zapomnieć.

Lucky.

Dzięki Bogu, że nie...

Nie chciał nawet myśleć o tym, do czego omal między nimi nie doszło.

Ciekawe, jak by się poczuła, gdyby okazało się, że są bratem i siostrą. Czy w ogóle go pamiętała?

O tak, na pewno — mówiła mu to jego duma.

Jaka duma?

Wyglądał strasznie. Musiał wziąć się w garść, musiał wrócić do pracy i zapomnieć o przeszłości.

62

Summa summarum Vitos Felicidade przyjął wiadomość w miarę spokojnie. Zresztą nie pozostawało mu nic innego, jak uśmiechać się do obiektywów (a było ich mnóstwo) i udawać, że to właśnie on doprowadził do tego „błyskawicznego związku miłosnego”.

Na osobności popadł w głęboką zadumę. Co było z nim nie tak? Dlaczego Olympia dała mu kosza? Aż dwa razy. Czyżby go przejrzała? Czyżby jako jedyna spośród tylu

338

kobiet odkryła, że za pulsującym symbolem seksu kryje się nijaki, niepewny siebie, zupełnie przeciętny mężczyzna?

Nie chciał o tym myśleć. Został na bankiecie godzinę, a potem wrócił do swego apartamentu i pogrążył się w ponurych rozmyślaniach.

Jess nie przyjęła tego tak dobrze. Odszukała Matta i dała upust narzekaniu. Matt całkowicie się z nią zgadzał, lecz nie omieszkał też zauważyć, że nic nie mogli na to poradzić.

W hotelu „Sands” odrętwiała Eden gapiła się w okno, podczas gdy Zeko układał pasjansa. Rano próbowała się stamtąd wyslizgnąć z zamiarem odwiedzenia Lenniego, ale gdy już, już miała wsiąść do taksówki, jak spod ziemi wyrósł przed nią Zeko, który oświadczył, że ma jej wszędzie towarzyszyć. Była tak sfrustrowana, że chciało jej się wyć. Miast wyć, posłała mu szklisty uśmiech i pozwoliła głupiemu wołowi łązić za sobą po tandetnych sklepach. Las Vegas to bagno. Nie mogła się doczekać, kiedy stąd wyjedzie.

Paige zaprosiła ją na lunch. Dostała pozwolenie i poszła, ale kiedy trawiła sałatkę z tuńczyka, dotarły do niej plotki o Olympii Stanislopoulos i Lenniem Goldenie.

Plotki świeże i gorące.

Aż ją zemdliło. Teraz gapiła się na neony i pustynię, dumając, czy dobrze wybrała.

Santino Bonnatti.

Lennie Golden.

Miała nadzieję, że postawiła na dobrego konia.

Trawiło ją straszliwe przeczucie, że mogła się pomylić.

— Śmierdzisz. — Brigitte wykrzywiła twarz.

— Żartujesz — odrzekł z kamienną twarzą Lennie. — Specjalnie wziąłem prysznic.

— Mówię, że śmierdzisz — powtórzyła Brigitte.

— A ty bręczysz jak pęknięta płyta.

Podniosła wzrok. Miała wielkie, błękitne oczy matki osadzone w twarzyczce kształtu serca.

— Nienawidzę cię — powiedziała, żeby zrobić mu na złość.

Lennie się skrzywił.

339

— Wszystkich do siebie nie przekonasz — odrzekł z zachęcającym uśmiechem.

— Bardzo pana przepraszam, panie Golden — wtrąciła zażenowana niania Mabel. — Brigitte jest zmęczona, jest późno i...

— Późno? — przerwał jej łagodnie Lennie. — Mamy dopiero wpół do piątej po południu. Jeśli dzieciak chce mnie nienawidzić, niech sobie nienawidzi, nie ma sprawy. — Nachylił się nad córką Olympii. — Wiesz co? Brigitte to bardzo piękne imię, a ty jesteś bardzo piękną młodą damą. Brigitte aż zamrugła z wrażenia. Dlaczego akurat ten do niej gadał?

Ilekcio mówiła im, że śmierzdzą, łypali nad nią spode łba, a potem ją ignorowali, tak że już nigdy nie musiała z nimi rozmawiać, co jej w sumie odpowiadało. Chłopczy mamusi to świnie. Nie cierpiała ich wszystkich. Lennie nie czekał na odpowiedź. Odwrócił się i już go nie było. Olympia zgromadziła taki tłum dziennikarzy i fotoreporterów, że mogłaby rozpocząć kampanię reklamową filmowego szlagieru — uwielbiała każdą spędzoną przed obiektywami minutę, pozując do zdjęć niczym profesjonalistka. Z drugiej strony na swój sposób nią była. Dorastała w towarzystwie fotoreporterów czyhających za progiem domu. Olympia Stanislopoulos. Dziedziczka. Smakowity kąsek dla paparazzi i dziennikarzy z plotkarskich czasopism całego świata.

No i jakoś zdołała zrobić z ich ślubu super wydarzenie towarzyskie. Weselny tort z miniaturką tańczącej pary na wierzchołku był fantastyczny. Salę balową hotelu „Magi-riano” przekształcono w baśniową krainę kwiatów. Szampan marki Louis Roederer Cristal lał się strumieniami. Aż się wzdrygnął na myśl, ile to będzie kosztowało. Czy to on miał za to płacić? A może to prezent od właścicieli „Magiriano”?

Naburmuszona Jess wzruszyła ramionami, gdy ją o to spytał.

— Nie wiem — mruknęła opryskliwie.

Ślub Lenniego jej nie uszczęśliwił. Lennie też nie wpadł w ekstazę, ale co się stało, to się nie odstanie. Zresztą kto

340

wie? Może wszystko się jakoś ułoży. Zdarzały się dziwniejsze rzeczy.

Jasne.

y 63

Kompromis nie leżał w jej stylu. Nie miała najmniejszego zamiaru

siedzieć i czekać, aż Dimitri ją przeprosi. Musiał się dowiedzieć — i to szybko — że Lucky Santangelo nikt nie będzie pomiatał.

Rano nazajutrz po kłótni wyjechała do domu w East Hampton z Robertem i Cee Cee. Szczerze mówiąc, była więcej niż lekko zaniepokojona zachowaniem męża. Pragnęła równorzędnego partnerstwa. Nie chciała związku z mężczyzną, który uważał, że ma prawo dyktować wszystkie warunki. Z zimnym przygnębieniem skonstatowała, że ślub z Dimitrim był błędem. Istniała między nimi różnica wieku, której nigdy nie da się pokonać, i nie zamierzała odgrywać roli, jaką chciał jej wyznaczyć.

Nie przejęła się tym, że nie próbował skontaktować się z nią przez trzy dni. Chłodna i opanowana, zadzwoniła do jego prawników i poleciła im wynegocjować cenę działki, którą chciała kupić w Atlantic City. Później zatelefonowała do swoich doradców, żeby sprawdzić, czy wszystko idzie jak należy. Dimitri podpisał prawne zobowiązanie. Budowa hotelu musiała ruszyć bez względu na okoliczności.

Przyjechał do niej trzy dni później.

— Wybacz mi — powiedział, stojąc w progu z bukietem jej ulubionych róż i puderkim od Tiffany'ego.

Wiedziała, że przeprosiny przychodzą mu z trudem. Mogła dać mu do wiwatu, ale nie, wpuściła go i poszli na spacer do ogrodu, gdzie wszystko sobie przedyskutowali. Oczywiście na tyle, na ile można było dyskutować z człowiekiem pokroju Dimitriego. Należał do innej generacji i nie uznawał długich, analitycznych rozważań.

Otworzyła pudierko od Tiffany'ego. Zawierało brylantową aksamitkę z wielkim sercem pośrodku. Dimitri nałożył ją jej, zapiął klamerkę i uznał, że sprawa załatwiona. Potem

pocałował ją wstrzemięźliwie i oświadczył, że Susan i Gino przyjęli zaproszenie na wycieczkę jachtem.

O Boże! Prędzej spodziewałaby się gromu z jasnego nieba niż tego, że Gino na to pójdzie. Nie wiedziała, dlaczego jest tak bardzo zdenerwowana. Żywiła do ojca mieszane uczucia. Czasami kochała go jak nikogo innego na świecie, czasami zupełnie ją nie obchodził i równie dobrze mogłaby nie oglądać go do końca życia. Tak było zawsze.

— Chyba jesteś zadowolona? — spytał Dimitri. Ukryła prawdziwe uczucia.

— Oczywiście — odrzekła obojętnie. Wycieczkowy rejs zupełnie ją nie interesował. Przyjaciele

Dimitriego. Francesca Fern ze swoim cichym, mamrocącym mężem. A teraz jeszcze Susan i Gino. Wszyscy stłoczeni na jachcie. Bez względu na to, jak bardzo był wielki i luksusowy, uciec od nich na pewno nie zdoła.

Groziło jej pasmo nieuchronnych lunchów i kolacji.

Może sytuację uratuje Olympia ze swoim nowym mężem, kimkolwiek ten człowiek jest. Zapomniała spytać, kogo poślubiła, a Dimitri wrócił już do Nowego Jorku, zostawiając ją samą, żeby mogła przygotować się do dwutygodniowego rejsu, na co niechętnie przystała.

Gino skonstatował, że jedynymi dniami, kiedy wstaje z łóżka z entuzjazmem, są dni, kiedy ma spotkanie z Paige. Paige ożywiła go, dodawała mu wigoru. Nie miała żadnych oporów, była sprośna, a przede wszystkim zabawna.

Niecierpliwie oczekiwał jej powrotu z Las Vegas i na piątkową randkę w hotelu „Beverly Wilshire” przyjechał godzinę wcześniej. Paige zjawiała się

pół godziny później. Jak zwykle pachniała kobiecością i miała na sobie białą spódnicę rozciętą niemal do krocza.

— Mówił ci ktoś, że ubierasz się jak prostytutka? — spytał rozbawiony, siadając na brzegu łóżka.

— Tak. — Roztrzepała swoje kędzierzawe włosy. — A wy to uwielbiacie. Jeden szybki ruch i spódnica opadła na podłogę. Paige nie nosiła majteczek.

342

— Hej... — Zaczął się śmiać.

— Szybki numerek. Z uśmiechem na ustach — odrzekła idąc ku niemu.

— I proszę zostawić na stole pięćdziesiąt dolarów.

— Te^tanio — zażartował, znakomicie się bawiąc.

— Tylko dlatego, że jesteś moim ulubionym klientem — wyjaśniła, przyciskając do jego twarzy łono porośnięte twardymi, kędzierzawymi włosami.

Zareagował, jak należy. Seks go odmładzał, Gino nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Bóle, rwanie i łupanie wieku starczego? Nie, on tego nie znał. Seks podtrzymywał krążenie życiodajnych soków. Dopóki czuł się mężczyzną, był niezwyciężony, a lepszego wzwodu nie miał od lat — dzięki Paige Wheeler.

Jak wyglądałoby jego życie, gdyby poślubił kobietę taką jak ona? O wiele bardziej podniecające niż monotonna egzystencja z Susan, to na pewno.

Kochali się długo. Paige lubiła mieć kilka orgazmów — w przeciwieństwie do Susan, która uważała, że jeden wystarczy, że już po sprawie i od razu spychała Ginę ze swego ciała.

Natomiast Paige lubiła eksperymentować. Czasami żałował, że nie jest

młodszy, bardziej wysportowany. Ale jej to chyba nie przeszkadzało. Zresztą i tak wiedział, jak jej dogodzić.

— Jak było w Vegas? — spytał, kiedy Paige się w końcu nasyciła.

Leżała na łóżku zupełnie naga i rozkrzyżowana.

— Interesująco — odrzekła.

— Bardzo?

— Bo ja wiem... Byłam na pierwszym występie Vitosa Felicidade i Lennie Goldena w twoim hotelu.

— Wypaliło?

— Obsługa czy oni?

— I jedni, i drudzy.

— Jak najbardziej. Lennie Golden jest naprawdę wyjątkowy. A Vitos ma specyficzny europejski czar. Naturalnie, wszyscy mówili tylko o tym, że Olympia Stanislopoulos i Lennie Golden pobrali się już następnego dnia po wy-

343

stępie. Rozumiesz, Olympia przyjechała do Vegas z Vi-tosem.

— Taa?

— Nie czytujesz plotek z działów towarzyskich?

— Tylko wtedy, kiedy dotyczą mnie.

— Co wieczór były przyjęcia. No i grałam trochę w blac-kjacka.

— Wygrałaś?

— Przegrałam.

— Powinnaś była zagrać ze mną. Nie straciłabyś ani centa.

Dotknął włosów na jej podbrzuszu. Były wilgotne. Paige przeciągnęła się rozkosznie.

— Wyjeżdżam na dwa tygodnie — powiedział. — Poradzisz sobie beze mnie?

— Spróbuję — odrzekła z udawaną złościwością. — Dokąd się wybierasz?

— Nie wiem, czy ci mówiłem, ale moja córka, Lucky, dziewczyna zwariowana tak samo jak ja, wyszła za innego członka rodziny Stanislopoulosów: za ojca, Dimitriego. Dasz wiarę? Ma prawie tyle samo lat co ja. Lucky chodziła do szkoły z Olympią. — Westchnął. — Moja córka to kompletna szajbuska.

— Szajbuska? Tylko dlatego, że wyszła za męża za jednego z najbogatszych ludzi na świecie?

— Lucky nie potrzebuje jego pieniędzy — uciął, zabierając rękę.

— Nie zabieraj ręki! — fuknęła. Spełnił jej żądanie.

— Hmm... — Paige oddała się zmysłowym wrażeniom.

Gino wyczuł jej nie zaspokojoną potrzebę i usłużnie nachylił głowę.

Wystarczyło kilka sekund, by głośno jęknęła w kolejnym orgazmie.

Gino miał bogate doświadczenie w sprawach męsko--damskich, ale nie pamiętał, by kiedykolwiek spotkał kobietę tak nienasyconą jak Paige.

Usiadła, pocałowała go i rzekła:

— Dziękuję. A teraz opowiedz mi o swojej córce. Wzruszył ramionami.

344

— Nie ma tu nic do opowiadania. Wyszła za męża i zaprosili nas na wycieczkę jachtem. Susan chce jechać.

— No myślę.

— A ja jadę tylko po to, żeby zobaczyć dzieciaka.

— Jakiego dzieciaka?

— Zostałem dziadkiem.

— O nie! — Paige zeskoczyła z łóżka w masce udawanego przerażenia na twarzy. — Sypiam z dziadkiem!

Uśmiechnął się.

— Ty też nie jesteś młódką.

— Mam dopiero czterdzieści parę lat, daleko mi do sypiania z dziadkami.

— Pieprz się, mała.

— Kiedy tylko zechcesz, dziadziu.

Wybuchnęli śmiechem. Gino wstał, objął ją wpół i wesoło się zakołysali.

— Wiesz co? — powiedział. — Jesteś babką w moim guście.

— Dzieli nas kilkadziesiąt lat — rzekła w zadumie — ale oboje wychowaliśmy się na ulicach Nowego Jorku.

— Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

— Bo nigdy mnie nie pytałeś. Zresztą niechętnie to nagłaśniam.

Sięgnął po szlafrok.

— W takim razie opowiedz mi o sobie.

— Może kiedyś. Teraz nie. Mam spotkanie i już jestem spóźniona.

— Jezu! Myślałem, że trochę posiedzimy, pogadamy i w ogóle. Nie umawiaj się z nikim, kiedy się spotykamy.

Wbiegła do łazienki.

— Kiedy wyjeżdżasz? — zawołała.

— Za kilka dni.

— Będę tęskniła.

— Na pewno nie tak bardzo jak ja.

Siedząc na tarasie hotelu „Bel Air”, Susan niecierpliwie zerknęła na złoty zegarek firmy Patek Philippe. Paige się spóźniała. Znowu. Spóźniała się

zawsze, to znaczy, kiedy

345

znajdowała dla niej czas. Od kilku miesięcy ich spotkania były niemożliwie krótkie i Susan zaczynała podejrzewać, że Paige kogoś ma. Zmarszczyła czoło i zdała sobie sprawę, że jeśli Paige powie jej, że między nimi koniec, to ona tego nie zniesie. Nie, to byłoby niesprawiedliwe. Nie przeżyłaby tego. Paige była dla niej wszystkim. Wyrósł przed nią kelner i spytał, czy podać jeszcze jednego drinka. Zamówiła trzecie martini, usiadła wygodniej i czekała dalej. Kilka minut później przyszła Paige. Zaaferowana, ze wzburzonymi włosami, w zwariowanym stroju.

Wymieniły pocałunki.

— Jestem taka zajęta! — wykrzyknęła Paige. — Wygląda na to, że wszyscy na gwałt zmieniają wystrój mieszkania. Odkąd zaprojektowałam wnętrze domu Ramo Kaliffe'a, które pokazali w „Architectural Digest”, przestałam być panią swojego życia.

Susan uśmiechnęła się uprzejmie. Paige pachniała piżmem, kobiecością i seksem, jak zawsze. Dwaj mężczyźni siedzący po drugiej stronie tarasu nie odrywali od nich oczu. Paige zwracała na siebie uwagę, gdziekolwiek się pojawiła. Nie była piękna, nie była nawet ładna, za to jej powab mówił sam za siebie.

— Myślałam, że już nie przyjdiesz — strofowała ją Susan.

— Przecież wiesz, że zawsze się spóźniam.

— Jedziemy na rejs po greckich wyspach jachtem Dimit-riego Stanislopoulosa. Musiałam się z tobą zobaczyć przed wyjazdem. —

Zniżyła głos do szeptu. — Minęły dwa miesiące, odkąd... byliśmy razem.

Dłużej nie wytrzymam.

Paige zerknęła niespokojnie na drugą stronę tarasu. Spotkała się wzrokiem z jednym z mężczyzn, którzy je obserwowali. Uniósł kieliszek jak do toastu. Nie wiedziała, czy zna go czy nie, i doszła do wniosku, że to pewnie któryś z przyjaciół Rydera. Pomachała mu ręką.

— No więc? — spytała nachalnie Susan. — Nie sądzisz, że dwa miesiące to wystarczająco długo? Nie tęsknisz za mną tak bardzo, jak ja za tobą?

346

Paige wzięła głęboki oddech. Jak powiedzieć kobiecie, że to już koniec? Gdyby Susan była mężczyzną, nie miałyby z tym żadnych trudności.

Sięgnęła po orzeszki w miseczce na stoliku.

— Ryder nigdy nie należał do mężczyzn łatwych w pożyciu... — zaczęła.

— Wiem — przerwała jej Susan. — Myślisz, że Gino jest łatwy? To staruch oszalały na punkcie seksu. Sama nie wiem, jak go znoszę. Gdyby nie ty...

— Posłuchaj — rzekła stanowczo Paige. Nie chciała wysłuchiwać narzekań na straszego Gina. Tak się przypadkiem składało, że uważała go za mężczyznę bardzo wyjątkowego i z tego jednego, jedyne go powodu zamierzała zrezygnować ze wszystkich innych kochanków, łącznie z Susan. — Ryder się zmienił. Nie wiem, co go napadło, ale się zmienił, i to na lepsze.

Susan patrzyła na nią nic nie rozumiejącym wzrokiem.

— Co?

— Chcę dać naszemu małżeństwu szansę, tak będzie sprawiedliwie — powiedziała Paige z fałszywym przekonaniem w głosie.

— Co? — powtórzyła odrętwiała Susan.

— Panie wybaczą. — Stał przed nimi mężczyzna, któremu przed chwilą pomachała. Miał czterdzieści, czterdzieści pięć lat i nosił się z niedbałą elegancją typową dla mieszkańców LA. — Pozwoliłem sobie zamówić szampana.

Kelner przyniósł pojemnik z lodem, w którym tkwiła butelka Dom Perignon, i ustawił go przy stoliku.

— Doszliśmy z przyjacielem do wniosku, że tak piękne kobiety zasługują wyłącznie na najlepszy — powiedział nieznajomy. W tym samym momencie dołączył do nich jego niski, brodaty kolega i stali wyczekująco z nadzieją, że zostaną zaproszeni do stolika.

— Dziękujemy — powiedziała łaskawie Paige, zakładając nogę na nogę. Poczuli jej zapach i zeszywnieli. Przypominali dwa myśliwskie psy gotowe do pościgu.

— Chętnie bym panów zaprosiła — mówiła dalej Paige — ale pani Santangelo przeżywa śmierć członka bliskiej rodzi-

347

ny, więc na pewno zrozumieją panowie, że nie jest to najlepsza okazja do... zawierania nowych znajomości.

— Oczywiście — odparł z naciskiem mężczyzna. — Nie śmielibyśmy zawracać głowy pani i pani Santer, ale... może nieco później znajdzie pani czas na kolację?

— Kusząca propozycja. — Paige westchnęła. — Niestety, zupełnie niemożliwa do przyjęcia. Miło nam panów poznać. — Wyprostowała nogi, pozwalając im zerknąć na ukryty między nimi raj, i odprawiła ich, odwracając się do Susan.

Zrozumieli, o co chodzi, i niechętnie odeszli.

— Co znaczy: chcę dać szansę naszemu małżeństwu? — syknęła Susan wściekłym szeptem.

— Dosłownie to, co znaczy — odrzekła spokojnie Paige. — Zamierzam być wierna.

— Ty!?! — wykrzyknęła z pogardą Susan. — Nigdy! Kelner nalał szampana.

— Nie doceniasz mnie — wymruczała Paige. — Jeśli czegoś chcę, zawsze stawiam na swoim.

Oczy Susan wezbrały łzami.

— A co będzie z nami? — spytała żałośnie.

— Zawiesimy nasze spotkania i zobaczymy, co się będzie działo.

64

Alice Golden przyjechała do Las Vegas dwa dni po tym, jak wiadomość o ślubie syna rozeszła się echem po całym świecie. Lennie niezbyt jej potrzebował w tym szczególnym momencie życia. Miał żonę tudzież pasierbicę i próbował przywyknąć do nich. Pojawiająca się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki matka była niepotrzebnym balastem. Jednak — według Alice — matka i syn zawsze byli nierozdzielni. To ona wszystkiego go nauczyła. I chociaż fakt, że Olympia tak nagle wkroczyła w ich ścisły związek, wielce ją zaszokował, była gotowa przyjąć synową z otwartymi ramionami. Na tę okoliczność udzieliła trzech wywiadów „z zastrzeżonym prawem wyłączności”, zanim jeszcze spotkała się z synem.

348

Gdy rozbawiona Jess wprowadziła Alice do apartamentu, Lennie powitał ją ostrożnie i z dystansem.

— Zrobiła w holu straszliwe zamieszanie — szepnęła Jess. — Domagała

się Bóg wie czego, więc pomyślałam sobie, że lepiej będzie, jak przyprowadzę ją tutaj. Chyba mnie nie pamięta.

— Kochanie! — wykrzyknęła Alice, otwierając pajęczę ramiona. Tleniła włosy — tym razem chyba je przetleniła — a przez nieustanną dietę miała żylaste ciało. Mocno go wyściskała.

— Co ty tu robisz, Alice? — spytał.

— Co ja tu robię? Ja?! — Rozejrzała się po pokoju, jakby miał Lenniego i Jess miała przed sobą skupioną publiczność. — Co ja tu robię? Jestem twoją matką. Krew z krwi, kość z kości. Co ja tu robię. Ha! Zabawne pytanie w ustach chłopca, który dopiero co się ożenił, ani słowem nie powiadamiając o tym swojej troskliwej, zaniepokojonej i samotnej, tak, samotnej matki.

Nareszcie odstawiła numer z cyklu żydowska mateczka. Lennie nie wiedział, czy się śmiać czy płakać.

— Przestań, Alice — uciał.

Jess niespokojnie krążyła po salonie. Nie mogła się zdecydować, czy wyjść czy zostać. Decyzję podjął za nią Lennie.

— Zamów herbatę — polecił oschle. — Na troje. Alice ścisnęła pod pachą stareńką torebkę z łątek. Położyła ją na podłodze i rozejrzała się jeszcze raz.

— Gdzie jest ta twoja dziewczeczka? — spytała.

— Kto? — nie zrozumiał Lennie.

— Myślę, że twoja mama miała na myśli dziewczeczkę — wtrąciła Jess, próbując zdławić chichot. — Prawda, pani Golden? Chodzi pani o dziewczeczkę?

Alice spojrzała na nią spod potrójnego kompletu sztywnych, sztucznych

rzęs.

— Kim pani jest? — spytała zagniewana. — Skądś panią znam.

— Jestem szkolną przyjaciółką Lenniego. Jess Skolsky. Alice wytrzeszczyła oczy.

— Karliczka — powiedziała w końcu, ściągając na Jess wszystkie bolesne wspomnienia z okresu dorastania.

349

Usiadła na sofie. Miała na sobie tanią poliestrową sukienkę, bardzo wydekoltowaną — żeby odsłonić zmęczone piersi — i krótką — żeby pokazać wciąż jeszcze wspaniałe nogi.

— Przyleciałam samolotem — oznajmiła. — Mężczyźni nie dawali mi spokoju. A kiedy powiedziałam wszystkim, że jestem twoją matką, kobiety też się na mnie uwzięły. Mam dla ciebie cztery numery telefonu, ale skoro się ożeniłeś, nie sędzę, żebyś z nich skorzystał.

— Żona na pewno nie wpadłaby w zachwyty — zauważył beznamiętnie.

— Gdzie ona jest? Chciałabym wreszcie zobaczyć tę... tę... — Zawahała się, postanowiwszy wymówić słowo poprawnie. — Tę dziedziczkę.

— Ona ma na imię Olympia.

— Bardzo wyszukane imię. — Zaszczyciła go oskarżyciel-skim spojrzeniem. — Mogłeś do mnie zatelefonować. Mogłeś zaprosić mnie na ślub. Mogłeś mi powiedzieć, że występujesz w Las Vegas, w moim domu, w moim mieściS* Dobrze wiesz, że ja też byłam tu gwiazdą. Kiedyś. No, jeszcze nie tak dawno temu. Alice Piersióweczka. Nawet dzisiaj jestem tu sławna. Nie masz pojęcia, jak bardzo. Obyś był równie sławny jak ja kiedyś. A może i teraz. Kto wie, czy jeszcze pamiętają... — Mówiła coraz ciszej i ciszej, wreszcie zamilkła.

— Gdzie się pani zatrzymała, pani Golden? — spytała grzecznie Jess, dochodząc do wniosku, że nadszedł czas, żeby się jej pozbyć. Przed wieczornym występem Lennie lubił być sam.

— Tutaj, to chyba oczywiste — warknęła jadownicie Alice. — Załatw to. Jestem matką gwiazdora, zasługuję na uznanie. Nie byłoby go tutaj, gdyby nie ja, prawda?

— Jak długo zamierza się pani zatrzymać?

— Tak długo, jak długo zechce zatrzymać mnie mój syn. Lennie wzruszył bezradnie ramionami.

— Wiesz, dopiero co się ożeniłem...

— Dlatego tu jestem.

Nie miał serca powiedzieć jej, żeby poszła sobie precz. Kto potrzebowałby matki po trzydziestu dwóch latach?

350

Potrzebował jej czy nie, nie dawało się ukryć, że tu była. Olympia i Alice razem to piorunująca mieszanka. Nie mógł się już doczekać.

Nazajutrz po przyjęciu — upewniwszy się, że ich ślubne zdjęcia obiegry cały świat — Olympia zadzwoniła do Flasha bawiącego na południu Francji. Odpowiedział jej dziewczęcy głos.

— Chcę mówić z Flashem — rzuciła władczo. — Tylko szybko, dzwonię z Ameryki.

I musiała czekać aż jedenaście minut, zanim usłyszała jego głęboki, zaciągający cockneyem głos.

— To chyba ty — mruknął arogancko. — Cudownie! W zeszłym tygodniu sterczałem jak ten palant na lotnisku dwie pieprzone godziny, choć zwykle tam nie łążę.

- Naprawdę myślałeś, że przylecę?
- Czemu nie? Powiedziałaś, że przylecisz.
- Nie przyleciałam — odrzekła lodowato — ponieważ nie sądzę, żeby spodobało się to twojej żonie.
- O kurwa. A więc o to ci biega?
- Tak, o twoją żonę, Flash. Żonę, o której jakoś zapomniałeś mi wspomnieć. O twoją ciężarną, nastoletnią żonę. Boże, ależ z ciebie kutas! Roześmiał się przesiąkniętym whisky śmiechem.
- Czytujesz te szmatławce z supermarketów? Nie wiedziałem, że bogate rozwielitki z twoich sfer chodzą po zakupy.
- Prawdziwe życie nie oszczędza ani bogatych, ani biednych, taki ma zwyczaj. Kazałam spakować twoje rzeczy i odesłać je do Armii Zbawienia.
- Co za zniewaga.
- Co?!
- Słyszałeś.
- Jezu Chryste!
- A skoro już mówimy o gazetach, czytałeś dzisiejsze?
- Jesteś głupia krowa.
- Owszem, skoro tak długo z tobą wytrzymałam.
- Rusz swój tłusty tyłek, przyjedź i wszystko ci wytłumaczę.
- 351
- Mam przyjechać z mężem?
- Z kim?
- Poczytaj prasę.
- Aż ty durna cipo. Naprawdę to zrobiłaś?

- Wydaje się, że to ostatnio bardzo modne.
- Kogo podłapałaś? Chyba nie tego hiszpańskiego dupka w peruce.
- Tej pokusie się oparłam.
- Dzięki Bogu i za to.
- Wyszłam za Lenniego Goldeną.
- Kto to jest?

Rozmowa nie przebiegała zgodnie z jej nadziejami. Po pierwsze, była święcie przekonana, że Flash wie już o ślubie. No i oczywiście dawała głowę, że wie, kim jest Lennie.

- Nienawidzę cię — warknęła bez sensu.
- Przyjeżdżasz czy nie?
- Nie słyszałaś, co mówiłam? Ja mam męża, a ty masz żonę. Między nami wszystko skończone.

Był wyraźnie znudzony.

- Jak chcesz, Pyzo.

Niemal widziała, jak wzrusza chudymi ramionami, co zwykł robić, kiedy miał czegoś dość albo kiedy się zdenerwował. Nic go to nie obchodziło! Rozwścieczona trzasnęła słuchawką. Ojciec miał rację, i to od samego początku. Flash był egoistycznym, zdeprawowanym pasożytem — dobrze, że się go pozbyła.

W takim razie dlaczego ogarnął ją tak głęboki smutek? Znowu była mężatką, powinna śmiać się i śpiewać. A przynajmniej się uśmiechać. Odwiedziła tajny schowek i zażyła trochę koki. Lennie Golden. Właściwie kto to jest? I dlaczego za niego wyszła? Żeby zrobić na złość Flashowi? Za głupi powód, żeby dać się tak uwiązać.

Boże! Co ona najlepszego zrobiła? Lennie był miły, przystojny i wspaniały

w łóżku, ale ona nigdy w miłych facetach nie gustowała. Znowu popełniła błąd. Za kilka tygodni, po wycieczce jachtem, każe adwokatowi jakoś ją z tego wyciągnąć. Żadna sprawa. Ot, jeszcze jedna spleta. Stać ją na to. Bycie bogatą musiało mieć swoje dobre strony.

352

/

65

Lucky zamierzała zabrać na wycieczkę tylko sportowe ubranie, ale Dimitri poinformował ją — raczej późno — że kolacje na jachcie są bardzo oficjalne.

— Przebieracie się do kolacji? — spytała zdumiona.

— To tradycja — odrzekł.

— Czyja?

— Moja.

Sondowała jego twarz w poszukiwaniu choćby śladu uśmiechu. Nie znalazła żadnego. Zostawszy jego żoną, zdała sobie sprawę, że prawie wcale go nie zna. Żyli z sobą od półtora roku, ale z przerwami, które uatrakcyjniali krótkimi pobytami na jego wyspie, gdzie byli zupełnie sami i gdzie cudownie wypoczywali. Wyglądało na to, że Dimitri zaczyna odkrywać przed nią nowe oblicze. Nie była pewna, czy to oblicze się jej podoba. Natomiast nie miała najmniejszych wątpliwości co do tego, że powinna była utrzymać ich związek na pierwotnych warunkach. Dlaczego uległa jego naciskom?

Negocjacje w sprawie kupna terenu pod budowę hotelu w Atlantic City dobiegały końca i Lucky bardzo się z tego cieszyła. Ale wycieczka jachtem ją przerażała. Miała nadzieję, że znajdzie sobie jakiś zaciszny

kącik, gdzie będzie mogła się ubzdryngolić.

Dimitri postanowił, że trasa tegorocznego rejsu będzie wiodła wzdłuż południowego wybrzeża Francji. Naturalnie nikomu nie wspomniał — a zwłaszcza Lucky — że ustalił ją pod kątem Franceski Fern przebywającej w Monte Carlo, gdzie wydawano na jej cześć galową kolację, z której za nic w świecie nie chciała zrezygnować.

Z Nowego Jorku do Paryża przylecieli concordem. Prywatny odrzutowiec przetransportował ich stamtąd na lotnisko w Nicei, gdzie czekał rolls z szoferem, który zawiózł ich prosto na „Greka”, czyli na jacht Dimitriego, ochrzczony tą skromną nazwą przez jego właściciela.

Roberto zniósł podróż dobrze. Był dzieckiem nadzwyczaj ruchliwym i radosnym. Zdawało się, że nic nie może go zdenerwować, i Lucky doszła do wniosku, że miała

353

niebывałe szczęście, znajdując mu na opiekunkę kogoś takiego jak Cee Cee. Cee Cee była piękną czarnoskórą i zawsze roześmianą dwudziestolatką o wspaniałym garniturze wielkich, białych zębów i mocno kręconych włosach. Pracowała jako kelnerka w barze z hamburgerami, gdzie odkryła ją Lucky na półtora miesiąca przed rozwiązaniem.

— Tak pani zazdroścę! — powiedziała roześmiana Cee Cee, spoglądając na jej wielki brzuch i stawiając na stoliku porcję zakazanych frytek, mleczny koktajl tudzież wielkiego, soczystego hamburgera. — Uwielbiam małe dzieci. Na Jamajce zostawiłam sześcioro młodszych braci i sióstr i tak bardzo za tymi maluchami tęsknię»*.

Zaczęły rozmawiać i zanim się Lucky spostrzegła, zaproponowała jej

pracę, a Cee Cee natychmiast ją przyjęła.

Dimitri tego nie pochwalał. Chciał, żeby synem opiekowała się kwalifikowana angielska niania, a nie jakaś niedoświadczona kelnerka z Jamajki. Ale Lucky zawsze szła za głosem instynktu i Cee Cee okazała się prawdziwym skarbem. Kochała Roberta prawie tak bardzo jak oni. Lucky nigdy dotąd nie odwiedzała „Greka” —jacht był naprawdę olbrzymi. Spodziewała się luksusu, ale takiego bogactwa nie oczekiwała. Mieli płynąć dziewięćdziesięcio-metrowej długości pałacem z pełną załogą, ośmioma urządzonymi z przepychem kabinami, zaprojektowanymi przez ośmiu słynnych dekoratorów wnętrz, z kinem w stylu Art Deco o jedwabście czarnych ścianach, wyposażonym w najnowocześniejszą aparaturę do odtwarzania kaset wideo oraz do wyświetlania najnowszych filmów, z basenem wykładanym złoto-białą mozaiką oraz z licznymi pokładami do gier sportowych i do odpoczynku.

Powitał ich kapitan. Jowialny Anglik o czerstwym obliczu i wąsach w kształcie rowerowej kierownicy. Obok stała jego żona, kobieta o końskiej twarzy i skórzastej cerze — odpowiadała za kuchnię. Pracowali dla Dimitriego od piętnastu lat i spoglądali na Lucky ze źle ukrywaną podejrzliwością. Kapitan i pani Pratt szastali pieniędzmi bez opamiętania — pieniędzmi Stanislopoulosa naturalnie — i nie życzyli sobie obecności wścibskiej żony.

354

— Czy przyjechał już któryś z moich gości? — zagrzmiął Dimitri.

— Nie, jeszcze nie — odrzekł kapitan Pratt, witając ich na pokładzie. — Ale jesteśmy zvarci i gotowi. — Potrząsając ręką Lucky i mówiąc nowej pani Stanislopoulos, jak bardzo są szczęśliwi i uradowani, że szef znalazł

sobie żonę, cały czas rozbierał ją wzrokiem.

Akurat, pomyślała. Od razu domyśliła się, że kradną. Lata zarządzania hotelem w Las Vegas nauczyły ją wielu rzeczy o ludzkiej naturze, dzięki czemu natychmiast wyczuwała złodziei i oszukańców. Automatycznie rozciągnęła usta w uśmiechu. Demonstrowanie ogłady towarzyskiej szło jej coraz lepiej. Miała nadzieję, że wytrwa do końca rejsu. A potem da nogę. Atlantic City wzywało.

Dimitri wziął Lucky pod rękę i zaprowadził ją do kwater mieszkalnych. Czekala na nią bardzo męska kabina, pomieszczenie w ciemnych brązach i szarościach. Olbrzymie łóżce miało skórzany zagłówek, a stojące przy nim stoliki lśniły wypolerowaną skórą i mosiądzem. Ściany też wyłożono skórą. Na jednej z nich wisiał duży portret nagiej kobiety.

— Picasso — wyjaśnił Dimitri, widząc, że Lucky patrzy na obraz.

Weszła do łazienki. Czarny marmur. Zimny i bezosobowy.

— No i? — spytał Dimitri. — Podoba ci się?

— Bardzo tu... surowo — odrzekła.

— Chcesz powiedzieć: stylowo. Zamówiłem to wnętrze trzy lata temu u jednego z najświetniejszych włoskich projektantów.

— Mimo to surowo tu. Wolałabym coś bardziej odprężającego. —

Rozejrzała się jeszcze raz. — Gdzie są książki? Czasopisma? Co ważniejsze, gdzie jest muzyka?

— Jaka muzyka? — spytał, lekko nachmurzony. Jeszcze nie wiedział, że jej pasją jest soul. Bez dostępu do stereo czuła się zagubiona. Jak można projektować wnętrze sypialni, nie uwzględniając porządnego systemu nagłaśniającego?

Kabina Cee Cee i Roberta była o wiele weselsza. Za-

projektowano ją specjalnie dla Brigitte i jej niani, więc były tam kolorowe zwierzątka wspinające się po ścianach, fresk na suficie przedstawiający niebo i słońce oraz żółta, słoneczna łazienka. Lucky wiedziała, że spędzi tam więcej czasu niż w ascetycznym sanktuarium Dimitriego.

— Boże! — wrzasnęła Francesca Fern. — Uważajcie na moje walizki, durnie!

Francuscy bagażowi wymienili spojrzenia. Nie zrozumieli jej, ale wiedzieli, że jest Angielką albo Amerykanką — to bez różnicy — a na wszystkich angielskojęzycznych turystów należało patrzeć z góry i traktować ich z bezczelnością, na jaką tylko można się było zdobyć w ten gorący i wietrzny dzień. Przypadkiem czy celowo jedna z walizek od Vuittona (Francesca miała ich dwanaście, każda innej wielkości) zsunęła się z wózka, którym wieźli je do oczekującego samochodu.

— Horacy! — krzyknęła Francesca. — Jak śmiałeś do tego dopuścić? Bogu ducha winny Horacy odrzekł:

— Przepraszam, kochanie. To się już nie powtórzy.

— No, myślę — prychnęła FF i pomaszzerowała majestatycznie w stronę limuzyny, nie zwracając uwagi ani na gapiów, którzy natychmiast ją rozpoznali, ani na szofera, który skłonił się z szacunkiem, wiedząc, z kim ma do czynienia.

Horacy wcisnął pieniądze nonszalanckim bagażowym.

— Proszę — błagał — trochę ostrożniej. Tak? Bagażowi schowali pieniądze i puścili jego prośbę mimo

uszu, pozwalając, żeby walizy zsunęły się na zakurzony chodnik, jak tylko dotarli do limuzyny. Napiwek już dostali, więc natychmiast odeszli na

poszukiwanie następnej ofiary, nie pofatygowawszy się, żeby pomóc szoferowi załadować walizy do bagażnika.

Na szczęście Francesca tego nie widziała — siedziała już w samochodzie, wachlując się i narzekając na upał. Zawsze na coś narzekała, a Horacy zawsze służył jej za piorunochron. Rozpaczliwie kochał swoją dorodną, zmienną żonę

356

i wiedział, że jako kobieta obdarzona ogromnym talentem, musi mieć kogoś, na kim będzie się mogła wyładować. Przez osiemnaście lat stanowił idealny cel dla jej ciętych uwag. Ocierając pot, usiadł z tyłu obok Franceski.

— Hmm... — westchnęła FF i swym słynnym, głębokim, lekko chrapliwym głosem dodała: — Jestem kompletnie wyczerpana. Mogłabym spać przez tydzień.

Horacy się z nią zgodził. Horacy zawsze się z nią zgadzał. Uważał Franceskę za najbardziej imponującą kobietę, jaką kiedykolwiek widział, i ciągle zdumiewało go, że to właśnie jego wybrała sobie na męża.

— Nic nie stoi na przeszkodzie, najdroższa — odrzekł, doskonale wiedząc, że Francesca tylko tak mówi. Ilekroć spotykała się z Dimitrim Stanislopoulosem, balowali całymi nocami, pijąc, śmiejąc się i tańcząc. Nie chciał się nawet domyślać, co jeszcze mogli robić, i nie śmiał o to pytać. Raz spróbował.

— Jak śmiesz mnie szpiegować?! — wrzasnęła rozwścieczona Francesca. — Dimitri jest moim najlepszym przyjacielem i nie pozwolę, żebyś mnie przesłuchiwał.

Horacy się zamknął i już nigdy o nic nie pytał. Doroczna wycieczka

jachtem Dimitriego Stanislopoulosa należała do rytuału i nawet jeśli żona wślizgiwała się do łóżka o szóstej rano, wiedział, że to tylko chwilowe odstępstwo od reguły i że wkrótce znowu będzie należała wyłącznie do niego.

Jednak w tym roku sprawy mogą przybrać nieco inny obrót. Dimitri się ożenił.

— Z jakąś dziwką z Las Vegas! — wykrzyknęła Francesca, gdy się o tym dowiedziała. Horacy wyobraził sobie blond tancereczkę z wielkim biustem.

— Szofer! — FF nachyliła się i zastukała gwałtownie w szklane przepierzenie. — Zwolnij, na miłość boską. Pędzisz jak wariat.

Jechali najwyżej sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. Szofer, starszy mężczyzna zmęczony targaniem walizek (sześć z nich musiał wrzucić do bagażnika taksówki, która jechała za nimi), odrzekł ze stoickim spokojem:

— Oui, madame — żałując, że nie jest teraz w domu

357

z młodą, niedawno poślubioną żoną, przez którą chodził spać o wiele za późno.

Przez mniej więcej dziesięć minut podróż do Cannes upływała^ader jednostajnie, gdy wtem, bez żadnego widocznego powodu, limuzyna zaczęła szaleńczo zygzakować po jezdni, ocierając się o rozpaczliwie hamujące i wyjące klaksonami samochody.

— Boże! — wrzasnęła przerażona Francesca. — Horacy! Zrób coś!

Nagle wóz gwałtownie skręcił w stronę chodnika, uderzył w słup lampy i znieruchomiał. Siła zderzenia cisnęła Fran-ceskę na podłogę, a Horacy wylądował na niej. Cudem żadne z nich nie doznało urazu.

— Złaż ze mnie, głupcze! — rozdarła się FF, zdejmując bucik na wysokim obcasie i grzmocąc nim męża, gdzie popadnie.

Horacy podniósł głos — pierwszy raz od chwili, gdy się poznali.

— Przestań! — warknął.

— Nie będziesz mi rozkazywał! — wrzasnęła doprowadzona do furii FF, nie przestając go bić.

Kierowca jadącej za nimi taksówki szarpnął klamką tylnych drzwi i z pomocą kilku przechodniów wyciągnął ich z limuzyny. Posypały się francuskie przekleństwa. Docinano sobie wyrażeniami takimi, jak „Mon Dieu!”, „Merde!” oraz wieloma innymi.

Wywleczono na chodnik szofera. Miał lekko skaleczone czoło, a poza tym nie żył.

— Horacy! — krzyknęła Francesca. — To wyłącznie twoja wina!

Zrobiłbyś wszystko, żeby zepsuć mi urlop!

66

Tydzień w Las Vegas to niezbyt odpowiedni sposób na rozpoczynanie życia w stadle małżeńskim. Zwłaszcza z „zabawową” Alice u boku.

Zgodnie z odwieczną tradycją, obowiązującą matki i synowe, Alice znienawidziła Olympię, a Olympia Alice.

358

— Ona jest gruba — mówiła Alice.

— Ona jest wiedźmowata — mówiła Olympia.

— Ona jest arogancka — mówiła Alicja.

— Ona jest żenująca — mówiła Olympia.

I tak to szło. Lennie musiał wysłuchiwać całej litanii i od jednej, i od drugiej. Szczerze mówiąc, miał to gdzieś. Rzeczywiście, Olympia była

trochę za tęga — wymógł na niej obietnicę, że zrzuci cztery, pięć kilo. Fakt, Alice potrafiła być wiedźmowata — zagroził, że jeśli nie będzie zachowywała się poprawnie, wyrzuci ją z hotelu. Olympia źle traktowała służbę — zauważył to i natychmiast ją upomniał. Alice zawsze była żenująca — temu zaradzić nie mógł. Była taka całe życie.

Natomiast wielką niespodzianką okazał się układ Alice — Brigitte. Pokochały się, i to jak! Wystarczyło, że Brigitte spojrzała na wypłowiałą eks-striptizerkę i momentalnie zadzierzgnęła się między nimi silna więź. Brigitte nie lubiła dorosłych, Alice nie cierpiała dzieci — tworzyły dziwną parę. Jak równa z równą gawędziły o programach telewizyjnych, o jedzeniu i o ubraniach. Ani Olympia, ani Lennie nie wierzyli własnym oczom. W głębi ducha Lennie zawsze podejrzewał, że Alice to kobieta o mentalności dzierlatki — ale Brigitte skończyła dopiero jedenaście lat! — mimo to można by pomyśleć, że są starymi przyjaciółkami. Ich przyjaźń wszystko uratowała, bo dzięki temu, że się zaprzyjaźniły, Olympia zaakceptowała Alice. I nagle Brigitte zaczęła zachowywać się jak normalny człowiek — zupełnie nowe zjawisko.

Lennie skonstatował, że małżeństwo ma pewne zalety. Jedną z nich było to, że nie musiał już zarywać dziewczyn na jednonocne numery. Oczywiście nie oszukiwał się, że są w sobie szaleńczo zakochani, ale mieli dużo czasu. Zrobili to, co zrobili i był gotów spróbować.

Myśli o Eden zepchnął w najgłębsze zakamarki umysłu.

Olympia też stwierdziła, że małżeństwo (już czwarte) ma pewne zalety. Zwłaszcza małżeństwo z kimś takim jak Lennie. Natychmiast zauważyła, że różni się od trzech poprzednich mężów. Był inteligentniejszy i seksowniejszy, no

i w przeciwieństwie do tamtych nie interesowały go jej pieniądze.

Właściwie to zupełnie mu na nich nie zależało. Kiedy trzy dni po ślubie podsunęła mu antydatowaną in-tercyzę, podpisał dokument, ledwo nań spojrzawszy.

— Z tym się nie ożeniłem — mruknął zbywająco. Miał elektryzujące oczy, wytrwałe usta, łagodne ręce

i zapierające dech w piersi przyrodzenie.

Flashem to on nie był. Ale coś w sobie miał. Odwiesiła Gnata na kołku. Mógł poczekać.

Jess doskonale zdawała sobie sprawę, że nie jest świadkiem rozkwitu płomiennej, młodzieńczej miłości, ale musiała przyznać, że jest o wiele lepiej, niż się tego spodziewała po pierwszym spotkaniu z grecką księżniczką, jak ją ochrzciła — choć z drugiej strony Olympia bardziej przypominała rodowitą kalifornijkę niż Greczynkę.

— Lennie — skomentowała — nie wiem, co jej powiedziałeś, ale ciągle jej to powtarzaj. Od jakiegoś czasu jest niemal do zniesienia.

Roześmiał się.

— Musisz ją zrozumieć — tłumaczył cierpliwie. — Oczywiście, że jest zepsuta. Nie byłabyś zepsuta, gdyby twój stary miał w kieszeni pół świata i gdybyś dorastała oczekując, że drugą połowę dostaniesz ty?

Jess spróbowała postawić się na miejscu Olympii, ale nie potrafiła.

— Ona ma wiele kompleksów — kontynuował Lennie psychoanalityk. — Dlatego traktuje ludzi tak> jak ich traktuje.

Taa? — pomyślała Jess. Ciekawe, jakie to kompleksy? Nareszcie zaczynała coś z tego rozumieć. Lennie Golden. obrońca pokonanych.

Poślubił najbogatszą dziewczynę świata, żeby uratować ją przed samą sobą. Ha!

— Kiedy ją lepiej poznasz — dodał — szczerze ją polubisz. Smak nabyty, jak węgorz na grzance.

— Skoro tak twierdzisz... — odrzekła przyjaźnie. Nie miała ochoty na kłótnie. Lennie pozna prawdę w swoim czasie, to pewne.

360

Tymczasem Matt doprowadzał ją do szału. Teraz, kiedy nareszcie doszła do wniosku, że bardzo się jej podoba, Matt Traynor postanowił odgrywać rolę najlepszego przyjaciela, takiego, który nawet palcem kumpelki nie tknie. Pragnęła, żeby tknął ją nie tylko palcem, i dała mu to do zrozumienia.

— Od początku miałaś co do nas rację, Jess — odrzekł, nie chwytając aluzji. — Pewnie brałaś mnie za nachalnego dupka, kiedy nie dawałem ci spokoju.

— Nie, nieprawda — zaprzeczyła z nadzieją.

— Tak, byłem żalonym dupkiem — powtórzył, nie mając najmniejszego zamiaru ponownie zrobić z siebie durnia.

Zbliżał się termin wyjazdu na rejs jachtem Dimitriego i Olympia omówiła to z Lenniem. Lennie skonsultował się z Jess i stwierdził, że da radę wyskoczyć tylko na tydzień, gdyż zaraz potem miał pierwszy występ w telewizyjnym „Tonight Show” i niecierpliwie tej chwili wyglądał. Choć z drugiej strony był bardzo zdenerwowany. Występ z Car-sonem to jak uzyskanie audiencji u papieża.

— Obiecali ci aż siedem minut — mówiła z ożywieniem Jess. — Freddie de Cordova powiedział, że nie rozumie, jak to się stało, że jeszcze u nich

nie występowałaś. Nie chciałam mu mówić, że bombardujemy ich telefonami od dwóch lat!

Lennie postanowił, że wyjedzie z Olympia w sobotę, zaraz po ostatnim występie. Samochodem do Los Angeles, Stamtąd porannym lotem do Londynu, gdzie przenocują i gdzie następnego dnia złapią samolot na południe Francji. Bardzo się na tę podróż cieszył, bo nigdy dotąd nie był za granicą, chociaż na szczęście miał paszport — wyrobił go sobie lata temu, kiedy planowali z Eden wyprawę do Wenecji, która nie doszła do skutku, ponieważ Eden uciekła do Los Angeles z tym aktorką. Swoją drogą ciekawe, co się z nim stało?

Natomiast Olympia cieszyła się jego entuzjazmem. Oprowadzi go, przedstawi swoim przyjaciołom — czekała ją pyszna zabawa. Żałowała tylko, że nie mają więcej czasu.

361

Niania Mabel i Brigitte wyjeżdżały dwa dni wcześniej i nagle Olympia wpadła na znakomity pomysł. A może by tak wysłać z nimi Alice? Dzięki Alice dzieciak będzie się przynajmniej grzecznie zachowywał.

Przedstawiła swój plan Lenniemu.

— Wybij to sobie z głowy — odrzekł bez wahania.

Ale gdzieś po drodze to i owo musiało przecieknąć: dowiedziała się o tym Alice, która natychmiast stanęła przed nim z zaczerwienionymi policzkami i trzęsącymi się rękami.

— Nie możesz pozbawiać mnie szansy — oznajmiła dramatycznie. —

Uniemożliwiłeś mi występ u Griffina, dobrze o tym wiem. Nie jestem byle kim, nie możesz wiecznie spychać mnie na drugi plan. Jestem twoją matką, Lennie, twoją matką!

Jakby nie przypominała mu o tym dziesięć razy dziennie. Niechętnie zgodził się na jej uczestnictwo w podróży, chociaż dręczyły go straszliwe podejrzenia, że jeszcze tego pożałują — wszyscy, a zwłaszcza on.

Pozostała część ostatniego tygodnia w Las Vegas upłynęła szybko. On i Vitos Felicidade robili furorę, a recenzje, jakie otrzymywał, brzmiały tak, jakby wyszły spod jego własnego pióra. Przedstawiali go jako multiutalentowanego aktora o wyczuciu Carlina, nonszalancji Вгисе'a i komicznym szaleństwie Chevy Chase'a. Nieźle. Jess wszystkie recenzje wycinała i odkładała wraz ze stertami innych do albumów, które chciała kiedyś założyć.

W wieczór przed ich wyjazdem Matt wydał małe przyjęcie. Przyszedł sam, tak samo jak Jess. Siedzieli spokojnie obok siebie, pogrążeni w nie wypowiedzianych myślach.

Vitos przyszedł z wysmukłą brunetką, która przez całą kolację wylizywała mu ucho.

Korzystaj z tego ucha, korzystaj — myślała Olympia. Ma do zaoferowania niewiele więcej.

Vitos był czarujący względem wszystkich i każdego z osobna, tak że nikt nie domyśliłby się, że niecały tydzień wcześniej dostał od Olympii kosza.

Lennie się urżnął, Olympia ostro przyćpała.

Rano postanowił rzucić picie. Alkohol źle na niego wpływał, tak samo jak walka z porannym kacem.

362

Olympia się pakowała. Jess wpadła na lunch. Była gotowa do wyjazdu, ale zamierzała wyjechać dopiero nazajutrz.

— Może zabierzesz się z nami dziś wieczorem? — spytał Lennie.

Pokręciła głową. Chciała spędzić w Las Vegas jeszcze jedną noc. Żeby dać ostatnią szansę Mattowi.

Lennie szybko odkrył, że bez względu na to, gdzie się Olympia udała, wszędzie traktowano ją wyjątkowo. W Ameryce jego też zaczęto traktować jak Bardzo Ważną Osobę — nie ma to jak potęga sławy, nie wspominając już o potędze telewizji. Natomiast w Europie nikt o nim jeszcze nie słyszał i nagle został „panem Stanislopoulosem”. Kiedy nazwano go tak pierwszy raz, parsknął śmiechem. Za drugim razem uznał, że to wcale nie takie śmieszne. Za trzecim nie dostrzegł w tym ani krzty humoru.

Olympia potrząsnęła swymi blond lokami i poradziła mu, żeby lepiej do tego przywykł.

— Nigdy, moja pani — odrzekł rozsierdzony. Londyn był taki, jak go sobie wyobrażał, choć cieplejszy.

Z wyasfaltowanych ulic biły fale suchego, przesyconego dymem powietrza, które stało nad miastem niczym para. Na lotnisku czekał na nich biały bentley z białowłosym szoferem, który zawiózł ich do hotelu „Connaught”.

— Ojciec zawsze się tam zatrzymuje — oznajmiła Olympia. — W „Connaught” jest najlepsza restauracja w mieście.

Nie zdążył tego sprawdzić, bo kolację zjedli w ekskluzywnym klubie „Annabels” na Berkeley Square, gdzie Olympia przedstawiła go swoim angielskim przyjaciółom. Byli to dziwni ludzie o jeszcze dziwniejszych imionach takich, jak: Muffy, Pipko, Nigel czy Poopsie.

— To angielska arystokracja — szepnęła. Mężczyźni gęgali jak gęsi, a dziewczęta, choć delikatne

i piękne — idealna, białoróżowa cera i artystycznie uformowane fryzury a la księżniczka Di — robiły wrażenie niedostępnych. Zatańczył z jedną z nich. Grała płyta Sinatry, kawałek zatytułowany „Leć ze mną”, i wyglądało na to,

363

że wszyscy cudownie się bawią. Dziewczyna pachniała zwiędłymi różami i cały czas napierała na niego kościstym ciałem.

— Jedźmy dalej — zaproponowała Olympia po wyśmienitej kolacji złożonej z koktajlu z krabów, steku Dianę π i lodów z gorzką czekoladą.

— Nie jesteś zmęczona? — spytał żartobliwie; powoli zaczynał odczuwać różnicę czasu między Stanami a Europą.

— Ani trochę — odrzekła, zastanawiając się, czy poczęstować go znakomitą koką, którą zażyła przed wyjściem. Nie, to jej zapas i nie zamierzała się nim dzielić. Nie miała zielonego pojęcia, jak poradzi sobie na jachcie, gdzie nie będzie mogła nic kupić, więc najważniejsze to nie uszczuplić za dużo tego, co udało jej się zdobyć. Poza tym Lennie nie przepadał na prochami, sam jej to mówił, więc po co marnować dobry towar?

Przelotnie pomyślała o Flashu. Z Flashem nigdy nie było problemów. Flash to ćpun nad ćpuny. Kto wie, może wpadną na niego na południu Francji. Zaszył się w willi nad Cannes ze swoją ciężarną żonką i pewnie oboje są nawaleni jak stodoła.

Z „Annabels” pojechali do „Trampa” na Jermyn Street. „Tramp” to też prywatny klub, z tym że trochę na uboczu, za to dużo zabawniejszy niż stonowany „Annabels”.

Prowadził go jowialny Anglik nazwiskiem Johnny Gold. Powitał Olymnię jak starą przyjaciółkę, którą zdążył już pogrzebać, choć odwiedziła go jak dotąd tylko raz, z Flashem. Z równą wylewnością potraktował jej męża, co więcej, zdawało się, że wie, z kim ma do czynienia, co mile Len-niego połechtało. Instynkt podszeptował mu, że „Tramp” to miejsce w sam raz dla niego. Zdjął krawat, rozpiął kołnierzyk koszuli i natychmiast poczuł się lepiej.

Johnny zaprowadził ich do zatłoczonej dyskoteki, gdzie przepchnęli się bokiem do stołu, przy którym nie było już miejsca. Przedstawił ich Janie, swojej żonie, uderzająco pięknej eks-modelce, oraz kilkorgu innym gościom siedzącym na wygodnej bankietowej ławie, w tym Ringo Starowi, Jackowi Nicholsonowi i gwiazdorowi angielskiej piłki nożnej, George'owi Bestowi.

364

Lennie wrzucił drugi bieg i nagle odeszło go całe zmęczenie.

Wytoczyli się z klubu o czwartej nad ranem, on i Olympia. Próbując uniknąć krążących wokoło paparazzi, runęli na tylne siedzenie oczekującej limuzyny i przespali całą drogę do „Connaught”.

Była to pamiętna noc, ale już w południe następnego dnia siedzieli na pokładzie kolejnego samolotu, zmierzając tym razem na południe Francji, gdzie czekał ich letni rejs jachtem Dimitriego.

■

67

Lucky zajęła z góry upatrzoną pozycję i stanowisko już pierwszego dnia. Po prostu siedziała cicho i uważnie patrzyła, czując się jak zbędna, aczkolwiek bystra obserwator-ka wielkiej łamigłówki życia.

Szczerze mówiąc, przywykła do obserwowania ludzi i sytuacji — ostatecznie spędziła cztery długie lata w Waszyngtonie jako małżonka druzgocąco nudnego Cravena Richmonda.

Teraz była żoną Dimitriego Stanislopoulosa i czasami zastanawiała się, czy związek ten jest choć trochę lepszy od poprzedniego. Życie w małżeńskim stadle jej nie odpowiadało. W miarę upływu czasu coraz bardziej kusila ją wolność i całkowita niezależność, ponieważ z każdym dniem знаła Dimitriego coraz mniej. Stał się arogancki i dominujący, niczym tyran dla swoich pacholków. Kiedyś był podniecającym i wytrawnym kochankiem. Odkąd się pobrali, stracił całe zainteresowanie seksem.

Przybyła rozhisteryzowana Francesca Fera. Szofer, który miał ją przywieźć na jacht, okazał się niewychowanym gburem: miał czelność dostać ataku serca i umrzeć w drodze! Nic dziwnego, że była wściekła. Oczywiście całą winę za ten incydent zrzuciła na swego nieszczęsnego męża Horacego.

Horacy przyjął gniew żony, jak na Horacego przystało.

Dimitri pocieszył ją szampanem, różami i pełnym atencji nadskakiwaniem.

365

Lucky, która wiedziała o jego wieloletnim romansie z Franceską Fern, zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście przestali ze sobą sypiać, jak ją o tym zapewniał, kiedy omawiali listę zaproszonych gości.

— Francesca była kiedyś moją wielką namiętnością — wyznał otwarcie.

— Ale teraz jest tylko dobrą przyjaciółką i chcę ją zaprosić.

— Oczywiście — odrzekła Lucky, nie będąc kobietą zazdrosną.

Bynajmniej nie widziała w FF żadnego zagrożenia, tylko bardzo sławną

kobietę o końskiej twarzy.

Kiedy zakwaterowano Fernów, na jacht przybył Saud Omar, niezwykle bogaty Arab, ze swoją przyjaciółką z lepszych sfer, contessą Tanią Zebrowski. Wystarczyło jedno spojrzenie i Lucky aż jęknęła w duchu. Gruby, przysadzisty Omar o brązowych oczach, „przesiąkniętych ropą naftową”, był ewidentnym lubieżnikiem, a jego obwieszona brylantami i złotem przyjaciółka hardą flądą o wielokrotnie liftowanej twarzy i dawno przebrzmiałej urodzie.

Później przyjechał Jenkins Wilder, teksański potentat naftowy, kabotyn pod pięćdziesiątkę, wraz z Fluff, osiemnastoletnią żoną, która nazywała go „tatuńciem” i „prostaczkiem”.

Tak minął pierwszy dzień.

Rankiem dnia następnego przyjechały niania Mabel, Bri-gette i nieziemsko odstawiona Alice, która objęła naburmuszonego Dimitriego, wycalowała go na wszystkie strony i oznajmiła:

— Jakbym znała cię całe życie. Teraz jesteśmy rodziną. Poznajmy się, jak trzeba.

Gino i Susan przybyli w południe i niedługo potem jacht odpłynął.

Rozpoczął się rejs.

Zawiązały się przyjaźnie.

Contessą i Susan natychmiast przypadły sobie do gustu. Fluff i arabski lubieżnik odkryli, że łączy ich wspólna pasja: swobodne nurkowanie.

366

Francesca i Dimitri zonglowali słowami i wymieniali powłóczyście spojrzenia.

Alice spodobał się Horacy.

Jenkins Wilder spędzał większość czasu, wisząc na telefonie.

Skutkiem czego Lucky i Gino zostali sami.

— Jak się miewasz? — spytała.

— Dlaczego związałaś z Los Angeles?

— Susan dobrze wygląda — powiedziała, żeby coś powiedzieć.

— Ten cały Dimitri jest dla ciebie za stary — mruknął. Chciała rzec: Co my tu, do diabła, robimy? Przecież

zupełnie tu nie pasujemy.

— Hej, dziecino. Co my tu, do diabła, robimy? — Wypowiedział te słowa na głos. Dobry, stary Gino zawsze mówił to, co myślał.

Wzruszyła ramionami i spojrzała na morze. Jacht sunął gładko po lazurowo błękitnej wodzie kursem na St Tropez, gdzie mieli zabrać na pokład Olympię i jej najnowszego męża. Lucky opalała się z Ginem na górnym pokładzie. Na pokładzie pod nimi Dimitri rozgrywał z Franceską hałaśliwą partię remika.

— Nie mam pojęcia — odrzekła w końcu.

— Wiesz co? — rzucił w zadumie Gino. — Myślę, że w ciągu dwóch ostatnich lat oboje popełniliśmy kilka błędów.

Spojrzała na niego badawczo. Takie stwierdzenie zupełnie do ojca nie pasowało. Co jej próbował powiedzieć? Że i on miał wątpliwości co do swego małżeństwa?

Chciała go o to zapytać, ale w tym samym momencie nadszedł steward z wiadomością, że podano lunch. Kiedy tylko mieli rozpocząć poważną rozmowę, zawsze im coś przeszkadzało. Miała nadzieję, że Gino jeszcze chwilę zostanie, że odczeka, aż najpierw pójdą tamci. Ale nie, nie został. Wstał, naciągnął polo i podał jej rękę.

— Chodźmy, dziecino — powiedział. — Im więcej posiłków zjemy, tym szybciej zejdziemy z pokładu tej zafajdanej krypy. Czego przynajmniej ja nie mogę się już doczekać!

367

Jacht Stanislopoulosa zacumował w porcie St Tropez o siódmej. Dimitri zdecydował, że zjedzą kolację na pokładzie, jako że większość gości dotkliwie odczuwała skutki różnicy czasu.

Lucky była niespokojna. Przebrała się w długą, białą suknię, nałożyła nową aksamitkę z brylantami, energicznie wyszczotkowała włosy, mocno nimi potrząsnęła, tak że wyglądały jak wzburzony obłok, następnie lekko się umalowała.

Dimitri przebrał się w ciemny garnitur, białą koszulę, nałożył jedwabny krawat, po czym wdzięczył się chwilę przed lustrem, skrapiając się wodą kolońską.

— To czysty absurd — zauważyła Lucky. — Jesteśmy w St Tropez, na jachcie, na wakacjach, a przebieramy się, jakbyśmy szli na galowe przedstawienie do opery!

— Może to dla ciebie absurd, moja droga — odrzekł pompatycznie — jednak do pewnych spraw podchodzę właśnie w ten sposób.

— A co ze mną? — wybuchnęła. — Ja nie mam w tych sprawach nic do powiedzenia?

Otaksował ją spojrzeniem.

— Ta suknia jest stanowczo za bardzo wydekoltowana — zauważył. — I za mocno pomalowałaś powieki.

Po raz pierwszy skrytykował jej wygląd.

— Pieprz się! — warknęła zacietrzewiona.

Dimitri popatrzył na nią i z głębokim żalem uświadomił sobie, że nie powinni byli się pobierać. Lucky była za młoda, za dzika, a już na pewno za bardzo wyszczekana. Miał nadzieję, że kiedy za niego wyjdzie, zaakceptuje jego autorytet, mentorstwo oraz bogatą wiedzę o życiu. Najwyraźniej się pomylił.

Do stołu w wielkiej sali jadalnej siadali w nie najlepszych nastrojach. Dimitri zajął miejsce na jednym końcu stołu z Franceską po lewej i Susan po prawej stronie. Lucky wylądowała na drugim końcu w towarzystwie Sauda Omara i Horacego Ferna. Gino znalazł się gdzieś pośrodku, obok Fluff. Lucky nie była z tego powodu zadowolona. Kto odpowiadał za rozsądzenie gości?

Podniosła srebrną podstawkę na kartonik z nazwiskiem i rozpoznała charakter pisma Dimitriego.

368

Niech go diabli wezmą. Dyktował wszystkie warunki gry i zaczynało ją to męczyć. Czy jako pani Stanislopoulos nie miała absolutnie nic do powiedzenia?

Rozmowa przy kolacji była, delikatnie mówiąc, sztywna. Lucky natychmiast znieubiła Sauda z jego lubieżnymi oczkami i tłustymi włosami. Horacy po prostu nie istniał, a kobiety były nudne jak flaki z olejem — albo plotkowały, albo tokowały o strojach, projektantach mody, biżuterii i kłopotach ze służbą.

Co ja tu robię?! — myślała. Zwariowałam czy co? Przecież ja tu zupełnie nie pasuję.

Śmiech Franceski brzmiał jak hurkot piły elektrycznej. A śmiała się często, ponieważ znakomicie się z Dimitrim bawili. Susan powszechnie

ignorowano. Gino był dziwnie cichy.

Kolacja upływała powoli. Zaczęto od kawioru. Później podano chateaubrianda z ziemniaczanym piure i warzywami. Obsługiwały ich trzy filipińskie kelnerki w białych, sztywnych od krochmalu fartuszkach.

Co za przeżytek, pomyślała Lucky, grzebiąc widelcem w talerzu.

Zanim podano deser, zdążyło ją to wszystko koszmarnie znudzić. Giną też, chociaż Fluff robiła, co mogła, żeby go zabawić. Osiemnastolatki przestały go interesować przed wieloma dziesięcioleciami.

Popatrzyli na siebie przez stół. Potrząsnął głową, jakby chciał powiedzieć: Co to za paranoja? W odpowiedzi leciutko wzruszyła ramionami: Skąd, u diabła, mam wiedzieć? Wymienili ukradkowe uśmiechy. Boże, jak za nim tęskniła!

Na deser zaserwowano malutkie, polane czekoladą ciasteczka i prowadząc chaotyczną rozmowę z Horacym, zobaczyła, jak Francesca karmi Dimitriego tymi okrągłymi, wypełnionymi kremem delikatesami: podawała mu je po jednym, śmiejąc się gardłowo i oblizując wyszminkowane na ciemno usta wężowatym jęzorem.

Ten sukinsyn ciągle z nią sypia!

Wiedziała to na sto procent i była wściekła.

Naturalnie, domyśliła się tego już w chwili, gdy FF weszła na pokład jachtu. Rzecz była aż nadto oczywista.

«

369

Powłóczyście, intymne spojrzenia, dotyk rąk, atencja, jaką ją darzył.

Dobitniejszych dowodów nie trzeba. Lucky nie była idiotką. Nie to, żeby go jeszcze kochała, bo na dobrą sprawę nie kochała go nigdy. Tak, jasne,

przez jakiś czas oszukiwała się, że może wreszcie znalazła odpowiedniego mężczyznę. Ale patrząc na ich związek trzeźwym okiem, skonstatowała, że wyszła za Dimitriego, ponieważ uznała, iż tak będzie najlepiej ze względu na synka i — musiała spojrzeć prawdzie w oczy — ponieważ bardziej niż czegokolwiek innego w świecie pragnęła zbudować własny hotel.

Psiakrew! Gdzie jest prawdziwa miłość? Po śmierci Marca była przekonana, że już nie potrafi kochać. Że już nigdy nie zazna tej gorącej, wszechpochłaniającej miłości. I miała rację.

Cholera! Cholera! Cholera!

Horacy powtarzał w kółko jakieś debilne pytanie. Wolałaby, żeby się zamknął. Co z niego za mężczyzna? Przecież musiał wiedzieć, co się dzieje.

Zmrużyła oczy, próbując ułożyć plan działania. Postanowiła, że, po pierwsze, na pewno się nie poniży i nie zrobi sceny. Prawdopodobnie wszyscy członkowie tej znakomitej grupy tylko na to czekali.

Nie, uzbroi się w cierpliwość, zaczeka na odpowiedni moment i dopiero wtedy uderzy.

Dlaczego Marco musiał umrzeć?

Zwilgotniały jej oczy. Zamrugła i rozpędziła łzy. Płacz to oznaka słabości, a Lucky Santangelo była kobietą silną.

68

Carrie i Steven przyjechali do Los Angeles późnym popołudniem. Steven, jak zwykle cichy i milczący, jak zwykle dławił w sobie wściekłość i urazę. Załatwiwszy formalności w hotelowej recepcji, spojrział na Carrie i oznajmił:

— Zobaczymy się o dziesiątej rano. — Tylko tyle. Zostawiał ją samą. Nie obchodziło go, że skazywał matkę na długi, samotny wieczór.

370

— Dobrze, Steven — odrzekła cicho, idąc w stronę windy.

Poszedł do swego pokoju. Patrzył chwilę na telefon, ogolił się, wziął prysznic, zamówił pół butelki szkockiej, znowu spojrzął na telefon.

Za kwadrans siódma podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Odpowiedziała kobieta.

— To sprawa nie cierpiąca zwłoki, nagły wypadek — rzekł opanowanym głosem. — Muszę natychmiast rozmawiać z panem Ginem Santangelo.

— O Boże... — Kobieta wpadła w popłoch. — Jaki wypadek? Państwo Santangelo wyjechali wczoraj za granicę. Na dwa tygodnie, do Europy...

— Do Europy? — powtórzył jak automat.

— Do Francji — odrzekła. — Mogę spróbować się do nich dodzwonić, ale...

Odłożył słuchawkę, nie czekając, aż kobieta skończy mówić.

Późnym wieczorem wynajął samochód i przejechał przed rezydencją Santangelów. To właśnie wtedy uświadomił sobie, jak niedostępni są ci ludzie, i to właśnie wtedy go olśniło: Gino Santangelo nie wysłuchałby go nawet wówczas, gdyby nigdzie nie wyjechał, to po prostu wykluczone. Po co się oszukiwał?

Przygnębiony pojeździł jeszcze chwilę, wrócił na Bulwar Zachodzącego Słońca, w końcu wjechał na parking przy jakimś barze. Nie wiedział, że to knajpa ze striptizem, dopóki nie wszedł do środka, ale miał ochotę na kielicha i było mu wszystko jedno, do jakiej nory trafi.

Tłoczyli się tam sami mężczyźni, obserwując wspaniałą Skandynawkę,

która rozbierała się sugestywnie na wybiegu meandrującym między wyszczerbionymi stolikami. Spod czerwonego atłasu wychynęło gładkie ciało, jędrne piersi i gęsta, kędzierzawa kępka między udami.

U półnagiej kelnerki w spódnicy z morskiej trawy zamówił podwójną szkocką. Kelnerka, dziewczyna o strąkowa-tych włosach i sterczących piersiach, nie mogła mieć więcej jak siedemnaście lat. Zrobiło mu się jej żal, więc kiedy przyniosła whisky, dał jej duży napiwek.

371

Spojrzała na niego zaćpanymi oczyma i szepnęła:

— O wpół do dziesiątej mam przerwę. Za dwadzieścia baksów mogę zrobić ci loda na parkingu.

Propozycja go uraziła. Czyżby zaczynał upodabniać się do pospolitego klienta?

— Nie, dziękuję — odparł krótko.

— To za piętnaście — szepnęła z nadzieją.

— Nie.

— No to za dychę — błagała. — Mam synka, dzieciak potrzebuje dużo rzeczy.

— Jakich rzeczy? — spytał szybko. Rozejrzała się niespokojnie.

— Ubrania, jedzenia. No, różnych.

— Balach.

— Nieprawda. Nie wciskam ci kitu.

— Hej, Desiree! — krzyknął barman. — Co się tam dzieje? Przyjmujesz kolejne zamówienie czy co?

Znieruchomiała niczym sznur w pułapce.

— W porządku — powiedział Steven. — Przynieś mi jeszcze jednego

drinka.

Skandynawka ustąpiła miejsca dziarskiej Portorykance o zdumiewająco białych, mocno tapirowanych włosach. Miała na sobie kowbojski strój, który ostał się na niej dokładnie trzy i pół minuty. Zrzuciła i bieliznę, by zademonstrować nagie ciało, ozdobione długimi kitkami na sutkach i w kroczu. Przykucnęła i zaczęła nimi kręcić przy akompaniamencie sprośnych zachęt rozwrzeszczanej publiczności.

Desiree przyniosła drugą szklaneczkę.

— Ile lat ma twoje dziecko? — spytał.

— Prawie dwa.

— A ty?

— A ile byś sobie życzył? — spytała kokieteryjnie. — Mogę być uczennicą albo kurewką. Chcesz później do mnie wpaść, żeby się przekonać? Będziesz musiał wyłożyć pięć dych, ale nie pożałujesz ani dolara. Jak zapłacisz sześć, to wyjdę już teraz, powiem im, że źle się czuję.

— Desiree! — wrzasnął barman.

— No to jak? — rzuciła niecierpliwie. Zaciekawiała go.

372

— Wyjdź teraz — zdecydował.

— Na parkingu za pięć minut — wymamrotała i szybko odeszła.

Odczekał kilka minut kręcenia kitkami, a kiedy Portorykanka zaczęła zbierać kroczem zwinięte w rulonik banknoty, wstał i wyszedł na dwór.

Powietrze było rześkie i kojące. Stał przy samochodzie i czekał.

W końcu się pojawiła. Miała na sobie dżinsy i podkoszulek, a strąkowate włosy związała w kucyk. Teraz wyglądała na dwunastolatkę. Podeszła do starego pontiaca i rzuciła:

— Daj forszę i jedź za mną.

Nie miał za dużo pieniędzy, ale gra go wciągnęła. Zaczął się targować.

— Połowa teraz, połowa potem.

— Nie okantujesz mnie? — spytała błagalnie.

— A ty nie uciekniesz?

— Absolutnie. Podobasz mi się. Zaspokoję cię jak nikt, zobaczysz.

Nie chciał jej mówić, że nie ma najmniejszego zamiaru się z nią kochać.

Wzięłyby go za świrusa i dałyby nogę.

A może właśnie kimś takim się stawał? Dokumentnie porąbanym świrusem, który krąży po barach z tanimi dziwkami i szuka ojca, na co było stanowczo za późno.

Desiree mieszkała w obskurnym domu za Santa Monica. Zaparkowała równoległe do jakiegoś samochodu, uniemożliwiając mu wyjazd, i kazała Stevenowi zrobić to samo.

— Jak zechcą wyjechać, to wrzasną — rzuciła trzeźwo i praktycznie.

Rozchwianymi schodami wszedł za nią do małego pokoju, zawierającego jej życie, łącznie z berbeciem śpiącym w zdezelowanej kołysce w jednym rogu i wyliniałym kocurem ucinającym drzemkę w drugim.

Zapaliła lampę i prosto z mostu spytała:

— Chyba nie jesteś gliniarzem, co? — A kiedy pokręcił głową, wyrecytowała: — Zwyczajne rypanko tylko sześć dych. Za dodatki płacisz ekstra.

Wskazał dziecko.

— Aon?

373

— Tylko żadnych świństw z dziećmi — odrzekła szybko z niepokojem w

czarnych oczach.

Ogarnęła go bezradność. I złość. Wielka złość.

— Chciałem spytać — rzekł powoli — czy zostanie w pokoju? Co będzie, jeśli się obudzi?

— Nie obudzi się.

— Skąd wiesz?

— Bo wiem — odrzekła z uporem.

— Kto się nim zajmuje, kiedy jesteś w pracy?

— Cały czas śpi.

— Chcesz powiedzieć, że po prostu wychodzisz i zostawiasz go samego?

— On nigdy się nie budzi.

— Skąd ta pewność?

— Bo daję mu prochy na sen, śpi po nich jak zabity. Czy to cię zadowala?

Usiadł na brzegu łóżka.

— Jezus Maria!

Wzięła to za dobry znak i zaczęła ściągać podkoszulek.

— Nie zdejmuj — powiedział. Obciągnęła podkoszulek.

— Muszę zdjąć dzinsy... — utyskiwała, mocując się z ek-lerem.

— Chcę tylko pogadać, nic więcej. Zniecierpliwiona chwyciła wyliniałego kota i wyrzuciła

go za drzwi. W rozmowie czuła się nieswojo. Uprawiając seks, wiedziała przynajmniej, co robić.

— Chcę resztę szmalu — jęknęła. Dał jej pieniądze i cicho spytał:

— Czy wiesz, że szpikowanie małych dzieci pigułkami nasennymi jest bardzo niebezpieczne?

— Kim jesteś? Z opieki społecznej?

— Może doprowadzić do śmierci. Tak samo jak zostawianie dziecka samego. Jeśli wybuchnie tu pożar... To mieszkanie jest jak pułapka.

— Nie zapieszaj, człowieku.

— Kto jest jego ojcem? Roześmiała się głośno.

— Nie wiem. I mam to gdzieś. Zresztą kogo to obchodzi?

374

— Może będzie obchodziło jego, kiedy dorośnie na tyle, żeby o to spytać. Pomyślałaś o tym?

— Posłuchaj, kochasiu. — Jej matowe oczy nagle ożyły. — Ja się tym dzieckiem opiekuję. Może myślisz, że nie za bardzo, ale lepiej nie potrafię. A kiedy pacan dorośnie, powiem mu prawdę. Powiem, że zatrzymałam go przy sobie, że dawałam mu wikt i opierunek, że wszystko zawdzięcza tylko mnie, bo gdyby nie ja, wylądowałby w jakimś durnym państwowym sierocińcu, gdzie nikt by się nim nie opiekował.

Steven nie przeciągał rozmowy, nie zamierzał też zostawać dłużej w innym celu. Gdy wychodził, w uszach dźwięczały mu jej słowa: „Gdyby nie ja, wylądowałby w jakimś sierocińcu, gdzie nikt by się nim nie opiekował...”

Właśnie taki los spotkałby jego, gdyby nie Carrie. I jak się jej za to odpłacał? Wlokąc ją po całym kraju w poszukiwaniu marzenia albo koszmaru. Wiedział, że zaczyna go za to nienawidzić, i nic dziwnego.

Wiedział też, że ciężkie próby, na jakie ją wystawiał, odstręcza ją od niego — niewykluczone, że na zawsze. Po raz pierwszy uświadomił sobie, ile Carrie dla niego znaczy i na jak wielkie cierpienie ją naraża. Zamknął się przed nią jak w celi. Może nadeszła odpowiednia pora, żeby zacząć otwierać drzwi. Ten pościg — to poszukiwanie prawdy — zmierzał

donikąd.

Wczesnym rankiem zatelefonował do Jerry'ego w Nowym Jorku.

— Potrzebuję pomocy. Jerry westchnął.

— Co się stało tym razem? — spytał znużony.

— Jesteśmy w Los Angeles. Ale Giną Santangelo tu nie ma. Zadzwoiłem do niego. Powiedzieli, że wyjechał na dwa tygodnie. I wiesz co? W końcu zdałem sobie sprawę, że masz rację. Jeśli stanę przed jego drzwiami i zacznę gadać, gość wezwie policję i wyrzuci mnie stamtąd na zbity pysk.

— Musiałeś jechać aż do Kalifornii, żeby na to wpaść? — spytał beznamiętnie Jerry.

— Przejechałem przed jego domem. Wszędzie bramy, kamery telewizyjne i uzbrojone patrole.

375

— Co oznacza, że ty, facet o czarnej gębie, do sukinsyna nie dotrzesz.

— Otóż to.

— Więc dzwonisz po pomoc.

— Właśnie.

Nastąpiła długa chwila ciszy, którą w końcu przerwał Jerry.

— Steven — powiedział szorstko — niedobrze mi się robi od tego ciągłego pożyczania pieniędzy, udzielania darmowych rad i wysłuchiwania twoich narzekań. Mam tego dość.

— W pełni się z tobą zgadzam.

— Co?

— Powiedziałem, że w pełni się z tobą zgadzam. Na twoim miejscu już dawno bym mnie olał.

— Czyżbym miał za chwilę usłyszeć, że odzyskałeś zmysły i rezygnujesz

z tych absurdalnych poszukiwań?

— Nie, muszę się dowiedzieć, kto jest moim ojcem — odrzekł poważnie Steven. — Ale zwalniam z tego obowiązku Carrie. Nie chcę ciągać jej po całym kraju. I, jeśli nadal podtrzymujesz swoją propozycję, chciałbym u ciebie pracować. Czas zacząć spłacać długi.

— Nie wierzę własnym uszom! — wykrzyknął Jerry. — Wystarczył jeden dzień na zachodnim wybrzeżu i już odnalazłeś Boga!

— Przestań. Potrzebuję wsparcia, nie szyderstw.

— Powiedziałaś Carrie?

— Jeszcze nie.

— To powiedz. Natychmiast. A potem bierz tyłek w garść i szybko wracaj.

Zatrzymali się w hotelu „Hyatt” na Bulwarze Zachodzącego Słońca. Kalifornijskie słońce paliło, w foyer było pełno turystów. Umówili się na dziesiątą przed głównym wejściem. Zauważył ją z daleka — wyniosła, wyprostowana, modnie ubrana i wiecznie młoda, rzucała się w oczy. Myślała, że jada złożyć wizytę Ginowi Santangelo. Zno-

376

wu czekało ją upokorzenie, które była gotowa dla niego znieść. Zaszedł ją od tyłu i objął za szyję. Wystraszyła się.

— Wracamy do domu — powiedział. — Do Nowego Jorku.

Zbadała wzrokiem jego twarz, wyczuła, że coś się zmieniło, ale o nic nie spytała.

— Brakowało mi ciebie, Steven — szepnęła.

— Wiem — odrzekł. — Naprawdę wiem.

69

Od chwili gdy wyszli z „Connaught”, by pojechać na londyńskie lotnisko, Olympia dawała się we znaki dosłownie wszystkim, łącznie z Lennie. Miał tego dość, jeszcze zanim weszli na pokład samolotu. Jak tylko usiadła, natychmiast obraziła stewardesę.

— Na miłość boską, przestań odgrywać rozkapryszoną milionerkę — syknął wściekły. — Chcesz, żeby dali ci tytuł najgłupszej cipy roku?

— Mam kaca — jęknęła płaczliwie.

— To go jakoś znieś i przestań wyzywać się na innych. Lubiła silnych mężczyzn. Szkoda, że było ich tak niewiele.

— Przepraszam — odparła skruszona. — Już będę grzeczna.

Ale grzeczna nie była i kiedy wylądowali na lotnisku w Nicei, Lennie kipiał złością. Czekał tam na nich śmigłowiec, którym mieli polecieć do St Tropez, na jacht. Olympia wsiadła i momentalnie zasnęła.

Lennie pogрузzył się w rozmyślaniach na temat sensowności swego kroku. Jess — która rzadko kiedy wytykała mu błędy — twierdziła, że postradał zmysły. Jeśli był to przedsmak tego, co go czekało, miała absolutną rację. Luksus i przepych jachtu Stanislopoulosa wprowadził go w osłupienie. Takie cuda widywał tylko na filmach. „Grek” był pływającym pałacem.

Wszystko zepsuła Alice. Gdy weszli na pokład, powitała ich jako pierwsza — dziwaczna postać w kombinezonie

377

w czerwone pasy, ażurowych rajstopach i wysokich szpilkach. Była nachalnie umalowana i miała sztuczne rzęsy.

— Witajcie — powiedziała z łaskawą wyniosłością, jakby jacht należał do niej. — I czujcie się jak u siebie w domu.

Olympia obrzuciła ją pogardliwym spojrzeniem.

— Moja droga — odrzekła. — Ten jacht był moim domem przez większą część życia. Nie potrzebuję twoich powitań. Gdzie jest Brigette? Trafiłaś tu tylko dzięki niej. Jestem pewna, że zdajesz sobie z tego sprawę.

Olympia nie uznawała owijania w bawełnę i chciała, żeby Alice jednoznacznie zrozumiała, gdzie jej miejsce.

Lenniego zupełnie to nie obeszło. Rozejrzał się wokoło. Zewsząd nadbiegali służący, chwytając ich bagaż, podając zimnego szampana na srebrnych tacach.

— Gdzie jest mój ojciec? — spytała Olympia mężczyznę w białym mundurze.

— Zszedł na ląd, panno Olympio. — odrzekł kapitan Pratt. — Na lunch. Niedługo wróci. Powiedział, że o trzeciej będzie czekał na panią w naszym barze.

— Zabrał z sobą Brigette — dodała Alice. — Chciałam iść z nimi, ale twój tatuś kazał mi zostać.

— I mądrze zrobił — mruknęła Olympia. Spojrzała na kapitana i wyniośle spytała: — A gdzie reszta gości?

— Większość na lądzie, panno Olympio. — Podczas gdy Olympia ziewała, narzekając na trudy podróży, kapitan Pratt obrzucił Lenniego szybkim spojrzeniem. — Czy życzy pani sobie lunch? — dodał.

— Nie — odparła, nie pytawszy o nic Lenniego. — Muszę odpocząć. Alice roześmiała się wesoło.

— No i co ty na to, syneczku? Co o tym wszystkim myślisz?

— Myślę, że chciałbym się odpryskać i przebrać — mruknął ponuro. Zaskoczyła go w nieodpowiednim momencie.

W St Tropez panował szczyt sezonu. Na brukowanych uliczkach nabrzeża,

pełnych eleganckich butików i restauracji pod gołym niebem, turyści miesza­li się z tubylcami.

378

W małym, zatłoczonym porcie cumowały jachty, a bawiący na nich goście siedzieli na pokładzie, sącząc marguerity i obserwując przechodzące tłumy. W południe odbywała się tu prawdziwa parada dojrzałych ciał zmierzających na lunch w najmodniejszych strojach.

Dimitri przechadzał się ze swoją piękną wnuczką Brigitte, Saudem Omarem i Jenkinsem Wilderem. Tych trzech mężczyzn razem, bez trudu, mogło kupić i sprzedać całą Francję. Kilka kroków za nimi szli ubrani po cywilnemu ochroniarze, próbując nie rzucać się w oczy i zakamuflować ukryte pod pachami kabury z bronią.

Trzej miliarderzy obserwowali przechodzące kobiety z mieszaniną nudy i wymuszonej żądz. Pieniądze nauczyły ich, że większość kobiet jest do kupienia, że to tylko kwestia ceny. Czy ceną będzie nowa suknia czy flotylla mercedesów, to rzecz do dyskusji. Jednak fakt pozostawał faktem: podniecenia związanego z zdobywaniem kobiety już nie odczuwali, ponieważ i tak wszystko przesądzała odpowiednia cena.

Uszczęśliwiona Brigitte podskakiwała wesoło, trzymając za rękę dziadka.

Uwielbiała przebywać z Dimitrim. Nazywał ją swoją Brylantową Księżniczką i kupował jej, co tylko chciała. Tak, dosłownie wszystko.

Cieszyła się, że zeszli na ląd. W tym roku było trochę inaczej. Dimitri znowu się ożenił i miał to obrzydliwe dziecko, którego nazwali Roberto.

Głupie imię. Głupie dziecko. Brigitte nie cierpiała i dziecka, i jego imienia i zastanawiała się, dlaczego matka nic jej o tym nie powiedziała.

Ostatecznie ten głupi bachor ze swoją głupią czarną niańką zajął jej starą

kabinę. Ale nie, nie było sprawy, bo miała teraz nową kabinę, taką dla dorosłych, z błękitnymi tapetami na ścianach i z basenikiem z bąbelkami. A najlepsze z tego wszystkiego było to, że nie mieszkała z nią niania Mabel, tylko ta nowa przyjaciółka, Alice, a ona, to znaczy Alice, była o wiele zabawniejsza i często rozmawiała z nią do późnej nocy. Brigitte nie rozumiała połowy z tego, co Alice mówiła, ale nie miało to żadnego znaczenia. Alice była naprawdę ekstra, chociaż wyglądała trochę cudacznie, dziwnie pachniała, nigdy nie

379

przestawała gadać i nakładała więcej makijażu niż świnka

Piggy-

— Wstąpimy tu na lunch — postanowił Dimitri, przystając przed wejściem do modnej restauracji. Szybko przygotowano dla nich stolik od ulicy; ochroniarze usiedli przy sąsiednim.

Brigitte zauważyła jaskinię Aladyna, sklepik ze świecidełkami po drugiej stronie ulicy.

— Chcę iść po zakupy, dziadku — oznajmiła słodkim głosem.

— Jutro — zbył ją Dimitri. — Pójdiesz z którąś z kobiet.

— Chcę iść teraz. — Chwila skupienia i zadrzała jej dolna warga. — Mogę pójść sama. Sklep jest tam. Spójrz. Widzisz? — Wyciągnęła rękę.

— Dobrze, tylko szybko.

— Ale ja nie mam pieniędzy, dziadziu.

Dimitri pomacał się po kieszeniach sportowej koszuli, ale jak większość bardzo bogatych ludzi nie miał przy sobie gotówki.

— Masz, złotko — zadudnił Jenkins Wilder, otwierając portfel od Gucciego, z którym nigdy się nie rozstawał, i wyjmując z niego plik

studolarowych banknotów. — Ile cię uszczęśliwi? Dwa? Trzy?

Chwyła trzysta dolarów.

— To za dużo — mruknął Dimitri.

— Ależ ja kupuję prezenty, dziadziusiu — wyjaśniła cierpliwie Brigitte i odbiegła.

Dimitri dał ochroniarzowi znak, żeby za nią poszedł. Jenkins Wilder usiadł wygodniej i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Pełno tu obłądnych lalun — skonstatował. — Gdybym nie był żonaty, pewnie bym się nieźle zabawił.

— Francuzki wymagają zbyt wiele uwagi — stwierdził Saud, czujnie obserwując tłum. — I zwykle nie są warte zachodu.

— Zgadza się — rzekł Dimitri. — Angielki są o wiele bardziej zmysłowe.

— Do kata, przecież niedawno ożeniłeś się z Amerykanką — wytknął mu Jenkins.

380

Fakt, pomyślał Dimitri, Lucky to niezwykle piękna kobieta. Ale nie była Franceską, a on wciąż miał głęboką namiętność do madame Fern.

Namiętność, która zdawała się ani trochę nie słabnąć.

Zaczynał dochodzić do wniosku, że zaproszenie jej na rejs wcale nie było takim wspaniałym pomysłem. Teraz miał żonę, Lucky, i czułe tete-a-tete z Franceską graniczyło z niemożliwością. Dotąd na drodze stawał mu tylko Horacy, a Horacy nigdy nie stanowił problemu, bo nie śmiał im przeszkadzać.

Żywił cichą nadzieję, że Lucky zmęczy się rejsem i wróci do Nowego Jorku. Bardziej odpowiadały mu czasy, kiedy ich związek był trochę

luźniejszy, ale musiał ją poślubić ze względu na Roberta. Przecież nie mógł dopuścić do tego, żeby jego własny syn szedł przez życie bez ochronnego pancerza, jakim było nazwisko Stanislopoulos.

— Moje doświadczenie wskazuje i na to — kontemplował na głos Saud Omar — że Angielki są niezwykle erotyczne w sypialni, gdy penetruje się ich... bogactwa naturalne. — Podkreśli słowo „penetruje”, obmacując wzrokiem połyskliwych niczym ropa naftowa podskakujące biusty dwóch przechodzących ulicą nastolatek w stanikach z dzianiny i mikroskopijnych majteczkach.

— Nigdy nie miałem angielskiej cizi — rzucił w zadumie Jenkins Wilder. — W pięćdziesiątym pierwszym stacjonowaliśmy w bazie pod Londynem, ale za bardzo się bałem. Miałem stracha, że złapię trypra!

Lennie wziął prysznic, przebrał się w levisy z uciętymi nogawkami i w wypłowiałą dżinsową koszulę, tymczasem Olympia leżała na łóżku i narzekała.

Na ojca, który nie raczył powitać jej osobiście.

Na Alice.

Na kapitana Pratta.

— Już lata temu mówiłam tacie, żeby się go pozbył. Ma takie małe, paskudne oczy.

Na jego żonę.

381

— Okropna kucharka. Jak myślisz, dlaczego nie chciałam jeść lunchu?

— Daj spokój — odrzekł Lennie, próbując nie zwracać uwagi na jej kiepski humor. — Wyluzuj się trochę, to ma być urlop. Chodźmy zwiedzić miasto.

— Zwiedzić miasto? — prychnęła szyderczo. — Nie cierpię St Tropez. Pełno tu nudnych turystów i prostytutek.

— Mimo to chcę je zwiedzić — powtórzył z uporem.

— To idź. Przecież cię nie zatrzymuję. Ale spodziewam się, że zaczekasz, aż przyjdzie Dimitri.

Spojrzał na zegarek. Za kwadrans trzecia.

— Tylko dlatego jeszcze tu siedzę.

Wstała i zaczęła stroić się przed lustrem. Chciałaby niuch-nać trochę koki, ale i teraz nie zamierzała się z nim dzielić. Pod wpływem nagłego impulsu przeszmurowała paczuszkę do łazienki, zamknęła drzwi na klucz i zażyła dwie działki.

Ulga była natychmiastowa. Oprócz kilku tabletek walium cały dzień nie brała i czuła się parszywie. Jak głupia zapakowała kokę do jednej z walizek i dopiero teraz mogła się do niej dorwać.

Najpierw jedno nozdrze, potem drugie. Obłoki się rozstały. W głowie pojaśniało. Była gotowa stawić czoło całemu światu.

Lennie załomotał do drzwi.

— Co ty tam robisz? — wrzasnął.

— Poprawiam włosy — odkrzyknęła.

— Pośpiesz się. — Był dziwnie zdezorientowany. W Londynie bawił się znakomicie. Ale może popełnił błąd, zgadzając się na udział w rejsie.

Okiełznanie Olympii to jedno i na pewno z tym sobie poradzi, chociaż była naprawdę nie do wytrzymania. Ale jej ojciec mógłby pomyśleć, że goni za jej szmałem, a z tego, co słyszał, pozostali goście też nie robili wrażenia luzaków. Poza tym miał na głowie Alice. Tymczasem chciał tylko spokojnie popracować nad nowym materiałem do występu u

Carsona.

Olympia w końcu wyszła z łazienki i wzięła go za rękę. Wyglądało na to, że jest w lepszym humorze.

— No to chodźmy poznać tatuńcia! — rzuciła wesoło. — Wygląda na człowieka odpychającego, ale nie zwracaj na

382

to uwagi. Naprawdę czujny z niego facet. Po prostu odpowiadaj na pytania, nie wkurzaj się, a obiecuję ci, że będziesz musiał to robić tylko raz w roku.

Weszli na górny pokład. Z głośników płynęła grecka muzyka, a Dimitri demonstrował wnuczce jakieś skomplikowane kroki taneczne.

Rozpromienione dziecko śmiało się głośno, podczas gdy Alice stała z boku i radośnie klaskała w dłonie.

— Rodzinna idylla — szepnęła wesoło Olympia i zaczęła odgrywać scenę z cyklu „serdeczne powitanie”.

— Córeczko! — To do zupełnie nie zainteresowanej Bri-gette. Cmok—
cmok.

— Tatusiu! — To do Dimitriego, który odpędził ją gestem ręki, chcąc dokończyć taniec.

Odpowiedział na powitanie, kiedy był gotowy — dopiero wtedy, nie wcześniej.

Lennie trzymał się z tyłu, obserwując tę scenę jakby zza linii autowej i siłą woli nakazując Alice milczenie.

— Tatusiu, chcę ci przedstawić Lenniego Goldeną — oznajmiła Olympia.

— Mojego nowego męża.

Chryste! Powiedziała to tak, jakby był jej dobytkiem! Wyciągnął rękę,

zastanawiając się — przez chwilę — co robi na tym olbrzymim jachcie na południu Francji jako mąż córki człowieka takiego jak Dimitri Stanislopoulos, któremu przed chwilą go przedstawiono. Czyste wariactwo.

Dimitri przeszył go wzrokiem. Twarz miał jak z kamienia.

— A więc to ty jesteś tym najnowszym — powiedział głośno.

Nie bardzo mu się ta uwaga podobała, zwłaszcza że Stanislopoulos zignorował jego wyciągniętą rękę. Zaczął układać w myśli jakąś obraźliwą odzywkę. Nikt nie będzie traktował go jak śmierdzącego gnoja. Nikt, nawet ojciec Olympii.

Zanim zdążył cokolwiek zrobić czy powiedzieć, Stanislopoulos objął go nagle „na niedźwiedzia”.

— Witaj w rodzinie! — zagrzmiał. — Skoro odpowiadasz Olympii, odpowiadasz i mnie. — Żwawy gest w stronę barmana. — Szampana dla wszystkich. Mamy co oblewać.

Olympia uśmiechnęła się i wzięła Lenniego pod rękę.

383

— Wiem — powiedziała. — To cudownie, prawda?

— Cudownie. Znakomicie — zgodził się z nią rozpromieniony Dimitri.

— Ja też mam dla ciebie niespodziankę.

— Jaką? — spytała, myśląc, że może kupić jej nowy naszyjnik z brylantami; ilekroć wychodziła za mąż, ojciec hojnie ją obdarowywał.

— Dziadzius też się ożenił! — zaszcebiotała podekscytowana Brigitte.

— I masz braciszka, mamó. I ja jestem jego ciocią! Naprawdę. Nie kłamię! Z ręką na sercu. Jestem ciocią!

Uśmiech na twarzy Olympii zamarł. Czyżby miała zejść na drugi plan?

Spojrzała na ojca, szukając u niego potwierdzenia, że mała jak zwykle kłamie.

Dimitri kiwnął głową.

— To prawda. Ja też się ożeniłem. I Bóg pobłogosławił mnie synem.

Przez chwilę Olympii było słabo. Miała za sobą zbyt długą podróż i zażyła za mało kokainy, żeby znieść skutek wybuchu tej bomby.

— Nie wierzę — powiedziała nieprzytomnie.

— To prawda! To prawda! — podśpiewywała Brigitte.

— Tak, to prawda — potwierdziła Alice, biorąc kieliszek szampana ze srebrnej tacy i przyłączając się do czegoś, co w jej mniemaniu było paradną uroczystością.

Olympia wzięła głęboki oddech. To, że ojciec znowu się ożenił, wcale jej nie przeszkadzało. Ale dziecko? W jego wieku?! Była jedyną spadkobierczynią Stanislopoulosa i tak musiało pozostać. Choć niezmiernie bogata, nie zamierzała dzielić się olbrzymim spadkiem, który miała odziedziczyć, kiedy Dimitri umrze. Wszystko należało do niej. To po prostu niesprawiedliwe!

Lennie podał jej kieliszek szampana i uniósł swój jak do toastu.

— Moje gratulacje, panie Stanislopoulos — powiedział szczęśliwy, że przestał być ośrodkiem uwagi.

— Uwielbiam śluby — westchnęła Alice. — To taka radosna chwila.

Swój ślub pamiętam tak dobrze, jakbym brała go tydzień temu. Miałam na sobie białą suknię koktajlową, bardzo elegancką, taką z cekinami w talii.

— Zwró-

384

ciła się do Olympii, którą obchodziło to tyle co zeszłoroczny śnieg. — Czy

wiesz, moja droga, że miałam czterdzieści pięć centymetrów w talii?

Czterdzieści pięć centymetrów!

— Naprawdę? — spytała Brigitte.

— Tak, naprawdę, wyglądałam...

— Alice, odprowadź Brigitte na drzemkę — ucięła krótko Olympia nie znoszącym sprzeciwu głosem.

— Ależ mamusiu...

— W tej chwili!

— Chodź, kociaczkule — powiedziała łagodnie Alice, wyprowadzając dziecko z kabiny.

— Az kim się ożeniłaś, tatusiu? — spytała słodziutko Olympia, dobrze wiedząc, że na pewno nie z Franceską Fern. W takim razie może z tą brazylijską dziwką, która przed kilkoma laty omal nie zdołała zaciągnąć go do ołtarza? Albo z tą arystokratyczną Angielką ze wspaniałym domem i dalekimi powiązaniem z rodziną królewską. Di-mitrii zawsze lubił kulturę.

— No, tak... — odrzekł. — Dopiero teraz cię zaskoczę. Lennie wyczuł, że to sprawa między nimi i że nadarza się znakomita okazja do ucieczki.

— Przepraszam, nie macie państwo nic przeciwko temu, żebym się trochę przeszedł? — spytał.

— Idź — rzuciła Olympia, ledwo na niego spojrzawszy. Lennie szybko wyszedł.

— Z kim, tato? — powtórzyła.

— No cóż... — Dimitri chciał tę chwilę nieco odwlec. — Pamiętasz, jakiś czas temu wspominałem ci, że zupełnie przypadkowo wpadłem na twoją

starą szkolną przyjaciółkę, Lucky Santangelo...

— Pamiętam.

— Odnowiliśmy znajomość w Nowym Jorku i... i... — Wylewnie wzruszył ramionami. — No i stało się.

— No i stało się! — zapiszczała Olympia głośniejszym głosem, niż zamierzała. — Chyba nie ożeniłeś się z Lucky?!

— Otóż to, ożeniłem się z Lucky Santangelo.

385

70

Wiedząc — będąc tego pewną — że Dimitri kontynuuje romans z egzaltowaną madame Fern, postanowiła widywać go jak najmniej. Ponieważ wyglądało na to, że Roberto jest zupełnie szczęśliwy pod fachową opieką zakochanej w nim Cee Cee, łatwo jej było wyślizgnąć się rano na ląd, żeby pospacerować trochę po malowniczych uliczkach St Tropez. Dimitriemu zostawiła wiadomość, że poszła zwiedzać miasto. Po co miała cierpieć na jachcie, skoro mogła zostać sama i spokojnie rozeznąć się w swoich uczuciach.

Samotność nigdy jej nie przeszkadzała. Całe życie była samotna. Ale teraz miała syna i tylko to powstrzymywało ją przed powrotem do Nowego Jorku i skontaktowaniem się z najbliższym adwokatem. Tak, chciała rozwodu. Ale nie chciała stracić szansy na zbudowanie hotelu i doszła do wniosku, że zanim wykona jakikolwiek ruch, najpierw musi upewnić się, czy wszystko jest zapięte na ostatni guzik.

Obszedłszy dziesiątki butików i małych sklepów, pojechała taksówką na plażę Tahiti, ponieważ słyszała, że koniecznie trzeba to miejsce zobaczyć. Miała na sobie luźny podkoszulek, małe, szkarłatne bikini i sandały z

rzemienia na nogach. Czarne włosy splotła w gruby warkocz, a oczy przesłoniła ciemnymi okularami.

Uzbrojona w walkmana firmy Sony, buteleczkę emulsji do opalania i dobrą książkę, śmiało weszła na modną, zatłoczoną plażę. Jako nastolatka liznęła trochę francuszczyzny, więc wypożyczyła leżak w pasy, ręcznik i wielki parasol.

Gdy opalony na brąz chłopak z wypożyczalni ulokował ją w rzędzie nad samym brzegiem morza, Lucky położyła się i zaczęła obserwować.

Jedną z największych przyjemności w życiu jest obserwowanie świata. A na plaży Tahiti w St Tropez było co obserwować. Mnóstwo kobiet opalało się topless, dlatego wszędzie widziała piersi najprzeróżniejszych kształtów i rozmiarów, biusty stare i młode. Nikt nie miał nic przeciwko temu, właściwie to wszyscy byli zdumiewająco swobodni.

386

Francuzi preferowali bardzo małe, obcisłe kąpielówki i obnosili przyrodzenie jak na wielkim konkursie. Lucky zauważyła kilku interesujących okazów.

Uśmiechnęła się. Podobała jej się ich postawa. Będąc żoną starszego mężczyzny, zapomniała już, ile czystej przyjemności może dostarczyć kobiecie ciało lśniące, młode, dobrze umięśnione i piękne. Nie zdejmując okularów, patrzyła na plażowiczów, otaksowując ich spojrzeniem, jak mężczyźni otaksowują spojrzeniem kobiety. Miała bardzo miłą rozrywkę. Lennie nie znał ani słowa po francusku. Umiał powiedzieć „odpieprz się” po włosku, umiał kląć po niemiecku i wy-dukać kilka miłosnych słów po szwedzku, ale francuski jakoś mu umknął. Może dlatego, że nigdy nie spał z Francuzką; tych kilku zdań w obcych językach nauczyły go przelotne

kochanki.

Jednak nie miało to najmniejszego znaczenia. W St Tropez wszyscy mówili po angielsku. Niektórzy płynnie, większość okropnie, ale wszyscy próbowali.

I natychmiast się w tym mieście zakochał. Zauroczyła go panująca tu atmosfera, wytlumiona i stonowana. Nie był jeszcze ani na tyle bogaty, ani na tyle zblazowany, żeby uznać St Tropez za brudną, zatłoczoną pułapkę na turystów. Widział tylko mnóstwo młodych ludzi, którzy dobrze się bawili, co bardzo mu odpowiadało. Usiadł przy stoliku w ulicznej kawiarence, zamówił cinzano z lodem i posiedział tam chwilę. Fajnie by było, myślał, przyjechać tu z całą paczką. Z Jess, z Isaakiem, Joeyem, z bliźniaczkami, z Eden...

Jakim cudem wślizgnęła się w jego myśli? Na galowym występie w „Magiriano”, siedząc przy najlepszym stoliku w towarzystwie trzech gangsterów, wyglądała jak luksusowa dziwka w srebrzystej sukni upstrzonej cekinami.

Eden Antonio.

Myślałem, że chciałaś zostać gwiazdą filmową. Co się stało?

Wyobraził sobie wyraz jej twarzy, gdy przeczytała w ga-

387

zetach o jego ślubie z Olympią Stanislopoulos. Lekko skośne oczy.

Cienkie wargi. Elegancki nosek. Musiała przeżyć tęgi wstrząs. Taką miał nadzieję.

Czyżby?

Pochodnia przygasała. Pomyślał o Eden pierwszy raz, odkąd wyjechali ze Stanów. Szło ku lepszemu.

Para młodych ludzi przy sąsiednim stoliku przypatrywała mu się z wyraźnym zainteresowaniem. Dziewczyna, piękna plenerową pięknnością, skrzyżowała z nim wzrok i posłała mu uśmiech. Grzecznie odpowiedział uśmiechem, a ona natychmiast trąciła łokciem swego przyjaciela, długowłosego Latynosa w nabijanej ćwiekami kurtce i brudnych dżinsach. Zanim Lennie zdążył pomyśleć o dalszym spacerze, stanęli przy jego stoliku.

— Ty jesteś Lennie Golden, prawda? — spytała podekscytowana dziewczyna. Była mocno opalona, miała amerykańskie zęby i taki sam akcent.

— Przyznaję się, moja wina.

— A nie mówiłam! — wykrzyknęła. Jej towarzysz nawet się nie uśmiechnął. Miał zamysłone oblicze i czaszkę z pieszczelami wytatuowaną na przedramieniu. Przypominał... No, może nie Jamesa Deana, raczej młodego Jamesa Coburna. Stał za dziewczyną i łypał na niego spode łba.

— Jesteśmy Amerykanami — oznajmiła, wciąż demonstrując garnitur olśniewająco białych zębów. — Siedzimy tu od miesiąca.

— No i co? — spytał z kamienną twarzą Lennie. — Chcecie za to medal?

— Nigdy w życiu nie przypuszczałam, że zobaczę tu ciebie! — Uśmiech — uśmiech. — Szaleję za twoim programem, uwielbiam go, żadnego nie przepuściłam. Oczywiście, dopóki nie wyjechaliśmy...

— Oczywiście.

— Fakt, stary, twoje programy są w porządku — mruknął chmurny Latynos, włączając się w końcu do rozmowy.

— Cieszę się, że tak uważacie.

Usiedli nie zapraszani, lecz w sumie mile widziani. Lennie miał ochotę z

kimś pobyć, a oni robili wrażenie normalnych młodych ludzi.

388

Zaczęli rozmawiać. O tym, o czym zwykle się rozmawia. Co tu robisz?

Jak długo posiedzisz? Podoba ci się tu? Chcesz kupić ekstra towar?

Doszedł do wniosku, że kilka mocnych skrętów pomoże mu przetrwać rejs. No i Olympia wpadłaby w zachwyty, gdyby wrócił z podarunkami.

— Cały zapas jest na plaży, u siostry — wyjaśniła dziewczyna. — To tylko kilka minut jazdy stąd. Chodź, podrzucimy cię.

Zabrali go na przejażdżkę starą, zdezelowaną renówką, która całą drogę dławiała się i prychała. Siedział z tyłu, zgięty wóół. Nie ma to jak powrót między ludzi. Na swój przewrotny sposób czerpał z tego wielką przyjemność. Limuzyny, odrzutowce, luksusowe apartamenty na dachu wieżowców i jachty wciąż jeszcze były odrobinę za drogie jak dla jego plebejskiej duszy. I natychmiast zaczął opracowywać w myśli monolog na temat stylu życia współczesnych bogaczy. Miał tyle materiału! Materiału nie tkniętego niczym dziewicze złoża naftowe. Gdyby zdążył poukładać to w głowie na czas, wyszedłby z tego wspaniały numer do Tonight Show. Dziewczyna o olśniewającym uśmiechu miała siostrę, która nie uznawała ubrań i nosiła tylko nabytą we Francji opaleniznę, sznury indiańskich koralików i mikroskopijne majteczki z zamszu. Ciekawe, gdzie trzymała ten słynny zapas? Na pewno nie przy sobie.

Jej francuski chłopak nosił czarne suspensorium, które cały czas z lubością poklepywał. Między nimi leżała wielka płócienna torba z towarem.

— Mamy tu wszystko, czego dusza zapagnie — oznajmił Latynos.

Otworzył torbę, wyjął z niej paczuszkę haszu, wprawnie zrobił skręta i wręczył go Lenniemu. — Z pozdrowieniami od gospodarzy. Spróbuj.

Zasmakuj. Kup.

Lennie spróbował, zasmakował i od razu zamówił towaru na dwa tuziny papierosów.

— Skręconych, jeśli można.

Latynos chętnie spełnił jego prośbę i wziął się do roboty z beztroską wprawą.

— Jeszcze do was wrócę — powiedział Lennie i ruszył

389

niespiesznie wzdłuż plaży, podziwiając widoki. Większość kobiet miała na sobie tylko skąpe majteczki, a zachowywały się tak, jakby były kompletnie ubrane: biegały, ganiały za uciekającymi dziećmi, lizały lody w waflowych stożkach, leżały z rozchyłonymi udami — to najlepszy sposób na idealną opaleniznę.

Przez kwadrans myślał, że umarł i trafił do raju nagich biustów. A potem?

Wielkie mycyje. Sutki też mogą się znudzić, chyba że są naprawdę wyjątkowe...

I wtedy spostrzegł tę kruczowłosą, czarnooką dziewczynę, która dobierała się do niego w Las Vegas. Od tamtej pory minęły dwa lata i oto leżała przed nim na plaży w St Tropez, wyglądając jeszcze bardziej zmysłowo niż wówczas. Naturalnie była w staniku. Jasne, po co dawać darmowe przedstawienie? Miała na sobie niebezpieczne czerwone bikini, a na uszach słuchawki. Leżała, nie otwierając oczu. Natychmiast ją rozpoznał. Musiała wyrzucić na nim niezatarte wrażenie.

Tylko ostrożnie — ostrzegał go wewnętrzny głos. Bardzo ostrożnie.

Pamiętaj, że ma niewyparzony język.

I jedno z najbardziej podniecających ciał, jakie kiedykolwiek widział. Była

wysoka, szczupła i gibka. Miała długie nogi, wąską talię, wspaniałe piersi i szerokie ramiona.

Pamiętał, jak chodziła. Kocim krokiem, wdzięcznie niczym pantera.

Pamiętał też ich jedyny pocałunek, do którego doszło, zanim położył kres dalszym poczynaniom. Niczym kutas roku.

Jak podejść ją tym razem?

I w ogóle po co ją podchodzić?

Jesteś żonaty — skarciło go sumienie.

No i co z tego? — odparowało libido.

Nie rób tego — ostrzegało sumienie.

Do boju — zachęcał penis.

Musiała wyczuć, że się jej przygląda. Bez żadnego ostrzeżenia usiadła, zdjęła słuchawki, potem okulary i obrzuciła go kpiarskim spojrzeniem.

Był za daleko, żeby cokolwiek powiedzieć. Całe szczęście, ponieważ ilekroć otwierał usta, natychmiast go usadzała.

390

Pamiętała go? Może do niego podejdzie?

Stał nad samą wodą i czekał.

Powoli wstała. Przeciągnęła się rozkosznie. I ruszyła w jego stronę.

Wstrzymał oddech. Mógł być żonaty, ale martwy na pewno nie był. Tej szansy nie przegapi. Drugi raz? Wykluczone.

Spotkali się wzrokiem. Podeszła bliżej i zahipnotyzowała go czarnymi oczyma, długimi rzęsami, lśniąca skórą i pełnymi, dojrzałymi ustami.

Zaczął coś mówić, choć nie był pewien co.

— Witaj. To znowu ty? — Wybąkał chyba coś równie niewinnego. Zresztą nie miało to żadnego znaczenia, bo nie przystanąwszy ani na sekundę,

poszła prosto do morza.

Chwilę stał oszołomiony, ale bardzo szybko odzyskał jasność myśli.

Odwrócił się i zobaczył, jak kruczowłosa płynie w kierunku drewnianej platformy unoszącej się na falach. Bez chwili namysłu ściągnął koszulę, cisnął ją na piasek i wskoczył do wody.

Była doskonałą pływaczką i znacznie go wyprzedzała, lecz swym bardzo osobistym i wielce niezbornym kraulem młócił wodę niczym rozpędzony parowiec i dogonił ją w połowie drogi. Od tej chwili płynęli ramię w ramię. Ona milczała. On też.

Powoli zapadał wieczór i drewniana platforma była opustoszała.

Głowa czarnookiej zanurzała się rytmicznie i wynurzała na powierzchnię wody. Zerknął na jej uszy. Nosila małe brylantowe świeczki.

Spojrzał na jej ramiona. Rozcinały wodę, silne i prężne.

Wyczuł, że czeka go przygoda, wiedział, że wszystko jest możliwe i się nie wycofał. Ile razy w życiu dane mu będzie spotkać kobietę taką jak ona?

Eden. Kto to jest Eden?

Ta gra wciągała ją coraz bardziej. Spod przymkniętych powiek obserwowała, jak ku niej zmierza. Pamiętała go z tamtego przerwane spotkanie

391

w Las Vegas i od razu zaczęła się zastanawiać, czy tego jej właśnie potrzeba: jednorazowego, czysto fizycznego spotkania bez żadnych zobowiązań. Jeśli facet nie wycofa się, jak ostatnim razem.

Lennie Golden. Pamiętała nawet jego nazwisko. Męski, seksowny mężczyzna. Dlaczego nie poddać go próbie? Ostatecznie to los rzucił ich na tę samą plażę w St Tropez, a wyrównywanie rachunków zawsze

sprawiało jej przyjemność. Lennie idealnie się do tego celu nadawał — mogłaby zrewanżować się Dimitriemu, który pewnie unosił się teraz nad tą koszmarem FF.

Wstała i minęła go obojętnie. Coś tam wymamrotała, ale puściła to mimo uszu i wskoczyła do wody, wiedząc, że podąży za nią. Tylko nic nie mów, nakazała mu siłą woli. Nie zepsuj tego.

W pewnej odległości od brzegu zauważyła drewnianą platformę i popłynęła w tamtym kierunku.

On płynął za nią.

Jeśli Dimitri myślał albo wyobrażał sobie, że znalazł żonę, którą będzie mógł bezkarnie zdradzać, to żył w świecie iluzji. Lucky Santangelo potrafiła odpłacić pięknym za nadobne. I porządnie zaleźć za skórę. Platforma była tuż tuż, opustoszała i zapraszająca. Ciekawe, jakie to uczucie być samotnym rozbitkiem odcięty od świata? Tak często czuła się samotna, a Dimitri nie zrobił nic, żeby to odmienić.

Dopłynęli jednocześnie i wdrapali się na platformę. Zrozumiał jej milczący nakaz i nie powiedział ani słowa. Słońce powoli zachodziło, plażowicze zaczęli się pakować i wracać do domu. W oddali przejechał samotny narciarz i platforma zakołysała się lekko na falach. Spotkali się wzrokiem i jakby za milczącym porozumieniem podeszli do siebie.

Popatrzyła na niego tymi obłądnymi, cygańskimi oczyma — oczyma czarnymi, przesyconymi dziką zmysłowością — i natychmiast zrozumiał oczywisty sygnał.

Chciał wiedzieć, kim ona jest. Co tu robi. Intrygowała go i ciekawiła. Ale chwila była nieodpowiednia i dobrze to rozumiał. Co wcale nie znaczyło, że miałby zrezygnować z gry.

Przyciągnął ją do siebie. Wślizgnęła mu się w ramiona z taką naturalnością, jakby znali się od lat. Pocałowali się długim, namiętym pocałunkiem, spleli języki i przeszył ich elektryczny dreszcz.

Byli mokrzy. Słonawe ciało wtulone w słonawe ciało. Objął ją wpół i przytulił jeszcze mocniej, tak że wyczuła, jak bardzo jest podniecony.

Nie odsunęła się, przeciwnie — powoli, sugestywnie poruszyła biodrami.

Niespiesznie przesunął dłońmi po jej plecach, odnalazł koniec grubego warkocza, ściągnął gumkę i rozplótł jej włosy, które opadły na ramiona mokrą kaskadą.

Bolesnie gorące usta ani na chwilę nie oderwały się od jego ust.

Gdzieś w pobliżu przepłynął ślizgacz i znowu się zakołysali. Lennie przytrzymał ją mocno, wprawnym ruchem rozpiął stanik i podniecony poczuł dotyk nagich piersi na swoim ciele.

Powoli, powolutku sunęła dłońmi po jego plecach, wykreślając palcami tajemnicze wzory, a kiedy dotarła do gumki szortów, przeniosła dłonie na podbrzusze, by pieścić go przez materiał.

Zdusił jęk, zrobił krok do tyłu i ściągnął kąpielówki, nie dbając o to, czy zobaczy go ktoś z brzegu. Nie obchodziło go nic oprócz tej zwariowanej i jakże realnej fantazji.

Dotykała go, pieściła, głaskała, doprowadzała go do szaleństwa.

Panuj nad sobą! — wrzeszczał wewnętrzny głos. Nie sknoć tego!

Sięgnął do jej piersi. Twarde sutki, miękkie, jędrne kontury. Były piękne.

Doskonałe.

Ściągnął jej majteczki, a ona zsunęła je z nóg.

Opadli na zimną, twardą platformę, lecz ani ona, ani on nie zwracali uwagi

na niewygodę. W ich kochaniu się nie było nic nienaturalnego. Wszedł w nią gładko, ona objęła go nogami w pasie i zaczęli poruszać się zgodnie, jakby robili to razem od lat. Instynktownie wyczuła jego rytm, on instynktownie wyczuł rytm Lucky.

Był twardy jak stal, lecz niczym dobry surfer czekał,

393

wciąż czekał. Fala przyboju jeszcze nie nadeszła, a gdy nadejdzie, pożeglują na niej razem — bardzo tego pragnął.

Do platformy podpłynął starszy Francuz w czepku kąpielowym. Chwilę odpoczywał, chcąc wdrapać się na górę — zobaczył splecioną parę i szybko odpłynął, dziękując Bogu, że nie ma z nim zrzędlivej żony.

Lucky zamknęła oczy i uległa chwili. Wiedziała, że Lennie Golden będzie rewelacyjnym kochankiem, wiedziała o tym już wtedy, gdy zobaczyła go pierwszy raz. I rzeczywiście był. Co ją przerażało, ponieważ miała to być tylko spontaniczna zemsta, ponieważ miała się tylko odegrać na Dimitrim. Tymczasem... było w tym coś więcej. O wiele więcej. Było w tym porozumienie ciał, porozumienie wymowne i doskonałe, a ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnęła, był kolejny związek.

Poczuła, że diabelska kolejka rusza, że nabiera rozpędu. I już wiedziała — nie miała co do tego żadnych wątpliwości — że nie jest to jeszcze jedna przejażdżka za dwa dolary. Nie, to była przejażdżka-gigant, przejażdżka ze stromym podjazdem w górę i zjazdem w dół, przejażdżka z zakrętasem, z podwójną pętlą.

Usłyszała swój własny głos:

— O Boże! O Chryste!

I zatraciła się w zmysłowych wrażeniach. Wstrząsana spazmami

pulsującego spełnienia, żeglowała po prawdziwym raj.

Lenie podobnie. Intensywność i głębia orgazmu zaskoczyła go, wstrząsnęła i pozbawiła sił. Wciąż złączeni, przez chwilę leżeli bez ruchu, a on patrzył jej w oczy, przepastne i pełne tajemnic.

Kim ona jest?

Musiał się tego dowiedzieć.

Ale z drugiej strony... może lepiej zachować się jak ona. Była kobietą-enigmą i najwyraźniej chciała nią pozostać. Zresztą cóż miał jej powiedzieć? Chciałbym się z tobą znowu zobaczyć. Jasne. I przyprowadzę żonę.

Stoczył się z niej i chwycił szorty, ciesząc się, że nie porwało ich morze.

Lucky usiadła i nałożyła bikini.

394

Słońce już prawie zaszło, zrobiło się chłodno. Na opustoszałej plaży dwaj koszowi układali w sterty materace. Nieco dalej tuż nad wodą biegła jakaś blondynka z płowym owczarkiem niemieckim.

Lucky nachyliła się, potrząsnęła włosami i związała je w niedbały węzeł na czubku głowy. Rzuciła okiem na Len-niego i cichym szeptem wymamrotała:

— Sayonara, przyjacielu. — Po czym wdzięcznie wskoczyła do morza i przez chwilę widział tylko jej silne, brązowe ramiona rozcinające wodę, gdy płynęła w stronę brzegu.

Odczekał dziesięć minut, zanim poszedł w jej ślady. Gdy dopłynął na plażę, nieznajomej już tam nie było i uświadomił sobie, że prawdopodobnie widział ją ostatni raz w życiu.

Fantazja na jedno popołudnie... A on nie znał nawet jej imienia.

— Idziemy na kolację z tym hiszpańskim alfonsem i Quin-nem. Chyba się dogadaliśmy.

— Kiedy? — spytała szybko Eden.

— Dziś wieczorem — odrzekł Santino i podrapał się po brzuchu.

Eden zdusiła w sobie gwałtowny protest. Dlaczego zawsze zawiadamiał ją w ostatniej chwili? Była za kwadrans szósta — do diabła, jak mogła wyglądać pięknie, skoro spotykali się pewnie już za godzinę?

Wstała z łóżka i spiesznie weszła do marmurowej łazienki. — O której i gdzie? — zawołała, odkręcając kurki prysznic.

— Zabieram cię do „Chasens” — oznajmił Santino. — Odpicuj się, ale bez przesady. To szykowna knajpa.

Zacisnęła zęby. Mówił do niej jak do ulicznej dziwki za parę dolców.

— Bądź gotowa kwadrans po siódmej. Zeko cię zawiezie. Muszę jechać do domu. Spotkamy się na miejscu.

Nie zwracała sobie głowy odpowiedzią. Stała już pod prysznicem, zmywając z siebie jego odór, namydlając szam-

395

ponem włosy, sięgając do złotawego trójkąta między udami i doprowadzając się do orgazmu, którego z Santinem nigdy nie miewała. Nie potrzebowała dużo czasu na przygotowania. Była kiedyś modelką i miała wszystko w jednym palcu. Wyszła z kabiny, wytarła się ręcznikiem, włączyła elektryczne wałki, wysmarowała się obficie balsamem Estee Lauder i spryskała się wodą perfumowaną tej samej firmy. Usiadła nago przed lustrem toaletki, oczyściła twarz wacikami nasączonymi tonikiem, posmarowała ją kremem nawilżającym, korektorem i fluidem

koloryzującym, przypudrowała się, dodała odrobinę różu, nałożyła cień do powiek, eye-liner i tusz do rzęs, pociągnęła ołówkiem brwi, obwiodła usta konturówką, wyszminowała je i nabłyszczyła błyszczakiem.

Wszystko razem zajęło jej piętnaście minut — wyglądała przebojowo.

Następnie wysuszyła suszarką włosy i nakręciła je na rozgrzane wałki.

Teraz musiała tylko zdecydować, co na siebie nałożyć, a to zawsze trwało.

Łazienka łączyła się z wielką garderobą wypełnioną ubraniami. Eden chodziła tam i z powrotem, próbując dobrać najodpowiedniejszą kreację.

Taką, która spodobałaby się Santinowi, Quinnowi (uważała, że to kompletny świr), Vitosowi, no i oczywiście w której mogłaby wystąpić w tak ekskluzywnym lokalu jak „Chasens”. Dobranie właściwego stroju na kolację w dobrej restauracji było najtrudniejszym zadaniem.

Zeko, ukryty w gęstych krzakach za oknem łazienki, skończył się onanizować. Praktycznie rzecz biorąc, nie uprawiał już normalnego seksu. Podglądanie dziewczyny szefa dostarczało mu o wiele bardziej podniecających bodźców.

Zapiął rozporek, wrócił do domu, wziął czasopismo dla mechaników samochodowych i poszedł do kuchni, żeby trochę poczytać.

Eden zdecydowała się na wąską, czarną suknię z szerokim, złotym pasem. Naciągnęła wzorzyste rajstopy, nałożyła szpilki i koronkowy stanik. Potem zdjęła wałki i ułożyła włosy.

Była gotowa pięć po siódmej i postanowiła zjawić się

396

w restauracji nieco wcześniej. Miała nadzieję, że przyjedzie tam przed Santinem. Nawet pięć albo dziesięć minut wolności było dużo warte.

Zeko — wielki jak wół — czytał w kuchni. Zdumiało ją, że w ogóle umie

czytać.

— Jedziemy — rzuciła niecierpliwie.

— Szef powiedział, że mamy wyjechać kwadrans po siódmej.

— A ja ci mówię, że pojedziemy teraz.

Przeszyła znienawidzonego goryla zimnym spojrzeniem, prowokując go do kłótni. I wygrała.

Domem Santina Bonnattiego była otoczona parkanem posiadłość w Bel Air. Niegdyś rezydencja gwiazdy niemego kina, dzisiaj służyła za siedzibę rodzinie Bonnattich ze strony Santina. Donatella, jego żona, była nader pospolitą, za to bardzo tęgą kobietą. Przed osiemnastu laty Santino sprowadził ją z Sycylii i jej serce pozostało w małej wiosce, skąd ją wyrwano.

Mieli czworo dzieci w wieku od siedmiu do siedemnastu lat: trzy córki (niestety, wszystkie grube jak ich matka) i syna (skóra ściągnięta z ojca, z tym że chłopak nie zdążył jeszcze wyłysieć), któremu dali na imię Santino junior. Był najmłodszym i do cna zepsutym ulubieńcem zarówno matki jak i ojca, który poświęcał mu najwięcej uwagi.

W progu powitała go Donatella.

— Santino! — Załamała ręce z rozpaczą w wyrazistych oczach. — Santino junior chory. Ma gorączkę. Bardzo chory. — Obrzuciła go oskarżycielskim spojrzeniem. — Gdzie ty był, hę? Ja próbowałam dzwonić i nic. Gdzie ty był?

Santino omal się nie poślizgnął na wyfroterowanej podłodze, biegnąc na górę, żeby na własne oczy zobaczyć „bardzo chorego” syna. Donatella lubiła dramatyzować.

— Miałem spotkanie — wyjaśnił, chociaż nic wyjaśniać nie musiał. Mógł

robić, co chciał, i oboje o tym wiedzieli. O ile tylko wysyłał pieniądze jej krewnym, zapewniał

397

domowi poziom życia, do którego zdążyli już przywyknąć, i o ile tylko rypał ją raz na dwa miesiące. Donatella nie należała do kobiet wymagających, ale od czasu do czasu tego oczekiwała, a sześć sztosów rocznie mógł jeszcze zdzierżyć.

Ruszyła na górę i gdy otworzył drzwi do sypialni syna, stanęła tuż za nim. — Ty widzisz! — zakrakała triumfalnie. Rozpalony Santino junior leżał w łóżku. W pokoju było straszliwie gorąco, a na wielkim ekranie telewizora szalał Charles Bronson.

— Synu! — wykrzyknął Santino, podbiegając do chłopca i kładąc mu na czole spoconą rękę.

— Ty widzisz! — powtórzyła Donatella. — On ma gorączkę!

Eden wkroczyła do „Chasens” niczym hollywoodzka gwiazda i spytała maitre d' o stolik pana Bonnattiego. Nic nie wiedział o rezerwacji na to nazwisko. Eden zasugerowała, że stolik może być zarezerwowany na nazwisko pana Quinna Leecha albo pana Vitosa Felicidade.

— Aaa, pan Felicidade — westchnął maitre d'. Nareszcie mu zaimponowała. — Tędy proszę.

Nie musiał wskazywać drogi, ponieważ Vitos siedział w ciasnej niszy tuż przy wejściu. Towarzyszył mu menadżer. Ani Quinn, ani Santino jeszcze nie przyszli.

— Dobry wieczór — rzuciła z gracją, gdy tamci dwaj próbowali wstać. — Przyszłam za wcześnie, czy też pozostali się spóźniają?

— Przyszła pani jak najbardziej punktualnie — wymruczał wdzięcznie Vitos swoją najlepszą angielszczyzą. Skłonił się lekko, acz oficjalnie i dodał: — Bardzo mi miło, pani...

Czyżby jej nie pamiętał? Ona pamiętała go doskonale.

— Eden Antonio — odrzekła spokojnie, maskując rozdrażnienie. — Poznaliśmy się w Las Vegas.

— Ach tak, oczywiście... — tchnął Vitos, zupełnie jej nie kojarząc. Pocałował ją w rękę i wymruczał: — Enchante.

398

Zatrzepotała powiekami, czego w obecności Santina zrobić by nie śmiała.

— Dziękuję — odrzekła skromnie. Menadżer Vitosa wyciągnął do niej rękę.

— Jest pani... damą Quinna, tak?

— Nie. Nie jestem damą Quinna — odparowała wściekła, że pomylił ją z drętwą przyjaciółką Leecha. — W Las Vegas omawialiśmy z panem Bonnattim szczegóły mojego występu w filmie zatytułowanym „Byłam prostytutką”. Mam grać główną rolę.

Usiadła obok Vitosa i zamówiła martini, nie zauważywszy, że Vitos i menadżer wymieniają zdumione spojrzenia.

— Rozumiem, że pan Bonnatti negocjuje z panem warunki pierwszoplanowej roli towarzyszącej — dodała, postanowiwszy, że tym razem wbije mu się w pamięć. I to porządnie.

— My mówimy o filmie, tak — odrzekł przepaszająco Vitos — ale w tytule nie ma kobiety...

— Co? — Trudno go było zrozumieć, choć jego łamana angielszczyzna miała swój urok.

— Vitos chce powiedzieć, że negocjujemy warunki występu w filmie, w którym główną rolę gra on — wyjaśnił menadżer. — W filmie pod tytułem „Piosenkarz”.

— „Piosenkarz”? —: powtórzyła tępo Eden.

Od odpowiedzi wybawiło ich przybycie Quinna Leecha. Przyszedł sam, zalatując czosnkiem i whisky.

— Siemanko. — Usiadł obok Eden, przyciskając ją do Vitosa. — Gdzie Santino?

— Nie ma go — odparła Eden, stwierdzając oczywisty fakt. — O co chodzi z tym filmem? „Piosenkarz”? Sądziłam, że rozmawialiście z panem Felicidade o filmie pod tytułem „Byłam prostytutką”.

— Zmieniliśmy scenariusz — odrzekł pogodnie Quinn.

— Zmieniliście scenariusz?! — zapiszczała. Quinn westchnął.

— Rozumiem, że ten sukinkot nic ci nie powiedział, tak? Pokręciła głową, czując, że zalewa ją fala wściekłości.

— Posłuchaj — szepnął jej do ucha konspiracyjnym szeptem. — Myślisz, że Vitos Felicidade zagrałby w filmie ze

399

słowem „prostitutka” w tytule? Zmieniliśmy cały concept. Przeczytasz scenariusz i na pewno ci się spodoba.

— Tak, ale czy nadal gram główną rolę? — spytała rozgoryczona Eden. Quinn wyrzucił do góry ręce.

— Tego nie wiem. Ja jestem tylko reżyserem.

— Santino nie mówił ci, że miałam na tym filmie wypłynąć? — syknęła.

— Nigdy o tym nie słyszałem — odrzekł szczerze Quinn, zamawiając podwójnego Jacka Danielsa.

Eden zamilkła. A to sukinsyn! Łysy, włochaty, napalony sukinsyn! Nic dziwnego, że zabronił jej o tym filmie z kimkolwiek rozmawiać. Nic dziwnego, że twierdził, iż jeszcze nie pora gadać o tym z Quinnem, z Ryderem, z Paige czy z kimkolwiek innym. Cały czas ją zwodził. Cały czas mieszał jej w głowie pustymi obietnicami. Miała ochotę wyć niczym dzikuska. Tu, w „Chasens”. Miała ochotę go zabić.

Kelner postawił na stole telefon.

— Telefon do pani Antonio — powiedział. Podniosła słuchawkę.

— Do jasnej cholery, dlaczego wyjechałaś za wcześnie? — warknęła Santino.

— Skąd dzwonicz? — spytała zdławionym głosem.

— Mój syn zachorował. Ma gorączkę. Nie mogę go zostawić. Gdybyś nie wyszła z chałupy przed czasem, zdążyłbym cię uprzedzić.

— Ale już tu jestem — odrzekła.

— Psiakrew, przecież wiem. I chcę, żebyś się stamtąd zabrała. Pronto. Powiedz im, dlaczego nie mogę przyjść. Wy tłumacz mnie, bo inaczej pomyślą, że wycofuję się z umowy. A potem spadaj do domu, jasne? Słyszysz mnie?

— Tak, słyszę.

— Wymów się jakoś. Rozbolał cię brzuch, głowa, wszystko jedno co, ale za pięć minut masz stamtąd wyjść. Kapewu?

— Tak.

— Mam nadzieję, że to nie jest zła wiadomość — powiedział Vitos, kiedy kelner zabrał telefon.

— Pan Bonnatti nie może do nas dołączyć. — Eden bawiła się kieliszkiem martini. — Jego syn ma gorączkę

i Santino nie chce zostawiać go samego. Ma nadzieję, że panowie to zrozumieją.

Wszyscy zapewnili ją, że rozumieją.

— Pan Bonnatti jest lojalnym ojcem rodziny — dodała.

— O tak! — potwierdził Quinn, wsuwając rękę pod stół i poddając jej udo badaniom wstępnym.

Odrząciła ją i powiedziała:

— Pan Bonnatti prosi, żeby ktoś zawiadomił jego kierowcę, Zeka, że daje mu wolny wieczór. Czy można stąd wysłać na parking wiadomość od pana Bonnattiego?

— Nie ma sprawy — odrzekł Quinn.

— A piękna dama zostanie tu? — spytał Vitos, patrząc jej w oczy swymi maślanymi oczami.

— Ależ oczywiście — odrzekła z ożywieniem. — Pan Bonnatti bardzo na to nalegał.

Lucky wróciła pędem na jacht. Dimitri i Francesca siedzieli na górnym pokładzie, gdzie zapatrzeni w siebie, rozgrywali partyjkę tryktraka, jakby w pobliżu nie było absolutnie nikogo. Francesca miała na sobie zieloną sukienkę do opalania i barwną chustę na głowie, która niemal całkowicie zakrywała jej rude włosy. Dimitri jeszcze się nie przebrał — siedział w szortach khaki i sportowej koszuli.

— Myślałam, że spóźnię się na kolację — wydyszała Lucky.

Francesca w ogóle nie zwróciła na nią uwagi. Dimitri podniósł głowę, rzucił:

— Kolacja jest o ósmej — i na powrót zajął się grą. Żadnego „Gdzieś ty była cały dzień? Dlaczego tak późno?” ani nawet „Jak się masz?” Wyrzuty sumienia? Natychmiast się ich wyzbyła.

— Gdzie są wszyscy? — spytała.

— Mam cię, bratku! — wychrypiała Francesca, robiąc przebiegły ruch na planszy.

— Tak sądzisz, kobieto? — ryknął Dimitri, kontrując ruchem jeszcze przebieglejszym. I oboje zanieśli się śmiechem.

Lucky ogarnęło bolesne poczucie odrzucenia, jakiego

401

zaznawała niemal całe życie. Chromolić Franceskę i Dimit-riego. Skoro tak bardzo siebie pragną, proszę bardzo.

— Idę pod prysznic — oznajmiła sztywno.

Dimitri odprawił ją gestem ręki — gestem, którym wyraźnie dawał jej do zrozumienia, żeby nie zawracała mu głowy, ponieważ jest zajęty.

— Kolacja jest o ósmej — powtórzył.

— Nie mogę się doczekać — mruknęła zgryźliwie Lucky.

Odwiedziła synka, który bawił się w żółtej wannie, zadowolony i szczęśliwy pod czujnym okiem zawsze uśmiechniętej Cee Cee.

Przytuliła jego mokre ciało do podkoszulka.

— Jak się miewa mój karaluzek? — spytała pogodnie. — Jak się miewa mój wspaniały chłopczyk, mój kochany dzidzius?

— Mama — zaszczębiotał uszczęśliwiony. — Dobra, dobra mama.

— Jest dzisiaj taki grzeczny — dodała rozpromieniona Cee Cee. — To dziecko nigdy nie płacze.

— Jak jego mama — westchnęła cicho Lucky.

— He?

— Nic, nic.

Wróciwszy do kabiny Dimitriego, rozebrała się, weszła pod gorący prysznic i zamknęła oczy, czując, jak krople wody wystukują na jej ciele kojący rytm. Na chwilę oddała się myślom o Lenniem i o ich niesamowicie erotycznym tudzież jakże satysfakcjonującym spotkaniu.

Tym razem zagrał w jej grę. Żadnych wyświechtanych frazesów czy głupich odzywek. Tylko cichy, cudownie nieskrępowany seks.

Zadrżała. Od czasów Marca z nikim nie było jej tak dobrze...

Alice chciała poskarżyć się Olympii. Późnym popołudniem zapukała do drzwi jej kabiny i zastała synową w trakcie wściekłego rozrzucania rzeczy po całym pokoju.

— Co się stało, moja droga? — spytała, zapominając o swoich problemach.

— Nic. — Olympia łypnęła na nią spode łba. — Czego chcesz?

Alice zacmokała z niesmakiem.

— To tak się mówi do teściowej? Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami.

— Co? — warknęła Olympia. Nie miała nastroju na rozmowę z ekscentryczną matką Lenniego.

Alice od razu przeszła do rzeczy.

— Jestem bardzo urażona — oświadczyła, zdrapując lakier z paznokcia.

— Dlaczego?

— Czy ja, Alice Golden, była gwiazda Las Vegas — to po mnie Lennie odziedziczył talent — nie jestem godna zasiadać przy kolacyjnym stole wraz z tym pospólstwem?

— To pytanie?

— Nie, to stwierdzenie faktu, moja droga. Stwierdzenie faktu. — Zrobiła dramatyczną pauzę. — Jadałam z królami, tańczyłam dla książąt. Za kogo mnie uważacie? Za zimną kłodę bez uczuć?

— Proszę cię, Alice. Mam kaca, boli mnie głowa. Czego ty właściwie chcesz?

— Chcę jadać z własnym synem.

— Masz pilnować Brigitte — przypomniała jej Olympia.

— Czy to znaczy, że nie mogę siedzieć z Lennie? Brigitte chodzi spać o ósmej. Mam zostać pod pokładem wraz z majtkami?

Olympia zmarszczyła czoło. Gdzie się ten Lennie po-dziewał, ilekroć go potrzebowała?

— Nie wiem — odparła zirytowana. — Rób, co chcesz. W wodnistych oczach Alice zabłyśły iskierki triumfu.

— Dziękuję ci, moja droga — powiedziała, myśląc już o historyjkach, którymi uraczy gości przy kolacyjnym stole.

Ginowi Francja się nie podobała. Nie rozumiał, co do niego mówią.

Uważał, że Francuzi są aroganccy. Było gorąco. Siedział na jachcie jak w więzieniu, czego nie cierpiał. No i tęsknił za Paige.

Susan, jak zwykle bardzo towarzyska, nalegała, żeby

402

403

spędzili dzień z jej przyjaciółmi, którzy mieszkali w letnim domu na wzgórzach. On był gwiazdorem filmowym. Miał wyrazisty profil, żółtawe zęby i czarne, źle ufarbowane włosy. Ona, jego żona, była Europejką o ciętym języku i podczas spotkania bezlitośnie oplatkowała wszystkich znajomych, łącznie ze swymi najdroższymi przyjaciółmi.

Gino przeżył prawdziwy koszmar. O czym w drodze powrotnej nie omieszkał wspomnieć Susan.

— Ja bawiłam się doskonale — odrzekła.

— Nie byłabyś taka zachwycona, gdybyś słyszała, co ta suka wygaduje teraz na twój temat.

— O czym ty mówisz?

— Nieważne.

Wiedział, że w żaden sposób nie wytrzyma dwóch tygodni tego zakichanego rejsu.

— Wygrałam — wychrypiała Francesca.

— Zawsze wygrywasz — odrzekł ze śmiechem Dimitri.

— To prawda.

— Musimy przygotować się do kolacji.

— Tak. — Przesunęła białą dłońią po jego policzku, odchylając czubki palców zakończonych krwawoczerwonymi, długimi na dwa i pół centymetra paznokciami. — Dlaczego się z nią ożeniłeś, Dimitri? Dlaczego tak mnie upokorzyłeś?

— Francesko, przecież jesteś mężatką — zauważył.

— To nic nie znaczy. Horacy dogląda moich spraw. Wyszłam za niego dla wygody.

— To się z nim rozwiedź.

— Nie mogę. Złamałabym mu serce.

— W takim razie o czym my mówimy?

— O twojej niewierności.

— Jestem ci wierny.

— Nie.

— Ożeniłem się z Lucky, żeby dać synowi nazwisko, do którego ma prawo.

Francesca podrapała go leciutko tam, gdzie wywierało to najlepszy skutek.

— No i teraz możesz się z nią rozwieść — zasugerowała.

404

Pozbywszy się Alice, Olympia dostała kolejnego napadu furii. Gdzie się, do diabła, ten Lennie podziewał? Musiała na kogoś nawrzeszczeć. Co jej z męża, na którym nie mogła się wyżyć?

Bolała ją głowa. Potwornie, pulsujące Każdego by bolała, gdyby nagle dowiedział się o istnieniu przyrodniego brata. Nie wspominając już o tym, że Dimitri ożenił się z Lucky Santangelo.

Lucky i Dimitri! Nie do wiary! Absurdalne! Śmieszne! Obrzydliwe!

Pomaszerowała do łazienki i zażyła resztę zapasu kokainy. Potem połknęła dwie tabletki methaqualonu i spróbowała wybrać jakąś suknię, w której mogłaby stawić czoło swej najnowszej macosze.

Macosze! Co za żart! Lucky Santangelo! Przyjaciółka. Ładna mi przyjaciółka.

73

Dimitri był doskonałym gospodarzem. Jego letnie rejsy jachtem należały do legendy. Nie szczędził żadnych wydatków, żeby wszyscy goście cudownie się bawili.

Skończywszy partyjkę tryktraka, szybko wziął prysznic, przebrał się i pospieszył powitać przyjaciół, którzy zaczynali przybywać na górny pokład, na aperitif. Towarzyszyła mu Lucky. Czarne, rozpuszczone włosy, biały żakiet od Saint Laurenta — wyglądała oszałamiająco. Gino stał samotnie przy barze. Natychmiast do niego podeszła.

— Muszę się stąd wydostać — oznajmił.

— Ja też.

— Słuchaj, a może nagle wezwą nas jakieś rodzinne interesy, co? I wyjedziemy do Nowego Jorku. Wiesz, dziecinko, cholernie za tym miastem zatęskniłem.

— Myślałam, że przepadasz za Beverly Hills.

— Beverly Hills jest dla mnie za spokojne. Mam dość.

— Naprawdę?

— Chcę, żeby wreszcie zaczęło się coś dziać.

— A co z Susan?

405

— Jeszcze jej tego nie mówiłem, ale zastanawiam się nad kupnem mieszkania w Nowym Jorku.

— Będziesz do niej dojeżdżał?

— Czemu nie?

— Świetny pomysł.

— Spędziliśmy bardzo interesujący dzień — powiedziała Susan, nabierając na krakersa solidną porcję rosyjskiego czarnego kawioru i wsuwając go w całości do ust.

— Naprawdę? — spytała contessa. — A ja przerażająco się nudziłam. Zagrałabym w bakarata. Nie mogę się już doczekać, kiedy przyśniemy do Monte Carlo. Tęsknota za hazardem doprowadza mnie do rozpacz.

— Za życia mego świętej pamięci Tiny'ego Martina często jeździliśmy do Monte Carlo — entuzjazmowała się Susan, chcąc jej zaimponować. — Wiesz, Tiny był przyjacielem Rainiersów, zwłaszcza Grace.

Contessa uniosła wyółówkowaną brew.

— Byłaś żoną Tiny'ego? — spytała.

— Ponad dwadzieścia pięć lat — odrzekła z dumą Susan. I skromnie dodała: — Wysłałam za mąż niemal jako dziecko.

Contessa uśmiechnęła się i czule poklepała jej dłoń.

— Tak jak my wszystkie, kochanie. Jak my wszystkie... Susan czekała, aż contessa zabierze swoją ciepłą rękę

z imponującymi brylantami na każdym palcu. Lecz contessa ręki nie zabrała.

Olympia była zła, ponieważ wyglądało na to, że Lennie przepadł jak kamień w wodę. Nie zamierzała beczynnie siedzieć. Spóźni się na kolację, jego strata. Poza tym nie mogła doczekać się spotkania z Lucky. Z chudą, naiwną, małą Lucky Santangelo. Byłą przyjaciółką od serca. Byłą powierniczką. Ha! Nie opłacało się być miłym dla ludzi. Zawsze człowieka wykorzystywali i przy pierwszej lepszej okazji wystawiali do wiatru.

Już sama myśl o Dimitrim i Lucky w łóżku była odrażająca. To ona, Olympia, wszystkiego ją nauczyła. Kiedy przed

406

piętnastu laty Lucky przyjechała do Szwajcarii, nie umiała się nawet całować! Olympia uświadomiła ją co do mężczyzn, życia i związanej z tym wszystkim zabawy. No i jak jej Lucky za to podziękowała?

Ubrała się w drogą, złotą suknię od Ungaro, która wyglądałaby rewelacyjnie na wysokiej modelce o małym biuście. Na Olympii leżała fatalnie. Uszy, palce u rąk i szyję ozdobiła wielkimi brylantami. Potem wytapirowała długie blond włosy i poszła stawić czoło Lucky Santangelo.

— Nigdy nie byłam w Paryżu — zwierzyła się Alice Horacemu, patrząc

na niego błędnym wzrokiem.

— Naprawdę? — Horacy ciągle zerkał w stronę drzwi, wyglądając Franceski. Wypchnęła go samego, twierdząc, że przeszkadza jej w przymierzaniu sukien.

— Wesoły Paryż... — westchnęła Alice. — O la la! — Chwyliła gorącą grzanekę z tacy, którą niósł przechodzący kelner. — Prawdopodobnie pojedę tam z synem. Jest ze mnie bardzo dumny. Ja mam talent i on ma talent, swój swego zawsze rozpozna, a Lennie o tym wie. — Kiwnęła do siebie głową. — O tak, dobrze o tym wie.

— Nie wątpię — zgodził się z nią Horacy.

— Niedługo wystąpi w programie Merva Griffina. — Z ukontentowaniem przeżuwała nadziewaną oliwkę. — Uwielbiam Merva. To taki ciepły mężczyzna.

— To dobrze.

Czule się ku niemu nachyliła.

— Bardzo dobrze — szepnęła, puszczając do niego oko. — Bardzo, ale to bardzo dobrze...

— Znakomicie.

— Tak.

— Tak.

Olympia weszła do baru. Przystanąła. Rozejrzała się. Dostrzegła Lucky. I zbaraniała. Nie mogła uwierzyć, że z tej kościstej chudziny wyrosła taka piękność. W dodatku piękność bez grama zbędnego tłuszczu na ciele.

407

Lucky też ją zauważyła. Na chwilę spotkały się wzrokiem i oto znowu były nastolatkami, znowu szły na wagary, znowu szmuglowały chłopców

do bursy i oddawały się grze w „na pół gwizdka”, którą, w ich mniemaniu, wymyśliły.

Lucky całe życie była samotna. Ani przyjaciółek, ani matki, ani nikogo, z kim mogłaby pochichotać i poplotkować. Nikogo oprócz Olympii. Kiedyś, przed laty.

Więc pospieszyła ku niej z wyciągniętymi rękami.

Olympia się cofnęła.

Lucky wyczuła, że nie jest zachwycona jej małżeństwem z Dimitrim, czemu się zresztą nie dziwiła. To był po prostu zwariowany zbieg okoliczności. Opuściła ręce i poklepała ją po ramieniu.

— Olympia! Boże, ileż to lat. Wspaniale wyglądasz.

Olympii zabrakło słów. Zbyt duża dawka kokainy zamuliła jej umysł.

Chciała być chłodna, chciała zachowywać się tak, jakby nic ją nie obchodziła, ale owszem, obchodziła ją, bo miała Lucky za złe to, że ją zlekceważyła, że nie próbowała się z nią skontaktować nawet wówczas, gdy już jako dorosła kobieta mogła widywać, kogo tylko chciała.

— Mała Lucky Saint — odrzekła spokojnie, nazywając ją starym, szkolnym imieniem. — Wyrosłaś.

— Mam nadzieję!

— A byłaś taką głupią cipą.

— Wielkie dzięki!

— Czyżby prawda bolała? Lucky zniżyła głos.

— Nie zaczynajmy od okazywania sobie wrogości, he? Olympia się opanowała.

— Kto tu okazuje wrogość? Bo na pewno nie ja. Niby dlaczego miałabym okazywać ci wrogość?

Od odpowiedzi uchroniło Lucky wejście Franceski. Miała na sobie czerwoną suknię balową, pasującą kolorem do rudych włosów. Na jej szyi lśnił wspaniały naszyjnik z rubinów.

Horacy aż się skulił. Nigdy dotąd tego naszyjnika u niej nie widział.

Wiedział, że to podarunek od Dimitriego, co oznaczało, że romans kwitnie.

— Cholera jasna! — wymamrotał.

408

— Czy ktoś mówił ci, że jesteś podobny do Burgessa Mereditha? — Alice zatrzepotała sztucznymi rzęsami. — Zawsze uważałam, że to szalenie atrakcyjny mężczyzna...

Lennie wrócił do portu okazją, z dwoma opalonymi na brąz gejami w kabriolecie. Byli Niemcami, a on niemieckiego nie znał, więc tylko grzecznie kiwali do siebie głowami i uprzejmie się uśmiechali.

Wbiegł na pokład jachtu, gdzie spotkał kapitana Pratta.

— Miał pan przyjemną przechadzkę, sir? — spytał Pratt. Lennie nie wiedział, czy to tylko gra wyobraźni, ale mógłby przysiąc, że kapitan lubieżnie do niego mrugnął.

— Tak — odrzekł.

— Trochę się pan spóźnił — dodał Pratt. — Już siadają do kolacji.

— Przebiorę się w pięć minut. Może pan zawiadomić moją żonę?

— Oczywiście, sir.

A to co? Znowu konspiracyjne mrugnięcie?

— Muszę powiedzieć, sir, że pańska matka to wspaniała kobieta.

O cholera. Kapitan chciał przelecieć Alice. Przykro mi, przyjacielu, ale dla Alice Piersióweczki jesteś co najmniej dwadzieścia lat za stary.

— Taaa — odrzekł dyplomatycznie i szybko uciekł.

Kelnerzy podawali do stołu i rozlewali wino do srebrnych pucharów, a goście prowadzili ugrzecznione rozmowy. Olym-pię posadzono koło Giną Santangelo. Wypięła piersi i ostentacyjnie z nim flirtowała. Staruch to staruch, ale skoro Lucky miała Dimitriego, dlaczego Olympia nie mogła przelecieć Giną?

Nachyliła się ku niemu i szepnęła:

— Założę się, że nie pamięta pan naszego ostatniego spotkania.

Gino pamiętał. Aż za dobrze. Ten obraz utkwił mu w pamięci na zawsze.

Szesnastoletnia Olympia Stanislopoulos

409

wypinająca goły, różowy tyłek, pochłonięta robieniem lodu swemu ówczesnemu przyjacielowi.

— Wiesz co? Masz rację, nie pamiętam. Odęła wargi.

— Nie wierzę. Jak mógłby pan zapomnieć? Wiedział, o czym chce zapomnieć. O tym rejsie. O tych

ludziach. Nazajutrz dostanie telegram wzywający go do natychmiastowego powrotu do Nowego Jorku.

Olympia powiedziała „Przebieramy się do kolacji”, cokolwiek to miało znaczyć. Niechętnie wbił się w garnitur. Co za bzdura. Dlaczego na to szedł? Jeden wieczór to wystarczy. Od tej pory będzie zabierał Olym-pię na ląd i zwiedzał z nią okolicę. W pobliżu musi być mnóstwo znakomitych restauracji — nie zamierzał spędzać urlopu w towarzystwie bogaczy w nakrochmalonych koszulach.

Przejrzał się w lustrze, zastanawiając się, czy nie pora na skręta. Wyobraził sobie, że tuż obok stoi dziewczyna z plaży. Śniada, tajemnicza, zmysłowa... Zawsze wolał blondynki, ale dzięki niej zapomniał o

wszystkich blondynkach, jakie kiedykolwiek znał, łącznie z Eden.

Nareszcie wolny?

Taa...

Dlaczego nie dowiedział się przynajmniej, jak jej na imię?

Poluźnił krawat, przeczesał ręką włosy, zapalił skręta, zaciągnął się głęboko dwa razy i poszedł na kolację.

— Interesy to interesy — powiedział Saud Omar. — A kobiety to kobiety. Jedno nie powinno mieć nic wspólnego z drugim.

— Cóż to za przedpotopowa bzdura! — wykrzyknęła Lucky. — Gdzie pan był przez ostatnie pięćdziesiąt lat?

Saud aż zamrugał z wrażenia. Nie nawykł do tego, żeby kobiety mu odszczekiwały. Poza tym nie mówił do Lucky, po prostu rzucił ogólną uwagę.

— Zgadzam się z tobą, Saud — zapiszczała Fluff. — Ja nie chcę pracować. Nigdy w życiu! Uch!

410

— I nigdy nie będziesz, moja baryłeczko — wtrącił Jenkins Wilder. — Sprytne dziewczęta nie muszą nawet kiwać palcem...

— Tylko tyłkiem — mruknęła Lucky. Alice zachichotała.

Francesca posłała Dimitriemu wściekłe spojrzenie.

— Uważam, że kobiety powinny uczyć się sztuk domowych w szkole — powiedziała Susan. — Gotowania, szycia i prowadzenia domu w ogólności.

— A seksu? — rzuciła Lucky. — Cholera, Susan, jeśli szkoła ma nauczyć nas, jak zajmować się facetem, powinna też prowadzić regularne kursy dymania, nie sądzisz?

Dimitri przeszył Lucky ostrzegawczym spojrzeniem, ale go zignorowała. Susan spiekła raka.

— Hej, dziecino... — mruknął Gino. Contessa parsknęła śmiechem.

Olympia nachmurzyła czoło. Mała, chuda Lucky zrobiła się wyszczekana.

Lennie wszedł do jadalni, zobaczył Olympię i ruszył prosto do niej.

— Gdzieś ty był? — spytała rozsierdzona.

— Przepraszam za spóźnienie. Nie mogłem wydostać się z plaży...

— Z plaży? — prychnęła Olympia, jakby powiedział brzydkie słowo.

— Tak, z plaży. No wiesz, to takie miejsce, gdzie chadza pospólstwo. Nie wszyscy objijają się po świecie jachtami.

— Bardzo śmieszne. Może byś tak usiadł. — Powiodła wzrokiem po twarzach gości przy stole. — Chciałabym przedstawić państwu mojego męża, Lenniego Goldenę.

Zobaczył starych ludzi i kilogramy biżuterii. Zobaczył też Alice, co go zdumiało.

— A więc... Olympia odgrywała rolę gospodyni doskonałej. — To jest contessa Zebrowski i Saud Omar. Pan Jenkins Wilder z małżonką. Susan i Gino Santangelo. Francesca i Horacy Fernowie. Ojca już znasz. —

Zastanawiała się chwilę, czy nie pominąć Lucky. Nie, to nazbyt oczywiste.

— Ach tak, i jeszcze Lucky. — Jej reklamować nie zamierzała.

411

— Moja żona — dodał Dimitri.

— Pańska żona — powtórzył Lennie.

Patrzył na nią. Ona patrzyła na niego. Czas stanął w miejscu.

74

Powrót do świata rzeczywistego był dokładnie tym, czego Steven

potrzebował. Nigdy dotąd nie uległ pokusie pracy w wielkiej kancelarii adwokackiej, zadowolając się stanowiskiem zastępcy prokuratora okręgowego i oskarżyciela publicznego, co było, oczywiście, zajęciem przynoszącym znacznie mniejsze dochody. Ale przybyło mu lat i mądrości, dlatego teraz wyzwaniem stało się zyskanie poczucia bezpieczeństwa oraz zdobycie namacalnych korzyści materialnych. Nie to, żeby musiał chwycić wszystko, co mu się napatoczyło — Jerry zapewnił go, że może przebierać w bogatych klientach potrzebujących pomocy.

— Mają kupę szmalu, co wcale nie znaczy, że są źli — tłumaczył spokojnie. — Może byś zaczął od sprawy Mary--Lou Moore? To ta ładna czarnoskóra aktoreczka, telewizyjny symbol rodziny. Skarży jakieś czasopismo pornograficzne o to, że zamieściło jej roznegliżowane zdjęcia, które zrobiono, zanim odniosła sukces jako aktorka. W tym tygodniu składa zeznania.

Mary-Lou Moore. Steven oglądał jej program, i to kilka razy. Zabawny serial telewizyjny osadzony w realiach Connecticut, w którym Mary—Lou grała rolę dziewczyny adoptowanej przez białą rodzinę. Była młodziutka — miała osiemnaście, najwyżej dziewiętnaście lat — i bardzo ładna.

— Będziesz mi dawał wyłącznie czarnych klientów? — spytał kąśliwie.

— Tylko jeśli zechcesz. To będzie głośna sprawa. Wykorzystana bohaterka kontra ciemne typy. Coś w sam raz dla ciebie. Nic nie podpisywała. Co więcej, twierdzi, że te zdjęcia zrobił dla żartu jej chłopak, kiedy miała piętnaście lat. Myślisz, że to wystarczy do wytoczenia sprawy?

— Myślę, że to aż za dużo.

— Idź na całość. Ci faceci mają kupę forsy.

Zadomowiwszy się w kancelarii, Steven poinformował lokatora, który wynajmował jego mieszkanie w szeregowcu, że zamierza wrócić. Miał szczęście. Lokator, inżynier, właśnie dostał pracę na Bliskim Wschodzie i był gotów do natychmiastowej wyprowadzki. Steven zwrócił mu część pieniędzy (znowu musiał pożyczać od Jerry'ego, ale wkrótce miał spłacić wszystkie długi) i się przeprowadził.

Po trzech latach tułaczki wrócił do domu. Czuł się cudownie.

Carrie spotkała się z Anną Robb, ghost writerem polecanym przez Freda Lestera. Anna była drobną, metodyczną czterdziestolatką. Nosiła wygodne buty, obszerne wełniane swetry i zdawało się, że jest fizycznie zrośnięta z magnetofonem kasetowym firmy Sony, który włączyła, wkroczywszy w życie Carrie, by już nigdy potem go nie wyłączać.

— Niech pani po prostu mówi — powiedziała uspokajająco. — O czym pani tylko chce. Wyłowię z tego to, czego będziemy potrzebowały.

Tak więc Carrie mówiła. Najpierw o strojach, potem o modzie i o rozrywce. Wkrótce opowiadała jej o życiu z pierwszym mężem, Bernardem Dimesem.

— Wydawaliśmy takie ciekawe przyjęcia — wspominała z przyjemnością. — Bywali na nich ludzie sztuki, gwiazdy baletu, pisarze. Bernard znał wszystkich. Był fascynującym mężczyzną.

— Jak się państwo poznali? — spytała Anna, sącząc cytrynową herbatę, którą poczęstowała ją Carrie.

— Chyba nie chcę o tym rozmawiać — odrzekła szybko Carrie.

Anna była wystarczająco spostrzegawczą interlokutorką, żeby natychmiast zmienić temat rozmowy.

Tydzień później miały za sobą trzy zarejestrowane na taśmie spotkania, z których każde trwało cztery godziny. Carrie czuła się w towarzystwie Anny o wiele swobodniej i opowiedziała jej wszystko, co wiedziała na temat mody,

413

dbałości o urodę, diety i ćwiczeń gimnastycznych. Anna stwierdziła, że materiału jest aż za dużo.

— To było bardzo łatwe! — wykrzyknęła Carrie.

— Dla ciebie — odrzekła Anna. — Dla mnie właściwa praca rozpoczyna się dopiero teraz. Najpierw napiszę książkę i podzielę ją na części.

Następnie dokładnie omówimy to, co napisałam, żeby upewnić się, czy wszystko aprobujesz. Później zaczniemy dobierać zdjęcia i uzupełniać je nowymi.

— To takie podniecające! — skostatowała Carrie.

— Jeśli książka jest bestsellerem, to najwspanialsze uczucie pod słońcem.

— Anna uśmiechnęła się. — Jeśli sprzedaż leży, nie ma gorszego.

— Jak zrobić z tego bestseller? — spytała naiwnie Carrie.

— Gdybym wiedziała, Fred Lester pracowałby dla mnie.

— Opowiedz mi o nim — poprosiła Carrie. — Robi wrażenie bardzo miłego człowieka. Jest żonaty?

— Czyżby cię... interesował? — zażartowała Anna. Carrie była zaskoczona. Dlaczego, u licha, miałby ją

interesować? Zrezygnowała z mężczyzn po rozwodzie z Elliotem Berkeleyem, a teraz była już za stara i zbyt konserwatywna, żeby myśleć o nowym związku. Poza tym gdyby nawiązała romans z mężczyzną, musiałaby opowiedzieć mu o swojej przeszłości. Kto by ją zechciał, gdyby

wyznała prawdę?

Nie. Żadnych związków, to wykluczone. Odzyskała Ste-vena, i Bogu niech będą dzięki. Czegóż jeszcze mogłaby pragnąć?

— Ależ skąd — odrzekła sznurując usta.

— Lester jest wdowcem — rzuciła na rybkę Anna, chowając magnetofon do pokrowca. — Ale chyba powinnam cię ostrzec, że mieszka z jakąś kobietą.

Carrie chciała spytać, kim ta kobieta jest, ale ugryzła się w język. Byłaby okropnie zażenowana, gdyby Anna pomyślała, że pożąda jej szefa. Szybko zaczęła mówić o czymś innym.

414

75

Lucky nie miała pojęcia, jak zdołała dotrzeć do końca kolacji. Próbowwała nie patrzeć na Lenniego i wiedziała, że on próbuje nie patrzeć na nią, ale rzecz była niewykonalna. Ciągłe spotykali się wzrokiem, a ilekroć się spotkali, zdawało się, że cała jadalnia staje w ogniu wznieconym generowaną przez nich elektrycznością.

W trakcie kolacji dowiedzieli się o sobie paru rzeczy.

Lucky, która rzadko kiedy czytywała coś innego niż „Newsweeka”, „The Wall Street Journal”, „Blues & Soul” oraz książki, i która nigdy nie oglądała telewizji, dowiedziała się — głównie od rozgadanej Alice — że Lennie odniósł wielki sukces i że jest teraz znaną osobistością i telewizyjnym gwiazdorem.

— Nie czytałaś o naszym ślubie? — spytała zadziornie Olympia. — Pisały o nas gazety na całym świecie.

— Nie, nie czytałam — odrzekła grzecznie Lucky i Olympia odęła wargi.

— Zdjęcia mojego Lenniego na okładce „People” też nie widziałaś? Musiałaś je widzieć — strofowała ją Alice.

— Przykro mi, ale nie, nie widziałam — przepraszała Lucky.

— To jemu powinno być przykro — zauważyła posępnie Alice. — Nie wspomniał o mnie ani słowem. Ale nic to. Niedługo napiszą i o mnie. Na okładkę mnie pewnie nie dadzą, ale w życiu nie można mieć wszystkiego. Prawda, kochanie?

Lennie dowiedział się wreszcie, kim jest Lucky. Że jest nie tylko żoną ojca Olympii, ale i tą samą Lucky Santan-gelo, która przed dwoma laty wyrzuciła go na zbity pysk z hotelu „Magiriano”.

Nagle wszystko zaczęło do siebie pasować. Już wiedział, dlaczego zwolniono go z pracy, skutkiem czego uciekł z miasta jak przed zarazą. Lucky chciała się z kimś przespać.

On powiedział „nie”.

Pozbądź się sukinsyna. Niemal słyszał, jak wydaje polecenie Mattowi.

415

Był wściekły i miał ku temu powody.

— Jest pan tym samym Lenniem Goldenem, który niedawno występował w moim hotelu? — spytał Gino.

— Tak — odrzekł Lennie. Co to było? Tydzień na łonie rodziny? Lucky i jej ojciec. Alice przy stole niczym dumna rodzicielka. Chryste, śnił mu się upiorny sen!

— Pobił pan wszelkie rekordy — dodał Gino. — Powiedziałem Mattowi, że chciałbym pana ponownie zaangażować, kiedy tylko będzie miał pan czas. Szczerze mówiąc, kazałem mu nawet wynegocjować kontrakt z pańską me-nadżerką na tygodniowy występ raz na dwa miesiące. Z

prawem wyłączności.

Lucky nie zdawała sobie sprawy, że Gino wciąż trzyma rękę na pulsie.

Myślała, że tylko zgarnia szmal, i do widzenia.

Lennie Golden występował w jej — w jej! — hotelu, a ona nic o tym nie wiedziała. Poczła się jak idiotka.

To już nie twój hotel, przypomniał jej wewnętrzny głos. Sprzedałaś udziały i zwałaś. Skąd mogłaś wiedzieć, że on tam występuje? I co cię to obchodzi?

Właśnie, do diabła. Co ją to obchodziło? Kim był ten Lennie Golden? Cóż dla niej znaczył? Przespała się z nim — wielkie rzeczy. Seks to seks, a cały niefart polegał na tym, że znowu go spotkała.

Niefart?

Tak, niefart.

Po kolacji kilkoro gości wyraziło chęć zejścia na ląd i odwiedzenia kilku nocnych klubów.

— Chcę iść — oznajmiła Olympia. Nafaszerowała się koką i była gotowa balować całą noc.

Tymczasem Lennie zaczynał odczuwać skutki długotrwałej podróży, nie wspominając już o skutkach napięcia, jakie towarzyszyło mu podczas kolacji, kiedy to musiał siedzieć naprzeciwko Lucky.

— Ja się zmywam — odrzekł.

— Akurat — odparowała gniewnie Olympia. — Zmyłeś się na cały dzień, podczas gdy ja tkwiłam tu jak kołek w płocie. Schodzimy na brzeg, więc mi nie podskakuj.

416

— Nie mów tak do mnie — odparł rozzłoszczony.

— Będę mówiła, jak mi się podoba — wycedziła. Spojrzał na kobietę, którą poślubił. Małe, niebieskie oczy, różowa, nalana twarz, szyderczo zagięte kąciki wyszmin-kowanych ust, obwisłe blond loki. Tak. Jess miała rację. Musiał zwariować.

— Posłuchaj — rzekł cicho i spokojnie. — Mów tak, do kogo chcesz, ale nie do mnie. Nikt nie będzie traktował mnie jak gówniarza. Jasne?

Nie dała się zastraszyć. Odrzuciła do tyłu włosy i powiedziała:

— Rozumiem, że nie chcesz iść — skonstatowała wyniośle. — Ja idę. Z tobą czy bez ciebie.

— Baw się dobrze.

— Spokojna głowa — burknęła i szybko wymaszerowała z jadalni.

Stojąca po drugiej stronie pokoju Lucky wymówiła się od wyjścia bólem głowy. Dimitri był zachwycony.

Naturalnie, Francesca była zwarta i gotowa. Horacego o zdanie nawet nie spytała.

— Zostaniesz tutaj — rozkazała. — Dobrze wiesz, że nie cierpisz nocnych klubów.

Alice nie zaprosił nikt, więc zrobiła dobrą minę do złej gry-

— Zaopiekuję się Horacym — oświadczyła. Francesca ją zignorowała.

Francesca miała zwyczaj ignorować niemal wszystkich z wyjątkiem Dimitriego.

Jenkins Wilder i Fluff postanowili pójść. Podobnie Saud i contessa. Susan by chciała, ale Gino powiedział nie. Kusiło ją, żeby wypuścić się bez niego, ale ponieważ tego nie zaproponował, niechętnie została. Contessa była wielce interesującą kobietą i Susan nie mogła się wprost doczekać, aż lepiej ją pozna.

Jak tylko cała grupa zeszła na ląd, Gino powiedział dobranoc i wraz z Susan udał się do swojej kabiny. Lucky czuła, że musi spojrzeć na Lenniego. On spojrzał na nią. Alice raczyła Horacego opowieściami o Las Vegas. Była w swoim żywiole i wreszcie miała uważną widownię oraz nieograniczony zapas Grand Marniera, swego ulubionego

417

trunku. Ledwie dostrzegalnym gestem Lennie wskazał drzwi.

Lucky kiwnęła głową.

— Życzę wszystkim dobrej nocy — powiedziała cicho i wyszła.

Lennie odliczył dziesięć uderzeń serca i też wstał.

— O Boże! — wykrzyknęła Alice, chichocząc jak podłotek. — Zostawiacie nas samych? Nie jestem pewna, czy nad sobą zapanuję w towarzystwie tak atrakcyjnego mężczyzny!

Lennie nie wiedział, kogo nie cierpiał bardziej: nachalnej matki czy kokieteryjnej naiwniaczki.

Na pokładzie odszukał wzrokiem Lucky. Opierając się o reling, paliła papierosa. Kiedy ku niej ruszył, obrzuciła go czujnym spojrzeniem ciemnych oczu.

— Świat jest mniejszy, niż myśleliśmy — powiedziała cicho. — Powinniśmy byli poprzestać na Las Vegas. Mniej komplikacji. Chciał ją spytać o tyle rzeczy — przede wszystkim dlaczego kazała wyrzucić go z pracy. Lecz słowa były zbyt ulotne. Pragnął ją tylko przytulić.

Zaciągnęła się głęboko i pstryknęła niedopałkiem za burtę. Nie mówiąc już ani słowa więcej, jak za obopólnym porozumieniem mocno do siebie

przywarli. Zdawało się, że to najnaturalniejsza rzecz pod słońcem i z Lenniego natychmiast wyparowało całe zmęczenie i napięcie.

Całowała go wargami i językiem, pieściła dłońmi jego twarz, w nieprzyzwoitym pośpiechu sunęła nimi w stronę podbrzusza.

Oddając pocałunki, włożył ręce pod jej biały zakiet i uwolnił piersi spod skąpej jedwabnej bluzeczki.

— Pragnę cię — wymamrotał. — Cały czas, wszędzie. Pragnę cię.

Próbowała go odepchnąć, choć robiła to bez przekonania. Chciała, żeby został. Obudził w niej dawno uśpione uczucia.

1 podniecał ją tak bardzo, że dopiero w jego obecności przypomniała sobie, iż takie podniecenie jest w ogóle możliwe. Czekala ją niebezpieczna przejażdżka i nie mogła się powstrzymać, żeby z niej nie skorzystać.

418

Całowała go w milczeniu, pieściła i teraz z kolei on ją odepchnął.

— W co ty grasz? — wychrypiał zdławionym głosem. — Dlaczego się ze mną drocysz?

— Ja nigdy się nie drocę. — Rozpięła mu spodnie, uklękła. — Nigdy. — I już miała go w ustach, już wiodła go do raju i z powrotem, już połykała dowód, że tam był.

— O Chryste! — wykrzyknął. Doświadczył seksu dobrego, złego i przeciętnego. Ale nigdy w życiu nie zaznał seksu tak erotycznego i podniecającego jak z nią.

— Chciałam ci to zrobić — rzekła z błyszczącymi oczyma. — Myślałam o tym przez całą kolację. To coś w rodzaju pożegnalnego prezentu.

— Jeśli to miało być pożegnanie, nie mogę się doczekać powitania!

Nie roześmiała się.

— To było pożegnanie. Ani ty, ani ja nie szukamy kłopotów. Dzisiaj oboje śniliśmy sen, fantastyczny sen... Teraz musimy wrócić do rzeczywistości.

— Żartujesz? — Chwytał ją za ramiona. — Kochasz tego starucha, za którego wyszłaś, czy wyszłaś za niego dla pieniędzy?

— Nie twoja sprawa — ucięła. — A skoro już zadajemy pytania, dlaczego ożeniłeś się z Olympią? Urzekła cię jej słoneczna osobowość? A może raczej astronomiczne konto w banku?

Przytrzymał ją mocno, a kiedy odchyliła głowę, odszukał ustami jej pierś.

— Nie! — zaprotestowała.

— Tak — odrzekł stanowczo. — O tak...

Zatraciła się w jego ramionach. Coś się z nią działo. Ogarnęła ją namiętność, jakiej nie odczuwała od czasów Marca. A Marco nie żył od pięciu lat...

Była dziwnie przestraszona, jednocześnie ożywiona. Wystarczyło, że ją przytulił i straciła cały rozsądek. Chciała tylko jednego: znowu poczuć go w sobie.

Kapitan Pratt przykucnął na górnym pokładzie i omal nie wypadł za burtę. Bogacze! Niczym nie różnili się od

419

zwykłych śmiertelników. Ciekawe, co na tę niewinną przygodę powiedziałyby pan Stanislopoulos?

Cóż mógłby powiedzieć? Po południu zamknął się w gabinecie z tą brzydką Franceską Fern, zaciągnął story, wywiesił na drzwiach tabliczkę z napisem NIE PRZESZKADZAĆ i siedział tam z nią ponad godzinę. Nic dziwnego, że ma napaloną żonę — stary Grek pewnie nie daje rady jej zadowolić, bo cały czas zadowala swoją przyjaciółkę.

Kapitan Pratt wstał i otrzepał mundur. Zastanawiał się, ile mógłby dostać za te pikantne opowieści. Angielskie czasopisma uwielbiały skandale i plotki, zwłaszcza te dotyczące miliarderów i miliarderek. „News of the World” albo „Sunday Mirror” zapłaciłyby za coś takiego fortunę. Nie wspominając już o takich gazetach jak „Enquirer” czy „Star”.

Tak. Kapitan Pratt doszedł do wniosku, że na emeryturze czeka go złote jajo.

— Jesteśmy szaleni — powiedziała Lucky, szukając porozrzucanych fragmentów garderoby i z trudem je nakładając. — Kompletnie szaleni. Przecież ktoś mógł nadejść. Na jachcie roi się od służby. Jesteśmy szaleni. Naprawdę.

— Nie musisz tego powtarzać. Przekonałaś mnie. Spojrzała na niego wyzywająco.

— To seks, to tylko seks. Wiesz o tym, prawda? Wytrzymał jej spojrzenie i odparł:

— Nie wiem, jak twoje, ale moje małżeństwo skończyło się, zanim się na dobre zaczęło. Ożeniłem się z Olympią po zwariowanej nocy w Las Vegas. Dasz wiarę, że ślub wzięliśmy w Kaplicy Miłości i Szacunku? W tej manufakturze, która funkcjonuje dwadzieścia cztery godziny na dobę? Kiwnęła głową.

— Dobrze to miejsce znam. Tancerczki i szansonistki ciągną tam wszystkich facetów, którzy wygrali w oko więcej niż sto dolarów.

— Można by powiedzieć, że ja też wygrałem, ale to nie tak. Byłem narąbany, dochodziłem do siebie po tym, jak

420

rzuciła mnie dziwka stulecia i chciałem siebie zniszczyć. Rozumiesz?

— Zaczynam.

— Myślę, że jesteś kobietą, jakiej szukałem przez całe życie. Tylko że zwiodło mnie milion blondynek.

— Wspaniały seks nie musi być synonimem wspaniałego związku — zauważyła roztropnie.

— Ale jest na pewno lepszy niż zły seks.

— To prawda.

— Mówię tylko prawdę.

— Kiedy to ci odpowiada.

— Co to znaczy?

— Daj spokój, Lennie. Podrywacz z ciebie i playboy. Nawet nie jesteś w moim typie.

— A kto powiedział, że ty jesteś w moim? Wy buchnęli śmiechem. Leciutko dotknęła jego policzka i nie mogła się powstrzymać przed wypowiedzeniem słów, które cisnęły się jej na usta.

— Lennie, nie wiem, co się tu dzieje, ale myślę, że coś się dzieje.

— To jest jak piorun — odparł.

— Jak błyskawica.

— To nie tylko seks.

— Nie.

— To coś więcej.

— Coś więcej.

— O wiele więcej.

— Wyjąłeś mi to z ust.

— A nawet się nie znamy.

Popatrzyła na niego. Skąd nagle tyle uczuć? Nim zdążyła cokolwiek

powiedzieć czy zrobić, wpadła na nich Alice z Horacym.

— Och! — wykrzyknęła przestraszona i akcentując słowa lekką czkawką, spytała: — Co wy tu robicie?

Horacy niespokojnie zaszurał nogami.

— Gramy w tenisa — rzekł oschle Lennie. Alice zachichotała.

— St Troopo to cudowne miasto — zaszcebiotała i znowu czknęła. — Takie... tropikalne.

421

— St Tropez — mruknęła Lucky.

— Horacy oprowadza mnie po jachcie. — Alice zachwiała się lekko i przytrzymała relingu.

— To miło z jego strony — odparł kpiąco Lennie.

— Chodź, Horacy — rzuciła kokieteryjnie Alice. — Chcę zobaczyć szalupy ratunkowe. Nie umiem pływać, więc muszę sprawdzić, czy wszystko działa, jak należy. — Zanosząc się piskliwym śmiechem, pociągnęła za sobą niechętnego Ferna.

— Moja matka — burknął posepnie Lennie. — Ostatnia z wielkich birbantek wszechczasów.

— Wprawia cię w zażenowanie?

— Jestem na to za stary.

— Ile masz lat?

— Trzydzieści. A ty?

— Za dwa dni ja też przekroczę ten znamienity próg. To oficjalny początek dorosłości, prawda? Dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć i... koniec z frywolnością.

— Iz dmuchankiem pod gołym niebem, he?

- Nie robię tego nałogowo. Położył jej ręce na ramionach.
- Co my zrobimy, Lucky?
- Na moje urodziny?
- Nie wygłupiaj się. Niecierpliwie wzruszyła ramionami.
- Nie zamierzam przez ciebie wszystkiego psuć. Powiedziałam ci, co myślę. Pożegnamy się, jakby nic się nie stało.
- Tak po prostu, co?
- Jeśli ty to zrobisz, ja zrobię to na pewno. Bez trudu.
- Ach, już rozumiem — rzucił jadowicie. — To twoje lekarstwo na wszystkie kłopoty, tak? Po prostu trzeba wymazać to z pamięci, i po krzyku. Czy właśnie dlatego kazałaś wyrzucić mnie z „Magiriano”? Żebyś mogła udawać, że do niczego między nami nie doszło?
- A co miałam zrobić? Zatrzymać cię, żebyś ciągle przypominał mi o czymś, czego nie było?
- Nie skreśla się człowieka tylko dlatego, że nie chciał się z tobą przespać.
- Obejdę się bez wykładu, dziękuję.

422

- Próbuję cię czegoś nauczyć.
- Mnie? — Podniosła głos. — Chcesz mnie czegoś nauczyć? Ha!
- Nie krzycz.
- Kto tu krzyczy? — wrzasnęła.

Cichy pomruk silnika motorówki zapowiadał rychły powrót klubowiczów.

- Chryste! — wykrzyknął z odrazą Lennie. — Kiedy znowu cię zobaczę?
- Jutro. Na śniadaniu. Na lunchu. I na kolacji. Nie sposób tu kogoś

uniknąć. Chyba że któreś z nas da stąd nogę.

— Wiesz, o co mi chodzi. Już szła w stronę schodów.

— Dałam ci pożegnalny prezent, Lennie. Zostawmy to tak, jak jest.

Oboje czuli, że to niemożliwe.

76

Eden zamierzała zakończyć wieczór w zmysłowych ramionach Vitosa Felicidade. Skoro już postanowiła zbłądzić, równie dobrze mogła zbłądzić z popularnym hiszpańskim kochankiem. Jednak czasami nawet najlepsze plany biorą w łeb i w miarę upływu czasu stwierdziła, że coraz bardziej pociąga ją Quinn Leech. Miał pięćdziesiąt lat, długą, gęstą brodę, wygląd chodzącego kościotrupa, lubieżne ślepia i nachalne łapy. Ale był reżyserem filmowym, a to poważna zaleta. Widziała kilka jego filmów, dziwnych komercyjnych thrillerów z więcej niż pokaźną dawką seksu i przemocy. Uwielbiał rozrywać kobiety na strzępy — na ekranie. Feministki uwielbiały rozrywać na strzępy jego — w prasie. Ostatnie dwa filmy okazały się kompletną klapą finansową. Kiedyś był „młodym, modnym reżyserem”. Teraz dreptał w miejscu, czekając na kolejny przebój. Wytwórnice filmowe niechętnie go widziały, więc kiedy jego stary przyjaciel Ryder Wheeler zaproponował mu nakręcenie obrazu finansowanego „przez mętne, aczkolwiek wpływowe źródła”,

423

Leech natychmiast się zgodził. Co go obchodziło, kto wyklada szmal?

Ryder ostrzegł go już na samym początku.

— Trzymaj się z dala od przyjaciółki Bonnattiego — powiedział. — Nie gryź ręki, która cię karmi.

Ale Quinn nie lubił, jak mu się rozkazywało.

Wytoczyli się z „Chasens” przed północą. Vitos wsiadł do limuzyny z menadżerem i grzecznie pożegnał się z Eden i Quinnem.

— Dupek! — mruknął Quinn, kiedy limuzyna odjechała Beverly Boulevard.

— Nie lubisz go? — spytała Eden.

— Co tu jest do lubienia? To głupi goguś.

Postukała długimi paznokciami w swoją małą, złotą torebkę, czekając, aż złoży jej propozycję. Zdążyła już postanowić, że ją przyjmie.

— Gdzie twój samochód? — spytał.

— Nie pamiętasz? Odesłaliśmy kierowcę.

— Ty odesłałaś kierowcę.

Podjechał parkingowy w czarnym porsche.

— Możesz mnie podwieźć? — spytała szybko.

— Przewiozę cię do samego raju! — odrzekł chętnie. Mieszkał w Hollywood Hills, na Laurel Canyon. Dom tonął w czarnej skórze i w gąszczu tropikalnej roślinności.

Quinn pociągnął z butelki Chivasa, zerwał z siebie ubranie, zażądał, żeby się przed nim rozebrała — bardzo, ale to bardzo powoli — no i nie chciał mu stanąć.

Zaproponował środek zastępczy: czarny, superwszech-stronny wibrator pieczołowicie przechowywany w czarnej, skórzanej pochwie. Oraz towarzystwo mieszkającej z nim dziewczyny, która spała na górze.

— Na mnie nie licz — odrzekła obrażona Eden i wezwała taksówkę.

Kiedy wychodziła, chrapał na kozetce. Nie mogła zrozumieć, dlaczego wybrała jego, a nie Vitosa. W domu czekał na nią Zeko.

— Szef przetrzepie pani skórę — zakrakał, pocierając łysinę.

— O ile mu powiesz — odrzekła krótko. — A jeśli mu

424

powiesz, będę zmuszona wspomnieć Santinowi, że kiedy się kąpię i ubieram, włączysz w krzaki za oknem i walisz sobie konia.

Groźba poskutkowała. Zeko nie pisnął ani słowa.

Nazajutrz powiedziała Santinowi, że została na kolacji w „Chasens”.

— Dlaczego to zrobiłaś? — Zadrzały mu mięśnie policzka. — Kazałem ci wracać.

— Zrobiłam to dla ciebie — odrzekła spokojnie, postanawiając, że jeśli ten sukinsyn nie zagwarantuje jej głównej roli, natychmiast go zostawi. — źle by to wyglądało, gdybym wyszła. Jakby nas to nie obchodziło.

Santino wybałuszył złe ślepie.

— Jak każę ci coś zrobić, to masz to zrobić. Jasne? Za kogo się ty uważasz? Za moją współpracowniczkę?

— Quinn Leech powiedział mi, że zmieniliście scenariusz, że film ma teraz tytuł „Piosenkarz” — odrzekła spięta.

— A więc powiedział ci, co?

— Tak, powiedział.

— Pieprzony wypierdek. Ma za długi jęzor.

— Dlaczego ty mi nie powiedziałaś? — Papatrzyła na niego oskarżycielsko.

— Mam ci mówić o wszystkich duperelach?

— Zmianę scenariusza i zmianę tytułu filmu trudno nazwać duperelą.

Santino zaczął krążyć po salonie.

— Głupia klapstra — prychnął. — Musi mi tu zrzędzić. W chałupie mi zrzędzą. Tu przychodzę odpocząć.

Eden nie była pewna, jak daleko może się posunąć. Ale skoro go zaskoczyła, dlaczego nie miałyby pójść na całość?

— Chcę przeczytać ten nowy scenariusz — zażądała. — Chcę zobaczyć, co się stało z moją rolą. Obiecywałeś, że to będzie mój film, że na nim wypłynę. Quinn Leech nie wie nawet, że mam zostać gwiazdą.

Pierwszy cios trafił ją w policzek.

— Ty sukin... — Nie dokończyła. Drugi cisnął ją na podłogę.

— Nie rozkazuj mi — warknął Santino. — Kazałem ci wczoraj wziąć dupę w garść i wracać do chałupy. Ale nie,

425

nie mogłaś tego zrobić. Musiałaś zostać, zadawać pytania i zrobić ze mnie kretyna siedzącego pod pantoflem głupiej szpuli. Pograj tak jeszcze raz i wyrzucę cię na zbity pysk. Rozplakała się, choć nie z bólu, a raczej z frustracji i złości.

— Może właśnie tego chcę — wyszlochała. — Może chcę od ciebie uciec.

Spiorunował ją spojrzeniem małych, złośliwych oczu.

— Pójdiesz won, kiedy ci każę — odrzekł powoli. — Dopiero wtedy.

77

Dimitri chciał wydać przyjęcie. Wielkie przyjęcie. Lucky nie wiedziała, czy to wyrzuty sumienia czy coś innego, ale nie było sposobu na powstrzymanie go od zorganizowania uroczystych obchodów urodzin.

Doszła do wniosku, że nie pozostaje jej nic innego jak zgodzić się na przyjęcie, a potem wyjechać. Gino miał wkrótce dostać telegram wzywający go do Nowego Jorku w sprawach służbowych.

— Pojedziesz ze mną — zapowiedział. — Powiesz, że mamy spotkanie z

prawnikami, że chodzi o Vegas.

Chciała stamtąd uciec. Przedtem było źle, ale teraz, kiedy doszły komplikacje z Lennie, było po prostu nie do wytrzymania. Dlaczego życie nie mogło być proste jak kiedyś? Dlaczego patrzyła na Lenniego i czuła, że mogłaby fruwać jak ptak? Dlaczego, spojrzawszy na niego pięć minut później, nie chciała go widzieć na oczy? Nie rozumiała, co się dzieje. Lennie Golden nie był w jej typie. To seks, tylko seks. Mimo to... Myślała o Marcu, o wspaniałej, niezapomnianej nocy, jaką razem spędzili. Potem go zamordowano. Już nigdy więcej nie chciała doświadczyć tak głębokiej rozpacz i zaznać tak wielkiej straty.

Zresztą Lennie i tak należał do Olympii. Do pulchnej, drażliwej Olympii, która traktowała ją jak jedną z przelotnych kochanek Dimitriego, a nie jak jego żonę. Próbowwała porozmawiać z nią na osobności, lecz Olympia usadziła ją jadowitym:

426

— Jak byś się czuła, gdybym poszła do łóżka z twoim ojcem?

Lucky musiała przyznać, że pomysł był odrażający.

Nie omieszkała też zauważyć, że Olympia zawzięcie flirtowała z Ginem, gdy tylko znalazła ku temu sposobność. Gino nie zwracał na nią uwagi.

Jacht płynął do Cannes, gdzie miało się odbyć przyjęcie. Lucky leżała nad basenem, obserwując, jak Cee Cee uczy Roberta pływać. Brigitte podskakiwała i chlapała mu wodą w twarz. Gdy Cee Cee kazała jej odejść, dziewczynka zaczęła ją wyzywać.

— Brudna czarna świnia! — krzyknęła. — Brudna! Brudna! Brudna!

Lucky zerwała się na równe nogi i dała jej klapsa w pupę. Przerazona Brigitte spojrzała na nią i nagle zaniosła się głośnym udawanym płaczem.

— Przestań — skarciła ją Lucky. — Nie ma tu publiczności.

Szloch gwałtownie ustał.

— Nienawidzę brudnych czarnych ludzi — wycedziła zjadliwie Brigitte.

— Dlaczego? — spytała spokojnie Lucky.

— Bo... bo... bo... — Wykrzywiła swoją śliczną twarzyczkę. — Bo mama ich nienawidzi! — dokończyła triumfalnie.

— To jeszcze nie powód. Dziewczynka zaczęła ssać kciuk.

— Jesteś na to za duża! — wykrzyknęła Lucky.

— Nie jestem! Mogę robić, co chcę.

— Brudna świnka! — zaintonowała śpiewnie Lucky. — Brudna świnka!

Brudna świnka!

Naburmuszona Brigitte łypnęła na nią spode łba.

— Nienawidzę cię.

— Nieprawda — odrzekła wesoło Lucky. — Po prostu mnie nie rozumiesz.

Brigitte wróciła na drugi koniec basenu, gdzie siedziała niania Mabel z drutami do dziania w rękach.

— Zepsuty brzdąc — mruknęła Cee Cee.

— Raczej zaniedbany — stwierdziła Lucky. — Nie widziałam, żeby Olympia poświęciła jej choć odrobinę uwagi.

427

Od czasu do czasu daje jej klapsa, jak małemu szczeniacz-kowi. To dziecko rozpaczliwie doprasza się czułości.

— Już ja się do niej poczulę — utyskiwała zwykle uśmiechnięta Cee Cee.

— Przetrzepię jej pupę, ot co!

— Już to zrobiłam. Ale to nie odniesie żadnego skutku. Ona potrzebuje

miłości.

Na chwilę wróciła pamięcią do swego dzieciństwa. Dobrze wiedziała, jak to jest być samotną i nie kochaną.

Ona jakoś przeżyła. Obeszła się bez psychoanalityka, ale wyraźnie widziała, że jeśli Brigitte nie otrzyma pomocy, będzie miała kłopoty.

W porze lunchu przyszedł Lennie. Wymienili gorące spojrzenia, ale tuż za nim przylazła Olympia. Jakby wyczuła, że atmosfera jest przesycona elektrycznością i za nic nie chciała dopuścić do gwałtownego wyładowania. Powitała Lucky obojętnym: „Jak się masz”, posłała całusa Brigitte i ruszyła na górny pokład.

— Chodź — zawołała do Lenniego.

— Chcę trochę popływać — odrzekł.

— Popływasz po lunchu — rozkazała niecierpliwie.

— Popływam teraz.

— Jak chcesz. Tylko się pospiesz. — Zniknęła im z oczu. Spojrzał na Lucky.

— Jak się miewasz? — spytał.

Popatrzyła na niego i od razu utonęła w jego leniwie zielonych oczach.

— Dobrze.

Szybko ogarnął wzrokiem basen. Dwie nianie i dwoje dzieci.

— Chyba za tobą tęsknię — powiedział cicho. Brigitte wygramoliła się na brzeg, podbiegła do Lenniego

i zaborczo przywarła do niego mokrym ciałem.

— Lubisz czarnych ludzi? — spytała głośno. Cee Cee zerknęła na nią z ukosa.

Lennie błyskawicznie ocenił sytuację.

— Lubię ludzi zielonych, pomarańczowych, grubych i chudych. Czarnych ludzi też lubię, oczywiście. A ty?

Rozdziawiła usta.

— Nie wiem. — Miała nadzieję, że Lennie stanie po jej

428

stronie. — Umiesz pływać pod wodą? Nauczysz mnie? — poprosiła.

Spojrzał na Lucky. Bawiła się z synkiem na płyciźnie.

— Chodź, ślicznotko — powiedział, podrzucając Brigitte do góry. —

Nauczę cię, jak być rybą, chcesz?

Zapiszczała podekscytowana, wyszarpnęła mu się i z głośnym plaskiem wskoczyła do wody.

— Pospiesz się! — rozkazała. — Pospiesz się! Pospiesz się!

Wziął rozpęd, wskoczył do basenu, przepłynął go pod wodą i wynurzył się po drugiej stronie tuż koło Brigitte. Gdy chichocząc usiadła mu na ramionach, zaczął obnosić ją wzdłuż brzegów.

— I mnie! — krzyknął Roberto. — I mnie! I mnie! Lennie zrzucił Brigitte i wziął chłopca na barana.

— Tylko ostrożnie — przestrzegła go Lucky.

— Moja pani. — Puścił do niej oko. — Jestem fachowcem od dzieci.

Spotkali się wzrokiem i poczuli, jak przepływa między nimi fala ciepła.

Lucky nie była pewna, co się dzieje. Myślała, że chodziło tylko o seks, o czysty seks. W takim razie dlaczego widok Lenniego tak bardzo ją ekscytował? Dlaczego leciutko drżała?

Przecież nie był nawet w jej typie. Zupełnie nie przypominał Marca. Miał płowe włosy i wyglądał bardziej jak Redford niż jak Pacino. A oczy miał zielone, zabójczo zielone...

Obserwowała, jak bawi się z dziećmi. Krzyczały, śmiały się głośno, a on sprawiedliwie dzielił uwagę między jedno i drugie. Podrzucił Roberta do góry i dziecko zanosło się niepohamowanym chichotem. Dimitri miał mało czasu na zabawę z synkiem. Za to mnóstwo czasu dla madame Fern. Zmarszczyła brwi. Ze wszystkich błędów, jakie popełniła w życiu, poślubienie Dimitriego było chyba największym.

Noc była cudowna, bezwietrzna i sucha, a na czystym niebie lśniły miriady gwiazd. Jacht udekorowany tysiącami

429

kolorowych lampek wyglądał niesamowicie. Na dolnym pokładzie ustawiono stoły dla stu gości, a górny przeznaczono dla pięcioosobowego zespołu, który grał romantyczne ballady i delikatnego rocka.

Tuż przed przybyciem pierwszych gości z miasta Dimitri dwornie wręczył jej urodzinowy prezent: kwadratowe skórzane puzdro z inicjałami Van Cleefa i Arpela. W środku, na aksamitnej wyściółce, spoczywał okazały naszyjnik z wielkimi brylantami i lśniącymi szmaragdami oprawionymi w białe złoto oraz wiszące kolczyki do kompletu.

— Boski — wymruczała z zachwytem contessa, która знаła się trochę na klejnotach.

— Uroczy! — westchnęła Susan, dochodząc do wniosku, że w porównaniu z prezentem Dimitriego prezenty Giną są marną tandetą.

— O rany! — To Fluff. — Tęgi kaliber!

— Jest piękny — wykrzyknęła Lucky, wyjmując naszyjnik z puzdra. — Dziękuję, kochanie. — Cmoknęła go w policzek. Dimitri uśmiechnął się do zgromadzenia.

Francesca przeszyla go wzrokiem.

Olympia odęła wargi.

Lucky otworzyła następne prezenty. Dwie ciężkie srebrne ramki od contessy i Sauda. Podróżny budzik ze szczerego złota od Jenkinsa i Fluff. Brzydka jedwabna i o kilka numerów za duża bluzka od Fernów. Olympia nie dała jej nic. Kaszmirowy sweter od Susan i małe skórzane pudełko od Giną.

— Sam wybrałem — mruknął zażenowany. — Jeśli ci się nie spodoba, nie musisz tego nosić.

Powoli otworzyła pudełeczko; Gino nie pamiętał o jej urodzinach od lat. Zawierało broszę w kształcie pantery, wysadzaną brylantami, rubinami i szmaragdami o szlifie kabazonowym. Był to najsubtelniejszy klejnot, jaki kiedykolwiek widziała. Bardzo oryginalny, akurat w jej stylu.

— Jest przepiękna — powiedziała cicho, zachwycona, że Gino sam ją wybrał. — Po prostu cudowna! Bardzo mi się podoba! — Objęła go i mocno uścisnęła.

— Kocham cię, dziecino — szepnął. — Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin.

430

Wkrótce potem zaczęli przybywać goście, z których większość też przyniosła prezenty; utworzyły wielki stos i Lucky miała otworzyć je później.

Tego wieczoru wystąpiła w sukni z pąsowego jedwabiu, długiej do ziemi i rozciętej z przodu, którą ozdobiła naszyjnikiem i kolczykami od Dimitriego oraz broszą od Giną. Mocno opalona, z włosami upiętymi w kok na czubku głowy wyglądała tajemniczo i egzotycznie. Krążyła między gośćmi. Odgrywała swoją rolę. Była panią Stanislopoulos w każdym calu,

choć zdawała sobie sprawę, że pozycję tę zajmuje tylko chwilowo.

Lennie trzymał się na uboczu i obserwował. Fantazja stała się rzeczywistością i ciągle zadręczał się myślami o Lucky.

Podszedł do niej, gdy stanęła przy barze, by pogрузić się w nudnej rozmowie z wypielęgnowaną blondyną, która miała na sobie milion dolarów w brylantach.

— Tęsknię za tobą — szepnął jej do ucha. Zadrżała w oczekiwaniu.

Blondyna odeszła.

— Jestem napalony, samotny i spieprzony — mówił. — I nie uwierzysz, ale chyba się zakochałem.

— W kimś, kogo znam? — spytała lekko. Dotknął jej ramienia.

— A ty? — spytał.

— Ja jestem mężatką — odparowała beznamiętnie. — A ty masz żonę.

— Odchodzę od niej — odrzekł szybko. — Zaraz po powrocie. A co z tobą i Dimitrim?

— Nie wiem — odparła szczerze.

— Co znaczy nie wiem? Chyba się z nim rozwiedziesz? Była urażona. Po co wtykał nos w nie swoje sprawy?

— Nie sędzę, bym kiedykolwiek wspominała, że zamierzam to zrobić — odrzekła zimno.

Pogardliwie dotknął naszyjnika.

— Te świecidełka utrudniają podjęcie decyzji, co? Nagle ogarnęła ją wściekłość.

— Sugerujesz, że chcę z nim zostać dla pieniędzy?

— Daj mi lepszy powód.

— Pocałuj mnie gdzieś! — wybuchnęła.

Nie chciał, żeby się na niego gniewała.

— Chętnie.

Nie zamierzała tego ciągnąć.

— Spadaj, dupku.

Podesza do nich Olympia. Zaczerwienione policzki, wielki biust rozpychający żółtą, mocno wydekoltowaną suknię — wyglądała jak przejrzały banan. Była zaćpana — ale zadziorna. I wlana — ale nieszczęśliwa.

— Przypadliście sobie do gustu, co? — wybełkotała. — O czym gadacie?

— O niczym istotnym — odrzekł Lennie.

— Nazwała cię dupkiem. — W małych oczach Olympii rozbłysły iskierki zazdrości. — Musieliście rozmawiać o czymś ważnym.

— Opowiedziałem jej kiepski dowcip.

— Wszystkie twoje dowcipy są kiepskie.

— Wielkie dzięki.

— Jesteś marnym komediantem. Widziałas go na scenie, Lucky? Jest fatalny. — Zachichotała.

Nie wiedzieć czemu, Lucky stanęła w jego obronie.

— Owszem, widziałam — wypaliła — i uważam, że jest błyskotliwie nowatorski.

— Gdzie go widziałas? — spytała buńczucznie Olympia.

— Miałam kiedyś hotel w Las Vegas. Lennie tam występował.

— Więc spotkaliście się przedtem? Odpowiedzieli jednocześnie.

— Tak. — To Lucky.

— Niezupełnie. — To Lennie.

— No i co? Przespaliście się z sobą? — zadrwiła Olympia w przebłysku pijackiej przenikliwości.

— Jesteś wlana — powiedział Lennie, obejmując ją ramieniem.

Wyszarpnęła się.

— Nie odgrywaj troskliwego mężulka tylko dlatego, że trafiłam w dziesiątkę. Tak, pewnie ją przeleciałeś. Różnęła wszystko, co się ruszało i miało na sobie spodnie.

— Przypuszczam, że mówisz o sobie — zauważyła lodowato Lucky.

432

— Nigdy nie musiałam się za tym rozglądać — wycedziła Olympia. — Pamiętam, kiedy zwiałyśmy ze szkoły i wylądowałyśmy na południu Francji. Nikt na ciebie nawet nie spojrzał. Stałaś na głowie, a i tak nie podłapałaś żadnego chłopaka.

— Nie wiedziałem, że chodziłyście razem do szkoły — wtrącił Lennie, chcąc zmienić temat.

— Zamknij się, dupku — rzuciła wściekle Olympia. — Chyba wolno mi nazywać cię dupkiem, prawda? — dodała zgryźliwie. — A może to tylko przywilej małej Lucky Saint?

Przeszył ją spojrzeniem, które mówiło więcej niż słowa, i odszedł.

— No to jak? — spytała wojowniczo Olympia. — Przeleciałaś go?

— Gdybym go przeleciała, to i tak bym ci o tym nie powiedziała — odrzekła chłodno Lucky. — A gdybym go nie przeleciała, też byś się o tym nie dowiedziała. — Odwróciła się do niej plecami i zniknęła w tłumie rozbawionych gości.

— Nadęta suka! — wrzasnęła za nią Olympia. — Wszystko o tobie wiem. Wiem, z jakiej rodziny pochodzisz. Myślisz, że nabierzesz mnie tymi

fochami i manierami? Jesteś zwykłą ulicznicą, jak ten gangster, twój ojciec!

— Olympio! — Srogi głos, ciężka ręka na ramieniu. — Nie przynos "sobie wstydu. Wrócisz do kabiny i zostaniesz tam dopóty, dopóki będziesz mogła pokazać się ludziom. — Twarz Dimitriego była niczym chmurna maska. Wezwał służącą. — Odprowadź pannę Stanislopoulos do kajuty i napój ją kawą, aż wytrzeźwieje. Nie będę tolerował takiego zachowania.

Olympia potulnie wyszła. Potrzebowała czegoś więcej niż skręta i paru kieliszków szampana — potrzebowała kokainy, i to bardzo.

78

W Nowym Jorku było gorąco. Na ulicach przewalały się tłumy turystów, a stali mieszkańcy miasta wytrzymywali upał tylko dzięki klimatyzacji.

Kancelaria Myersona,

433

Lakera i Brandona mieściła się w szykownym gmachu na Park Avenue. Stevenowi przydzielono wielki narożny gabinet ze wszystkimi domowymi wygodami. Miał tam lodówkę, telewizor, magnetowid, wieżę stereo i dyktafon.

— Trzeba się trochę odprężyć — rzucił wesoło Jerry. — Zawsze uważałem, że dobre warunki pracy czynią dobrego pracownika. — Jego gabinet przypominał mieszkanie z małą, kuszącą sypialenką, z której mógł skorzystać, ilekroć chciał zostać na noc.

— Wiesz — uświadomił Stevena Sam Laker, jeden ze współników — Jerry urządził tam sypialnię na wszelki wypadek.

— Ja to?

Sam mrugnął do niego porozumiewawczo.

— Na wypadek, gdyby musiał zabawić klientkę. Stven pomyślał, jak bardzo różni jego obecny gabinet od klitki, w której pracował jako zastępca prokuratora okręgowego. Cóż, teraz żył w innym świecie. Teraz miał zarabiać pieniądze, jak Jerry. Do diabła z filantropią.

Jego pierwsza klientka: Mary-Lou Moore. Była ładniejsza niż w telewizji. Miała czarne, sięgające do pasa włosy, brązowe, szeroko rozstawione oczy i obezwładniający uśmiech. Towarzyszyła jej cała świta: matka, ciotka i me-nadżerka w jednej osobie oraz jej chłopak, biały młokos o kędzierzawych włosach, który ciągle strzelał z balonowej gumy do zucia. Po chwili rozmowy o niczym Steven odniósł wyraźne wrażenie, że w ich obecności Mary-Lou nie powie nic.

— Chciałbym porozmawiać z klientką w cztery oczy — powiedział oficjalnie.

Matka spojrzała na ciotkę. Ciotka na chłopaka. Wszyscy razem popatrzyli na Mary-Lou, która wyraziła zgodę skinieniem głowy. Kiedy zamknęli za sobą drzwi, Steven przeszedł do rzeczy.

— Opowiedz mi o tym.

Wzruszyła ramionami, siłąc się na dorosły spokój. Ale kiedy zaczęła mówić o zniewadze, jakiej doznała, o ponizeniu i o furii, w jaką wpadła, widząc swoje nagie zdjęcia, wyszła z niej toporna nastolatka.

434

— Szubrawcom, którzy wydają to czasopismo, nie powinno się takiego numeru darować — wybuchnęła. — Dobra, byłam idiotką, że pozowałam do tych zdjęć, ale miałam wtedy piętnaście lat i wyglupiałam się ze swoim

chłopakiem. Skąd mogłam widzieć, że je zatrzyma i sprzeda? —

Zawzięcie poruszyła podbródkiem. — Chcę ich zaskarżyć.

— To potrwa.

— Wszystko jedno.

— Wynajmą adwokatów, a ci będą próbowali skompromitować cię na wszelkie możliwe sposoby.

— Jestem na to przygotowana.

— Będziesz musiała składać zeznania, znosić ciągłe odroczenia, wreszcie staniesz przed sądem.

— Właśnie tego chcę.

— Rozpoczynamy długą podróż. A kiedy wsiądziemy do pociągu, to już z niego nie wysiądziemy.

— No to wsiadajmy. Na co czekamy!

Po jej wyjściu obejrzał czasopismo, które mieli zaskarżyć — luksusowo wydawanego szmatławca zatytułowanego „Spermen”. Zdjęcia jego klientki zajmowały sześć stron. Było widać, że nie są dziełem zawodowca, ale ktokolwiek uwiecznił piętnastoletnią Mary-Lou, odwalił kawał porządnej roboty.

Znał nazwisko jej chłopaka sprzed lat, znał nazwiska wydawców i dystrybutorów. Uważał, że ma wystarczająco dużo materiału, żeby wytoczyć sprawę im wszystkim.

Anna Robb pracowicie stuknęła na maszynie. Napisała już cztery rozdziały „Księgi urody i stylu Carrie Berkeley”. Dobrze jej szło.

Ziewnęła i przeciągnęła się. Czas na przerwę, postanowiła, wchodząc do salonu manhattańskiego mieszkania, które dzieliła ze swym kochankiem.

Spał na sofie z okularami na czubku nosa, a na podłodze walały się kartki

maszynopisu.

Anna zebrała je i łagodnie go obudziła.

— Zasnąłem — usprawiedliwił się niepotrzebnie.

Spojrzała na zegarek od Cartiera, który kupił jej na gwiazdkę, i zaskoczona stwierdziła, że minęła północ.

435

— Jest późno — powiedziała. — Może napijemy się kakao?

Wstał.

— Nic lepszego nie przychodzi mi do głowy.

— Połóż się. Przyniosę ci do łóżka.

— Nie zapomnij o czekoladowych herbatnikach.

— Jakbym kiedykolwiek zapomniała.

Oglądał końcówkę Tonight Show, gdy weszła do sypialni, niosąc tacę z parującymi kubkami kakao i paczką angielskich biskwitów.

— Siedzę nad książką Carrie Berkeley — powiedziała. Otworzył biskwity.

— No i jak ci idzie?

Przysiadła na brzegu łóżka — mała, drobna kobietka o przeciętnych rysach twarzy i ciepłym uśmiechu.

— Bardzo dobrze. Myślę, że wyjdzie z tego bestseller.

— Mam nadzieję.

— Ale coś ci powiem.

— No?

— Pod tym blaskiem i połyskiem kryje się zupełnie coś innego.

Popatrzył na ekran telewizora.

— Naprawdę? Kiwnęła głową.

— O tak, na pewno. Carrie Berkeley ukrywa swoją prawdziwą przeszłość. Wiesz, że zawsze takie rzeczy wyczuwam.

Skubnął czekoladowego herbatnika.

— Sherlock Holmes z ciebie.

— Nie. Po prostu mam dobry instynkt. No i umiem czytać między wierszami. — Zamilkła, bo jej uwagę przykuło małe, rozbrykane zwierzątko, które treser demonstrował Johnnyemu Car sonowi. —

Chciałabym namówić ją na napisanie autobiografii. Co o tym sądzisz?

— Najpierw zobaczmy, jak wypadnie „Księga urody”.

— Myślisz, że Carrie zgodzi się jeździć na promocyjne spotkania autorskie?

— Nie wiem.

Anna uśmiechnęła się tajemniczo.

436

— Mógłbyś ją do tego nakłonić — powiedziała. — Podobasz się jej.

— To znaczy?

— Znowu odzywa się mój słynny instynkt. Spytała mnie, czy jesteś żonaty. Odpowiedziałam, że mieszkasz z jakąś kobietą. — Roześmiała się cicho. — Nie zdradziłam jej, że ze mną.

— To śmieszne. Dlaczego uważasz, że się jej podobam? Rozbawiona uniosła brew.

— Czyżbym wykryła obopólne zainteresowanie? To go wzburzyło.

— Czasami wyłazi z ciebie głupia baba. Przecież ona musi dobijać siedemdziesiątki!

— Ty też — zauważyła Anna.

— Co za bzdura — mruknął.

— Cieszę się, że tak uważasz. — Dokończyła kakao i poszła do łazienki, żeby przygotować się do snu.

Fred E. Lester patrzył tępo na ekran telewizora, nie widząc ani błazeństw pana Carsona, ani komicznych sztuczek śmiesznej małpki. Cofnął się myślą wiele, bardzo wiele lat wstecz...

Freddy, świeżo upieczony absolwent college'u, był wyszczekany chłopakiem o skłonnościach do alkoholu. Miał już wakacje i jego przyjaciel Mel Webster umówił go na randkę w ciemno. Dziewczyna imieniem Carrie była piękna i czarnoskóra. Zaszokowało go, że Mel ustawił go z Murzynką. Rodzina Lestera pochodziła z Południa.

— Chryste, człowieku! — syknął. — Przecież to pieprzona czarnucha!

— I co z tego? — odrzekł Mel. — Nigdy nie słyszałeś o czekoladowym budyniu?

Czemu nie? — pomyślał Freddy. Czemu nie?

Pamiętał niewiele więcej. Ten klub, tamten, potem jeszcze inny, mnóstwo wódy, podniecająca świadomość, że wkrótce prześpi się z kolorową dziewczyną, morze szampana i tęgi rausz.

Następny obraz z przeszłości? On, Mel i dziewczyna Mela

437

w drodze do jakiegoś mieszkania na poddaszu. Było duże, z dwoma łózkami pod przeciwległymi ścianami. Mel zaczął hasać z dziewczyną na jednym, on padł na drugie i zasnął. Zdawało się, że już kilka minut później Carrie szarpnęła go za ramię i obudziła. Wyglądała tak pięknie, a on był taki napalony. Dlaczego nie robili tego samego, co Mel ze swoją dziewczyną?

Stawiała zaciekły opór, ale był silniejszy, więc w końcu legia pod nim

bezradna i unieruchomiona. Wiedział, że ją gwałci, mimo to nie przestał. Co za różnica? Dostała to, czego chciała, czego chciały wszystkie baby. Kiedy skończył, zażądała pieniędzy. Był zły, cisnął jej wszystko, co miał, wziął kluczyki do samochodu śpiącego Mela i wyszedł chwiejnie z mieszkania.

Ulice były opustoszałe, więc dał po garach, żeby jak najszybciej dotrzeć do domu i zmyć z siebie odór czarnej dziwki. Jechał nieostrożnie, nie zwracał uwagi na innych, więc skręciwszy za róg, wylądował po drugiej stronie ulicy i zderzył się czołowo z ciężarówką.

Następną rzeczą, jaką pamiętał, była chwila ocknięcia się ze śpiączki kilka miesięcy później. Leżał w szpitalu, a jego twarz przypominała skomplikowaną mapę drogową. Miał przerażające blizny, ale rodziców stać było na najlepszych chirurgów plastycznych. Wiele miesięcy to wychodził, to wracał do szpitala i cały ten czas miał przed oczyma twarz Carrie. Zgwałcił ją. Dlatego poniósł karę.

To wydarzenie odmieniło jego życie.

Minęły lata. Ożenił się z dobrą kobietą, która urodziła mu dwoje ślicznych dzieci. Założył małą firmę wydawniczą i w miarę upływu czasu przekształcił ją w jedno z najlepiej prosperujących wydawnictw w Nowym Jorku. Pewnego wieczoru w roku 1960 poszedł na bal dobroczynny i wtedy ją zobaczył. Carrie. Mimo że była elegancka i pięknie ubrana, mimo że miała zaczesane do góry włosy i brylanty na szyi i w uszach, natychmiast ją rozpoznał. Powróciły wyrzuty sumienia. Modlił się, żeby go nie pamiętała. Nie pamiętała.

Odczuł niesamowitą ulgę. Nie wiedziała, że jest tym samym smarkaczem, który przed laty tak źle ją potraktował. Kiedy później przemyślał to na

spokojnie, uświadomił sobie, że

438

przecież nie mogła go rozpoznać. Operacje plastyczne bardzo zmieniły mu twarz, poza tym od tamtej pory minęło dwadzieścia lat. On ją rozpoznał, ponieważ twarz Carrie tkwiła w jego pamięci niczym wypalony stygmat. Dowiedział się, kim teraz jest i nie mógł się powstrzymać od śledzenia jej życia na łamach „Vogue'a”, „Harpers” i „Women's Wear Daily”. Carrie była osobistością. Cieszył się z tego.

>

Żona zmarła na raka w 1973. Dorosłe dzieci dobrały sobie odpowiednich partnerów i rozpoczęły niezależne życie. Został sam, był samotny, aż pewnego dnia do jego gabinetu weszła Anna Robb, żeby przeprowadzić z nim wywiad. Żyli z sobą od dwóch lat. Nie był to namiętny romans — bynajmniej nie spodziewał się odkryć w sobie namiętności, nie w tym wieku. Ale pasowali do siebie.

Kiedy Carrie wkroczyła w jego życie po raz wtóry, doznał szoku. Nie przypuszczał, że ją jeszcze zobaczy. Z upływem lat jej nazwisko zniknęło z łam prasy — pamiętał, że ostatni raz wspomniano o niej, kiedy brała rozwód. Potem nie pisano już nic.

Cofnął się myślą czterdzieści dwa lata. „Przecież to pieprzona czarnucha” — powiedział kiedyś jako młody, głupi i przesądny bigot. Jak bardzo się zmienił.

„Podobasz się jej” — powiedziała Anna. Naprawdę jej się podobał?

Naprawdę?

Gdyby dowiedziała się, kim jest, wysłałaby go do wszystkich diabłów.

79

Gino wyjechał pierwszy. Pożegnał się ze wszystkimi nazajutrz po przyjęciu urodzinowym Lucky, wymawiając się pilnymi interesami i zobowiązaniami.

Susan postanowiła zostać.

439

— Nie masz nic przeciwko temu? — spytała zatroskanym głosem wzorowej żony.

— Nie. Baw się dobrze — odrzekł, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie odzyska wolność. Umówili się w Los Angeles za dziesięć dni. Poleciał samolotem do Paryża, potem concordem do Nowego Jorku, gdzie jak zwykle zarezerwował apartament w „The Pierre”. I natychmiast zatelefonował do Los Angeles — do Paige.

— Przylatuj pierwszym samolotem — zakomenderował.

— Nie bądź śmieszny.

— Mam dla ciebie prezent.

— Co?

— Coś, co z apetytem połkniesz!

— Czy ktoś ci mówił, że stary z ciebie rozpustnik? Zachichotał.

— Przyleć pierwszym samolotem.

— Gino...

— Paige, nie dręcz mnie.

— Tylko pod warunkiem, że ty zadręczysz mnie!

— Masz moje słowo. Oddzwoniła godzinę później.

— Przylecę w środę.

— Czemu nie wcześniej?

— Nie narzekaj. Mam na głowie firmę, nie wpominając już o mężu i

rodzinie.

Zadzwoił do Costy w Miami.

— Spotkajmy się — zaproponował.

— Co się dzieje? — spytał Costa.

— Jestem w Nowym Jorku. Dobrze się czuję. Pomyślałem sobie, że warto by było popatrzeć na gęby starych znajomych.

— A gdzie Susan?

— Zostawiłem ją na jachcie Stanislopoulosa. Jest cała szczęśliwa.

— A Lucky?

— Przylatuje jutro. Chwila. — Położył słuchawkę na stoliku, żeby wpuścić kelnera, który przyniósł mu gruby, soczysty stek z frytkami, kawałek czekoladowego tortu

440

i lody — jedzenie surowo zabronione przez Susan, która zawsze pilnowała diety i uważała na cholesterol. Po chwili kontynuował rozmowę z Costą.

— Przylatuj, stary druhu. Zabawimy się.

Costa wygłosił litanie na temat doskwierających mu dolegliwości.

— Mam artretyzm, stawy mnie dobijają, męczy mnie paradentoz... —

— Rozpadniesz się na kawałki później. Jak często bywam w Nowym Jorku, he?

— Bo ja wiem, może kilka dni odmiany dobrze mi zrobi... — myślał głośno Costa i stanowczym głosem dodał: — Dobra, przylecę. Czemu nie? Gino pożarł stek, wymiół do czysta frytki, zjadł lody i tort. Potem beknął z ukontentowaniem i zasnął na kozetce.

Minął kolejny dzień długich, znaczących spojrzeń między nią i Lenniem.

Lucky wiedziała, że musi wyjechać. Może kiedy przestanie widywać go na

co dzień, silny pociąg minie. Boże! Czy właśnie to działo się z kobietą, która od dawna nie miała chłopa?

Zdawała sobie sprawę, choć za nic by się do tego nie przyznała, że nie chodzi wyłącznie o seks. Miała mnóstwo okazji do obserwacji i stwierdziła, że Lennie jest zabawny, serdeczny i że świetnie radzi sobie z Robertem i Brigitte. Pamiętała również z „Magiriano”, że jest niezwykle utalentowanym i błyskotliwym komikiem.

On i Olympia — jakim cudem wylądowali przed ołtarzem? Był zbyt inteligentny, żeby znosić tę kretynekę. Cóż, nawet inteligentni dają się złapać, na szczęście miał na tyle rozumu, żeby chcieć się z tego szybko wycofać.

Wiedziała, że musi zrobić to samo.

— Mam spotkanie z ojcem — oznajmiła Dimitriemu. — Rodzinne interesy. Dokumenty do podpisu i inne sprawy — dodała enigmatycznie. — Muszę natychmiast lecieć do Nowego Jorku.

Dimitri kiwnął głową. Myślami błądził gdzie indziej. Fran-cesca była zazdrosna o brylantowy naszyjnik z kolczykami,

441

który podarował Lucky, i musiał dyskretnie sprezentować jej coś równie — jeśli nie bardziej — cennego.

— Rób, co musisz — odrzekł.

— Roberto zostanie tu z Cee Cee — postanowiła. — Niewykluczone, że za kilka dni wrócę.

Nie miała najmniejszego zamiaru wracać. Rejs pływającym pałacem po Morzu Śródziemnym nie należał do jej ulubionych sposobów spędzania wolnego czasu. Zwłaszcza z Saudem Omarem i Jenkinsem Wilderem na

pokładzie. Nie cierpiała takich mężczyzn. Bogatych, potężnych i szowinistycznych samców. Wyczuwała ich na kilometr.

Więc dlaczego jednego z nich poślubiłaś?

Wydawało się, że Dimitri jest inny. Niestety nie był.

Nie zwracała sobie głowy pożegnaniami. Wątpiła, żeby ktokolwiek z pasażerów za nią tęsknił, nie licząc oczywiście Roberta i Cee Cee. No i Lenniego, ale romansu z Lenniem nie zamierzała kontynuować. Zbyt niebezpieczny teren. Olympia nienawidziła jej i bez tego. Lucky nie chciała pogarszać sytuacji.

— Gdzie Lucky? — spytał Lennie przy kolacji.

— Co cię to obchodzi? — warknęła Olympia. Od ataku furii na przyjęciu była rozdrażniona i zupełnie niemożliwa.

Wzruszył ramionami.

— Nic. Po prostu pytam.

— Interesy wezwały ją do Nowego Jorku — wyjaśnił Dimitri.

— Jakie interesy? — szydziła zgryźliwie Olympia. — Musi kupić nową kieckę?

Dimitri uciszył ją spojrzeniem.

Po kolacji jak zwykle doszło do dyskusji na temat wieczornych rozrywek.

— Chodźmy potańczyć — zaproponowała niecierpliwie Olympia, dopijając brandy i żalując, że nie ma już koki, która mogłaby ją trochę uspokoić.

— Chciałabym pograć — oznajmiła contessa.

Tak więc podzielili się na dwie grupy. Saud, contessa, Jenkins Wilder, Dimitri, Francesca i Susan postanowili

pójść do kasyna, a Lennie wylądował w towarzystwie Olympii i Fluff, które wolały pójść do dyskoteki. Alice i Horacego nie zaprosili ani jedni, ani drudzy.

— Jesteś zmęczony — powiedziała FF swemu nieśmiałemu mężowi. — Lepiej odpocznij.

— Przed pójściem spać strzelimy sobie po kielichu, Horacy — szepnęła lubieżnie Alice, puszczając do niego oko.

— Pilnuj mojej baryłeczki, Lennie — rzucił Jenkins, wciskając kilka tysięcy franków w zachłanne rączki młodej żony. — To na wypadek, gdybyś chciała przypudrować sobie nosek, laleczko.

— Dziękuję, tatuśku — zapiszczała Fluff.

Na nabrzeżu czekały cadillaki, które miały ich zawieźć, gdzie tylko zechcą.

— Do „Regines” — rozkazała Olympia.

Tak więc pojechali do „Regines”, do prywatnego klubu nad brzegiem morza.

— Panna Stanislopoulos — wymruczał maitre d'hotel. — Witamy. Miło nam widzieć panią ponownie.

Dostali najlepszy stolik; tak przynajmniej uważał Lennie.

— Zatańczmy — rzuciła Olympia, wybiegając w podskokach na parkiet.

— Idźcie, idźcie — zachęcała ich Fluff, która w su-perobcistych atlasowych spodniach i w równie obcistej bluzeczce ledwo zakrywającej piersi — piersi było zdecydowanie więcej niż bluzeczki — wyglądała jak nastolatka.

Tańczyli w takt piosenki Steviego Wondera. Lennie wykonywał poprawne ruchy, ale duchem błądził gdzie indziej: cały czas rozmyślał o Lucky i o

tym, jak bardzo jej pragnie. Tak, musiał powiedzieć Olympii, że ich małżeństwo jest błędem. Zresztą na pewno sama o tym wiedziała. Mieli z sobą tyle wspólnego co Harley-Davidson i rolls royce. A może lepiej nie mówić, tylko po prostu wyjechać do Los Angeles na Tonight Show i już nie wracać?

Po Steviem Wonderze zachrypiał Rod Stewart, a potem wrócili do stolika. Do Fluff uderzali dwaj uśmiechnięci lubieżnie Włosi.

443

Wyglądało na to, że nie ma nic przeciwko temu, wprost przeciwnie, zachęcała ich uśmiechem wilgotnych ust i piskliwym chichotem. Jeden z nich poprosił ją do tańca i pofrunęła na parkiet niczym ptaszek uwolniony z klatki.

— Przynajmniej ktoś się tu dobrze bawi — burknęła uszczypliwie Olympia i poszła zażyć koki, którą poczęstowała ją jedna z przyjaciółek, kanciasta ślicznotka w ażurowej sukni. — Gdzie tu można kupić towar? — spytała.

— Nie mam zielonego pojęcia — odrzekła ślicznotka, Angielka z dobrego towarzystwa. — Wczoraj kupiłam kilka działek od nader specyficznego typu przed kasynem. Ale spytaj McGuinnessa, on na pewno wie.

McGuinness, arystokratyczny Angol i odrażający jąkała, zaprowadził ją do swego zaopatrzeniowca, młodego angielskiego producenta odzieży o strąkowatych włosach i przenikliwym spojrzeniu, który mówił ciężkim cockneyem. Stanęli w zacisznym kąciaku, żeby dobić targu, i właśnie wtedy do sali wszedł Flash.

Ach, nie ma to jak aureola słynnego gwiazdora rocka. Tacy ludzie nie są zwykłymi śmiertelnikami, o nie. Uwielbiają być w centrum uwagi, kochają

tłumy wielbicieli, wrzawę i zamieszanie. Flash nie należał do wyjątków. Był ubrany w czarną skórzaną kurtkę i czarne skórzane spodnie, a szyję oplatały mu długachne — choć trochę sponiewierane — jedwabne apaszki. Włosy miał długie i ufarbowane na czarno (za siwizną gwiazdorzy rocka nie przepadają). W uchu jak zwykle nosił złoty kolczyk — tylko jeden — a jego zęby wyglądały gorzej niż kiedykolwiek.

Olympia spojrzała na niego i drgnęło jej serce.

Flash przystanął w drzwiach i stał tam wystarczająco długo, żeby pospólstwo zobaczyło, kto raczył zaszczyścić ich swoją obecnością.

DJ, który potrafił rozpoznać osobistość z odległości dziesięciu metrów, natychmiast uciszył siostry Pointer i puścił „Rozpustnicę”, najsłynniejszy przebój Flasha, który powstał w połowie lat sześćdziesiątych, kiedy to Flash żył z byłą zakonnicą.

— Flash! — wykrzyknęła Olympia.

444

Nie ona jedna. Połowa kobiet w dyskotecie z podnieceniem westchnęła:

— Flash!

— Flash, Flash, Flash! Jest mój Flash! Klient nad klien-ty! —

wyrecytował wytwórca odzieży, który chętnie zmieniłby fach i został pełnoetatowym dealerem. Schował do kieszeni pieniądze Olympii i ruszył pędem do swego bohatera, który — o czym Anglik dobrze wiedział — będzie kupował, kupował i jeszcze raz kupował!

Olympia nachmurzyła czoło. Flash nie był sam. Wisiały na nim dwie dziewczyny dnia, na jednym ramieniu blondyna, na drugim brunetka.

Markietanki, bogate fanki włączące się za zespołem, które Olympia знаła, i których nie cierpiała. Żony ani śladu.

Wypięła pierś (Flash należał do biuściarzy) i podeszła do jego stolika.
— No i proszę! — prychnęła. — Znowu się spotykamy. Otaksował ją
spojrzeniem znużonych, nabiegłych krwią
oczu.

— Sie ma, kochanie — wybełkotał w końcu, nie bardzo wiedząc, kto
przed nim stoi.

— Jak ci się żyje w małżeńskim stadle? — spytała zgryźliwie. — Mam
nadzieję, że podle.

— Jak pragnę zdrowia, to ty! Pyza! — Zarechotał. — Znowu się trochę
przytyło, co?

Odruchowo wciągnęła brzuch.

— Wieczny arogant — syknęła. — Z kolei ty wyglądasz jak chodzący
trup.

— Cześć, Olympia — rzuciła blondyna, przywierając do ramienia Flasha
niczym do burty szalupy ratunkowej.

Olympia zaszczyliła ją krótkim skinieniem głowy.

Brunetka, zajmująca się jego drugim ramieniem, nie powiedziała nic.

Zauważyła swoje odbicie w lustrzanej ścianie i podziwiała swą
podniecającą urodę.

— Myślałem, że zjawisz się wcześniej — powiedział wesoło Flash. —
Myślałem, że popływamy kutrem twego zgreda.

— Spóźniłeś się — odparła wyniośle Olympia. — Mój mąż i ja...

445

— Mówisz jak zafajdana królowa! — wyrechotał Flash.

— A gdzie twoja nastoletnia żoneczka? — spytała Olympia, napierając
biustem na jedwab czerwonej kreacji od Givenchy.

— Nie mówmy o niej — rzekł obojętnie Flash. — Nie lubię, jak mi o niej przypominają.

— Ale masz żonę, prawda? — nie ustępowała Olympia.

— Taa. A ty masz męża, więc jesteśmy kwita. Dobrze mówię?

— Zatańczmy, Flash — poprosiła blondyna, sunąc po jego udzie małymi, czerwonymi paznokciami.

— Nie tutaj, miła — odrzekł głosem człowieka, który pyta: Nie wiesz, głupia, że gwiazdorzy rocka nie występują w miejscach publicznych, chyba że im za to płacą?

— To gdzie? — spytała logicznie.

— Flash, chcesz trochę ekstra prochów? — rzucił angielski wytwórca odzieży, nie posiadając się z radości, że może przebywać tak blisko swego bohatera. — Na koszt firmy. — Próbował odepchnąć łokciem Olympię, ale nie ustąpiła na krok.

Flash wstał.

— Co darmowe, to morowe. Wybaczcie, ślicznotki, musimy odcedzić kartofelki. — Wylewnie objął swego nowego przyjaciela, którego aż zatchnęło z podniecenia, i ruszyli w stronę męskiej toalety.

— Cholera! — mruknęła Olympia.

Lennie widział to wszystko z drugiego końca sali. I miał to gdzieś. Bo niby dlaczego miało go to obchodzić? Wkrótce po nim i po panie Stanislopoulos zostaną tylko wspomnienia. Im szybciej, tym lepiej.

80

Po przyjeździe do Nowego Jorku Lucky natychmiast zadzwoniła do Giną.

— Mam dla ciebie niespodziankę, dziecino — powiedział. — Bądź u mnie o wpół do szóstej.

Potem zatelefonowała do swoich prawników, żeby sprawdzić, jak wygląda sprawa zakupu terenu pod budowę hotelu w Atlantic City. Wszystko było związane na ostatni guzik, musiała tylko podpisać kilka dokumentów i działka należała do niej.

Lucky była podekscytowana. Niedługo zacznie się prawdziwa zabawa. Tworzenie hotelu od samych podstaw to wyzwanie męczące, ale niezwykle satysfakcjonujące. Wiedziała o tym — kiedyś budowała „Magiriano”.

Ileż pracy ją czekało!

Była na to przygotowana. Za długo próżnowała. Niczego nie pragnęła bardziej, jak rzucić się w wir nowych zajęć i obowiązków. Dzięki temu przestanie myśleć o Dimitrim i jego nachalnym romansie. I o Lenniem, od którego musi, po prostu musi trzymać się z daleka. Tu, w Nowym Jorku, patrzyła na wszystko znacznie trzeźwiej i doszła do wniosku, że wiązanie się z nim to czyste szaleństwo. Był żonaty z Olympia — już samo to wystarczyło, żeby go sobie odpuścić. Z drugiej strony był kimś więcej niż facetem na jedną noc — czuła, że jest mężczyzną, dzięki któremu mogłaby zapomnieć o Marcu...

A gdyby tak było?

Nie, dziękuję. Nie chciała wdawać się w taki układ. Nie, nigdy więcej, to zbyt bolesne. Mogła tylko o nim zapomnieć. I zamierzała to zrobić. Tak, to najlepsze wyjście.

Trzy godziny później przyjechała do hotelu „The Pierre”. Kiedy ostatni raz odwiedziła tu Ginę, na ulicy brutalnie zastrzelono jej brata Daria.

W windzie zagadnął ją mężczyzna ubrany w ciemnoszary garnitur, pytając

ją, czy jest modelką. Otaksowała go chłodnym spojrzeniem. Obcięła go od stóp do głowy.

— Nie — odrzekła wolno. — A pan?

Zbiła go z tropu. Miał pięćdziesiąt dwa lata, żonę i dzieci. Co tej kobiecie odbiło? Dlaczego pytała, czy jest modelem? Co za bezczelność. Bez słowa wysiadł na trzecim piętrze.

Gino wyściskał ją na powitanie, uśmiechnął się, puścił do niej oko i powiedział:

— Jak za starych, dobrych czasów, co? Spójrz tylko, kogo ci przyprowadziłem.

447

— Wujek Costa! — wykrzyknęła z zachwytem. — Co ty tu robisz?

Kiedy padli sobie w objęcia, Costa wyjaśnił jej, że Gino umie przekonywać jak mało kto.

— Wycieczka do wielkiego miasta to wcale nie taki zły pomysł — dodał.

— No i jak mogłem oprzeć się pokusie spotkania z tobą?

Roześmiała się uszczęśliwiona.

— Sprawileś mi cudowną niespodziankę, wujku.

Na tym nie koniec. Gino zaprosił ich na kolację ze starymi przyjaciółmi do małej włoskiej restauracji w Queens. Przyszli Aldo i Barbara Dinunzio — ona, drobna, krucha kobietka, on, gruby i zadowolony jak leniwy kocur — przyszły ich dorosłe dzieci wraz z żonami i mężami oraz stadko wnuków i wnuczek. W sumie przy stole siedziało szesnaście osób, pijąc tanie czerwone wino, pałaszując wyborne spaghetti, które przyrządzono pod osobistym nadzorem Barbary (właścicielem restauracji był jej kuzyn), i jedząc na deser ulubione lody Giną.

Lucky nie widziała tych ludzi od lat, Gino też nie, ale panująca przy stole serdeczność i wesołość były zaraźliwe.

— Nie mogę się doczekać, kiedy poznasz mojego synka, Barbaro — powiedziała z dumą Lucky. — Jest wspaniały. Ma półtora roczku i jest absolutnie wspaniały! Sama zobaczysz!

Staruszka, która przed laty знаła i kochała matkę Lucky, mocno uścisnęła jej rękę.

— Powinna być tu z nami Maria — odrzekła z żalem. — Była taka piękna. Miała takie dobre serce. Ciągle nam jej brak. Nam wszystkim.

— Hej — przerwał jej Gino, widząc wyraz twarzy córki. — Rozmawiamy o terażniejszości, nie o przeszłości. Spojrzysz na mego wnuka i od razu zobaczysz prawdziwego Santangelo. Jakbyś patrzyła na mnie.

Lucky odpędziła smutne wspomnienia i uśmiechnęła się. Lubiała słuchać, jak ojciec chwali się wnuczkiem.

— Ma moje oczy i moje włosy — ciągnął Gino. — Prawda, Lucky? Dobrze mówię, dziecino?

Musnęła palcem broszę, którą dał jej na urodziny — od
448

tamtej pory prawie się z nią nie rozstawała, podczas gdy brylantowy naszyjnik od Dimitriego spoczywał w sejfie.

— Tak, tatusiu — odrzekła cicho. — Jesteście do siebie podobni jak dwie krople wody.

W drodze do hotelu Gino zaproponował:

— Wpadniesz do mnie na kielicha przed snem?

Nie przychodziło jej do głowy nic, czego pragnęłaby bardziej.

Kiedy Costa poszedł spać, Gino zamówił brandy i usiedli na wygodnej

sofie w salonie jego apartamentu.

— Było miło — skonstatował. — Powinniśmy spotykać się częściej.

Kiwnęła głową i ostrożnie dotknęła jego ramienia.

— Wiesz, kiedy Barbara zaczęła mówić o Marii... o mamie... — Zamilkła, nie panując nad wzruszeniem.

Ale Gino zrozumiał.

— Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, prawda, dziecino? Pokręciła głową i szepnęła:

— Nigdy.

Wstał i podszedł do okna. Potem odwrócił się i popatrzył na córkę.

— Twoja matka była najlepszą i najpiękniejszą kobietą w świecie —

powiedział zduszonym głosem. — Kochała ciebie, mnie i twego brata.

Kochała nas za bardzo. Kiedy ją zabili, poczułem się tak, jakby wyrwano mi serce. Rozumiesz mnie, dziecino?

Tym usprawiedliwiał lata ucieczki od dzieci. Oddawanie ich pod opiekę nian i piastunek, wysyłanie ich do szkół z internatem. Wmawiał sobie, że jeśli nie będzie ich za bardzo kochał, nigdy ich nie straci.

Błąd.

Ale to już minęło.

Wstała, podeszła do ojca i mocno go uścisnęła.

— Opowiedz mi o mamie. Wszystko. Proszę. Spraw, żeby znowu stała się częścią mojego życia.

Nie potrzebował dalszej zachęty. Dławił w sobie uczucia od lat i radość z tego, że wreszcie może mówić

449

o Marii i o dawnych, szczęśliwych czasach, była czymś cudownym.

Godziny mijały błyskawicznie i kiedy Lucky wychodziła z hotelu, prawie świtało. Kręciło jej się w głowie i była bardzo, bardzo szczęśliwa. Miała ledwie pięć lat, kiedy matka zniknęła z jej życia. Teraz czuła się tak, jakby dobrze ją znała. Gino obdarował ją bezcennymi wspomnieniami. Maria odeszła, ale nigdy o niej nie zapomną.

— Witamy w domu, w mieście aniołów — powiedziała oficjalnie Jess. Przyjechała po niego limuzyną i przywiozła z sobą przedstawiciela biura podróży, który przeprowadził go przez odprawę paszportową i celną tak szybko, jakby nie istniały. — Miło być gwiazdorem, co? — spytała, gdy wsiadali do samochodu. — Jak tam rejs? W porządku?

— Chyba się zakochałem — odrzekł, sięgając po słodką bułeczkę i szklankę soku pomarańczowego; limuzyna była nieźle zaopatrzona.

— Hmm — odparła wesoło Jess. — To normalne po powrocie z miodowego miesiąca.

— Nie w Olympii, głupia.

— Ach, już rozumiem. Nie kochasz żony, więc jestem głupia. Same nowiny, mój czarusiu.

Pomacał się po kieszeniach, szukając papierosów i uśmiechnął się rozbrajająco.

— Nie bądź na mnie zła. Potrzebuję pocieszenia i rady.

— Od kiedy to słuchasz czyichś rad?

— Jak dobrze mnie znasz. — Nachylił się i włączył telewizor. — Nie uwierzysz, ale spotkałem kobietę, z którą mógłbym spędzić resztę życia.

— Nie mów! — wykrzyknęła dramatycznie Jess. — Na jacht przekradła się Eden i porwała cię sprzed uroczego noska greckiej księżniczki.

— Eden! — Roześmiał się ironicznie. — Kto to jest? Jess westchnęła.

— Miłość twego życia. Nie pamiętasz?

— Nie mówiłem ci? Mam zamiar rozpocząć nowe.

- Z grecką księżniczką czy bez niej? — Znacząco za-
450

wiesiła głos. — Jej też nie pamiętasz? To kobieta, z którą niedawno się ożeniłeś.

— Można by to unieważnić? — spytał z nadzieją.

— Spałeś z nią?

— No jasne.

— W takim razie nic z tego, chyba że księżniczka zechce oświadczyć, że do niczego między wami nie doszło.

Zmienił kanał i sięgnął po następną bułeczkę.

— Wygląda na to, że prawdziwa miłość dobrze wpływa na twój apetyt — zauważyła oschle Jess.

— Jestem zdenerwowany.

— Występem w Tonight Show? Nie mogę się doczekać, kiedy usłyszę te nowe teksty, które opracowałeś. Później wpadnie do ciebie Isaac, więc pomyślałam, że może zechcesz je przed nami przećwiczyć.

— Nie ma żadnych nowych tekstów.

— Cooo?!

Przeżuwał kęs bułki, nieświadom jej konsternacji.

— Chyba mnie nie rozumiesz — wyjaśnił poważnie. — Chcę od niej odejść. To już koniec. Finito. Kaput. Nigdy nie pojmem, jak mogłaś dopuścić do tego małżeństwa.

— Chwila! — prychnęła zaciętrzewiona. — Jak mogłam do tego dopuścić? Ja?! Poszłam spać, a wyście się pieprzyli. Obudziłam się i już

byliście po ślubie. Niezupełnie mogłam cię powstrzymać.

Nachylił się i cmoknął ją w policzek.

— Kocham cię, Jess. Powiedz, co u ciebie. Jak układy z Mattem? Co się tu przez ten czas działo?

Spojrzała na niego z ukosa.

— Jesteś dziwny, wiesz?

— To tajemnica mojego sukcesu.

Zamilkli. Jess czasami myślała, że zna Lenniego lepiej niż ktokolwiek inny na świecie. A czasami czuła, że w ogóle go nie zna. Spytał o Matta. Ale czy go to obchodziło? Wcale. Zresztą to bez znaczenia. Nie miała na ten temat nic do powiedzenia. Matt traktował ją jak siostrę i wyglądało na to, że już nie potrafi rzucić na niego czar. Ostatnią noc w Las Vegas spędziła ze swoim starym chłopakiem. Nuda. Nuda.

451

Przynajmniej Lennie wyglądał kwitnąco. Choć był trochę niespokojny i rozkojarzony. Lepiej trzymać go z dala od wody.

— Czy żona wie, że jest już zbędna? — spytała.

— Jeszcze jej nie mówiłem.

— Wkurzy się?

— Nie sądzę, żeby zapaliła świece i krzyczała aleluja. — Chwilę milczał.

— Z drugiej strony na pewno nie złamię jej serca, najwyżej urażę jej ego.

Ciągle ma chrapkę na Flasha.

Twarz Jess pojaśniała.

— Poznałeś Flasha? — spytała podekscytowana.

— Tak, owszem. Czuję jego cuchnący oddech, podziwiałem jego zepsute zęby i nawaliłem się jak stodoła od samego wdychania powietrza,

które wydychał.

— O rany! Poznałeś Flasha.

— Mówię ci, to nikt wielki.

— No jasne. Jakbyśmy nie dostawali spazmów, słuchając jego kawałków sto razy dziennie, kiedy byliśmy w szkole.

— To ty dostawałaś spazmów — zauważył Lennie. — Mnie podobało się tylko, jak gra na gitarze i jak trzyma melodię.

Jess zaczęła chichotać.

Lennie nie mógł się powstrzymać i poszedł w jej ślady.

— W kim zakochałeś się tym razem? — spytała czule. Nagle spoważnieł.

— W Lucky Santangelo. Zdumiona, wybałuszyła oczy.

— Żartujesz?! Chwycił trzecią bułeczkę.

— Nigdy w życiu nie byłem poważniejszy.

81

Wraz z wyjazdem Giną, Lucky i Lenniego życie na pokładzie „Greka” uległo subtelnym zmianom. Susan nie robiła kroku bez aprobaty i zgody contessy.

Dimitri, który uważał, że jego odnowiony romans z Franceską Fern przebiega nader dyskretnie, złagodził surowy

452

kodeks postępowania i spędzał ze swawolną aktorką dosłownie całe dnie, nie wspominając już o nocach.

Horacy stanowił zenującą przeszkodę, którą oboje starali się ignorować.

Alice pocieszała go w drodze do swojej kajuty, gdzie po raz pierwszy od czterech lat poznał, co to seks. Francesca nie robiła z nim tych rzeczy.

Miał tylko organizować jej życie i załatwiać sprawy.

Po wyjeździe Lenniego Olympia odczekała na jachcie godzinę, po czym zadzwoniła do Flasha, który mieszkał w wynajętej willi.

— Bierz tyłek w garść i przyjeżdżaj — zakomenderował. — I przywieź trochę szmału, zrobimy przyjęcie.

Przyjęcie trwało trzy dni i równie długo wytrwała Olympia. Zastanawiała się, jak powiedzieć Lenniemu, że między nimi koniec. A może nie zawracać sobie głowy? Niechaj zrobi to adwokat, ostatecznie dużo mu płaciła.

Fluff wybrała się po zakupy i potajemnie uciekła do Portofino z jednym z Włochów, których poznała w „Regi-nes”. Jenkins wynajął detektywów, a kiedy ją znaleźli, wysłał po nią ochroniarzy. Wróciła niczym smutna, odęta nastolatka. Niedługo potem wyjechali do Teksasu.

Brigitte próbowała utopić w wannie Roberta. Przyłapała ją na tym Cee Cee i sprząła jej tyłek, aż dziecko się popłakało.

Dwa dni później Brigitte poskarżyła się dziadkowi na wstrętą czarną niańkę jego synka, która dotykała ją „tam”.

Dimitri, zbyt pochłonięty namiętym romanssem, żeby zawracać sobie głowę domowymi sprawami, kazał zająć się tym niani Mabel. Niania Mabel, pijana poczuciem upragnionej władzy, garbowała Brigitte skórę przez rozkoszne pół godziny.

— A jeśli znowu poskarżysz się dziadziusiowi — zagroziła — czeka cię kolejne pół godziny lania.

Cee Cee uważała, że kara jest za surowa, ale milczała i pilnowała Roberta, ani na sekundę nie spuszczać go z oka.

Pewnego długiego, gorącego popołudnia, kiedy wszyscy oprócz contessy zeszli na brzeg, Susan udała się do kabiny i legła nago na łóżku. Kilka

minut później weszła contessa

453

i zaspokoila ją tak wspaniale, jak zdołała ją zaspokoic tylko Paige Wheeler.

Susan zamknęła oczy i delectowała się każdą chwilą. Dotyk kobiety był taki... delikatny. Nie wiedziała, jak zdoła wytrzymać z Ginem.

Kapitan Pratt wszystko widział, wszystko słyszał i udawał, że nic się nie dzieje.

Pogoda na południu Francji dopisywała. Letni rejs jachtem Dimitriego Stanislopoulosa był prawdziwym triumfem — jak zwykle.

82

Zorganizowanie nagłej i nieoczekiwanej podróży do Nowego Jorku nie było łatwe. Ryder nie należał do zaborczych mężów — dzięki Bogu — tylko do mężów całkowicie pochłoniętych pracą. Zawieranie kontraktu oznaczało, że wszystko inne schodzi na dalszy plan. Dlatego więc, kiedy Paige powiedziała mu, że leci do Nowego Jorku na spotkanie z ważnym projektantem mebli z Włoch oraz po to, żeby obejrzeć apartament, który zamierzał kupić jeden z klientów, jego jedyną troską była uroczysta kolacja, jaką mieli wydać dla Vitosa Felicidade. Słynny hiszpański piosenkarz stwarzał ciągle problemy w związku z kontraktem, jaki mu zaproponowano. Chciał zatwierdzać scenariusz, chciał zatwierdzać obsadę, a nawet kolejność nazwisk na plakatach reklamowych.

— Za chwilę będzie chciał zatwierdzać sposób, w jaki robię kupę — narzekał ponuro Ryder.

Wydawało się, że nakręcenie filmu finansowanego przez Bonnattiego potrwa dłużej niż uwiedzenie biskupa. Każdy producent zacząłby się

wnerwiać. Ryder widział w przyjęciu okazję do ugłaskania wzburzonych ego, żeby wreszcie ruszyć z tym koksem w drogę.

— Przełóż wyjazd — powiedział.

— Nie mogę — łągała Paige. — Ale o nic się nie martw. Dopilnuję, żeby zadbano o najdrobniejszy szczegół.

W biurze musiała odkręcić i przesunąć dziesiątki spotkań.

454

Interes kwitł jak nigdy dotąd. Paige miała charakterystyczny styl i była rozrywaną dekoratorką. Zadzwoiła do Irwina Stroiła, swego drogiego przyjaciela po fachu, i spytała go, czy mógłby zająć się dwójgim Brazylijczyków, którzy mieli przyjechać do miasta, żeby wydać tonę pieniędzy. Irwin z radością zgodził się pomóc.

Na szczęście jej dwaj nastoletni synowie bawili w Europie, zwiedzając autostopem Francję. Dobrze im to zrobi. Niech zobaczą, że życie to nie tylko nowe kabriolety i przepych Beverly Hills.

Wyjechała w środę i nie mogła zrozumieć, dlaczego perspektywa spotkania z Ginem Santangelo tak bardzo ją podnieca. W samolocie siedziała obok młodego aktora występującego w nowym serialu telewizyjnym, jednego z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich kiedykolwiek widziała. Kiedyś stanowiłby dla niej wyzwanie — i dobrałaby się do niego w trymiga! Ale teraz potraktowała go jak powietrze. Chciała tylko jednego: być z Ginem.

Starzejesz się — strofowała siebie w duchu. I jakoś nie miała nic przeciwko temu.

Lucky i Paige od razu przypadły sobie do gustu. Gino przyprowadził ją na kolację i powiedział:

— To jest Paige, stara przyjaciółka Susan i moja.

Taa? — pomyślała Lucky. Akurat. Pamiętała Giną kobieciarza. Susan położyła temu kres. Teraz oczy błyszczą mu jak kiedyś.

Jedli „U Elaine”, w jednej z najlepszych nowojorskich restauracji, gdzie widywało się ciekawych ludzi i gdzie można się było dobrze zabawić. Do stolika w głębi sali odprowadziła ich osobiście Elaine, interesująca, ciemnowłosa kobieta, która znała chyba wszystkich.

Paige pomachała znajomemu pisarzowi, przywitał się z nimi Bobby Żarem, legendarny mistrz public relations.

Był to jeden z tych wieczorów, kiedy trudno powstrzymać się od wesołego śmiechu i kiedy wszyscy cudownie się bawią.

— Kto to jest? — spytała Giną Lucky, gdy Paige zniknęła w toalecie.

455

— Ktoś w rodzaju... najlepszej przyjaciółki Susan — odrzekł zakłopotany.

— Możecie pójść na podmiankę? Prawie się uśmiechnął.

— Nie wymądrzaj się, smarkulo.

— Wcale się nie wymądrzam. Myślę, że to jeden z najlepszych pomysłów, na jakie kiedykolwiek wpadłam! Co ty na to, wujku Costa? Costa kiwnął głową, ciesząc się zabawą.

Przesiedzieli tam do wpół do drugiej w nocy — trzeba było wracać do domu i iść spać.

Zanim wstali od stołu, zauważyła rękę ojca na udzie Paige. Gino ciągle miał parę. I kochała go za to. Kochała Nowy Jork, gdzie spędziła cały tydzień. W Atlantic City wszystko było podpisane i zapięte na ostatni guzik — czekały ją spotkania z architektami i budowlańcami. Wróciła do interesów jak burza i było to rewelacyjne uczucie.

W domu czekały ją trzy wiadomości od Lenniego, na-skrobane drżącą ręką głównego lokaja. PROSZĘ OD-DZWONIĆ DO PANA LENNIEGO GOLDENA. I numer w Los Angeles.

Zmięła karteluszkę i wrzuciła je do kosza na śmiecie. To Olympia znalazła go pierwsza i Lucky nie zamierzała się w to angażować.

Już jesteś zaangażowana.

Nieprawda.

Ejże! W takim razie jak byś to nazwała?

Przelotnym seksem.

Bzdura.

Wyjęła z kosza zmięte karteczki i wygładziła je. Kiedy jej ręka zawisła nad słuchawką, telefon zadzwonił.

Od razu wiedziała, że to on i zawahała się.

Jesteś zaangażowana.

Nie jestem.

— Halo.

— Lucky?

— Kto mówi?

— Nie udawaj, dobrze wiesz, kto mówi. Jestem w Los Angeles. Jutro występuję u Carsona. Możesz tu przylecieć?

456

Sięgnęła po papierosa i zauważyła, że leciutko drży jej ręka.

— Przestań żyć w świecie marzeń, Lennie. To, do czego między nami doszło, było... — Szukała najodpowiedniejszego określenia i nie mogąc go znaleźć, musiała zadowolić się namiastką. — Przelotnie ekscytujące. Ale się skończyło i po prostu o tym zapomnij. Ja już zapomniałam.

Puścił tę kwestię mimo uszu.

— Zamierzam pogadać z adwokatem. Jeśli Olympia się zgodzi, unieważnimy małżeństwo.

Pomyślała o Olympii. Już nigdy w życiu nie będą przyjaciółkami, to wykluczone.

— Słyszałaś? Westchnęła.

— Rób, co uważasz za słuszne.

— Właśnie zamierzam. A ty? Wzięła głęboki oddech.

— Rozpaczynam nowe przedsięwzięcie. Buduję hotel w Atlantic City. Pochłonie to masę czasu i energii...

— Nie odpowiadasz na pytanie.

— Nie wiedziałam, że o coś pytałeś.

— Dobra, w takim razie powtórzę. Czy zamierzasz rozwieść się z Dimitrim?

Nie chciała być w tym położeniu. Kto mu dał prawo ją przepytawać?

— Zostaw mnie w spokoju, Lennie — odrzekła znużona. —

Komplikujesz mi życie, a ja tego nie chcę... Po prostu zostaw mnie w spokoju...

Odłożyła słuchawkę, zaciągnęła się mocno dymem i nie zareagowała, kiedy telefon zadzwonił ponownie.

W „The Pierre” Gino i Paige odnawiali znajomość.

— Wyżej — instruowała Paige. Gino przesunął język odrobinę wyżej.

— Delikatniej — poprosiła. Gino zmniejszył nacisk.

— Jeszcze — błagała.

Zanurzył twarz w jej sokach i znowu poczuł się jak w domu.

Ku niezadowoleniu Isaaka i Jess Lennie nie przygotował nowego materiału na występ w Tonight Show.

— Co ty, do diabła, robiłeś na tej przeklętej krypie? — utyskiwała Jess. Nagle przypomniała sobie nazwisko jego ostatniej miłości i natychmiast się zamknęła. Lucky San-tangelo. O żesz ty! Lucky Santangelo. Lady Boss. Lennie mógł być słynnym gwiazdorem, ale w tym przypadku stanowczo przesadził. Za wysokie progi. O wiele za wysokie.

— To ta dziewczyna, którą spotkałem wtedy w kasynie — wyjaśnił. — Pamiętasz? Mówiłem ci. Wystawiła mnie do wiatru.

— I kazała cię wyrzucić.

— No i co z tego?

— Chyba żartujesz! — zapiszczała zniecierpliwiona Jess. — Zrobili cię w wała, dostałeś szału!

— Ale mi to nie zaszkodziło, prawda? Pokręciła głową.

— Jezu! I co mam ci powiedzieć? Lucky Santangelo ma... powiązania. Grała w pierwszej lidze z najciemniejszymi typami. Jej ojciec to znana postać. Gino Santangelo, mafioso Gino Santangelo, kapujesz?

— Kiedy to było?

— Co za różnica?

— No powiedz — nalegał. — Jesteś taką ekspertką od rodziny Santangelów. Kiedy był tym mafioso? Bo teraz jest tylko wybuchowym staruszką i mężem wdowy po gwiazdorze filmowym.-

Jess zmarkotniała.

— Wierz mi, Lennie. Zaufaj mi. Kilka lat temu Lucky Santangelo była zamieszana w morderstwo.

— W jakie morderstwo?

— Och, wszystko wyciszono. Plotka głosi, że zastrzeliła swego ojca chrzestnego.

— Nie powtarzaj plotek, tylko podaj fakty.

— Dobrze,, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, odstrzeliła mu jaja z jego własnej spluwy, coś w tym stylu. Twierdziła, że chciał ją zgwałcić, ale całe miasto wiedziało, że chodziło o zemstę. Facet, którego zabiła, kazał zamordować jej brata i jej chłopaka.

458

— Jakiego chłopaka?

— Takiego samego czarusia jak ty. Miał na imię Marco. Wyglądał i chodził jak filmowy gangster.

— Co się z nim stało?

— Oberwał w łeb na parkingu przed „Magiriano”. Dobrze to pamiętam. Pracowałam w kasynie dopiero od pół roku. To było naprawdę przerażające. Wszyscy mówili o wojnie gangów, ale do niej nie doszło. Lucky na jakiś czas wyjechała i wszystko ucichło. W jej imieniu hotel prowadził Enzo Bonnatti, facet, którego potem zastrzeliła.

Lennie trawił to w milczeniu. Nie był pewien, czy wierzyć jej czy nie — Jess miała bujną wyobraźnię.

— Matt wie, jak było naprawdę — dodała. — Nie rozpowiada o tym. Mafia w Las Vegas to szara strefa, Lennie, wszyscy trzymają język za zębami.

— Dzięki za interesującą wycieczkę po życiu Lucky Santangelo. Ale to niczego nie zmienia. Czuję do niej to samo co przedtem.

— Chryste! Mówisz jak naiwny burak z prowincji. Co cię napadło? Skąd te kretyńskie obsesje? Pamiętam Lenniego Goldenę, który szedł do wyraz z

babą, nie zwracając sobie łba uczuciami. Co się stało?

— Wiesz co, Jess? Jesteś moją menadżerką, ale nie strażniczką.

Mierzyli się wzrokiem i żadne z nich nie chciało ustąpić ani o krok.

Tonight Show. Było i minęło. Wypadł dobrze. Nie tak dobrze, jak mógł, ale wyglądało na to, że Johnny'emu Carsonowi się spodobał. Johnny był czarujący. Po występie posadził Lenniego wśród innych gości, pogadał z nim o tym i owym, a po programie zaprosił go ponownie.

— Byłeś wspaniały — entuzjazmowała się Jess w drodze powrotnej. — Podbiłeś ich. Kiedy Johnny zaprasza kogoś na powtórkę, wiadomo, że poszło znakomicie.

Słuchał tego jednym uchem, zastanawiając się, czy Lucky oglądała program. Miał nadzieję, że oglądała.

Do spotkania zostało ledwie kilkanaście godzin i bardzo za nią tęsknił.

459

Lucky postanowiła zrobić użytek z biurka Dimitriego: usiadła przy nim, nałożyła słuchawki, puściła kasetę Isaaca Hayesa, jednego ze swoich ulubionych piosenkarzy, i zaczęła dopracowywać pomysły związane z budową hotelu „San-tangelo”. Heyes umiał śpiewać jak nikt — jego głęboki, zmysłowy głos wyrażał wszystko, co czuła.

O wpół do dwunastej zerknęła na telewizor i odruchowo go włączyła.

— A otooooo... Johnny! — ryknął znajomy głos Eda McMahona, który przedstawiał Johnny'ego Carsona.

Najsłynniejszy człowiek amerykańskiej telewizji stanął przed kamerami i zaczął przekomarzać się z podekscytowaną publicznością.

Lucky zrobiła sobie drinka i chwilę oglądała program. W połowie monologu Carsona wyłączyła telewizor.

Pięć minut później włączyła go ponownie.

Dlaczego chciała oglądać Lenniego Goldena?

A dlaczego nie?

Kiedy w końcu wyszedł na scenę, widzowie zgotowali mu dziką owację.

Najwyraźniej, jak twierdziła Alice, Lennie był dobry.

1 rzeczywiście był. Jego cięty, ironiczny dowcip docierał do każdego.

Poza tym wspaniale wyglądał.

Zapaliła papierosa i w zadumie puściła kilka kółek. Lennie Golden. Ktoś więcej niż przygodny znajomy.

Ku wściekłości Jess nazajutrz po występie w Tonight Show Lennie odwołał klubowe spotkanie i poleciał do Nowego Jorku. Wprowadził się do hotelu „Regency” i zatelefonował do Lucky.

— Jestem w Nowym Jorku, musimy pogadać — oznajmił.

— Daj sobie spokój. Do niczego między nami nie dojdzie — odrzekła.

— Nie utrudniaj mi życia, Lucky. Po prostu zjedz ze mną kolację.

— Po co? Nic dobrego z tego nie wyjdzie.

— Chcę, żebyś powiedziała mi to prosto w oczy. Powiesz,

460

że do niczego więcej między nami nie dojdzie i dam ci spokój.

Przyrzekam. Zawahała się.

— Zgoda? — nalegał.

— Sama nie wiem...

— Przecież chcesz, żebym dał ci święty spokój, tak? Mogę cię doprowadzić do szału telefonami, listami i kwiatami. Mogę sterczeć przed twoim domem i komplikować ci życie. Rozumiesz, o co mi chodzi? — Zamilkł na chwilę. — Na twoim miejscu, moja pani, skorzystałbym z tej

wspaniałej propozycji i pobiegłbym na spotkanie jak wariat. — Znowu odczekał kilka sekund, żeby zdążyła podjąć decyzję. — No więc o której po ciebie przyjechać?

— Nic dobrego z tego... Dokończył za nią:

— ... nie wyjdzie. Będę o wpół do dziewiątej. Chciała zaprotestować, ale odłożyła słuchawkę, nim zdążyła wytoczyć dalsze argumenty.

Nic go nie zdoła powstrzymać — Lucky Santangelo będzie należała do niego.

83

Francesca Fern uznała ponowny ożenek Dimitriego Stani-slopoulosa za głęboką obrazę. Podnosiła ten temat przy każdej okazji, a im bliżej końca rejsu, tym bardziej się złościła.

— To poniżające! — utyskiwała, gdy siedzieli naprzeciwko siebie nad wiecznie obecną planszą do tryktraka. — Cały świat wie, że kochasz mnie. A ty żenisz się z tą... z tą... osobą. I jak, twoim zdaniem, teraz się czuję? Zrobiłeś ze mnie idiotkę, i to publicznie.

Nachylił się, dotknął jej rudych, szorstkich włosów, powiódł palcami po szyi, wsunął dłoń za głęboki dekolt sukni i namacał wydatną sutkę.

. — Cudowna... — wymruczał. Jej piersi przypominały mu biust Afrykanki, którą widział na zdjęciu w „National Geographic”, a ssanie jej sterczących sutek działało na niego jak najpotężniejszy afrodyzjak.

461

Dała mu po łapie i odtrąciła rękę.

— Dobry Boże, Dimitri! — Spojrzała na niego namiętnie. — Czyż moja miłość ci nie wystarczyła?

Natychmiast przeszedł do obrony.

— Ożeniłem się z Lucky ze względu na syna — wyjaśnił po raz setny.

— Tak. A teraz musisz się z nią rozwieść — odparowała wyniośle Francesca nie znoszącym sprzeciwu głosem.

— Nie sędzę — odrzekł. — Lucky nam nie przeszkadza. Jest niezależna i szczerze mówiąc, moja droga, kiedy cię nie ma, potrzebuję kobiety.

— To nie kobieta! — prychnęła jadowicie FF. — To dziwka! Nie wiem, jak mogłeś jej dotykać. To cyganka, zwykła cyganicha. Sprawia wrażenie brudnej.

Francesca nie lubiła, kiedy się jej sprzeciwiano.

— Dość tego! — warknął Dimitri. — Ja nie krytykuję tego mizernego kundla, za którego wyszłaś.

— Dlaczego miałbyś go krytykować? Przez te wszystkie lata Horacy był... bardzo wyrozumiały.

— Wyrozumiały! Toż to zwykły rogacz bez jaj! Błazen, moja droga, błazen, o którym nawet nie warto wspominać.

Zasnurowała cienkie, maźnięte karminem usta.

— Niech cię diabli, Dimitri — wydyszała. — Pragniesz tylko mojego ciała. Wykorzystujesz mnie. Moje uczucia nic dla ciebie nie znaczą.

Roześmiał się ochryple.

— Ciebie nikt nie da rady wykorzystać, Francesco. Wstała, wysoka, koścista i żyłasta.

— To prawda — odparła dumnie. — Franceski Fern nie wykorzysta nikt, nawet wielki, potężny Grek. Nawet Dimitri Stanislopoulos — szydziła. — Ten sam Dimitri Stani-slopoulos, który oddałby życie, żeby tylko być przy mnie, a który nie chce spełnić mojej drobnej prośby.

— A ty spełniłaś moją? — ryknął. — Ileż to lat proszę cię, żebyś uwolniła

się wreszcie od Horacego i wyszła za mnie. Błagałem, groziłem, robiłem wszystko, co można tylko zrobić. Śmiesz mówić o poniżeniu. To ja czuję się poniżony. Tym, że wolisz trzymać się tej nędznej kreatury,
462

miast wybrać mnie i zostać panią Stanislopoulos. Na miłość boską,
Francesco!

— Rozwiedź się z tą cyganicha, to zobaczymy — wymamrotała tajemniczo.

— Nie — warknął Dimitri. Odepchnął planszę do tryk-traka i wstał. — To ty rozwiedź się z Horacym, a wtedy zobaczymy.

— Nie szantażuj mnie! — szalała FF. — Jak śmiesz szantażować Franceskę Fern!

— To nie szantaż, to sposób na przetrwanie — odrzekł surowo. Omiotła go spojrzeniem.

— Dobrze — oznajmiła dramatycznie. — Nadeszła pora.

— Na co?

— Na to, czego zawsze pragnąłeś. Będziemy razem.

— Rozwiedziesz się z Horacym?

— Pomyślę o tym. Grzmotnął pięścią w stół.

— Niech cię szlag trafi, kobieto! Zdecyduj się wreszcie! Odrzuciła grzywę rudych włosów i błysnęła oczyma.

— Tak, rozwiodę się z nim.

Contessa ujęła jej dłonie.

— Żegnaj, moja droga Susan — powiedziała. — A może raczej au revoir, bo z pewnością się jeszcze spotkamy.

Pachniała perfumami Chanel. Miała skórzaste ręce i zakrzywione w dół

kąćki wiecznie niezadowolonych ust. W młodości musiała być niezwykle piękna. Teraz miała tylko klasę. Susan czuła się przy niej jak naiwne dziewcząt-ko — pierwszy raz od trzydziestu pięciu lat.

— Jeśli kiedykolwiek będziesz w Beverly Hills, koniecznie zadzwoń — zachęcała uprzejmie z nadzieją, że contessa nie zadzwoni.

— Beverly Hills — powtórzyła kontessa z uśmiechem rozbawienia na twarzy. — Rodeo Drive i filmowcy. — W jej ustach zabrzmiało to jak wulgaryzm.

— I Arabowie — dodała cierpko Susan. Contessa była snobką. Według Susan zboczoną snobką. Po pierwszym

463

rozkosznym tete-a-tete zaproponowała, żeby dołączył do nich jej arabski przyjaciel. Susan była zaszokowana.

— Wykluczone — odrzekła i od tamtej pory Contessa traktowała ją z irytującą protekcyjnością.

Susan pomyślała o Paige. Nie mogła się doczekać, kiedy ją zobaczy. Paige nigdy by czegoś takiego nie zasugerowała.

Olympia wróciła na jacht szczęśliwa i naćpana po czubki uszu. Dimitri był zbyt zajęty, żeby to zauważyć. Francesca zgodziła się na spotkanie z jego paryskim adwokatem, który miał opracować szczegółowy plan pozbycia się Horacego. Horacemu zamierzali powiedzieć o tym później. Razem.

Olympia cmoknęła córkę w policzek, licząc dni dzielące ją od powrotu do szkoły z internatem w Anglii. Dziecko to bardzo ciężka odpowiedzialność — gdyby nie Brigitte, mogłaby robić, co chciała. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że robi to cały czas.

Flash poleciał do Niemiec na sesję nagraniową. Za tydzień mieli spotkać

się w jej nowojorskim mieszkaniu. Życie znowu wróci do normy. Seks, prochy i rock and roli.

Była zadowolona z tego, że wszystko ułożyło się tak, jak się ułożyło. Flash nie wspominał o swojej nastoletniej żonie, a jeśli już, to machał tylko ręką i mówił:

— Zwykła pomyłka. Ona nam nie przeszkodzi.

Olympia odczuwała to samo w związku z Lenniem. Zwykła pomyłka, i tyle. Teraz, kiedy odzyskała Flasha, szybko pozbędzie się męża. Był daleko, w Kalifornii. Żaden problem.

— Pod koniec tygodnia Francesca leci do Paryża — rzucił mimochodem Dimitri przy kolacji. — Moim samolotem.

Horacy zajął się łupanym krabem, postanowiwszy zignorować fakt, że jego świat miał wkrótce lec w gruzach. Na jachcie zostali tylko Fernowie, Olympia i dwoje dzieci z nianiami.

— Cudownie! — wykrzyknęła Olympia. — Zabiorę się z Franceską. Na jednodniowe zakupy.

464

— Czy mogę polecieć z tobą, mamó? — poprosiła Brigitte, której wyjątkowo pozwolono zjeść kolację z dorosłymi.

— Nie bądź niemądra, kochanie — zaszcebiotała Olympia.

— Dlaczego nie? — spytała córka.

— Dlatego — odrzekła mgliście Olympia. Brigitte zaczęła ssać kciuk.

— Proszę cię, mamó! — zawodziła.

— Nie — warknęła Olympia. — Wykluczone. Brigitte przeszła ją wzrokiem.

— Nienawidzę cię! — wrzasnęła nagle, czym wszystkich zaskoczyła. —

Nienawidzę cię! Jesteś wielka, tłusta krowa!

— Brigitte! — zagrmiał Dimitri. — Jak śmiesz mówić tak do matki!
Marsz do swego pokoju.

Brigitte chciała wyżyć się i na dziadku, ale zważywszy szanse,
postanowiła tego nie robić.

— Ale dziadziusiu, to wszystko przez to, że nigdy mamy nie widuję —
jęknęła żałośnie. — Przepraszam, naprawdę przepraszam. Nie mogłabym
z nią pojechać?

Dimitri spojrział na córkę.

— To śmieszne! — prychnęła Olympia. — Nie zamierzam wlec z sobą
dziecka.

Brigitte doszła do wniosku, że przydałoby się kilka łez. Zaczęła
pochlipywać.

— Boże! — obruszyła się Olympia i zadzwoniła po nianię Mabel, która
natychmiast wyprowadziła zapłakaną dziewczynkę z jadalni.

84

Randka. Lucky nie chadzała na randki, to nie było w jej stylu. „Przyjadę
po ciebie o wpół do dziewiątej” — powiedział Lennie. Nie wyraziła zgody.
Po prostu uprzedził ją, co zamierza zrobić, a ona to zaakceptowała.

I teraz tego żałowała. Przecież z ich spotkania nie mogło wyniknąć nic
dobrego. Ten związek zmierzał donikąd. Była o tym przekonana. Dlaczego
nie zdawał sobie z tego sprawy?

465

O siódmej kazała głównemu lokajowi powiedzieć mu, że wyjechała. I pół
godziny zamartwiała się, co Lennie zrobi. Może jednak lepiej spotkać się z
nim osobiście i skończyć z tym wszystkim raz na zawsze?

Odwołała polecenie i spróbowała wybrać jakiś strój. Di-mitri lubił, kiedy ubierała się szykownie, ale Lucky wołała stroje niedbałe i niezobowiązujące, więc nałożyła czarne spodnie z mięciutkiej skóry i obszerną białą bluzę, którą mocno ścisnęła paskiem. Do tego czarne buciki, złote kolczyki i broszę od Giną. Włosy rozpuściła.

O ósmej znowu zmieniła zdanie. Po co go miała oglądać? Najwyraźniej nie rozumiał delikatnej sytuacji, w jakiej się znaleźli. Jak większość mężczyzn, myślał pewnie, czemu nie, trafia mi się ekstra laska, więc dlaczego by nie spróbować? Psiakrew! Zrobił ją w balona. Potraktował ją jak łatwy towar. Tak jest, była dla niego łatwym towarem, niczym więcej. Mężczyźni nie rozumieli, że kobiety potrafią być seksualnie wolne, tak samo jak oni. Chromolić Len-niego Goldena. Dlaczego miałyby się z nim spotykać?

— Wychodzę — poinformowała lokaja. — Kiedy przyjdzie pan Golden, proszę mu powiedzieć, że nie wrócę na noc.

— Tak, madame — odrzekł lokaj, nieporuszony w swej angielskości.

Tylko dokąd pójdzie? Gino był z Paige, a Costa wrócił do Miami.

A może zostanie? Do diabła z tym wszystkim. Po prostu każe lokajowi powiedzieć Lenniemu, że wyszła.

Boisz się stawić mu czoło?

Bzdura.

Zrobiła sobie anyżówkę z wodą i wypaliła dwa papierosy pod rząd.

— Zmieniłam zdanie — poinformowała beznamiętnego lokaja. — Kiedy przyjdzie pan Golden, proszę go wpuścić.

— Tak, madame.

Zaczęła krążyć po okazałym salonie. Okazałym, doskonale urządzonym,

drogim i nijakim. Jeśli Dimitri oczekiwał, że będzie tu mieszkała, niech lepiej wyrazi zgodę na gruntowne przemeblowanie. W tym wnętrzu się dusiła, i kropka.

466

Dlaczego za niego wyszła? Dlaczego się z nią ożenił? Było oczywiste, że jego serce należy do tej kobyły FF, i szczerze mówiąc, miała to gdzieś. Nie odczuwała zazdrości. Bez względu na to, z jakich powodów się pobrali, na pewno nie znalazłaby wśród nich miłości i namiętności. Czy była skazana na takie życie? Dwóch mężów, z których ani jeden, ani drugi nie należał do kochanków w prawdziwym tego słowa znaczeniu.

Ogarnął ją niepokój, poczuła się samotna, jakby jej życie było wielką próżnią.

Hotel ją wypełni, pomyślała. Mój hotel... Tylko mój... I Roberto. Mój mały, cudowny chłopiec.

W drzwiach stanął lokaj. — Pan Golden, madame — zaanonsował z lekkim ukłonem.

Zgasiła papierosa, wzięła głęboki oddech i odwróciła się ze sztucznym uśmiechem na ustach.

— Lennie!

Spotkali się wzrokiem i od razu przepadła.

— Jak się masz, piękna pani. — Podszedł bliżej i ujął jej dłoń.

Zniewolił ją dotykiem. Co się z nią działo?

— Czy podać panu coś do picia, sir? — spytał troskliwie lokaj.

— Wódkę z lodem poproszę — odrzekł Lennie, zerkając przez ramię.

— Służę, sir. Lennie uśmiechnął się.

— Czuję się jak w muzeum!

Nie mogła się powstrzymać i odpowiedziała uśmiechem.

— Bo jesteś w muzeum — odrzekła cicho.

W milczeniu czekali, aż lokaj naleje wódki, doda lodu i zamiesza.

Wreszcie, podawszy Lenniemu kryształowy kieliszek, dyskretnie wyszedł.

Lennie spojrzał jej w oczy i wzniosł kieliszek jak do toastu.

— Za nas — powiedział. — Za nasze wspólne życie. Za takie, jakim będzie.

467

85

Wróciwszy do Beverly Hills, stwierdziła, że Giną co prawda nie ma, za to jest Gemma.

— Co tu robisz, kochanie? — spytała, próbując zamaskować niechęć.

Gemma to taka niechlujna dziewczyna. Wreszcie zamieszkała ze swoim chłopakiem, co Susan przyjęła z wielką ulgą.

— Pokłóciliśmy się — wyjaśniła Gemma, wbijając zęby w jabłko.

— Mam nadzieję, że to nic poważnego — tchnęła zaaferowana Susan.

— Zależy, co uważasz za rzecz poważną — odrzekła córka, kładąc jabłko na wypolerowanym blacie stołu. — Przyłapałam tego bubka z ręką pod spódnicą mojej najlepszej przyjaciółki, która nie miała na sobie majtek. Do jakiej kategorii zakwalifikowałabyś ten wyczyn?

— Jesteś tego pewna, kochanie?

Gemma spojrzała na nią z rozbawieniem. Ta kobieta to czysty surrealizm.

Żyła w świecie złudy.

— Jestem — odparła spokojnie. — Jak twoja wycieczka? Susan poprawiła kwiaty w wazonie, ostrożnie wyjmując zeń więdnącą różę i tskając przy tym z rozdrażnienia.

— Bardzo dobrze — odrzekła. — To czarujący ludzie.

— To znaczy kto? — spytała Gemma. Zupełnie ją to nie interesowało, ale uważała, że skoro już jest w domu, powinna podtrzymać rozmowę, poza tym nie chciała, żeby matka zaczęła narzekać, że w ogóle wróciła.

— Och, Francesca Fern z mężem. Saud Omar. — Niezauważalna pauza.

— Contessa Zebrowski. Lennie Golden.

Gemma zastrzygła uszami.

— Lennie Golden! — wykrzyknęła. — Naprawdę? Susan skończyła układać kwiaty i zaczęła poprawiać ustawienie różnych ozdóbek.

— Ożenił się z córką Dimitriego Stanislopoulosa — wyjaśniła.

— Lennie Golden jest po kiju — westchnęła Gemma.

— „Po kiju” to bardzo wulgarne określenie — ofuknęła ją Susan.

468

— Ale on jest po kiju — entuzjasmowała się Gemma. — Mogłabym go poznać? Może wydasz jakąś kolację albo coś w tym stylu?

— Nie — ucięła Susan. — Gino wyjechał do Nowego Jorku, a ja jestem zmęczona. To była bardzo wyczerpująca podróż.

Gemma sięgnęła do srebrnej wazy, wzięła kolejne jabłko i odgryzła solidny kęs.

— Przecież nie jutro — prychnęła. — Może w przyszłym tygodniu.

— W przyszłym tygodniu? Jeszcze tu będziesz? — spytała Susan z nadzieją, że córka odpowie „nie”.

— Jeśli ten palant nie przypełźnie do mnie na kolanach i nie przeprosi, niewykluczone, że zostanę tu do przyszłego roku! — Gemma uśmiechnęła się. Miała bardzo drobne, bardzo równe i bardzo białe zęby. — Wróciłam do domu, mamó. I to na długo.

Gino odprowadzał Paige z żalem. Spędzili razem ledwie kilka dni. Kilka bardzo pamiętnych dni. Paige była kobietą w jego guście.

Wyjeżdżała z uśmiechem zadowolenia na ustach. Lubiła z nim przebywać, tak samo jak on lubił przebywać z nią.

— Wrócę do Los Angeles za parę dni — obiecał.

— Zarezerwuję nasz apartament w „Beverly Wilshire” — odrzekła ciepło.

— Daj tylko znać na kiedy. — Ani jedno, ani drugie nie miało pojęcia, dokąd ich ten romans zawiedzie, lecz oboje szli na całość.

W domu zastała przygnębionego Rydera.

— Bonnatti, Vitos, Quinn, kurde, Leech — burknął. — Możesz ich wszystkich wsadzić sobie w tyłek razem z tym przeklętym filmem.

— Kolacja się nie udała? — spytała, wchodząc w rolę troskliwej żony.

— Jeszcze nie jedliśmy tej sakramenckiej kolacji — warknął Ryder. — Musiałem odwołać tych od zarcia, a oni i tak wciskają mi rachunek. Yitos zachorował. Bonnatti musiał

469

wyjechać. A Quinn się wkurwił. W poniedziałek mamy kolejną kolację.

— Jedzenie zamówisz w tej samej firmie?

— Żartujesz? Tym razem pójdziemy do „Chasens”. Paige kiwnęła głową.

— Mądry wybór. — Czekala, aż Ryder spyta ją o wyjazd do Nowego Jorku. Nie spytał. Dlaczego miałyby mieć wyrzuty sumienia, skoro było mu wszystko jedno?

Susan Martino Santangelo zostawiła trzy wiadomości. Paige oddzwoniła, aczkolwiek niechętnie. Pieprzę się z twoim mężem, mimo to nadal możemy być najlepszymi przyjaciółkami? Nie była pewna, czy powinna kontynuować tę grę.

— Muszę się z tobą zobaczyć — powiedziała Susan.

— Jestem zawałona robotą — odpowiedziała szybko Paige.

— To bardzo ważne — nalegała Susan, zniżając głos do szeptu.

Dowiedziała się? Paige miała chwilę wahania.

— No cóż...

— Przyjdź jutro na podwieczorek. O czwartej u mnie.

— Jakaś ty angielska!

— Proszę cię, przyjdź.

Paige westchnęła. Najlepiej stawić temu czoło od razu.

— Dobrze, przyjdę.

Gino myślał, że po wyjeździe Paige spędzi dwa dni z Lu-cky, a potem wróci na wybrzeże. Ale kiedy w końcu namierzył ją telefonicznie, poinformowała go bez tchu, że jest nieprawdopodobnie zajęta, że owszem, bardzo chętnie by się z nim spotkała, ale nie, w tej chwili to niemożliwe. Powiedzieć, że Gino był zgaszony, byłoby wielkim niedomówieniem. Był urażony i zły. Został w Nowym Jorku, żeby pobyć z córką, a ona miała go gdzieś.

Dzieci. Zrozumienie. Cóż one o tym wiedziały? Poświęciłeś im całe życie, a one nie raczą poświęcić ci nawet paru dni. Wygodniej mu było zapomnieć, że na kilka ostatnich dni zamknął się z Paige i że nie miał czasu dla nikogo — łącznie z Lucky.

470

— Nawet na kolację? — rzucił do słuchawki.

— Jestem dokumentnie usadzona, naprawdę — tłumaczyła się przeproszająco Lucky, choć słychać było, że jest nader szczęśliwa jak na kogoś, kto jest zbyt zajęty, żeby zjeść kolację z własnym ojcem.

— Jasne, rozumiem, dziecino.

Ale jej nie rozumiał. I postanowił, że wróci do Los Angeles wcześniej — żeby zaskoczyć i Susan, i Paige.

86

Zakochać się to tak, jakby wpaść pod wielką ciężarówkę i wyjść z tego bez śmiertelnych obrażeń. Gnębi cię tylko twarda gula w żołądku, która wędruje to w górę, to w dół. I głód, choć nie można przełknąć ani kęsa. I ataki to gorąca, to chłodu, nie wspominając już o tym, że jesteś wiecznie napalony, pełen nadziei i entuzjazmu, i że chwilami dobijają cię napady depresji.

Poza tym nie jesteś w stanie przestać się uśmiechać, ze zwariowaną namiętnością kochasz życie i czujesz się o dziesięć lat młodszy.

Miłość przychodzi bez żadnego ostrzeżenia. Ogarnia cię i pochłania niczym woda pływaka zepchniętego z wieży. Nie masz czasu myśleć, co się dzieje. Miłość jest nieuchronna. Jest zdarzeniem, nad którym nie da się zapanować. Przypomina szaleńczą, zapierającą dech w piersiach przejażdżkę diabelską kolejką w lunaparku, która musi tylko obrać właściwy kurs.

Ani Lucky, ani Lennie jej nie oczekiwali. Tak, oczywiście, ciągnęło ich ku sobie. Seks i tak dalej. Ale miłość?

Ejże.

Byli dwojgiem inteligentnych, zdeterminowanych i niezależnych ludzi, którzy sporo w życiu widzieli. Pragnęli robić karierę, wytknęli sobie konkretne cele: Lucky chciała zbudować hotel, Lennie chciał poszybować tak wysoko, jak tylko zdoła.

Ich związek był związkiem niemożliwym to utrzymania.

Ale był również związkiem dusz, które się odnalazły.

471

Związkiem dwojga namiętnych szaleńców pełnych zapалу do życia.

— Co my zrobimy? — spytała Lucky po dwóch dobach bycia razem. Po czterdziestu ośmiu podniecających, najnie-zwykleszych godzinach jej życia.

— Wyrwiemy się z obłądu, w jaki oboje popadliśmy, a potem zrobimy coś naprawdę głupiego, na przykład pobierzemy się, zestarzejemy i będziemy mieli gromadę dzieci. Cokolwiek, wszystko jedno co — zażartował Lennie. Tyle tylko, że mówił poważnie.

Lucky była oszołomiona. Przestała nad sobą panować. Co jej wcale nie przeszkadzało. Czuła się cudownie.

— Naprawdę?

— Cokolwiek — odrzekł z uśmiechem.

— Przestań to powtarzać.

— Dlaczego? Podnieca cię to? Wskoczyła na niego.

— Ty mnie podniecasz. Do szaleństwa. Chichocząc, tarzali się po łóżku w jej domu w East Ham-

pton. W domu, który należał do Giną i Marii, kiedy Lucky była małą ciekawską dziewczynką o wielkich oczach. Lennie przygniótł ją do poduszki i legł w poprzek jej ciała.

— Dlaczego ciągle ze mną walczysz, moja pani? Wysunęła język i sugestywnie oblizwała usta.

— Żebyś mógł mnie pokonać — odrzekła matowym głosem. — Lubię zwycięzców.

Zmiażdżył jej wargi pocałunkiem, a ona rozkoszowała się jego siłą,

dotykaniem jego ciała i zapachem skóry. Wszelkie skrupuły i wątpliwości legły w gruzach. Lennie podbił ją swoją urodą, poczuciem humoru, godnym podziwu talentem i łagodnością w stosunku do dzieci, nie wspominając już o sprawach łóżkowych. Pierwszy raz poznała takiego mężczyznę — był naprawdę kimś wyjątkowym.

Wystarczyła jedna randka. Przyjechał po nią i poszli do chińskiej restauracji, gdzie jedli sajgonki, siekaną wołowinę w pikantnym sosie i gdzie wypili butelkę wódki. Ugrzecz-niona rozmowa trwała dokładnie dziesięć minut. Potem zaczęli opowiadać o swoim życiu, wspominać, dzielić się doświadczeniami, słuchać, mówić, wyjawiać sekrety. Kiedy

472
o pierwszej nad ranem restaurację zamknięto, jeszcze nie skończyli, więc pojechali do klubu jazzowego w Greenwich Village, gdzie przesiedzieli do czwartej rano. Lucky pamiętała, że powiedziała wtedy:

— Nie chcę wracać do domu.

— A kto mówi o powrocie do domu? — odrzekł Lennie. Zaprowadził ją do knajpki, gdzie przychodzili kelnerzy

i robotnicy po nocnej zmianie i gdzie na małym parkiecie hasała wytapetowana kurwa. Siedzieli w kącie, pili kawę za kawą, słuchali bluesów Billiego Holidaya ze starej szafy grającej. I rozmawiali.

Lucky opowiedziała mu o rzeczach, o których nigdy dotąd nikomu nie mówiła. Opowiedziała mu o tym, jak odkryła zmasakrowane ciało matki, kiedy miała ledwie pięć lat. O tym, jak porzucił ich ojciec. O ucieczce ze szkoły z nastoletnią Olympią. O małżeństwie, do którego zmusił ją Gino, kiedy skończyła szesnaście lat.

— Nienawidziłam go wiele lat — mówiła. — Ale wiesz co? Chyba

zawsze go kochałam.

— Miłość i nienawiść. Skąd ja to znam? — współczuł jej Lennie.

I zaczęli rozmawiać o Alice, o tym, co przeżywał dorastając u boku matki, która traktowała go jak powietrze.

O ósmej rano przystanęli przed podziemnym garażem, gdzie stało jej ferrari. Rzuciła mu kluczyki i pokazała drogę do East Hampton.

Śpiewał Otis Redding z kasety, ruch był jeszcze niewielki, więc szybko dojechali na miejsce. W miejscowym supermarkecie kupili francuskie pieczywo, masło, bekon i jajka.

— Nie umiem gotować — wyznała Lucky.

— Za to ja umiem — zapewnił ją Lennie, wkładając do wózka pieczarki i pomidory.

Dom był zamknięty. Gospoia wyjechała na miesięczny urlop do rodzinnej Finlandii.

— Żaden problem — oznajmił Lennie, podnosząc okno w łazience na parterze i wślizgując się niegodnie do środka.

Nie chciało im się spać, ale po śniadaniu — Lennie przyrzędził je niczym zawodowy kucharz — poszli na górę, do wielkiej białej sypialni z wiklinowymi meblami, gdzie

473

kochali się niespiesznie i leniwie, jakby byli z sobą pierwszy raz. A potem usnęli, przytuleni do siebie i objęci.

Lucky obudziła się o zmierzchu. Lennie spał obok niej. Cicho zeszła do kuchni, otworzyła puszkę i przyrzędziła dwa duże kubki gorącej zupy ziemniaczanej. Włączyła stereo, puściła powolny soul i wróciła na górę. Obudził go pocałunkiem i podała mu kubek.

— Coś na wzmocnienie — wyjaśniła z uśmiechem. — Będziesz potrzebował dużo sił.

— Hej! — Upił łyk zupy. — Muszę oddać ci sprawiedliwość: umiesz otwierać puszki.

Roześmiała się cicho.

— Dla ciebie nauczę się gotować.

— Naprawdę?

— Nie. Ale to dobrze brzmi. Odstawił kubek i przyciągnął ją do siebie.

— Chodź tutaj.

Nie opierała się. Pragnęła, żeby ją dotykał. Czowała się wtedy jak naelektryzowana, a każda pieszczota była niczym delikatne, rozkoszne porażenie prądem.

Eksperymentowali ze swymi ciałami, drażnili się z sobą, wstrzymywali się, badali, które z nich wytrzyma dłużej, nim ulegnie ekstatycznemu orgazmowi.

— Jesteś niesamowita — powiedział, ani trochę nie przesadzając.

— Ty też jesteś niezły — odrzekła z uśmiechem.

Rozmawiali do późnej nocy. Opowiedziała mu o wygnaniu podatkowym Giną, o tym, jak przejęła rodzinny interes.

— Zbudowałam „Magiriano” — powiedziała z dumą. — Jako dwudziestopięcioletnia kobieta. Nie było mi łatwo.

— Wyobrażam sobie.

— Nie. Nie możesz sobie tego wyobrazić.

— Spróbuję.

— Spróbuj tego.

Chciała poczuć go w ustach. Chciała poczuć tę sztywność, pulsowanie

jego męskości. Chciała mieć go w swojej mocy, rzucić na niego urok.
Jęknął z rozkoszy.

474

Uśmiechnęła się triumfalnie.

Wyznał, że dręczyła go namiętna obsesja na punkcie Eden. Jakież to trywialne.

— Jak wyglądała? — spytała Lucky.

— Chuda, drapieżna blondyna.

— Jakbyś opisywał ptaka.

— Była bardzo piękna.

— To ważne?

— Nie.

Rozsunął jej oliwkowe uda i ukrył między nimi głowę. Jej kędzierzawe włosy łonowe przypominały w dotyku jedwab. Smakowała jak piżmo, jak zmiążdżone kwiaty. Słodko i jednocześnie gorzkawo.

Zarzuciła ręce za głowę i cicho powtarzała jego imię, aż wyssał z niej pożądliwie wszystkie soki, aż wstrząsnął nią pulsujący spazm całkowitego oddania.

Resztę nocy przespali.

Rano zadzwonił Gino. Nie pamiętała, czym się wymówiła. Nie chciała, żeby w jej chwili z Lenniem wkroczyła rzeczywistość. Niedługo wróci Dimitri i trzeba będzie załatwić wiele spraw.

87

Francesca zaciągnęła się dymem z długiej, cienkiej cygaretki. Leciąły z Olimpią do Paryża. Samolotem Dimitriego.

— Nigdy nie myślałaś o serii zastrzyków odchudzających? — spytała z

szorstką bezpośredniością. — W Szwajcarii jest taka klinika, specjalizuje się w likwidowaniu nadwagi.

— Tak? — spytała promiennie Olympia. — To tam robili ci lifting?

Francesca nachmurzyła czoło.

— Nigdy nie robiłam sobie liftingu — zełgała.

— Nie? — spytała niewinnie Olympia.

— Nie — odparła stanowczo Francesca.

Rozmowa utknęła. Olympia żałowała, że nie poleciał z nią Flash.

Wyobraziła sobie jego spotkanie z FF. Cóż to by było za zderzenie!

475

Wezwała stewardesę, wysoką, opaloną Szwedkę o lodowatym uśmiechu.

Kiedy samolotem podróżował Dimitri, robiła za jego osobistą sekretarkę.

Olympia była pewna, że nie tylko za sekretarkę.

— Chcę coś w polewie czekoladowej — zażądała. — Co może być?

— Mrożony krem, lody z bananami, świeże borówki...

— Truskawki?

— Nie, czarne borówki.

— Będą musiały wystarczyć borówki. Tylko w polewie. Szwedka posłała jej zimny uśmiech i wróciła do kuchni.

— Borówki w czekoladzie?! — rzuciła strofująco Francesca, wachlując swą końską twarz najnowszym numerem „Vogue'a”. — Cóż za desperacja.

Pewna siebie Olympia — nie ma to jak kokaina! — obdarzyła ją uśmiechem.

— Znam bardziej zdesperowanych — odrzekła i sięgnęła po słuchawki.

— Jakie to cywilizowane — zauważyła Paige, spoglądając na stół.

Susan przygotowała angielski podwieczorek: cieniutkie jak papier kanapki

z ogórkiem, trójkątne placuszki z jęczmiennej mąki z odrobiną śmietanki i dżemu, imbirowe ciasteczka i herbatę Earl Grey. Do tego talerzyki z delikatnej chińskiej porcelany, filiżanki i tacki.

— Na jachcie Stanislopoulosa podwieczorek podawano codziennie o czwartej — oznajmiła dumnie Susan.

— Musiało być milutko — odrzekła obojętnie Paige.

— Było cudownie. — Susan westchnęła. Rejs naprawdę jej się podobał. Żałowała tylko, że uległa zboczonym awansom contessy. — Szkoda, że cię tam nie było — dodała, obmacując Paige intymnym spojrzeniem.

Paige łapczywie jadła kanapkę. Czyż nie powiedziała jej przed rejssem, że wszystko między nimi skończone? Czyżby Susan nie zrozumiała?

Siedziały na sofie obitej bladobeżowym adamaszkiem.

— Tęskniłam za tobą — szepnęła Susan, przysuwając się bliżej. Położyła rękę na jej ramieniu. — Bardzo.

476

Popołudniową ciszę przerwało brzęczenie pszczoły. Paige poruszyła się niespokojnie. Romanse — dlaczego tak trudno je skończyć? Z mężczyzną czy z kobietą, zawsze musiało dojść do ostatniej potyczki.

Wzięła głęboki oddech i wstała.

— Susan, kochanie — zaczęła, patrząc na idealnie zadbaną blond przyjaciółkę. — Wiem, że kiedyś łączyło nas coś dobrego. — Szczególny nacisk położyła na słowo „kiedyś”. — Ale czas mija, wszystko się zmienia. Przed rejssem mówiłam ci, że postanowiliśmy z Ryderem dać naszemu małżeństwu jeszcze jedną szansę.

Czyste, błękitne oczy Susan — chirurg starannie usunął kurze łapki i pięknie wygładził skórę — wypełniły się łzami.

— Wiem, wiem... — Próbowwała nad sobą zapanować. — Ale ja cię potrzebuję, Paige. Tyle dla mnie znaczysz. Tyle znaczyłyśmy dla siebie. Paige zerknęła niespokojnie w stronę drzwi. Gdyby podsłuchał ich ktoś ze służby, byłoby niedobrze. Susan poszła za jej wzrokiem i wstała.

— Dałam im wolne na resztę dnia — powiedziała. — Wrócą dopiero późnym wieczorem. A Gemma wyjechała do San Francisco. Jesteśmy same — dodała znacząco.

Paige kiwnęła głową. Jeszcze jeden raz z Susan. Na pożegnanie.

Nie tak chciała to załatwić, ale wszystko na pewno wypali.

88

Wróciła rzeczywistość. Lennie musiał robić karierę. Miał zobowiązania.

Zadzwoił do Los Angeles, do Jess. Wrzeszczała jak oszalały Indianin.

— Gdzie ty się podziewasz? Na miłość boską, powiedziałeś, że wrócisz za dwadzieścia cztery godziny. I nagle znikasz jak kamfora! Do diaska, za dwa dni masz nagranie do nowego serialu! Ci z telewizji dostają szału, ja też! Gdzie

477

ty jesteś?! Chryste, czy ty masz choć odrobinę poczucia odpowiedzialności?!

— Uspokój się, bo dostaniesz ataku serca.

— Jestem za młoda na atak serca — odparowała zgryźliwie. — A ty jesteś za młody na to, żeby spieprzyć sobie karierę tylko dlatego, że znowu przestałeś panować nad swoim pieprzonym kindybałem! Co się stało z facetem, którego kiedyś znałam i kochałam?

— Mówisz jak prawdziwa księżniczka.

— A ty jak ostatni kutas.

— Skoro wiemy już, kim jesteśmy, przejdźmy do rzeczy. Dzwonię, żeby zawiadomić cię, że jutro wracam.

— Wspaniale — prychnęła z niesmakiem. — Cudownie. I co zrobisz? Prosto z lotniska pojedziesz do studia?

— Powiedziałaś, że mam dwa dni czasu.

— Zgadza się. Dzisiaj i jutro. W hotelu czeka na ciebie scenariusz. Przeczytaj go w samolocie. Nagrywasz w poniedziałek o ósmej. — Zamilkła i po chwili dodała. — Lennie?

— Tak?

— Nic. Chcę ci tylko powiedzieć, że cię nienawidzę. Roześmiał się.

— A ja cię kocham.

— Odwal się — mruknęła z niechęcią.

Odłożył słuchawkę. Lucky siedziała ze skrzyżowanymi nogami na łóżku. Bez makijażu, w obszernej bluzie, w białych skarpetkach i z warkoczykami na głowie wyglądała jak śliczna szesnastolatka.

— Świat się o nas dopomina — powiedział. Wzruszyła ramionami.

— Musiało tak być. Spojrzał jej w oczy.

— Szkoda, że nie możesz ze mną jechać.

Poważnie kiwnęła głową, pragnąc tego samego co on, lecz oboje wiedzieli, że to niemożliwe. Niedługo wracał Dimitri z synkiem i musiała załatwić masę spraw, zanim będzie mogła dzielić z Lenniem resztę życia. Wiele godzin rozmawiali o wspólnej przyszłości i jedynym sposobem na jej urzeczywistnienie było krótkie rozstanie. Lucky miała

478

powiedzieć Dimitriemu, że się z nim rozwodzi. Lennie miał porozumieć się z Olympią.

— Nie chcę cię zostawiać — szepnął, gładząc jej nogę.

— Myślisz, że chcę, żebyś wyjeżdżał? — odrzekła. I mówiła szczerze.

Wziął ją w ramiona i łagodnie ukołysał.

Wdychała jego specyficzny zapach i była szczęśliwa.

— Drzysz — zauważył z troską. Przytuliła się mocniej.

— Zimno mi.

— Rozstajemy się na krótko.

— Wiem.

— Mogę tu być już w piątek, po nagraniu. Złapię nocny samolot z LA, spotkamy się tutaj i będziemy mieli dla siebie całą sobotę i prawie całą niedzielę.

Roześmiała się cicho.

— Zrobię coś pysznego do jedzenia.

— Właśnie. Kup tonę puszek. Twoja ziemniaczanka jest godna królewskiego podniebienia!

— Poczekaj, aż spróbujesz moich grzybków. Głowę daję, że nigdy czegoś takiego nie jadłeś.

— Wiesz? To były najpiękniejsze chwile w moim życiu. Chcę, żebyś o tym wiedziała.

Musnęła jego policzek. *

— Wiem.

I kochali się znowu, tak delikatnie i czule, jak nigdy dotąd.

Noc przespała bezpiecznie w jego ramionach, a wczesnym rankiem wrócili w milczeniu do Nowego Jorku.

Idylla dobiegła końca.

Kiedyś zostawił ją Marco...

Już nigdy nie ujrzała go żywego...

89

Gino nie lubił się starzeć. Z jednej strony nie miał nic przeciwko temu, bo tylko szczęściarze dożywali jego wieku. Ale z drugiej strony starość to paskudna rzecz. Aż tu nagle,

479

a miał już siedemdziesiąt cztery lata, dostrzegł światełko na końcu tunelu i wyglądało na to, że z każdym dniem światełko jest coraz bliżej.

W przeciwieństwie do Costy jeszcze się nie rozsypywał. Wciąż miał własne włosy, co prawda siwe, za to gęste i mocne. I własne zęby.

Wszystkie, co do jednego. Od ataku serca przed laty nie dolegało mu nic poważnego. Ot, czasami cierpiał na niestrawność, dokuczał mu odnawiający się wrzód żołądka, pobolewały go ramiona. Poza tym nic niepokojącego.

Będąc w Nowym Jorku, poszedł do swego lekarza na gruntowne badanie. — Jest pan w znakomitej formie — zapewnił go doktor. — Ma pan serce i płuca pięćdziesięciolatka.

Chromolić pięćdziesięciolatków. Chciał mieć serce i płuca dwudziestolatka. Nieuchronność śmierci to przerażająca rzecz.

W drodze do Los Angeles flirtował ze stewardesą. Miała rudawe włosy — czym przypominała mu Paige — i zuchwałą, ale śliczną twarz — czym przypominała mu Cindy, pierwszą i jakże perfidną żonę sprzed lat.

Owszem, była całkiem chętna. Nie wiedział, czy dlatego, że nie mogła oprzeć się jego czarowi, czy dlatego, że wyczuła duże pieniądze. Bo wyczuć mogła, i to z łatwością. Szyty na miarę garnitur, jedwabna koszula, złoty rolex za sześć tysięcy dolarów — wiedział, że gdyby zaprosił ją na

kolację, bez wahania powiedziałyby „tak”. Kobiety. Łatwizna. Skąd on to znał?

Ale nie, nie zaprosił jej. Odczuwał coś w rodzaju poczucia lojalności w stosunku do Paige. Paige pochłaniała jego całą uwagę. Pochłaniała go całego, każdy centymetr. A owszem, jeśli o to chodzi, miał tych centymetrów, że hoho! Całkiem sporo. Całkiem sporo.

Susan go rozczarowała. Pod maską elegancji i szyku była zimna i jakoś nigdy nie udało mu się do niej dotrzeć.

Z lotniska pojechał taksówką do Beverly Hills. Powinien był zatelefonować do Susan — przysłałaby po niego limuzynę z szoferem — ale wyjechał w pośpiechu — Lucky nie miała dla niego czasu — poza tym chciał ją zaskoczyć.

480

Spodobał mu się ten pomysł. Susan była taka metodyczna, taka zorganizowana, więc małe zaskoczenie dobrze jej zrobi.

Taksówkarz był obcokrajowcem. Gadał non stop łamaną angielszczyzną na każdy temat, jaki przyszedł mu do głowy. Gino tylko pochrząkiwał, ale kiedy przeskoczyli dwa skrzyżowania na czerwonym świetle, kazał mu trochę zwolnić.

Taksiarz uśmiechnął się i machnął ręką o serdelkowatych palcach.

— Panie, ja nikt nie zabić! — zażartował, niemal ocierając się o biedną staruszkę przechodzącą przez jezdnię. — Bździągwa! — wrzasnął, wychyliwszy się przez okno.

— Kutas! — odwrzasnęła starowina, co i Ginowi, i taksówkarzowi dało trochę do myślenia.

Beverly Hills było wypieszczone, spokojne i doskonałe. Jak moja żona,

pomyślał Gino, płacąc taksówkarzowi i dodając suty napiwek.

— Pan to prawdziwy dżentelmen! — rzucił taksjusz i odjechał z piskiem opon.

Gino szedł w stronę domu. Przez trawnik przebiegły dwie wiewiórki. Na podjeździe stał rolls Susan, a za nim złocisty porsche Paige.

Dwa ptaszki za jednym strzałem. Zobaczy się z Paige wcześniej, niż przypuszczał.

Przyspieszył kroku i wyjął klucze.

Pozbywszy się Franceski, którą uważała za larwę stulecia — jeszcze gorszą od Lucky, jeśli to w ogóle możliwe — Olympia udała się na poważne zakupy. Chciała wrócić do Nowego Jorku z zupełnie nową garderobą i z Flashem pod rękę. Sezon na przyjęcia rozpoczynał się we wrześniu i nie chciała przegapić ani jednego.

O Lenniem nie myślała wcale. Lennie to stare dzieje. Jakby już się z nim rozwiodła. Jak tylko przyleci do Nowego Jorku, każe adwokatowi rozwiązać to małżeństwo.

481

Susan leżała naga i drżąca. Jej gładka, alabastrowa skóra nie widziała słońca południowej Francji. Była ideałem bładoci, a cielesny krajobraz szpeciła tylko maleńka blizna po operacji wyrostka robaczkowego.

Paige rozebrała się do ciemnoczerwonych majteczek i koronkowego stanika na bujnych piersiach. Patrzyła na Susan i nie odczuwała żadnego podniecenia. Cała namiętność zniknęła, pomyślała.

Piersi Susan były sflaczałe, a wycicowane sutki czekały, aż ktoś postawi je na baczność. Zawsze oczekiwała, że to Paige odwali całą robotę. Paige uznałaby to kiedyś za przyjemne wyzwanie, ale teraz nie wiedziała, od

czego zacząć. Pomacała tu, uszczypnęła tam — Susan szybko się podniecała.

Paige zacisnęła zęby i nachyliła się, żeby stawić czoło zadaniu.

Adwokat Dimitriego wprowadził Franceskę do gabinetu z wielką atencją.

Sam Dimitri kazał mu potraktować ją z jak największą troskliwością.

— Zrób wszystko, czego zażąda — polecił. — Musi natychmiast dostać rozwód. Nie chcę żadnych opóźnień. Kiedy to załatwisz, postanowię, co zrobić z moją obecną żoną.

— Dimitri — jęknął adwokat. — Jeśli myślisz o rozwodzie z Lucky, będzie cię to kosztowało fortunę.

— Zapomniałeś, że podpisała intercyzę? — zauważył Stanislopoulos.

— Tak, ale ty podpisałeś dokument, który pozwala jej na sfinansowanie budowy hotelu w Atlantic City z twojego portfela. A to może kosztować wiele milionów.

— Nigdy tego hotelu nie zbuduje — zbył go Dimitri. — A jeśli nie dokona tego osobiście, umowa straci ważność. Poza tym jest tam jeszcze klauzula ograniczająca ją w czasie. Nie jestem głupcem.

— Oczywiście, że nie — odrzekł adwokat, myśląc, że facet, który woli Franceskę Fern od Lucky Santangelo, musi cierpieć na galopujący uwiąd starczy.

482

Francesca siedziała przed nim w krótkiej jedwabnej spódnicy, w czarnych pończochach i w szpilkach. Pachniała Caleche, paliła ohydne cygaretki i cierpiała na gwałtowne ataki paskudnego kaszlu. Nogi miała ciężkie, a ilekroć je zakładała i rozprostowywała, a robiła to bardzo często, adwokat widział, że nie miała na sobie majtek.

— Jeżeli zdecyduję się opuścić męża na prośbę pana Stanislopoulosa — wychrypiała — Horacemu należy się sowita rekompensata. Z kieszeni pana Stanislopoulosa, oczywiście, nie z mojej. Czy to jasne?

— Tak, madame Fern — potwierdził uprzejmie adwokat. — Dimitri wyjaśnił mi wszystko podczas wczorajszej rozmowy telefonicznej. Byli z sobą po imieniu, co Francesca zignorowała, ponieważ sugerowało to znajomość bliższą, niż by sobie tego życzyła. Uważała, że wszyscy, którym się płaci, są zwykłymi wyrobnikami i traktowała ich jak wyrobników.

— Jeśli dojdzie do rozwodu — myślała głośno Francesca — trzeba sporządzić odpowiednie dokumenty, które podpiszę z panem Stanislopoulosem.

— Naturalnie — odrzekł adwokat. W przypadku tych dwojga małżeństwo bez intercyzy byłoby nie do pomyślenia.

— Mam wiele potrzeb. — Dmuchnęła mu dymem w twarz i znowu założyła nogę na nogę.

— Jestem o tym przekonany, madame Fern — łagodził adwokat, nienawidząc tej wstrętnej kobyły, która mówiła do niego jak do pacholka. A kiedy mu te potrzeby wyłuszczyła, znienawidził ją jeszcze bardziej. Była nie tylko suką. Była suką wyrachowaną. Jej żądania zaś napawały oburzeniem. Miał nadzieję, że kiedy przedstawi je Dimitriemu, ten poczuje się równie znieważony jak on.

Żądała mianowicie olbrzymiego zadośćuczynienia finansowego w dniu rozwodu z Horacym. Kolejnej fortuny w dniu ślubu z Dimitrim.

Olbrzymich sum za każdy rok pożycia małżeńskiego. Potężnych kwot na wydatki miesięczne. Apartamentu w Paryżu i piętrowego domu w Nowym

Jorku. Tygodniowego budżetu na stroje, który wy-

483

starczyłby na dożywotnie wyżywienie całej rodziny. Oraz specjalnej klauzuli w intercyzie, wedle której musiała spędzać w towarzystwie Dimitriego tylko sześć miesięcy w roku. Pozostałe pół roku będzie mogła podróżować, dokąd tylko zechce.

Kiedy mówiła, adwokat próbował zachować kamienną twarz, ale dostał nerwowego tiku policzka.

— Mam nadzieję, że wszystko pan zapisał — powiedziała, wstając i wygładzając spódnicę.

Adwokat też wstał.

— Tak, madame — odrzekł uprzejmie.

— To dobrze — odrzekła wyniośle. I bez słowa pożegnania wyszła z gabinetu.

Adwokat natychmiast podniósł słuchawkę telefonu.

Trudno powiedzieć, żeby miło mu było wracać. Dom w Beverly Hills bardziej przypominał wystawę niż prawdziwy dom.

Późne popołudnie. Ciszę burzyło tylko brzęczenie pszczoły.

Gino wszedł do salonu i zauważył napoczęty podwieczorek na stoliku do kawy. Poczęstował się kanapką z ogórkiem i zajrzał do kuchni, gdzie również nie było nikogo. Ruszył na górę, przekonany, że Susan pokazuje Paige jakąś nową kreację od projektanta mody. Kobiety i stroje. Szły w parze jak pieniądze i władza. Wydawały fortunę na drogą kieckę, żeby mieć ją na sobie tylko raz. Kto je zrozumie?

Poczuł perfumy Paige. Olejek piżmowy. Obficie się nim zlewała. Lepsze to niż mdląco słodkie Joy, ulubione perfumy Susan.

Uśmiechnął się do siebie. Gino Santangelo, ekspert od zapachów. Ulicznik z czułym nosem!

Otworzył drzwi do sypialni i znieruchomiał. Powitał go żywy obraz. Dwie kobiety skamieniałe z szoku.

Blondynka, niemłoda już, ale dobrze zakonserwowana. O białej, bielutkiej skórze i nieciekawych piersiach.

I rudowłosa. Hoża i rozpustna.

Zabawiały się z sobą. Pokaż mi swoją, to pokażę ci moją.

484

W całym domu panowała cisza. Jedynym dźwiękiem, jaki słyszał, był ryk w jego głowie.

90

Lucky próbowała się skoncentrować. Nie było to łatwe. Ciągle myślała o Lenniem, a ilekroć o nim myślała, na jej twarzy wykwitał głupawy uśmiech i czuła się jak kompletna idiotka.

— Co w tym śmiesznego? — pytał jeden z architektów, z którym się naradzała. Był atrakcyjnym trzydziestoparolat-kciem i kiedyś mogłaby spędzić z nim wieczór. Teraz wszystko się zmieniło.

— Nic — odpowiadała, nie przestając się uśmiechać. Flirtował z nią oczyma.

— W takim razie musi mieć pani bardzo wesołe usposobienie.

Nie chciała go prowokować, najwyraźniej zachęcał go ten przyklejony uśmiech.

— Niech pan to powie mojemu mężowi — wypaliła bezceremonialnie i się odwróciła.

Dimitri. Co z nim zrobić? Odkąd opuściła jacht i wróciła do Nowego

Jorku, w różnych gazetach i czasopismach pojawiały się serie zdjęć zrobionych przez wszędobylskich paparazzi. Wszystkie przedstawiały Dimitriego z Franceską. Dimitri i Francesca wchodzący na pokład jachtu. Dimitri i Francesca schodzący na ląd. Dimitri i Francesca wymykający się z nocnego klubu. Dimitri i Francesca przed drzwiami restauracji. Objęci, uśmiechnięci. Para nie do pobicia. Dimitri Stanislopoulos i Francesca Fern.

Prasa ich uwielbiała! Starzejący się miliarder i prima donna wśród aktorek. Ona zamężna, on żonaty, oboje ekstrawagancy — czyż można wymarzyć sobie lepsze zdjęcie na okładkę?

Lucky była zachwycona, że małżeństwo nie przytłumiło jego zainteresowania Franceską. Tym łatwiej będzie jej powiedzieć mężowi, że wszystko między nimi skończone. Wymówka doskonała. Żałowała, że nie może zostawić mu

485

krótkiego liściku. Ot, choćby takiego: DROGI DIMITRI. Z OCZYWISTYCH POWODÓW ZWALNIAM CIĘ Z MAŁŻEŃSKICH OBOWIĄZKÓW. POZOSTAŃMY PRZYJACIÓŁMI. LUCKY.

Jakie to czyste i proste.

Jednak instynkt podszeptował jej, że nie odbędzie się to w tak cywilizowany sposób.

W Paryżu Olympia nakupiła ubrań za trzysta tysięcy dolarów. Nie licząc kurtki z soboli i ekstrawaganckiej biżuterii. Zrobiła również duży zapas najwyższej jakości kokainy, środka, bez którego nie mogła już normalnie funkcjonować. Jakie to szczęście, że urodziła się w rodzinie miliardera.

Nie umiała sobie wyobrazić, żeby jakikolwiek mężczyzna zechciał wydać

na nią tyle pieniędzy. Mężczyźni wiecznie sknerzyli, bez względu na to, ile mieli pieniędzy. Od lat obserwowała Dimitriego: rzadko kiedy sięgał do kieszeni, chyba że chodziło o niego samego albo o Fran-ceskę.

Zerknęła na podstarzałą aktorkę siedzącą po drugiej stronie przejścia w prywatnym odrzutowcu Dimitriego. Co on widział w tej starej pudernicy? I dlaczego po tylu latach nic w tej sprawie nie zrobił?

Zastanawiała się nad powodem jej nagłej i nieoczekiwanej podróży do Paryża. Po powrocie spyta Dimitriego. Może jej to wyjaśni. A może nie. Nachyliła się w jej stronę.

— Zrobiłaś jakieś zakupy? — spytała.

Francesca zaszczyliła ją spojrzeniem głęboko osadzonych oczu, upiękuszonych długimi sztucznymi rzęsami.

— Zakupy mnie nudzą.

— Mnie nie — odrzekła Olympia, demonstracyjnie odgarniając włosy ręką ozdobioną krzykliwą bransoletą z rubinami. — Piękne rzeczy mnie podniecają.

FF uśmiechnęła się łaskawie.

— Gdybyś przepracowała w życiu choć jeden dzień, może zdałabyś sobie sprawę, że zakupy to tylko pożywka dla umysłu bogaczy.

486

— Co za bałach! — odrzekła Olympia. Powiedziałyby coś więcej, ale samolot wpadł w letnią burzę i nagle turbulencje zamknęły jej usta.

A na południu Francji Dimitri cierpliwie czekał na powrót kochanki.

Obserwował Roberta i Brigitte chlapiących się wodą w basenie. Zbywał ostrożne pytania Horacego. Wysłuchiwał przez telefon swego paryskiego adwokata i ryknął śmiechem, gdy ten przedstawił mu listę żądań

Franceski.

— Daj jej wszystko, czego chce — zadudnił. I mówił serio.

Francesca nareszcie będzie należała do niego. Nie dbał o to, jakim kosztem.

Lennie wrócił do Los Angeles, do pustego mieszkania i do wściekłej Jess. Producenci „U źródeł” też nie skakali z radości. Zwłaszcza kiedy zaczął narzekać na scenariusz, który podesłali mu do Nowego Jorku, i który przeczytał w samolocie.

— Przecież to gówno — zawyrokował.

— Odwal się — powiedzieli. — Jutro zaczynamy zdjęcia. Chciałeś zmian, trzeba było tu być.

Lennie przesiedział całą noc, nanosząc poprawki, próbując się skoncentrować i myśląc o Lucky. Dzwonił do niej co godzina, aż powiedziała:

— To czyste wariactwo. — Mimo to nie przestali rozmawiać.

— Muszę się trochę przespać — oznajmiła w końcu. — Jutro przylatuje Dimitri, muszę trzeźwo myśleć.

— Zadzwoń do mnie. Wrócę ze studia koło ósmej tutejszego czasu.

Ułożyli cały scenariusz. Lucky się nie wahała. Kiedy to tylko będzie możliwe, miała powiedzieć Dimitriemu, że wszystko między nimi skończone, wyprowadzić się z jego nowojorskiego mieszkania i wraz z synkiem i Cee Cee zamieszkać w domu w East Hampton. Wówczas do działania mieli przystąpić adwokaci.

487

Wydawało się, że załatwi to bez żadnych problemów. Lecz jej przenikliwa intuicja podszeptowała, że będzie zupełnie inaczej.

Olympia natychmiast wyczuła, że coś jest nie tak. Latała wystarczająco często, żeby zorientować się, że są jakieś kłopoty. Przygotowywali się do lądowania stanowczo za długo.

Szwedzka stewardesa zbladła mimo opalenizny. I nie miało to nic wspólnego z frontem burzowym, przez który się przedarli.

— Co się stało? — spytała, chwytając ją za rękę. Stewardesa uśmiechnęła się mdłym uśmiechem.

— Nic się nie stało — odrzekła.

— Niech mi pani nie wciska kitu — odrzekła dziwnie spokojna Olympia.

— Mamy drobny problem z podwoziem.

— Jaki problem?

— Zaklinowało się.

— Cudownie!

— Zaalarmowaliśmy już lotnisko w Nicei, ale kapitan uważa, że podwozie wyjdzie, zanim będziemy musieli zastosować procedurę lądowania awaryjnego.

Olympię ogarnęła panika. Ale tylko na chwilę. Spojrzała na Franceskę — primadonna spała.

— Proszę jej nie budzić, dopóki nie będzie to konieczne — rozkazała.

Stewardesa kiwnęła głową, wyraźnie roztrzęsiona pod maską chłodu i opanowania.

— Na jak długo starczy nam paliwa? — spytała Olympia.

— Na dwadzieścia minut.

Dwadzieścia minut na uruchomienie i wypuszczenie podwozia.

A jeśli podwozie odmówi posłuszeństwa? Olympia sięgnęła po kokainę.

Prywatny samolot Dimitriego Stanislopouloza roztrzaskał się podczas lądowania awaryjnego w piątek o siódmej czterdzieści pięć wieczorem. Na pokładzie było dziewięć osób. Siedmioro członków załogi i dwie pasażerki.

Lądując w morzu piany, przechylona na burtę maszyna przeorała brzuchem pas startowy i stanęła w płomieniach. Dwóch członków załogi i jedna pasażerka zdołali ująć z życiem z ognistego piekła. Wszyscy troje byli ciężko poparzeni.

Pozostałe osoby zginęły.

KSIĘGA TRZECIA

Lato roku 1983

i

Carrie Berkeley uśmiechnęła się do Bryanta Gumbela, z którym zabawiała widzów Ameryki jako gość programu Tonight Show. Był wczesny ranek i ulice Nowego Jorku zalewała fala straszliwego upału. Natomiast w klimatyzowanym studiu NBC na Rockefeller Centre Carrie Berkeley, doskonale zakonserwowana i wytworna sześćdziesięciodzie-więciolatka, oraz Bryant Gumbel, jeden z najlepszych komików telewizyjnych, żonglowali słowami, wymieniali spojrzenia i wesoło się z sobą droczyli. Carrie promowała swoją książkę napisaną przy współpracy z Anną Robb. „Księga urody i stylu Carrie Berkeley” — wydanie w miękkiej okładce — szybko pięła się na czołowe pozycje listy bestsellerów. Wydanie w twardej okładce utrzymywało się na liście bestsellerów „New York Timesa” aż przez siedem tygodni.

Bryan Gumbel uśmiechnął się zniewalającym uśmiechem i zakończył wywiad.

Bardzo atrakcyjny młodzieniec, skonstatowała Carrie. Mężczyzna, którego chciałaby przedstawić swojej córce — gdyby ją miała.

W Zielonej Sali dołączyła do chudego specja od reklamy, przydzielonego jej przez wydawcę. Miał włosy w kolorze marchewki i ujmujący uśmiech. Według powszechnej opinii był gayem.

— Byłaś znakomita! — wykrzyknął entuzjastycznie. — Jak zawsze.

493

— Mówisz tak, cokolwiek zrobię — docięła.

— Oczywiście. Nie jestem głupi. Wziął ją pod rękę i wyszli przed gmach.

Na ulicy czyhało kilku łowców autografów. Jeden z nich podsunął jej do podpisania „Księgę” z oślimi uszami. Podpisała się z wielkim zakrętasem.

Przy krawężniku czekała limuzyna, która miała zawieźć ją na następne spotkanie. Spoczęła wygodnie na miękkim skórzanym siedzeniu i pomyślała — a dumiała nad tym co najmniej kilka razy dziennie — jak to się stało, że jej życie potoczyło się tak, a nie inaczej. Ona, Carrie Berkeley, autorką! Dzięki wydatnej pomocy Anny Robb. Bardzo się z sobą zaprzyjaźniły. Zaprzyjaźniły się do tego stopnia, że Carrie pozwoliła Annie wydrzeć sobie najtajniejsze sekrety z przeszłości. I już od roku siedziała z nią nad swoją autobiografią. Spłodziły wybuchowe dzieło — niedawno ukończyły pracę — i były gotowe przedstawić maszynopis wydawcy.

— Możemy liczyć na pół miliona dolarów zaliczki — oznajmiła spokojnie Anna podczas ich ostatniego spotkania. — Ta historia to prawdziwy dynamit.

Carrie zastanawiała się, czy warto zdradzać sekrety swego życia za takie

honorarium. Z drugiej strony nie pisała tej książki dla zysku. Anna przekonała ją, że tę historię po prostu trzeba opowiedzieć. I czytając maszynopis, maszynopis zawierający tak bolesne wspomnienia, że czasami z trudem przewracała kartki, Carrie zdała sobie sprawę, że przyjaciółka miała rację.

Jak dotąd nikt o tej książce jeszcze nie wiedział. Nawet Steven. Nawet Fred Lester. Carrie i Anna zachowały rzecz tylko dla siebie.

— Najpierw musimy pokazać maszynopis Fredowi — trapiła się Anna. — Nie sądzę, żeby zapłacił pół miliona, ale niech ma wybór, poza tym zasługuje na to, żeby być pierwszym.

Carrie się z nią zgodziła. Wiedziała już o jej związku z Fredem Lesterem. Przez wiele miesięcy Anna trzymała to w tajemnicy, ale kiedyś się wysypała.

— Masz dużo szczęścia — powiedziała Carrie. — To taki miły człowiek.

494

— Owszem — potwierdziła Anna.

— Myślałaś o zamążpójściu? — spytała Carrie, nie wiedząc, dlaczego jest taka zawiedziona.

— Nie — odrzekła Anna i już nigdy potem nie wracały do tego tematu.

Carrie bardzo się denerwowała, że tysiącstronicową autobiografię będzie czytał ktoś obcy. Starannie wystukany maszynopis zawierał wszystko. Jej życie, jej hańbę, jej najin-tymniejsze sekrety.

Za to jaką ulgę odczuła, wreszcie to z siebie wyrzucając. Przeżyła prawdziwe katharsis.

Niepokoila się o reakcję Stevena. Anna słusznie zauważyła, że Steven jest już dorosły.

— Powinnaś zrobić to, co uważasz za słuszne — powiedziała. — A Steven musi zaakceptować twoją decyzję.

Carrie o tym wiedziała. Mimo to nie przestawała się martwić.

— Jestem gotowa — odrzekła Mary-Lou z determinacją w wielkich, brązowych oczach. — Zawalczę i wygram!

— Jesteś tego absolutnie pewna? — spytał Steven Berkeley. — Nie będzie łatwo. Ci ludzie chcą cię za wszelką cenę usadzić.

— Jestem więcej niż pewna — odrzekła zawzięcie Mary--Lou.

— W takim razie czeka nas rozprawa w sądzie — rzekł spokojnie Steven.

— Data jest ustalona. Nie będzie już żadnych odroczeń.

— I żadnych zeznań. — Mary-Lou westchnęła z ulgą. — Nienawidzę tego. Nienawidzę tych wszystkich dzianych adwokatów, którzy wgryzają się w życie człowieka jak małe, ohydne larwy.

Steven parsknął śmiechem.

— Umiesz tworzyć wdzięczne porównania. Spojrzała mu w oczy.

— Ty też, panie mecenasie.

Uciekł wzrokiem w bok i zajął się stertą papierzysk na biurku. Mary-Lou posyłała mu ostatnio bardzo namiętne

495

spojrzenia. Nie chciał ich interpretować. Ona była klientką, on adwokatem, to wszystko. W ciągu ostatnich trzech lat zmieniła się z topornej nastolatki w ciepłą, młodą kobietę. Była to nader ciekawa transformacja. Kiedy się poznali, Mary-Lou nie robiła kroku bez matki, menadżerki i bez aktualnego przyjaciela. Teraz była zupełnie samodzielna, zatrudniała porządnego agenta tudzież menadżera i z tego, co zaobserwował, nie miała żadnego chłopaka. Przychodziła do kancelarii

sama i z godnością znosiła długie, nużące procedury, które miały ich doprowadzić do finalnej rozprawy w sądzie.

— Co byś powiedział na lunch? — spytała wesoło. — Niedługo rozprawa, powinniśmy to jakoś uczcić, prawda?

Była bardzo pociągająca, ale taka młoda — miała zaledwie dwadzieścia lat... Poza tym zawsze uważał, że nie wolno mieszać życia prywatnego z interesami.

— Jestem umówiony z klientem — skłamał przepraszająco.

— Ja też jestem twoją klientką — zauważyła, przekrzywiając głowę.

— Wiem. I w trakcie rozprawy zjemy razem mnóstwo lunchów.

— Nie mogę się doczekać!

Kiedy wyszła, siedział chwilę w ciszy. Czy postąpiłby źle, zapraszając ją na lunch?

Tak.

Dlaczego?

Bo to jeszcze dziecko.

Miał czterdzieści pięć lat, mógłby być jej ojcem. A ona była aktorką, gwiazdą.

No i co z tego?

Może kiedy proces dobiegnie końca, umówi się z nią na randkę.

Może kiedy proces dobiegnie końca, ona nie zechce z nim pójść.

Pomyślał o jej sprawie. Zaczynali od zaskarżenia jakiegoś dupka

prowadzącego szmatławę wydawnictwo pornograficzne. Vista

Publications. Ale w trakcie licznych zeznań i ujawnień okazało się, że

właścicielem wydawnictwa jest firma

Bonnatti Publications i chociaż dystrybutorem szmatławca było przedsiębiorstwo Ravier Distribution, Inc., wyszło na jaw, że tak naprawdę kontroluje je holding Bonnattiego. Tak więc wytoczyli sprawę Bonnatti Publications oraz Bonnatti Distribution. Głównym udziałowcem obu spółek był niejaki Santino Bonnatti. Steven dużo o nim wiedział. Santino Bonnatti był synem słynnego gangstera Enzia Bonnattiego, którego Steven omal nie aresztował i nie postawił przed wielką ławą przysięgłych. Los chciał inaczej: sukinsyn zginął z ręki Lucky Santangelo. Ponoć zastrzeliła go w samoobronie.

Teraz miał haka na jego synalka. Zniszczyć go nie mógł — choć Santino był powszechnie znanym stręczycielem, handlarzem narkotykami i pornografią — ale mógł kanalię uderzyć tam, gdzie go na pewno zaboli: po kieszeni.

Mary-Lou żądała dziesięciu milionów dolarów odszkodowania. A Steven zamierzał wydusić z Bonnattiego wszystko co do centa.

Do gabinetu wszedł Jerry Myerson.

— Co słyhać? — rzucił. — Przed chwilą odroczyli moją rozprawę. Masz czas na lunch?

— Pod warunkiem, że ty stawiasz.

Pojechali do „The Four Seasons”, bo Jerry miał na to ochotę. A tam wpadli na Carrie, która jadła lunch z Anną Robb i Fredem Lesterem. Emanowała z niej elegancja i szyk.

— Twoja matka ma klasę — rzekł z podziwem Jerry, kiedy usiedli. — To, czego dokonała w życiu, jest doprawdy niezwykle.

Steven musiał się z nim zgodzić. I cieszył się, że przed trzema laty zarzucił poszukiwania ojca, by uporządkować własne życie. Szło mu bardzo

dobrze. Tak dobrze, że Jerry zaproponował mu przystąpienie do spółki, a to już rzecz godna przemyślenia.

Znowu mieszkał w swoim starym domu i spotykał się z kilkoma interesującymi kobietami. W sumie dobrze mu się układało.

W takim razie dlaczego nie był szczęśliwy?

497

Ponieważ nadal dręczyła go głęboko ukryta potrzeba: musiał dowiedzieć się, kto jest jego ojcem. I pewnego dnia się tego dowie.

93

— Lennie! — Ostry, jękliwy krzyk. Po chwili krzyk znacznie głośniejszy:

— Leennie!

Siedział w gabinecie, mimo to dobrze ją słyszał. Chryste! Mógłby leżeć na plaży, a i tak by ją usłyszał. Podniósł słuchawkę i wcisnął guzik interkomu.

— Co jest? — rzucił z irytacją w głosie.

— Czuję się samotna.

— Pracuję.

— Wiem. Ale czuję się samotna. Przyjdź pogadać.

— Za dziesięć minut.

Odłożył słuchawkę i spojrzał w okno. Niesamowity widok. Jak okiem sięgnąć, wszędzie sztuczne wodospady, palmy i bujna zieleń.

Ściany gabinetu wyłożono skórą, wyposażono go w najnowocześniejszą aparaturę stereo, wideo oraz w sprzęt telewizyjny, na którym mógł łapać wszystkie stacje świata.

Ich dom stał na wysokim wzgórzu w Bel Air. Miał czternaście sypialni, czternaście łazienek i nie kończący się ciąg salonów. Były tu dwa baseny, kryty i otwarty, dwa korty tenisowe, przytulny basenik jacuzzi na

dwanaście osób i tor do jazdy na rolkach.

W piwnicy urządzono salę dyskotekową z wielkimi lustrami, migającymi lampami stroboskopowymi i z kolekcją albumów płytowych. W sąsiednim pomieszczeniu stały dwa stoły bilardowe. Było tam również kino na trzydzieści miejsc.

Ale nikogo nie zapraszali. Olympia miała obsesję na punkcie swego wyglądu i nie chciała, żeby ktokolwiek ją widywał, chociaż blizny zagoiły się przed laty, a dzięki cudom chirurgii plastycznej jej twarz odzyskała dawne piękno. Nie chciała widywać ludzi ze względu na swoją tuszę. Niegdyś przyjemnie puszysta, Olympia Stanislopoulos ważyła teraz ponad dziewięćdziesiąt kilo. Była grubą, wybu-

498

chowa blondyną, która ukrywała zwały tłuszczu pod obszernymi kaftanami, i która bijąc się w piersi, twierdziła, że przestrzega ścisłej diety, podczas gdy jedna z pokojówek zaopatrywała ją cichaczem w czekoladki, ciasteczka i cukierki — Olympia pożerała dosłownie wszystkie słodczyce, jakie tylko wpadły jej w ręce.

— Lennie! — Znowu piskliwy wrzask. Wstał i niechętnie wyruszył na poszukiwania. Znalazł ją w wielkiej kuchni, gdzie zaglądała ze smutkiem do olbrzymiej, dobrze zaopatrzonej lodówki, jakie widuje się w restauracjach. W pobliżu kręciła się zdenerwowana służąca.

— W tym domu nigdy nie ma nic porządnego do zjedzenia — narzekała.

— Godzinę temu jedliśmy lunch — zauważył Lennie.

— Marchew z selerem. I to ma być lunch? — drwiła. — Słyszałam o różnych dietach, ale to jest idiotyczne.

— Powinnaś pojechać do kliniki — radził. — Byłoby ci łatwiej.

Przeszyła go mściwym spojrzeniem niebieskich oczu.

— Tobie też, co? Odesłać żoneczkę na farmę dla grubasów i pieprzyć się do woli, jak na gwiazdora przystało.

Znowu. Ciągłe to samo. Jak długo jeszcze będzie w stanie to znosić?

— Nie wiem, dlaczego ciągle się stawiasz — odrzekł spokojnie. — Wagę zbijesz tylko z pomocą zawodowców.

— Pieprz się — prychnęła jadownicie. — Interesuje cię tylko jedno: chcesz się mnie pozbyć, żeby zmienić ten dom w jeden wielki burdel.

Nigdy go nie przyłapała. Ale śledziła każdy jego ruch. I słusznie. Trudno powiedzieć, żeby zachowywał celibat. Seks był jedynym sposobem na zabicie bólu.

Bo niby co miał robić? Wiadomość o katastrofie samolotu sprzed trzech lat wciąż rozbrzmiewała mu w uszach. Pilny telefon. Strapiony głos.

Fragmenty opisu tego, co zaszło.

— Pańska żona... Straszny pożar... Francesca Fern nie żyje... Tragedia...

Początkowo myślał, że Olympia też zginęła. Ale nie.

499

Żyła, zapadła w śpiączkę. Była ciężko poparzona. Walczyła ze śmiercią na oddziale intensywnej terapii. Natychmiast zorganizowano mu samolot.

Zanim się spostrzegł, był już z powrotem w Europie i stał przy szpitalnym łóżku żony. Olympia. Ostrzyżone do skóry włosy. Jedna strona twarzy i prawe ramię potwornie poparzone.

— Będzie żyła — zapewnił go lekarz. — Ale trzeba jej dać chęć do życia.

Dimitri przyjechał do szpitala z Lucky. Lucky była blada, mizerna i miała dziwny wyraz twarzy, jakby kipiał w niej stłamszony, grożący wybuchem obłąd.

Oczy szczelnie przesłoniła wielkimi ciemnymi okularami. Kiedy Dimitri stanął przy łóżku córki, Lennie zdołał odciągnąć ją na bok.

— Musimy porozmawiać — szepnął natarczywie, chwytając ją za rękę.

Nie zdjęła okularów. Beznamiętnym głosem odrzekła:

— Wszystko się zmieniło.

— To tylko chwilowe niepowodzenie... — zaczął.

— Nie — ucięła ostro. — To przeznaczenie. Nie byliśmy sobie pisani.

Wiedziała, że to, co nas łączy, jest zbyt wyjątkowe, żeby przetrwać.

— Kiedy Olympia wyjdzie ze szpitala... Jej głos był pozbawiony emocji.

— Będzie cię potrzebowała — przerwała mu oziębło. — A ty musisz przy niej być.

— Lucky...

— Nie chodzi tylko o Olympię — kontynuowała spokojnie. — Dimitri też mnie potrzebuje. Zresztą teraz... — Zrobiła ledwo dostrzegalną pauzę. — Teraz nie pozwoli mi odejść.

Nie mogli dłużej rozmawiać i wkrótce potem Stanislo-poulosowie wyszli. Wyglądało na to, że zatroskany ojciec nie zamierza siedzieć przy łóżu córki.

Lennie był zły. Dimitri po prostu wpadł z kurtuazyjną wizytą, i tyle.

Czyżby nie obchodziła go jedyna córka?

Jeśli zaś chodziło o Lucky... Cóż, było trochę za wcześnie, ale kiedy Olympię wypiszą ze szpitala i kiedy Dimitri dojdzie do siebie po przeżytym szoku... Wszystko na pewno wypali.

Niechętnie zdecydował, że musi zostać z Olympia —

500

przynajmniej na jakiś czas. Ożenił się z nią i teraz nie mógł jej tak po

prostu zostawić.

Spędzał w szpitalu całe dni, będąc świadkiem jej niewy-słowionych katuszy. Amerykańscy producenci telewizyjnego serialu domagali się jego natychmiastowego powrotu i grozili sądem.

— Nie ma mowy — odpowiedział Jess przez telefon. — Teraz nie mogę wyjechać, to wykluczone.

Przyleciała, żeby przekonać go, że popełnia zawodowe samobójstwo. Była brutalnie szczera.

— Nie kochasz jej — rzuciła. — Nie potrzebujesz jej pieniędzy. Po jaką cholere tu sterczysz?

Patrzył na nią długo twardym, nieustępliwym wzrokiem.

— Dlatego, że zapadła w śpiączkę i poza mną nie ma nikogo innego — wyjaśnił. — Nie ucieknę od niej. Nie oczekuj tego ode mnie.

Jess kiwnęła głową. Zrozumiała. Pokaż Lenniemu człowieka w potrzebie, a natychmiast pospieszy z pomocą. Zawsze taki był.

Dimitri nie przyszedł z ponowną wizytą. Jeden z jego podwładnych twierdził, że Stanislopoulos zaszył się na swojej wyspie, gdzie oplakuje Franceskę Fern.

— A Lucky? — spytał Lennie, siląc się na obojętność.

— Jest z nim — odrzekł tamten. Jest z nim.

Te słowa go prześladowały.

Czy z nim, z Lenniem, też kiedyś była tak do końca? Czy ich usta się stykały? Czy ich ciała się splatały? Czy kochali się ze sobą?

Jest z nim...

Czemu nie? On był z Olympia.

Boże! Oboje z Lucky robili to, co nakazywał obowiązek, tymczasem

powinni być razem. To niesprawiedliwe.

Kilka tygodni później Olympia odzyskała przytomność. I natychmiast zażądała lustra. Kiedy ujrzała swoje odbicie, jej wrzaski słychać było w całym szpitalu. Lennie próbował ją uspokoić. Poparzeniu uległa tylko połowa twarzy, druga połowa była nie naruszona.

— Rozmawiałem z lekarzami — mówił z przekonania-

501

niem. — Wystarczy kilka operacji, kilka przeszczepów skóry i będzie jak nowa.

— Ty głupcze! — wrzasnęła, zalewając się łzami. — Co ty możesz wiedzieć!

Zastanawiał się, czy od niej nie odejść. Ale nie, była jego żoną i nie miała nikogo poza nim.

— Zdobądź dla mnie trochę koki — poprosiła nazajutrz.

— Zwariowałaś? — odparł. — Bierzesz mnóstwo lekarstw, chcesz się zabić?

— Wszystko mi jedno — odrzekła obojętnie. — Może powinnam.

Dimitri nadal nie przyjeżdżał, chociaż codziennie przysyłał kwiaty i chociaż w szpitalu kwaterowała na stałe jego osobista sekretarka, która składała mu meldunki o stanie zdrowia córki.

— Gdzie on jest? — spytał pewnego razu rozzłoszczony Lennie.

— Pan Stanislopoulos źle się czuje — odrzekła sekretarka przyciszonym głosem. — Jego stan zdrowia nie pozwala mu na opuszczenie wyspy.

— Co mu jest?

— Nie wolno mi zdradzać tego rodzaju informacji — odrzekła, sznurując usta. Zdradziła jednak, że ciągle towarzyszy mu żona z dzieckiem.

Tak, Lucky wróciła do Dimitriego i z zapalem odrabiała zaległości.

Lennie popadł w depresję. Próbował dodzwonić się na wyspę, lecz Lucky nie podchodziła do telefonu i nie oddzwaniała.

Minął kolejny tydzień. Pewnego wieczoru pojawiła się matka Olympii, Charlotte. Przyleciała z Nowego Jorku, spięta, wytwornie ubrana matrona o mocno zaciśniętych ustach.

— Przyjechałabym wcześniej — tłumaczyła się beztrąsko — ale nie mogłam.

Lennie chciał spytać dlaczego. Dlaczego, ty zimna suko? Przecież to twoja rodzona córka. Co cię mogło zatrzymać?

Charlotte zabawiła dobę.

502

— Chcę zobaczyć się z Flashem — wymamrotała pewnego dnia Olympia.

— Przysłał kwiaty? Dzwonił?

Przysyłano dziesiątki bukietów, zbyt wiele, żeby się z nimi uporać.

Dołączone do bukietów karteczki zbierano do pudełka, a sekretarka Dimitriego wystukiwała na maszynie zgrabne liściki z podziękowaniami.

Lennie spytał ją, czy nadeszła jakaś wiadomość od Flasha. Nie, nie był zazdrosny, wprost przeciwnie: ulżyło mu, bo dostrzegł możliwość wyjścia z sytuacji.

— Nie — odrzekła, sprawdzwszy listę nazwisk w skórzanym notatniku.

Lennie namierzył gwiazdora w Londynie.

— Olympia chce się z tobą zobaczyć — powiedział przez telefon z nadzieją, że Flash skorzysta ze sposobności, tym samym uwalniając go od zobowiązań.

— Posłuchaj, stary — odparł Flash. — To było dawno i nieprawda, poza

tym ona jest dla mnie za bogata. Mam nadzieję, że z tego wyjdzie, i w ogóle, ale wiesz, właściwie to nie łączyło nas nic specjalnego.

Olympia zarzekała się, że Lennie uniemożliwia im spotkanie.

W końcu nadszedł dzień, kiedy wypisano ją ze szpitala. Zaplanowano serię operacji plastycznych, ale nie można było przeprowadzić ich natychmiast, ponieważ najpierw musiała zagoić się skóra.

— Zabiorę cię do ojca, na wyspę — zaproponował Lennie z nadzieją, że zobaczy Lucky.

— Nie — odrzekła szybko, świadoma obojętności Dimitriego. — Chcę jechać do Kalifornii. — Pragnęła zobaczyć Flasha, a niedawno przeczytała gdzieś, że kupił tam dom. Bez wiedzy Lenniego nabyła telefonicznie willę w Bel Air — posiadłość za cztery miliony dolarów — i chciała powiedzieć mu o tym dopiero na miejscu.

Wróciwszy do Stanów, nie wiedział, co robić. Zamierzał zostać z Olympia do chwili, kiedy wypiszą ją ze szpitala, ale porzucenie jej teraz wydawało się okrucieństwem. Czasami zachowywała się zupełnie normalnie, nie zawsze wrzeszczała i obrzucała go wyzwiskami. Tak więc, chociaż bardzo chciał jej powiedzieć, że wszystko między nimi skończone, najważ-

503

niejsze było wyczucie odpowiedniej chwili, a chwila ta jeszcze nie nadeszła. Może zrobi to po pierwszej operacji, kiedy Olympia zacznie odzyskiwać dawny wygląd i pewność siebie.

Producenci serialu skarżyli go na miliony dolarów.

Ci z „Rolling Stone” opublikowali artykuł, w którym zrobili z niego egocentryka roku.

Jess przestała go w końcu zdręzczać i wypytywać, kiedy wróci do pracy.

Alice udzielała ekscentrycznych wywiadów każdemu, kto o to poprosił. Do listy swych trofeów mógł dopisać tytuł największego dupka roku, bo tak go w tych wywiadach przedstawiała.

Wprowadzili się do nowego domu z całą armią służących. Niedługo potem, na Boże Narodzenie, przyjechała do nich Brigitte z nianią Mabel. — Mamo, jaka ty jesteś brzydka! — zapiszczała Brigitte. — Nie mogę na ciebie patrzeć!

Zaraz po świętach odesłano ją do dziadka, który nadal nie opuszczał wyspy.

— Nienawidzę tego dziecka — utyskiwała rozgoryczona Olympia. — Będę ją widywała jak najrzadziej.

Pewnego ranka, kilka dni po wyjeździe córki, zamówiła samochód z szoferem i przesłoniwszy twarz długą apaszką, wymknęła się cichcem z domu.

Gdy mu o tym doniesiono, Lennie był zachwycony. Olympia pierwszy raz wyszła z domu! Zachwyt nie trwał długo, bo żona wróciła już godzinę później, w dodatku koszmarnie rozhisteryzowana. Nic nie chciała mu powiedzieć, ale i tak odkrył, że pojechała zobaczyć się z Flashem. Słynny gwiazdor rocka spojrzał na nią i wykrzyknął:

— O kurde! Bez urazy, kochana, ale nie cierpię szpetoty. Od razu mnie mdli, chwytasz?

Lennie dowiedział się o tym od jego menadżera, który zadzwonił z żądaniem, żeby Olympia przestała zadręczać jego klienta.

— Powiedz pan swemu zasranemu klientowi, żeby pocałował mnie w dupę! — wrzasnął Lennie i trzasnął słuchawką.

Niedługo potem Olympia zaczęła się do niego garnać,

czego nigdy dotąd nie robiła. I chciała z nim sypiać. Podniosła ten temat pierwszy raz od wypadku.

Lennie próbował, ale z zerowym poziomem pożądania trudno cokolwiek zdziałać.

Olympia była zaskakująco wyrozumiała. Trzeźwo i logicznie zrzuciła wszystko na swój wygląd.

Natomiast Lennie miał tylko jedno wytłumaczenie, którego nie mógł jej zdradzić: Lucky. Lucky zawładnęła jego umysłem i sercem, zawładnęła jego całą osobowością. Była jedyną kobietą, jakiej pragnął. A teraz rozdzielił ich tragiczny splot okoliczności.

Znowu spróbował się z nią skontaktować, ale na próżno. Unikała go, to oczywiste. Lennie był zły, gnębiło go poczucie odrzucenia. Tkwił w pułapce. I powoli zaczynał wariować.

Chciał wrócić do pracy, ale Jess poinformowała go, że ma bardzo niewiele propozycji. Niegdyś był prawie na samym szczycie góry, teraz znalazł się u jej podnóża. W dodatku miał złą prasę i czekała go sprawa sądowa, co nie polepszało sytuacji.

Od jakiegoś czasu przemyślał nad tym, żeby napisać scenariusz.

— Może moglibyśmy sfinansować i wyprodukować film sami — zasugerował.

— Dlaczego nie poprosisz o forszę żony? — docięła. — Przecież wszystko ci kupuje.

To prawda. Olympia siedziała całymi dniami w fotelu i zamawiała przez telefon wszystko, na co tylko miała ochotę. Jak dotąd kupiła mu mercedesa, porsche, wyposażenie przenośnej sali gimnastycznej, tony

sprzętu elektronicznego, żaglówkę, kasety, książki i ubrania. Oszałała na punkcie katalogów. Zamawiała i jadła, jadła i zamawiała. Tak mijał dzień za dniem.

Pierwsza operacja twarzy zakończyła się sukcesem. Polecili do Brazylii, gdzie spędziła kilka tygodni w prywatnej klinice pod okiem najlepszych w świecie chirurgów plastycznych. Lennie cały czas był przy niej. Pracował nad scenariuszem i codziennie ją odwiedzał. Potrzebowała wsparcia, więc ją wspierał.

505

Dimitri przysyłał kwiaty; wykupił chyba całą kwaciarnię. Minął prawie rok, odkąd widziała go po raz ostatni.

I prawie rok od chwili, kiedy Lennie ostatni raz widział Lucky, chociaż ani na moment nie przestawał o niej myśleć. Najwyraźniej nic ją nie obchodził, w przeciwnym razie na pewno spróbowałaby skontaktować się z nim tak samo, jak on próbował skontaktować się z nią. Przytłaczał go smutek, mimo to ciągle wierzył, że to jeszcze nie koniec.

Gdy lekarze pozwolili Olympii wrócić do domu, miała już znacznie lepsze samopoczucie. Zaczęła tyć, ale nie zwracała na to uwagi. Godzinami wystawała przed lustrem, niecierpliwie wyglądając dnia, kiedy twarz się zagoi.

Lennie skończył pisanie scenariusza i przekazał go Jess.

— Teraz zajmiesz się tylko tym — polecił. — Koniec z występami w klubach i w telewizji. I nie, nie poproszę żony o pieniądze.

Jess cynicznie uniosła brew. Lennie był komikiem, gwiazdorem telewizyjnym. Wiedziała, że nikt nie sfinansuje jego filmu. Ale po przeczytaniu scenariusza zmieniła zdanie. Była to prześmieszna komedia

kryminalna pod tytułem „Prywatny detektyw”, zawierająca wszystkie elementy niezbędne ku temu, żeby odnieść niespodziewany sukces. Zaczęła szukać chętnych do sfinansowania filmu, ale odmówiły jej wszystkie wytwórnie. Na przyjęciu poznała producenta nazwiskiem Ryder Wheeler. Ostatnio odniósł średni sukces, kręcąc niskobudżetowy film z Vitosem Feli-cidade w roli głównej. Kiedy opowiedziała mu o propozycji Lenniego, wykazał zainteresowanie. Podesłała mu scenariusz i trzy tygodnie później podpisali umowę.

To już historia. „Prywatny detektyw” był najbardziej kasowym filmem roku 1981. A Lennie z dnia na dzień stał się słynnym gwiazdorem, któremu jedna z największych wytwórni natychmiast zaproponowała wielomilionowy kontrakt na napisanie scenariusza i wyprodukowanie trzech filmów z sobą w roli głównej.

Jego życie zawodowe kwitło: był jednym z najbardziej rozchwytywanych aktorów i producentów w Ameryce.

Jego życie osobiste wisiało w próżni. I tak było przez trzy lata.

506

94

Uroczyste otwarcia zawsze ją przerażały, a przeżywała to już po raz drugi. Przed ośmiu laty, w roku 1975, otwierała hotel „Magiriano”. Gdy zamknęła oczy, wciąż mogła przywołać tamto uczucie. Niecierpliwe oczekiwanie, kiedy to na przemian drżała z zimna i spływała potem. I szalone podniecenie. Jakby trzymała tygrysa za ogon, czekając, aż zerwie się do ucieczki. Ach, niesamowite wrażenie... Jak po narkotyku.

A teraz hotel „Santangelo” w Atlantic City. Nie mogła się doczekać.

Niespieszny rytuał przygotowań. Długi prysznic, najpierw ciepły, potem

lodowaty. Mrowienie skóry zalewanej strumieniami zimnej wody działało na nią niczym seksualna podnieca. Potem wielkie, puszyste ręczniki kąpielowe, ręczniki robione na specjalne zamówienie, w cudownych kolorach pasujących do koloru kafelków w poszczególnych łazienkach. Białe, nijakie szlafroki? To nie dla niej, nie dla Lucky Santangelo. Jedwabne szlafroki na potrzeby hotelu uszyto w Hongkongu — rozdawano je gościom w podarunku, bez żadnych dodatkowych opłat.

Po prysznicu nałożyła koszulę z cynamonowego jedwabiu i usiadła przed lustrem toaletki, żeby się umalować. Na co dzień malowała się bardzo lekko, ale uznała, że w wieczór taki jak ten powinna pójść na całość. Ciemnozłoty cień do powiek, czarny ołówek do brwi, brązowawy, opalizujący róż i zmysłowy błyszczak.

Jak na trzydzieści trzy lata wyglądała rewelacyjnie. Wiek jeszcze bardziej podkreślał jej egzotyczną urodę, sprawiał, że była jeszcze bardziej intrygująca i tajemnicza. Tchnęła ertotyzmem, była niezwykle piękna i pociągająca.

Zrzuciła koszulę i zupełnie naga naciągnęła na siebie długą, obcisłą suknię z czarnego atlasu, wężowej skóry i koronki. Leżała na niej jak ulał, uwydatniając wszystkie krągłości jej giętkiego ciała i zapadając się odważnie między piersiami.

Włosy? Ta sama fryzura co zwykle: grube, lśniące i dziko zwichrzone loki sięgające ramion.

Zadowolona ze swego wyglądu, przypięła do sukni ulu-

507

bioną broszkę od Giną, uszy ozdobiła brylantowymi kolczykami, a ręce brylantowymi bransoletami. Na serdecznym palcu prawej dłoni nosiła

pierścionek z wielkim brylantem w kształcie gruszki. Dimitri zasypywał ją prezentami. W ten sposób jej dziękował.

Za co?

Francesca Fern zginęła w katastrofie samolotowej przed trzema laty. Od tamtej pory Dimitri nie doszedł do siebie. Dziękował Lucky za to, że go nie zostawiła, że pozostała jego żoną, że dała mu jedyny powód, dla którego chciał jeszcze żyć: syna.

Lucky spoglądała w zadumie na swoje odbicie w lustrzanej ścianie apartamentu na szczycie hotelu „Santan-gelo”. Wiedziała, że ludzie widzą w niej silną, pewną siebie i seksowną kobietę. Nie widzieli jednak złamanego serca kryjącego się pod maską spokoju i opanowania. Nigdy bowiem nie przeboleje straty Lenniego. I już nigdy, przenigdy nie wpadnie w śmiertelne kleszcze miłości.

Najpierw Marco...

Potem Lennie... Obydwu straciła w okolicznościach, na które nie miała wpływu.

Często zastanawiała się, jak się teraz czuje. On, Lennie. Początkowo próbował się z nią skontaktować. Wydzwaniał, zostawiał dziesiątki wiadomości, pisał nawet listy, w których nalegał na rozmowę.

Czyżby nic z tego nie rozumiał? Katastrofa samolotu Dimitriego była ostrzeżeniem. Jeśli Lucky kiedykolwiek się z nim zobaczy, zdarzy się coś strasznego. Na pewno.

Głęboki oddech i była gotowa do wyjścia. Oblizła usta, podniosła głowę i weszła do prywatnej windy.

— To naprawdę coś — powiedział Costa.

— Zdumiewające! — wykrzyknęła jego żona.

— Prawdziwe osiągnięcie — dodał Gino.

Czekali na Lucky w hotelowym barze w stylu Art Deco. Role się odwróciły, bo teraz z kolei ożenił się Costa, a Gino się rozwiódł.

Żona Costy, Ria, miała czterdzieści lat, była eks-pro-

508

stytutką, lubiła zajmować się ogródkiem i grać w brydża. Poznali się przed rokiem, w klubie brydżowym w Miami, i chociaż Costa był od niej o trzydzieści pięć lat starszy, natychmiast przypadli sobie do gustu.

Zamieszkali razem. Ria nie ukrywała swojej przeszłości, ale jemu jej przeszłość nie przeszkadzała. Żyli z sobą przez jakiś czas i nagle, zupełnie nieoczekiwanie, Ria zaszła w ciążę. Naturalnie Costa od razu się z nią ożenił, chociaż nie miał stuprocentowej pewności, że to jego dziecko, zwłaszcza że Ria przyznała się do krótkotrwałego romansu ze starym przyjacielem. Costa miał za sobą trzydzieści lat cudownego, lecz — co smutne — bezdzietnego małżeństwa ze swoją pierwszą żoną. Nie obchodziło go, kto spłodził dziecko. Pierwszy raz miał zostać tatusiem — w wieku siedemdziesięciu pięciu lat! — i był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Początkowo Gino podchodził do tego więcej niż cynicznie. Lucky też. Ale kiedy zobaczyli Rię, kiedy ją poznali, oboje zmienili zdanie. Ria uwielbiała Costę, poza tym przyrzekła mu, że już nigdy go nie zdradzi.

Gino zerknął na zegarek

— Gdzie ona jest? — spytał. — Nie przyjechałem tu z Las Vegas, żeby sterczeć w barze.

— Cierpliwości — strofował go Costa. — To jej wielka noc. —

Nostalgicznie westchnął. — Ach, pamiętam otwarcie „Magiriano”. Cóż to

był za wieczór!

— Taa — mruknął Gino. — Tymczasem ja tkwiłem w Izraelu jak największy palant stulecia!

Gino był po rozwodzie.

Susan chciała mu wydrzeć jaja.

I wszystko, na czym tylko mogła położyć łapę.

Kalifornijskie prawo.

Szlag by to trafił. Mogą wsadzić to pieprzone prawo do jakiegoś tunelu i zaślepić go z obu końców!

Przecież to on ją przyłapał, a ta stara landryna żądała od niego miliona dolarów rozwodnego!

Damulkowata lesba.

Cały czas wołała baby.

Do końca życia nie zapomni wyrazu ich twarzy, kiedy przyłapał je na gorącym uczynku.

509

Susan i Paige.

Żona i kochanka.

Dwie głupie dziwki. - Nigdy by się do tego nie przyznał, ale tęsknił za Paige. Tak naprawdę rozczarowała go ona, nie Susan. Naturalnie od tamtej pory ani razu się do niej nie odezwał.

— Już idzie — szepnął z podziwem Costa. — I spójrz tylko, jak wygląda!

— Zdumiewająco... — westchnęła Ria.

Taa. Gino musiał przyznać jej rację. Córka wyglądała wystrzałowo.

Brigitte Stanislopoulos zdjęła rozgrzane wałki i potrząsnęła długimi blond włosami. Miała czternaście lat, ale równie dobrze mogła uchodzić za

osiemnastolatkę, a nawet za dziewiętnastolatkę. Wszyscy jej to powtarzali. Mężczyźni, którzy nie znali jej prawdziwego wieku, podrywali ją jak szaleni. A Brigitte to uwielbiała.

Chodziła do szkoły w Szwajcarii. Do L'Evier, surowej, prywatnej szkoły dla dziewcząt, skąd przed laty wyrzucono zarówno jej matkę — nudną, grubą Olympię — jak i Lucky, żonę dziadka, którą Brigitte z biegiem lat pokochała. Czasami zastanawiała się, dlaczego matka wysłała ją akurat do tej szkoły. W końcu znalazła odpowiedź: Szwajcaria to daleki kraj — tak było dla niej łatwiej.

Znalazła również — tak samo jak jej matka przed laty — sposób na wyjście z internatu zaraz po zgaszeniu świateł. Jakież to było proste. Setki bogatych dziewcząt podążało szlakiem wolności do najbliższej wioski. Cel gry? Nie dać się złapać.

Brigitte grała w tę grę jak prawdziwy zawodowiec. Nie potrzebowała pomocy. Nie potrzebowała przyjaźni z innymi dziewczętami, bo wszystkie były głupimi dzierlatkami, podczas gdy ona uważała się za kobietę wyrefinowaną i doświadczoną. Ostatecznie tu i ówdzie bywała. Jej dziadek był jednym z najbogatszych ludzi w świecie. Matka była słynną (niestety grubą) dziedziczką. A ojczym (lubiła Len-

510

niego, choć rzadko go widywała, ponieważ każde wakacje spędzała na wyspie dziadka) był gwiazdorem filmowym.

Miała niezły rodowód — chętnie się nim chwaliła — i wybuchowy temperament, dlatego nikt nie chciał się z nią przyjaźnić.

Nikt oprócz chłopców.

Chłopców z wioski.

Chłopcom z wioski wybuchowy temperament nie przeszkadzał, jeśli pozwalała im na to, do czego inne dziewczęta nie były takie skore.

Jak dotąd Brigitte Stanislopoulos nie poszła jeszcze na całość.

Ale zamierzała to zrobić.

I to już wkrótce. Jak tylko znajdzie odpowiedniego kandydata.

Uśmiechnęła się do siebie. Była niezwykle piękna. Odziedziczyła po matce tylko to, co najlepsze. Miała wspaniałe piersi. Duże. Chłopcy lubili duże, a ona lubiła je mieć. W seksie zaś najbardziej lubiła „macankę”, to znaczy kiedy chłopcy obmacywali jej biust. Najmniej zaś obciążanie.

Chociaż tak, próbowała i tego. Musiała. Chłopcy to uwielbiali, chłopcy za tym prze-pa-da-li. A kiedy trzymała „to” w ustach, byli całkowicie w jej mocy. To bardzo przydatna wiedza — dobrze, że na to wpadła.

Wygładziła stanik białej sukienki, którą Lucky przywiozła dla niej specjalnie na uroczyste otwarcie nowego hotelu. Sukienka była w porządku, może niezbyt efektowna, za to bardzo luzacka i dziewczęca.

Brigitte wolałaby coś czarnego i obcisłego. Czerń byłaby ekstra.

Zwłaszcza przy jej blond włosach.

Chłopcy uwielbiali długie, jasne włosy. Uwielbiali przeczesywać je dłońmi, owijać je wokół swoich interesów. Ba! uwielbiali się w nie spuszczać. Ohyda! Czasami bywali naprawdę obrzydliwi.

Często zastanawiała się, jak to robi Lennie z Olympią.

Albo Dimitri z Lucky.

Dimitri pewnie nie robił nic. Był na to za stary. Jego interes musiał już zwiędnąć i odpaść.

Czy toto rzeczywiście wędnie i odpada? Postanowiła

kogoś o to spytać. Tylko kogo? Tego rodzaju rzeczy nie publikuje się w informatorach. Zresztą pod jakim hasłem by tego szukała? Pod „Kutas: patrz — upadek kutasa”?

Głośno zachichotała z nadzieją, że Lucky nie będzie miała nic przeciwko jej makijażowi. Owszem, wymalowała się jak nigdy, ale tak baaardzo lubiła się malować...

Lucky podeszła majestatycznie do Giną. Poruszała się jak lamparcica. Lamparcica wdzięczna, pewna siebie i niebezpieczna.

— Dziecino! — Wstał, żeby ją powitać.

— Staruszkule! — Posłała mu ciepły uśmiech.

— Tylko nie bądź bezczelna. — Objął ją i mocno uściskał. — Jestem z ciebie dumny, dziecino — szepnął jej do ucha.

— Nie było mi łatwo — odrzekła.

— Nic, co warte zachodu, nie przychodzi łatwo. Oklepany frazes. Ale ile w nim prawdy.

Przed oczyma stanął jej Lennie. Widziała „Prywatnego detektywa” cztery razy, trzy razy obejrzała jego następny film zatytułowany „Ekstra zupa”.

Czysta tortura. Patrzyła na ekran i już na sam widok Lenniego jej ciało łaknęło dotyku — jego dotyku. Na szczęście przez cały ten czas nie musiała go widywać. Przebywał w Kalifornii, z Olympią. Ciągłe byli małżeństwem. Najwyraźniej wszystko się między nimi ułożyło.

Tak, a ty ciągle jesteś z Dimitrim — przypominał wewnętrzny głos. Czy twoje małżeństwo wypaliło?

Nieeee! Chciało jej się wyć. Wyszła za pustelnika. Dimitri był ledwie namiastką mężczyzny, którego poślubiła przed laty. Opłakiwał Franceskę. Nie miał zamiaru ani ochoty ponownie opuszczać wyspy.

Przez jakiś czas go pocieszała. Dlaczego nie? Był stary, samotny i żeby przeżyć dzień, potrzebował stałej obecności syna. W końcu oznajmiła, że musi wyjechać. Plany hotelu były już gotowe, chciała ruszać z budową. — Jedź — oświadczył. — Ale nigdy nie zabierzesz stąd mojego syna. Nigdy.

512

— Mogę go zabrać, kiedy tylko zechcę — odparowała ze złością.

Uśmiech Dimitriego przypominał pośmiertną maskę.

— Spróbuj, a przegrasz. Nie będzie żadnego hotelu i wierz mi, Lucky, zrobię wszystko, żebyś już nigdy nie zobaczyła Roberta. — Zamilkł na chwilę. — Możesz tu przyjeżdżać i wyjeżdżać, kiedy tylko zapragniesz. Możesz budować swój hotel, podróżować, możesz robić, co chcesz. Ale Roberta musisz zostawić tutaj, ze mną. Będzie moim synem, dopóki nie umrę. Wtedy będzie tylko twój. I wszystko po mnie odziedziczy.

Dimitri nie należał do ludzi rzucających słowa na wiatr. Lucky przemyślała to sobie, dobrze wiedząc, że gdyby postanowiła zabrać syna, czekałaby ją zaciekle walka. Tylko o co? Skoro mogła go odwiedzać, kiedy tylko chciała, dlaczego nie miałyby zostawić go z Dimitrim? W towarzystwie ojca był na wyspie zupełnie bezpieczny — groźby uprowadzenia dzieci nie należały do rzadkości — i na pewno szczęśliwy. Opiekowała się nim Cee Cee, a Cee Cee uwielbiała go niemal tak samo jak ona.

Po długim namyśle postanowiła przyjąć propozycję Dimitriego i podzielić swoje życie. Część czasu będzie spędzać na wyspie, część w Atlantic City, nadzorując budowę hotelu. Nie miała powodu nie akceptować jego warunków. Lennie był z Olympią. A skoro nie mogła mieć Lenniego, nie

chciała nikogo. Zrezygnowała z wszelkich związków. Troska, miłość, potrzeba bliskości? Nie, to nie dla niej — zrezygnowała ze wszystkiego. Może jakiś kochanek na jedną noc — o ile w ogóle tego zapragnie. Ale żadnych zobowiązań. Nic osobistego. Tylko seks.

— Świetna robota, moja droga — pochwalił ją Costa, wstając na powitanie.

— Tak, to coś zdumiewającego! — dodała wylewnie Ria, która uwielbiała słowo „zdumiewające”.

Lucky wyobraziła ją sobie w czasach, kiedy była jeszcze prostytutką. Pewnie nadawała teksty w rodzaju: „Masz zdumiewającego kutasa!” Stary wuj Costa ożenił się z eks-prostytutką. Coś takiego.

513

Lucky opanowała wesołość i odrzekła:

— Miło mi, że się wam podoba.

Próbowała odpędzić złośliwe myśli o Rii, ponieważ nie ulegało wątpliwości, że wuj Costa jest dzięki niej szczęśliwy. Po rozwodzie z Susan Gino wrócił do Las Vegas i do dawnego stylu życia. Nie to, żeby Lucky często go widywała. Kilka razy odwiedziła go w Vegas, a on trzy razy odwiedził ją na wyspie Dimitriego, żeby zobaczyć wnuczka. Dwa razy przyleciał sam, a raz z dwudziestopięcioletnią gwiazdeczką, która cały czas paplała o swojej karierze i o chwili prawdziwej sławy, kiedy to zdobyła tytuł Dziewczyny Roku w jakimś głupim czasopiśmie dla mężczyzn.

— Proszę cię, Gino — powiedziała później Lucky. — Znajdź sobie drugą Susan, ale nie każ mi przechodzić przez to jeszcze raz.

Uśmiechnął się. Miał cudowny uśmiech.

— Susan? Myślałem, że jej nie cierpiałas.

— Owszem. To Paige zawsze mi się podobała. Co się z nią stało?

— To dwulicowa kobieta — mruknął Gino, nie wchodząc w szczegóły.

Lucky czuła, że budując hotel „Santangelo” samodzielnie, bez pomocy Giną, w końcu doszła do porozumienia z ojcem i określiła istotę ich związku. Bardzo go kochała, ale nareszcie przestała uważać, że jego aprobata jest najważniejszą sprawą w świecie.

Mieszkał w Las Vegas.

Ona dzieliła czas między Atlantic City i wyspę męża.

Łatwo mogła do niego wrócić, kiedy się rozwiódł albo kiedy zaczęła mieć problemy z budową hotelu, a miała ich bardzo dużo, i to poważnych. Nie mogła tego udowodnić, ale wyglądało na to, że ktoś celowo utrudnia jej pracę. Budowa „Santangelo” była długą, ciężką batalią ze związkami zawodowymi, walką ze strajkującymi, z pikietarzami, z ciągłymi zamieszkami i kłopotami.

Ilekczo próbowała zbadać, co się za tym wszystkim kryje, zawsze natrafiała na nazwisko Santina Bonnattiego.

No tak, Santino... Dawno temu łączyła ich krępująca

514

przyjaźń. Potem była zmuszona zastrzelić Enzia, jego ojca, i dobrze wiedziała, że Santino tylko czeka, żeby niczym śmiertelnie groźna kobra zaatakować ją i się zemścić.

Odkrywszy, że to on sabotuje postępy robót przy budowie hotelu, postanowiła przystąpić do działania.

Wystarczył jeden telefon. Bez wstawiennictwa Giną.

I jedno spotkanie z pewnym starym człowiekiem w Nowym Jorku.

Oraz zwykła prośba.

Kłopoty ustały.

Była gotowa posunąć się o krok dalej, gdyby zaszła taka potrzeba. Ale Santino to w głębi serca tchórz — znała go z dawnych czasów. Gdy kazano mu się od niej odczepić, odczepił się, i to szybko.

Gino rozejrzał się z dumą i podziwem w oczach.

— Postawiłaś na swoim, dziecino — skonstatował ciepło. — To fantastyczny hotel. „Magiriano” wygląda przy nim jak zwykły kibel.

Lucky roześmiała się wesoło.

— Chyba niezupełnie. — Wzięła go pod rękę. — Chodźmy. Mam ochotę zabawić się ze swoim staruszką.

— Znowu jesteś bezczelna?

— Już nie będę.

95

Przez wielkie okna domu na Blue Jay Way wpadały promienie słońca, ale Eden Antonio nie zamierzała wstawać z wielkiego, podwójnego łóżka.

Leżała pod wzorzystym prześcieradłem i przeklinała w duchu Santina Bonnattiego. Bon-natti zrujnował jej życie.

O Boże! Nie powinna była się z nim wiązać. Nigdy. Przenigdy. Powinno ostrzec ją pierwsze spojrzenie na tę łysą pałę, na tego owłosionego zboczeńca. Santino był kanalią, bydlakiem. I w miarę upływu lat spychał ją do swego poziomu. Dlaczego już na samym początku nie zdała sobie sprawy, co z niego za typ? Nie była głupia, to i owo w życiu widziała.

Mimo to Santino Bonnatti ją wykołował. Pozwolił

515

jej wierzyć, że to ona dyktuje warunki, że w końcowym rozrachunku zrobi

wszystko, czego Eden sobie zażyczy.

Tymczasem to on, to Santino nią kierował. Od samego początku.

Nie miała najmniejszych wątpliwości, że powinna była uciec od niego już dawno temu, ponieważ z każdym dniem robił się coraz gorszy. Tak, powinna była zostawić go w dniu, kiedy złamał obietnicę obsadzenia jej w głównej roli w filmie z Vitosem Felicidade, filmie, który finansował.

Ale nie. Cały czas siedziała w domu na Blue Jay Way, pod strażą tego małpoluda Zeka, godząc się na wszystkie żądania Santina. Kiedy w końcu zebrała się na odwagę, by oświadczyć, że od niego odchodzi, Bonnatti jej nie pozwolił.

— Pójdiesz precz, kiedy tego zechcę — odparł złowieszczo. — I spokojna głowa, powiem ci, kiedy to będzie. Tylko nie licz na to, że szybko.

Jak dotąd chwila ta jeszcze nie nadeszła. Eden była słaba, dobrze o tym wiedziała. Wiedziała też, że im dłużej będzie zwlekała z ucieczką, tym trudniej będzie jej uciec. A przecież młodnieć, nie młodniała...

Przewróciła się na brzuch. Gdyby o tym komuś opowiedziała, nikt by jej nie uwierzył. Nikt by nie uwierzył, że w Los Angeles roku 1983 ktoś taki jak Santino Bonnatti więzi kobietę i wykorzystuje ją seksualnie.

Oczywiście, gdyby znalazła sposobność, mogłaby pójść na policję, ale ponieważ ciągle włóczył się za nią Zeko, mogła tylko o tym pomarzyć.

Zresztą nawet gdyby się jej to udało, co dalej? Nie miała żadnego dowodu, że Bonnatti ciągle jej grozi, że każe jej robić rzeczy odrażające i plugawe, że przysięga, iż pochlasta jej twarz, jeśli kiedykolwiek od niego ucieknie.

— Co z moją karierą? — pytała tak często, jak to tylko było możliwe. — Obiecałeś mi film. Sam wiesz, że mi obiecałeś.

Nie, nie zabierał przynęty, chciał, żeby cały czas miała ją przed oczyma.
— Musisz zagrać odpowiednią rolę — obiecywał. — Kiedy taka się trafi, na pewno ci ją załatwię, pysiu.

W końcowej wersji scenariusza filmu z Yitosem Felicida-

516

de odpowiedniej roli nie było. Rolę prostytutki zagrała aktorka o ustalonej reputacji. Potem Santino wyłożył pieniądze na „Prywatnego detektywa”, na pierwszy film Lenniego Goldena. Eden przejrzała scenariusz i od razu wiedziała, że rola dziewczyny to rola dla niej.

— Chcę ją zagrać — rzuciła bez tchu. Boże! Gdyby tylko zdołała dostać się do Lenniego i opowiedzieć mu, co się z nią dzieje. Na pewno by jej pomógł, była o tym przekonana.

— Na ten film nie mam żadnego wpływu — odburknął jadowicie Santino.

— Tylko wykładam szmal, bo myślę, że nieźle na tym zarobię.

I miał rację. „Prywatny detektyw” pobił wszelkie rekordy kasowe. Lennie Golden stał się gwiazdorem. Eden nie poszła na prapremierę. Santino zabrał na uroczystość swoją grubą połowicę, a ona siedziała w domu, przed telewizorem, w towarzystwie Zeka, który sterczał w kącie, dłubiąc w nosie.

Wpadła w straszliwą pułapkę. Mieszkała w pięknym domu. Miała cudowne ubrania, ponieważ Santino chciał, żeby kumplom oczy wychodziły na wierzch, ilekroć ją dokądś zabierał. A poza tym?

Poza tym nic. Jej życie było niczym. A ona nikim.

Gwałtownie skopała prześcieradło. Meksykański ogrodnik podlewający krzewy za oknem omal nie upuścił węża.

Sięgnęła po telefon. Wiedziała, że Santino nagrywa jej rozmowy, ale od

czasu do czasu wolno jej było zjeść lunch z dwiema przyjaciółkami, z Ullą i z Paige Wheeler. Paige była bardzo sympatyczna i przyjacielska. Eden kusilo, żeby o wszystkim jej opowiedzieć, bo miała nadzieję, że Paige pospieszy z pomocą...

Jasne, tylko po cholere jej pomoc, kiedy skończy w szpitalu z pociętą twarzą i już nigdy nie odzyska urody.

— Szybciej — rozkazał Santino szoferowi, gdy mknęli autostradą do Los Angeles po spotkaniu w interesach w San Diego.

— Wszystko w porządku, szefie? — spytał Czarny, który siedział obok kierowcy.

— Wiesz, co każe wyryć na twoim nagrobku? — warknął

517

Bonnatti. — „Wszystko w porządku, szefie?” Jak płyta, jak durna płyta, cholera.

— Przepraszam, szefie.

— Nie ma sprawy.

Santino zdjął marynarkę i starannie ją złożył. W nozdrza uderzył go lekki odór potu. Przeklęte dezodoranty. Nigdy nie skutkowały. Powinien był zainwestować w dezodoranty, do tej pory zbiłby ciężkie miliardy. Nie był w najlepszym nastroju. Miał za sobą zły tydzień. Lucky Santangelo otworzyła w końcu swój zasrany hotel w Atlantic City, co okrutnie go wkurwiło. Zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby ją powstrzymać, blokował każdy jej ruch, aż tu nagle zadzwonił do niego pieprzony braciszek Carlo z Nowego Jorku.

— Nadeszła wiadomość, że masz przestać utrudniać życie pewnej damie — powiedział.

Damie! Jakiej, kurwa, damie?! Lucky Santangelo to kurwa, nie dama, i pewnego dnia da jej porządną nauczkę.

— Jaka wiadomość? — wrzasnął. — Od kogo?

— Wczoraj było spotkanie. I głosowanie. Masz przestać ją molestować. I Santino przestał. Wiedział, kogo słuchać. Co wcale nie oznaczało, że na tym koniec. Nadejdzie taki dzień, kiedy suce pokaże... Już niedługo. Już wkrótce.

96

Jak każdy dobry Kalifornijczyk Lennie uczył się grać w tenisa. Kiedy nie kręcił filmu, wstawał o siódmej rano; nie musiał budzić Olympii, bo mieli oddzielne sypialnie. Potem, wzięwszy prysznic i ogoliwszy się, jechał do Whe-elerów, na trzy okrutne sety z Ryderem, które regularnie przegrywał. Niekiedy widywał Paige, jego żonę. Lubił ją widywać. Była bardzo zabawna i wspaniale opowiadała różne „nowinki” — to jej ulubione określenie na plotki.

Po powrocie do domu pracował. Sześć, siedem godzin zamknięcia w pokoju ze swoją najnowszą zabawką — kom-

518

puterowym edytorem tekstu — nie należało do rzadkości. Czasami robił sobie przerwę na lunch, czasami nie.

Miał w mieście kilka kochanek, do których mógł w każdej chwili zadzwonić. Zwykle były to atrakcyjne kobiety pracujące zawodowo, zachwycone jego widokiem i nie stawiające żadnych żądań. Wiedziały, że jest żonaty — kto o tym nie wiedział? — i w zupełności to akceptowały. Bywało, że odwiedzał którąś z nich i całe popołudnie przegadywali. Po odejściu Lucky seks przestał odgrywać w jego życiu wielką rolę. Ot,

zwykła fizjologiczna potrzeba, i tyle.

Wiedział, że musi zostawić Ólympię. Ich małżeństwo nic dla niego nie znaczyło. Został przy żonie, żeby wesprzeć ją po serii operacji plastycznych, które przywróciły jej dawny wygląd. Poza tym nie miał żadnego palącego powodu, żeby się dokądkolwiek wyprowadzać. Lucky na niego nie czekała. Nic ją nie obchodził. Ignorowała go trzy lata, trzy lata próbował nawiązać z nią kontakt, a ona nie reagowała. I wciąż była z Dimitrim, co go dobijało.

Jednak co za dużo, to niezdrowo, poza tym Olympia odzyskała w końcu dawną urodę. Tudzież osobowość. Była tą samą zepsutą bogaczką i kiedy tylko wychodził ze swego pokoju — a robił to bardzo rzadko — nieustannie się kłócili.

— Chyba powinniśmy się rozwieść — powiedział któregoś dnia po kolejnej awanturze.

Urwała w pół zdania i obrzuciła go spojrzeniem zbolałych, błękitnych oczu osadzonych w pulchnej twarzy.

— Nie chcę rozwodu — odrzekła szybko.

— Posłuchaj. — Stanął przy barku i nalał sobie bour-bona. — Nigdy do siebie nie pasowaliśmy.

— Jak możesz tak mówić?

— Bo to prawda.

— Tylko dlatego, że mam lekką nadwagę...

— To nie ma nic wspólnego z twoją nadwagą.

— Owszem, ma! — wrzasnęła. — Ty parszywy sukinsynu, nienawidzisz mnie, bo jestem gruba! To nie moja wina, że samolot się roztrzaskał! To nie moja wina, że...

O kurcze. Odzyskanie wolności nie będzie takie łatwe. Ilekroć wspominał o rozwodzie, zawsze robiła mu scenę.

519

— Sukinsyn — wymamrotała. — Dlaczego nie porzucisz mnie jak inni? Bo wszyscy mnie opuścili. Gwiazdor filmowy od siedmiu boleści. Idź sobie, Lennie. Myślisz, że mi na tobie zależy? Bzdura. Nie zależy mi. Najwyżej się zabiję. Czy tak byłoby ci wygodniej? Chciałbyś tego? — Zaczęła histerycznie szlochać.

— Przestań — odrzekł ponuro. — Wiesz, że nie zostawię cię, dopóki nie dojdiesz do siebie.

Mówił serio. Zresztą nie miał dokąd pójść. Często groziła samobójstwem, co go niepokoiło. Nie chciał czuć się odpowiedzialny, gdyby coś sobie zrobiła.

Wiedział, że Lucky ma otworzyć swój hotel w Atlantic City. Przesłano im nawet zaproszenie. Przez krótką, zupełnie zwariowaną chwilę zastanawiał się, czy nie pojechać. Tylko co by to dało? Pieprzyć Lucky Santangelo. Nienawidził jej. Nie, nieprawda. Owszem, prawda. Lucky... Lucky... Była z nim każdego dnia.

Raz w miesiącu telefonował Dimitri, żeby odbyć ojcowską rozmowę z córką. Wszystkie były identyczne. Rozmowy z cyklu: „Jak się masz”. Rozmowy z obowiązku.

— Nie cierpię go! — krzyczała Olympia, trzaskając słuchawką. — Nie mam pojęcia, po cholere zawraca sobie głowę. Kiedy umierałam w szpitalu, traktował mnie jak powietrze. Tej suki, z którą się ożenił, też nie cierpię. Lucky, szlag by ją trafił, Santangelo. Wiesz co? Dimitri wolałby, żebym to ja zginęła w tej katastrofie, a nie jego ukochana Francesca.

Lennie nie wypowiedział tego na głos, ale podzielał jej zdanie. Stanislopoulos miałby to gdzieś, gdyby już nigdy w życiu nie dane mu było zobaczyć córki. Niczym bolesny cierń przypominała mu utraconą miłość. Ale jego wnuczka Brigitte to zupełnie inna sprawa. Niemal każde wakacje spędzała z dziadkiem, co Olympii bardzo odpowiadało. Ostatni raz odwiedziła ich przed ponad rokiem, choć za kilka dni, zaraz po uroczystym otwarciu nowego hotelu Lucky, miała przyjechać ponownie. Przed rokiem przyjechała w towarzystwie starej, kochanej Alice, która przywlokła z sobą dwudziestoletniego bezrobotnego aktorzyne i obłąkanego pięćdziesięcioletniego pedała.

520

Urznęli się w pień, zaczęli rozrabiać i Lennie przestał ją zapraszać. Alice początkowo narzekała, lecz szybko odkrył, że jeśli tylko wysyłał jej pieniądze — dużo pieniędzy — przestawała kłapać i dawała mu święty spokój. Nie widział jej od ponad roku.

Dzięki Bogu, że miał pracę. Praca go pochłaniała. Nie myślał prawie o niczym innym. Pisanie i występowanie w filmach zajmowało mu dwadzieścia pięć godzin na dobę. Nie miał czasu martwić się rzeczywistością i tym, jaka mogłaby być. Nic tylko do roboty. Do roboty. Jess uwielbiała lunche z Paige Wheeler. Paige była jedyną osobą, z którą mogła pokazać się w miejscu publicznym bez kompleksu niższości, bowiem była od niej ledwie kilka centymetrów niższa. Poza tym Paige miała niewyparzony język. Zawsze mówiła to, co myślała, a to, co mówiła, było zwykle obsceniczne i śmieszne.

— Byłaś z Lenniem w łóżku? — spytała, jak tylko usiadły przy stoliku w „Bistro Garden”.

Jess zachichotała.

— Cóż to za pytanie? To mój przyjaciel. Nie chodzi się do łóżka z najlepszym przyjacielem.

— Nie? — Paige puściła do niej oko.

— Jesteś straszna! — odrzekła ze śmiechem Jess. Zaprzyjaźniły się, odkąd Ryder został producentem filmów Lenniego.

— Zawsze można spytać, prawda? Lennie wygląda bardzo seksownie, a często bywa tak, że ci seksowni w łóżku flaczeją.

— Ale nie Lennie.

— Myślałam, że powiedziałaś...

— Lennie ma reputację. Nie zapominaj, że znamy się od dziecka.

Zajrzały do menu i zamówiły lekki lunch.

— Jadę na weekend do Atlantic City — powiedziała Jess przy sałatce.

— Jest coś albo ktoś, o kim powinnam wiedzieć? — spytała Paige, kręcąc nóżką kieliszka z winem.

521

Jess spojrzała na nią roziskrzonymi oczyma.

— Jest pewien facet, starszy mężczyzna...

— Tacy są najlepsi — wymruczała Paige.

— Chyba mu się podobałam, kiedyś — mówiła dalej Jess. — Ale wiesz, był wtedy jednym z tych, co to rwą wszystko, jak leci, więc nie skorzystałam z propozycji.

— I słusznie, ja też tak robię. Chociaż zawsze zastanawiam się, co mogłam stracić!

— Kiedy kilka lat temu wróciłam do Las Vegas z Len-niem, był zupełnie inny. Już mnie nie podrywał, był bardzo chłodny, więc...

— Natychmiast go zapragnęłaś — dokończyła za nią Paige.

— Skąd wiesz?

— To proste. Kiedy cię chcą, ty ich nie chcesz. Kiedy ty ich chcesz, oni nie chcą ciebie. — Zaciekawiona, nachyliła się ku niej. — No, a jak jest teraz?

Jess uśmiechnęła się.

—: Chyba mnie chce. Tak myślę.

— A ty...

— Tak! Paige kiwnęła z zadowoleniem głową.

— To cudownie. Kto to jest? I czy na ciebie zasługuje?

— Nazywa się Matt Traynor. Kiedyś pracował u Giną Santangelo, prowadził jego hotel w Las Vegas. Teraz został szefem nowego hotelu Lucky Santangelo w Atlantic City. Ma chyba koło pięćdziesiątki i...

Jess zaczęła szczegółowo opisywać Matta Traynora, ale Paige się wyłączyła. Nazwisko Giną przywiodło żenujące wspomnienia. Nie pozwolił jej nic wyjaśnić, zresztą cóż by mu powiedziała?

— ... więc zadzwonił i zaprosił mnie na weekend. Mówi, że musi ze mną pogadać, że to rozmowa nie na telefon.

— Dobrze się zapowiada — rzuciła zachęcająco Paige.

— Mam nadzieję — odrzekła uśmiechnięta Jess. — Szczerze mówiąc, jeśli będę musiała jechać na jeszcze jedną randkę tylko po to, żeby silić się na głupią rozmowę, to chyba palnę sobie w łeb!

522

Olympia zadzwoniła do swego dostawcy. Miała ich kilku. Dobrze ją znali i jej ufali. Handel prochami za pośrednictwem poczty zwykle nie wchodził w rachubę, ale dla Olym-pii Stanislopoulos nie było rzeczy niemożliwych.

Gromadziła narkotyki na potęgę. Miała już ogromny zapas. I najlepsze miejsce w świecie na ich przechowywanie: tajemny pokoik, który pokazał jej pośrednik w sprawach kupna i sprzedaży nieruchomości w dniu, kiedy przyjechali do Bel Air. Lennie był na dole, a on zaprowadził ją do garderoby, wcisnął ukryty guzik, no i proszę: za ruchomą ścianką ukazał się mały, ślepy pokoik.

— Można trzymać tu prochy — zażartował pośrednik. Ha, ha, ha.

Świetny dowcip.

— Niech pan nie mówi o tym mojemu mężowi — powiedziała szybko. — To znakomite miejsce na przechowywanie świątecznych prezentów.

Już nigdy w życiu nie zostanie bez narkotyków. Nigdy. Nigdy. Przenigdy.

Wystarczyło już samo to, że przeżyła tę katastrofę; do dzisiaj gnębiły ją koszmarne sny. Ale kiedy pozbawiono ją kokainy, trawki i pastylek — czyli wszystkiego, dzięki czemu warto było żyć — myślała, że zwariuje.

Teraz miała, czego dusza zapragnie. Tajemny pokoik wyglądał jak szpitalny magazyn.

Po telefonie do dostawcy przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze i pomacała nową, miękką skórę na twarzy. Znowu była piękna, może nawet piękniejsza niż przed wypadkiem.

Wciągnęła policzki i wyobraziła sobie, że nagle zeszczupiała. Ach, gdyby była szczupła, podbiłaby cały świat. Wy-szłaby z ukrycia i zaskoczyłaby wszystkich swoją urodą.

Zaskoczyłaby Flasha. Tego gnojka. Odzyska go. Na pewno go odzyska.

97

— Za bardzo się umalowałam — strofowała ją Lucky. — Bez makijażu też wyglądasz wspaniale, więc nie przesadzaj.

— Za bardzo?! — zaprotestowała piskliwie Brigitte. — Zwykle maluję się jeszcze bardziej.

— Gdzie? W szkole?

— Nie. Poza szkołą. To moje ulubione miejsce! Lucky przytuliła ją.

Dziewczyna tak bardzo przypominała

jej młodą Olympię. Bardzo to dziecko lubiła, chociaż Brigitte nie była już dzieckiem — prawie dorównywała jej wzrostem i wyglądała na osiemnaście lat.

— Cieszę się, że tu jesteś — powiedziała ciepło. — A w sukience, którą wybrałyśmy, bardzo ci do twarzy.

Brigitte puściła do niej oko.

— Tak, jest ładna i dziewicza — szepnęła. Lucky uśmiechnęła się.

— Skoro tak uważasz. — Objęła ją i powiedziała: — Chodź, posadzę cię między Ginem i Costą.

Brigitte rozejrzała się po zatłoczonej sali balowej. Świadomość, że jest na uroczystym otwarciu hotelu „Santan-gelo”, bardzo ją podniecała. Tylko że okazywanie podniecenia nie było w modzie, a kiedy jak kiedy, ale tego wieczoru chciała być modna i chłodna.

Szły w stronę stołu i zdawało się jej, że w tłumie gości rozpoznaje Johna Travoltę. A tam? Czy to nie Cheryl Tiegs? I... O raju! Nie, to niemożliwe! A jednak możliwe. Przecież to Tim Wealth, ten aktor. Miał dwadzieścia sześć lat i wyglądał fantastycznie! Mogłaby dla niego umrzeć, a tu proszę: była z nim w tej samej sali!

Gino powitał ją pocałunkiem w rękę.

— Wyrosłaś na młodą damę — powiedział. — W dodatku na piękną

dame.

Lubiła ojca Lucky. Był stary, ale o wiele zabawniejszy niż Dimitri, który całymi dniami przesiadywał w bujanym fotelu i z posępną miną na zrytej zmarszczkami twarzy gapił się na morze. Miała kupę szczęścia, że się tu znalazła, dobrze o tym wiedziała. Błagała Lucky od wielu miesięcy — pisała do niej ze Szwajcarii i telefonowała — żeby pozwoliła jej przyjechać.

— Ale tylko na dwa dni — powiedziała w końcu Lucky. — Potem pojedziesz prosto do Kalifornii na spotkanie z matką. Oczekuje cię.

524

Brigette wolałaby nigdzie nie wyjeżdżać. Perspektywa spędzenia wakacji z Olympią bardzo ją przygnębiała. Matka była dziwna, gruba i nie na fali. Brigette byłaby szczęśliwa, mogąc spędzić całe lato z Lucky. O właśnie: Lucky — Lucky była w porządku i na fali.

To był cudowny wieczór i wszyscy dobrze się bawili. Lucky zebrała wspaniały zespół pracowników, ludzi doświadczonych i z inwencją, kierowany przez Matta Tray-nora, którego Gino pozwolił sobie wykraść. Wyglądało na to, że Matt — w nowym smokingu, z siwymi, krótko przyciętymi włosami wyglądał nader wytwornie — przygruchał sobie nową przyjaciółkę. Była niska, miała kręcone włosy i znakomitą figurę. Lucky skądś tę dziewczynę знаła, ale skojarzyła ją sobie dopiero w chwili, gdy Matt dokonał prezentacji. Wówczas ją sobie przypomniała. Jess. Krupierka z Las Vegas. Matka dziecka, które utopiło się w basenie. Przyjaciółka Lenniego. Jego mena-dżerka. Uśmiechnęła się do niej.

— Cieszę się, że panią widzę, i proszę przyjąć moje gratulacje w związku

z sukcesami, jakie odnosi pani, pracując dla Lenniego Goldena. — Co u niego? Czy kiedykolwiek o mnie wspomina? Czy jest szczęśliwy?

— Ten hotel jest doprawdy niesamowity — odrzekła entuzjastycznie Jess.

— Olbrzymie przedsięwzięcie. Musiała pani włożyć w nie bardzo dużo pracy.

— Owszem. — Wiedziała o niej i o Lenniem?

Nie. Nikt o nich nie wiedział. To była ich tajemnica.

— Ale... — Jess zatoczyła ręką szeroki łuk, wskazując wielką salę balową wypełnioną eleganckimi gośćmi, którzy przybyli na uroczyste otwarcie hotelu. — Warto było. To naprawdę coś.

— Dziękuję. — Czy Lennie za mną tęskni? Bardzo mi go brakuje.

Jess nachyliła się.

— Cześć, Brigitte — rzuciła przez stół. — Wieki cię nie widziałam. I ledwo cię poznałam. Wyglądasz tak dorosło!

— O, cześć...

— Słyszałam, że przyjeżdżasz do nas z wizytą.

525

— Tak. — Brigitte poruszyła się niespokojnie. Była dla każdego grzeczna i uprzejma i miała tego dość. Słodka, mała Brigitte w białej, dziewiczej sukience. Boże, chyba trochę urosła, nie? Żeby tylko wiedzieli! Siedzący po drugiej stronie sali Tim Wealth odszedł od stołu. Pewnie nudził się tak samo jak ona. Brigitte szybko wstała. — Muszę do kibelka — szepnęła do Lucky.

I bez wahania ruszyła za młodym aktorem.

Uroczystą galę zaszczyciły gwiazdy i gwiazdorzy wszelkiej maści. Lucky chodziła od stołu do stołu, uśmiechając się, pozdrawiając ich i witając się z

nimi. Nie należało to do jej obowiązków, ale wiedziała, jak to robić lepiej niż ktokolwiek inny.

Było to przyjęcie szykowne i bardzo wystawne. Gości zabawiał Vitos Felicidade, płynęły strumienie szampana, na każdym stole stała srebrna waza z kawiozem, a jedzenie było wyborne.

Lucky zaprosiła Dimitriego i przez chwilę myślała, że mąż przyjedzie. Ale nie, postanowił nie opuszczać wyspy. Od trzech lat obserwowała, jak zmienia się w starca. Wydawało się, że odchodząc z tego świata, Francesca odebrała mu całą wolę życia. Pragnął tylko siedzieć na wyspie i wegetować, bowiem wszystkie sprawy zawodowe przekazał podwładnym — nie interesowało go nic ani nikt poza Robertem i Brigitte. Syn i wnuczka podtrzymywali go przy życiu.

Lucky przyjeżdżała i wyjeżdżała, kiedy tylko miała na to ochotę i podczas budowy hotelu bardzo jej to odpowiadało. Ale teraz, gdy „Santangelo” został ukończony, a Roberto miał wkrótce osiągnąć wiek szkolny, nie była pewna, czy chce przedłużać ten układ. Synek miał cztery i pół roku, był chłopcem silnym i zdecydowanym. Czyż miał dorastać w odosobnieniu pod okiem nadopiekuńczego ojca? Jak dotąd jego jedynymi przyjaciółmi były dzieci służących z wyspy.

Brigitte to zupełnie inna sprawa. Przyjeżdżała tylko na wakacje. Kąpała się, opalała i pływała na nartach wodnych.

526 .

Potem wracała do świata rzeczywistego — o ile drogą szwajcarską pensję dla dziewcząt można nazwać światem rzeczywistym.

Lucky z lubością obserwowała, jak z niemożliwego, płaczliwego berbecia dziewczyna wyrasta na piękną nastolatkę. Szczególną radość sprawiało jej

to, że traktowała Roberta jak młodszego braciszka.

Brigette nie chciała odwiedzać Olympii, która zupełnie się nią nie interesowała. W pewnym sensie Lucky czuła się jak jej druga matka. Nie miała nic przeciwko związanej z tym odpowiedzialności, którą wzięła na siebie w chwili, gdy Brigette, skończywszy dwanaście lat, zażądała zwolnienia niani Mabel. Lucky z chęcią weszła w nową rolę. Próbowwała nauczyć Brigette pewnych wartości i poczucia niezależności. Doradzała jej we wszystkich sprawach, od narkotyków począwszy, na chłopcach skończywszy.

Perspektywa spędzenia lata z Olympią Brigette nie radowała, lecz Lucky namówiła Dimitriego, żeby koniecznie tego dopilnował.

— Może teraz, kiedy Brigette dorasta, dojdą z sobą do porozumienia — nalegała. — Jeśli nie, nigdy nic z tego nie będzie.

Na pocieszenie pozwoliła Brigette przyjechać na uroczyste otwarcie hotelu i wyglądało na to, że piękna nastolatka znakomicie się bawi.

— Pomyślałem sobie, że moglibyśmy się pobrać — zagaił oficjalnie Matt.

— Że trzeba twoją wizytę jakoś upamiętnić. To idiotyczne, żebyś jechała taki szmat drogi tylko po to, żeby nic z tego nie wyszło.

Jess nie wierzyła własnym uszom. Kilka lat milczenia i nagle...

— Co o tym sądzisz? — spytał powściągliwie.

— Eee... — Gapiła się na niego w osłupieniu. — Pobrać się? My?!

— Tak. Chyba że to największy kretynizm, jaki w życiu słyszałaś.

Pokręciła głową.

527

— Dlaczego? — spytała głucho.

— Dlaczego nie? Odzyskała zimną krew.

- Mam ci przedstawić listę powodów? Natychmiast się wycofał.
- Zapomnij, że to zaproponowałem.
- Dlaczego?
- Przestań to powtarzać.
- Matt.
- Tak.
- To całkiem niezły pomysł.

Brigette czekała przed męską toaletą. Wreszcie wyszedł.

- Cześć — rzuciła wesoło, jakby byli starymi przyjaciółmi.

Tim Wealth rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy Brigitte nie mówi przypadkiem do kogo innego.

- Mówię do ciebie — powiedziała odważnie. — Przecież się znamy. Nie pamiętasz?

Tim Wealth, mężczyzna wysoki i kościsty, miał pociągłą twarz, wyraziste oczy i długie, brązowe włosy. Był ubrany w wypożyczony smoking i czarną koszulę, a jego ucho zdobił mały złoty ćwieczek. Przed dwoma laty nakręcił jeden film i okrzyknięto go debiutantem roku. Ale od tamtej pory — nic. Nie zaproponowano mu ani jednego scenariusza.

Któż zrozumie kaprysy przemysłu filmowego? Na pewno nie Tim Wealth. Po przymusowym półtorarocznym urlopie jego rolę zredukowano do występów w podrzędnych programach telewizyjnych. Później staczał się coraz niżej. Do Atlantic City przyjechał z pewnym pedałem, producentem filmowym, który obiecał mu coś więcej niż tylko szansę dla jego kościstego tyłka.

- Skąd? — spytał otaksowując ją spojrzeniem. — Chyba mam Alzheimera, a jestem za młody, żeby umierać.

Brigette szybko zamrugwała.

— Co?

528

— Nieważne.

Nie mogła uwierzyć, że z nim rozmawia.

— Widziałam twój film sześć razy — powiedziała podniecona. —

Dlaczego nie nakręciłeś następnych?

— Dobre pytanie — mruknął posepnie.

— Mój ojczym też jest aktorem.

— Ekscytujące.

— Nazywa się Lennie Golden. Słyszałeś o nim?

— Czy niedźwiedź robi kupę w lesie?

— Słucham?

— Nieważne.

Brigette śmiało parła naprzód.

— Moja przyszywana ciotka jest właścicielką tego hotelu.

— A kto jest twoją przyszywaną ciotką?

— Lucky Santangelo. Widziałeś ją?

— Można jej nie zauważyć?

— Jesteś tu z dziewczyną?

— Czyżbyś proponowała mi swoje usługi?

Brigette odczuła podniecające mrowienie. Tim Wealth z krwi i kości był jeszcze lepszy niż Tim Wealth na ekranie.

— Tak — odrzekła szybko. Obrzucił ją kpiarskim spojrzeniem.

— Ile ty masz lat? . Nie wahała się ani chwili.

— Osiemnaście — zełgała. — A ty?

— Dwadzieścia sześć, ale dobijam pięćdziesiątki. A jeśli ten wieczór potrwa jeszcze dłużej, skończę sześćdziesiąt.

Zachichotała.

— Nudzisz się. Uniósł brew.

— Bystra jesteś.

— Gdzie mieszkasz? — spytała z ożywieniem.

— W Los Angeles.

— Jutro tam jadę — oznajmiła z dumą.

— No i co? Chcesz za to medal?

Znowu zachichotała i wypięła piersi, na ile tylko pozwalała jej biała, dziewicza sukienka, którą wybrała dla niej Lucky.

Tim Wealth nie omieszkał tego zauważyć. Chociaż lubił

529

i mężczyzn, i kobiety, wspaniałe biusty zawsze go intrygowały. Poza tym jego aktualny przyjaciel miał wrócić do pokoju dopiero za kilka godzin.

— Chcesz obejrzeć moje stopy? — spytał.

— Twoje stopy?!

— Słynę z palców u stóp.

— Naprawdę?

— Na jakim świecie ty żyjesz?

— Co?

— Chodź ze mną, maleńka.

— Gdzie jest Brigitte? — spytała Lucky.

— Nieważne — odrzekł Gino. — Powiedz mi lepiej, kiedy wreszcie znowu zobaczę swego wnuka.

— Niedługo — obiecała.

— Dlaczego nie przywieziesz go do Ameryki, gdzie jego miejsce? — spytał poirytowany.

Właśnie. Dlaczego. Najwyższa pora.

Tylko jak? Dimitri nigdy się na to nie zgodzi.

— Przywiozę go — odparła stanowczo.

— To dobrze, bardzo dobrze. — Odchylił się na krześle i rozejrzał się wokoło. W sali panowało wielkie ożywienie. Sam by tego lepiej nie zorganizował. Mnóstwo gości siedziało już przy stołach i powietrze wibrowało miłym dla ucha terkotem kół ruletki.

— Gdzie ona jest? — powtórzyła Lucky, lecz w tej samej chwili jej uwagę zajął Vitos Felicidade, który podszedł do stołu wraz ze swoją świtą, żeby pogratulować jej wspaniałego przyjęcia.

Lucky uśmiechnęła się.

— Dziękuję ci, Vitos. — Kosztował ją majątek, ale reakcja publiczności zakochanej w hiszpańskim piosenkarzu warta była każdego centa.

Miał oczy szubienicznika, brązowe i smutne.

— Czy zechcesz się ze mną napić? — Jego angielszczyzna bardzo się poprawiła.

— Już piję — odrzekła.

W jego oczach dostrzegła zaproszenie.

530

Vitos Felicidade przyprawiał kobiety o bicie serca. Miał miliony wielbicielek na całym świecie, które kupowały jego płyty i pragnęły jego ciała. Na Lucky nie wywierał żadnego wrażenia.

— Dzisiaj jestem zbyt zajęta — odrzekła czarująco. — Może innym razem.

Spodobało mu się, że dała mu kosza — to taka odświeżająca odmiana.

— Może... — Puścił do niej oko, uśmiechając się łajdackim uśmiechem.

— A może nie.

Co będzie robiła później, po przyjęciu? Była podekscytowana jak po zastrzyku adrenaliny. Wykluczone, żeby chciała zostać sama.

Seks. Czemu nie? Z nieznanym. Z kimś, kogo nie będzie musiała potem widywać.

— Pij

— Ssij.

— Niuchaj.

Tim Wealth wydawał polecenie za poleceniem, a onieśmielona jego obecnością Brigitte je spełniała.

Kazał wypić jej kieliszek czystej wódki. Była wstrętna, smakowała jak lekarstwo. Ale wypła do dna, ponieważ nie chciała, żeby miał ją za dziecko.

Potem rozpiął rozporek, kazał jej uklęknąć i wsadził jej „to” do ust. Tyle tylko, że jego ptaszek zupełnie nie przypominał ptaszków, jakie widywała u chłopców z wioski niedaleko szkoły. Był wiotki i sflaczały, jak miękka gumowa zabawka.

Robiła, co mogła, ale nic się nie działo, z czego się zresztą cieszyła. Nie cierpiała chwili, kiedy usta zalewała jej ta ciepła, słonawa ciecz. Ona tego nie cierpiała, ale chłopcy to uwielbiali. Wyglądało na to, że Tim Wealth jest inny.

Odepchnął ją, schował ptaszka do spodni i przeszedł na drugą stronę pokoju. Poszperał w szufladzie i wyjął z niej małą paczuszkę białego proszku, z którego starannie usypał dwie proste linie na marmurowym

blacie stołu. Potem wręczył jej zwinięty w trąbkę banknot i wydał rozkaz numer trzy.

531

— Niuchaj.

Wiedziała, co to jest. Kokaina. Jedna ze szkolnych koleżanek, córka bogatego Araba, niuchała ją cały czas.

Brigitte paliła trawkę, ale kokainy miała spróbować pierwszy raz w życiu. Ostrożnie pociągnęła nosem, prychnęła, zakaszłała, dmuchnęła i dwie działki białego proszku szlag trafił.

— Kurwa mać! — krzyknął Tim. — Co ty? Pierwszy raz?

— Przepraszam — wykrztusiła.

— Jest za co — burknął dosypując nieco kokainy. — A teraz niuchaj. Tylko porządnie.

Druga próba wypadła trochę lepiej i nagle poczuła się tak cudownie...

— Ściągaj szmatki — rozkazał Wealth.

Wahała się tylko chwilę. Zwykle to chłopcy ją rozbierali, poza tym robili to po ciemku albo na tylnym siedzeniu samochodu. A teraz? Teraz było zupełnie inaczej. I on był inny.

Spełniła jego polecenie i z gorączkową żywiołowością zrzuciła z siebie sukienkę, stanik i majteczki. Czuła się zabawnie, była dziwnie podniecona i pełna wyczekiwania.

Kiedy rozebrała się do naga, znowu wyjął swego ptaszka i tym razem było to prawdziwe ptaszydło, wielkie, twarde i czerwone. Kazał jej uklęknąć, a gdy opadła na czworaki, wszedł w nią od tyłu, szybko i z wściekłością.

Zdławiła w sobie rozpaczliwy okrzyk. Bolało, ale jednocześnie zalewały ją fale zmysłowych odczuć i przestała nad sobą panować. Te fale były

naprawdę cudowne, przecudowne...

Coś się z nią działo i nie bardzo rozumiała co.

Mocno klepnął ją w pośladek, po czym zaczął dźgać i pompować jak obłąkany.

Przyjemne wrażenia mieszały się z przykrymi i Brigitte krzyknęła, błagając go, by przestał.

Przestał dopiero wtedy, gdy był gotowy. Ekspłodował w niej z westchnieniem i stoczył się na podłogę.

Zadrżała, spróbowała wstać. Nogi miała drżące, miękkie w kolanach, a uda lepkie od krwi.

— Ubieraj się i wracaj do domu — wymamrotał sennie z podłogi. — Do zobaczenia, mała.

532

Nie zdawał sobie sprawy, że ją rozdziewiczył?

Najwyraźniej nie.

Nie wiedziała, co robić, więc zgarnęła ciuchy i szybko się ubrała. Potem chwyciła otwarty notatnik, zapisała w nim swoje nazwisko oraz kalifornijski numer telefonu Olympii i Lenniego i oparła notatnik o telefon.

Tim Wealth już spał.

W drodze do drzwi towarzyszyło jej pełne zadowolenia chrapanie.

— Chcę zadzwonić do Lenniego — powiedziała Jess. Matt uśmiechnął się.

— Wiesz, kiedyś myślałem, że masz z nim romans. Próbowałem go polubić, ale byłem zazdrosny jak jasna cholera.

— Idiota! — rzuciła ze śmiechem. — Dlaczego tak długo zwlekałeś?

Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej, co do mnie czujesz?

Wyrzucił do góry ręce.

— Chryste! Można by pomyśleć, że kiedy do ciebie uderzałem, powitałaś mnie z otwartymi ramionami. Usadzałaś mnie na każdym kroku, moja droga.

— Bo zachowywałeś się jak palant. — I szybko dodała: — Wtedy.

— Dzięki.

— Nie ma za co.

— Szkoda, że nie jesteśmy w Las Vegas. Moglibyśmy zrobić to już dzisiaj.

Rozciągnęła usta w jeszcze szerszym uśmiechu.

— Ależ zrobimy to, spokojna głowa.

— Naprawdę?

— Bankowo, panie Traynor. Bankowo.

— Nareszcie! — wykrzyknęła Lucky. — Gdzieś ty się podziewała?

— Zwiedzałam hotel — odrzekła niewinnie Brigitte. Miała lekko zaczerwienione policzki, ale poza tym wyglądała zupełnie normalnie.

533

— Nie chcę, żebyś zniknęła bez śladu — strofowała ją Lucky. — Jeśli chcesz zwiedzić hotel, powiedz o tym mnie, to kogoś z tobą wyślę.

— Nie jestem dzieckiem — zaprotestowała Brigitte, myśląc, że nareszcie jest w pełni dorosła, ponieważ dzięki temu, czego doświadczyła z Timem Wealthem, na pewno stała się prawdziwą kobietą. Odebrał jej dziewictwo i cieszyła się, że to właśnie on, a nie jakiś brzydkał ze szwajcarskiej wioski.

— Wiem — tłumaczyła cierpliwie Lucky. — Ale jesteś bardzo ważną młodą damą, która pewnego dnia odziedziczy mnóstwo pieniędzy. Nie

możesz zniknąć, nie mówiąc mi, dokąd idziesz. Twój dziadek dostałby ataku serca.

— Rozumiem — odrzekła Brigitte, nic z tego nie rozumiejąc. Lucky bywała czasami głupia jak inni dorośli. — Szczerze mówiąc, jestem trochę zmęczona. Czy mogłabym pójść spać?

— Oczywiście — powiedziała Lucky z ulgą, że tego wieczoru nie musi się już o nią troszczyć.

— Wychodzę za mąż — oznajmiła Jess przez telefon.

— Za Matta? — spytał rozradowany Lennie.

— Nie. Za hotelowego gońca. Co za dupek!

— Kiedy?

— Niedługo.

— Urządzimy weselisko? — zażartował.

— Nie wiem, co urządzimy, ale chcę, żebyś był moim przyjacielem.

— Przyjaciela ma pan młody. Ty będziesz miała drużnę.

— Pieprzyć tradycję. Chcę, żebyś był moim przyjacielem — odparowała z uporem.

— W takim razie chętnie służę.

— No i proszę. Dopiero teraz mi się oferujesz? Siłac się na obojętność, spytał:

— Jak tam hotel?

— Zdumiewający.

— Widziałaś Lucky?

— Jasne.

— Jak wygląda?

— Zdumiewająco.

— Jesteś prawdziwą kopalnią informacji.

— Wszystko opowiem ci po powrocie.

Ostatni maruderzy wyszli z przyjęcia o wpół do czwartej nad ranem.

Lucky siedziała przy stole z Mattem, Jess, Ginem i z piękną tancerką, którą sobie przygruchał.

Niezmordowany Gino. Czy on nigdy nie przestanie?

Na to się zanosilo. Wstał i obejmując ramieniem dziewczynę, oświadczył:

— Dla mnie to już późna noc. Jestem starym człowiekiem. Nie mam już takiego wigoru.

— Akurat — odrzekła z uśmiechem Lucky. Puścił do niej oko i mocno ją ucałował.

— Należysz do tych, którzy umieją w życiu wygrywać — szepnął czule.

— Nigdy o tym nie zapominaj, dzieciно.

— Mój ojciec jest naprawdę niesamowity — westchnęła, gdy odszedł.

— Wszyscy powinniśmy mieć taką... eee... tyle energii w tym wieku — rzucił z podziwem Matt.

— Tak to teraz nazywają? — zażartowała Lucky. Jess dopiła szampana.

— Kiedy pracowałam w „Magiriano” — powiedziała — wszystkie dziewczyny marzyły o nocy z panem Sant-angelo.

— Naprawdę? — Lucky uśmiechnęła się, choć nie była zaskoczona.

— A te, którym się to udało, zawsze wracały zadowolone.

Lucky zachichotała.

— Nie wiem, czy powinnam tego słuchać.

— Chwila, myślałem, że to ja byłem największym ogierem w „Magiriano” — wtrącił Matt.

— Ty byłeś największym błaznem! — droczyła się z nim Jess.

Lucky udała, że ziewa. Chciała zostać sama. Choć bardzo Matta lubiła — Matta i Jess, którą stopniowo zaczynała poznawać — miała za sobą długi wieczór i potrzebowała

535

blógiego spokoju albo anonimowego seksu. Wszystko jedno, tego czy tamtego.

— Idę do łóżka — oznajmiła. — Czy mogłabym zasugerować, żebyście wzięli przykład ze mnie?

— Dobry pomysł — odrzekł Matt.

— Właśnie — przyznała Jess i zawstydziała się pierwszy raz od wielu lat.

Lucky wstała, wstali i oni.

— Cieszę się, że jesteście razem — powiedziała serdecznie. — Bardzo się z tego cieszę.

Jess spojrzała na Matta. Tak bardzo różnił się od mężczyzn, z którymi dotychczas chodziła, że aż nie mogła w to uwierzyć.

— Ja też — wymruczała.

Kiedy wychodzili z sali balowej, Lucky zwróciła się obojętnie do Jess.

— A co słyhać u Lenniego? — spytała mimochodem. Jess, która oczywiście o wszystkim wiedziała, starannie dobierała słowa.

— Lennie ma się dobrze — odrzekła powoli. — Ciężko pracuje. Czasami myślę, że praca jest jego jedyną przyjemnością w życiu.

Lucky trawiła tę informację, gdy zegnali się przed windą.

Na górze nie mogła zasnąć. Myślała o tym, co usłyszała od Jess. „Czasami myślę, że praca jest jego jedyną przyjemnością w życiu”. Ileż w tym

prawdy. Gdyby nie Roberto, czułaby się tak samo.

Lennie... Lennie... Lennie... Nieustannie nawiedzał jej myśli.

Postanowiła się przebrać i wyjść. Słyszała, że gdzieś w pobliżu jest całonocny bar, coś w rodzaju kowbojskiego saloonu, gdzie ciągle coś się dzieje. Pospiesznie zrzuciła suknię i już sięgała po dżinsy i koszulę, gdy wtem zadzwonił telefon. Przez krótką chwilę, chwilę dziką i szaleńczą, myślała, że może to Lennie. Szybko podniosła słuchawkę.

— Pani Stanislopoulos? — Obcy akcent, rozmowa międzynarodowa.

Nagle ogarnęło ją przeczucie, że stało się coś złego, i za-

536

łomotało jej serce. Roberto. Boże, proszę cię, nie, tylko nie Roberto.

— Tak? — spytała drżącym głosem.

— Tak bardzo mi przykro...

— Co się stało?! — krzyknęła, bojąc się o synka.

— Pan Stanislopoulos... rozległy zawał serca... nie było czasu, żeby panią wezwać... Umarł godzinę temu.

98

Wybranie składu ławy przysięgłych zajęło wiele dni. Ilekroć Steven zaaprobował jakiegoś kandydata, odrzucali go obrońcy. I vice versa. Lecz w końcu skompletowano cały skład i przedstawienie mogło się wreszcie rozpocząć.

Mary-Lou przyszła do sądu już pierwszego dnia. Siedziała w pierwszej ławie i z uwagą śledziła przebieg rozprawy.

Proces trwał tydzień. Moore kontra Bonnatti. A pod koniec tygodnia Steven był niemal całkowicie przekonany, że wygrają. Jako świadek Mary-Lou wypadła nienagannie, podczas gdy strona przeciwna nie przedstawiła

właściwie nic, jeśli nie liczyć kilku mężczyzn w trzyczęściowych garniturach. Niespokojnie strzelali oczami, gładzili czarne, ulizane włosy i nie mieli nic na swoje usprawiedliwienie.

Bonnatti się nie pojawił, czego Steven bardzo żałował. Chciałby widzieć jego minę, kiedy przysięgli wrócili z narady z werdyktem przyznającym Mary-Lou szesnaście milionów dolarów odszkodowania.

Mary-Lou nie posiadała się z radości.

— Nie chodzi o pieniądze! — powtarzała podekscytowana. — Nie chodzi o pieniądze! Czuję się jak Clint East-wood! Stawiłam im czoło i wygrałam!

— Złożą apelację — ostrzegał Steven. — Odszkodowanie jest tak olbrzymie, że może zostać drastycznie zmniejszone.

— Co mnie to obchodzi! — krzyknęła. — To moje zwycięstwo i nikt mi go nie odbierze.

Żeby to oblać, zaprosił ją na kolację. Oblewali zwycięstwo

537

całą noc i w końcu wylądował w łóżku dwudziestoletniej gwiazdeczki telewizyjnej, z którą wcale nie zamierzał się zadawać.

Była rozbijająco młoda, piękna i słodka.

— Co ja tu robię? — jęknął, gdy skończyli się kochać.

— Nie podobało ci się? — spytała, patrząc na niego swymi wielkimi, brązowymi i niewinnymi oczyma. Wiedziała aż za dobrze, że było wprost przeciwnie.

— Pytanie! — wykrzyknął, pożerając wzrokiem jej cudownie jędrne ciało koloru mlecznej czekolady, może odrobinę jaśniejsze od jego ciała.

Uśmiechnęła się.

— Bo ja bawiłam się fantastycznie. Wiesz, chyba to prawda, co mówią o adwokatach.

— A co mówią? Zachichotała.

— Że jak wynajmiesz dobrego, to już nie popuści! Steven, ależ ty masz parę!

Nie mógł się powstrzymać i też się roześmiał. Boże! Była taka piękna.

Ale, oczywiście, nie powinien był do tego dopuścić.

Spędzili razem noc, a rano poinformował ją stanowczo, że nic z tego nie będzie.

Obdarzyła go radosnym uśmiechem i odrzekła:

— Naturalnie, całkowicie się z tobą zgadzam. — Po czym owinęła się wokół niego i znowu stracił dla niej głowę.

Kochanie się z Mary-Lou było czymś wyjątkowym i wiedział o tym równie dobrze jak ona.

Kiedy w końcu wyszedł z jej mieszkania, powiedziała:

— Zrobię ci dzisiaj kolację.

— Mówiłem ci — odrzekł — ten związek nie wypali.

— Jasne — odrzekła z promiennym uśmiechem. — Postarajmy się o to razem. Bądź o siódmej. Przyrządzam pyszną chińszczyznę.

W tym samym tygodniu przeprowadziła się do jego domu.

— Niech cię Bóg ma w opiece! — ostrzegął Jerry.

— Czy ona nie jest dla ciebie trochę za młoda? — spekulowała Carrie.

538

Steven zgadzał się i z Jerryem, i z Carrie. Ale Mary-Lou zabiła w nim całą gorycz. Nigdy w życiu nie był szczęśliwszy.

— Mamy wspaniałą ofertę — powiedziała Anna Robb. — Zdecydowaną

ofertę. Zgadnij, od kogo.

Carrie pokręciła głową.

— Nie mam zielonego pojęcia.

— To dobrze — odrzekła z zadowoloną miną. — Bo nigdy byś nie zgadła.

— Od kogo?

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

Takie żarty zupełnie do niej nie pasowały i Carrie zaczynała się irytować.

— Tak — ucięła. — Bądź łaskawa mi powiedzieć. Anna wzięła głęboki oddech.

— Pół miliona dolarów. Jedna czwarta kwoty przy podpisaniu umowy, jedna czwarta w dniu skierowania książki do sprzedaży, jedna czwarta za wydanie w miękkiej okładce, reszta pół roku później.

— Kto ją kupił? — spytała Carrie.

— Fred! — wykrzyknęła Anna. — Uwierzysz? Fred Lester, ten dusigrosz.

— Fred... — powtórzyła Carrie.

— Tak, moja droga. Kupił prawa, ponieważ to najlepsza biografia, jaką czytał od lat, i ponieważ uważa, że będzie z tego wielki szlagier.

Powiedział, cytując: „Szczerść tej książki doprowadziła mnie do łez”.

Takie słowa w ustach Freda Lestera to...

Anna mówiła, ale Carrie przestała słuchać. Wkrótce miała zdradzić światu swoją historię. A nie była to tylko jej historia, była to również historia Stevena, i powinna spytać go o zdanie.

— ...Fred chce się z tobą zobaczyć. Już jutro, jeśli to możliwe. — Anna promieniała, Carrie nie widziała, żeby kiedykolwiek była taka szczęśliwa.

— Ma wielkie plany.

Wielkie plany. O Boże. Może popełniła błąd. Dzielenie

539

się sekretam życia z Anną to jedno, ale rozpowszechnianie ich w całym kraju to zupełnie co innego.

— Sama nie wiem... — zaczęła.

— Czego nie wiesz? — krzyknęła Anna; to też do niej nie pasowało. —

Uśmiechnij się, na miłość boską. Uśmiechnij się, Carrie. Będziesz najstłynniejszą Murzynką w Ameryce!

99

— Lachociągi! — wrzeszczał Santino Bonnatti. — Za kogo mnie biorą?

Za głupca? Za ofiarę? Jeśli myślą, że zobaczą choć kurewskiego centa z tych szesnastu melonów, to szczają pod wiatr! Donatella!

Żona nie spieszyła się z wejściem do pokoju. A kiedy już weszła, łypnęła spode łba na męża i jego siepaczy.

— Twój język — wycedziła. — Klniesz, ty masz problem z brudnym język. Ty myślisz, że dzieci, że one nie słyszą?

Jakaś głupia cipa chciała uderzyć go po kieszeni na szesnaście baniek, a Donatella martwiła się o dzieci.

— Chromolę dzieci! — wrzasnął.

— A ja chromolę ciebie! — odwrzasnęła Donatella. Przeżegnała się i wzniosła oczy do nieba. — O Boże, wybacz mi, ale wyszłam za świnię!

— Która płaci rachunki — burknął Santino.

— No to co? — Donatella wzięła się pod boki. Miała wielkie dłonie i rozłożyste biodra. — Mam cię za to w dupę pocałować?

Przeszył ją wściekłym spojrzeniem.

— Wychodzę — rzucił ponuro. — Jeśli przyleżą tu pismaki, to bez

komentarzy.

— Bez czego?

— Po prostu im to powiedz, nie musisz tego rozumieć. — I wymaszerował z domu. Psiamać! Kupował tej grubej raszpli wszystko, czego chciała, mieszkała w pieprzonym pałacu, a nie umiała porządnie mówić po angielsku. Nic dziwnego, że uciekał do Eden. Eden miała przynajmniej szyk, no i stawał mu przy niej w mig.

540

Świetny greps — Santino prawie zachichotał. I nagle nachmurzył czoło, przypomniawszy sobie złe wieści. Ten nowojorski adwokat to kutas nad kutasy. Santino powinien był bronić się w sądzie sam. Toż to, kurwa, Ameryka, mógł wydawać, co chciał, i jeśli jakaś głupia klapstra pozowała do zdjęć bez majtek, miał prawo te zdjęcia rozpowszechniać. I robić z nimi wszystko, co mu się żywnie podoba.

Żaden zasrany sędzia nie będzie rozkazywał Santinowi Bonnattiemu. Eden skończyła się gimnastykować, kiedy przyjechał Santino. Wkroczył do salonu niczym kurdupłowaty cesarz, spływając potem w jedwabnej koszuli i trzyczęściowym garniturze. Usiadł ze stęknieniem w fotelu, rozłożył nogi, rozpiął rozporek i rzucił:

— Zrób mi loda.

Eden dostała furii. W kącie salonu siedział Zeko, układając pasjansa. Pokojówka odkurzała przedpokój. Za oknem pracował czyściciel basenów.

— Mam cię dość — syknęła odważnie. W obecności tych wszystkich ludzi nic jej nie mógł zrobić.

Zanim uświadomiła sobie, co jest grane, rzucił się na nią, dziko wymachując krótkimi rękami. Chlast. Prask. Szust. I chlast. Zaczęła się

bronić.

— Ty skurwysynu!

Brylant na jego małym palcu rozharatał gładką skórę twarzy, pociekła krew.

— Nienawidzę cię! — wrzasnęła rozwścieczona, chwytając się za policzek.

Zeko nawet nie podniósł głowy znad karcianego stolika. Pokojówka nie przestała odkurzać. Czyściciel wsypywał do basenu środek odkażający. Eden wybiegła do łazienki i przerażona spojrzała w lustro. Zeszpecił jej twarz.

Santino wszedł za nią i żałośnie zawodząc, spytał:

— Dlaczego ciągle mi się stawiasz? Sama prosisz się o kłopoty. Mam na głowie inne rzeczy.

541

Nasączyła wacik ekstraktem z oczaru i ostrożnie przemyła ranę na policzku.

— Muszę znieść to bagno w chałupie. Przychodzę tu, żeby sobie pofolgować i odpocząć.

Nie zwracała na niego uwagi.

Dostrzegł swoje odbicie w lustrze i poprawił krawat. Wkurzało go, że jest prawie całkiem łysy, ale jak to powiadali? Łysa pała, wielka pała.

A propos.

— Uklęknij, kotku.

Kotku? Mówił do niej kotku. Po tym, co zrobił, prosił ją, żeby mu obciągnęła.

Wykluczone. Miała tego dość. Musiała od niego uciec.

Dwa dni później poinformował ją, że nareszcie trafiła się odpowiednia rola. Rzucił jej scenariusz.

Nie, nie wybaczyła mu, że skaleczył ją w policzek, mimo to przeczytała scenariusz i aż się skurczyła.

Czysta pornografia.

— Tylko cycki i tyłek, delikatny porno! — przekonywał. — To wielka różnica. Nie chcesz, to znajdę kogoś innego.

Przeczytała scenariusz jeszcze raz. Może gdyby tu i tam wprowadzić kilka zmian, wyciąć scenę gwałtu, popracować nie nad ciałem, ale nad charakterem bohaterki... Ostatecznie to główna rola.

— Kto reżyseruje? — spytała.

— Ryder. Chce spróbować.

— Przecież on jest producentem.

— Reagan był aktorem. A dzisiaj?

— Kto partneruje?

— Jakiś gnojek, Tim Wealth.

Próbowała zachować kamienną twarz. Tim Wealth. Młody aktor, z którym przed pięciu laty uciekła do Los Angeles, rzuciwszy Lenniego.

— Słyszałaś kiedy o nim?

— Nie — skłamała.

— Ani ja — burknął. — Ale mówią, że jest dobry. To jak? Bierzesz to?

542

Eden westchnęła. I powiedziała: tak. Cycki i tyłek to lepsze niż nic.

100

Pogrzeb Dimitriego Stanislopoulosa na jego wyspie bardzo Lucky przygnębił. Dzień był mglisty i pochmurny, choć jeszcze dnia

poprzedniego, jak przez cały tydzień, świeciło słońce. Z całego świata zjechali się przyjaciele i współpracownicy, żeby oddać Dimitriemu ostatni hołd. Ubrana na czarno, trzymała za rączkę Roberta, który nie rozumiał, co się dzieje. Brigitte nie pojechała odwiedzić matki i kiedy opuszczano trumnę, stała nad grobem. Gino uparł się na przyjazd, żeby towarzyszyć córce i wesprzeć ją w ciężkich chwilach. Podobnie Costa z żoną. Olympia nie przyleciała, czym okazała straszliwy brak szacunku — Dimitri byłby przerażony.

— Pani Golden jest chora — oznajmił ich rodzinny prawnik.

— Co jej jest? — spytała Lucky. Prawnik odchrząknął.

— Sądzę, że jeszcze nie doszła do siebie po tej katastrofie.

— Przecież to było trzy lata temu — zauważyła Lucky.

— Wiem — odrzekł rozważnie prawnik. — Ale wiem również, że pani Golden zamierza przybyć na otwarcie testamentu ojca.

— No jasne — prychnęła Lucky z palącą kpina w głosie. Pogrzeb Dimitriego napełnił ją dziwnymi wrażeniami.

Nie czuła się jak pogrążona w smutku wdowa. Czuła się tak, jakby straciła przyjaciela, ponieważ odkąd zaakceptowała jego warunki dotyczące Roberta, układało im się bardzo dobrze. Od śmierci Franceski nie był dla niej ani mężem, ani kochankiem. Był za to mądrym doradcą i wspaniałym ojcem dla syna. Będzie go jej brakowało.

Co teraz? Odzyskała wolność i Roberta. Mogła zabrać go, dokąd chciała. Świat stał przed nią otworem.

Tyle tylko, że nie wiedziała, co z tym światem zrobić.

543

Olympia pojechałaby na pogrzeb ojca, bardzo by tego chciała. Ale jak

mogła pojechać, skoro wyglądała jak mała słonica?

Otrzymawszy wiadomość, nie mogła uwierzyć, że Dimitri umarł. Nie mógł jej tego zrobić. Prowadzili zimną wojnę. W końcu przeprosiłby ją za rażące zaniedbanie, ona by mu wybaczyła i wszystko wróciłoby do normy. Ale Dimitri umarł i już nigdy nie będzie jak kiedyś.

Najpierw ogarnęła ją frustracja, potem złość, w końcu załamała się i gorzko zapłakała. Całe życie ojciec był niczym opoka, całe życie czuwał w cieniu, żeby ratować ją z opresji. Kiedyś wybawił ją z rąk zimnej matki i pozwolił jej z sobą zamieszkać. Rozprawiał się z rozwścieczonymi nauczycielami, którzy chcieli wyrzucać ją z każdej szkoły, do jakiej chodziła jako nastolatka. A gdy dorosła, spłacał kolejnych mężów i pilnował, żeby jej życie przebiegało gładko i bez kłopotów. Mając u boku takiego ojca, nie musiała się o nic martwić.

A teraz odszedł.

Wszystko przez Lucky.

— Ta suka go zabiła. Hotel jej nie wystarczył. Ta dziwka chce zagarnąć cały majątek.

— O czym ty mówisz? — spytał Lennie. Doprowadzała go do szału. Trzy lata karnego poddaństwa — wiedział, że dłużej tego nie zniesie.

— Wszystko zaczęło się w chwili, gdy się z nią ożenił — mówiła z patosem Olympia. — To ona zabraniała mu odwiedzać mnie w szpitalu. Zawsze była o mnie zazdrosna.

— Przecież Dimitri cię odwiedził.

— Raz! — prychnęła. — A potem zmusiła go jakoś do pozostania na wyspie. — Kiwnęła głową. — Tak. Nie wiem, jak to zrobiła, ale na pewno go zabiła.

— Wygadujesz bzdury.

— Czyżby? — Przeszyła go złośliwym spojrzeniem. — Co między wami jest? Między tobą i tą zdziwą. Dlaczego zawsze jej bronisz? — Nie pierwszy raz rozmawiali o Lucky, a ilekroć o niej rozmawiali, Olympia ryczała z furii i nienawiści. — Znam ją lepiej niż ty — ciągnęła. — Kiedy chodziłyśmy razem do szkoły, myślałam, że jest moją przyjaciół-

544

ką. Ale wierz mi, to zła kobieta, to ona zamordowała Dimitriego. Wiem, że go zamordowała.

Kiedy wbiła coś sobie do głowy, nie sposób było z nią polemizować.

Natychmiast po powrocie do Los Angeles Jess zadzwoniła do Lenniego.

— Możemy się zaraz spotkać? — spytała.

— Czekaaj na mnie w Polo Lounge — odrzekł. — Mam ochotę wyjść z domu.

Umówili się na lunch i Jess nie mogła się doczekać, kiedy błysnie mu przed oczyma zaręczynowym pierścieniem z szafirami i brylantami.

Wyczałował ją, złożył gratulacje i powiedział:

— Teraz pójdziemy pewnie swoimi drogami. Pomachała agentowi, który jadł lunch w towarzystwie dwóch blond klientek.

— Chyba żartujesz! — wykrzyknęła głośno. — Nie zamierzam rezygnować ze swoich dziesięciu procent. Wykluczone. — Zamówiła krwawą Mary i sałatkę a la Neil McCa-rthy; Lennie wolał wódkę z sokiem pomarańczowym i jajecznicę. — Przedyskutowaliśmy to z Mattem — dodała poważnie. — Będę dojeżdżała.

— Z Atlantic City do Los Angeles?

— Nie. Z Leningradu do Paryżewa, tak będzie zabawniej!

— Ha, ha. Chcesz zostać komikiem?

— Wszystko wypali. Tu będzie biuro, księgowość i sekretariat. Zamiast przychodzić do pracy codziennie, załatwiałabym sprawy w trzy dni tygodniowo. I cały czas byłabym pod telefonem. Odpowiadałby ci taki układ?

Wzruszył ramionami.

— Skoro odpowiadałby tobie... Myślałem, że ze wszystkiego zrezygnujesz i zajmiesz się prasowaniem koszul.

Zachichotała.

— Pocałuj mnie gdzieś, Lennie! Nachylił się ku niej.

— Obiecanki cacanki.

Upiła solidny łyk krwawej Mary.

545

— Wiesz co, panie gwiazdorze? Dzięki Bogu, że nigdy nie poszliśmy z sobą do łóżka.

Przy ich stoliku przystanąła posągowa brunetka w powiewnej, czerwonej sukni. Choć już nie pierwszej młodości, była uderzająco piękna.

— Cześć, Lennie — rzuciła matowym głosem. Nie miał zielonego pojęcia, kto to jest.

— O, cześć, jak się masz?

— Mój agent mówi, że robisz casting do nowego filmu. Masz jakąś rolę dla śmiałej staruszki?

Bingo! Była gwiazdą filmową z lat sześćdziesiątych, która od dziesięciu lat nie miała pracy. Jako nastolatek marzył i śnił o jej ciele.

— Może mógłbym taką rolę dopisać? — odrzekł z kamienną twarzą.

— Naprawdę? — Oblizła usta i podała mu wizytówkę. — Zadzwoń o dowolnej porze — wymruczała i kręcąc biodrami, odeszła.

— Przerzuciłeś się na starsze panie? — zadrwiła Jess.

— Koszę wszystko, co się napatoczy, moja miła.

W Polo Lounge kipiało życie. W drzwiach przystanął filmowy gwiazdor o zeszywniałej od liftingu twarzy, żeby wszyscy mogli mu się dobrze przyjrzeć. Tuż za nim wtruch-tały, chichocząc, dwie przyszłe gwiazdeczki w superob-cisłych spodniach a la toreador i równie obcisłych sweterkach.

— Mówiłam ci, że widziałam Lucky? — rzuciła mimochodem Jess.

Lennie obserwował rozchichotane gwiazdeczki. Jakiś wąsaty dryblas prowadził je do stolika, a one nie przestawały tokować.

Pociągnął ze szklaneczki.

— No i? — spytał równie obojętnie. — Co u niej?

— Wcale nie jest taka lodowata, jak myślałam. Szczerze mówiąc, była dla mnie bardzo miła. A hotel dech w piersi zapiera. Gdybyś kiedykolwiek chciał znowu wystąpić...

Jess zaczęła opisywać nowy hotel, podczas gdy Lennie pogрузzył się w rozważaniach z cyklu, co by było, gdyby.

546

Właśnie. Co by było, gdyby Lucky pragnęła go tak bardzo, jak on pragnął jej.

Ale najwyraźniej go nie pragnęła. Woląa pozostać u boku Dimitriego i budować hotel, to było dla niej najważniejsze.

Zastanawiał się, co zrobi teraz, po śmierci męża.

Olympia chciała, żeby pojechał z nią do Nowego Jorku na otwarcie testamentu ojca. Zdjęcia do nowego filmu zaczynały się dopiero za kilka

miesiący i po raz pierwszy od dłuższego czasu kiepsko mu się pisało, więc czemu nie?

Jasne. Potraktuj to obojętnie. Miał znowu zobaczyć Lucky. Po trzech latach. Nie mógł się doczekać.

101

Została wdową po jednym z najbogatszych ludzi na świecie i było to doprawdy przerażające doświadczenie. Jako żona Dimitriego Stanislopoulosa cieszyła się pewnym szacunkiem jego współpracowników. Uświadomiła sobie, że ma teraz władzę, o jakiej nawet nie śniła. Lwią część fortuny męża mieli odziedziczyć Olympia i Roberto, co wcale nie oznaczało, że Lucky zostanie bez centa przy duszy. Hotel należał teraz wyłącznie do niej. W banku procentowały pieniądze ze sprzedaży udziałów „Magiriano”. No i miała jeszcze dom w East Hampton. Nie potrzebowała pieniędzy Dimitriego i nie oczekiwała, że dostanie cokolwiek w spadku. Przed ślubem podpisała intercyzę, w której zrzekła się prawa do jego olbrzymich posiadłości i majątków. Hotel jej wystarczył. Spełniła swoje marzenie. Mimo to musiała uczestniczyć w otwarciu testamentu męża. Musiała bronić interesów syna, choć właściwie nie spodziewała się żadnych problemów — Dimitri kochał Roberta do szaleństwa.

Gino wracał do Vegas wraz z Costą i jego żoną, których zaprosił w odwiedziny. Lucky doszła do wniosku, że dobrze by było wysłać z nimi synka i Cee Cee. Nie chciała zostawiać Roberta na wyspie, gdzie czyhało zbyt wiele smutnych wspomnień. I nie chciała ciągnąć go z sobą do Nowego

547

Jorku. Ufała Cee Cee bez najmniejszych zastrzeżeń. Poza tym uznała, że pobyt z Ginem dobrze chłopcu zrobi.

Szybko poczyniono odpowiednie przygotowania. Jechała z nimi Brigitte, którą mieli podrzucić do Los Angeles. Lucky nie chciała, żeby dziewczyna podróżowała sama.

— Powinnam przydzielić ci ochroniarza — rzekła zmartwiona.

Brigitte zachichotała na tę myśl.

— Przecież nikt nie wie, kim jestem.

— Pod warunkiem, że na bilecie nie będzie figurowało nazwisko twego ojca. Nazywasz się teraz Brigitte Standing. Pamiętaj.

Naszły ją wspomnienia. Kiedy jako mała dziewczynka przyjechała do szkoły w Szwajcarii, Gino nalegał, żeby nie używała nazwiska Santangelo, ponieważ budziło złe skojarzenia. Podawała się za Lucky Saint. Co za nazwisko! Przylgnęło do niej, choć Olympia szybko odkryła całą tajemnicę i zostały przyjaciółkami.

Kiedyś. Dawno temu...

Brigitte siedziała w samolocie obok Giną. Z czego się cieszyła. Costa był nudny, a jego żona Ria za dużo mówiła. Za Cee Cee nigdy nie przepadała. A Roberto, albo Bobby, jak go nazywała, to tylko głupi szczeniak.

Było jej przykro, że dziadek umarł. Za to teraz otwierało się przed nią zupełnie nowe i ekscytujące życie. Teraz nie mogli wysyłać jej na wakacje na tę nudną grecką wyspę. No bo jak długo można pływać i się opalać?

Może Lucky pozwoli jej częściej odwiedzać Atlantic City? „Santangelo” to obłędny hotel — och, jak by się mogła tam zabawić! A może odwiedzi

Giną w Las Vegas? Ostatecznie byli z sobą spokrewnieni i dobrze się między nimi układało. No i jeszcze babcia Charlotte. To stara zgredka, ale

krótki wypad na weekend do Nowego Jorku? Czemu nie, byłoby zabawnie. No i zawsze mogła pojechać do Los Angeles. Do mamy. I do Lenniego.

Mama była nudna. Za to Lennie wspaniały. Poza tym w Los Angeles mieszkał Tim Wealth. Zadrżała z niecierpliwego oczekiwania.

548

Przejęciem szła stewardesa w obcisłej spódnicy.

— Chcesz się czegoś napić? — spytał Gino.

— Tak. Szkocką z lodem poproszę — zażartowała Brigitte.

— A klapsa w pupę chcesz? — rzucił z uśmiechem Gino. Stewardesa uśmiechnęła się lekceważąco. Miała bardzo

duże i bardzo białe zęby. Brigitte pomyślała, że z takim uzębieniem powinna występować w reklamach pasty do zębów.

— A może szklaneczkę mleka, kochanie? — spytały promiennie zęby.

Brigitte nachmurzyła czoło. Mówiła do niej jak do dziecka. Nie cierpiała, kiedy dorośli traktowali ją z góry. Nie zdawali sobie sprawy, że wychodzą na głupców? Była czternastoletnią dziewczyną, a nie czteroletnim brzdącem.

W końcu była zmuszona przejść na rygorystyczną dietę — choć strata paru kilogramów nie mogła wpłynąć na jej kaszalotowate kształty, lecz Olympia udawała, że tak właśnie jest. Ostatnio coraz częściej popadała w paranoję i nie mogła spać. Nie wiedzieć czemu, nie kończący się zapas kokainy nie dawał jej kopa, jakiego potrzebowała. Podczas rozmowy telefonicznej z jednym z dostawców narzekała, że wciskają jej towar kiepskiej jakości.

— Spotkaj się ze mną, piękna pani — kusił. — Znam sposób na

przedłużenie działania starej, dobrej koki. Przyjdź, a odleciś w obłoki!

— Chcę czegoś, po czym dobrze bym się czuła i co powstrzymałoby mnie od jedzenia — mówiła jak podczas rozmowy z lekarzem. — Muszę zrzucić parę kilogramów.

— Mam coś w sam raz dla pani, o piękna. Ale musiałbym to zademonstrować osobiście.

Umówili się na spotkanie nazajutrz, w jednym z hollywoodzkich hoteli.

Olympia nie była zdenerwowana. Nigdy w życiu nie miała tremy.

Handlarz miał czterdzieści kilka lat, niezdrową cerę, tlenione włosy i brakowało mu przednich zębów; Olympia znalazła go przez nowojorskiego dostawcę Flasha. Poza

549

tym śmierdział stęchłym dymem i miał niepokojący tik twarzy. Kiedy Olympia weszła do hotelowego pokoju, włączył telewizor i zamknął drzwi na klucz.

— Co pan dla mnie ma? — rzuciła niecierpliwie. Handlarz otaksował spojrzeniem grubą blondynę i w jego oczach zabłyśły symbole dolara.

— Wszystko, czego dusza zapragnie, piękna pani.

Godzinę później rażno wyszła z pokoju z łagodnym i zadowolonym wyrazem twarzy. W ręku ścisnęła torebkę pełną towaru. Niuchanie heroiny było kokainę na łeb.

Kiedy wróciła do domu, Lennie pracował w gabinecie.

— Gdzie byłaś? — spytał ucieszony, że zdecydowała się wyjść.

Uśmiechnęła się marzycielsko.

— Na zakupach — odrzekła. — Zbijam wagę. Muszę kupić nowe ubranie

na Nowy Jork.

— To dobra wiadomość.

— Aha, Lennie — dodała mimochodem — wynajmij samolot. Nie polecę tam zwykłymi liniami. — I wyszła z gabinetu.

Tylko on mógł ożenić się z kobietą, która wynajmowała samolot, jakby zamawiała jedzenie dla psa.

Próbował pracować, ale po godzinie stwierdził, że mu nie idzie, więc zajrzał na górę. Olympia była w sypialni i przebierała w stosach ubrań walających się na podłodze.

— Wieczorem przylatuje Brigitte, pamiętasz? Wyjeżdżamy w poniedziałek. Czy nie powinien tu zostać ktoś poza służącymi?

— To znaczy kto? — spytała, oglądając kolekcję jedwabnych kaftanów. Zaczął krążyć po pokoju.

— Może Jess?

— Mówiłeś, że wraca do Atlantic City, do tego gangstera, za którego wyszła.

— Fakt. — Zapomniał, że Jess ma teraz dojeżdżać. Olympia trzymała przed sobą błękitny kaftan. Pasował kolorem do jej oczu. Gdyby tylko schudła, wystarczyłoby kilka kilogramów — nie, musiała uczciwie przyznać, że chyba trochę więcej niż kilka — byłaby najpiękniejszą dzie-

550

wczyną w świecie. A piękne dziewczyny rzną się aż miło. Miała dość Lenniego i jego mętnych wykrętów.

— Podjęłam decyzję — oświadczyła dramatycznie.

— Taa? — Zwykle zmieniała zdanie po dziesięciu minutach.

— Zamierzam przejść odchudzającą kurację snem i radykalnie stracić na wadze.

Po powrocie z Nowego Jorku będzie miał ją z głowy. Dał jej wystarczająco dużo. Pora się rozwieść.

— To wspaniale — odrzekł z nadzieją, że Olympia zrobi to dla własnego dobra.

— Wspaniale, wspaniale — przedrzeźniała. — Ciekawe, czy będziesz tego samego zdania, kiedy znowu wezmę życie w swoje ręce.

— Przecież właśnie tego chcę. Łypnęła na niego spode łba.

— To znaczy czego?

Wyczuł początek kolejnej awantury, a po co mu awantura? Niedługo miała przyjechać Brigitte. Nie widział jej od ponad roku i byłoby miło, gdyby wszyscy mogli normalnie pogadać, a nie skakać sobie do oczu.

— Słuchaj, a może ściągniemy tu Alice? — zaproponował, szybko zmieniając temat i podsuwając jej pomysł, który, jeśli się nad tym dobrze zastanowić, był czystym szaleństwem. Rozpaczliwie próbował trzymać Alice jak najdalej od domu, a nie zapraszać ją w gości.

Olympia doszła do wniosku, że też nie chce kłótni.

— Hmm... Brigitte ją lubi, no i Alice prowadzi. Mogłaby wozić ją do Disneylandu, na Czarodziejską Górę, do wszystkich tych miejsc dla dzieci. To co? Może każę sekretarce do niej zadzwonić?

— Tak, to dobry pomysł. — Przeciągnął się. — Wychodzę, mam spotkanie z Ryderem.

Zmarszczyła czoło.

— Dlaczego to ty zawsze chodzisz do niego? Dlaczego Ryder nigdy nie przychodzi do ciebie?

— Bo nie chcesz nikogo zapraszać. Zmrużyła oczy.

— Co bardzo ci odpowiada, prawda? Dzięki temu masz

551

nieograniczoną wolność. Tak? — Cisnęła kaftan na podłogę. — W takim razie korzystaj z okazji, póki możesz, drogi mężu, ponieważ w przyszłości będzie zupełnie inaczej. Trzymałeś mnie w zamknięciu wystarczająco długo.

— Ja cię trzymałem w zamknięciu? — prychnął rozzłoszczony. — Ja?!

Każde wyjście do chirurga plastycznego to dla ciebie prawdziwa rewolucja!

Była zbyt rozanielona heroiną, żeby się kłócić.

— Żegnaj — rzuciła oschle.

— Na zawsze — mruknął.

— Co?

Wyszedł z domu, wskoczył za kierownicę porsche i szybko odjechał.

Ryder Wheeler był na korcie i odbijał piłki wystrzeliwane przez maszynę.

Lennie usiadł w fotelu przy barku i chwilę go obserwował.

Ryderowi wyszło kilka niezłych uderzeń, ale kiedy zauważył Lenniego, przestał grać i ruszył w jego stronę.

— Zawsze się z sobą bawisz? — rzucił ironicznie Lennie. Ryder wziął ręcznik wiszący na oparciu fotela i zarzucił go sobie na szyję.

— Tylko wtedy, kiedy Paige wyjeżdża.

Jakby na zawołanie, z domu wyszła Paige. Miała na sobie ciemnoczerwoną mini, a na nogach długie buty na bardzo wysokim obcasie. Wyglądała jak marsyliańska prostytutka.

— Sie masz, seksowna ślicznotko — powitał ją Lennie.

— Nie wiedziałam, że zaplanowaliście spotkanie — odrzekła, całując go w czoło.

— Bo nie zaplanowaliśmy — odrzekł Lennie. — Ale musiałem zaczerpnąć świeżego powietrza.

Jak pozostali znajomi, Paige zastanawiała się często nad jego małżeństwem. Wszyscy słyszeli o Olympii Stanislo-poulos, ale jak dotąd nikt jej nie widział. Nigdy nie pokazywała się publicznie, a Lennie nigdy nic o niej nie mówił. I to nikomu, nawet dziennikarzom, którzy nie ustawali w spekulacjach. Według Jess ich małżeństwo nadal trwało. Nic więcej nie mogła z niej wyciągnąć.

552

— Tu masz go pod dostatkiem. Idę do roboty, na galery. — Poklepała Rydera po policzku. — Pa, pa, kochanie. — Przystanęła, spojrzała na Lenniego, potem znowu przeniosła wzrok na męża i złośliwie dodała: — Opowiedz Lenniemu o swoim nowym przedsięwzięciu. Tylko z pikantnymi szczegółami. Kto wie, może zgodzi się na gościnny występ przed kamerą!

Ryder wziął z talerza suszoną śliwkę, pstryknął guzikiem interkomu, zamówił gorącą kawę, po czym odchylił się w fotelu i rzekł:

— Kręcę pornola.

— Co? — Lennie myślał, że się przesłyszał. Odkąd na ekrany wszedł jego drugi film, Ryder Wheeler był jednym z najbardziej rozchwytywanych producentów w mieście.

— Oczywiście delikatnego pornola — dodał szybko Wheeler. — Z pięknymi zdjęciami. Sam reżyseruję.

Lennie wybuchnął śmiechem.

— Nie wierzę własnym uszom! Ryder wzruszył ramionami.

— Marn wszystko, czego chcę. Więcej szmalu mi nie potrzeba. Dlatego postanowiłem sobie pofolgować i zrobić coś, o czym zawsze marzyłem.

— To jakiś kawał?

— Nie. Mówię serio.

— Ale ty nie jesteś reżyserem. Jesteś znakomitym producentem, ale reżyserem? Ryder!

Ryder podłubał zapalką w zębach.

— W reżyserowaniu filmu nie ma wielkiej mistyki — odrzekł. — Jeśli otoczysz się dobrym zespołem ludzi, jeśli znajdziesz zmyślnego specja od zdjęć, masz dziewięćdziesiąt procent szans na sukces. A jeśli umiesz gadać z aktorami i dobrać idealną obsadę, twoje szanse wzrastają o dziesięć procent. Poza tym, jeśli ktoś ma zawalczyć o cipki, lepiej niech będę nim ja.

— Przecież ty się nawet za nimi nie uganiaasz. Jesteś jedynym facetem, jakiego znam, który się nie puszcza.

— Nie robię tego, żeby sobie ulżyć — tłumaczył cierpliwie Ryder. — Gdybym chciał się puszczać, to bym się

553

puszczał, przecież to miasto orgazmu, nie? — Zamilkł na chwilę. — Robię to, ponieważ wyreżyserowanie pornola jest jedną z moich nie spełnionych ambicji. No i dlatego, że forszę wykłada jeden z moich inwestorów. Jestem na procencie od dochodów, a jeśli uwzględnimy sprzedaż kaset wideo, zgarnę kupę szmalu.

— A co z twoją reputacją? Ryder roześmiał się serdecznie.

— Lennie, w tym mieście reputacja zależy od tego, ile zarobisz. Kurde, czasami gadasz jak harcerzyk.

— Pieprz się, Ryder. Ryder promieniał.

— Wpadnij na plan. To bez porównania lepsze niż gra w tenisa.

102

Kawę podano w filiżankach z delikatnej porcelany, obok których leżały niezgrabne łyżeczki. Carrie postanowiła, że kupi mu na gwiazdkę komplet srebrnych, ale znając Freda Lestera, wiedziała, że pewnie nigdy nie będzie ich używał.

Fred odchrząknął po raz drugi i przeciągnął dłonią po łysinie.

Carrie założyła nogę na nogę, po czym je wyprostowała. Tak, nogi wciąż miała piękne. Zmarszczki ich nie dosięgły — jak dotąd. Czasami, przeglądając się w lustrze, z przerażeniem konstatowała, że zaczyna dopędzać ją czas. Ale żyła, ciągle żyła, więc chyba należała do szczęściarzy? Często myślała o towarzyszach młodości, o prostytutkach i striptizerkach, o alfonsach i szulerach. Czy oni jeszcze żyli? Szczerze w to wątpiła. Walka o byt była wtedy okrutna i przetrwać zdołali tylko najsilniejsi.

— Twoja książka to prawdziwy klejnot — powiedział w końcu Fred Lester. — Lśniący klejnot uczciwości w świecie fałszu i obłudy.

— Dziękuję — wymruczała skromnie Carrie. Komentarz Freda był pierwszą reakcją na jej autobiografię. Wciąż jeszcze nie wspomniała o książce Stevenowi.

554

Fred zetknął czubki palców, złożył dłonie w kształt stożka i unikając jej wzroku, spojrzął na przeciwległą ścianę gabinetu.

— Mogą zaistnieć pewne problemy prawne z nazwiskami, których użyłaś. Tych prawdziwych... chyba nie da się wykorzystać. — Roześmiał się głucho. — Zwłaszcza nazwiska Freda Lestera.

Carrie zawtórowała mu śmiechem.

— Nigdy ci o tym nie mówiłam, ale to właśnie twoje nazwisko mnie tu przywiodło.

Uważnie oglądał swoje palce.

— Naprawdę?

— Z ręką na sercu. Widzisz, kiedy w końcu wyznałam Stevenowi prawdę, dostał obsesji i chciał koniecznie dowiedzieć się, kto jest jego ojcem: Gino Santangelo czy Freddy Lester.

— Rozmawialiście z Ginem Santangelo?

— Prawie. Poleciliśmy do Kalifornii, ale coś powstrzymało Stevena od dalszych poszukiwań. I dzięki Bogu.

W Nowym Jorku padało i w okna bębniły nieustępliwe krople deszczu.

— Ilu Fredów Lesterów znaleźliście? — spytał Fred. — I na jakiej podstawie wyeliminowaliście mnie?

Upiła łyk kawy. Była mocna i gorąca.

— Dlaczego pytasz? — zażartowała. — Chcesz powiedzieć, że to byłeś ty?

Zapadła cisza i dopiero po chwili w gabinecie zabrzmiał serdeczny śmiech Lestera.

— Bardzo bym tego chciał.

— Nieprawda. — Nagle stała się szorstka i oschła. — To było zwierzę, które nie liczyło się z nikim oprócz siebie. Zgwałcił mnie — dodała drżącym głosem. — Tak, byłam wtedy dziwką, ale nawet dziwka ma

swoje prawa, czyż nie?

— Oczywiście, moja droga — uspokajał. — Oczywiście, że tak.

Wstała i podeszła do okna.

— Ciągle pamiętam ból, jaki musiałam znieść — ciągnęła z goryczą.

Niewidzącymi oczyma patrzyła na samochody pełznące deszczową ulicą poniżej. — Byłam sama, nie miałam pieniędzy ani pracy, w mym łonie rosło dziecko. Nie

555

pozostało mi nic innego. Musiałam wrócić do zawodu, który zapewniał nam środki utrzymania. Nie miałam wyboru. To on nie dał mi wyboru.

Fred stanął za nią.

— Masz wspaniałego syna. Z bólu zrodziło się coś dobrego.

Nigdy dotąd tak o tym nie myślała. Znużona kiwnęła głową i ogarnęła ją fala wątpliwości.

— Steven nic o tej książce nie wie. Nie chcę go denerwować.

— Jeśli denerwuje go twoje życie, to już jego problem.

— Wiem, ale...

— Chciałabyś, żebym mu o tym powiedział? Pokręciła głową.

— To mój obowiązek. Porozmawiam z nim jutro.

— Może... powinienem ci towarzyszyć?

Coś ją tknęło, coś w tonie jego głosu. Odwróciła się od okna, spojrzała na Lestera i powoli uświadomiła sobie prawdę.

— To ty, prawda? — szepnęła w końcu. — To ty. Dlatego płacisz mi pół miliona dolarów. Chcesz okupić wyrzuty sumienia. To ty!

— Tak — odrzekł, czując, jak z ramion spada mu olbrzymi ciężar.

103

— Cześć — zaszczębiotała wesoło Brigitte, próbując zamaskować szok, jakiego doznała na widok matki.

— Jak ty wyrosłaś! — wykrzyknęła Olympia. — O Boże! Czuję się przy tobie tak staro! Choć stara nie jestem — dodała szybko.

— Dlaczego nie przyjechałaś na pogrzeb dziadka? — rzuciła oskarżycielsko Brigitte, nie tracąc czasu.

— Nie cierpię pogrzebów — odparła rozdrażniona.

— Twoja mama była chora — wtrącił Lennie.

— Wygląda świetnie — odparowała Brigitte z błyszczącymi oczyma.

556

— Jej to powiedz — łagodził Lennie. — Ma za sobą przeszczepy skóry, operacje plastyczne i Bóg wie co jeszcze. Powiedz matce, że znowu wygląda pięknie.

— Rzeczywiście, wyglądasz pięknie, mamó — potwierdziła niechętnie Brigitte. — Czy ktoś do mnie dzwonił?

— Niby kto miałby do ciebie dzwonić? — spytała Olympia, nie mogąc przeboleć faktu, że jak na czternastolatkę, córka wygląda bardzo dojrzałe i że jest taka rozwinięta.

— Mam tu przyjaciół — odrzekła mętnie Brigitte. — Ze szkoły, i w ogóle.

— To dobrze — powiedziała Olympia.

— Świetnie — dodał Lennie.

— Musimy lecieć do Nowego Jorku — ciągnęła Olympia. — Przyjedzie tu Alice, dotrzyma ci towarzystwa.

— Kto?

— Alice. Na pewno ją pamiętasz. Matka Lenniego. Kiedyś ją uwielbiałaś.

Brigette ziewnęła i przeciągnęła się.

— A tak... — Ta stara wiedźma, pomyślała. Ekstra, przy niej będę mogła robić, co zechcę. — Mamo, na jak długo wyjeżdżacie? — spytała niewinnie.

— Na tak długo, jak będzie trzeba — odparła Olympia. I w duchu dodała: wrócę dopiero wtedy, kiedy upewnię się, że ta suka Lucky dostanie tylko to, co się jej należy. To znaczy — o ile mam w tej sprawie coś do powiedzenia — zupełnie nic.

Tim Wealth wyprowadził się od swego kochanka, jak tylko rozpoczął zdjęcia do „Gorączki”, nowego filmu Rydera Wheelera. Wyprowadził się, ponieważ kochanek zaczął traktować go jak coś gorszego od gówna, a komu to potrzebne? Facet był tylko nędznym producentem, a nie drugim wcieleniem Clarka Gable'a.

Tim znowu pracował, znowu mógł płacić rachunki i chociaż rola w „Gorączce” to nie to samo co główna rola w „Wielkim Gatsby”, zanosilo się na ostry film. I to w każdym tego słowa znaczeniu.

557

Pierwszego dnia na planie stanął oko w oko ze swoją partnerką. I aż się cofnął. Eden Antonio.

— Znacie się? — spytał Ryder, zauważywszy minę Tima.

— Nie — odrzekła Eden i się odwróciła. Zakłamana suka, pomyślał Wealth. Z drugiej strony, nic dziwnego. Zawsze była suką i zawsze kłamała.

Tim Wealth przybył do Nowego Jorku z Detroit, kiedy miał dziewiętnaście lat. Myślał, że drzwi teatrów staną przed nim otworem. Przecież był aktorem, dobrym aktorem. Ale jedynymi drzwiami, jakie się przed nim

otwierały, były drzwi samochodów krążących po Times Square, których kierowcy szukali chętnych na szybki numer. Został męską prostytutką — nie zrobił tego z wyboru — ponieważ klienci nieźle płacili i ponieważ dzięki uzyskanym w ten sposób pieniądzom mógł uczęszczać na dzienny kurs aktorski.

Jedną ze słuchaczek na kursie była dziewczyna nazwiskiem Eden Antonio. Najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widział. Była nie tylko piękna, ale i wyrafinowana, obyta — już samo słuchanie jej głosu napawało go zachwytem. Chłonał każde jej słowo, Eden bowiem miała klasę i styl, czyli wszystko to, czego życie mu poskapiło.

Czasami odgrywali razem jakąś scenę. Była kiepską aktorką, ale nadrabiała egzotyczną urodą. I chociaż była o kilka lat starsza, zostali dobrymi przyjaciółmi, a potem kochankami, choć wiedział, że Eden mieszka z jakimś facetem.

Pewnego dnia przyszła na zajęcia ze zdeterminowanym wyrazem twarzy. — Posłuchaj — rzuciła. — Nie wiem, jak ty, ale ja mam dość tego miasta. Chcę wyjechać do LA i spróbować sił w filmie. Może wyjedziemy razem? — A twój chłopak? — spytał. — Jaki chłopak? — odrzekła.

Kiedy już postanowili wyjechać, wszystkie związane z tym sprawy zrzuciła na jego barki. Zdołał odłożyć trochę pieniędzy — dobrą stroną męskiej prostytutki było to, że klienci nie sknerzyli — i to w gotówce, na czysto, bez podatków. Eden oczekiwała, że za wszystko zapłaci. I Tim płacił.

558

Za dwa bilety lotnicze pierwszej klasy.

— Chcę zrobić to, jak trzeba — wyjaśniła Eden. Za rezerwacje w hotelu „Beverly Hilton”.

Za kilka nowych kreacji dla Eden, w których miała podbić agentów od castingu.

Po miesiącu hotelowego życia bez pracy Tim zdał sobie sprawę, że jest spłukany.

— To kiepsko — zreasumowała Eden i pewnego deszczowego poranka, kiedy wyszedł kupić gazety z ogłoszeniami dla aktorów, zniknęła z jego życia, pozostawiając Tima z rachunkiem za hotel — trzy tysiące dolarów! — którego w żaden sposób nie mógł uregulować.

Był zdruzgotany. Ale dzięki temu zaliczył szybki kurs życia z kobietami z klasą i stylem.

Uciekł z hotelu, nie płacąc rachunku, i podjął jedyną znaną sobie pracę, która zapewniała utrzymanie.

Podłapywanie klientów na Santa Monica Boulevard nie różniło się niczym od podłapywania klientów na Times Square.

Skończył dwadzieścia jeden lat i pewnego dnia poderwał go pewien znany gwiazdor filmowy, którego życie prywatne było ścisłą tajemnicą. Facet miał żonę i dzieci, co nie powstrzymało go od zainstalowania Tima w luksusowej garsonierze, wypłacania mu miesięcznej gaży i pokrywania wszelkich wydatków. Ten układ bardzo Timowi odpowiadał, ponieważ nie musiał już wychodzić na ulicę, mógł zabawiać się z dziewczętami pod nieobecność swego dobroczyńcy i skoncentrować się na studiach aktorskich.

Pilność się opłacała i w roku 1980, ku wielkiemu zmartwieniu kochanka, dostał główną rolę w filmie. Rozstanie było gorzkie i zjadliwe.

Przebojowe recenzje i dobre wpływy kasowe nie doprowadziły do niczego. Do absolutnie niczego. Odrzucony gwiazdor miał duże chody i zrobił wszystko, żeby kariera Tima Wealtha spłynęła jak papier w muszli klozetowej.

I pewnie pozostałaby tam na zawsze, gdyby nie pornol Rydera Wheelera. — Jest tam wiele śmiałych scen — ostrzegał agent. — Ale Wheeler chce nakręcić je z klasą, no i sypie zielonymi.

559

Tim się zgodził. Oprócz skromności, z którą się nigdy nie Uczył, nie miał nic do stracenia. Przeczytał scenariusz. Czysta Pornografia. Lecz nie opuszczała go nadzieja, że dzięki Ryderowi Wheelerowi wyjdzie z tego coś więcej. Zaznał już smaku gwiazdorstwa i rozpaczliwie pragnął zaspokoić głód sławy.

Eden Antonio. Była gorąca — jak film, który mieli kręcić, choć Tim powiedziałby raczej, że jest to kobieta lodowato zimna. Dobrze ją pamiętał. Ale teraz był starszy i o wiele mądrzejszy. Nie, tym razem Eden go nie stłamsi i nie wykiwa.

Emanował z niej seks i szyk, chociaż była tak szczupła, że graniczyło to z objawami jadłowstrętu. Trochę dziwny wybór, jak na główną bohaterkę śmiałego filmu erotycznego.

— Wszystko w porządku — zapewniał go charakteryza-t°r- — Przy pozostałych laleczkach Dolly Parton wygląda jak babka, którą przejechał walec parowy!

Tim nie mógł się doczekać.

Dziewczyny i pedały. Historia jego życia.

Nigdy nie potrafił dokonać wyboru.

Zaczęli kręcić i cieszył się, że przyjął tę rolę. Do diaska, skoro Richard Gere mógł pokazać wszystko, dlaczego nie może zrobić tego on? Chociaż w sumie miał robić znacznie więcej, niż tylko pokazywać.

Ryder Wheeler twierdził, że jego film to film przyszłości.

— ■ Ludzie chcą widzieć wszystko bez osłonek — zapewniał aktorów. — Dzisiaj rozbieracie się wy, jutro Burt Reynolds i Jessica Lang.

Tim miał co do tego pewne wątpliwości. Ale przynajmniej agent go nie okłamał — film kręcono z klasą i nie szczędzono pieniędzy.

Kiedy pierwszy raz znaleźli się sam na sam, Eden rzuciła:

— A więc tobie też się nie powiodło, he? — • Suka z ciebie nad sukami — odrzekł.

— To jeden z moich głównych wabików — odparowała.

Byli w garderobie. Zamknął kopniakiem drzwi i przeleciał Ją przez pamięć starych czasów.

— Mój przyjaciel cię za to zabije — szepnęła. — Jeśli kiedykolwiek się dowie...

560

— Powiesz mu?

Roześmiała się ochryple i gardłowo.

— A jak myślisz?

W drugim tygodniu zdjęć poznał „kasjera”, Santina Bonnattiego. Santino krążył po planie, jakby miał w kieszeni cały świat wraz ze wszystkimi jego mieszkańcami. Było oczywiste, że ma w kieszeni Eden, którą w obecności zespołu aktorów i techników czule nazywał „cip-ką”.

— To twój chłopak? — spytał Tim, choć o nic pytać nie musiał.

— Niestety — odrzekła.

Na ekranie trzaskały między nimi iskry. Eden Antonio i Tim Wealth. A nie zaczęli jeszcze kręcić najgorętszych scen!

Ryder dostrzegł to, jak tylko obejrzał materiał z pierwszego dnia zdjęciowego. Zadzwoił do Paige i kazał jej natychmiast przyjść do sali projekcyjnej.

Paige obejrzała kilka ujęć z Timem i Eden i od razu się z nim zgodziła.

— Musimy utrzymać ten film na odpowiednim poziomie — powiedział Ryder. — Chcę nakręcić „Ostatnie tango w Paryżu” lat osiemdziesiątych, a nie kolejną wersję „Głębokiego gardła”.

— Chyba nie masz z tym problemów? — spytała.

— Ja nie, ale Bonnatti zalezie mi za skórę. Poczekaj, sama zobaczysz.

I rzeczywiście, kilka tygodni później Santino zażądał czegoś więcej.

— Chcę więcej cycków i więcej tyłków. Chcę więcej obciążania i więcej rypania.

— Śmiało, nie miej żadnych oporów — nalegał Ryder. — Powiedz, o co ci chodzi.

Santino przeszył go wściekłym spojrzeniem. Wykładał szmal na pornola, a oni kręcili długie ujęcia w sprytnych półcieniach. Artystyczne gównno.

— Rób, co mówię — ostrzegł. — Albo bierz dupę w garść i jazda stąd.

Dwa dni później Ryder poszedł za jego radą.

Tim Wealth i Eden Antonio byli zatrwożeni. Zwłaszcza

561

kiedy Santino przyprowadził na plan znanego reżysera filmów pornograficznych, który nie tracąc ani chwili, spełnił jego żądania w dwójnasób.

W przerwach na ustawienie kamery, kiedy Santino zniknął, a Zeko uganiał

się za statystkami, Tim pocieszał Eden w zaciszu jednej z garderób. Kochali się szybko i gwałtownie. Ona spięta, zdenerwowana i wygłodniała. On zaskoczony, że potrafi wykrzesać z siebie uczucia, na których już dawno postawił kreskę.

Wkrótce Santino zaczął coś podejrzewać. Obserwował ich przed kamerą i nie miał nic przeciwko temu, co robili — panował nad sytuacją, a Eden była jego własnością. Ale poza planem? Nie chciał, żeby nawet z sobą rozmawiali.

— Musisz od niego zwać — namawiał Tim.

— Wiem — zgadzała się z nim Eden.

Wealth nie wiedział, dlaczego się w to pakuje. Nakręcić film i chodu, tak by było najlepiej. Santino Bonnatti to groźny typ. Jeden z najgroźniejszych.

— Gdybym skołował tęgi szmal, moglibyśmy wyjechać do Meksyku i się ukryć — zasugerował.

Eden kiwnęła głową. Jakim cudem Tim wytrzasnąłby pieniądze na bezpieczną ucieczkę?

Tego samego wieczoru poszperał w swojej walizce, tej samej, którą miał z sobą w Atlantic City podczas ostatniego wyjazdu z kochankiem. W kąciaku na samym dnie znalazł zmięty kawałek papieru. Widniało na nim imię i nazwisko: BRIGETTE STANISLOPOULOS. I numer telefonu.

Tim nie wahał się ani chwili.

104

Brigette się nudziła. Utknąć na całe tygodnie w domu w Bel Air w towarzystwie zwariowanej Alice i armii służących? Toż to samo dno.

Przyjechała z wizytą do matki i Lenniego, a oni prawie natychmiast uciekli

do Nowego Jorku, ledwo powiedziawszy: dzień dobry i do widzenia. Nie ma co, musieli bardzo się za nią stęsknić.

Jakiś czas bawiło ją grzebanie w garderobie Olympii,

562

w jej komodach i w biurku. Potem myszkowała po gabinecie Lenniego, ale Lennie miał zwyczaj trzymać wszystko pod kluczem, więc nic ciekawego tam nie znalazła.

— Chcesz pojechać do Disneylandu, kochanie? — spytała Alice.

Do Disneylandu! Brigitte posłała jej wymowne spojrzenie.

Alice zrozumiała. Disneyland odpadał. Zamiast do Disneylandu pojechały do porno kina na Hollywood Boule-vard, a później wsiadły do białego rollsa Olympii i, z umundurowanym szoferem za kierownicą, krążyły po Bulwarze Zachodzącego Słońca, obserwując paradujące prostytutki.

Brigitte była zafascynowana.

— Naprawdę im za to płacą? — spytała ciekawie.

— Naturelment, ma chérie — odrzekła Alice. Francuskie zwroty podłapywała od dobrze obdarzonego karła, którego poznała w barze. Miał na imię Claudio i był zagranicznym cyrkowcem.

— Co one robią? — spytała Brigitte.

— Spytaj raczej, czego nie robią — odrzekła tajemniczo Alice. — O lala! Wróciwszy do domu, grały w karty. Brigitte codziennie czekała na telefon, ponieważ była całkowicie przekonana, że Tim Wealth zadzwoni.

Tymczasem Alice zastanawiała się, czy zaprosić Claudia czy nie. Lennie powiedział bardzo wyraźnie:

— Nie chcę tu żadnych twoich przyjaciół, ani mężczyzn, ani kobiet, ani hetero, ani homo.

Biedny, mały Claudio. Był taki cichy i spokojny. A już na pewno bardzo zmysłowy, jak na osobę tak niskiego wzrostu. Lennie nie miałby chyba nic przeciwko temu, gdyby go zaprosiła?

— Będziemy się tu nudziły ad mortem defectam — powtarzała bez końca Brigitte. — Nie mogłybyśmy choć raz zrobić czegoś naprawdę czadowego? Nie znasz żadnych ludzi?

Alice nie wiedziała, co znaczy „ad mortem defectam” ani „czadowy”, lecz oba określenia brzmiały w jej uszach bardzo wulgarnie. Westchnęła.

Dzisiejsza młodzież była inna. Brigitte robiła wrażenie niezwykle śmiałej i wyemancypowanej na-

563

stolatki. A może była zupełnie normalna. Pod wpływem impulsu zatelefonowała do Claudia i zaprosiła go do domu.

— Odwiedzi mnie przyjaciel — oznajmiła.

— To miło — mruknęła dziewczyna.

— Na pewno nas dokądś zaprosi. — Alicja kiwnęła do siebie głową.

Miała dość odgrywania roli opiekunki do dziecka. Kiedy zadzwonił do niej Lennie z zaproszeniem, była wniebowzięta. Pragnęła być blisko sławnego syna, nie chciała, żeby się od niej wечно odcinał. Ale niezbyt odpowiadało jej pilnowanie rozwydrzonej czternastolatki. Wizyta Claudia na pewno wniesie dużo ożywienia.

— Miło będzie kogoś zobaczyć — burknęła Brigitte. Była wkurzona na Tima Wealtha. Mijały tygodnie, a on nie dzwonił. Niedługo będzie musiała wyjechać z Los Angeles i wrócić do szkoły. Za kogo ją miał?

— Tak — myślała głośno rozradowana Alice. — Claudio nas zabawi.

— Wspaniale — odrzekła Brigitte. Alice uśmiechnęła się głupawo.

— Będzie... czadowo! — dodała niepewnie.

Brigette zachichotała. Alice zawsze ją śmieszyła. Te jej farbowane włosy, ta różowa tapeta na policzkach, te ptasie ruchy. — Tak jest, babciu!

Alice natychmiast przestała się uśmiechać.

— Nie nazywaj mnie tak, kochanie. Czuję się wtedy bardzo staro.

W Nowym Jorku trwała bitwa. Testament Stanislopou-losa był dokumentem długim i skomplikowanym. Ku zaskoczeniu wszystkich zainteresowanych większość pieniędzy, udziałów i posiadłości Dimitri zapisał Lucky, która miała przekazać je synowi, gdy ten skończy dwadzieścia pięć lat.

Nie oznaczało to, że zapomniał o córce. Olympia otrzymała dożywotnie uposażenie w wysokości miliona dolarów rocznie, co uznała za straszliwą zniewagę. Brigitte miała dostawać dwa razy więcej i odziedziczyć dwadzieścia pięć milionów w wieku dwudziestu jeden lat.

564

— Jak on śmiał! — wrzasnęła Olympia, gdy wyszli z gabinetu adwokata.

— Jak ten sukinsyn śmiał mi to zrobić!

Lennie nie zważał na histeryczne krzyki żony. Po raz pierwszy od trzech lat zobaczył Lucky i czuł się tak, jakby ktoś kopnął go w brzuch butem o stalowej podeszwie. W prostej czarnej sukience, z włosami ściągniętymi do tyłu wyglądała piękniej niż kiedykolwiek przedtem.

Podeszła do nich, objęła współczująco Olympię, lecz ta wyszarpnęła się i przeszła ją wściekłym spojrzeniem.

Nie wiedział, co powiedzieć. Nie mógł wymyślić nic stosownego.

Wielkiemu gwiazdorowi filmowemu odebrało mowę.

— Jak się masz? — Zdołał wykrztusić tylko tyle. Ledwo na niego

spojrzała.

— Dobrze, dziękuję — odrzekła krótko i wstrzemięźliwie.

I na tym koniec. Potem nie zamienili już ani słowa. Potem była tylko wielogodzinna nuda, czyli odczytywanie testamentu.

Próbował przechwycić jej spojrzenie, ale była wyniosła i nieobecna, co go zdruzgotało. Uznała, że wszystko między nimi skończone, przynajmniej na to wyglądało. A pozostając w związku z Olympia, w żaden sposób nie mógł przekonać jej, że jest inaczej.

— Wszystko przez tę sukę — perorowała Olympia. — Wyprała mu mózg. Zmusiła go do tego. Ale niech ani przez chwilę nie myśli sobie, że ujdzie jej to na sucho. Moi adwokaci obalą ten przeklęty testament. Paragraf po paragrafie.

Popularność spadła na nią niczym plaga mrówek i Lucky, która zawsze starała się trzymać w cieniu, znalazła się nagle w centrum uwagi. Jako pani Stanislopoulos zdołała uniknąć rozgłosu. Ale teraz była wdową po Di-mitrim Stanislopoulosie i spadkobierczynią większości jego majątku i raptem, wbrew jej woli, wycelowano w nią wszystkie reflektory. W gazetach zaczęły pojawiać się nie chciane nagłówki. Wykopano stare zdjęcia z czasów jej małżeństwa z Cravenem, synem senatora Richmonda,

565

z otwarcia hotelu „Magiriano” i te nowsze, z otwarcia „Santangelo” w Atlantic City.

CÓRKA EKS-GANGSTERA ROZBIJA BANK — krzyczał nagłówek w jednym z brukowców. CÓRKA GINĄ SANTANGELO

BŁYSKAWICZNIE DORABIA SIĘ FORTUNY — informował nagłówek innego szmatławca.

Wkrótce niezmordowani pismacy wykopali historię gwałtu, jakiego chciał dopuścić się na niej Enzo Bonnatti, oraz jego gwałtownej śmierci. Przed sześciu laty sprawę wyciszono, ale teraz stanowiła prawdziwą sensację.

SPADKOBIERCZYNI STANISLOPOULOSA ZABIŁA GWAŁCICIELA!

Nagła utrata prywatności doprowadzała ją do szału, a kiedy opublikowano zdjęcie Roberta bawiącego się w basenie „Magiriano”, gdzie przebywał z Ginem, wpadła w amok. Natychmiast zadzwoniła do ojca.

— Co się tam, do diabła, dzieje? — spytała. — Dlaczego pozwalasz im fotografować Roberta?

— Nikomu na nic nie pozwalam — odmruknął ponuro. Jego też denerwował gwałtowny wybuch popularności. — Straż hotelowa wyrzuca pismaków na zbity pysk, ale nie mogę kazać im wyrzucać turystów z aparatami.

— Chcę, żebyś go stamtąd zabrał — zażądała kategorycznie. — I to natychmiast.

— Jasne — odparł Gino. — Sam miałem taki zamiar. Zdradził jej swój plan. Costa i Ria wynajęli na miesiąc dom w Beverly Hills. Wieczorem wylatywali do Los Angeles i Gino zamierzał tam zabrać z sobą wnuka i Cee Cee.

— Nie zniosę dłużej tego, co tu się dzieje — mówił. — A tak nikt nie będzie wiedział, gdzie jesteśmy, i będziemy mieli trochę spokoju.

— Brzmi nieźle — odparła Lucky. — Przyjadę do was, jak tylko będę mogła.

— Nie ma pośpiechu — zapewniał Gino. — Roberto jest przy mnie bezpieczny.

— Wiem — odrzekła szybko — ale bardzo za nim tęsknię. — I naprawdę

tęskniła. Rozpaczliwie. Hotel nigdy nie zastąpi jej syna.

Porozmawiali jeszcze trochę i poczuła się lepiej. Nareszcie mogła zwrócić się do ojca w złych chwilach. Rozumiał ją

566

i zawsze spieszył z pomocą. A teraz bardzo kogoś takiego potrzebowała.

Lennie... Ciągłe żonaty. Dlaczego tak długo się łudziła, że coś ich jeszcze łączy?

105

Gdyby tylko zdołała dotrzeć do Lenniego. Wiedziała, że pożyczylby jej pieniądze, które uwolniłyby ją ze szponów Santina Bonnattiego. Z chwilą rezygnacji Rydera Wheelera sytuacja na planie pogarszała się z dnia na dzień. Ujęcia z Timem nie przedstawiały żadnego problemu. Były bardzo ostre, ale jakoś dawała sobie radę, bo Tim to zawsze Tim. Ale kiedy Santino zażądał, żeby przywrócono scenę gwałtu, wiedziała, że ma kłopoty.

Ściągnięto aktora z porno filmów, niezdarne go osiłka, który miał grać rolę gwałciciela, i Eden natychmiast wyczuła — nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości — że Santino kazał reżyserowi pójść na całość. Tim zdołał podać jej ukradkiem kilka tabletek, nim wyproszono go z planu.

— Połknij je — szepnął. — Pomogą ci to przetrwać. Połknęła tabletki i od razu poczuła się lepiej.

Gdy wezwano ją do ujęcia, Santino już czekał. Siedział w fotelu reżysera za kamerą z lubieżnym uśmiechem na twarzy i śmierzącym cygarem w gębie.

— Dużo szczęścia, kotku — rzucił głosem zatroskanego przyjaciela.

Uśmiechnęła się z nieobecnym wyrazem twarzy. Tabletki przeniosły ją w inny świat, gdzie nic nie miało znaczenia.

Reżyser, nowojorczyk o farbowanych włosach i wąskich jak szparki oczach, powiedział:

— Postawmy na intuicję, skarbie. Wczuj się w to. Po-przeżywaj.

Najpierw zrobimy plan ogólny, potem kilka zbliżeń.

— Czy wyglądam pięknie? — wymruczała.

— Wyglądasz ekstra, maleńka. Wszystkim facetom w kinie flaga pójdzie na maszt!

567

Oblizła cienkie usta i zaczęła, aż padnie to magiczne słowo: „Kamera!”

Reżyser wypowiedział je i kurtyna poszła w górę.

Zaczęła jak profesjonalistka, którą przecież była.

Eden Antonio.

Słynna piękność srebrnego ekranu.

Miała na sobie atlasową koszulę nocną i niewiele więcej.

Osiłkowaty aktor czekał na swoje wejście za zasłoną. Na znak reżysera stanął przed Eden, wielki i złowieszczy. Chwycił ją gwałtownie. W jego lubieżnym uścisku była bezbronna jak szmaciana lalka.

Rozluźniła się i zwiotczała mu w ramionach.

— Walcz! — syknął reżyser.

— Właśnie, walcz! — powtórzył za nim Santino, nachylając się do przodu. Na jego brwiach lśniły kropelki potu.

Po co miała walczyć? To, co się działo, było nieuniknione, i nigdy w życiu nie dałaby rady się przed tym obronić.

Spróbowała stawić słaby opór.

Osiłkowi bardzo się to spodobało. Zerwał z niej atlasową koszulę, dźwignął Eden z podłogi i rzucił ją na łóżko.

Tabletki miały znieczulający efekt. I dobrze. Gwałt przed kamerą nigdy nie był celem jej kariery.

— Cześć, malutka.

— Tim!

— Co za pamięć!

— Dlaczego tak długo nie dzwoniłeś?

— Bo myślałem, że bogate dziewczynki nie zawracają sobie głowy spłukanymi aktorami.

— Spłukałeś się?

— Prawie. Ale chyba wysupłam trochę drobnych, żeby zaprosić cię na kolację.

— Naprawdę?

— Czemu nie? Masz wolny wieczór?

— O tak!

— W takim razie o ósmej czekam na ciebie w barze „Trader Vic's”.

568

Brigette odłożyła słuchawkę i aż pisnęła z radości. Wiedziała, że Tim Wealth zatelefonuje i wreszcie zatelefonował. Cudownie!

Zaprosił ją na randkę i, oczywiście, zamierzała pójść.

Tyle tylko, że...

Jak wydostanie się z domu?

Alice ucięła sobie drzemkę przed ekranem wielkiego telewizora.

Cichutko pochrapywała.

Brigette potrząsnęła nią energicznie.

— Gdzie ja jestem? — wymamrotała chwilowo rozkoja-rzona Alice.

— Jest tu moja szkolna przyjaciółka — oznajmiła Brigitte.

— Gdzie? — sapnęła spanikowana Alice, szybko siadając i rozglądając się wokoło.

— Nie tutaj, głupciu. W Los Angeles. Przyjechała z wizytą.

Alice śnił się John Travolta. Czytała gdzieś, że woli starsze panie i była przekonana, że gdyby tylko ją zobaczył, zakochałby się od pierwszego wejrzenia. Pani Alice Travol-ta. O tak, Lennie wreszcie by ją zauważył...

— To miło, kochanie. — Westchnęła z rozmarzeniem.

— Chce, żebym przyjechała do niej na noc — łągała Brigitte.

Alice była zachwycona.

— To wspaniale — odrzekła, przyklepując włosy. Wieczorem przychodził Claudio i dzięki temu będą mogli zostać sam na sam. Pilnowanie Brigitte to jedno, ale zaniedbywanie życia seksualnego to zupełnie co innego. A Claudio był niezwykle utalentowanym karzełkiem i Alice stęskniła się za jego żarliwymi amatorami.

— Ale nie chcę jechać do niej rollsem — oświadczyła Brigitte. — To takie żenujące.

Na jej miejscu Alice jeździłaby tylko rollsem, zawsze i wszędzie. Cóż to za dziwne dziecko z tej Brigitte.

— Więc jak się tam dostaniesz? — spytała.

— Wezwę taksówkę.

— Lennie powiedział...

569

— Plosę cię, Ali, tak pięknie cię plosę. Jeśli dochowasz tajemnicy, nie pisnę Lenniemu ani słówka.

Brigette chciała pojechać taksówką — Alice nie widziała w tym nic złego. — No dobrze. Tylko nie rozmawiaj z taksówkarzem. Wszyscy taksówkarze to nielegalniaki.

Brigette uśmiechnęła się chytrze. To, co zamierzała zrobić, też było nielegalne, ale co komu do tego?

Wbiegła do garderoby matki i zaczęła oglądać jej ubrania. Sweterki, bluzeczki, suknie, hot pantsy, apaszki, paski, żakiety, spodnie — czuła się jak w sklepie. Olympia miała koszmarny gust i Brigette nie znalazła wśród strojów nic godnego uwagi, z wyjątkiem obszarpanej apaszki ze skóry lamparta, która wisiała w głębi garderoby. Dawała głowę, że apaszka należała kiedyś do Flasha.

Podniecona, wyciągnęła po nią rękę. Obcisłe dzinsy, jedna z kurtek Lenniego, do tego apaszka — zwłaszcza jeśli rzeczywiście należała kiedyś do Flasha — i będzie wyglądała czadowo.

Gdy szarpnęła apaszką, nagle coś zawarczało i część ściany rozsunęła się, odsłaniając ukryty pokoik.

Brigette przestraszyła się, ale szybko odzyskała pewność siebie.

Pomyślała, że odkryła tajny schowek, gdzie matka przechowuje klejnoty. Zaciekawiona, przepchnęła się między ubraniami i weszła do maleńkiego pokoju. Na wszystkich ścianach półki. A na półkach dziesiątki butelek i buteleczek pełnych różnokolorowych pigułek, szklane fiołki, pudełka brązowego, brzydko pachnącego tytoniu i paczuszki białego proszku.

Brigette zmarszczyła czoło.

Narkotyki?

Czyje?

Lenniego? Lennie był gwiazdorem filmowym. Ponoć wszystkie gwiazdy i

wszyscy gwiazdorzy ćpali, aż im uszy puchły, czytała o tym w „The Enquirer” czy gdzieś indziej.

Zaintrygowana, sięgnęła po paczuszkę białego proszku. Wyglądał jak cukier puder, ale domyśliła się, że to kokaina. Z nagłym podnieceniem przypomniała sobie ostatnie spotkanie z Timem Wealthem. Niuchał kokę i wpadł w złość,

570

■
kiedy kichnęła i zdmuchnęła większość proszku. Co by powiedział, gdyby przyniosła mu podarunek? Na pewno bardzo by się ucieszył. A Brigitte pragnęła mu dogodzić. Pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek innego na świecie.

— Sie masz, malutka — rzucił Tim, wstając, żeby ją powitać.

— Mam osiemnaście lat — skłamała Brigitte. — Skończ z tym „malutka”.

Nachylił się ku niej.

— Po kolacji u Polinezyjczyków zawsze jestem napalony. A ty?

Zmiękły jej kolana, ale nie chciała, żeby to zauważył.

— Co pijesz? — spytała, spoglądając na jego szklankę.

— Whisky z cytryną, cukrem i wodą.

— Wezmę to samo — powiedziała, modląc się, żeby nie zażądali od niej dowodu tożsamości.

Jakby czytając w jej myślach, Tim odrzekł:

— Masz dopiero osiemnaście lat, legalnie pić będziesz mogła dopiero po skończeniu dwudziestu jeden. Chcesz, żeby mnie aresztowali?

Gdyby tylko wiedział!

— Zamówię dla ciebie coś bezalkoholowego, Mickey Mouse, coś w tym stylu, a ukradkiem poczęstuję cię whisky. Co ty na to?

Uszczęśliwona kiwnęła głową. Tim był fantastyczny! I taki wyrozumiały. Kolacja była cudowna. A przynajmniej wyglądała cudownie. Brigitte była zbyt podniecona, żeby jeść. Nie mogła uwierzyć, że siedzi w restauracji z Timem Wealthem.

— Opowiedz mi o sobie — zachęcał przy potrawce z kurczaka. —

Naprawdę jesteś wnuczką Dimitriego Stanislo-poulosa?

Znowu kiwnęła głową.

— Dziadek umarł, słyszałeś?

— Tak, gdzieś o tym czytałem — odrzekł obojętnie. Wyczytał na ten temat wszystko, co tylko mógł znaleźć. — Bogaty staruszek, co?

571

— Chyba tak.

Chyba. Patrzył na tę śliczną blondyneczkę i zastanawiał się, w jaki sposób najlepiej ją wykorzystać. Nie, nie odczuwał najmniejszych wyrzutów sumienia. W sumie to ona go wykorzystywała. Czternastka udająca osiemnastkę. Była małolată. Bogatą małolată. Niebezpieczną małolată. Miała to gdzieś, że może przez nią wylądować w pierdłu. Nic dziwnego. Od urodzenia wszystko podawano jej na srebrnej tacy. Zawsze tak będzie. Trochę się to różniło od jego skromnych początków. Jako czternastolatek opędzał się w wychodku od ojczyma. Ta złocistowłosa i niebieskooka panienska pewnie nie wiedziała nawet, co to jest wychodek.

Zastanawiał się, czy Brigitte ma dostęp do szmalu, który jakoby do niej należał. Czternaście lat. Była trochę za młoda. Na pewno kręciło się wokół niej stado opiekunów i powierników, na pewno cały czas ją obserwowali...

Skoro tak, jakim cudem jest z nim? Jakim cudem popija ukradkiem jego whisky, niecierpliwie czekając, aż ją w końcu przeleci?

Wypytał ją, u kogo się zatrzymała, i wiedział już wszystko o zwariowanej Alice, czyli matce Lenniego Goldeny.

— A jak tu przyjechałaś? — spytał ciekawie.

— Eee... Wzięłam taksówkę. — Zawahała się. — Przyjechałabym samochodem, ale jest w warsztacie.

— Tak? Co się stało?

— Coś z silnikiem. — Szybko upiła łyk napoju z nadzieją, że przestanie ją indagować.

Ale Tim nie ustępował.

— Czym jeździsz?

Pomyślała o samochodzie Lenniego, który widziała w garażu.

— Porsche.

Bawił się z nią jak kot z myszką.

— Jakim modelem? Niezdarnie wstała.

— Muszę do toalety. On też grzecznie wstał.

— Bądź moim gościem.

572

106

Jerry Myerson huknął czasopismem w blat biurka Stevena. Aż zadudniło. Na okładce luksusowego szmatławca Bonnattiego widniało zdjęcie Mary-Lou w czarnych pończochach, w czarnym pasie do pończoch i w niczym więcej. Przybrawszy wyzywającą pozę, patrzyła w obiektyw z wilgotnymi ustami i nadąsaną miną.

— Spójrz tylko na to — rzucił Jerry, wskazując podpis pod zdjęciem

prawie nagiej dziewczyny. MARY-LOU SIĘ ODKRYWA. ZOBACZ
WSZYSTKO I WSZYSTKO PRZECZYTAJ... PIĘĆ
FANTASTYCZNYCH STRON...

Steven spojrział i zaklął. Otworzył czasopismo i zaczął przerzucać kartki w poszukiwaniu pozostałych zdjęć.

— Wiedziałeś o tym? — spytał Jerry.

— A skąd! — syknął Steven przez zaciśnięte zęby, przyglądając się uważnie fotografiom.

— Powinna była cię uprzedzić — mruknął ponuro Jerry. — Twoje zwycięstwo szlag trafił. Anulują wyrok i każą jej pokryć koszty Bonnattiego.

Steven milczał, nie odrywając wzroku od wulgarnych zdjęć. Mary-Lou w pustej wannie, z nogą przerzuconą niedbale przez krawędź. Mary-Lou na szeszlągu. Szeroko rozłożone nogi i pierzasty boa do towarzystwa. Każda fotografia przedstawiała to, co w cudownym świecie czasopism dla mężczyzn określa się mianem gołej piczki.

— Cholera jasna! — zaklął chrapliwie. Jerry bardzo mu współczuł.

— Wiem. Wiem. To szok. Myślałeś, że słodziutka z niej dziewczynka, i tak dalej. Ale wierz mi. Kobiety. Nigdy nie wiadomo, co zrobią za chwilę. Moim zdaniem...

— Oszczędź mi tego pseudofilozoficznego kazania — przerwał mu rozzłoszczony Steven, nie przestając gapić się na zdjęcia. — To nie ona.

— Słuchaj, wiem, że ją lubisz, ale...

— To nie jest Mary-Lou — powtórzył Steven tym samym tonem głosu.

— To fałszywki.

— O czym ty gadasz?

— To fałszywki, zwykły fotomontaż — tłumaczył z ożywieniem Steven.

— Prawdziwa jest tylko twarz, ciało jest dosztukowane. Chryste! Przecież mówię po angielsku, nie?

— Jesteś tego pewien?

— Jerry. Proszę cię. Ja z tą dziewczyną żyję. Wiem, jak wygląda bez ubrania. — Pomachał czasopismem. — To nie jest Mary-Lou, na sto procent.

— W takim razie musimy to tylko udowodnić — zreasumował logicznie Jerry. — Iz powrotem do sądu po prawdziwe pieniądze. Przyjacielu, jeśli to, co mówisz, jest prawdą, częstują nas kawałkiem szarlotki z podwójną porcją bitej śmietany. Odszkodowanie będzie gigantyczne!

— Za trzy, cztery lata — zauważył Steven. — Znowu zeznania, znowu papiery, znowu spotkania i odroczenia. Wszystkie prawne machinacje.

— Po co mówisz mi o czymś, o czym dobrze wiem?

— Bo nie jestem pewien, czy Mary-Lou zechce przechodzić przez to jeszcze raz. Na pewno zażąda, żeby nie dopuszczono do publikacji tych zdjęć.

— To niemożliwe. Lada chwila cały nakład znajdzie się w kioskach.

— Jak byś się czuł, gdyby chodziło o twoje zdjęcia? — spytał wściekle Steven.

Jerry zaczął się śmiać.

— Czasopism z moimi zdjęciami nikt by nie kupił!

— Ty durniu. Wszystko potrafisz obrócić w żart, co?

— Na pewne sprawy nikt nie ma wpływu. Od tego jest system prawny, którego — pozwól, że ci o tym przypomnę — jesteś integralną częścią.

Albo się z tym pogodzisz, albo wylądujesz u czubków.

— Takiego wała! — wybuchnął Steven. — Nie puszczę tego płazem.

Jerry wzruszył ramionami.

— Nic nie możesz zrobić.

— Jeszcze zobaczymy — mruknął posepnie Steven. — Jeszcze zobaczymy.

574

107

Radość tkwiła tylko w akcie tworzenia. Dokonawszy dzieła, zapagnęła zająć się czymś innym. Zbudowała „San-tangelo”. Dokładnie taki, jaki chciała. Jej hotel. Jej duma. Ale nie miała zamiaru siedzieć w Atlantic City i liczyć pieniędzy. Szukała nowego wyzwania, nowej przygody.

Chciał ją wykupić pewien syndykat. Budowa hotelu kosztowała dwieście milionów dolarów, a oni proponowali znacznie więcej.

Postanowiła sprzedać. Bierz forszę i chodu, jak powiedziałby Gino. Nie potrzebowała pieniędzy — była bogatsza, niż mogła to sobie wyobrazić. Ale potrzebowała wolności. Dożywocie w Atlantic City nie przystawało do jej koncepcji rajy. Bez rozgłosu poleciła prawnikom rozpocząć negocjacje.

— Olympia Stanislopoulos chce podważyć testament — poinformowali ją doradcy.

Zupełnie jej to nie zaskoczyło.

— Powiedzcie pani Stanislopoulos, że podwoję kwotę, którą zapisał jej ojciec — zdecydowała hojnie. — I dodam w podarunku jacht.

Odpowiedź Olympii była szybka i rzeczowa:

— Nie.

Lucky spróbowała jeszcze raz.

— Potroję kwotę, którą miała odziedziczyć, i dorzucę nowojorskie mieszkanie Dimitriego. Jeśli nie zgodzi się na to w ciągu dziesięciu dni, wycofam tę i wszystkie poprzednie propozycje.

Olympia odpowiedziała:

— Po co czekać dziesięć dni? Kiedy postawię tę sukę przed sądem i udowodnię, że zabiła mojego ojca, zmusiwszy go do zmiany testamentu, dostanę wszystko.

Adwokaci wesoło zacierali ręce. Dziennikarze też.

— Odchodzę — powiedział Lennie. Olympia zaszczyliła go spojrzeniem.

— Nie mówisz tego poważnie — odrzekła. — Nie odejdziesz, nikt nie da ci tego, co ja.

575

Kłócili się od tygodni, od chwili otwarcia testamentu Dimitriego. W Bel Air mógł od niej uciec. Ale w Nowym Jorku nie miał takiego luksusu.

Zresztą, co go przy niej trzymało? Odzyskała dawną urodę — chirurdzy plastyczni usunęli wszystkie blizny. Fakt, była gruba. Ale czy to jego problem? Czy miał jej współczuć i zostać z nią do końca życia?

— Nic od ciebie nie chcę — odparł znużony. — Możesz zatrzymać wszystkie rzeczy, jakie kiedykolwiek mi dałaś. Samochody, dom, meble. Odejdę z pustymi rękami.

— Akurat! — wrzasnęła. — A pieniądze, które zarobiłeś?

— To ja je zarobiłem, prawda? Są moje, a może się mylę?

— Zmienią właściciela, kiedy dobiorę ci się do skóry — perorowała. — Kalifornijskie prawo. Połowa wszystkiego, co masz, jest moja.

— I vice versa. Ale ja nic od ciebie nie chcę, więc zostaw mnie w

spokoju, a odpłacę ci tym samym.

— Ty kutasie złamany!

— Oto prawdziwa dama.

— Odpieprz się. Zostawiasz mnie tylko dlatego, że nie jestem tak bogata, jak myślałeś.

— Pieniądze nie mają z tym nic wspólnego i dobrze o tym wiesz.

— Jasne — szydziła. — Ale jeszcze tego pożałujesz, poczekaj. Obalę testament i zostanę najbogatszą kobietą na tym kurewskim świecie. Wtedy naprawdę tego pożałujesz.

Wrzucił do walizki trochę ubrań, zatrzasnął wieko i ruszył do drzwi.

— Żegnaj, Olympio.

Cisnęła w niego kryształową popielniczką. Chybiła o centymetry.

Otworzył drzwi i wyszedł na wolność. Powinien był zrobić to już dawno temu.

108

— No i jak było, kochanie? — spytała wesoło Alice, gdy tuż przed południem taksówka podwiozła Brigitte pod

576

drzwi domu. — Koleżanka się ucieszyła? — I nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej: — Dzwonił Gino. Jest w Beverly Hills z Robertem. Twój mały wujek chce się z tobą zobaczyć. — Coś takiego! — prychnęła. — Mieć cztero-ipółletniego wujka. Po południu Gino podeśle go z Cee Cee.

— Po co tu przyjechali? — spytała wojowniczo Brigitte.

— Nie wiem — zaszczebiotała Alice, szczęśliwa po nocy z małym kochankiem. — Je ne sais pas.

Brigitte zmarszczyła brwi. Chciała spędzić miły, spokojny dzień,

rozmyślając o Timie. Ach, cóż to był za wieczór! Najbardziej podniecający wieczór w jej życiu. Tim Wealth to odlotowy chłopak.

Uwielbiała go.

Zrobiłaby dla niego absolutnie wszystko.

Tim Wealth był pierwsza klasa.

Jedynym azylem była jego garderoba.

— Jak poszło? — spytał.

Miała podkrążone oczy i posiniaczone ciało.

— Raz przed kamerą, raz w domu, kiedy mnie odwiózł — odrzekła z goryczą.— Gdybym miała rewolwer, zastrzeliłabym sukinsyna.

— Nie musisz posuwać się aż tak daleko. Opracowuję pewien plan, wydostaniemy się stąd, i to komfortowo. Co byś powiedziała na zimę w Acapulco?

— Muszę od niego uciec — odrzekła z zawziętością w głosie. — Dłużej tego nie zniosę.

— Nic się nie martw. Machina poszła w ruch. Objęła go chudymi ramionami i pocałowała cienkimi wargami. Tak bardzo różniła się od czternastolatki, z którą spędził noc, za to była o wiele bardziej podniecająca. O tak, Eden Antonio umiała nacisnąć odpowiednie guziki. Wiedział, że z tą kobietą nigdy by się nie nudził.

Słyszając pukanie do drzwi, odskoczyli od siebie jak oparzeni.

— Kto tam? — krzyknął Tim.

— Proszą pana na plan.

— Już idę.

Gino, Costa, Ria i Cee Cee z Robertem jedli lunch w Polo Lounge w hotelu „Beverly Hills”. Gino zamówił jajecznicę i wędzonego łososia. Jadł i z lubością obserwował przechodzących gości.

Niektórzy przystawali przy jego stoliku. Senator o stało-woszarych włosach z sekretarką uwieszoną na ramieniu. Tęga kobieta obwieszona brylantami na dzień, która kiedyś sprzedała mu dom. Zaćpany menadżer o rozbieganych oczach. I w końcu Paige Wheeler.

Weszła, zamieniła kilka słów z maitre d', zobaczyła Ginę, chciała przejść koło jego stolika, ale dobre maniere wzięły górę. Nie wspominając już o tym, że Costa wymachiwał ręką i wołał ją po imieniu.

Miała na sobie jedną ze swych słynnych, rozciętych do krocza spódnic, lniany żakiet i bluzkę w kropki, którą agresywnie rozpychał obfity biust. Nie nałożyła stanika i Gino dostrzegł zarys jędrnych sutek pod cienkim materiałem.

— Gino! — Ciepły uśmiech. — Kopę lat. On też się uśmiechnął.

— Sie masz, Paige.

Nie widzieli się od chwili, kiedy przyłapał ją na gorącym uczynku z Susan, co zaowocowało jego rozwodem.

Wstał i, jak na dżentelmena przystało, ucałował ją w policzki. Pachniała jak kiedyś, piżmem i seksem. Ale chyba się trochę posunęła. Tak samo jak on. Wielkie mecyje. Ani ona, ani on nie należeli do młodzieży.

— I Costa. — Paige promieniała. — Jak miło... Costa przedstawił jej Rię, nie omieszkając wspomnieć, że wkrótce zostanie ojcem. Paige była oczywiście pod wrażeniem.

— A to jest Roberto, wnuczek Ginę — mówił dalej Costa. — Prawda, że bardzo do siebie podobni?

Paige uśmiechnęła się do chłopczyka.

— Jak dwie krople wody — odrzekła.

Roberto patrzył na nią i skubał bułkę. Miał oczy San-tangelów, wielkie i osłonięte długimi rzęsami. Był nieśmiałym dzieckiem i dopiero zaczynał przywykać do życia wśród ludzi.

— Może wypijesz z nami drinka? — zaproponował Cos-

578

ta. Nic nie wiedział o okolicznościach, które zmusiły Giną do zerwania z Paige. Nie wiedział o tym nikt. Zerknęła przelotnie na Giną. Ten nie zareagował.

— Nie mogę — odrzekła przepraszająco. — Umówiłam się na lunch z klientem. Może innym razem.

— Zadzwoń do nas — nalegał Costa, wypisując numer telefonu na pudełku zapalek. — Przyjechaliśmy na miesiąc.

Spojrzała Ginowi w oczy.

— Może zadzwonię — wymamrotała. Gino ciągle nie reagował.

— Miło było was widzieć — dodała serdecznie i odeszła, żeby dołączyć do klienta.

— Lubię ją — powiedział Costa. — Ma wielką klasę. Jak to się stało, że pozwoliłeś jej odejść?

Gino nie odpowiedział. Pochłonęły go wspomnienia.

Eden przesunęła dłońmi po piersi Tima Wealtha. Pocałowała go namiętnie, by odczuć gwałtowność jego reakcji, gdy zsunąwszy jej z ramion skąpe wdzianko, pchnął ją na stół.

— Cięcie! — krzyknął reżyser.

Siedzący na swym stałym miejscu Santino, ciężko pochylił ramiona. Nie

podobało mu się, że Eden i Tim tak długo nie mogą się od siebie oderwać. Meł pod nosem przekleństwo za przekleństwem.

Wreszcie skończyli się migdalić i Eden podeszła do fryzjerki, która zaczęła poprawiać jej włosy.

— Hej, ty, aktorka! — zawołał głośno Bonnatti. — Chodź no tu. Zignorowała go.

— Powiedziałem, chodź tu, ty kurewska gwiazdo — powtórzył Santino. Fryzjerce zatrzęśły się ręce. Eden zachowywała pozorny spokój, ale w środku kipiała wściekłością. Cały zespół stanął na baczność. Tim zniknął w garderobie.

Powoli podeszła do swego nadzorcy. Wyglądał jak potwór. Jak kurdupłowaty, owłosiony knur o łysym łbie. I z dnia na dzień popadał w coraz większy obłęd.

— Czego? — syknęła.

579

Wstał i pociągnął ją mocno za ramię.

— Masz wolną chwilę, gwiazdeczko? — rzucił.

— Mam — odrzekła spiętym głosem.

Wszyscy czujnie nadśluchiwali, choć udawali, że nic nie słyszą.

— A ja mam ochotę na małe obciążanko — oznajmił leniwie. —

Chodźmy do twojej garderoby, gwiazduniu, pozwolę ci trochę possać.

Zmroziło ją. Nie wystarczało mu, że jest jego własnością. Musiał publicznie ją poniżyć. Musiał pokazać światu, że może traktować ją, jak chce. Gdyby miała broń, bez wahania odstrzeliłaby mu te małe, fasolkowate jaja.

109

Lennie potrzebował czasu. Chciał побыć sam i wszystko sobie przemyśleć. Dlatego nie powiedział nikomu, że wraca do Los Angeles. Przyleciał, na lotnisku wziął taksówkę i pojechał do swego starego mieszkania, które zatrzymał z powodów czysto sentymentalnych.

W maleńkiej garsonierze na Doheny załatywało stęchlizną, jak w pomieszczeniu, gdzie od dawna nikt nie mieszkał. Lennie otworzył okiennice. I poczuł się jak w domu. Tak, jednopokojowa klitka była prawdziwszym domem niż gigantyczna willa w Bel Air.

Harriet, stara, zasuszona sprzątaczką, która usługiwała mu, gdy jeszcze tu mieszkał, miała przychodzić raz w tygodniu — nie przestał jej płacić — ale najwyraźniej nie przyszła ani razu. Przejechał palcem po półce i wyrył brudę w grubej warstwie kurzu.

Rozejrzał się wokoło. Nie posłane łóżko — czułe wspomnienia tysięcy małych blondynek. Nie posprzątaný salonik. Znalazł butelkę wódki i plik żółtych notatników, w których zwykł pisać. Kiedyś. Dawno temu.

W garsonierze było cicho i spokojnie. Nie plątali się tu służący, nie dzwoniły telefony, nie krążyły sekretarki, a przede wszystkim nie było tu Olympii.

Zrobił to. Był wolny. Prawie.

580

Po lunchu Santino wyniósł się z planu.

Eden trzymała głowę wysoko, ale w głębi serca była śmiertelnie przerażona. Potraktował ją jak ostatnią zdzirę. Kazał jej uklęknąć, groził, kiedy próbowała protestować. Coraz bardziej mu odbijało, to pewne.

Musiała uciekać, i to jak najszybciej. Nie miała wątpliwości, że w końcu zagrozi jej śmiercią, nie tylko zmasakrowaniem twarzy.

Tim tulił ją przed kamerą, a potem w garderobie, w przerwach między ujęciami. Kochali się szybko i gwałtownie. Pieściła go chętnie. Dawała mu to, co Santino wymuszał na niej siłą.

— Pryśniemy stąd, jak to tylko będzie możliwe — zapewniał Tim. — Może nawet jutro. Sprawa jest już nagrana. Czekaj na mój telefon.

— Musimy wyjechać gdzieś, gdzie Santino mnie nie dopadnie — zamartwiała się Eden.

— Dzięki pieniądzom można wyjechać na koniec świata, a ja zdobędę mnóstwo szmalu.

Miał pomysł na przekręt, w każdym razie na coś w rodzaju przekrętu. Musiał wmieszać w to Brigitte. I co z tego? Brigitte to zepsuta, bogata małolata. Najwyższa pora, żeby nauczyła się życia.

Ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, była zabawa z czteroipółletnim berbeciem. Poza tym nigdy nie cierpiała Cee Cee.

Siedzieli nad basenem jak wielka, szczęśliwa rodzina. Alice w mocno wydekoltowanym kostiumie kąpielowym, odsłaniającym żylaste ciało. Jej przyjaciel Claudio, mężczyzna jak najzupełniej foremny i proporcjonalny, z tym że niewiele wyższy od Roberta, który bawił się wesoło w wodzie. Zawsze czujna Cee Cee. I Brigitte, która w białym bikini wyglądała na co najmniej dziewiętnasto-latkę.

Brigitte opalała się bardzo chętnie, dobrze wiedząc, że złocista skóra pasuje do długich blond włosów. A dla Tima chciała wyglądać jak najpiękniej. Lato się kończyło i niedługo będzie musiała wracać do znienawidzonej szkoły.

581

Nie mogła tego znieść. Cały czas myślała tylko o Timie. Nigdy dotąd

kogoś takiego nie spotkała. Był taki zmienny, taki inteligentny, taki seksowny...

Po kolacji w „Trader Vic's” zabrał ją do swego mieszkania na Hollywood Boulevard. Jeden pokój. Jedno łóżko. Och! Jakiż był zmysłowy!

Rozebrał ją, kochał się z nią, sprawił, że drżała i dygotała, a potem, tak dla żartu, rzucił:

— Zróbmy kilka zdjęć, malutka.

Zachichotała zażenowana, gdy kazał jej pozować przed obiektywem polaroidu.

— Zrób to. Teraz to. Uśmiechnij się. Bądź szczęśliwa. Początkowo się wstydziła, ale kiedy zapewnił ją, że robi

te zdjęcia dla niej, wyluzowała się i miała kupę radochy. On podarował jej zdjęcia. Ona podarowała mu paczuszkę białego proszku, którą zwędziła z garderoby Olympii. Był bardzo zadowolony.

Noc z Timem Wealthem — cóż za fantastyczna przygoda! Chciałaby spędzać z nim wszystkie noce.

Rano wezwał taksówkę, obiecał, że zadzwoni, i odesłał ją do domu.

Niecierpliwie czekała na telefon.

Odstawiwszy wnuczka do Brigitte, z którą chłopiec miał spędzić popołudnie, Gino nie wiedział, co z sobą zrobić. Czekąco go kilka długich, nudnych godzin, bo Ria zabrała Costę na zakupy na Rodeo Drive.

Od rozvodu z Susan prowadził bardzo nie uporządkowane życie. Robił, co chciał i kiedy chciał. Nie, nie narzekał, tyle tylko, że czegoś mu w tym życiu brakowało. Lubił towarzystwo kobiety na stałe. Lubił budzić się rano i mieć kogoś przy sobie. Był za stary na szybkie numery i większość kobiet, z jakimi ostatnio sypiał, nie zdołała podtrzymać jego

zainteresowania.

W końcu musiał przyznać, że się starzeje.

Z Paige Wheeler nigdy nie czuł się staro. Jej widok ożywił wszystkie wspomnienia, a były to wspomnienia naprawdę piękne.

582

Zdawało mu się, że dostrzegł błysk w jej oczach, gdy na niego spojrzała.

Gra wyobraźni czy Paige też za nim tęskniła?

Pod wpływem nagłego impulsu pojechał do hotelu „Be-verly Wilshire” i wynajął apartament.

— Szanowny pan bez bagażu? — spytał recepcjonista.

— Bagaż przywiozą później. Przyślijcie do pokoju butelkę Dom Perignon i półmisek kawioru, najlepszego, jaki macie.

— Tak jest, proszę szanownego pana. Wjechawszy na górę, zaczął krążyć po salonie. Przyłapał Paige z Susan. No i dobra. Nigdy nie twierdziła, że jest dziewicą. Tylko co teraz? Zadzwoń do niej czy nie?

Wody odeszły o czwartej po południu, przed sklepem Liny Lee na Rodeo Drive.

— O Boże! — pisnęła. — Zawieź mnie do szpitala! Szybko!

Costa, człowiek całe życie spokojny i opanowany, zupełnie stracił głowę.

Z opresji wybawili go przygodny turysta z Minnesoty i zatroskana sprzedawczyni. Gdyby nie oni, Ria zaczęłaby rodzić na chodniku.

— Urządzam mieszkanie i potrzebuję wyceny wstępnej — zaczął oficjalnie Gino, ściskając słuchawkę telefonu.

Paige natychmiast rozpoznała jego głos. Gestem ręki wyprosiła z gabinetu asystenta i oparła się o zagłówek wygodnego skórzanego fotela.

— Jakiej wyceny? — spytała równie oficjalnie.

— Pilnej.

— Pilnej?

— Bardzo pilnej.

— Hmm... — Zamilkła, udając, że zagląda do szczelnie wypełnionego terminarza. — Obawiam się, że będę miała czas dopiero w przyszłym tygodniu.

— Niech mnie pani jakoś wciśnie. Oparła nogi o biurko.

583

— Nie wiem, czy dam radę...

— Na pewno.

— Gdzie?

— W „Beverly Wilshire”, gdzież by indziej? — Podał jej numer pokoju.

— Zdaje pan sobie sprawę, czego pan żąda? — spytała zdawkowo.

— Ciebie. I to szybko.

Kiedy odkładali słuchawkę, na ich twarzach błędził uśmiech.

— Zjedzcie kawałek ciasta. Sama upiekłam — zaszczę-biotła Alice, puszczając paterę wokół stołu. — Najczystsze składniki. O lala! Jakie pyszne!

Narzuciła na kostium wdzianko przypominające obrus w kwiatki i próbowała zaimponować kochankowi umiejętnościami kulinarnymi i udowodnić mu, że potrafi stworzyć domową atmosferę. Ostatniej nocy wyznał jej, że pochodzi z utytułowanej francuskiej rodziny. Był hrabią. Hrabią incognito. Hrabina Alice! Ha! Wszyscy padliby z wrażenia. Cee Cee odgryzła kawałek ciasta, natrafiła na twarde, zleżały orzech i natychmiast złamała koronkę przedniego zęba. Przycisnąwszy rękę do ust, spiorunowała Alice wzrokiem.

— Chyba trzeba odwieźć cię do dentysty — skonstatowała niechętnie przyszła hrabina. — Psiakość!

Cee Cee kiwnęła głową. Nie miała wyboru. Zimny wiatr podrażnił odsłonięty nerw i zaatakował ją pulsujący ból.

— Mam dentystę w Marina del Rey — dodała Alice z umęczonym westchnieniem. — Lepiej do niego zadzwonię. — Rozdrażniona, wymamrotała coś pod nosem i podniosła słuchawkę telefonu.

— Jak się masz, malutka.

Brigette omal nie podskoczyła z radości.

— Czekałam na twój telefon. Nie spodziewałam się, że zadzwonisz tak szybko.

584

— Chcesz wpaść do mnie na małe barabara?

— Och nie, nie mogę. Pilnuję swojego głupiego wujka.

— Wujka?

— Tak, ma cztery lata i jest beznadziejny.

Nie usłyszała nutki nagłego ożywienia w jego głosie.

— Roberto?

— Skąd wiesz, jak ma na imię?

— Jestem nie tylko urodzonym aktorem... Brigitte zachichotała.

— A gdzie reszta? — spytał ciekawie. — Jak to się stało, że zostawili cię samą?

— Niania złamała ząb i Alice ze swoim chłopakiem — facet jest karłem!

— zabrali ją limuzyną do dentysty. Dentysta mieszka w Marina del Rey i Alice chciała, żeby ten jej chłopak — żałuj, że go nie widziałeś! — obejrzał jej mieszkanie, no i utknęłam tu z tym pacanem, rozumiesz?

— Lubię dzieci — odrzekł Tim, szybko wprowadzając kilka zmian do swego planu.

— On by ci się nie spodobał — mruknęła ponuro Brigitte. — To mały obrzydliwiec.

— Zobaczymy. Przyprowadź go. Znowu zachichotała.

— Nie, nie mogę.

— Dlaczego? Złap taksówkę. Wsiądźcie na rogu Fairfax i Bulwaru Zachodzącego Słońca, będę na was czekał. Kupimy dzieciakowi lody i odwiozę go do domu. A potem spędzimy razem cały wieczór. Co ty na to? Bardzo ją to kusilo. Pragnęła zobaczyć się z nim. Niczego innego na świecie tak nie pragnęła. Ale gdyby zabrała z sobą Roberta, Cee Cee dostałaby szału. Cee Cee była bardzo opiekuńcza. Jak tylko uświadomiła sobie, że musi jechać do dentysty, próbowała dodzwonić się do Giną i Costy, żeby przyjechali po dziecko, ale nie zastała w domu ani jednego, ani drugiego. I nie ufała pokojówkom. W końcu niechętnie zgodziła się zostawić Roberta pod opieką Brigitte.

— Nie spuszczaaj go z oka — instruowała zdenerwowana. — Wrócę, jak tylko będę mogła.

Brigitte nie lubiła Cee Cee. Cee Cee za bardzo się

585

rządziła. Obchodził ją wyłącznie ten głupi pacan. Wróci, a jego nie będzie

— dobrze jej tak.

— No więc? — powtórzył Tim. — Co robimy?

— Jedziemy na lody — rzuciła ze śmiechem. — Nie mogę się już doczekać!

Wszystko szło lepiej, niż się spodziewał.

Podniósł ze stołu gazetę i spojrzał na nagłówek pod zdjęciem małego, ciemnowłosego chłopczyka wychodzącego z basenu. NAJBOGATSZY CHŁOPIEC W ŚWIECIE.

Jeszcze raz przeczytał krótką notatkę poniżej.

CZY ROBERTO STANISLOPOULOS JEST NAJBOGATSZYM DZIECKIEM W ŚWIECIE? BLISCY PRZYJACIELE ZMARŁEGO MILIARDERA DIMITRIEGO STANISLOPOULOSA TWIERDZĄ, ŻE WKRÓTCE NIM BĘDZIE. Z NOWEGO JORKU DONOSZĄ, ŻE...

Tim Wealth powoli odłożył gazetę. Chciał złowić Brigitte Stanisloupoulos, złowi ich oboje.

Poszcęściło mu się bardziej, niż mógłby to sobie wymarzyć.

110

Steven nie wiedział, czy powiedzieć o tym Mary-Lou czy nie. Katował się wątpliwościami, aż nagle uświadomił sobie, że istnieje tylko jedno wyjście. Po prostu musiał jej powiedzieć. „Spermen”, pornograficzny szmatławiec ze zdjęciami Mary-Lou, miał lada chwila trafić do kiosków. Dziennikarze nie dadzą jej spokoju, będą ją nagabywać, prosić o komentarz. On wiedział, że to nie jej fotografie, ale musieli udowodnić to całemu światu.

— Psiakrew! — mruknął. Santino Bonnatti. Że też takie kanalie w ogóle się rodzą.

Lucky Santangelo skasowała jego ojca, tego parszywca Enzia. Miała swoje powody. Krążyły słuchy, że Enzo był

586

odpowiedzialny za zamordowanie jej kochanka Marca i brata Daria. W owym czasie Steven nie pochwalał jej czynu. Uważał, że od tego jest

prawo. Że prawo poradzi sobie z Enzo Bonnattim i jemu podobnymi. Teraz nie był tego taki pewny. Prawo to długi, chwiejny proces. Niektórzy dawali się przekupić, żeby sprawiedliwości nie stało się zadość.

Odwołał umówione spotkanie i pospieszył do domu. Im szybciej jej o tym powie, tym lepiej. Będzie musiała porozmawiać z szefostwem sieci telewizyjnej i ze sponsorami programu. Najlepszym rozwiązaniem byłoby wydać oświadczenie, zanim dziennikarze osaczą ich dom.

Rozmyślał, jak zapanować nad sytuacją. Trzeba zachować godność i wszystkiemu zaprzeczać, to jedyne wyjście.

Silny zapach gazu uderzył go w nozdrza, jak tylko otworzył frontowe drzwi. Nie mógł złapać tchu, omal się nie udusił, powietrze było nim przesycone.

Jezus Maria! Mary-Lou zostawiła włączony piecyk? Nie cierpiała gotować, zwykle posyłali po jedzenie.

Wstrzymał oddech i wbiegł do kuchni.

Mary-Lou leżała bezwładnie na podłodze przy szeroko otwartym piekarniku.

Tuż obok — pornograficzne czasopismo z jej zdjęciem na okładce.

III

Lucky weszła do gabinetu Matta i przysiadła na krawędzi biurka.

— Mam dość — oświadczyła z głębokim westchnieniem. — Rano lecę do Los Angeles. Spędzę tam weekend i wrócę we wtorek. Poradzicie sobie beze mnie?

— Chyba tak — odrzekł beznamiętnie Matt. — Jeśli tylko można będzie do ciebie dzwonić o każdej porze dnia i nocy.

Hotel pracował pełną parą, ale jak zwykle pojawiały się problemy z

szefami kuchni, menadżerami i służbą. Jednak nad wszystkim panowali.

587

Lucky uśmiechnęła się smutno.

— Dobrze wiesz, że nigdy nie śpię. I dobrze wiesz, że lubię dowiadywać się pierwsza o wszystkim, co się dzieje.

— W takim razie leć — odrzekł Matt. — Odpocznij, spędź kilka miłych chwil. Zaslugujesz na to.

Wzięła z biurka ołówek i zaczęła się nim bawić.

— Nie mogę się już doczekać, kiedy zobaczę synka. Tego potrzeba mi najbardziej: potężnej dawki dziecięcej miłości.

— Wspaniale.

— Kto wie, może się postaracie, będziecie mieli swojego berbecia.

Roześmiał się zakłopotany.

— Jak dotąd nic o tym nie wiem!

Omówili kilka służbowych spraw. Matt wiedział, że Lucky zamierza sprzedać hotel. Miał w tym swój udział. Jeszcze nie zdecydował, co będzie robił potem. Potencjalni nabywcy proponowali mu kierowniczy kontrakt i udziały, ale najpierw musiał przedyskutować to z Jess.

Skończywszy z kwestiami służbowymi, Lucky poklepała go w policzek i poszła się pakować. Nie zadzwoniła, żeby uprzedzić Giną o przyjeździe. Chciała zrobić im niespodziankę.

112

Do sypialni dochodził cichy szum wody z prysznicą. Ubrany w szlafrok Gino przysiadł na brzegu skotłowanego łóżka, nachylił się do nocnego stolika i wyjął z lodu butelkę Dom Perignon. Pusta. Wyżłopali wszystko, do ostatniej kropli. A wcale nie pamiętał, żeby tyle pił.

— Hej! — zawołał. — Obaliliśmy całą flaszkę.

— Żyj niebezpiecznie! — odkrzyknęła Paige. — Zamów następną. Należy mi się jakaś rekompensata za sypianie z bogatym starcem! Zachichotał i podniósł słuchawkę telefonu. Paige zawsze umiała go rozbawić.

— Szampan w drodze. — Wszedł do łazienki, otworzył

588

drzwi kabiny prysznicowej i patrzył, jak Paige się namydla. Miała pełne, naturalne piersi (jak on nie cierpiał silikonu — faceta, który toto wynalazł, należałoby rozstrzelać), jędrne ciało, miękkie uda i gąszcz niesfornych włosów łonowych, rudych, w identycznym kolorze jak te na głowie. — Wiesz, czego chcę — powiedział. Energicznie namydlała piersi.

— No?

— Żebyś została na całą noc. Jak w Nowym Jorku. Pamiętasz? Bywało, że dobrze się tam bawiliśmy, co?

Odłożyła mydło i stanęła pod strumieniem wody. Potem wyszła z kabiny i owinęła się puszystym ręcznikiem.

— Wiesz, że nie mogę — odrzekła z ożywieniem.

— Dlaczego?

— Bo jestem mężatką — tłumaczyła cierpliwie. — Bo w domu czeka na mnie mąż, który bardzo się zaniepokoi, jeśli nie wrócę na noc.

— Naprawdę? Zaczęła się wycierać.

— Naprawdę.

— Nie ma nic przeciwko temu, żebyś puszczała się za dnia, ale numery całonocne definitywnie odpadają, he?

Chciała uniknąć starcia.

— Otóż to. — Upuściła ręcznik i sięgnęła po szlafrok. Gino przysiadł na brzegu wanny.

— Tęskniłem za tobą, dziecino — powiedział. — Próbowałem z tą, z tamtą i owamtą, ale tylko ty na mnie działasz.

Wy buchnęła śmiechem.

— To nieprawdopodobne, Gino. Nawet do grobu pójdziesz ze sterczącym ptakiem!

Objął ją wpół i przywarł twarzą do jej brzucha. Rozchyliła szlafrok.

— Skoro już tam jesteś... Nie musiała go zachęcać.

Byli w Marina del Rey i Alice się nie spieszyło. Pokazała Claudiowi stare albumy ze zdjęciami i starannie przechowywane majteczki ze srebrnymi kitkami. Wywarła na nim

589

duże wrażenie. Zwłaszcza kiedy wyciągnęła zdjęcia ze słynnej wycieczki jachtem Dimitriego Stanislopoulosa.

Sączyli martini, podziwiali widok z okien jej nadmorskiego mieszkania i baraszkowali na kozetce. Alice uśmiechnęła się do siebie. Claudio był niski, ale miał największego schlonga, jakiego kiedykolwiek widziała.

Dopiero telefon od rozsierdzonej Cee Cee, która dzwoniła z poczekalni dentystycznej, uświadomił jej, że są dwie godziny spóźnieni.

— O lala! — wykrzyknęła z udawanym przerażeniem. — Nasza schwartze jest wściekła. Lepiej już pędźmy.

Silne uderzenie w twarz cisnęło Eden na drugą stronę pokoju.

— Jesteś kurwą, zwykłą kurwą. W dodatku starą kurwą.

— Mam trzydzieści jeden lat — wyszlochała, przestając nad sobą panować. — Nie jestem stara... — Przykucnęła w kącie, czekając na jego

następny ruch. — Nie jestem stara! — krzyknęła piskliwie.

— W tym mieście pudernice w twoim wieku wachają już kwiatki od spodu — prychnął pogardliwie Santino. Zdjął marynarkę i kamizelkę, po czym podwinął rękawy pasiastej koszuli. Bicie kobiety to męczące zajęcie i pocił się bardziej niż zwykle.

Skulona Eden objęła się za kolana. Była w koszmarnym stanie. Miała podbite i mocno opuchnięte oko, spuchniętą szczękę pokrywały czerwonawe siniaki, z rozciętej wargi kapłała krew.

Santino ruszył w jej stronę.

— Każdy, kto chce wykiwać Santina Bonnattiego, musi za to zapłacić. Zrozumiałaś, kurwo?

— Nic nie zrobiłam — załkała.

Podniósł rękę, żeby ją znowu uderzyć, ale zmienił zamiar. Wystarczy, dał jej nauczkę. Teraz przestanie rozkładać nogi dla każdego, kogo tylko spotka. Teraz już wie, do kogo należy.

Musiał jeszcze rozprawić się z tym Wealthem. Tak, jemu

590

też pokaże. Nikt nie będzie rznął jego baby poza kamerą. Nikt. Chyba że Santino sobie tego zażyczy.

113

— A więc to on? — spytał Tim Wealth.

— On, nasz mały obrzydliwiec — potwierdziła Brigitte.

— Nie obrzydliwiec, nie — zaprotestował Roberto.

— Dawaj łapę i zamknij się, pacanie. — Chwyliła malca za rączkę.

Bulwarem Zachodzącego Słońca śmigał samochód za samochodem. Tylko tego brakowało, żeby brzdąc pod któryś z nich wpadł. Lucky nie

odezwałaby się do niej do końca życia.

Tim nachylił się do dziecka.

— Jak się masz — powiedział.

— Loda? — spytał chłopczyk z ożywieniem.

— Jeśli będziesz grzeczny — odrzekł Tim. Brigitte zachichotała.

— Założę się, że ludzie biorą nas za rodzinę. Ja jestem mamusią, ty tatusiem, a to nasza pociecha. — Wybuchnęła perlistym śmiechem.

Tim rozejrzał się wokoło. Nie chciał, żeby ktoś cokolwiek zauważył, tymczasem Brigitte — długie blond włosy, białe, obcisłe dzinsy i czerwony podkoszulek z napisem: GORAĄCY TOWAR na piersi — rzucała się w oczy.

— Chodźmy do mnie — zaproponował.

— Loda — powtórzył Roberto, próbując wyszarpnąć rączkę.

— Zamknij się, Bobby — warknęła, dochodząc do wniosku, że powinna była zostawić dzieciaka w domu. W sumie po co go zabierała? Cee Cee dostanie szału.

No i co z tego? To tylko głupia niania. Kogo obchodzi, jak zareaguje?

Najwyżej trochę się pomartwi, dobrze jej to robi. Brigitte nigdy nie zapomni lania, jakie sprawiła jej Cee Cee przed trzema laty. Upokorzenie wciąż doskwierało.

— Obiecałeś temu wstręciuchowi lody — zauważyła. — Niech zje i odeślijmy go do domu.

To wykluczone, żeby odwoził go Tim. Postanowiła już

591

wsadzić malca do taksówki, zadzwonić do Alice i uprzedzić ją, że Roberto wraca sam. „Sie masz, Alice. Jestem u przyjaciółki i chcemy pójść do kina.

Bobby jedzie taksówką, za chwilę powinien być na miejscu. Aha, pewnie zostanę tu na noc". Tak jej powie, Alice uwierzy we wszystko. No i dzięki temu Cee Cee nie będzie mogła mieć do niej pretensji. Tak, nic pacanowi nie będzie, to tylko dziesięć minut jazdy stąd. Nie mogła się już doczekać, kiedy się go pozbędzie i zostanie sam na sam z Timem.

— Lody mam w domu — odrzekł Tim.

— Naprawdę?

— Tak. Haagen Dazs. Czekoladowe. Uszczęśliwiona wzięła go pod rękę.

— No to na co czekamy? — Uśmiechnęła się, ciągnąc za sobą Roberta.

— Chodźmy.

114

Informacja.

Carrie zdobyła informację, której potrzebował jej syn. Kiedy Fred Lester wyznał prawdę, wszystko stało się takie proste.

To Gino Santangelo był ojcem Stevena.

Gino. Wspomnienie z tak odległych czasów...

Począł dziecko, nie mając najmniejszego pojęcia, że to zrobił.

Gino Santangelo.

Przez te wszystkie lata od czasu do czasu czytywała o nim w gazetach.

Niegdyś gangster, teraz gruba ryba. Stary jak ona. I szanowany. Ot, ledwie przed tygodniem widziała jego zdjęcie z eks-prezydentem Stanów Zjednoczonych na jakiejś imprezie charytatywnej w Las Vegas.

Obejmowali się, stojąc twarzą do aparatu. Jak dobrzy przyjaciele.

Ojciec Stevena.

Jej to nie obchodziło. Ale Steven chciał wiedzieć.

Spieszyła Lexington Avenue, zmierzając w stronę jego domu na

Pięćdziesiątej Ósmej. Głowę miała zaprzątniętą myślami. Była skonfundowana... tak bardzo skonfundowana

592
na. Przez czterdzieści pięć lat wspominała Freddy'ego Lestera, jak wspomina się najgorszą kanalię. I oto znowu wkroczył w jej życie. Jako szanowany człowiek bez skazy. Jako pogodny mężczyzna o nienaganych manierach i miłym obliczu.

Tak trudno uwierzyć, że kiedyś był pijanym bydlakiem, który ją zgwałcił. Bezduszną kanalię, która nazwała ją „pieprzoną czarnuchą”.

Opowiadał jej swoją historię, a ona patrzyła na niego z pogardą na twarzy. Opowiadał o wypadku, o rodzinie, o swoim życiu.

Słuchała w lodowatej ciszy.

W końcu rzekł:

— Chciałem się upewnić, czy jestem ojcem Stevena, żebym mógł wynagrodzić wam te wszystkie stracone lata.

— Tego nie wiem i jest mi to zupełnie obojętne — odparła zimnym głosem.

— Ale ja wiem — odrzekł bardzo cicho. — Kiedy wszedłem w posiadanie niezbędnych informacji, postanowiłem to sprawdzić.

— Niby jak? — spytała.

— Jeśli jesteś absolutnie pewna, że Gino Santangelo i ja jesteśmy jedynymi kandydatami, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

— Moja książka mówi samą prawdę — odparła lodowato. — Ja nie kłamię.

— W takim razie ojcem Stevena jest Gino. Mam bardzo rzadką grupę krwi. Zajrzałem do kart chorobowych Stevena. Genetyka dowodzi, że nie

mogłem go począć. — Zamilkł na chwilę, po czym kontynuował: — Pozwoliłem sobie zbadać przeszłość Giną Santangelo. Od roku tysiąc dziewięćset czterdziestego do czterdziestego siódmego siedział w więzieniu. Mają tam kompletne wyniki jego badań lekarskich. Grupa krwi Giną idealnie odpowiada grupie krwi Stevena.

Fred mówił dalej i zapoznał ją z innymi faktami potwierdzającymi jego słowa. Wręczył jej również pełną dokumentację dowodową, którą zebrał.

Gdy w końcu zamilkł, Carrie wzięła się w garść i chłodno odrzekła:

593

— Panie Lester, pragnę zrezygnować z publikacji mojej książki.

— Ale...

Powstrzymała go gestem ręki.

— Proszę. Muszę mieć czas do namysłu. Może zmienię zdanie. W przyszłym tygodniu, w przyszłym roku. Teraz po prostu nie wiem.

— Mam nadzieję — nalegał spięty. — Opublikowanie twojej autobiografii jest... Nie masz pojęcia, jakie to dla mnie ważne...

— Jeśli zostaną zmienione pewne nazwiska, prawda? — przerwała mu oschle Carrie. — Żeby ochronić dobre imię osób, które nie są tak niewinne, jak by się zdawało.

Zrezygowany rozłożył ręce.

— Carrie, to się stało bardzo dawno temu...

— Nie tak dawno, panie Lester. Nie tak dawno.

Wyszła na ulicę i patrząc przed siebie niewidzącymi oczyma, ruszyła Piątą Aleją. Późnym popołudniem dotarła w pobliże domu Stevena. Steven musiał poznać prawdę, i to natychmiast.

Przed domem stała karetka pogotowia i mały tłum gapiów.

Carrie przepchnęła się przez nich.

— Co się tu dzieje? — spytała jakiejś elegancko ubranej kobiety.

— Chyba samobójstwo — odrzekła elegantka z błyszczącymi oczami. —

Niech pani nie zapala papierosa, bo cała ulica wyleci w powietrze. Gaz.

Czuje pani?

Serce w niej zamarło, bo przez króciutką chwilę myślała, że ofiarą może być Steven. Ale, dzięki Bogu, zanim zdążyła wpaść w panikę, syn wybiegł z domu, a tuż za nim dwóch sanitariuszy z noszami.

— Steven! — krzyknęła rozpaczliwie. — Co się stało?

115

Costa nie tracił zmysłów tylko dzięki bardzo miłej pielęgniарce, ponieważ mijały godziny, a Ria ciągle leżała na porodówce.

594

Nieustannie wydzwaniał do Giną, ale telefony odbierała ta durna maszyna, a on nie miał zamiaru gadać z maszynami. W końcu zadzwonił do domu Olympii, żeby porozmawiać z Cee Cee i z Robertem, ale pokojówka poinformowała go, że wszyscy wyszli.

Czyżby z nikim nie mógł podzielić się dobrymi wiadomościami? Przecież on, Costa Zennocotti, miał zostać ojcem, i to w wieku siedemdziesięciu pięciu lat!

Cee Cee miała złe przeczucia. Nie wiedziała dlaczego, ale były bardzo silne i bardzo złe. W dniu śmierci Dimitriego Stanislopoulosa naszły ją takie same. Obudziła się rano. Wyszorowała zęby i umyła się. Obudziła Roberta i nakarmiła go jego ulubioną potrawką z siekanego mięsa z jarzynami i jajecznicą. Później, jak zawsze, poszli odwiedzić jego ojca.

Pan Stanislopoulos siedział na swoim zwykłym miejscu. Robił wrażenie

słabego i zmęczonego.

— Dzień dobry, Cee Cee. Dzień dobry, Roberto — powiedział. Jak zwykle. I od razu wiedziała, że Dimitri Stanislopoulos nie przeżyje tego dnia. A teraz dręczyły ją równie złowieszcze przeczucia.

Łypała spode łba na głupią matkę Lenniego Goldena i na jej zagranicznego towarzysza, bo to przez nich Roberto został z Brigitte dłużej, niż powinien.

Brigitte to nieodpowiedzialna dziewczyna. Nie miała pojęcia, jak opiekować się czteroletnim dzieckiem. Zepsuta i egocentryczna, zawsze była o niego zazdrosna.

Cee Cee głośno westchnęła. Nie zdawała sobie sprawy, że do Marina del Rey jest tak daleko. Gdyby o tym wiedziała, nie zawracałaby sobie głowy złamaną koronką i przykleiłaby ją gumą do żucia albo czymś innym. Na domiar wszystkiego Alice zostawiła ją w poczekalni i kazała na siebie czekać prawie dwie godziny. Cee Cee milczała i kipiała wściekłością. Wreszcie wracali. Biały rolls-royce Olympii wiozł ich z powrotem do Bel Air.

— Daleko jeszcze? — spytała Cee Cee szofera. Szofer, posępny Anglik w pełnym uniformie, odrzekł:

595

— Będziemy na miejscu za jakieś pół godziny, proszę pani — odrzekł pompatycznie. — Zależy od natężenia ruchu.

— Dziękuję. — Tak bardzo pragnęłaby odpędzić od siebie złe przeczucia.

116

— Lubisz mnie? — spytał Tim Wealth.

Brigitte nie wiedziała, co odpowiedzieć. Roberto siedział za kuchenną

lada, tyłając się w czekoladowych lodach, a tu masz: Tim zadał najważniejsze pytanie w jej życiu. Chciała wykrzyknąć: Nie, ja cię kocham!, ale pomyślała sobie, że może jeszcze za wcześnie. Tak, ostatecznie Tim o miłości, jak dotąd, nie wspominał.

— Wiesz, że tak — powiedziała w końcu. — Te rzeczy... Nie robię tego z nikim innym. Lubię cię. Więcej niż lubię... — Słówko do słówka i może zrozumie.

— Ja też cię lubię — odrzekł bardzo poważnym głosem. — Ale wiem o tobie coś, co mnie gnębi.

— Co? — spytała szybko.

— Jeszcze loda — zażądał Roberto.

O Boże! Chętnie by tego małego obrzydliwca zadusiła!

Tim podszedł do lodówki, wyjął kolejne pudełko i postawił je przed dzieckiem.

Brigette poruszyła się niecierpliwie, czekając, aż kochanek wyjawi, co go gnębi.

Nie trzymał jej w napięciu.

— Wiem, ile masz lat — oznajmił. Czują, że zaczyna się czerwienić.

— Osiemnaście — zablefowała.

— Czternaście — odparował.

— Nieprawda — kłamała desperacko, doszczętnie poniżona.

— Prawda — rzekł ponuro. — Czy masz pojęcie, czego się przez to dopuściłem?

— Czego? — spytała nadąsana.

— Uwiedzenia nieletniej.

Jedynym odgłosem wypełniającym pokój było donośne siorbanie Roberta, obżerającego się lodami. Brigitte pragnęła, żeby go tam nie było. Pragnęła zapaść się pod ziemię. Tim Wealth miał jej za chwilę powiedzieć, że muszą przestać się widywać, i chciała umrzeć.

— Jak się dowiedziałeś? — wymamrotała z zaczerwienioną twarzą.

— Tajemnica państwowa jeszcze cię nie obejmuje — odparł. — Czytałem o twoim dziadku i jego testamencie.

— To wszystko kłamstwa.

— To znaczy?

— Moja mama mówi, że gazety kłamią.

— Może i tak. Aleja to sprawdziłem, maleńka, i okazało się, że masz czternaście lat. Piętnaste urodziny będziesz obchodzić dopiero w grudniu.

— Wszystkiego najlepszego — mruknęła. Roberto zauważył telewizor w kącie pokoju.

— Kce oglądać — powiedział, wskazując go ręką. Brigitte opadła na koniec rozkładanej sofy, która służyła Timowi za łóżko.

Tim włączył telewizor. Dziecko zeszło ze stołka przy kuchennej ladzie, wzięło pudełko lodów i całkowicie pochłonięte, usiadło na podłodze kilkanaście centymetrów od ekranu.

— Nie chcę mieć czternastu lat — dąsała się Brigitte. — Nienawidzę siebie. Naprawdę nienawidzę! — Jej wielkie, błękitne oczy wypełniły się łzami. — A teraz ty też mnie nienawidzisz.

— Nieprawda — rzekł kojąco Tim, obejmując ją ramieniem.

— Prawda — wyszlochała Brigitte.

— Nieprawda. Mamy duży problem i musisz pomóc mi go rozwiązać.

Pragnęła, żeby Roberto zniknął, żeby wyparował. Już samo to, że był z nimi w tym samym pokoju, działało jej na nerwy.

— Nic się nie martw — powiedziała zadzierzyscie. — Za tydzień wracam do szkoły, do Szwajcarii, i będziesz miał problem z głowy.

— Chcesz tam wrócić? — spytał cicho. — Czy wolałabyś zostać ze mną?
597

O możliwości zostania z Timem nigdy nawet nie pomyślała. Ale teraz, gdy podsunął jej ten pomysł, doszła do wniosku, że tego właśnie chciałyby najbardziej.

— Ale jak? — spytała z nadzieją.

— Posłuchaj mnie, maleńka, posłuchaj bardzo uważnie. Mam pewien plan.

117

Paige Wheeler zadzwoniła do domu o wpół do szóstej po południu.

Wyskoczył jej nagły wyjazd służbowy do San Francisco i miała wrócić dopiero nazajutrz.

— Nie wpadniesz nawet po torbę podróżną? — spytał Ryder.

Wyjaśniła, że czeka na nią pewien arabski klient z własnym samolotem i że bardzo się niecierpliwi.

Ryder zrozumiał. Interes to interes.

Gino zatelefonował do domu, który wynajmował w Be-verly Hills, lecz nikogo tam nie zastał — odpowiedziała mu automatyczna sekretarka.

— Ale przygoda — wymruczała Paige z grzesznym uśmiechem na ustach. — Już od dawna nie miałam żadnej przygody. — Legła na łóżku i przeciągnęła się z ukontentowaniem. — Umiesz przekonywać, Gino, oj, umiesz.

— Robię to od urodzenia — odrzekł z uśmiechem. — Zawsze potrafiłem postawić na swoim, nie miałem z tym żadnych trudności.

— To na pewno!

Lennie pracował nad nowym scenariuszem całe popołudnie. Wypił pół butelki wódki, puścił płytę Bruce'a Springsteena i przysiadłszy na nieposłanym łóżku, oglądał zachód słońca z okien swego zakurzonego hollywoodzkiego mieszkania.

Chryste! Czuł się wspaniale. Już dawno nie czuł się tak dobrze. A tekst, który napisał, był znakomity, ostry i zjadliwie dowcipny. Po wielu miesiącach psychicznej blokady żarło mu jak nigdy dotąd.

598

Znowu będzie wolny. Precz z olbrzymimi willami i służącymi. Precz z Olimpią.

Jakby zaczynał wszystko od początku — znowu mógł myśleć tylko o sobie.

Tak, oczywiście, był bogaty. Był wziętym aktorem. Słynnym gwiazdorem filmowym.

Gówno prawda! Był zwykłym komikiem, który trafił z tekstem w dobry moment. Jaki tam z niego gwiazdor.

Miał do załatwienia kilka spraw. Przed powrotem Olympii musiał pojechać do Bel Air i zabrać z domu rzeczy osobiste. Tak, trzeba wyczyścić gabinet i zabrać tylko to, za co sam zapłacił. No, a potem musiał wyjaśnić wszystko Alice. Została tam, w Bel Air, pilnowała Brigitte. Łagodnie przekaże im wiadomość. Brigitte to w sumie dobre dziecko; jeśli zechce utrzymać z nim kontakt, będzie szczęśliwy. Zaznała w życiu niewiele radości. Życie z matką pokroju Olympii to nie

przechadzka po parku.

Porozmawia z nimi nazajutrz. Dzisiaj się zabawi.

Natchnięty tą myślą, zadzwonił do Jess i spytał, czy nie zechciałyby pójść z nim do Foxiego.

Wczesnym rankiem odlatywała do Atlantic City, na weekend z Mattem, ale ponieważ chciała poznać najświeższe nowiny, chętnie przyjęła zaproszenie.

— Przyjedź po mnie koło ósmej — powiedział. — Nie mam wozu.

— Lennie, przecież masz cztery samochody — zauważyła.

— Już nie — odrzekł bez najmniejszego żalu w głosie.

Cee Cee wyskoczyła z rollsa, jak tylko stanęli na podjeździe przed domem.

— Skęcisz sobie kark, kochanie — ostrzegła ją Alice. Cee Cee pędziła co tchu. Było po szóstej. Gdyby Lucky kiedykolwiek odkryła, że Roberto został tak długo bez opieki, dostałaby szału. I słusznie. Cee Cee wiedziała, że Lucky Santangelo bezgranicznie jej ufa, i była z tego bardzo dumna.

— Roberto — zawołała wpadając do domu przed Alice

599

i jej karzełkiem, który — przynajmniej na to wyglądało — zamieszkał z nimi na stałe. — Roberto! Cisza.

— Pewnie są na górze, w pokoju Brigitte — powiedziała Alice, wprowadzając Claudia do jednego z przestronnych salonów.

Cee Cee wbiegła na majestatyczne marmurowe schody w nie kończącym się holu. Dom był absurdalnie wielki. Mogło w nim zamieszkać sześć rodzin i nigdy by się nie spotkały.

— Roberto! — zawołała zdenerwowana.

Pokój Brigitte. Nikogo. Tylko walające się wszędzie ubrania, płyty i czasopisma. Ani Brigitte, ani Roberta.

Cee Cee dałaby wszystko, żeby tylko opuściły ją złe przeczucia, które nasilały się z każdą sekundą. Nie miała żadnych wątpliwości, że zdarzyło się coś niedobrego.

— Roberto! — krzyknęła głośno. — Roberto. Gdzie jesteś? Roberto! Przeszukali dom. Alice nie przestawała narzekać.

Dwie meksykańskie pokojówki — mówiły po angielsku bardzo słabo — twierdziły, że nic nie wiedzą. Pojawiła się trzecia, która bełkotała coś o taksówce.

— Czy Brigitte pojechała taksówką z Robertem? — spytała Cee Cee, wyraźnie oddzielając słowa, żeby kobieta dobrze ją zrozumiała.

— Si, si — potwierdziła pokojówka.

— No i po co to całe zamieszanie? — Alice zrobiła mądrą minę i pokręciła głową. — Kiedy Brigitte zdała sobie sprawę, że się spóźnily, postanowiła wezwać taksówkę i odwieźć chłopca do domu.

Zadzwonili do willi, którą wynajmował Gino, ale nikogo tam nie było.

— Gino zabrał ich pewnie na kolację — spekulowała Alice.

Cee Cee kiwnęła głową z nadzieją, że tak jest. Lecz złe przeczucia nadal jej nie opuszczały i wiedziała, że dopóki nie odzyska spokoju ducha, niczego nie będzie stuprocentowo pewna.

600

118

Gdy do „Studia 54” w Nowym Jorku zawitała Olympia Stanislopoulos — wysiadła z lśniącej, szarej limuzyny z czarnymi szybami niczym

rozłożysta książeczka — paparazzi natychmiast wkroczyli do akcji.

Miała na sobie obszerne futro z soboli, które maskowało obfite kształty, a jej długie blond włosy spływały kaskadą na ramiona.

Towarzyszył jej niski, zgryźliwy fryzjer — od stóp do głowy ubrany w nabijaną ćwiekami skórę — czarnoskóra sekretarka — metr osiemdziesiąt wzrostu — oraz długowłosy specjalista od makijażu — tranwestyta.

Olympia uśmiechnęła się promiennie.

— Cześć, chłopaki — zawołała do paparazzi. — Mówiła niewyraźnie, a źrenice jej niebieskich oczu były niczym łepki świetlistych szpilek. Oparła się prowokacyjnie o maskę limuzyny. — Chcecie zrobić mi zdjęcie?

Fotoreporterzy walczyli o najlepszą pozycję, błyskały flesze. Olympia Stanislopoulos przypominała wyglądem piękną słończkę. Te zdjęcia ozdobią pierwsze strony gazet na całym świecie.

— A gdzie Lennie? — krzyknął któryś z fotografów. Olympia zmarszczyła czoło.

— Lennie? — powtórzyła, jakby naprawdę nie wiedziała, o kogo chodzi. — Jaki Lennie?

Młoda, smukła dziewczyna z aparatem w ręku i ze stenogramem notatki prasowej w głowie wyczuła sprawę i strzeliła:

— Czy to prawda, żeście się rozstali?

Olympia owinęła się futrem i ruszyła w stronę wejścia do klubu.

— Lennie Golden — oznajmiła wytwornie — jest parszywym mężem.

Wróć, poprawka. Był parszywym mężem.

1 parszywym kochankiem. Wydrukujcie to.

Weszła do środka, a tuż za nią cała świta.

W kasynie panował wielki ruch. Lucky była spakowana i gotowa do

wyjazdu. Zamierzała pojechać do Nowego

601

Jorku samochodem i złapać poranny samolot do Los Angeles.

Przed wyjściem niespiesznie przeszła się po kasynie. Wiedziała, że to dzięki niej panuje tu takie podniecenie, i zawsze ją to podbudowywało.

W „Santangelo” występował Vitos Felicidade i z Brylantowej Sali wylewały się tłumy gości, którzy właśnie zaliczyli pierwszy występ.

Podeksytowane kobiety ścisnęły w rękę programy ze zdjęciem Vitosa na okładce i trajkotały o jego urodzie, męskości i witalności.

Gdyby tylko wiedziały! Lucky spędziła z nim noc. Miał dwuminutową erekcję, po czym zaczął się przed nią wy-wnętrzać. Współczuła mu. Nie skonsumowali znajomości i całą noc przegadali.

Pomachała do jednego z szefów sali i wskazała mu krupiera, który zachowywał się zbyt przyjaźnie w stosunku do puszystej brunetki przy stoliku do blackjacka. Przy innym stoliku ktoś wygrał w kości i kibice wiwatowali na jego cześć. Minęły ją dwie prostytutki w obcisłych, mocno wydekoltowanych sukniach, przeklinając skąpego klienta.

Lucky potoczyła wzrokiem po sali. Wszystko grało. Była zadowolona.

— Witam, witam. Toż to Pyza, prawda? I to w pełnym rozkwicie!

Olympia zmrużyła oczy i spojrzała na chudzielca stojącego przed nią w hałaśliwym klubie. Ostatnio miewała kłopoty z koncentracją wzroku.

— Cześć — odrzekła wymijająco.

— To ja, ty głupia klucho. Flash.

— Wprost uwielbiam twoje piosenki — westchnął tran-westyta, nachylając się w jego stronę.

— Ja też — wtrącił fryzjer, nie chcąc zostać z tyłu.

— Odwalcie się, stare pedały — rzucił pogodnie Flash, siadając obok Olympii, która w końcu go sobie skojarzyła. — Wyglądasz całkiem nieźle — skonstatował, przyglądając się jej twarzy. — Trochę przytyłaś, ale w sumie jakoś się z tego wylizałaś, nie?

602

— Czuję się bosko.

Wsunął rękę pod futro z soboli i ścisnął ją w talii.

— Zawsze lubiłem babki przy kości. Grube mnie biorą. Chwytasz mnie, Pyza?

— Nie jestem gruba. Mam tylko parę kilogramów nadwagi.

— Parę plus naście.

— Gdzie kupujesz te apaszki? Wprost uwielbiam twoje apaszki — wymruczał tranwestyta, gładząc brudną, obszarpaną wstęgę białego jedwabiu zwisającą z szyi Flasha.

Flash wykrzywił twarz.

— Zabierz łapska, dobra? Z kim ty się zadajesz, Pyza? Nareszcie zdołała skupić na nim wzrok. Flash. Gwiazdor rocka. Kochanek. Kutas.

— Kiedy cię naprawdę potrzebowałam, potraktowałeś mnie jak powietrze — prychnęła, patrząc na jego dziobatą twarz. — Az tego, co słyszę, ostatnio kiepsko ci się wiedzie. Jaka szkoda — dodała ironicznie.

— Mówiłem ci — odrzekł chytrze — nie cierpię szpetoty. Ale teraz wyglądasz ekstra, jesteś jak nowa.

— Czego chcesz? — spytała wyniośle.

— Wszystko jedno, ale daj mu to! — zapiszczał fryzjer.

— Ooo, tak — westchnął tranwestyta. — Jest taki męski!

— Niczego — burknął Flash. — Po prostu staram się być przyjacielski.

— Nigdy w życiu nie byłeś przyjacielski — wytknęła mu Olympia.

Polizał wnętrze jej ucha.

— Chciałabyś pofruwać? — szepnął.

Jego oddech zalatywał czosnkiem i papierosami. Ubranie cuchnęło stęchłym dymem. Kiedy otwierał usta, czerniły się w nich zepsute zęby.

Przypomniały się jej stare czasy. Seks, prochy i rock and roli.

Jeszcze jeden numer z muzykiem spod przygasłej gwiazdy? Czemu nie?

603

119

Całe życie czekała, aż zdarzy się coś cudownego. Dorastała w świecie bezmyślnych ludzi, którzy zasypywali ją nadmiarem dóbr materialnych, nie dając prawie nic więcej. Jako mała dziewczynka mogła przykuć ich uwagę wrzaskiem, co robiła, starannie dobierając najodpowiedniejsze momenty. Doprowadzało to do szału matkę, która była taka piękna... Te futra, te klejnoty, te blond loki delikatnie oplatające twarz. Ale matka była zawsze zajęta najnowszym przyjacielem. Jej uwagę zawsze odwracali inni. Brigitte uwielbiała psuć jej te beztroskie dni. Olympia dostawała wtedy szału, krzyczała i wrzeszczała, ale przynajmniej musiała zauważyć, że ma córkę.

Jednak od kilku lat Brigitte miała to gdzieś, czy matka ją zauważa czy nie. A kiedy usłyszała o tej katastrofie samolotowej, w głębi ducha ucieszyła się, że doszło do tragedii. Gdyby Olympia umarła, nie musiałaby już do niczego jej zmuszać.

Ale Olympia nie umarła. Olympia tylko utyla. A Brigitte wydorosła. I dowiedziała się, że życie to coś więcej niż tylko walka o uwagę matki.

Teraz w jej życie wkroczył Tim. I już wiedziała, że ów cudowny moment, na który czekała od tylu lat, w końcu nadszedł. Że trzeba dać sobie spokój ze szkołą, lekcjami i ze wszystkim innym. Że jej przyszłością jest Tim Wealth. Tim Wealth chciał zostać z nią na zawsze. Wyłożył jej swój plan. Brigitte z ożywieniem słuchała, a Roberto wetknął rękę do pudełka po lodach i przysunął się jeszcze bliżej telewizora, tak że w końcu prawie dotykał go nosem.

Tim ciągle podkreślał fakt, że Brigitte ma dopiero czternaście lat.

— Gdybyś miała osiemnaście, nie byłoby żadnego problemu— tłumaczył cierpliwie. — Moglibyśmy prysnąć do Newady albo gdziekolwiek indziej, pobrać się i nikt nie mógłby nam nic zrobić. Ale ponieważ jesteś niepełnoletnia, musimy się ukryć. Żeby się ukryć, trzeba mieć dużo pieniędzy.

604
dzy. A żeby ukryć się skutecznie, trzeba mieć kupę szmalu, prawdziwą fortunę.

— Jestem bardzo bogata — oświadczyła trzeźwo Brigitte. — Mój dziadek zapisał mi wielki majątek.

— Jasne. Ale będziesz mogła nim dysponować dopiero po ukończeniu osiemnastu albo dwudziestu jeden lat. Coś koło tego, hę?

— Mimo to te pieniądze należą do mnie.

— Ja o tym wiem, ty o tym wiesz, ale spróbuj powiedzieć to im. — Zamilkł, by po chwili zbajerować ją gładko i skutecznie. — Chcę być z tobą cały czas, maleńka. Jesteś dla mnie kimś bardzo wyjątkowym i nie chcę cię stracić. Rozumiesz?

Oczarowana kiwnęła głową. Spełniały się jej wszystkie marzenia.

Tim krążył po pokoju, zaciskając pięści, perorując, rozbudzając jej

entuzjazm i zaangażowanie.

— Bez względu na to, czy matce na tobie zależy czy nie, na pewno spróbuje nas rozdzielić. Tak samo Lennie Golden. I Lucky. Powiedzą, że jesteś za młoda. Nie mielibyśmy najmniejszych szans. Zamknęliby cię gdzieś i już nigdy byśmy się nie zobaczyli.

— Uciekłabym — zapewniła go żarliwie Brigitte.

— Tak, ale nie chcę stawiać cię w tym położeniu — odparł szybko. — Musimy uderzyć, zanim padnie cios.

To, co mówił, zupełnie ją pochłaniało.

— Tak, tak — zgodziła się z jasno błyszczącymi oczyma.

— Oto co trzeba zrobić — powiedział, zniżając głos. Podszedł bliżej, bardzo blisko. — Trzeba wyrwać im te pieniądze. To twoje pieniądze i masz do nich prawo, prawo do każdego centa.

Podniecona kiwnęła głową.

— Ale oni nie zechcą ci ich dać — mówił dalej Tim. — Dlatego musimy ich podejść.

— Jak to zrobimy?

— Bawiąc się w pewną grę.

— Jaką grę?

— Nazwijmy ją... porwanie i okup. Brigitte zadrzała.

605

— Czy to niebezpieczne? Roześmiał się.

— Czy wciągałbym cię w coś niebezpiecznego? Musisz mi zaufać.

— A co z nim?

Odwrócili się, żeby popatrzeć na Roberta.

— On jest naszą premią — odrzekł Tim. — Dodatkowym

zabezpieczeniem. Żeby szybko wyłożyli szmal. Na przykład już jutro.

Brigette poczuła wyrzuty sumienia. Ale bardzo lekkie i ulotne.

— Jak zapłacą, będziecie musieli do nich wrócić — kontynuował Tim.

— Nie chcę wracać! — jęknęła.

— Tylko na parę dni, dopóki nie zorganizuję ucieczki — zapewnił ją pospiesznie. — Spotkamy się w umówionym miejscu i damy nogę.

Tymczasem powiesz, że porywaczami było dwoje Meksykanów, którzy przetrzymywali was w Santa Monica. Zmyślisz, co zechcesz.

— Hmm... a jak im wyjaśnię to, że zabrałam Bobby'ego taksówką?

— Miałaś pilny telefon. Wiadomość od matki, która chciała, żebyś wyszła jej na spotkanie z dzieciakiem.

Brigette zachichotała.

— Pomyślałaś o wszystkim.

— No jasne. — Boże! Co za naiwność. Naprawdę nie wiedziała, że robi ją w konia? Zanim zda sobie sprawę, że nie zamierza z nią nigdzie uciekać, będą już daleko stąd, a matka odeśle ją w niełasce do Szwajcarii.

A gdyby kiedykolwiek go wytropili, miał zdjęcia małej Brigitte w trakcie wesołej zabawy na łóżku. Myślała, że oddał jej wszystkie, ale on z łatwością zwinął dwa z nich. Już za same zdjęcia rodzina

Stanislopoulosów zapłaciłaby milion baksów. Tak. Dla tych ludzi milion baksów to pestka. Kiedy zdobędzie pieniądze, ucieczka z Eden nie będzie stanowiła żadnego problemu.

— Ile zażądamy? — spytała Brigitte.

— Milion dolarów — odrzekł poważnie Tim. — Milion zielonych.

606

120

Dochodziła dziewiąta wieczorem i Cee Cee szalala z niepokoju, choć wyglądało na to, że pozostali mają to wszystko gdzieś. Jeździła do domu wynajmowanego przez Giną, wracała do Bel Air, kursowała tam i z powrotem z nadzieją na dobre nowiny. Ale w wynajętym domu nie było nikogo. Ani Giną, ani Costy.

— Nie bądź taka strachliwa — rzuciła beztrąsko Alice. — Z Brigitte chłopiec jest zupełnie bezpieczny. Są albo z Ginem, albo w domu jej przyjaciółki.

— Ale kim jest ta przyjaciółka? — spytała zrozpaczona Cee Cee. Pewnie niepotrzebnie się zamartwiała. Brigitte i Roberto byli z Ginem, jak twierdziła Alice, to więcej niż prawdopodobne.

Alice wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Koleżanka ze szkoły. Brigitte wczoraj u niej nocowała. Jeśli byli z Ginem, dlaczego nie zostawił żadnej wiadomości?

— Ma pani jej numer? — spytała, nadal zatroskana. Alice pokręciła głową.

— A jak się ona nazywa?

— Je ne sais pas.

Cee Cee zakipiała gniewem.

— Pani Golden! — wybuchnęła. — To naprawdę wstyd i hańba. Miała się pani nią opiekować, a nawet nie wie pani, gdzie spędziła wczorajszą noc.

— A cóż to za ton? Wypraszam sobie — odrzekła wyniośle Alice. —

Byłam gwiazdą. Wszyscy myślą, że mój syn to wielka sława, ale ja byłam sławna, zanim on się urodził. Dlatego zechciej wbić to sobie do głowy i bądź dla mnie grzeczniejsza, młoda kobieto.

Cee Cee łypnęła na nią spode łba. Chodziło o bezpieczeństwo Roberta, nie

wspominając już o tym, że groziła jej strata pracy, a ta stara krowa wygłaszała przemowy na temat gwiazdorstwa.

— Po prostu chcę, żeby Roberto wrócił do domu —

607

syknęła przez zaciśnięte zęby. — Jak można sprawdzić, kim ta koleżanka jest?

— Nie wiem — warknęła Alice. — I życzyłabym sobie, żeby przestała pani robić takie zamieszanie. Na pewno za chwilę wrócą, sama pani zobaczy.

— Nie wierzę! — wykrzyknęła Rainbow. — Gwiazdor we własnej osobie!

Lennie objął ją i mocno przytulił.

— Foxie! — zawołała. — Chodź, zobacz, co dla ciebie mam!

Foxie wybiegł z gabinetu, zobaczył Jess i zaczął ją ob-ściskiwać.

— Nie ją! — Rainbow wybuchnęła śmiechem i cmoknęła Lenniego w usta. — Tego osiłka!

— Osilek-sryłek, co mnie to obchodzi? — odrzekł Foxie, wywracając zezowatymi oczami. — Kiedy widzę słodką Jess, nie liczy się nikt inny.

— Urocze! — zażartowała z uśmiechem Rainbow. — On kocha inną!

— Ja też go kocham — zapewniła stanowczo Jess, tuląc do siebie małego człowieczka.

Lennie uśmiechnął się i odprężył. Zanieczyli przyjaciół, odkąd zdobył sławę. Cóż, Olympia by tu nie pasowała; wyobraził ją sobie w towarzystwie lubieżnika Foxiego albo w rozmowie z rozpustną Rainbow. Natomiast Lucky — tak. Lucky pasowałaby wszędzie.

Odczeka ze dwa miesiące i zadzwoni do niej. Tak. Może zaczną wszystko

od nowa. Może.

Costa został dumnym ojcem o dziewiątej czterdzieści wieczorem. Nie posiadał się z radości. Miał córeczkę! Ważyła trzy siedemdziesiąt pięć! Maszerował szpitalnym korytarzem, rozdając cygara nieznajomym. Potem podbiegł do telefonu, żeby przekazać Ginowi cudowne nowiny.

608

Odebrała Cee Cee.

— Boże, panie Zennocotti, gdzie pan jest? — jęknęła. — Czy Roberto jest z panem?

— Roberto ze mną? Niby dlaczego? — spytał zaskoczony Costa. — Daj mi Giną, szybko.

— Nie ma go tu. Roberta też nie ma. — I zaczęła mu wszystko chaotycznie wyjaśniać.

Costa powiedział dokładnie to samo co Alice:

— Muszą być z Ginem. Nie martw się. Jestem pewny, że lada chwila wrócą. A kiedy wrócą, niech Gino do mnie zadzwoni. I to natychmiast. Mam wspaniałe nowiny.

Dokładnie o dziesiątej wieczorem w domu w Bel Air zadzwonił telefon.

— Halo? — rzuciła pogodnie Alice. Wypiła kilka kieliszków Grand Marniera i była bardzo wesoła; Claudio obalił pół butelki przedniej brandy i też nie narzekał.

— Milion dolców — powiedział zduszony głos.

— Co?

— Za Roberta. I za Brigitte. Milion baksów za ich oboje.

— Nic nie słyszę. Głośniej proszę.

— Nie zawiadamiajcie policji, lepiej pomyślcie, jak zgromadzić

pieniądze. Ma być gotówka. Pięćdziesięciodolarowe banknoty. Nie oznakowane.

— Nie rozumiem. Kto mówi?

— W centrum handlowym Farmer's Market. Jutro o czwartej po południu. Wejdź do księgarni z torbą z pieniędzmi. Na końcu sali jest dział z książkami o zdrowym żywieniu. Postaw torbę w kącie i wyjdź ze sklepu drugim wyjściem. Nie oglądaj się za siebie. Zrozumiałaś?

— O Boże! — Alice zatrzepotała rzęsami.

— Jeśli chcecie zobaczyć je żywe, lepiej zróbcie, jak mówię. Milion dolarów. Żadnych glin. Żadnych wpadek. Drugiej szansy nie będzie. Jeśli dokładnie wypełnicie polecenia, dzieci wrócą do domu godzinę później. Cichy trzask i połączenie zostało przerwane.

609

121

Na lotnisku imienia Kennedy'ego w Nowym Jorku tłoczyli się ci, którzy chcieli wyprzedzić weekendową nawałnicę.

Lucky szła przez terminal Pan Amu. Ledwo zdążyła wypić filiżankę kawy, gdy wywołano jej lot.

Steven przyjechał na lotnisko kwadrans później. Kupując bilet na najbliższy lot do Los Angeles, miał posępną minę. Całą noc czuwał przy łóżku Mary-Lou, był nie ogolony i roztargany.

Czasami w życiu bywa tak, że pewne sprawy trzeba po prostu załatwić. A trzymanie się prawa oznacza, że sprawy te są nie do załatwienia.

Po raz pierwszy w życiu Steven zamierzał wziąć prawo w swoje ręce.

Zamierzał osobiście przetrącić gnaty Santinowi Bonnat-tiemu.

122

— Niewygodnie mi — jęknęła Brigitte. Jęczała tak całą noc. Z jej różanych ust płynął potok narzekań.

— Na miłość boską — mruknął Tim. — Śpij. Usiadła.

— Muszę do kibelka — wymamrotała.

— No to idź — burknął zirytowany.

Wstała z kozetki, przestąpiła nad Robertem, który spał na stercie poduszek na podłodze, i zamknęła się w maleńkiej łazience. Leżeli ściśnięci jak sardynki w puszcze, co wcale się jej nie podobało. Może bez tego głupiego pacana byłoby zabawniej. Co za ciołek — nie mogła go znieść. Po co go tu przetrzymywali?

Wyobraziła sobie szalejącą z niepokoju Cee Cee[^]. Ależ musi być spanikowana!

Gdy wróciła do pokoju, Tim był już na nogach, Roberto też.

— Jestem głodny — powiedział chłopiec, przecierając oczy.

610

Lucky też dostanie szału. Brigitte miała w związku z tym lekkie wyrzuty sumienia, ale przecież nie zostawili Bob-by'ego bez opieki.

— Zrobię śniadanie — zaproponowała wesoło.

— Nie ma z czego — odrzekł Tim. Teraz, gdy koła maszyny poszły w ruch, chciał mieć to jak najszybciej za sobą. Najważniejszy był czas. Zgarnąć szmal. Pozbyć się Brigitte i dzieciaka. Podskoczyć po Eden. I chodu.

Zarezerwował dwa bilety na popołudniowy samolot do Mexico City. W Mexico City wynajmą samochód i przepadną jak kamień w wodę.

— Kcę do domu — oznajmił Roberto. — Kcę do Cee Cee. Kcę do mamy. Brigitte otworzyła lodówkę. Była pusta.

— Czy ty nigdy nie jadasz? — spytała. — Umieram z głodu.

W pudełku został kawałek pizzy, którą zamówił poprzedniego wieczoru.

— Masz, częstuj się — powiedział.

— Oh! — wykrzyknęła. — Pójdę do sklepu.

— Nigdzie nie pójdziesz — odrzekł szybko. — Ja pójdę. Spisz wszystko, czego potrzebujesz.

Tylko tego mu brakowało, żeby Brigitte włóczyła się po sąsiedztwie, gdzie ludzie mogliby ją zapamiętać. Ciekawiło go, co dzieje się teraz w jej domu. Pewnie gromadzili pieniądze i trzymali gębę na kłódkę. Bogacze nie lubią niepotrzebnej reklamy. Czuł, że zapłacą i będą milczeć — o ile tylko odzyskają dzieciaki.

Nieustępliwie wypytywał ją, czy komukolwiek o nim wspominała.

— Absolutnie — zapewniała. — Gdyby zwąchali, że się z kimś spotykam, dostaliby szału.

Ubierał się szybko, podczas gdy Brigitte sporządzała listę zakupów. Mógł jej zaufać? Sprawiała wrażenie uszczęśliwionej, ale na wszelki wypadek zabronił jej odbierać telefonu, gdyby dzwonił, a wyszedłszy z mieszkania, zamknął drzwi na podwójny zamek.

Z budki zatelefonował do Eden.

611

— Możesz rozmawiać? — spytał.

— Nie — odrzekła drżącym głosem. — To chyba pomyłka.

Mówił szybko, szeptem.

— Czekaj na mnie przed gmachem May Company na Wilshire kilka minut po czwartej. Wszystko gra. Kości zostały rzucone.

— Kto to był? — spytał Santino.

— Pomyłka — odparła Eden.

— Świński telefon?

— Nie.

— To dlaczego od razu nie odłożyłaś słuchawki?

— Facet powtórzył numer, żeby sprawdzić, czy dobrze wykręcił.

— Myślisz, że ze mnie kretyn czy co?

Rzygać jej się chciało od jego zniewag, fizycznych i psychicznych. Nie było im końca. Został na noc, żeby ją zadręczać. A ona musiała opracować plan ucieczki, co nie będzie łatwe.

— Myślę, że powinieneś zostawić mnie w spokoju — odrzekła znużona.

— Taa, też tak myślę. Młodnieć, nie młodniejesz. Stara pudernica z ciebie, wiesz? Trochę to smutne, ale ja mam złote serce. Odwiedzam cię, regularnie cię rżnę, pozwalam ci tu mieszkać. Nie uważasz, że mam złote serce?

— Doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłeś, Santino. — Wytresował ją i reagowała jak piesek: na grzbiet i udawaj trupa.

— Nawet do filmu cię wciągnąłem — mówił dalej. — Jak tego chciałaś. Prawda, kotku?

Kiwnęła głową.

— To bardzo miło z twojej strony.

Postanowiła, że ucieknie, jak tylko ten bydlak wyjdzie z domu. Powie Zekowi, że jedzie po zakupy, a w Beverly Hills łatwo go zgubi. Znała pewien sklep, gdzie z przymierzalni można było wyjść na wąską uliczkę za budynkiem. Jeśli weźmie stertę ubrań i zostawi Zeka przed sklepem, miną godziny, nim się połapie, że zniknęła.

— Jasne — rzekł wylewnie Santino. Usiadł na łóżku i czule pogładził się po włochatej piersi. — Wciągnąłem cię do filmu. To bardzo wspaniałomyślny gest, zważywszy, że nie jesteś już młodką.

— Dziękuję — wymamrotała.

— Ale odpłaciłaś mi za to.

Nie miała pojęcia, do czego sukinsyn zmierza. Najbezpieczniej było milczeć.

— Taa... — rzucił w zadumie Santino. — Odpłaciłaś mi za to. I to jak. Bolała ją cała twarz. Na lewe oko prawie nie widziała, wargi miała spuchnięte i spękane. Musiała wyglądać strasznie.

— Zemstę mam we krwi — powiedział złowieszczo. — Puścisz kantem Santina Bonnattiego i lepiej nie wychodź nocą na ulicę. Nawet dziesięć lat później. Rozumiesz, o czym gadam?

— Nigdy nie puściłam cię kantem.

— Ale tego aktorkę przeleciałaś, hę? To niby nic?

— Nieprawda, nikogo nie przeleciałam. Trzasnął ją w twarz.

Usłyszała, jak grzechoczą jej zęby.

— To nieprawda, ty sukinsynu!

— Może i nieprawda — rzekł łagodnie. — Ale pomyślałem sobie, że warto by to sprawdzić.

Rozciął jej wargę. Na aksamitnym prześcieradło powoli kapłała krew.

123

Gdzie się podział Gino? W nagraniu automatycznej sekretarki pojawiła się wiadomość, że nie będzie go całą noc, lecz ani słowem nie wspominał, gdzie go można znaleźć.

Odłożywszy słuchawkę, zaszokowana Alice — uznała, że rozmówca

celowo zniekształcił głos, ale nie miała najmniejszych wątpliwości, że mówił o porwaniu i okupie — milczała chwilę, po czym dostała histerii.

613

Claudio posłał po Cee Cee. Cee Cee błyskawicznie namierzyła Costę w szpitalu, a później opadła na krzesło, trzęsąc się i coś do siebie mamrocząc. Niedługo potem przyjechał Costa i spróbował wziąć inicjatywę w swoje ręce.

— Żadnej policji — powtarzał. — Żadnej pomocy z zewnątrz, dopóki nie odezwie się Gino.

— A Lucky? — zawodziła Cee Cee. — Ona oszaleje. Obwini za to mnie. I słusznie, to moja wina.

— Nikt tu nie zawinił — odrzekł znużony Costa. Wszystko wskazywało na to, że czekała go najgorsza, zarazem najpiękniejsza noc w życiu.

Próbował skontaktować się z Lucky w hotelu „Santangelo” i rozmawiał z Mattem, który powiedział mu, że Lucky wylatuje do Los Angeles porannym samolotem z Nowego Jorku.

— Jeśli to ważne, można złapać ją w „The Pierre” — dodał.

Costa nie wiedział, co robić. Skoro i tak miała przylecieć do LA, to po co ją denerwować? Postanowił wyjść po nią na lotnisko. Tymczasem spróbował zlokalizować Olympię i Lenniego.

Pokojówka poinformowała go, że panny Stanislopoulos nie ma i że pan Golden już tam nie mieszka.

— Gdzie go można znaleźć? — spytał Costa. Pokojówka — telefon ją zbudził — nie była zbyt chętna do współpracy i twierdziła, że nie wie.

Costa spędził niespokojną noc. Rozhisteryzowaną Alice wyekspediował na

górze razem z Claudiem, który miał ją pocieszać. Cee Cee odesłał do wynajętego domu i kazał jej czekać na Giną. Sam zasiadł w gabinecie Lenniego i przesiedział tam całą noc, licząc upływające minuty i zastanawiając się, kto mógł uprowadzić dzieci. Porywacz — kimkolwiek był — zażądał miliona dolarów gotówką. Zebranie takiej kwoty do czwartej po południu graniczyło z niemożliwością. Choć z drugiej strony dla kogo jak dla kogo, ale dla Lucky i Giną nie było rzeczy niemożliwych. Chciałby tylko jakoś się z nimi skontaktować, albo z nią, albo z nim. Zrobił źle, nie dzwoniąc do „The Pierre” przed odlotem Lucky z Nowego Jorku, a kiedy w końcu posta-

614

nowił do niej zadzwonić, przekazano mu, że pani Santangelo jest już w drodze na lotnisko.

Zatelefonował do szpitala. Żona i córeczka miały się dobrze.

W przeciwieństwie do niego. On czuł się jak starzec.

— Muszę ci powiedzieć, że czuję się przy tobie jak szesnastolatek! — rzekł z rana rozpromieniony Gino. — No, może jak dwudziestolatek.

Paige przeciągnęła się leniwie.

— Boże, Gino. W młodości musiałeś być...

— Wiecznie napalony. Miałem gorącą głowę, nazywali mnie Gino-Ogier.

Paige roześmiała się głośno.

— Gino-Ogier! Coś wspaniałego! Natychmiast mi o tym opowiedz!

— No cóż, mieszkowałem w różnych rodzinach zastępczych, no i kiedyś przygarnęła mnie taka jedna. Miała największe cyce, jakie kiedykolwiek widziałem, i chciała, żebym mówił do niej mamó.

Paige usiadła na łóżku. Rano wyglądała całkiem dobrze, w

przeciwieństwie do mnóstwa innych kobiet w jej wieku, które budziły się wyplute i stłamszone.

— No i jak się do niej zwracałeś? — spytała z ożywieniem.

— Jak popadnie, ale nie per „mamo”. Miałem trzynaście lat, tego i owego mnie nauczyła.

Paige mądrze kiwnęła głową.

— A więc wykształcenie seksualne otrzymałeś od starszej kobiety.

— Tak. Nauczyła mnie też, jak się pieprzyć.

— Gino!

— Tylko mi nie mów, że w końcu cię zaszokowałem.

— A skąd.

— Ty co? Odporna na szok?

— Tak jest.

— Twarda babka.

— Twardsza od ciebie.

— Taa?

615

— Taa.

Chciał ją objąć, ale się odsunęła.

— Zaszokowałam cię, kiedy nakryłeś mnie w łóżku z Su-san, prawda? — spytała spokojnie.

Zapadła głucha cisza. Chciał zapomnieć o tym małym incydencie, tymczasem ona go odgrzebywała.

— Szczerze mówiąc — kontynuowała, postanowiwszy wyciągnąć sprawę na światło dzienne — miałyśmy romans na długo przed tym, jak cię poznałam. Byłyśmy...

— Nie chcę tego wiedzieć — przerwał jej szorstko.

— Myślę, że powinienes. Kiedy się poznaliśmy, uświadomiłam sobie, że pragnę cię o wiele bardziej niż jej. Susan nie chciała zrezygnować. Kiedy nas przyłapałeś, właśnie się z nią żegnałam.

— Ładne pożegnanie — prychnął.

— Nigdy nie szedłeś z kochanką do łóżka, żeby później bez wahania ją rzucić?

— Wolałbym nakryć cię z jakimś młodym Casanową niż z moją żoną — wycedził spięty.

— Następnym razem postaram się spełnić twoją zachciankę.

— Hej. — Przyciągnął ją do siebie. — Mówił ci ktoś, że jesteś okrutnie wyszczekana?

— Ostatnio nie.

Nakrył ją swoim ciałem, jęknął i stoczył się na pościel.

— Co się stało? — spytała zatroskana.

— Dlaczego to ja mam odwalać całą robotę? Jestem podstarzałym ogierem, a ty nimfomanką. Do dzieła, pani Wheeler.

Westchnęła.

— Dobry Boże... — Pokręciła głową. — Nie znam twojej nauczycielki, ale trzeba przyznać, że się postarała!

Lennie spał otulony kokonem dobrego samopoczucia. Znowu pracował, znowu krążyły w nim twórcze soki. Wrócił do przyjaciół — wieczór z Jess, z Foksiem i Rainbow był czystą przyjemnością. Odzyskał wolność. Wstał rano i od razu zabrał się do pracy w skromnym

616

towarzystwie notatników o żółtych kartkach, długopisu i swego umysłu.

Później zadzwoni do Alice i zawiadomi ją o nieuchronnym rozwodzie.

Matka pewnie się załamała, kiedy dotrze do niej, że syn nie jest już mężem jednej z najbogatszych kobiet świata. Synowa z rodziny Stanislopoulosów bardzo jej odpowiadała.

No cóż... Szkoda. Biedna, stara Alice.

124

Tim pogwizdywał, wracając do domu z papierową torbą wypełnioną chlebem, mlekiem, sokiem pomarańczowym, dżemem i lodami — żeby dzieciak nie kwękał. Przekręt jak marzenie, wypali na sto procent.

Pomyślał sobie, że po Meksyku mogliby pojechać z Eden do Brazylii.

Ach, Rio. Te plaże. Ipanema. Copacabana... Z milionem baksów w kieszeni będą mogli robić, co tylko zechcą. Może porzuci karierę aktorską, która i tak prowadziła donikąd, i zostanie autorem tekstów piosenek albo plażowym Casanową? Wkrótce będzie mógł pozwolić sobie na wszystko. Na absolutnie wszystko.

Przerzucił torbę do drugiej ręki i szperając w kieszeni w poszukiwaniu klucza, wszedł na zewnętrzne schody prowadzące do mieszkania.

— To ja — zawołał, przekręcając klucz w zamku.

Nie miał pojęcia, co go rąbnęło. Ktoś zaskoczył go od tyłu, wepchnął go brutalnie do mieszkania i cisnął nim o podłogę.

Papierowa torba z zakupami pofrunęła do góry — rozlało się mleko, lody rozbryzgnęły się na ścianie, sok pomarańczowy ściekał na podłogę.

— Co jest, do kur... — Nie zdążył dokończyć, bo uciszyło go silne kopnięcie w brzuch.

Brigette i Roberto zaczęli przeraźliwie krzyczeć.

— Co my tu mamy? — powiedział Santino Bonnatti. Przesąpił nad

Timem i gapiąc się na dzieci, skinął głową

617

dwóm gangsterom, którzy umożliwili mu wejście. — Pieprzone grono rodzinne czy co?

— Kim pan jest? Czego pan chce? — wyrzuciła z siebie jednym tchem Brigitte. I nagle doskoczyła do jednego z pomagierów Santina, który metodycznie kopał próbującego zwinąć się w kłębek Tima. — Zostaw go! — wrzasnęła.

— Zostaw go — powtórzył jak echo Roberto, biegnąc za nią i tuląc się do jej nogi.

Bonnatti skrzywił się z obrzydzeniem. Chryste, skąd Wealth wytrzasnął te bachory?

125

Podczas pięciogodzinnego lotu do Los Angeles Steven nie odezwał się ani słowem do przyjacielskiego Chińczyka siedzącego obok. Lecąca pierwszą klasą Lucky potraktowała tak samo starszego biznesmena o cuchnącym oddechu.

Żadne z nich nie jadło. Żadne z nich nie oglądało filmu. Zaraz po wylądowaniu spieszenie ruszyli do wyjścia i wpadli na siebie w miejscu, gdzie pasażerowie pierwszej klasy spotykają się z pasażerami klasy turystycznej.

— Lucky Santangelo — powiedział Steven.

Wahała się tylko chwilę i błyskawicznie go sobie przypomniała.

— Pan prokurator — odrzekła z wymuszonym uśmiechem.

Zrobił kwaśną minę.

— Już nie.

— Zrezygnował pan? Byłam przekonana, że skończy pan jako burmistrz NóVego Jorku.

Ramię w ramię ruszyli rękawem łączącym samolot z terminalem. Teraz, gdy istniała możliwość, że mają tego samego ojca, jej widok wywołał w nim dziwne odczucia.

— Ostatnim razem widzieliśmy się tuż przed moim aresztowaniem. — Spojrzała na niego. — Pamięta pan?

— Jak bym mógł zapomnieć? — odrzekł. — Dwa lata

618

harowałem, żeby postawić faceta przed sądem, a pani go zastrzeliła.

— W samoobronie.

— Oczywiście.

— Naprawdę.

Przypomniała sobie ich spotkanie przed sześcioma laty. Długa, lepka noc roku 1977, kiedy to w Nowym Jorku doszło do gigantycznej awarii elektryczności. Utknęła w windzie z panem Stevenem Berkeley'et i przesiadzieli tam aż dziewięć godzin. Zostali przyjaciółmi — w każdym razie kimś w rodzaju przyjaciół. Niewiele brakowało i zostaliby kochankami.

Nazajutrz odkryła, że Berkeley jest zastępcą prokuratora okręgowego i że pracuje nad sprawą Enzia Bonnattiego. Od tamtej pory go nie widziała.

— Mieszka pani w Los Angeles? — spytał uprzejmie. Pokręciła głową.

— A pan?

— Nie. Wpadłem z wizytą.

— Co pan teraz porabia? — spytała ciekawie.

— Sprzedałem się. Jestem adwokatem.

Weszli na ruchomy chodnik. Pamiętała, jak tamtej upalnej, wilgotnej nocy zaprosił ją do siebie, ponieważ zgubiła klucze do mieszkania. Pozwolił jej się wykapać, pożyczył ubranie. Boże, był taki przyzwoity! Ale tak, kusilo go i pewnie by go skusilo, gdyby nastroju nie zepsula jego przyjaciółka.

— Ożenił się pan z tą... Eileen? Tak miała na imię, prawda?

— Aileen. Nie, nie ożeniłem się.

— To dobrze — odrzekła z uśmiechem. — Zepsuła początek czegoś, co mogło być pięknym związkiem.

Na chwilę zapomniał o swojej złości i wziął Lucky pod rękę.

— Wiele lat temu pani ojciec, Gino, znał moją matkę. Znowu na niego spojrzęła. Był uderzająco przystojny.

Miał gęste, mocno kręcone włosy, mlecznoczekoladową skórę i głębokie, zielone oczy.

— Naprawdę?

619

— W latach trzydziestych pani ojciec był właścicielem nocnego klubu „Clemmies”.

— Zgadza się.

— Otóż...

— Lucky! — Na końcu chodnika stał Costa i rozpaczliwie do niej machał. Odmachała mu zaintrygowana, skąd wiedział o jej przyjeździe.

— To mój wujek — wyjaśniła. — Miło... znowu pana widzieć. Niech pan na siebie uważa.

Czy to tylko gra wyobraźni, czy w jej pożegnalnym uśmiechu dostrzegł... coś ze swojej twarzy?

Obserwował ją, dopóki nie zniknęła mu z oczu, i teraz wiedział już na

pewno, że musi dociec, kto jest jego ojcem.

W hotelowym pokoju Flasha walały się narkotyki, a Olympia szybowiała w niebiańskich przestworzach. Nocą śmignęli znajomymi szlakami starych, dobrych czasów i już nigdy nie chciała go porzucać. Przestał być nawróconym heroinis-tą — od jakiegoś czasu znowu się szprycował — i na widok Olympii Stanislopoulos w „Studio 54” zatańczyły mu przed oczyma dolarowe znaki.

Rzecz w tym, że był kompletnie spłukany, że nie miał ani pracy, ani komarunku. Członkowie jego zespołu nie chcieli mieć z nim nic wspólnego, a jego nastoletnia żona wyrzuciła go z domu.

Olympia pojawiła się w odpowiednim momencie.

Ї Olympią czadowo dawało się w żyłę.

Olympia mogła kupić mu wszystko, czego tylko zapragnął.

Zaczęli od niuchania koki, potem przerwali się na jej palenie, by skończyć na mieszaninie koki i heroiny.

Była to długa noc, przerywana tylko odwiedzinami handlarzy, którzy przychodzili i wychodzili na każde wezwanie Flasha, oferując najprzeróżniejszy towar.

Levine, eks-markietanka zespołu i handlarka po odwyku, obsłużyła szczęśliwą parę o szóstej rano.

— Wróc za kilka godzin — polecił Flash. — I przynieś

620

wszystko, co tam masz. Wyłącznie towar pierwszej jakości, rzecz jasna.

Levine obiecała przyjść.

Natomiast Flash obiecał, że jeśli Lavine przyniesie to, o co prosił, być może zabrzdąka coś dla niej na gitarze.

— Ekstra! — wykrzyknęła Levine. Olympia tylko się uśmiechnęła. Levine wróciła kwadrans po dziesiątej rano z zestawem najprzeróżniejszych prochów. Przedtem wstąpiła do swego mieszkania i zabrała mały magnetofon Sony. Skoro Flash miał grać, musiała to uwiecznić na taśnie. Tak jest!

Hotel był spelunkowaty, ale wygodny, i Flash lubił cygańską atmosferę, jaka tam panowała.

Levine zapukała, następnie otworzyła drzwi kluczem, który dostała od Flasha.

Przerażona spojrzała, odwróciła się i wybiegła.

126

Santino Bonnatti krążył po jednopokojowym mieszkanku Tima Wealtha.

— Co za nora — mruknął, chwytając oprawioną w ramki fotografię Tima i roztrzaskując ją ze złością o podłogę.

— Kce do domu! — krzyknął Roberto, mocno przywierając do Brigitte. Tim próbował wstać, ale silnoręki Bonnattiego przydusił go do podłogi ciężkim buciorem.

— Kce do domu! — wrzasnął malec. Santino obrzucił go ponurym spojrzeniem.

— Zamknij się, do kurwy nędzy.

Brigitte zadygotała. Ona też chciała wrócić do domu. Nie miała pojęcia, co się tu działo, ale bez względu na to, o co tym ludziom chodziło, była przerażona.

— Tim, zabieram Bobby'ego do domu — wykrztusiła drżącym głosem i, krok za krokiem, nerwowo ruszyła do drzwi.

Tim zobaczył, jak sprzed nosa ucieka mu milion dolarów.

Zobaczył też mnóstwo innych kłopotów, jakie czekały go, gdyby nie zdołał temu zapobiec. Jeden z pomagierów Bonnattiego blokował drzwi.

— Puść ich — rozkazał Santino. — Tylko nie biegnijcie po pomoc, bo twój mały braciszek straci rękę.

— Nigdzie nie pobiegniemy — odrzekła z wdzięcznością Brigitte i mocno ścisnęła Roberta za rączkę. — Chodź, Bobby.

Gangster cofnął się od drzwi. Santino podszedł do Tima.

— Piękny chłoptaş i zasrany aktorzyzna — prychnął. — Naprawdę myślałeś, że możesz bezkarnie rznąć moją babę?

Brigitte wypchnęła Roberta z mieszkania.

— Naprawdę tak myślałeś? — mówił dalej szczerze zdumiony Santino.

— Bo jeśli tak, to jesteś jeszcze większym kutasem, niż myślałem. —

Wypolerowanym na połysk czubkiem włoskiego buta kopnął go w szyję.

Tim zaczął się dusić.

— Giry ci, kurwa, połamię i łapy. Na jakiś czas wypadniesz z obiegu, bo zrobię ci miazgę z tego pięknego ryła.

— Nie, mogę ci zapłacić... — wycharczał Tim, chwytając się ostatniej szansy na przeżycie. Lepiej się z nim podzielić, niż zostać z niczym. —

Jeśli ściągniesz tu te dzieciaki, podzielę się z tobą milionem baksów.

Bonnatti dźgnął go butem w szyję.

— O czym ty, kurwa, gadasz?

— To wyjątkowe dzieciaki — wychrypiał, dławiąc się Tim. — Są z rodziny Stanislopoulosów. Chłopak dziedziczy całą fortunę. Jego matką jest Lucky Santangelo, a jego ojcem był Dimitri Stanislopoulos. Nagrałem przekręt na milion zielonych.

Paciorkowate oczy Santina gorzały.

— Ty co? — warknął. — Chcesz mnie zabuksować?

— Gdzież bym śmiał — odrzekł zdesperowany Tim.

— Fakt, chyba byś nie śmiał... — myślał głośno Bonnatti. Dał znak jednemu z pomagierów. — Sprowadź ich z powrotem, Czarny. Szybko.

622

Czarny wypadł z mieszkania.

Tim potarł szyję, gdzie narastała szkarłatna gula.

— Mogę wstać?

Santino go nie słuchał. Santino wspominał.

Żadnej zemsty, he? To oni tak myśleli. Wszyscy. Nawet ten zasrany tchórz Carlo. Ale teraz... mając tego dzieciaka... jej dzieciaka...

Jezu Chryste! Toż to manna z nieba.

127

W drodze do domu w Bel Air Costa opowiedział jej całą historię.

Słuchając, zbladła. I milczała, tylko jej czarne oczy błyszczały z wściekłości.

— Gdzie Gino? — rzuciła, gdy skończył.

— Nie wiem. Nagrał na sekretarce wiadomość, że nie wróci na noc, a rano nie zadzwonił.

— Ma tu jakąś przyjaciółkę?

— Nic o tym nie wiem. — Zawahał się. — Wczoraj na lunchu spotkaliśmy Paige Wheeler. Nie myślisz chyba, że...

— Zadzwoń do niej do domu i do firmy.

— Dobry pomysł.

Lucky mówiła szybko i konkretnie, choć spalało ją przerażenie i frustracja.

Zdarzyło się coś, czego zawsze się bała, i nie miała na to żadnego wpływu.
— Sprawdzaliście w przedsiębiorstwach taksówkowych? Dowiedzieliście się, który kierowca zabrał dzieci i dokąd je zawiózł?

Costa pokręcił głową.

— Nie — odrzekł zakłopotany. Dlaczego sam o tym nie pomyślał?

Nie chciała na niego patrzeć. Był tylko starym, zmęczonym człowiekiem, który nie wiedział, co robić. Jak mogła go za to winić?

Zerknęła na zegarek. Dochodziło południe.

— Boże, Costa! — Nie wytrzymała, wybuchła. — Dlaczego natychmiast do mnie nie zadzwoniłeś? I jak to się stało, że nie zaalarmowałeś Matta?

Przecież wiesz, że

623

możemy mu ufać. Powinniśmy byli zacząć gromadzić pieniądze w chwili, gdy Alice otrzymała wiadomość o porwaniu.

Spuścił głowę.

— Wiem. Źle oceniłem sytuację. Miałaś przylecieć tak czy inaczej, więc pomyślałem sobie, że... — Mówił coraz ciszej, coraz żałośniej, w końcu umilkł.

Nie krzycz na niego, przestrzegala siebie w duchu. Zachowaj spokój.

Opracuj plan działania. Robertowi nic nie będzie. Jest z Brigitte. Brigitte się nim zaopiekuje.

Brigitte. Jak ona mogła wyjść z domu z małym? I dlaczego Costa natychmiast nie zadzwonił do taksiarzy?

O Boże! Gdzie Gino? Gino od razu by się wszystkim zajął.

— Skontaktuję się z Boogiem — myślała głośno. — Gotówkę zbiorę w Vegas i wyczarteruję samolot, żeby Boogie ją tu przywiózł. Jak tylko

przyjedziemy na miejsce, muszę do kogoś zadzwonić i poprosić go o przysługę.

W domu czekała Alice z troskliwym Claudiem i Cee Cee z zaczerwienionymi oczyma.

— Kto to jest? — rzuciła Lucky, patrząc prosto na karła.

— Claudio, dżentelmen i przyjaciel — odrzekła roztrzęsiona Alice. — Nie wiem, co bym bez niego zrobiła.

Lucky natychmiast uznała, że trzeba go przeświecić. Nie wiadomo, kto był w to zamieszany. Porwanie mogła zorganizować choćby Alice z pomocą swego małego przyjaciela i kilku wspólników z zewnątrz. Czemu nie?

— Czy ktoś skontaktował się z Olympią? — spytała.

— Nie ma jej tam — odrzekł szybko Costa. — Zostawiłem kilka wiadomości.

— A Lennie? Jego też nie ma?

— Najwyraźniej. Pokojówka twierdzi, że się wyprowadził. Nie znają jego aktualnego numeru.

Lucky krążyła niespokojnie po salonie.

— Muszę zostać sama — powiedziała.

Wyszli, a ona usiadła przy telefonie, żeby pomyśleć. Po chwili wykręciła domowy numer starego wspólnika Giną.

— Mówi Lucky Santangelo — zaczęła ostrożnie. — Dzwonię do pana w związku z przysługą, którą jest pan winien mojemu ojcu. Potrzebuję samochodu z doświad-

— A co ja, twoim zdaniem, robię, do diabła? — Zawiesiła głos i posłała

mu znaczące spojrzenie. — Jestem mężatką, Gino.

Spojrzał jej prosto w oczy.

— No i co z tego?

— To, że nie powinnam była zostawać z tobą nawet na noc, nie mówiąc już o wspólnym wyjeździe na rozpustny weekend.

Trawił to chwilę i odrzekł:

— A więc tylko tyle dla ciebie znaczę, hę? Traktujesz mnie jak klienta na zbereźny weekend. I jak tu spuścić się na kobietę?

— Och, spuszczaaj się, spuszczaaj!

— Masz obrotny język.

— Jakbyś tego nie lubił!

— To co? Jedziemy czy nie?

— Chyba mnie namówiłeś.

Lucky chodziła nerwowo po gabinecie Lenniego. Była w jego domu, w jego pokoju, pośród jego rzeczy — dziwne uczucie. Podniosła oprawiony w skórę scenariusz i spojrzała nań niewidzącymi oczyma.

Pomyślała o swoim synku. Roberto. Był taki silny, taki ciekawy życia, taki energiczny. Taki żywy.

Jeśli ten człowiek choćby go dotknie...

Zabije kanalię.

Już to kiedyś zrobiła.

Do gabinetu weszła nieśmiało Cee Cee i zawiadomiła ją o przybyciu taksówkarza, którego Lucky namierzyła dwoma telefonami.

— Wprowadź go.

Do pokoju wszedł smagły mężczyzna o byczym karku i bulwiastym nosie.

Miał na sobie komiczne szorty i hawajską koszulę.

Lucky pomachała mu studolarowym banknotem.

— Chcę wiedzieć wszystko, co pamięta pan na temat dziewczyny i małego chłopca, których zabrał pan sprzed tego domu wczoraj po południu.

626

Jego oczy przylgnęły do banknotu jak przyklejone.

— Zabrałem ich o wpół do piątej — odrzekł, oblizując mięsiste wargi. —

A wysadziłem ich na rogu Fairfax i bulwaru, dokładnie przed apteką.

Pamiętam, pomyślałem sobie wtedy, że trochę nie pasują do tej okolicy. To była ładna dziewczyna.

— Co się zdarzyło po tym, jak wysiedli?

— Rozglądała się, jakby na kogoś czekała.

— Czy ktoś do niej podszedł?

— W tym podkoszulku wyglądała tak wystrzałowco, że zaczepiał ją każdy facet.

— Ten podkoszulek... jakiego był koloru?

— Był czerwony i obcisły, i miał jakiś napis...

— Jaki? Zrobił minę.

— Pamięć to ja mam, ale nie aż tak dobrą.

— A ten chłopczyk? Był spokojny czy robił wrażenie zdenerwowanego?

— Wesolutki był. Cały czas nawijał o lodach.

— Coś jeszcze?

— Chyba poszła z jakimś gościem, ale nie jestem tego pewny. Zapaliło się zielone światło i skręciłem za róg.

— Jak ten człowiek wyglądał? Taksówkarz wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Młody, szczupły. Tylko zerknąłem. Podała mu pieniądze.

Obejrzał banknot pod światło.

— Jest prawdziwy — zapewniła.

— Wiem, tylko sprawdzam. Z nawyku.

— Rozpoznałby pan mężczyznę, z którym odeszli, gdyby go pan zobaczył?

— Nie, na pewno nie.

— Dziękuję panu.

— To ja dziękuję. To najłatwiejsze pieniądze, jakie kiedykolwiek zarobiłem.

Niewiele się dowiedziała. Ale jedno było pewne: dokądkolwiek poszli, poszli tam z własnej woli. Nie porwano ich z ulicy.

Lucky pomyślała o Brigitte i o znamienych słowach

627

taksówkarza. Wszyscy traktowali ją jak dziecko — wszyscy łącznie z nią.

Tymczasem Brigitte wyglądała jak kobieta, w dodatku kobieta bardzo pociągająca. Może uwiódł ją jakiś lubieżnik z rozbuchanymi ambicjami...

Szybko wyszła z gabinetu. Na korytarzu krążyła Cee Cee.

— Gdzie jest pokój Brigitte?

Cee Cee zaprowadziła ją na górę. W królestwie panny Stanislopoulos panował bałagan, jak to w pokoju nastolatki.

Lucky przystanąła w progu, patrząc i usiłując sobie przypomnieć, gdzie chowała swoje skarby, gdy sama była nastolatką.

Pod materacem. Nic. Za obrazem. Nic. Pod stertą czasopism. Bingo! Mały, kwadratowy notesik z napisem MÓJ PAMIĘTNIK na okładce.

Otworzyła go i spomiędzy kartek wysypały się polaroidowe zdjęcia.

Przejrzała je szybko i wiedziała już na pewno, że przecucie ją nie myliło.

Brigette ktoś uwiódł. I to jak...

128

Wielkolud nachylił się i chwycił Roberta, zanim Brigitte mogła cokolwiek zrobić.

— Pan Bonnatti chce się z wami widzieć — warknął. Roberto próbował się wyszarpnąć, ale na próżno. Nikt

na Hollywood Boulevard nie zwrócił uwagi na blond nastolatkę i na osiłka z wrzeszczącym chłopczykiem pod pachą. Brigitte wiedziała, że mogłaby zaryzykować i dać nogę, ale zostawić Bobby'ego? Wykluczone.

— Kto to jest pan Bonnatti? — spytała odważnie.

— Nie twoja sprawa — odrzekł wielkolud. — Każ dzieciakowi się zamknąć i chodźmy.

Powłócząc nogami, wróciła za nimi do mieszkania Tima. Tim siedział na kozetce. Był blady jak ściana, ale przynajmniej nie leżał już na podłodze z czyimś butem na gardle.

— Eee... Brigitte — powiedział spiętym głosem, wskazując Santina. — To mój przyjaciel. Miał do mnie... miał do mnie małe pretensje o pieniądze, które byłem mu winien. Ale wszystko jest już w porządku.

628

Silnoręki Bonnattiego postawił Roberta na podłodze, a ten natychmiast kopnął go w goleń. Santino uśmiechnął się promiennie.

— Przepraszam, że was zdenerwowałem. Po prostu wyjaśniliśmy sobie kilka spraw.

Brigette spojrzała na Tima. Coś tu nie grało, była tego pewna.

— Chcę odprowadzić Bobby'ego do domu — powiedziała drżącym głosem.

Nie patrzył jej w oczy.

— Nie możesz. Jeszcze nie teraz. Przecież wszystko sobie zaplanowaliśmy.

— Będę waszym współnikiem w tym małym szwindel-ku — wtrącił łagodnie Bonnatti.

Nie cierpiała go. Pachniał mdłosłodkim płynem po goleniu i już na sam jego widok cierpła jej skóra.

— Chyba już nie chcę tego robić — odrzekła niespokojnie.

Santino uśmiechnął się lubieżnie.

— Nie masz wyboru, kurczaczku.

— Kcę do domu. Kcę do domu — zaintonował Roberto, podskakując.

Bonnatti podszedł do Brigitte, chwycił ją za podbródek i zadarł jej głowę.

— Słodziutkie toto i młodziutkie... — wymruczał. — Chciałabyś mnie uszczęśliwić?

Ogarnęła ją panika.

— Niech mnie pan nie dotyka — ostrzegła, cofając się o krok.

— Bo co? — Szybkim ruchem przyszpilił jej ręce do ściany, zmiażdżył jej wargi swymi mięsistymi wargami i wepchnął jej do ust swój gruby jęzor.

Zadławiła się i przeraźliwie krzyknęła, próbując się uwolnić.

Santino z całej siły trzasnął ją w twarz.

— Zamknij się, głupia mewko! — wrzasnął.

Brigitte upadła na podłogę i zaczęła szlochać. Roberto podbiegł do niej i przykucnął, żeby ją pocieszyć.

Tim wziął głęboki oddech. Życie nie było łatwe. Nie

powstrzymać.

Zeko nie spuszczał jej z oka.

— Jadę po zakupy — oświadczyła wyniośle Eden.

— Pan Bonnatti powiedział, że nie może pani wychodzić z domu.

— Pan Bonnatti może sobie naskoczyć. Wzruszył ramionami.

— To on wydaje polecenia, ja je tylko wykonuję. Eden spróbowała innej taktyki. Może uda jej się nabrać

kretyna na współczucie.

— Spójrz tylko na moją twarz, Zeko — powiedziała żałośnie. — Jest cała pokiereszowana. Potrzebuję specjalnych kremów i toników, żeby doprowadzić ją do porządku. Proszę, zabierz mnie do miasta. Nic mu nie powiem.

Zeko rozważył to i odrzucił jej prośbę. Wiedział, że gdy szef wydaje konkretny rozkaz, lepiej ten rozkaz wykonać.

— Ty pieprzony lizusie! — wrzasnęła Eden, zdawszy sobie sprawę, że go nie nabierze. — Nic dziwnego, że jesteś tylko głupim ciecieniem!

Weszła do sypialni, zatrzasnęła drzwi i spróbowała wymyślić jakiś sposób na ucieczkę. Santino zamknął ją tu jak w więzieniu. Któż wie, co jeszcze dla niej szykował. Słyszała o dziewczynach gangsterów, które ekspediowano za granicę jako towar przechodzony, które zsyłano do burdeli. Santino opowiadał jej o pewnej kobiecie, która powiesiła się w meksykańskim domu rozpusty.

Eden zadrżała. Dom był naszpikowany czujnikami urządzeń alarmowych. Nie mogła przejść nawet frontowymi drzwiami, żeby nie zasygnalizowały tego dzwonki. Zresztą nawet gdyby udało jej się wyślizgnąć, uliczka Blue Jay Way biegła pośród wysokich wzgórz Hollywood Hills, a klucz do

samochoodu wisiał na szyi Zeka.

Chwyciła lampę i do mdłości sfrustrowana, cisnęła nią w ścianę.

I nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Nader błyskotliwy pomysł.

Tak, był ktoś, kto mógłby ją ocalić. Jedna, jedyna osoba...

630

129

— Paige Wheeler jest w San Francisco — powiedział znużony Costa. —

Nikt nie wie, gdzie się zatrzymała. Dzwoniłem do sześciu najlepszych hoteli. Nie ma jej tam. Ani jej, ani Giną.

Lucky podniosła głowę. Właśnie zaczęła czytać pamiętnik Brigitte.

— Może wcale tam nie pojechała. Całkiem możliwe, że zaszyła się z Ginem gdzieś tutaj. Każ Alice i Cee Cee to sprawdzić. Niech zaczną od hoteli „Beverly Hills” i „Wil-shire”.

Costa kiwnął głową.

— Dowiedziałas się czegoś?

— Dam ci znać.

Pismo Brigitte było prawie nieczytelne, a w zapiskach panował chaos.

Lucky zaczęła od ostatniej strony. Naskro-bana na niej notatka musiała powstać w przededniu porwania.

KOLACJA WIADOMO Z KIM!!! W TRADER VICS. URŻNĘŁAM SIĘ.
POTEM POJECHALIŚMY DO JEGO MIESZKANIA W HOLLYWOOD.
ROBILIŚMY WSZYSTKO!! WSZYSTKO!!!! DAŁAM MU KOKEĘ W
PREZENCIE. UCIESZYŁ SIĘ. PSTRYKALIŚMY ŚWIŃSKIE
ZDJĘCIA, TAK DLA ZABAWY! SZKODA, ŻE NIE MAM JEGO
FOTEK. NASTĘPNYM RAZEM GO POPROSZĘ. JEST
NIESAMOWITY! NIE MOGĘ W TO UWIERZYĆ! PRZERAŻENIE

MNIE OGARNIA NA MYŚL O WYJEŹDZIE. SPĘDZIŁAM U NIEGO CAŁĄ NOC. POWIEDZIAŁAM ALICE, ŻE BYŁAM U PRZYJACIÓŁKI. ALICE JEST TAKA ŁATWOWIERNNA. KOCHAM GO. I MYŚLĘ, ŻE ON KOCHA MNIE!!!!

Zaraz potem trafiła w dziesiątkę. Uroczyste otwarcie „Santangelo” w Atlantic City.

FANTASTYCZNY, PORAŻAJĄCY WIECZÓR!!! POZNAŁAM TIMA WEALTHA! TEGO TIMA WEAL-THA! W RZECZYWISTOŚCI WYGLĄDA JESZCZE LEPIEJ NIŻ NA EKRANIE. CO ZA CIAŁO! NARESZCIE

631

TO ZROBIŁAM, I TO Z NIM!!!! NIE MOGĘ W TO UWIERZYĆ. JEST TAKI CZADOWY, TAKI BŁYSKOTLIWY. CZYSTY ODLÓT. KOCHAM GO, TO OCZYWISTE. POWIEDZIAŁAM MU, ŻE MAM 18 LAT!!!

Lucky rzuciła pamiętnik i zerwała się na równe nogi. Kto to jest Tim Wealth, do diabła?!

Chwyciła słuchawkę i zadzwoniła do Matta w Atlantic City.

— Wygrzeb listę gości obecnych na otwarciu i sprawdź, czy jest na niej Tim Wealth.

Matt był człowiekiem bardzo zorganizowanym, trzeba mu to oddać. Kilka chwil później miał listę przed sobą.

— Nie ma tu żadnego Tima Wealtha.

— Psiakrew! A może wiesz, kto to jest?

— Nie mam zielonego pojęcia. Dlaczego? Co się stało?

— Nie mogę teraz o tym rozmawiać.

— Może Jess go zna. Zaczekaj, zaraz cię przełączę. Lucky zerknęła na zegarek. Dochodziło wpół do drugiej.

Niedługo będzie musiała wyjechać na lotnisko po Boogiego z pieniędzmi. Odezwała się Jess.

— Tim Wealth zagrał w jednym filmie cztery lata temu. To dobry aktor i nie wiem, dlaczego od tamtej pory nie zaproponowano mu żadnej roli. Jakby popadł w zapomnienie.

— Ale był na przyjęciu z okazji otwarcia hotelu, prawda?

— Nie widziałam go.

— Jess, poproś Matta, żeby natychmiast zdobył jego aktualny adres i żeby do mnie zadzwonił. To pilne. Czekam w domu Lenniego.

— Coś takiego! Widziałam się z Lenniem wczoraj wieczorem w Los Angeles. Ani słowem nie wspomniał, że się z tobą...

— Lennie jest w Los Angeles? — przerwała jej zaskoczona Lucky.

— Jak to? Nie ma go z tobą?

— Nie. Dzwonię z jego domu, ponieważ... Słuchaj, nie mogę wdawać się w szczegóły. Gdzie można go złapać?

632

Jess była zdumiona. Co się tam działo? Nic z tego nie rozumiała.

— Mieszka w swojej starej kawalerce. — Podała Lucky numer.

Do pokoju wszedł Costa.

— Gino wynajął apartament w „Beverly Wilshire”. Wyprowadził się godzinę temu.

— Cholera jasna! — zaklęła rozzłoszczona Lucky.

— Co? — spytała Jess.

— Nic, nic, nie do ciebie. Zdobądźcie dla mnie ten adres. Odłożyła

słuchawkę. Costa robił wrażenie zmęczonego.

— Może pojedziesz do szpitala odwiedzić Rię i dziecko? —

zapropnowała. — Nic tu po tobie.

— Pojadę z tobą na lotnisko — odrzekł.

— Nigdzie nie pojedziesz.

— Owszem, pojadę.

— Idź zobaczyć dziecko, Costa. Teraz to już tylko kwestia zgrania w czasie. Chyba już wiem, kto porwał dzieci.

— I mówisz to tak spokojnie?! Kto?

— Za chwilę będę miała jego adres.

Zamknęła oczy. W głowie jej łomotało. Przeżywała koszmar swego życia.

Pomyślała o Lenniem i chciała do niego zadzwonić. Ale po co? Jak mógł jej pomóc? Tylko by przeszkadzał. Nie, musiała to zrobić po swojemu.

Bez żadnej pomocy z zewnątrz. Nawet bez pomocy Lenniego.

Zadzwonił telefon.

Chwyciła słuchawkę.

— Nie wiem, jak ja to robię, ale zawsze mi się udaje — rzekł zadowolony z siebie Matt i podał jej aktualny adres Tima Wealtha.

130

Przeciągnął się. Ziewnął. Wystarczy jak na jeden dzień. Nagryzmolił trzydzieści stron. Nieźle. Znowu mu żarło — nowy scenariusz powstawał łatwo i szybko.

Może powinien zadzwonić do Alice. Przekazywania dobrych wieści nie można odkładać w nieskończoność. Leniwie

633

wyciągnął rękę i w chwili, gdy zawisła nad słuchawką, zadzwonił telefon.

To mogła być tylko Jess z ploteczkami na temat podróży. Poleciała do Nowego Jorku prywatnym odrzutowcem rozpustnego producenta płyt, który zmieniał chłopców, jak zmienia się skarpetki.

— Sie masz. Miałaś dobry lot? Ilu stewardów zaliczyłaś? — spytał wesoło.

— Skąd wiedziałeś, że to ja?

— Ponieważ jesteś jedyną osobą, która wie, gdzie mnie szukać — wyjaśnił cierpliwie.

— Już nie jedyną. Lennie jęknął.

— Komu powiedziałaś?

— Lucky — odrzekła z uśmiechem w głosie. Próbował udawać kompletnie nie zainteresowanego.

— Taa?

— Pomyślałam sobie, że nie będziesz miał nic przeciwko temu.

Nie wiedział, czy ma coś przeciwko temu czy nie. Chciał ją zobaczyć, i to rozpaczliwie. Z drugiej strony nie był pewny, czy nie jest na to za wcześnie. Oboje potrzebowali czasu na przystosowanie się do nowej sytuacji.

— Dlaczego to zrobiłaś?

— Lucky jest teraz w twoim domu i...

— W domu Olympii — poprawił.

— Nie obchodzi mnie w czym, ważne, że tam jest.

— No i?

— No i chyba jest zaniepokojona.

— Możesz mówić jaśniej?

— Zadzwoń do niej.

— Jesteś bardzo pomocna.

— Zadzwoń.

— Odchrzań się.

Odłożył słuchawkę i podjął decyzję. Nie będzie dzwonił — pojedzie tam.

Pragnął się z nią zobaczyć bardziej niż czegokolwiek innego na świecie.

634

Brigette wiedziała, że stało się coś strasznego. Że wpadła z Robertem w okrutną pułapkę i że winę za to ponosi wyłącznie ona. Jej ciałem wstrząsały dreszcze strachu, gdy ściśnięci między dwoma gangsterami, jechali dokądś samochodem Bonnattiego. Santino Bonnatti siedział z przodu, obok szofera o kamiennej twarzy. Przechylił się nad fotelem i przymilnie zagadał:

— Mam w związku z wami pewne plany, dzieciaki. Będziemy robić razem rzeczy, które, waszym zdaniem, robią tylko duzi chłopcy i duże dziewczynki. — Uśmiechnął się lubieżnie do Brigitte. — Jeśli myślisz, że ten gówniany aktorzyzna to tęgi ogier, poczekaj tylko, aż zrobimy to razem, ty i ja, kurczaczku.

Brigette zadygotała i przytuliła się mocno do Roberta. Po raz pierwszy w życiu naprawdę się bała, i to nie tylko o siebie. Bała się również o Bobby'ego, który był przecież małym dzieckiem. I o Tima. Co oni z nim zrobili? Wyprowadzono ich z mieszkania i przez kwadrans czekali w samochodzie. Santino wrócił sam, bez Tima.

— Przestań chlupać — warknął Bonnatti do Roberta.

— Gdzie jest Tim? — spytała bojaźliwie.

— Dobry był w te klocki, pysiu? — szydził Santino. — Dobrze kiziorzył? Pokażę ci, jak się kiziorzy, maleńka. Pokażę wam obojgu.

Została im chwila czasu na wstąpienie pod adres, który zdobył dla nich Matt, a zaraz potem mieli pędzić na lotnisko. Okazało się, że jest to dom na Laurel Canyon.

Stary współpracownik Giną „wypożyczył” jej dwóch młodych ludzi, którzy z wyglądu nie rzucali się w oczy. Ale robili wrażenie bystrych i kompetentnych. Przedstawili się jako Jaskiniowiec i Strażnik. Trzeci był kierowcą i prowadził lincolna, rocznik tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt, wyposażonego w telefon.

Wprowadzała ich w szczegóły akcji, a oni tylko kiwali głową, jakby uczestniczyli w tego rodzaju przedsięwzięciach całe życie.

635

Domu na Laurel Canyon strzegła brama i elektryczny system otwierania drzwi. Służący, który odezwał się przez domofon, bez problemów wpuścił ich do środka po trzech prostych słowach: „Dostawa wody źródlanej”. Podjechali od zaplecza i zaczęli, aż otworzą się drzwi. Wówczas Jaskiniowiec i Strażnik minęli oszołomionego dozorcę i mignawszy mu przed oczyma fałszywymi legitymacjami służbowymi FBI, weszli do środka.

Za nimi Lucky. Podobał jej się styl ich pracy.

Sprawdzili dom szybko i metodycznie. Na parterze nie było nikogo. Na pierwszym piętrze, pośrodku szkarłatnego łóżka wodnego siedział właściciel domu, oglądając ckliwy serial telewizyjny i wydmuchując nos.
— Ratuj, dobry Boże! — wybełkotał, gdy wpadli do sypialni.

Dowodzenie przejęła Lucky.

— Wydział zwalczania handlu narkotykami — rzuciła, robiąc krok

naprzód. — Mamy nakaz aresztowania Tima Wealtha.

Mężczyzna zatrzepotał palcami o starannie wymanicuro-wanych paznokciach.

— Toż to scena z jednego z moich filmów! Nie róbcie mi krzywdy, spełnię każde wasze życzenie.

— Gdzie jest Tim Wealth? — warknęła złowieszczo Lucky.

— Nie widziałem go od tygodni. Wyprowadził się stąd z moimi dwiema ulubionymi walizkami od Gucciego, ośmiuset dolarami, trzema aparatami fotograficznymi i kilkoma szalami z kaszmiru. Aktorzy! Nigdy więcej!

— Zna pan jego nowy adres? — spytała głosem nie uznającym sprzeciwu.

— Nie znam i nie chcę go znać. — Poruszył się niespokojnie. — Na pewno jesteście z wydziału zwalczania handlu narkotykami? Pani twarz wydaje mi się znajoma. — Zmrużył oczy. — Chyba muszę zobaczyć ten wasz nakaz...

— Posłuchaj, musimy tego człowieka znaleźć — odrzekła ostro. — Jeśli nie powiesz nam, jak go można namierzyć, zgarniemy cię i wsadzimy jako współnika. Czy to jasne?

636

— Spytajcie jego agenta, Zacka Schaeffera. — Przyglądał się jej uważnie, szperając w pamięci, i nagle go olśniło. — Czy to jakiś absurdalny żart?

— spytał zirytowany. — Pani jest tą kobietą z hotelu „Santangelo” w Atlantic City. Byłem na otwarciu... — Niezdarnie wstał z łóżka, cały lśniący w jaskrawoszkarłatnej piżamie. — Boże! To jeden z tych programów telewizyjnych, tak? Gdzie są kamery? O Chryste! Robicie ze mnie pośmiewisko. Odmawiam, nie udzielam pozwolenia, nigdy tego nie wykorzystacie. Zaskarżę was, ja was...

Jego słowa płynęły za nimi, gdy wybiegali z domu.

W drodze do Bel Air Lennie zastanawiał się, co powie. Nie mogło to być nic nachalnego, ale też i nic zbyt obojętnego. „Cześć, rzuciłem Olympię”. Nie, to zbyt osobiste. A może... „Tak. Nareszcie zrobiłem, co trzeba”. Albo jeszcze lepiej: „Lucky, co ty tu robisz? Nie wiedziałaś, że Olym-pia i ja jesteśmy w separacji?”

Chryste! Rozterki szesnastolatka. Dlaczego nie mógł po prostu wyznać jej tego, co czuje?

Wszedł do domu i natychmiast spostrzegł, że coś jest nie tak. Na kozetce w salonie leżała Alice, blada i omdlewająca. W ręku ścisnęła szklanę bursztynowego płynu, a siedzący obok niej liliput nie odrywał oczu od mrugającego ekranu telewizyjnego.

— Co się tu dzieje? — Lennie ogarnął wzrokiem całą scenę i nie spodobało mu się to, co zobaczył. Wyraźnie zakazał matce sprowadzania do domu kogokolwiek.

— Lennie! Mój synu. — Alice zatrzepotała powiekami i usiadła, dramatycznie rozkładając ręce. — Porwano Bob-by'ego i Brigette.

Uprowadzono nasze dzieci.

132

Na podjeździe przed domem Bonnattich stały trzy samochody. Steven — dotarł na miejsce fordem wynajętym w agencji Hertz na lotnisku — zaparkował za obrzyd-

637

liwie żółtą toyotą. Zaraz po przylocie zatelefonował do Nowego Jorku i powiedziano mu, że Mary-Lou wciąż się trzyma. Gdy oznajmił, że musi natychmiast lecieć do Los Angeles, Carrie postanowiła zostać z rodziną

chorej w szpitalu.

— Po co tam jedziesz? — spytała zatroskana.

— Ponieważ prawo nie zawsze pozwala przetrwać.

— Nie rozumiem...

Wszystko jedno, rozumiała czy nie. Wiedział, co musi zrobić.

Wysiadł z samochodu i zadzwonił do drzwi.

Otworzyła sama Donatella Bonnatti. Santino od lat próbował przyuczyć ją do korzystania ze służących, ale Donatella nie lubiła, jak jej nadskakiwali — wołała zostać męczennicą i robić wszystko sama.

— Myślisz, że oni sprzątają? — utyskiwała zjadliwie. — Nie! To brudne świnię! Myślisz, że oni gotują? Ich makaron to gówno!

Tak więc podczas gdy Santino otaczał się ochroniarzami, Donatella wołała towarzystwo dwóch podstarzałych włoskich ciotek, które przychodziły do niej trzy razy w tygodniu i robiły wszystko po staremu.

Tego dnia Donatelli nie towarzyszył nikt. I chociaż była to sobota, po wyjściu Santina i dzieci pani Bonnatti postanowiła wyszorować do czysta podłogę w olbrzymiej kuchni.

Stała w drzwiach rozczochrana, z twarzą spoconą od ciężkiej pracy. Miała na sobie domową sukienkę w kwiatki, która zakrywała jej obfite kształty.

— Co pan chce? — spytała z wyraźnym obcym akcentem, mierząc Stevena wzrokiem.

Naturalnie wziął ją za służącą. Ścisnęła w rękę staromodną szczotkę do szorowania podłóg, na której się wspierała, świdrując go spojrzeniem przenikliwych sycylijskich oczu.

Mówił powoli i rozważnie.

— Muszę rozmawiać z Santinem Bonnattim. To bardzo pilna sprawa.

Donatella zacmoktała landrynką.

638

— Jest pan umówiony?

— Przyleciałem z Nowego Jorku. Jadę prosto z lotniska. Czy pan Bonnatti jest w domu?

Donatella nie wiedziała, że Santino robi interesy z czarnymi. Nic jej nigdy nie mówił. Wiedziała tylko, że jego tajemniczość czasami doprowadza ją do szału. Jako mąż nie powinien mieć przed nią sekretów, tymczasem on milczał jak grób.

— A o co panu chodzi? — spytała.

— Kim pani jest? Roześmiała się chrapliwie.

— Pan myśli, że jestem służącą, he? Wiem, wiem. — Wygładziła sukienkę. — W Beverly Hills nikt nie urabia sobie rąk robotą. Ja jestem pani Bonnatti.

Gino i Paige zrobili sobie postój na leniwy lunch przy nabrzeżnej autostradzie. Delektowali się świeżymi rakami i butelką wina. Delektowali się swoim towarzystwem.

Przez całe dorosłe życie Gino nigdy tak naprawdę nie związał się z mężatką. Oczywiście, miewał mężatki na jedną noc, chodził z nimi na przedpołudniowe seanse filmowe, i tak dalej. Kiedyś, dawno temu, w młodości, miał gorący romans z superwyrafinowaną Clementine Duke, żoną senatora Duke'a. Ale romans z Paige to zupełnie co innego. Gino był już stary, a dzięki Paige mógł nadal cieszyć się życiem. Potrafiła go rozśmieszyć i pragnął, żeby została z nim na stałe.

Po lunchu mimochodem poruszył ten temat.

— Myślałaś kiedykolwiek o odejściu od Rydera? Siedzieli przy stoliku pod oknem ze wspaniałym widokiem na ocean. Paige patrzyła w dal.

— Ryder mnie potrzebuje — odrzekła cicho. — Dzieci też.

— Bzdura!

— Nie, to prawda.

— Gdybyś zostawiła go choćby jutro, obesłoby go to tyle co wielbłądzie gówno. A twoje dzieci są już dorosłe.

Spojrzała na niego, spokojna i opanowana.

639

— Wielkie dzięki. Umiesz sprawić, że kobieta czuje się potrzebna.

— Daj spokój, dziecino. Chcę cię, pragnę. Właśnie próbuję ci to powiedzieć.

— Przecież mnie masz.

— Na jeden parszywy weekend.

— Może dłużej byśmy z sobą nie wytrzymali?

Nie mógł jej rozgryźć. Dlaczego ciągle stawiała okoniem? Wszystkie kobiety, które dotąd miewał, zawsze stawiały przed nim na baczność.

Może właśnie dlatego tak bardzo mu się podobała. Robiła to, co chciała i kiedy chciała.

— Chyba zadzwonię do domu — powiedział, wstając od stołu. — W przeciwnym razie gotowi są wezwać FBI.

Patrzyła za nim, gdy wychodził z restauracji. Miał styl, ten Gino, naprawdę miał styl...

133

Na widok Boogiego poczuła się bezpieczniej. W trudnych chwilach zawsze stał u jej boku i wiedziała, że może na nim polegać.

Sądząc z wyglądu — miał na sobie wypłowiałą wojskową panterkę, a na nogach zdarte adidas — jak zwykle siebie nie doceniał. Pod pachą dźwigał skórzaną torbę wypchaną pieniędzmi na okup. Spiesząc do samochodu, strzelał niebieskimi oczami na wszystkie strony.

Jeszcze raz opowiedziała mu wszystko, co wiedziała o sprawie.

— Myślisz, że powinniśmy zawiadomić policję? — spytała niespokojnie, nie całkiem pewna słuszności swej decyzji.

— Wykluczone — odrzekł. — Żadnej pomocy z zewnątrz. Cieszyła się, że przy niej jest. Ponieważ Gino zaginął, Boogie był jej jedynym wsparciem.

— Zrobimy tak — tłumaczyła. — Zostawimy pieniądze w Farmer's Market i będziemy się modlić, żeby zwrócili dzieci. Jaskiniowiec pójdzie za człowiekiem, który odbierze okup, i...

640

— Nie, ja pójdę — przerwał jej szybko Boogie. — Nikt nie umie robić tego lepiej ode mnie.

— Dobra. Będziemy mieli furgonetkę do inwigilacji elektronicznej wyposażoną w radiotelefon. Wszystko jest nagrane. — Machnęła mu przed nosem świstkiem papieru. — To aktualny adres człowieka, który, według mnie, jest w to zamieszany. Tim Wealth, bezrobotny aktor. Strażnik pojechał go sprawdzić. Zadzwoń, jak tylko się czegoś dowie. Boogie przyjrzał się jej uważnie.

— Jak to znosisz?

Chwilę milczała. Kiedy się w końcu odezwała, głos miała spięty, zarazem twardy jak stal.

— Nic mi nie będzie. Chcę tylko, żeby dzieci bezpiecznie wróciły do

domu. A kiedy wróca... — Oczy jej zhar-działy. — Skurwysyn, który je uprowadził, pożałuje, że się w ogóle urodził.

134

W salonie Bonnattich panowała nienaganna czystość, a każdy mebel był wypolerowany do oślepiającego połysku. Na podłokietnikach adamszkowej kozetki leżały plastikowe ochraniacze, na czarnym fortepianie w rogu stara koronkowa narzuta, a na klapie stały rodzinne fotografie w robionych na antyk ramkach.

Steven nie chciał usiąść. Nie przybył tu w celach towarzyskich.

— Pani Bonnatti — powiedział — pani mąż jest najpod-lejszą formą ludzkiego życia. — Cisnął na stolik czasopismo pornograficzne, które z sobą przywiózł. — Kobieta na okładce to moja narzeczona — wyjaśnił gniewnie. — A właściwie jest to twarz mojej narzeczonej, bo ciało należy do kogo innego.

— Precz z tym! Po co mi pan to pokazuje? — zapiszczała Donatella. — Ja nie chcę brudnych świństw w moim domu.

— Cieszę się, że to słyszę — odrzekł szorstko Steven. — Lecz pani mąż nie ma takich obiekcji. On to publikuje.

641

Podniósł czasopismo i otworzył je na rozkładówce przedstawiającej kobietę, która miała uchodzić za Mary-Lou.

— Niech pani spojrzy na te zdjęcia, pani Bonnatti. — Podsunął jej czasopismo. — To fałszywki. Rozumie pani? To fotomontaż! Twarz Mary-Lou połączono z ciałem innej kobiety!

— Nie chcę patrzeć na te świństwa — powtórzyła z uporem Donatella, żałując, że wpuściła obcego do domu. Owszem, miała nadzieję dowiedzieć

się czegoś o mężu, ale to ją nie interesowało.

— Przez te zdjęcia Mary-Lou próbowała się zabić — rzucił agresywnie Steven. — Próbowała się zabić przez pani zbrozonego, sadystycznego męża!

— Ja tam nic nie wiem — odrzekła naburmuszona.

— Nie? W takim razie nie sądzi pani, że najwyższa pora, żeby się pani czegoś dowiedziała? Na pani miejscu...

Zadzwoił telefon i Steven gwałtownie umilkł. Ciesząc się, że coś przerwało im rozmowę, Donatella pospieszyła do aparatu. Jeśli to Santino, każe mu natychmiast wracać. Na pewno będzie zły, że wpuściła do domu obcego, zwłaszcza czarnoskórego. Santino zawsze przestrzegał ją przed złodziejami i rabusiami, a nawet przed ryzykiem wychodzenia na ulicę. Przeklęty Santino. Jeśli naprawdę drukował te świństwa, nie wybaczy mu do końca życia. Tak, miał wydawnictwo, ale wydawali coś o komputerach i technice, sam jej to mówił.

Tylko czy... mogła mu zaufać? Nigdy się jej nie zwierzał. Wiedziała, że prowadzi jakieś brudne interesy, ale z biegiem lat przywykła do jego milczkowatości.

— Tylko nigdy nie przynoś nic do domu — przestrzegła go kiedyś. I Santino nigdy nic nie przynosił.

A tu masz. W jej domu wałała się pornografia, a ten czarnuch twierdził, że to dzieło Santina. Podniosła słuchawkę.

— Kto to? — krzyknęła. Odpowiedział jej matowy głos kobiety.

— Czy pani Donatella Bonnatti?

— Tak, tak — odrzekła niecierpliwie. — Kto mówi?

— Na Blue Jay Way w Hollywood Hills jest pewien dom, gdzie pani mąż uwił gniazdko dla swojej kochanki — szepnął głos.

— Co? Co pani mówi?

— Pani mąż ma kochankę. Przyjaciółkę. Dziewczynę do łóżkowych zabaw. — Głos wymamrotał dokładny adres domu i dodał: — Może zechce pani przyjechać i sprawdzić to osobiście?

Klik -^ kobieta odłożyła słuchawkę.

135

Kończąc pracę za kwadrans siódma wieczorem, Irlandka, pracująca jako pokojówka w nowojorskim hotelu, poskarżyła się kierownikowi nocnej zmiany.

— Psiakrew, Albert, przez cały dzień nie mogę wejść do czterysta dwudziestki piątki.

— Nic się nie martw — odrzekł długowłosy kierownik.

— Ja się nie martwię — odrzekła pogardliwie — ale w tej wielkiej szafie w łazience trzymam połowę swoich zapasów.

— Zabierzesz je jutro.

— Jeżeli do tego czasu on nie wykituje w swoim wyrze — prychnęła.

— Kto?

— Ten muzyk, Flash.

Kierownik nocnej zmiany zmarszczył nos. Właśnie wrócił z urlopu i nie miał zielonego pojęcia, że w ich hotelu mieszka legendarny Flash.

— Dlaczego miałby wykitować? — Doszedł do wniosku, że dziewczyna jest dziwaczką, mimo to postanowił poprawić jej humor.

— W tym hotelu to nie pierwszozna — prychnęła pokojówka. — A dzisiaj jest tam za cicho. Zwykle puszczej muzykę, ciągle ktoś wchodzi i

wychodzi...

— No to chodźmy zobaczyć — zaproponował kierownik z nadzieją, że pozna gwiazdora.

Pokojówka roześmiała się drwiąco.

— Proszę, proszę! Do nieboszczyka go ciągnie? A wstyd!

643

— To jak? Pójdziemy? — zachęcał, wychodząc zza kontuaru.

— Sam sobie idź — odburknęła. — Ja biegnę gotować mężowi kolację, bo nie lubi późno jadać.

Spiesznie odeszła, tymczasem uwagę kierownika zajęły telefony, które musiał przełączyć do numerów na górze. Załatwił, co trzeba, i doszedł do wniosku, że może jednak należałoby skorzystać z okazji i poznać słynnego Flasha osobiście. Wyjął z szuflady uniwersalny klucz i zostawił recepcję pod opieką zaćpanego Portorykańczyka, który pracował u nich jako portier. Sam też nie był świętoszkiem. Ale jak dotąd nigdy nie szedł na całość. Ot, brał najwyżej dwie tabletki methaqualonu, żeby przetrwać noc. Może Flash poczęstuje go czymś lepszym.

Sapiąc z podekscytowania, zadzwonił po zardzewiałą windę.

136

Dojechali do Farmer's Marketu z dwudziestominutowym zapasem. Obok sklepu, na parkingu CBS, stała furgonetka do inwigilacji elektronicznej, której zażądała Lucky. Za kierownicą furgonetki siedział były detektyw imieniem Dave.

— Okabluj i mnie, i Boogiego — poleciła Lucky. — Ja zostawię pieniądze, on siądzie facetowi na ogonie. Nie spuszczaaj go z oka i utrzymuj ze mną stały kontakt.

— Żaden problem — odrzekł Dave. Był wysoki i zręczny, a za tę robotę miał otrzymać wysokie wynagrodzenie.

Lucky żywiła nadzieję, że jest również bystry. Ludzi bystrych potrzebowała teraz bardziej niż czegokolwiek innego na świecie.

Santino był z natury człowiekiem podejrzliwym. I chociaż pracujący dla niego siepacze rzekomo darzyli go bezgraniczną lojalnością, nie ufał im za grosz. Poza tym odbiór miliona dolarów w gotówce to zbyt wielka pokusa. Dlatego postanowił zostać do końca akcji i osobiście dopilnować,

644

żeby gdzieś po drodze z torby nie wyparowało paręset tysięcy dolarów.

Czuł, że jeśli to, co mówił Tim Wealth, jest prawdą, całe przedsięwzięcie pójdzie jak z płatka.

Lucky Santangelo musiała szaleć z nerwów i rozpacz, co bardzo go cieszyło. Będzie musiała przejść przez jeszcze gorsze piekło, zanim zobaczy swego dzieciaka — jeśli kiedykolwiek go zobaczy.

Santino uśmiechnął się do siebie. Cóż za cudowny dzień. Nie ma zemsty słodszej niż zemsta długo oczekiwana.

Farmer's Market — wielki kompleks sklepów z upominkami na otwartym powietrzu, stoisk ze świecidełkami i zadaszonych sklepów z żywnością, które sprzedawały wszystko od mango poczynając, na włoskim salami kończąc — to prawdziwy raj dla turystów.

Księgarnia B.Daltona mieściła się dokładnie pośrodku kompleksu. Lucky powoli ruszyła w tamtym kierunku, niosąc skórzaną torbę z pieniędzmi na okup. Pozornie spokojna, kipiała zimnym gniewem i chciało jej się wyć z wściekłości i frustracji.

W księgarni panował duży ruch, interesy szły pełną parą. Rozejrzała się

czujnie w poszukiwaniu stoiska z literaturą na temat zdrowego żywienia. Tęga kobieta w białych szortach z poliesteru oglądała książkę z ćwiczeniami gimnastycznymi Jane Fondy, ale poza nią w pobliżu nie było nikogo.

Lucky spojrzała na zegarek. Za dwie czwarta.

Tęga kobieta odłożyła książkę i odeszła.

Lucky ponownie sprawdziła czas. Jeszcze minuta.

Zastanawiała się, gdzie jest Boogie, lecz nie martwiło jej to, że nigdzie go nie dostrzeże. Boogie potrafił wmieszać się w tłum i zniknąć.

Punkt czwarta.

Ostrożnie postawiła skórzaną torbę w kącie i wyszła z księgarni drugimi drzwiami. Gdy tylko znalazła się w pasażu, chciała instynktownie zawrócić i chwycić osobę, która odbierała okup. Ale nie, nie mogła tego zrobić. Musiała

645

czekać. Musiała sprawdzić, czy porywacze zwrócą dzieci. Czekać. Tylko czekać.

Resztą zajmie się Boogie. W torbie z pieniędzmi był ukryty elektroniczny mikronamiernik. Daleko im nie uciekną.

Do odebrania okupu Santino wybrał Czarnego, podczas gdy on sam czekał w samochodzie z Robertem, Brigitte i dwoma silnorękami. Zaparkowali przecnicę dalej, przed sklepem K-Mart. Czarny, olbrzym z zapadłymi policzkami, miał proste włosy i wiecznie naburmuszoną minę.

— Tylko zaraz wracaj — rozkazał Santino. Nachylił się i poklepał Brigitte po udzie.

Dziewczyna odsunęła się od niego.

— Nie możemy się z laleczką doczekać — wymlaskał lubieżnie Bonnatti.

— Prawda, kurczaczku? Prawda?

137

— Zwolnij — powiedziała Paige. — Zabijesz nas i nikomu się na nic nie przydasz.

— Chcesz poprowadzić?

— Szczerze mówiąc, chcę.

Gino zjechał na pobocze i zamienili się miejscami. Paige zapięła pas i kazała mu zrobić to samo. Posłuchał jej, choć niechętnie — ryzyko było bardziej w jego stylu.

Wprawnie włączyła się do ruchu na nabrzeżnej autostradzie. Od Los Angeles dzieliły ich jeszcze dwie godziny jazdy.

— Nigdy w życiu nie czułem się bardziej bezbronny — jęknął Gino. — Jak dopadnę skurwysyna, który porwał mojego wnuka, facet pożałuje, że się urodził.

— Nic nie mów — odrzekła Paige, jadąc jeszcze szybciej niż Gino, za to dużo pewniej. — Oszczędzaj siły. Lucky na pewno szaleje z rozpacz.

Kiedy dojedziemy na miejsce, będzie cię potrzebowała.

— Powinienem być z nią — lamentował. — Jezu miłosierny! Kto mógł coś takiego zrobić? Kto śmiał?

646

Lennie chciał dzwonić na policję.

— Nie możesz — odrzekła Alice z zupełnie nie pasującą do niej stanowczością. — Lucky mówi, że nad wszystkim panujemy.

— Kto nad wszystkim panuje? — krzyknął gniewnie. — I dlaczego nie skontaktowaliście się z Olympią?

— Próbowaliśmy — odrzekła Alice — ale nigdzie jej nie ma.

— Chryste Panie! — wybuchnął. — Brigitte jest jej córką! Olympia powinna być tu, w domu. A przynajmniej powinna wiedzieć, co się dzieje.

— Próbuję się do niej dodzwonić.

— Gdzie jest Lucky? Do salonu wszedł Costa.

— Właśnie telefonowała. Pieniądze zostały podrzucone. Boogie nie spuszcza ich z oczu. Teraz możemy tylko czekać na powrót dzieci.

— Może wy, bo ja na pewno nie! — ryknął Lennie. — Ja nie zamierzam beczynnie czekać. Gdzie ona jest? Daj mi numer jej samochodowego telefonu.

Costa podał mu numer, choć zrobił to niechętnie.

— Lepiej nie zawracaj jej głowy — ostrzegł. — Lucky chce, żeby ta linia była wolna.

— Gównu mnie obchodzi, czego ona chce! — krzyknął Lennie. — Jestem w to wmieszany. A jeśli będzie miała coś przeciwko temu, trudno, jej sprawa.

Donatella Bonnatti popatrzyła na Stevena.

— Eee... panie Berkeley. Przyszedł pan do męża. Męża nie ma. No to teraz pan idzie, tak?

Steven przyjrzał się jej uważnie. Była poruszona i zniecierpliwiona. Ten, kto do niej dzwonił, musiał ją czymś zdenerwować. Podejrzewał, że nie był to Santino Bonnatti, ale że chodziło właśnie o niego.

Donatella podeszła do drzwi. Napięty materiał sukienki groził wyrwaniem guzików, uwydatniając wielki biust i podkreślając zarys bielizny na pośladkach.

— Pan idzie. Ja muszę jechać.

647

Steven kiwnął głową.

— Wróćę porozmawiać z mężem.

Myślała o czymś innym, chciała się go jak najszybciej pozbyć. Fakt, że za publikacją „Spermena” stoi Santino, zupełnie ją nie interesował. Nie, na pewno gnębiło ją coś innego.

— Dobrze, dobrze. Pan zrobi, co chce. Odprowadziła go do progu i mocno zatrzasnęła drzwi. Wsiadł do wynajętego samochodu, wyjechał na ulicę, zaparkował i postanowił zaczekać. Kwadrans później sprzed domu ruszyła toyota. Za kierownicą siedziała Donatella.

Jechała w kierunku Hollywood.

Steven pojechał za nią.

138

Eden krążyła niespokojnie po domu. Próbowwała się umalować, lecz jej twarz była zniekształcona śladami uderzeń plugawych pięści Santina. Dzięki Bogu, nie odniosła trwałych oszpeceń. Siniaki na ciele i pod oczyma wkrótce znikną. Jeszcze tydzień, dwa i odzyska dawną urodę. Zeko siedział nad basenem i zwrócony twarzą do domu wrzucał sobie orzeszki do gęby. Co za kretyn. Nienawidziła go niemal tak samo jak Santina. Obaj byli bydlakami, którzy uważali, że kobiety to podludzie. Spojrzała na kuchenny zegar. Minęła czwarta. Czekał na nią Tim, a ona nie mogła się stąd wydostać. Pieprzyć Bon-nattiego. W końcu od niego ucieknie, tak czy inaczej.

Usłyszała, że przed dom zajeżdża jakiś samochód. Ożywiona nadzieją, podbiegła do okna i wyjrzała, by zobaczyć wysiadającego z wozu...

Santina. Wraz z nim wysiadło dwóch osiłków, z którymi się nie rozstawał, nastoletnia blondynka i mały chłopczyk.

Czyżby chciał pokazać ją swoim dzieciom? Nie wierzyła, że ktoś mógł być zdolny do takiej podłości, nawet Bonnatti.

Szybko weszła do sypialni i zamknęła drzwi. W sypialni było chłodno i cicho, dobiegał ją tylko lekki szum urządzeń klimatyzacyjnych.

Słyszała, jak tamci wchodzą do domu. Nie mogła wyjść

648

im na spotkanie. Nie potrafiła się do tego zmusić. Co mógł jej jeszcze zrobić? Chyba tylko zabić?

— Chodź, kurczaczku. — Bonnatti łypnął pożądliwie na Brigitte i wciągnął ją do domu.

Serce waliło jej tak szybko i mocno, że prawie słyszała jego bicie. Alice opowiadała jej historie o dziewczynach, które znikwały z domu.

— Handlarze żywym towarem — wyjaśniła mądrze, cmokając językiem.

— Siadają tacy obok niczego nie podejrzewającej dziewczyny w kinie i wbijają jej igłę w ramię. A potem wywożą bidulę Bóg wie dokąd.

Brigitte śmiała się z niej, słuchając tych niesamowitych opowieści. Drwiła z Lucky, gdy ta przestrzegała ją przed możliwością uprowadzenia. Ale teraz, zdawszy sobie sprawę z powagi sytuacji, wiedziała, że ich przestrogi i upomnienia nie były pozbawione podstaw.

Zastanawiała się też, co się dzieje w domu w Bel Air. Czy Lucky już przyjechała? A Olympia? Gino? A Lennie? Zawiadomili policję? Szukali jej i Roberta?

Znowu poczuła się jak mała dziewczynka, zagubiona i samotna. Mimo to musiała być silna — dla Roberta. Roberto jej ufał. Ścisnął ją za rękę tak

mocno, jakby zależało od tego jego życie. I całkiem możliwe, że tak było.
Zebrała się na odwagę.

— Dostał pan pieniądze — powiedziała, rozpaczliwie próbując zapanować nad drżącym głosem. — Powinien nas pan wypuścić. Tim obiecał, że...

Bonnatti zachichotał.

— Tim? Jaki Tim? — Zerknął na swoich pomagierów. — Znacie jakiegoś Tima?

— Nigdy o takim nie słyszałem, szefie — odrzekł Czarny.

— Ani ja — potwierdził drugi przydupas.

— Chodź, kurczaczku — powtórzył Santino, ciągnąc Brigitte do sypialni.

— Chłopak też niech wejdzie. Niech sobie popatrzy, nie ma to jak wczesna edukacja. — Ryknął śmiechem, zadowolony ze swego dowcipu. —

Nakręcimy

649

we troje piękny film i wyślemy go do obejrzenia kochanej mamusi.

Otworzył kopniakiem drzwi.

Stała przed nim Eden.

— Won stąd, kurwo — rozkazał.

— Co... co się tu dzieje? — wykrztusiła.

— Zaczekaj w salonie i nie przeszkadzaj. Rozumiesz po angielsku?

Kobieta. Brigitte ulżyło. Spojrzała na nią błagalnie i powiedziała:

— Proszę pani, ten człowiek nas uprowadził, ten człowiek...

Bonnatti trzasnął ją w twarz wierzchem dłoni.

Roberto przeraźliwie krzyknął.

Santino uderzył go i Eden wycofała się do salonu. Nie mogła im pomóc.

Nie mogła pomóc nawet samej sobie.

139

Kości zostały rzucone. Wiedziała, że cokolwiek się teraz zdarzy, nie ma od tego odwrotu.

Strażnik wezwał ją do kamienicy za Hollywood Boule-vard. Do mieszkania Tima Wealtha.

Towarzyszył jej Jaskiniowiec. Jego wygląd był zaprzeczeniem tego, co sugerował pseudonim. Jaskiniowiec miał na sobie sportową marynarkę, starannie zaprasowane w kant spodnie i można by go wziąć za absolwenta college'^ choć wiedziała, że pod marynarką nosi rewolwer, i żywiła głęboką nadzieję, że w trudnych chwilach okaże się niezawodny.

Zewnętrznymi schodami weszli na górę, uskakując w bok przed wracającymi do domu studentami i omijając starego, agresywnego pijaka, który wchodził wszystkim w drogę.

Drzwi otworzył im Strażnik. Czujnymi, stalowymi oczyma omiół okolicę i wpuścił ich do środka.

Lucky weszła do małego pokoju i znieruchomiała. Bezwładne ciało na podłodze. Ciało mężczyzny, którego nie

650

tylko dotkliwie pobito, ale któremu dla pewności przestrzelono głowę.

— Tim Wealth — rzucił lapidarnie Strażnik. — Przyjechałem tuż przed tym, jak... jak nas opuścił.

Lucky wstrzymała oddech.

— I?

— Mamy poważny kłopot — odrzekł posepnie Strażnik. — Mówi coś pani nazwisko Santino Bonnatti?

Serce jej zamarło.

— Bonnatti? — szepnęła. Strażnik kiwnął głową.

— Santino uprowadził dzieci.

140

Blue Jay Way to cicha, spokojna uliczka wijąca się wysoko między wzgórzami otaczającymi Hollywood. Nie było tam prawie żadnego ruchu, ot, od czasu do czasu przejechał samochodem któryś ze stałych mieszkańców, pochłonięty swoimi sprawami.

Siedzący z tyłu furgonetki Boogie doszedł do wniosku, że jest to idealne miejsce na kryjówkę, że lepszego nie mogliby znaleźć. Całkowitą pewność zyskał w momencie, gdy mercedes, za którym jechali, zwolnił. Tak, trafił w dziesiątkę: z mercedesa wysiadło trzech mężczyzn z Brigitte i Robertem. Twarz jednego z nich wydała mu się znajoma, ale nie mógł skojarzyć jej sobie z nazwiskiem.

Zawahał się. Odbić dzieci teraz? Marne szanse. Musiałby stawić czoło trzem facetom, najpewniej uzbrojonym i gotowym oddać życie za milion dolców. Doszłoby do wymiany ognia. Ktoś mógłby zostać ranny, a nie zamierzał narażać na niebezpieczeństwo ani Roberta, ani Brigitte. Poza tym, Lucky na pewno nie życzyłaby sobie żadnej strzelaniny.

Odczekał, aż tamci wejdą do domu, i spróbował skontaktować się z nią przez telefon. Odebrał kierowca i kazał mu czekać.

Powoli mijały minuty. Pogrążony w myślach Boogie cierpliwie czekał.

Decyzja należała tylko do niej.

651

Kiedy podniosła słuchawkę, w jej głosie usłyszał nutkę lodowatej złości.

— Gdzie jesteś? — rzuciła impulsywnie.

Podał jej adres i przekazał najświeższe wiadomości.

Lucky przekazała je kierowcy i kazała mu pędzić na Blue Jay Way. Potem, z całym spokojem, na jaki było ją stać, spytała:

— Czy wśród tych mężczyzn był Santino Bonnatti? Sposepniały, dopiero teraz uświadomił sobie, że istotnie, jednym z nich był Bonnatti, i zdał sobie sprawę z wynikających z tego implikacji.

— Co robimy? — spytał. — Może w tej sytuacji powinniśmy zawiadomić policję?

— Zajęłoby to za dużo czasu — odrzekła, gorączkowo myśląc. — Są ze mną Jaskiniowiec i Strażnik. Z tobą jest Dave. Załatwimy to sami. Nie ma innego wyjścia.

— W domu może być ktoś jeszcze — odrzekł. Od dawna wiedział, że wyklócanie się z Lucky Santangelo to poważny błąd.

— Sprawdź, co możesz — odparła spięta. — Już do was jedziemy. Boogie wysiadł z furgonetki i podszedł do szoferki, żeby uprzedzić Dave'a.

— Ona chce spróbować — powiedział. — Mają jej dziecko. Pójdiesz z nami?

Dave kiwnął głową i poklepał ukrytą pod pachą trzydziestkę ósemkę.

— Na pewno będzie więcej niż hojna — obiecał Boogie.

— Nie chodzi o pieniądze — odrzekł Dave. — Nie lubię ludzi, którzy wykorzystują dzieci. Trzeba dać im nauczki.

— Amen — potwierdził Boogie. — Rozejrzę się trochę. Po dwóch latach służby w wietnamskiej dżungli poruszał się jak cień, zwinnie, bezszelestnie i błyskawicznie. Zniknął w wysokich

krzewach na poboczu i ruszył w stronę wierzchołka wzgórza porośniętego gęstymi chaszczami.

Już po chwili dotarł do miejsca, skąd roztaczał się doskonały widok na dom.

652

Lennie siedział w gabinecie i nieprzerwanie wykręcał numer, który podał mu Costa.

Linia była ciągle zajęta.

Zaklął pod nosem, domyślając się, przez co Lucky musi teraz przechodzić. Potrzebowała go. I gdyby tylko zdołał się do niej dodzwonić, gdyby tylko wiedział, gdzie jest, byłby przy niej. Zrobiłby dla niej wszystko.

Do gabinetu weszła Alice i postawiła na biurku filiżankę kawy. Pierwszy i jedyny raz w życiu pomyślała o nim i coś dla niego zrobiła, ale kto mógłby teraz spokojnie siedzieć i pić kawę?

Bingo! Nareszcie uzyskał połączenie, nareszcie miał sygnał. Odebrał jakiś mężczyzna.

— Tak?

— Chcę rozmawiać z Lucky. Stłumiony trzask, potem jej głos.

— Gdzie jesteś? — rzucił.

Od razu wiedziała, że to on, lecz nie była to pora na odnawianie znajomości.

— Nad wszystkim panuję, Lennie — odrzekła bez tchu. Wybuchnął niczym naładowana furia bomba.

— Ty?! A gdzie policja?!

— Nie trzeba tu żadnej policji — odparła spokojnie. — Zaufaj mi.

— Gdzie jesteś? — powtórzył natarczywie.

— Nie mogę ci powiedzieć.

— Gdzie jesteś, do ciężkiej cholery?! — Nigdy w życiu nie czułem się równie bezradny.

— Dojeżdżamy do Blue Jay Way — powiedział Strażnik.

— Muszę kończyć — rzuciła Lucky. — Lada chwila odzyskamy dzieci.

— Powiesz mi czy nie?!

Teraz nie miało to już żadnego znaczenia. Zanim Lennie dotrze na miejsce, będzie po wszystkim.

— Tylko nie zawiadamiaj policji.

— Słowo.

Szybko podała mu adres. Rzucił słuchawkę i wybiegł z domu.

653

141

Kierownik nocnej zmiany stanął przed drzwiami numer 425 i kilka razy zapukał.

Kiedy odpowiedziała mu cisza, wsunął klucz do zamka i wszedł do pokoju.

W pierwszej chwili myślał, że śpią: legendarny gwiazdor rocka i tęga blondyna. Groteskowo rozwaleni, leżeli nago w poprzek łóżka.

Kierownik zastygł bez ruchu, nad słuchując ich oddechów. Podeszedł bliżej i ogarnął wzrokiem ślady całonocnego ćpania: przewrócone buteleczki na stoliku, z których wysypały się tabletki, pustą strzykawkę, na wpół pełną torebkę białego proszku, różne fiolki i przybory.

Pociągnął nosem, poczuł zapach śmierci i zadrżał. Nie pierwszy raz oglądał taki widok i pewnie nie ostatni. Ale nigdy dotąd nie widział trupa kogoś równie sławnego.

W pokoju panowała straszliwa cisza i zakłócały ją tylko odgłosy ulicznego ruchu za oknem.

Ostrożnie podszedł jeszcze bliżej i spojrzał na Flasha, który leżał z otwartymi ustami, demonstrując garnitur zepsutych zębów.

Powoli, ukradkiem spróbował białego proszku z nocnego stolika. Kokaina.

Szybko schował torebkę do kieszeni.

Potem spojrzał na blondynę. Miała opuchniętą twarz i skórę pokrytą szkarłatnymi plamami. Jej twarz wydała mu się znajoma.

Za oknem zawyły policyjne syreny i kierownik drgnął, zastanawiając się, czy radiowóz przystanie przed hotelem. Nie przystanął. Wycie syreny umilkło w oddali — to tylko jeden z odgłosów typowych dla Nowego Jorku.

Doszedł do wniosku, że powinien coś w tej sprawie zrobić. Jezu. Prasa, telewizja i w ogóle — pewnie czeka go zwariowana noc. Dziennikarze oszaleją. Ba! na pewno zechcą przeprowadzić z nim wywiad. Tak jest, bankowo.

Spojrzał na nieszczęśliwą parę ostatni raz i podniósł słuchawkę telefonu.

654

Wiadomość dotarła do prasy na tyle wcześnie, że podano ją w dziennikach o dziesiątej wieczorem. W Los Angeles była wtedy siódma.

Media uwielbiają rozprawiać o śmierci ludzi sławnych. A jeszcze bardziej o śmierci dwojga sław.

Ten przypadek miał wszelkie niezbędne składniki.

Pieniądze. Seks. Prochy. I rock and roli.

Czy można wymarzyć sobie coś lepszego?

— Ściągaj szmatki, kurczaczku — rozkazał Bonnatti.

— Niech mnie pan zostawi w spokoju — ostrzegła go Brigitte z oczami rozszerzonymi strachem.

Bonnatti wybuchnął śmiechem. Zamknął drzwi, klucz schował do kieszeni. Odciał się od realnego świata, był teraz sam na sam z tą małą, apetyczną dupeczką i nie mógł się już doczekać, kiedy ją przerznie.

Ejże, niezupełnie sam na sam. Towarzyszył im ten pacan. Syn Lucky Santangelo.

Nawet w najśmielszych marzeniach nie zorganizowałby tego lepiej.

Zdjął marynarkę i prychnął śmiechem.

Uwagę Brigitte przykuł rewolwer z krótko obciętą lufą tkwiący w kaburze pod jego pachą. Dostała gęziej skórki, widząc, jak Bonnatti podchodzi do wideokamery na trójnogu przy łóżku, jak ją włącza.

— No dobra, dość tych fochów — warknął. — Ściągaj łachy. — Wyjął rewolwer i wycelował go w przerażonego Roberta, który przycupnął w kącie. — I to już, kurczaczku, bo rozwalę mu łeb.

Słaniała się ze strachu. Nie, to niemożliwe, to tylko sen. To tylko straszny sen. Rozpłakała się.

— Rusz dupę i stań przed kamerą. Powoli wypełniła rozkaz.

Nagle Roberto zerwał się na równe nogi, podbiegł do Bonnattiego i zaczął okładać pięściami jego nogę.

— Przestań! Przestań! Przestań! — krzyczał. Brutalne pchnięcie cisnęło malca na drugi koniec pokoju. Brigitte łkała coraz głośniejsze, ale Santinowi to nie przeszkadzało. Spojrzał na nią z pożądliwą miną i mruknął:

— Rozbieraj się, kurczaczku. I to już. Albo na twoich wielkich, błękitnych oczach rozwalę tego hałaśliwego gówniarza.

Donatella przejechała przed domem na Blue Jay Way i natychmiast rozpoznała samochód męża. Bluzgnęła długą wiązką włoskich przekleństw, dorzucając do kompletu kilka przekleństw angielskich. A to zakłamaniec jeden! A to oszukaniec! A to dziwkarz! A to playboy zasrany!

Jak on śmiał. Jak on śmiał!

Ojciec dzieciom, wierny mąż — tak zawsze twierdził. Poświęciła mu najlepsze lata życia, tymczasem on parzył się z babami jak uliczny kundel z goniącymi się sukami.

Zaparkowała i z trudem wypchnęła z samochodu swe obfite ciało.

W chwili gdy Donatella wysiadała z toyoty, przed furgonetką na szczycie wzgórza przystanął lincoln, rocznik 1980.

Wysiadła z niego Lucky. Boogie wyszedł jej na powitanie.

— Santino jest w domu z trzema mężczyznami. Jest tam jeszcze jakaś kobieta. Uważam, że trzeba zrobić tak: Jaskiniowiec i Strażnik odwrócą ich uwagę od frontu, tymczasem ja dostanę się do środka od podwórza.

— A ja? Mam tu siedzieć i robić na drutach? — spytała jadownicie Lucky.

— Powinnaś zostać w samochodzie. Wydostanę je stamtąd. Zaufaj mi.

— Do kitu z takim planem — odrzekła spokojnie. — Idę z tobą.

— Nie zdążysz, będę musiał na ciebie czekać — zauważył.

656

— Bzdura. Zdążę. Jeśli odstane, to z mojej winy.

— Może być niebezpiecznie. Zmierzyła go wzrokiem.

— Czy ty mnie znasz, Boogie? Czy ty mnie w ogóle znasz? Dalsza

sprzeczką nie miała sensu. Lucky Santangelo nie słuchała nikogo.

— Wprowadzę w szczegóły Jaskiniowca, Strażnika i Da-ve'a — odrzekł.

— Zaraz potem ruszamy.

Mrucząc pod nosem, Donatella maszerowała z chrzęstem krótkim, wyżwirowanym podjazdem. Przed wyjściem z domu zrzuciła domową sukienkę i nałożyła ciemnobrązowy kostium oraz wysokie botki.

Zaczesła włosy, umalowała usta jaskrawoczerwoną szminką, a powieki wysmarowała niebieskim cieniem. Sztuka makijażu była jej obca i Donatella wyglądała dość niesamowicie.

Nie przestając mamrotać, zadzwoniła do drzwi, za którymi spodziewała się znaleźć męża w ramionach jakiejś brudnej, taniej prostytutki.

— Kto to jest? — spytał Jaskiniowiec, obserwując zmierzającą do drzwi Donatellę.

— Bez znaczenia — odrzekła Lucky. — Pomoże odwrócić ich uwagę.

Wejdziecie za nią. Spróbujcie ich zagadać, zyskać na czasie, tymczasem my uderzymy od tyłu.

— Pasowałby pani ten numer z FBI? — spytał Strażnik, migając jej przed oczyma fałszywą legitymacją.

— Idealnie. Do roboty, chłopcy.

I ruszyła za Boogiem, który zanurkował już w okoliczne krzewy.

W Hollywood Hills łatwo zabłądzić. Tyle tam krętych uliczek, ślepych zaułków, zakrętów i meandrujących alejek.

Steven zgubił żółtą toyotę Donatelli w chwili, gdy skręciła w Doheny Drive i nigdzie nie mógł jej wypatrzeć.

Nic to. Postanowił zawrócić i zaczekać przed domem

Bonnattich, ponieważ wiedział, co zrobi tej kanalii, kiedy w końcu stanie z nim twarzą w twarz.

— Co on, do diabła, robi z tymi dziećmi? — spytała Eden Czarnego, który buszował w kuchni w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby wypchać swoją zaślinioną gębę.

Czarny obojętnie wzruszył ramionami. Dzisiaj — nie szkodzi, że tylko przez kilkadziesiąt sekund — trzymał w rękach milion dolców. Cóż to była za chwila!

Naturalnie, zdążył już zapomnieć, że nieco wcześniej zamordował człowieka. Że złośliwie i z zimną krwią przestrzelił mu głowę.

— Rzygać mi się chce, jak na ciebie patrzę — powiedziała Eden z odrazą.

— Pracujesz dla człowieka gorszego niż najgorsza szuja, tyłek mu liżesz.

— Podniosła głowę, żeby mógł przyjrzeć się jej twarzy. — Spójrz tylko, co mi zrobił. Co myślisz o parszywcu, który jest do tego zdolny?

Czarny zerknął na nią przelotnie.

— Kogo to obchodzi? — burknął, żując wielki kawał sera.

Eden usłyszała dzwonek do drzwi i wstrzymała oddech...

— Tak? — spytał podejrzliwie Zeko, uchylając drzwi. Donatella kopnęła je z całej siły, boleśnie nadwerężając stopę.

— Co ty tu robisz? — warknęła. — Gdzie mój mąż? Zeko rozdziawił usta.

— Pani Bon... Bonnatti! — wydukał.

— Tak. Jestem pani Bonnatti. No i co? No i teraz pani Bonnatti wejdzie tam. Z drogi, głupi wole!

Zeka przytknęło. Chryste, co powie na to szef?! Puścił klamkę, nie zauważywszy, że tuż za Donatella jak spod ziemi wyrosło dwóch mężczyzn.

— FBI — rzucił jeden z nich, pokazując mu legitymację. — Prowadzimy śledztwo w sprawie jednego z sąsiadów i chcielibyśmy zadać panu kilka pytań.

658

143

Naga Brigitte kulila się pośrodku wielkiego łóżka. Jej policzki spływały łzami. Ten obrzydliwy zboczeniec dotykał jej, zmuszał do pozowania przed kamerą. A teraz rozbierał Bobby'ego i wesoło chichotał, podczas gdy malec wierzgał i próbował walczyć.

Zadrżała na myśl o tym, czym jej zagroził. Opisuując w najdrobniejszych szczegółach to, co zamierzał zrobić Bobby'emu, gorączkowo się rozbierał. Został w samej bieliź-nie, w długich szortach w serduszka, które rozpychał obscenicznie sterczący członek.

Bobby przeraźliwie płakał, a jego płacz rozdzierał jej serce. To przez nią tu trafił. To jej wina.

Santino skupił uwagę na dziecku. Przygotowywał się do popełnienia czynu tak nikczemnego... tak plugawego...

Kaktusy, chaszczce i gęste krzewy — Boogie sunął między nimi szybko i bezszelestnie.

Lucky zdołała dotrzymać mu kroku, nieświadoma, że zwisające gałęzie i wysokie krzaki orzą jej twarz i ręce.

Zbliżali się do celu. Przed nimi rozpościerał się basen kąpielowy, a po drugiej stronie basenu ujrzeli szklane drzwi prowadzące do domu.

— Wejdziemy tamtędy — szepnął Boogie, wyciągając pistolet. — Za chwilę odzyskasz dzieci. Obiecuję, Lucky. Już za chwilę.

— Pani Bonnatti? — Eden odepchnęła na bok Zeka i stanęła przed tęgą kobietą.

Donatella łypnęła na nią spode łba.

— Masz tu mego męża? — spytała głośno. — Mojego Santina?

— Tak, jest tutaj — odrzekła Eden. — Ale zanim się pani z nim zobaczy, powinniśmy porozmawiać.

— On śpi z tobą? — syknęła Donatella. — Gadaj prawdę.

659

Strażnik natychmiast wykorzystał okazję: przepchnął się obok Donatelli i wszedł do domu.

— Chwileczkę... — zaczął skonsternowany Zeko, lecz idący tuż za Strażnikiem Jaskiniowiec dobył broni i wycedził:

— Szkoda twoich słów, zasrańcu. Gdzie dzieciaki?

— Kto to są ci ludzie? — wrzasnęła Donatella. — Co się dzieje?

— Zamknij gębę i pod ścianę — rzucił Jaskiniowiec. Pokiwał palcem na Eden. — Ty też, słodziutka.

Z kuchni wybiegł ciężko Czarny. Jaskiniowiec zaprosił go do gromadki.

Czarny próbował się wycofać, lecz Jaskiniowiec szepnął:

— Jeden krok i jesteś trup, kutasie. Czarny zamarł.

W tym samym momencie w głębi domu rozległ się potężny trzask. Zaraz potem wystrzał. Jeden. Drugi. Trzeci.

r

OSIEM MIESIĘCY PÓŹNIEJ

Maj 1984

144

W sali rozpraw panowała brzemienne cisza.

Lucky patrzyła w dal. Jej czarne, opalizujące oczy nie odzwierciedlały żadnych emocji, choć była spięta i do cna przerażona.

Sekretarz zaczął czytać. Czytał głośno, jęklwym, nosowym głosem.

— „Czwartego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku w stanie Kalifornia...”

Słowa. Tyle słów. Do czego prowadziły?

Zerknęła w stronę publiczności i skupiła wzrok na Brigitte siedzącej w pierwszym rzędzie. Błada twarz bez wyrazu, włosy splecione w stateczny warkocz — nastolatka wyglądała bardzo poważnie.

Lucky była zła, że pozwolono jej przyjść na rozprawę. Cały koszmar miała już za sobą i nie było powodu, żeby tu przesiadywała.

Sekretarz monotonicznie czytał dalej.

Lucky wstrzymała oddech, modląc się, żywiąc nadzieję, że...

Nie, było przesądzone, że uznają ją za winną. Gazety ukrzyżowały ją już dawno temu. „Lucky Santangelo. Córka gangstera”. Gino nie miał nic wspólnego ze zorganizowaną przestępczością od ponad dwudziestu lat, mimo to smrodek pozostał.

Dumnie podniosła głowę. Nie, nie załamie się. Przyjmie każdy werdykt i wyrok, jaki zapadnie.

663

144

W sali rozpraw pa>

Lucky patrzyła w ^wah brzemienne cisza.

odzwierciedlały żadnft J czar^ °PallzuJace oc?Y me przerażona.

emocji, choć była spięta i do cna

Sekretarz zaczął cr> , _ . , , . . . wym głosem. Vtac-

Czytał głośno> jękliwym, noso-

— „Czwartego mai • ■ • • - • , • •

czwartego roku w sta?, ^ąc dziewięćset osiemdziesiątego

Słowa. Tyle słów. ΓΓ Kalifornia...

Zerknęła w stronę p/°CzeS° P^adziły? siedzącej w pierwsz^blicznosci,

skupiła wzrok na Bngette

włosy splecione w sta? rzędzie- „Błada twarz ,bez wyrazu' dała bardzo

poważnieeczny warkocz _ nastolatka wygla"

Lucky była zła, że ! ,

Cały koszmar miała golono jej przyjść na rozprawę.

tu przesiadywała. kcz za soba ' nie było Powodu' zeby

Sekretarz monoton^ , , , .

Lucky wstrzymała ^czytałdalfJ- . . .

• Mddech, modląc się, żywiąc nadzieję,

Nie, było przesąd?^ . . . _

ukrzyżowały ją już da^6' ze uznaJa f za TMnna" G™f> gangstera". Gino

nie >° temu- "L,Ucky Santangel°- Córka przestępczością od po,Jiał I"C

wspólnego ze zorganizowaną pozostał dwudziestu lat,

mimo to smrodek

Dumnie podniosła »> ^T- . . . n . . .

każdy werdykt i wyr0?owt. Nie' nie załamię S1^ Pr2^T1e \ jaki zapadnie.

663

— „Dlatego my, sędziowie przysięgli — czytał donośnie sekretarz —

uznajemy oskarżoną Lucky Santangelo... — Zawiesił głos. — Za winną

zabójstwa drugiego stopnia".

Jego słowa poraziły ją niczym prąd, a w sali rozpraw wybuchła wrzawa.

Głosy.

Hałas.

Tupot setek nóg.

Zgiełk wypełnił jej uszy, oczy, nos i gardło.

Zgiełk ją dusił.

Szklistymi oczyma powiodła po sali. Umykające postacie... niczym szczury pędzące do... Boże, dokąd oni tak pędzili?

Do telefonów. Goniły ich napięte terminy. Musieli przekazać wiadomość, a kto pierwszy, ten lepszy. Musieli nasycić zachłanne masy tanią sensacyjką.

Nagle powietrze przeszył donośny, udręczony krzyk. Bri-gette zerwała się na równe nogi.

— Neeee! — krzyczała. — Nie! Nie! Nie! Lucky Santangelo jest niewinna! Ja to zrobiłam. To ja zastrzeliłam Santina Bonnattiego. To ja jestem winna!

Epilog

Pierwszy września 1984. Piękny dzień na ślub. Niebo było błękitne i bezchmurne, słońce jaskrawe, ale niezbyt gorące. Biały dom stojący pośród kwiatów w soczysto zielonych ogrodach wydawał się spokojny i zapraszający.

Roberto — miał już pięć i pół roku — krążył wokół w ciemnym garniturku, witając gości. Był śmiałym, niezaprzeczalnie przystojnym kawalerem o czarnych oczach przesłoniętych długimi rzęsami i czarnych, kędzierzawych włosach. Z tyłu kręciła się dyskretnie Cee Cee, równie

czujna jak strażnicy otaczający kordonem posiadłość i ubrani po cywilnemu detektywi, którzy nie rzucając się w oczy, sprawdzali przybywających gości.

Costa i Ria z dzieckiem przyjechali jako jedni z pierwszych. Na spotkanie wybiegła im Alice w zwiewnej sukni z zielonego szyfonu i z wstążkami w farbowanych na rudo włosach. Przed chwilą fotografowali ją ci z „People” i była oszołomiona sukcesem. Claudia zastąpił Niemiec Rolf, podstarzały piosenkarz o spiczastych zębach i skłonności do ciągłego pogwizdywania. Niedługo potem przyjechali Jess i Matt. Matt miał na sobie szary, bardzo konserwatywny garnitur, natomiast Jess dźwigała potężny brzuch osłonięty ciężową sukienką w kropki. Lada dzień spodziewała się bliźniąt i, jak żartował

665

dosadnie Lennie, wyglądem przypominała dojrzały arbuz grożący pęknięciem.

Steven Berkeley przyjechał brązowym rolls-royce'et. Dostał go w ślubnym prezencie od Mary-Lou, która siedziała obok niego. Pobrali się tydzień po tym, jak wypisano ją ze szpitala.

Towarzyszyła im jak zawsze wytworna Carrie. Redaktorzy „Women's Wear Daily” wybrali ją niedawno do Panteonu Szyku i Elegancji.

W prezencie ślubnym dała Stevenowi maszynopis swej autobiografii.

— Od ciebie zależy, czy to opublikuję czy nie — powiedziała. I w końcu wyjawiała mu, kto jest jego ojcem, ponieważ miał wszelkie prawo wiedzieć.

Miesiąc poślubny młoda para spędziła w Europie i tam Steven przeczytał książkę matki. Wróciwszy do Stanów, powiedział jej, że zbrodnią by było

tego nie opublikować. Później wziął maszynopis i wraz z innymi dokumentami potwierdzającymi jego pochodzenie pojechał do Kalifornii, gdzie odwiedził Lucky Santangelo w więzieniu.

Dziennikarze próbowali zrobić z Lucky przykład. Raz udało jej się uniknąć kary za morderstwo, więc stawali na głowie, by udowodnić, że żadne wpływy i żadne pieniądze nie kupią jej wolności po raz wtóry.

Zwłaszcza że człowiek,

o którego zamordowanie ją oskarżano, był synem pierwszej ofiary.

GANGSTERSKA WENDETA — krzyczały nagłówki gazet. LUCKY SANTANGELO NIE WYJDZIE ZA KAUCJĄ.

Opowiedział jej wszystko.

— Nasze losy nieustannie się z sobą splatały — dodał przed wyjściem. — Nie wiem, czy kiedykolwiek zechcesz uznać mnie za brata, ale jestem dumny, że mam taką siostrę.

I zrobię wszystko, żeby ci pomóc.

Lucky nie tylko uznała go za brata, ale i przekonała Ginę, że ma syna. I chociaż minęło wiele miesięcy, zanim uwierzył w jej opowieść, w końcu zgodził się z nim spotkać

666

i obiecał, że pomyśli — tylko pomyśli jakiegoś związku.

o zadzierzgnięciu

Brigette wystąpiła w białej sukni. W sukni dziewiczej. W sukni druhny.

Miała jasną cerę, wielkie, błękitne oczy, wspaniałe ciało i wyglądała doprawdy prześlicznie.

Była teraz jedną z najbogatszych panien na świecie. Odziedziczyła cały majątek matki, dysponowała gigantycznymi funduszami powierniczymi

oraz pieniędzmi, jakie zapisał jej zmarły dziadek.

Chodziła do prywatnej szkoły w Connecticut, a weekendy spędzała z Lucky, która chętnie podjęła się roli prawnej opiekunki.

Raz w miesiącu musiała odwiedzać kuratora sądowego, ale była to czysta formalność, dzięki której uniknęli wrzawy w prasie i oskarżeń o to, że upiekło jej się tylko dlatego, że jako wnuczka Dimitriego Stanislopoulosa ma pieniądze i potężne wpływy.

Czasami nawiedzał ją nocny koszmar. Zawsze ten sam.

Tim Wealth. Uśmiechnięty. Szczęśliwy.

Mówiący: „Jak się masz, malutka?”

I widok jego zwłok na tle Santina Bonnattiego, który zrywał z niej ubranie, by ją zhańbić i poniżyć.

Pamiętała tamten feralny dzień w najdrobniejszych, w najokropniejszych szczegółach.

Rewolwer.

Rewolwer Santina.

Na stole.

Santino. Zdecydowany napastować Bobby'ego. Szyderczy uśmiezek na jego ohydnej gębie. Musiała go powstrzymać...

Szlochając, przepelzła na drugą stronę łóżka. Sięgnęła po broń.

Długi, dziecięcy krzyk przerażonego Bobby'ego.

Drżącymi rękami podniosła rewolwer.

Jego rewolwer.

Odruchowo wycelowała i pociągnęła za spust.

Eksplozja odrzuciła Santina pod ścianę, a z rozwartej

dziury w ramieniu buchnęła krew. Spojrzał na nią zaskoczony i kipiąc furia, warknął:

— Ty kurwo, ty... — Nie dokończył.

Brigette pociągnęła za spust po raz drugi i trzeci.

Chlustnął strumień krwi i Bonnatti runął bez słowa na podłogę.

W tym samym momencie do sypialni wpadła Lucky.

Od tej chwili wszystko pamiętała jak przez mgłę. Pamiętała Lucky wrywającą rewolwer z jej drżących rąk, Lucky wycierającą rękojeść, wyjmującą kasetę z magnetowidu i rozkazującą Boogiemu, żeby wyprowadził dzieci z pokoju.

I tęgą kobietę w drzwiach, która oskarżycielsko wskazując Lucky palcem, zaczęła histerycznie wrzeszczeć.

— Ty to zrobiłaś! — lamentowała. — Ty kurwo! Ty zabiłaś mojego męża! Zabiłaś go. Widziałam!

Wykorzystując zamieszanie, Boogie otulił ich kocami i błyskawicznie zaprowadził do podstawionego samochodu. Zawiózł ich do domu w Bel Air, gdzie dostali środki uspokajające i gdzie ostrzeżono ich, żeby nigdy i nikomu nie wspominać o tym, co się stało.

Zaraz potem Lucky została aresztowana za morderstwo, a Brigitte milczała do chwili, gdy nie mogła dłużej tego znieść. Gnębiło ją poczucie winy i wyznała swą tajemnicę na procesie. Zrobiłaby to wcześniej, ale za bardzo się bała. Wybuchło straszliwe zamieszanie. W końcu ujawniono fakty i pokazano przysięgłym kasetę wideo obciążającą Bon-nattiego.

Lucky została zwolniona, a Brigitte, jako osobę niepełnoletnią, przekazano pod dozór kuratora sądowego, i to tylko na rok. Ostatecznie był to ewidentny przypadek działania w samoobronie.

Cieszyła się, że wyjawiała prawdę. Lucky była początkowo zła, ale pewnego dnia wzięła ją za rękę, spojrzała jej w oczy i powiedziała: — Dziękuję. To, co zrobiłaś, wymagało wielkiej odwagi. Jestem ci wdzięczna.

Teraz żyło jej się całkiem nieźle. Choć nie idealnie. Brakowało jej matki. I to bardzo.

668

— Hej — powiedział Gino. — Świetnie wyglądasz. — Klepnął Costę po ramieniu.

— Ale marnie się czuję — mruknął Costa grobowym głosem.

Gino parsknął śmiechem.

— Ciągłe narzekasz, ciągle kwękasz.

— Dokucza mi artretyzm — jęknął Costa. — Bolą mnie ramiona, boli mnie...

— Przestań! — krzyknął Gino. — Komu potrzebna lista twoich chorób? Myśl jak człowiek zdrowy. I działaj jak człowiek zdrowy. To jedyny sposób, stary.

Gino był cudownym dowodem na prawdziwość tych słów. Nadal wyglądał na mężczyznę o wiele lat młodszego, choć w końcu zupełnie osiwiiał, i choć lekkie ataki artretyzmu przypominały mu, że jest tylko człowiekiem. Ale wciąż cieszył się życiem. Miał piękną córkę. Miał wnuka, który będzie kontynuował rodzinne tradycje. No i był w znakomitej formie. Aha, jeszcze jedno: miał też niedawno odnalezionego syna. Dziwne to, jednak chyba prawdziwe. Steven był człowiekiem interesującym i skomplikowanym i Gino powoli zaczynał do niego przywykać.

Nie miał tylko Paige Wheeler. Ze wszystkich kobiet jego życia tej jednej

nie udało mu się zdobyć.

Nadal się spotykali. Popołudniami w „Beverly Whil-shire”, czasami spędzali razem weekend, ale Paige po prostu nie chciała zostawić Rydera.

Gino nie ustępował, Gino lubił wyzwania. Wyzwania dodawały mu ikry.

Lennie spojrzął w lustro. Był zdenerwowany niczym tygrys w cyrku.

Zdenerwowany i pijany szczęściem. Był odurzony. Naładowany.

Robił ten krok po raz drugi w życiu. Tym razem świadomie. I tym razem wiedział na pewno, że nigdy jej nie zostawi.

Lucky Santangelo.

Niebezpieczna.

Uparta.

669

Silna.

Zwariowana.

Zmysłowa.

Była dla niego wszystkim.

Kiedyś myślał, że to Eden jest kobietą jego życia. Biedna, żalosna Eden, która zeznawała w sądzie, relacjonując przebieg wydarzeń, do jakich doszło w sypialni domu przy Blue Jay Way, podczas gdy tak naprawdę nie wiedziała o tym absolutnie nic. Naturalnie, on przybył na miejsce za późno. Zanim tam dotarł, było już po wszystkim. Lucky załatwiła to po swojemu.

Spotkał się z Eden przed gmachem sądu.

— Lennie. — Położyła mu rękę na ramieniu i przenikliwie spojrzała mu w oczy. — Tak bardzo za tobą tęskniłam, ale Santino mnie więził. Zdajesz sobie sprawę, przez co musiałam przejść?

Nie czuł do niej nic. Jakby tych wszystkich wspólnie spędzonych lat nigdy nie było.

— Chcę się z tobą zobaczyć, Lennie — wymruczała uwodzicielsko. — Chyba jestem gotowa do stałego związku.

Próbował spławić ją łagodnie. Eden i łagodność? Nie, to niemożliwe.

— Wielki z ciebie gwiazdor, he? — syknęła. — Wiedziałam, że sława uderzy ci do łba.

Eden to już historia.

Poprawił krawat. Jedwabny krawat. Biała jedwabna koszula. Czarny garnitur od Armaniego. I... czarne tenisówki. Cóż, nikt nie mógł mu zarzucić konwencjonalności.

— Hej, córeczko. — Gino wystawił głowę zza drzwi. — Gotowa? Lucky odwróciła się.

— Nigdy dotąd mnie tak nie nazywałeś — odrzekła cicho.

— To znaczy jak? Uśmiechnęła się.

— Córeczko.

670

Wszedł do pokoju.

— Wiesz co?

— Tak?

— Kocham cię, dziecino. Naprawdę cię kocham. I jestem z ciebie dumny. Naprawdę dumny.

Szybko zamrugła, żeby rozpędzić łzy — nie uchodzi płakać na własnym ślubie — i padła mu w ramiona.

— Ja też cię kocham, tatusiu.

— No, no. — Odepchnął ją łagodnie. — Wygnieciesz mi garnitur.

Gino. Taki szykowny. Taki elegancki. Nie obchodziła ją przeszłość. I co z tego, że przez niego i jego reputację nie pozwolono jej wyjść za kaucją. Siedem miesięcy, jakie spędziła w więzieniu za zbrodnię, której nie popełniła, dało jej się we znaki, ale zniosła to dzielnie, jak na Santangelo przystało. Obchodził ją Gino jako człowiek. Jej ojciec. Kochała go i teraz mogła się do tego otwarcie przyznać.

— Może już pójdziemy? — zaproponował. — Goście czekają, tudzież moje ramię.

Dwornie podał jej ramię, a uszczęśliwiona Lucky je przyjęła.

Czekał na nią Lennie.

Pobrali się w ogrodach domu w East Hampton. Lucky Santangelo i Lennie Golden.

Idąc alejką, patrzyła na swego przyszłego męża. On odwrócił się i spojrzał na nią.

I jakby prąd ich poraził. Lucky i Lennie — zabójcza kombinacja.

Gino oddał mu swoją córkę.

Roberto był paziem.

Brigette druhną.

A Jess drużbantką Lenniego.

To był piękny ślub.

*İ3.,.K